

STANISŁAW SROKOWSKI

Autor dziękuje pani Annie D., Polce z Kołomyi, za udostępnione notatki i opowieści z czasów wojny.

Wszelkie podobieństwa imion i nazwisk do imion i nazwisk rzeczywistych są przypadkowe, poza, rzecz jasna, nazwiskami historycznymi.

Stanisław Srokowski Wydawnictwo ARCANA, 2008

Projekt okładki Witalij Sadowski Redakcja Zuzanna Dawidowicz

ISBN 978- 83-60940-28-0

Wydanie pierwsze, Kraków 2008

Wydawnictwo ARCANA

ul. Dunajewskiego 6

33-133 Kraków

tel./fax (0 prefix12) 422-84-48

(0 prefix12) 429-56-29 - dział handlowy

e-mail wydawnictwo@arcana.pl www.arcana.pl

Druk i oprawa: Drukarnia GS, ul. Zabłocie 43, Kraków

KOLOROWY TABOR

Na taką chwilę czekali tutaj wszyscy. Wyzierali zza węglów, przyklejali nosy do szyb, z otwartymi gębami wpatrywali się w długi cygański tabor i słyszeli pryhanie koni. Dzieci zbierały się na skrzyżowaniu dróg, by zobaczyć, w którą stronę Cyganie skręca, ku ruinom starego zamku czy w kierunku bukowego lasu.

Gdy nadchodziła wiosna, spod śniegów wyzierały krokusy, a dalekie zbocza aż po szczyty Czarnohory barwiły się liliami. Majestatyczne skalne granie i mroczne połacie lasów wyłaniały się jak widma z mgieł. A niżej roztaczał się rozległy widok zielonych pól.

Dwa wierzchołki Wschodnich Karpat, Iwan Pop i Howerła, wyglądały jak dwaj mnisi, jeden z łysą czaszką, a drugi w kapturze, i panowały nad tą rozległą krainą.

Za Prutem, na południe od Kołomyi, ciemniał ciągnący się daleko górski kraj, pełen zagadek i tajemnic, huculskich chat i pasterskich szałasów.

Gdy Cyganów nie było widać, ludzie ciężko wzdychali i pochylali się nad czarną ziemią, markotni i zawiedzeni. Cyganie stawali się tutaj strażnikami uświęconego ładu, stróżami porządku i odwiecznej prawdy, która rządzi światem. Uwiarygodniali przepływ czasu i byli świadkami wielu ludzkich nadziei, dokonań i spełnień. Liczył się czas od Cyganów i do Cyganów. Ich przyjazdy i odjazdy jawiły się nie tylko jako barwny, wiosenny obrzęd, lecz stawały się niezmienną częścią praw natury, takich jak obroty ciał niebieskich, starość czy śmierć.

A gdy nadjeżdżali, stado obszarpanych dzieci wyciągało cienkie szyje i spoglądało na tę osobliwą paradę z zaciekawieniem i niemą trwogą.

5

Kiedy do grupy obdartusów dołączał czarnowłosy Srulek Hermann, syn ubogiego krawca, który także buty potrafił zrobić, kilku czupurnych chłopaków rzuciło się za nim z dzikim wrzaskiem i wykrzykiwało:

- Wyoń się stąd parszywy Żydzie! Wyoń!

A gdy któryś z dorosłych warknął: - Ciszej, smarkacze! - niewiele to zmieniło. Agresji goniących maluchów nie udawało się powstrzymać.

Goniła więc gromada malców za Sruklem, który przeskakiwał rowy i krył się za krzakami. A zziązana wataha pohukujących rozbójników wracała do swoich mam i ojców i cicho syczała.

Cygańskie tabory nie tylko odmierzały czas, ale i wpisywały się w uniwersalną księgę przeznaczenia. Była w nich ukryta tęsknota za innym światem. Jakiś zapomniany zew krwi, pierwotne, pragnienie wolności, wyzwalenie z monotonii i codziennych smutków życia.

Słyszało się takie pieśni, jak ta o Cyganach z obcych krajów, którzy są wolni i unoszą się jak ptaki w powietrzu.

Zjechał Cygan z obcych krajów, Ale dobrze go tu znają. Cygan kradnie, Cygan ma, Cyganowi każdy da. Ponad lasem Cygan leci, Czy do żony, czy do dzieci, Nie do żony, nie do dzieci, Zadarł głowę i sam leci.

Gdy stadko maluchów z rozdziawionymi gębami zapatrzyło się w kolorowy tabor, z jednej z wiejskich chat niedaleko młyna wyszła na drogę mała dziewczynka z czerwoną kokardą we włosach i niepewnie spoglądała w stronę nadjeżdżających wozów. Jej duże oczy płonęły ciemnym blaskiem, a krucze włosy rozwiewał wiatr. Za dziewczynką na podwórko wybiegła młoda piękna kobieta i zawołała:

- Uważaj Kasiu, nie stój na drodze.

6

Tabor zbliżał się do skrzyżowania, a beczkowate wozy toczyły się w jakimś odwiecznym ceremonialnym porządku, kryjąc w głębi siebie wciąż te same i nigdy nie rozwiązane mroczne tajemnice.

Dziewczynka widziała już z bliska jak z przodu na kozłach siedzą siwi masywni mężczyźni w dużych brązowych kapeluszach na głowach, unosząc do góry bity i popędzając konie. A z tyłu machają nogami młodzieńcy z posmarowanymi brylan-tyną, ulizanymi włosami. Mieli ciemne, sypiące się pod nosami wąsy i złote naszyjniki.

Ci z przodu poganiali konie i pokrzykiwali:

- Wio, hajta, wista wio!

A dziewczynka dostrzegała połyskujące w świetle słońca złote zęby i wydawało się jej, że to widok z bajki, którą niedawno czytała. Cyganie bowiem przedstawiali się jako niezwykle i barwne postaci wyjęte prosto z ksiązek. Bo dziewczynka już od siódmego roku życia zaczytywała się w bajkach i baśniach, a jej matka uznawała za szczyt honoru, by wyobraźnia Kasi była tak żywa, dynamiczna i poszukująca jak jej własna, kiedy była dzieckiem. Dlatego nie szczędziła grosza, by przywieźć ze Lwowa, Stanisławowa czy Kołomyi kolejne koszyki z ilustrowanymi książkami. Lubiła siedzieć z Kasią przed zapaloną wieczorami lampą i czytać jej najdziwniejsze historie świata albo słuchać jak cieniutkim głosikiem dziecko wydobywa z zapisanych stronici cały urok baśniowych przygód. Podsuwała jej O krasnoludkach i sierotce Marysi Konopnickiej, Śpiącą królową i Kopciuszka, Perraulta i najbardziej ukochaną przez nią samą Dziewczynkę z zapałkami Andersena. Polecała nawet straszne opowieści braci Grimm, by uodpornić wyobraźnię na złe strony życia, ale kiedy Kasia przeczytała Biednego chłopca w grobie, tak bardzo się przestraszyła i uderzyła w taki płacz, że nigdy nie wzięła już do ręki tej książki. Dlatego matka uznała, że Kasia jest zbyt wrażliwa, by poddawać ją tak potwornym torturom ducha. Kiedy zaś stała się podlotkiem, przywoziła jej z miasta opowieści przygodowe z płonącą miłością w tle, w których sama się lubowała i ciężko wzdychając, opowiadała jej, że dzięki tym książkom rozwinie w sobie wielkie uczucia, które tak bardzo są potrzebne panience z dobrego domu.

7

- Czytaj Kasiu, czytaj - zachęcała do nowych lektur - a wyrośniesz na mądrą i wykształconą pannę.

Chciała rozwinąć w niej wielką wyobraźnię i wrażliwą duszę, by tak samo jak ona, umiała buszować w bogatym świecie fantazji i zanurzać się w wielkich dziełach ludzkiego umysłu. Nie musiała specjalnie do tego Kasi zachęcać, bo Kasia sama z siebie zakochała się w świecie liter i już od rana po otwarciu oczu, nie czekając na śniadanie, rzucała się do ksiązek i pożerała jedną po drugiej. Widziała jak zwierzęta, ptaki i gady z bajki przeobrażają się w dzieci albo jak się magicznie przekształcają w dorosłych i są niebezpieczne. Była zachwycona, że znają ludzki język, a dzieci słuchają i rozumieją, co one mówią. Toteż dawała

upust swojej fantazji i sama zamieniała się w śpiącą królową albo fruwała wysoko pod gwiazdami.

Teraz patrzyła oniemiała jak w wielkich budach, jakby w bunkrach, siedziały kobiety i dzieci, wychylały głowy i w milczeniu przyglądały się stojącym na progach ludziom.

A jej matka, schludnie ubrana i zgrabna pani, w długiej sukni i w kożusku na plecach, też śledziła długą kawalkadę wozów i gdy karawana skręciła w stronę ruin starego zamku, zrobiła krok do przodu i zawołała Kasię do domu.

- Mamuś - odezwała się Kasia - czy Cyganki znowu powróżą ci z ręki?

Kobieta się uśmiechnęła i z rozbawieniem odrzekła:

- Tak, Kasiu, powróżą mi z ręki. Z całą pewnością powróżą. Kasia przez chwilę obserwowała matkę i cicho spytała:

- A czy pozwolisz, by i mnie powróżyły? Matka ze zdziwieniem spojrzała na córkę.

- Tobie? - patrzyła zaskoczona.

- Tak, mamciu, mnie - poważnie odparła mała. - Dawno już skończyłam dwanaście lat i też chcę wiedzieć, co mnie czeka.

W domu trzasnęły drzwi i na ganku pojawił się młody, dobrze zbudowany mężczyzna, z grubym nosem i wesołą twarzą. Patrzył jak kobieta rozmawia z dziewczynką. Jego krótkie, jasne włosy upodobały go do wyłazającego z jamy jeża. Obok mężczyzny stanął duży, biały kot.

8

- No, mamciu - przypomniała dziewczynka, widząc, że matka się waha.

Kobieta spojrzała na mężczyznę i głośno powiedziała:

- Słyszałeś, Jakub, Kasia pyta, czy pozwolę, by Cyganka powróżyła jej z ręki.

Mężczyzna głośno się zaśmiał.

- Tylko pannom się wróży, Kasiu - krzyknął.

- Jestem już panną - odparła poważnie.

- Jesteś jeszcze dzieckiem - powiedziała kobieta, ściągając brwi i przyglądając się dziewczynce z uwagą. Widziała jej śliczną buzię, zgrabną figurę i rysujące się zaokrąglone piersi pod cienką niebieską bluzką. Pomyślała z nostalgią, że jeszcze nie tak dawno sama była małą dziewczynką, a oto już spod jej skrzydeł wyrasta nowa gałązka rodu i bujnie się rozwija.

- Panną jestem, panną! - uparła się dziewczynka i zaczęła tupać nogami.

Mężczyzna zabawnie mrużył oczy, a rysy jego twarzy rozciągnęły się w zagadkowym uśmiechu. Kobieta, powstrzymując parsknięcie, przyciskała dłońią usta.

- To co? - odezwała się dziewczynka.

- Co, co? - kobieta uniosła ramiona, udając, że nie rozumie.

- Czy pozwolisz, by Cyganka mi powróżyła?

Kobieta porozumiała się wzrokiem z mężczyzną i z westchnieniem odrzekła:

- No, dobrze, córeczko, pozwolę ci.

Dziewczynka podbiegła do niej i przyłgnęła całym ciałem, dziękując za zgodę.

Mężczyzna, zwracając się do kobiety, rzekł:

- Anno, idę do młyna. Wrócę wieczorem. Kobieta skinęła głową.

Dziewczynka oderwała się od niej i pobiegła do pokoju na górze, wzięła gruby zeszyt, ołówek i zapisała:

Już jestem panną. Piękna wiosna. Serce jakoś dziwnie drży. Przyjechali Cyganie. Rozłożyła tutaj obóz. Cyganka mi powróży z ręki. Mamcia się zgodziła. Skakałam z radości. Pójdę do Kseni i wszystko jej opowiem.

Egzaltacja mieszała się z głęboką szczerością, a pierwsze kiel-

9

ki kokieterii ze śmiertelną powagą. Zeszyt ukryła w blaszanym pudełku, pudełko wcisnęła między ubrania i zbiegła na dół. Zerknęła w stronę chaty ukraińskiej koleżanki, Kseni, ale jej

nie zauważyła. Postanowiła, że pójdzie do niej po kolacji i spyta, czyjej Cyganka także powróży.

Ksenia była wierną przyjaciółką i często się z nią bawiła, szczególnie wtedy, kiedy obie były małymi dziewczynkami i łąpały motyle. Obie przyjaźniły się też z Żydówkami, z Salcią, córką karczmarza Samuela (jej matka, Gytla, uczyła śpiewu w Domu Ludowym), i z Sarą Gotlieb, córką piekarza. Jednak rodzice nie pozwalali Saki ani Sarze na wróżby i obie z tego powodu bardzo cierpiały i były smutne.

10

CYGANKI

Cyganki już wróżyły kobietom. A nieraz i jakiś chłop wyciągał rękę, by dowiedzieć się, czy nowego buhaja w tym roku kupi. Kasia co chwilę wybiegała na ganek i ogłaszała matce, gdzie Cyganki już się znajdują.

- Do Domu Ludowego poszły - pokrzykiwała. - Już cerkiew minęły. Koło bożnicy żydowskiej przechodzą. Do sklepu zaglądną.

A to oznaczało, że zaraz się zjawia w domu najbogatszego gospodarza we wsi, Jakuba Kukułki, który szkołę inżynierską i młynarską skończył, dom piękny i duży zbudował, kilkadziesiąt morgów ziemi i wielki młyn sobie kupił, do którego przyjeżdżali chłopci nawet z drugiej strony Kołomyi, spod Śniatyna i Czortkowa. I co tu dużo gadać, obok księdza proboszcza, Roberta Kołtka, wuja jego żony, Anny, pana za wsią, Michała Kulczyckiego, młynarz największym szacunkiem w powiecie się cieszył. Nawet sam krawiec Icek Hermann, gminny ekspert od spraw politycznych, i Samuel Feldman, karczmarz i ceniony kompan do rozmów, ustępowali mu w powadze i dostojności.

Kasia zwracała na siebie uwagę niezwykłą urodą, piękną cerą i wielkimi błyszczącymi oczami. Jej ciało nabierało kształtów dojrzałej panny, biodra się zaokrąglały, piersi uwydatniały; były wyraźne i mocne. A w szkole chłopcy już spokoju jej nie dawali. Podszczyptywali, łaskotali i po lekcjach po polach za nią ganiali. Aż wkraczała matka i kategorycznie zabraniała jej takich zabaw.

Kasia wyjmowała dzienniczek, siadała przy stole i opisywała swoje perypetie, bardzo dbając o to, by nikt do kajetu nie zaglądnął. Kajet chowała zawsze w blaszanym pudełku. Często wypytywała matkę, jak to jest w wielkim świecie, gdzie jeżdżą

11

złote karoce, a wielkie damy w kolorowych kapeluszach spacerują po miejskich parkach. A pod wieczór z szyjami ozdobionymi perłami, z platynowymi kolczykami w uszach, w szerokich bufiastych spódnicach bawią się na balach i owiewają swoje twarze białymi wachlarzami. Pytała matkę o stroje, barwy i klimaty, a matka jej opowiadała długo i ochoczo, bo sama z pańskiego domu się wywodziła i pobrała należyte jej stanowi wykształcenie, na fortepianie grając i w chórze śpiewając. Ale potem spotkała Jakuba Kukułkę, który szkołę inżynierską we Lwowie skończył i bardzo przypadli sobie do gustu. Mimo że wcześniej innego adoratora miała, ale nie z nim się zaręczyła, a z Jakubem Kukułką i szybko za męża za niego wyszła, pozostawiając tamtego, utalentowanego, lecz ubogiego skrzypka, na lodzie. Kukułka zaimponował jej godną postawą, przedsiębiorczym umysłem i zdolnością do zdobywania fortuny. Obiecał jej, że będzie z nim bogata i szczęśliwa, a głęboka miłość przyjdzie później, więc zdecydowała się na życie z mężczyzną, który wzbudził w niej podziw, szacunek i uznanie, choć nigdy nie rozpałił wielkich namiętności. Ale wierzyła, że zapowiadana miłość rzeczywiście się pojawi i czuła, że drzemie w niej potężna kobieca energia, która zdolna jest wyzwolić najgłębsze uczucia i wypełnić całe życie miłością. I z tą nadzieją patrzyła w przyszłość, obserwując, jak jej zaufanie i szacunek dla męża powoli się przeobrażają w subtelną czułość i silną więź duchową

Poznała wtedy już trochę świata, w wielu teatrach bywała, w operze i operetce, za granicę jeździła, w filharmonii czas spędzała, a w domu dużą biblioteczkę zgromadziła i w książkach z rozkoszą się zanurzała.

Kasia słuchała jej opowieści z wypiekami na twarzy. Była rozmarzona i także zapragnęła w wielkim świecie bywać. Na bale chodzić. Szerokie, bufiaste spódnice nakładać. Szyję i piersi subtelnie ozdabiać. Kolczyki, perły i złote korale nosić. Drogie pierścionki na palce wsuwać. I delikatne, atlasowe pantofelki przymierzać. A czyniła to wszystko po to, by w wyobraźni koło wielkich artystów stopę drobną postawić, aktorów wybitnych oklaskiwać, czy choćby szykownych i przystojnych panów oficerów

12

spotkać, którzy byli bardzo szarmanccy, trzaskali kopytami i gięli się w ukłonach. Sama nie wiedziała, dlaczego kolana jej drżały, gdy oficerowie przemykali przez wieś w drodze do Kołomyi, a jej serce tak trzepotało, jakby ptakiem było i zaraz z klatki wyfrunąć miało. Im bardziej dorastała, tym bardziej ich widok dech w piersiach zapierał. Już знаła wojskowe dystynkcje i urozyste stroje, kiedy wartę w jednostce pełnili albo w ważnych narodowych świętach uczestniczyli. Od czasu do czasu zdarzało się, że jakiś oddział piechurów zapędził się w te strony i Kasia zza płotu podziwiała jak żołnierze w karnym szyku się poruszają, piękne mundury i barwne nakrycia głowy pokazując.

- Popatrz mamuś - pokrzykiwała.

A matka się uśmiechała i wyjaśniała:

- To, Kasiu, jeśli się nie mylę, jeden z oddziałów 49. Huculskiego Pułku Strzelców, który stacjonuje w Kołomyi. Pewnie na jakieś ćwiczenia się udaje. Niezwykle wykwinna formacja wojskowa, prawda? - uczenie tłumaczyła.

- A co to znaczy wykwinna formacja wojskowa, mamuś? - pytała Kasia.

- Wykwinna, Kasiu, to znaczy wyjątkowa, wytworna, a formacja, to na przykład drużyna, hufiec albo oddział wojskowy. Rozumiesz?

Kasia kiwała głową i nie spuszczała z chłopców oczu. A gdy dużo później były na paradzie w Kołomyi, młynarzowa dokładnie objaśniała znaczenia poszczególnych znaków i symboli wojskowych.

- Spójrz tylko, Kasiu, na ich stroje - tłumaczyła, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo córka jest zauroczona wojskiem. - Są wzorowane na góralskich ubraniach. Widzisz, te niezwykle nakrycia głowy, jakby kłobuki, czyli czapki z orlimi piórami. Wyglądają jak kapelusze huculskie z ozdobnymi pękami piór cietrzewia. Przyjrzyj się dokładnie kilku rzędom wielobarwnych sznurów opasujących głowy. Czyż nie piękne? A oficerowie nad sznurami huculskiego kapelusza noszą naszyte srebrne, oficerskie galony, czyli takie tasiemki.

Chorążowie zaś przystrojeni są karmazyno-

13

wymi wstążkami. A u wszystkich z przodu kapelusza widnieje metalowy orzeł, pod którym przyszyte są odpowiednie dla poszczególnych stopni dystynkcje wojskowe. A peleryny? Czyż nie przypominają naszych rodzimych góralskich? Prawda, Kasiu?

- Skąd ty to wszystko wiesz, mamuś? - Kasia popatrzyła na matkę z podziwem. - Znasz stroje, dystynkcje... te... jak im... galony... skąd? - nie mogła oderwać od matki oczu.

- Za kilka lat, Kasiu, też poznasz wiele rzeczy - tajemniczo odrzekła matka.

- I oficerów? - z zapartym tchem spytała Kasia.

- Oczywiście, Kasiu, i oficerów poznasz, i wielkich artystów, i wspaniałe opery, i cudowne dzieła sztuki - z egzaltacją mówiła.

- A gdy zdasz maturę, przed tobą otworzy się cały świat. To przecież już tak niedługo - teraz jej głos brzmiał melancholijnie. Patrzyła na córkę z nostalgią, jakby siebie z niedawnych czasów widziała.

- A potem studia, Kasiu, lata wielu niezapomnianych przygód -patrzyła z uwagą na córkę, ale Kasi się zdawało, że patrzy gdzieś strasznie daleko, w nieznany i jakiś magiczny, bajkowy i obcy świat. I nagle sama bardzo zapragnęła w tym świecie być.

Mając niespełna trzynaście lat, koniecznie chciała wyjść za mąż za oficera albo artystę, w najgorszym razie za wielkiego pana, nigdy zaś za kmiotka, czy, nie daj Boże, za zwykłego chłopca. A już na pewno nie za brudnego Ukraińca, który żyje w nędzy i nie pachnie jak pan.

Matka patrzyła na nią z zamyśleniem i mówiła:

- Najważniejsza, Kasiu, w życiu jest wielka miłość.

Choć Kasia nie wiedziała, jak ta wielka miłość wygląda, ale czuła, zamykając oczy, że kiedyś ją spotka i odda się jej całym sercem. Słowa matki o miłości najgłębiej zapadły jej w sercu.

Stała się marzycielska i romantyczna. Coraz częściej zapisywała w dzienniczku sfabularyzowane obrazy wielkich spotkań i magicznych doznań z nieznanym panem oficerem, który miał wysokie, wyglansowane buty, ciemny wąs pod nosem, śmiejące się, białe zęby i konia ze skórzaną uzdą, na którym pędził do niej jak wichur. Rozbudzała w sobie głębokie emocje i przed snem oddawała się wielkim marzeniom. Gdy otwierała oczy, magiczny świat zniknął jak bańka mydlana.

14

Teraz przyglądała się idącym przez podwórka Cygankom. W pewnej chwili na drodze zaturkotał stary, prymitywny ukraiński wóz zrobiony z drewna, zwany w tych okolicach mażą. Odwróciła na moment głowę i zerknęła w stronę nadjeżdżającego gospodarza. Od razu poznała, że to ktoś nowy i obcy. Tutaj znała niemal wszystkich. Często się kręciła po obejściach koleżanek i kolegów, wyjeżdżała z Ksenią na dalekie wycieczki i wiedziała, kto ma jakiego konia i jak się na nim jeździ.

Tym razem zobaczyła na wozie nieznanego mężczyznę, z ogromną, zmierzwioną czupryną na głowie i dużym, zakręconym loczkiem nad czołem. W ręku trzymał gruby bat i pokrzykiwał:

- Wio, czornyj, wio.

A zmęczony koń ruszał z kopyta, by po chwili znowu zwolnić. Był to koń rasy huculskiej, mały, krępy, z długą głową i krótkim karkiem, z wyraźnym kłębem i z silnymi nogami, gęstą grzywą i takim samym ogonem. I znakomicie sobie radził w górach. Takie konie widziano tutaj na co dzień, zwykle były maści karej lub gniadej, ale tego konia ani mężczyzny Kasia sobie nie przypomniała. Domyśliła się, że wóz jedzie z daleka. Mężczyzna z narzuconym na barki zdobionym kaftanem z dobrego sukna na nikogo nie zwracał uwagi, miał ponurą minę, ciemne, głębokie oczy, unosił bat do góry i świstał w powietrzu, poganiając konia. Był jakby zły i groźny, i poburkiwał pod nosem.

A gdy furmanka minęła Kasię, zobaczyła biegnącego za wozem bosego, obdartego i wysokiego chłopca mniej więcej w jej wieku, może trochę nawet starszego, który podbiegał i przystawał, a gdy dostrzegł Kasię, zatrzymał się i wlepił w nią wielkie, otumanione oczy.

Kasia też patrzyła na niego zaskoczona i osłupiała.

Wyglądał, jakby od niej czegoś żądał i nalegał.

Stali naprzeciwko siebie w napięciu, zapatrzeni i nieruchomi, aż w pewnym momencie chłopiec zaśmiał się szyderczo i głośno, i pokazując rząd białych, dzikich zębów, wesoło krzyknął:

- Budesz moja!

I co sił pomknął za wozem.

15

Kasi wydało się, że to przywidzenie. Majaki jakieś. Przetarła oczy, ale wciąż widziała jego gołe pięty. Szybko śmigały w powietrzu, jakby młóciły przestrzeń. I palił ją ten jego mocny, ognisty wzrok.

- Wariat! - wzruszyła ramieniem, lecz ciągle nie spuszczała z niego oka, aż skoczył na wóz i mażą skryła się za krzakami.

- Przybłąda jakiś! - fuknęła za chłopcem. - Obdartus!

Ale wciąż widziała te jego niesamowite, elektryzujące oczy.

Przez jakiś czas stała zagubiona. W końcu otrząsnęła się i zobaczyła, jak biegnie jej przyjaciółka, Sara Gotlieb. Lubiła z Sarą się bawić. Często też ją odwiedzała i uwielbiała ten moment, kiedy siadała przy stole, a matka Sary, Róża Gotlieb, wyjmując z szafy słodką bułkę kajzerkę, za którą Kasia przepadała, i częstuje ją.

- Dokąd pędzisz? - spytała przyjaciółkę.

- Och, muszę w sklepie kupić drożdże - krzyknęła Sara i pobiegła.

Kasia przez moment stała niezdecydowana, aż w końcu przypomniała sobie o Cygankach i już szukała ich wzrokiem. Ale zamiast Cyganek, zobaczyła, jak skacze po drodze długimi susami Srulek Hermann, a za nim pędzi gromada natrętnych, złośliwych dzieciaków, naigrywając się z niego i wołając:

- Żydowski parch, żydowski parch.

- Hej, Srulek - krzyknęła - poczekaj, chciałam cię o coś spytać... - przypomniała sobie, że jego ojciec obiecał jej szybko uszyć nową sukienkę. I właśnie chciała Srulek spytać, czy sukienka już gotowa, ale Srulek ciężko dysząc, uciekał przed doganiającymi go łobuzami.

- Zbzikowaliście, czy co?! - krzyknęła na maluchów, ale ci pognali dalej. - Banda durniów! - syknęła.

16

WROZBA

Cyganka szła wolno, z opuszczoną głową, jakby przygnieciona ciężarem strasznej wiedzy o człowieku. Gdy stanęła przed domem, uniosła wzrok i patrząc na młynarzową, powiedziała, że poznaje ją i jej piękną i harną córkę, tak właśnie powiedziała, piękną i harną córkę.

Młynarzową zaczęła sobie przypominać twarz Cyganki. Rzeczywiście, była już tutaj kiedyś i wyróżyla jej, że czeka ją wielka przygoda w mieście pełnym blasków, gwiazd i szumu. I tak się stało. Młynarz otrzymał zaproszenie na jakiś ważny zjazd inżynierów do Wiednia, zabrał ją z sobą i poznała czar wiedeńskich nocy.

Zaprosiła Cygankę do domu i podsunęła jej krzesło. Cyganka usiadła, zlustrowała pokój i zatrzymała wzrok na rozdygotanej Kasi. Wbijając w nią czarne oczy i długo się jej przyglądała. Po chwili powiedziała:

- Ależ panienka urosła! A figura jaka!? A szyk jaki! - cmoknęła. Kasia się zarumieniła i dygnęła.

Cyganka kazała młynarzowej usiąść naprzeciwko niej i wyciągnąć lewą rękę. Gospodyni posłusznie usiadła i wysunęła dłoń.

- Widzę dalekie białe pola - powiedziała Cyganka. - Ale ciebie tam, pani, nie ma. Jest mężczyzna, który wędruje przez te pola, a wokół cisza i pustka.

Młynarzową siedziała zaskoczona. Nie rozumiała tej sceny.

- I co jeszcze widzisz? - cicho spytała.

- Widzę wielkie zmiany w twoim życiu, pani... w życiu całego domu....

- Zmiany? Wielkie? - młynarzową przerwała. - Jakie zmiany? - Wielkie zmiany, moja droga, bardzo wielkie... dużo ludzi...

wiatry, wichury, śnieg, długa droga...

17

- Dużo ludzi? Wiatry, wichury, śnieg? Co to wszystko znaczy? Cyganka zastanowiła się i odparła:

- Jeszcze nie teraz... nie teraz... ale już idą... nadchodzą... już gdzieś są...

Młynarzowa pomyślała, że znowu wyjedzie z mężem. Ale tym razem także z Kasią i synem, Mariuszem, do Wiednia. A może nawet do Italii, do Rzymu. Albo do samego Paryża. I będzie się tam bawić w światowym towarzystwie, wśród kandelabrow, lampionów, kryształów i wielkich luster. Pomyślała, że jest taką samą panią, jak pierwsza dama za wsią, Adela

Kulczycka. Tamta wprawdzie ma pałac i służbę. I bardzo wiele pojazdów, które pan Kulczycki kolekcjonuje. Ale ona, młynarzowa też może się pochwalić dobrą bryczką. A niedługo mąż i limuzynę kupi. I zatęskniła za balem i głośną muzyką, myśląc, że Cyganka właśnie to jej przepowiada.

- I co? I co? - żądała dalszego ciągu. Wróżka popatrzyła na nią niepewnie i rzekła:

- Widzę dziewczynkę z dwoma kawalerami - zamilkła na moment - a nawet z trzema...

Kasia, która tego słuchała, szepnęła:

- To o mnie, mamciu.

Ale Cyganka już nie rozwijała wątku.

- A co z tymi zmianami... z tymi ludźmi? - zażądała młynarzowa.

- Wielki ruch, wielkie zmiany... - mruzczała Cyganka, wpatrzona w dłoń.

Zastanowiła się chwilę i powtórzyła:

- Ale nie zaraz... nie od razu - nacisnęła palcem dłoń, jakby pragnęła przejrzeć ją na wylot. -

Linia życia... urywa się...

Młynarzowa zastygła, przerażona.

- Urywa się?

- Ale potem idzie dalej... zakręca, podnosi się... - mruzczała Cyganka.

Młynarzowa poczuła dziwny lęk w sercu.

- Powróżyć pannie? - Cyganka nagle uniosła wzrok na Kasię.

- To już koniec?! - młynarzowa była wyraźnie rozczarowana.

18

Chciała więcej świateł, salonów, muzyki i dobrego towarzystwa, a tu stop i kropka.

Cyganka bez słowa skinęła głową, a młynarzowa wciąż była wpatrzona w swoją dłoń, jakby zaraz miał z niej wyskoczyć przystojny oficer czy pan na włościach. Kasia niepewnie wyciągnęła rękę.

- Och, co za rączka! Delikatna, wąska i piękna! - zachwyciła się Cyganka. - A linie jakie wyraźne, czyste, jasne. Linia życia, linia serca, wzgórek Wenery... - przyglądała się ręce. - Jak wiele barw! - nie mogła wyjść z podziwu. - Oto linia twojego serca

- chrypiała. - Zaczyna się pod małym palcem, a kończy na palcu wskazującym. Linia życia okrąży wzgórek Wenery. Linia losu biegnie przy linii serca. Linia związków to te fałdki widoczne pod małym palcem. Linia Apollona rozwidła się poza linią serca. A linia Wenus skręca w poprzek pagórków dłoni. I wreszcie linia głowy, która zsuwa się poniżej linii serca.

- Ale co to wszystko znaczy? - nie wytrzymała młynarzowa. Cyganka nie zareagowała.

- Widzę tu - zwracała się do Kasi - młodzieńca na koniu.

- Młodzieniec na koniu?! - krzyknęła młynarzowa. - Na jej drodze?

I już w wyobraźni zobaczyła oficera na białym rumaku, który zajeżdża pod dom i prosi Kasię o rękę.

- Tak, młodzieniec na koniu - kiwnęła głową Cyganka. Kasia też sobie wyobraziła przystojnego oficera, tak samo, jak matka.

- Tylko jeden oficer na koniu? - z zawodem spytała młynarzowa. Chciała zobaczyć cały pułk oficerów starających się o rękę Kasi.

- Nie powiedziałam: oficer - chłodno odparła Cyganka.

- A któż inny, jak nie oficer mógłby na rumaku przyjechać?

- oburzyła się młynarzowa.

- Och, mamciu - pisnęła Kasia. Stara znowu pochyliła się nad dłonią.

- Wielu ludzi na twojej drodze... młodzi mężczyźni, kilku kawalerów...

- A nie mówiłam! - zawołała młynarzowa. - Wiedziałam, że wielu oficerów będzie się o nią starać! - z pychą krzyknęła.

- Duża jasność nad głową... dużo światła...

19

- Dużo ludzi? Wiatry, wichury, śnieg? Co to wszystko znaczy? Cyganka zastanowiła się i odparła:

- Jeszcze nie teraz... nie teraz... ale już idą... nadchodzą... już gdzieś są...

Młynarzowa pomyślała, że znowu wyjedzie z mężem. Ale tym razem także z Kasią i synem, Mariuszem, do Wiednia. A może nawet do Italii, do Rzymu. Albo do samego Paryża. I będzie się tam bawić w światowym towarzystwie, wśród kandelabrow, lampionów, kryształów i wielkich luster. Pomyślała, że jest taką samą panią, jak pierwsza dama za wsią, Adela Kulczycka. Tamta wprawdzie ma pałac i służbę. I bardzo wiele pojazdów, które pan Kulczycki kolekcjonuje. Ale ona, młynarzowa też może się pochwalić dobrą bryczką. A niedługo mąż i limuzynę kupi. I zatęskniła za balem i głośną muzyką, myśląc, że Cyganka właśnie to jej przepowiada.

- I co? I co? - żądała dalszego ciągu. Wróżka popatrzyła na nią niepewnie i rzekła:

- Widzę dziewczynkę z dwoma kawalerami - zamilkła na moment - a nawet z trzema...

Kasia, która tego słuchała, szepnęła:

- To o mnie, mamciu.

Ale Cyganka już nie rozwijała wątku.

- A co z tymi zmianami... z tymi ludźmi? - zażądała młynarzowa.

- Wielki ruch, wielkie zmiany... - mruzczała Cyganka, wpatrzona w dłoń.

Zastanowiła się chwilę i powtórzyła:

- Ale nie zaraz... nie od razu - nacisnęła palcem dłoń, jakby pragnęła przejrzeć ją na wylot. -

Linia życia... urywa się...

Młynarzowa zastygła, przerażona.

- Urywa się?

- Ale potem idzie dalej... zakręca, podnosi się... - mruzczała Cyganka.

Młynarzowa poczuła dziwny lęk w sercu.

- Powróżyć pannie? - Cyganka nagle uniosła wzrok na Kasię.

- To już koniec?! - młynarzowa była wyraźnie rozczarowana.

18

Chciała więcej światła, salonów, muzyki i dobrego towarzystwa, a tu stop i kropka. Cyganka bez słowa skinęła głową, a młynarzowa wciąż była wpatrzona w swoją dłoń, jakby zaraz miał z niej wyskoczyć przystojny oficer czy pan na włościach. Kasia niepewnie wyciągnęła rękę.

- Och, co za rączka! Delikatna, wąska i piękna! - zachwyciła się Cyganka. - A linie jakie wyraźne, czyste, jasne. Linia życia, linia serca, wzgórek Wenery... - przyglądała się ręce. - Jak wiele barw! - nie mogła wyjść z podziwu. - Oto linia twojego serca

- chrypiała. - Zaczyna się pod małym palcem, a kończy na palcu wskazującym. Linia życia okrąży wzgórek Wenery. Linia losu biegnie przy linii serca. Linia związków to te fałdki widoczne pod małym palcem. Linia Apollona rozwidła się poza linią serca. A linia Wenus skręca w poprzek pagórków dłoni. I wreszcie linia głowy, która zsuwa się poniżej linii serca.

- Ale co to wszystko znaczy? - nie wytrzymała młynarzowa. Cyganka nie zareagowała.

- Widzę tu - zwracała się do Kasi - młodzieńca na koniu.

- Młodzieniec na koniu?! - krzyknęła młynarzowa. - Na jej drodze?

I już w wyobraźni zobaczyła oficera na białym rumaku, który zajeżdża pod dom i prosi Kasię o rękę.

- Tak, młodzieniec na koniu - kiwnęła głową Cyganka. Kasia też sobie wyobraziła przystojnego oficera, tak samo, jak matka.

- Tylko jeden oficer na koniu? - z zawodem spytała młynarzowa. Chciała zobaczyć cały pułk oficerów starających się o rękę Kasi.

- Nie powiedziałam: oficer - chłodno odparła Cyganka.
- A ktoś inny, jak nie oficer mógłby na rumaku przyjechać?
- oburzyła się młynarzowa.
- Och, mamciu - pisnęła Kasia. Stara znowu pochyliła się nad dłonią.
- Wielu ludzi na twojej drodze... młodzi mężczyźni, kilku kawalerów...
- A nie mówiłam! - zawołała młynarzowa. - Wiedziałam, że wielu oficerów będzie się o nią starać! - z pychą krzyknęła.
- Duża jasność nad głową... dużo światła...

19

- Jasność... światła! - zachłystywała się młynarzowa. - Widzisz, córuś, co cię czeka? Naturalnie, to ślub, wesele, blaski, kandelabry, kryształowe żyrandole... Ale kiedy? Kiedy się to stanie!? - rzuciła się ku Cygance. - Proszę, żądam, kategorycznie żądam, by powiedziała pani, kiedy się to stanie - patrzyła na starą zaborczym wzrokiem.
- Mamuś - szepnęła skrepowana Kasia. Młynarzowa nie mogła spokojnie utrzymać rąk. Cyganka pogładziła delikatną, drobną dłoń Kasi, zwilżyła śliną wargi i rzekła:
- Dużo radości, ale i dużo łez... bardzo dużo łez.
- Łzy szczęścia - natychmiast zawołała młynarzowa. Kasia drżała. Jej pierwsza wróżba w życiu i tyle niepojętych rzeczy i obrazów. Nie mogła zebrać myśli.
- Mamuś - pisnęła cieniutko. Matka przygarnęła ją do siebie. Przez chwilę tuliły się, a gdy Cyganka wstała, młynarzowa też się podniosła. Podeszła do dębowej oszklonej szafy, otworzyła drzwiczki i wyjmując świecące pudełko, obramowane srebrnym paskiem, uniosła wieczko i wyjęła dużą monetę. Podała Cygance, a ta chuchnęła na pieniądź, schyliła w milczeniu głowę, poprawiła wielką kolorową chustę i wyszła. Młynarzowa stanęła na ganku, a obok niej Kasia i patrzyły, jak stara się oddala. Już chciały wejść do domu, gdy zauważyły drepczącą drogą wiedźmę Walentynę, której się ludzie bali jak ognia. Bo kiedy spojrzała tylko na człowieka, przechodziły go zimne dreszcze. Ale dla Kasi była łaskawa i opiekuńcza. Gdy ją spotkała, przystawała i uśmiechała się, otwierając bezzębną gębę. Tym razem także przystanęła. A potem podeszła do niej, pogłaskała ją po głowie i burknęła:
- Swego to ty już dziecko spotkałaś.
- O czym mówisz, Walentyno? - szybko spytała młynarzowa. Ale wiedźma pokazała tylko pustą, bezzębną paszczę, parsknęła okropnym śmiechem, skłoniła się i odeszła. Młynarzowa ciężko westchnęła, uważając, że czarownica całkiem zbzikowała.

20

- Mamuś, zrozumiałaś wiedźmę? - spytała Kasia. Młynarzowa zaprzeczyła. Nie zdążyły ukryć się w głębi domu, kiedy nadszedł pop Ki-ryło wraz księdzem Robertem. Szli zajęci poważną rozmową. A gdy unieśli oczy i zobaczyli matkę i córkę, ukłonili się i poszli dalej. Odprowadziły wzrokiem księdza i popa do zakrętu i znikły w ciemnej sieni.

21

KASIA I KSENIA

- Po kolacji Kasia pobiegła do Kseni. Zamknęły się w izbie i rozpłomienione zwierzały się sobie, jaką przyszłość przepowiedziały im Cyganki. Obie były tak bardzo zaaferowane wydarzeniem, że co chwilę sobie przerywały, wykrzykiwały, piszczały, chwytając się za ręce i patrząc płonącymi oczami na siebie, jakby sprawdzając, czy obie są rzeczywiste, czy nie zostały wymyślone przez czary.
- A wiesz, Ksenia, że wielu kawalerów będzie się o mnie starać - goniła jak szalona Kasia.
- A mnie pokocha jakiś obcy! Starszy i dostojny - biegła już jej w sukurs Ksenia.

- I na wielu balach będę! - puszyła się Kasia.
- A mnie porwą jakieś wichry...
- I mnie porwą wichry. To będą wichry wielkiej miłości.
- Tak ci powiedziała? - zdumiała się Ksenia. - Wielkiej miłości? - patrzyła przejęta na przyjaciółkę.
- Tak, Ksenia, wichry wielkiej miłości! - potwierdzała Kasia. Gdy się zwierzały, nagle o szybę coś stuknęło. Zamarły. Po chwili znowu zadzwoniło szkło.
- Już ja mu dam! - z udaną złością syknęła Ksenia.
- Kto to? - spytała zaskoczona Kasia.
- Jak to kto? Nie wiesz? Kasia uniosła brew.
Ksenia wyjrzała przez okno i roześmiała się.
- Oczywiście, że to ten wariat!
- Wariat?
- A któż by inny, jak nie twój braciszek!?
Kasia westchnęła. A więc ciągle ją nachodzi, pomyślała.

22

Wiedziała, że Mariusz ugania się za Ksenią, ale by szyby rozbijał? Uśmiechnęła się do przyjaciółki i spytała:

- Dasz mu kosza?

Ksenia się zarumieniła i spuściła oczy, zerkając w okno. Podobał się jej Mariusz, wysoki, szczupły, jasne włosy, piękne niebieskie oczy. Tęsknie za nim się oglądała, ale kiedy nachodził ją w chacie, odzywała się w niej niepojęta duma, nagły bunt albo zwykłe skrepowanie i udawała, że go nie dostrzega. Za to na ulicy lub w Domu Ludowym okazywała się łaskawsza.

- Oj, Ksenia, Ksenia - zawołała Kasia i wyjrzała przez okno, ale Mariusza już nie było. Znowu wróciły do wróżby.

Ksenia pisnęła, że kiedyś zamieszka w dużym zamku na wysokiej skale, a wokół niej będzie się kręcić pełno mężczyzn. Ale Kasia ją przebiła, opowiadając, że czeka ją długa i szeroka droga, na końcu której pojawi się młody oficer. I tak szczebiotały i popiskiwały jak sikorki, aż nadszedł ojciec Kseni, Pawło Kuraż i kazał córce iść spać, bo już późna pora. Kasia szybko się pożegnała i pobiegła do domu. A jej serce wciąż łomotało.

Przed snem zapisała w dzienniczku:

Czekają mnie wielkie przygody w życiu. Cyganka wywróżyła, że będę miała wielu kawalerów. Czuję, jak szybko bije mi serce.

I już chciała zamknąć zeszyt, kiedy zastanowiła się, zagryzła ołówek i dopisała: A drogą jechał jakiś chłop, a za nim biegł obdarty chłopiec z bosymi nogami. Jak mnie zobaczył, to się zatrzymał i długo na siebie patrzyliśmy. A potem ten wariat się zaśmiał i krzyknął: „Budesz moja”. Zupełny dzikus.

Po chwili jeszcze dodała: Salda wraz z rodzicami gdzieś wyjechała. Brakuje mi jej.

23

WESELE SALCI

Kiedy Salcia wróciła, wpadła do Kasi, rzuciła się jej w ramiona i pokrzykiwała:

- Nawet nie wiesz, Kasiu, co się stało? Ja... ja... ja...

- Co się stało? Co ty? - Kasia dostrzegła spieczone wargi i lśniące oczy. Nigdy jej w takim stanie nie widziała. - Co się dzieje, Salciu? - pospiesznie spytała. - Gdzie tak długo byłaś?

- Wysłałam za męża.

- Co? - Kasia osłupiała. - Zwariowałaś? Wysłałaś za męża? Myślała, że się przesłyszała.

Patrzyła na nią zdumiona.

- Tak, Kasiu, wysłałam za męża.

- Gdzie? Kiedy? Jak? - do Kasi to nie docierało. - Jak to wyszłaś za męża? Tak szybko?
- Co tak szybko? - zdziwiła się Salcia.
- No... przecież masz dopiero 13 lat? - nie mogła pojąć, o czym przyjaciółka mówi. - Jesteś za młoda na małżeństwo! - krzyknęła.
- Za młoda? Ja, za młoda? - Salcia uniosła ramiona.
- No pewnie, że za młoda! - fuknęła Kasia. Patrzyła na nią otumaniona.
- Już jestem za stara - odrzekła poważnie Salcia.
- Za stara?! Ty za stara? - nie mogła uwierzyć.
- Pewnie, że za stara - odparła Salcia. Kasia parsknęła śmiechem.
- Nie śmieję się. Moja matka wyszła za męża, mając dwanaście lat i była ode mnie młodsza grubo ponad rok.
- Naprawdę?
- Naprawdę, Kasiu.

Kasia mieszkała wśród Żydów już tyle lat i ani razu żadna

24

Żydówka nie wyszła za męża, będąc dzieckiem. Owszem, zdarzało się, że brały ślub, mając piętnaście, szesnaście lat, ale by trzynastoletnia dziewczynka decydowała się na taki krok, tego tutaj jeszcze nie było.

- To nie wiesz, Kasiu, że my, Żydówki - już spokojniej mówiła Salcia - możemy wychodzić za męża po skończeniu dwunastu lat?

Kasia dopiero teraz zauważyła na palcu przyjaciółki złoty pierścionek.

- Co mi się tak przyglądasz? - spytała Salcia.
- Naprawdę wyszłaś za męża?
- Naprawdę - odparła Salcia. - Chcesz posłuchać, jak to było? A Kasia skinęła głową.
- Musiałam się przed ślubem zamknąć w odosobnieniu -relacjonowała Salcia - bo takie panują w naszej religii obyczaje. Przed ślubem, przez kilka dni nie wolno się nam, dziewczynom, widzieć ze swoimi wybrankami. Udajemy się do rytualnej łaźni, czyli do mykwy aby pomedytować, oczyścić się ze złych myśli i przygotować do nowego życia. I tak właśnie zrobiłam.
- Gdzie? - usłyszała swój głos Kasia. Jakby sam się z niej wydobył.
- Co gdzie?
- Gdzie to było?
- W Drohobyczu - odparła Salcia.
- W Drohobyczu?
- Tak, Kasiu, w Drohobyczu. Dlaczego się dziwisz? Przecież mam tam, jak wiesz, sporą rodzinę, ciotki, wujków, kuzynki, kuzynów. Całe drzewo genealogiczne od strony matki. I bardzo wielu znajomych. A wesele odbyło się w wielkim domu wuja Hirsza.
- Ale za kogo wyszłaś za męża? - nie wytrzymała Kasia. Wciąż wszystko wydawało się jej niepojęte. - Z kim wzięłaś ślub?
- Poczekaj - uśmiechnęła się Salcia - chciałabyś od razu wszystko wiedzieć. Opowiem ci po kolei. - Posłuchasz cierpliwie?
- A mam wybór? - Kasia uniosła ramiona. - Mów - siedziała jak na ogniu.
- Wyobraź sobie, Kasiu - opowiadała Salcia - posadzili nas w dwu osobnych salach. Mnie w większej, a mojego wybranka

25

w mniejszej. I nie mogliśmy się widzieć. Pan młody, czyli Cha-tan, mój Dawid, w jednym pomieszczeniu. A ja, panna młoda, czyli Kala, w drugim. Pojęcia nie masz, co to za przeżycie?! Siedzisz sama i medytujesz. A potem przychodzi czas składania wizyt. I zjawiają się twoi najbliżsi, ciotki, kuzynki, bratanice, dalsze krewne. Traktują cię jak królową. I mówią do ciebie: królowo. Witaj królowo. Bądź pozdrowiona królowo. Czy to nie piękne?

- Patrzyła na Kasię z łobuzerską miną. - Jesteś najważniejsza, wyobrażasz sobie, najważniejsza, najpiękniejsza i najmądrzejsza
- zaśmiała się radośnie. - Coś takiego przeżyć, Kasiu, to istny cud. Nikt inny nie jest w tym dniu tak ważny ani piękny jak ty - wpatrywała się w Kasię, jakby ją chciała zahipnotyzować. - Ty jesteś królową, carycą, boginią - uśmiechała się i kładła palec na ustach, by Kasia nie przerywała. - Wyobraź sobie, że siedzisz jak wielka pani na udekorowanym fotelu, a u twoich stóp tyle pokłonów i zachwytów nad twoją urodą i wdziękami, że wydaje ci się, iż rzeczywiście jesteś kimś nadzwyczajnym. Nigdy w życiu już nie usłyszysz tyle komplementów. Wszystkie kuzynki proszą cię o modlitwy w ich intencji. Jedne zwracają się do ciebie, byś pomogła znaleźć dobrego męża. Inne, byś doradziła, jak mają wychowywać dzieci. A jeszcze inne, byś się wstawiła za nimi do Boga. I by szczęście im w życiu towarzyszyło. Bo w tym dniu jesteś najmądrzejsza i możesz wszelkie łaski dla proszących u Boga wybłagać. Wszystkie ciotki, wujenki i siostrzenice tego od ciebie oczekują. Są bardzo miłe i darzą cię wielkim zaufaniem. Ale nie myśl, Kasiu, że tylko ja przeżywam takie szczęśliwe chwile. Pan młody, czyli mój Chatan, też jest w tym dniu traktowany wyjątkowo. Tyle, że u niego, w jego pomieszczeniu zwanym Tisz, jest ciasno i mniejszy blask bije. U mnie jest bardziej uroczyście, u niego bardziej surowo. Ale i on, i ja w tym dniu jesteśmy najszcześliwszymi ludźmi na świecie. Chcesz mnie o coś zapytać, Kasiu? Dobrze, zaraz, za chwilę, tylko dokończę, bo zrozum, muszę się wygadać, by to wszystko z siebie wygarnąć, bo cała płonę, muszę się z tobą tym wszystkim podzielić, zrozum, muszę, bo jeszcze teraz się trzęsę ze wzruszenia, tak wielkie to było dla mnie przeżycie. Rozumiesz mnie, Kasiu?

26

Kasia, choć kłębiły się w jej głowie sprzeczne myśli, przytaknęła.

- Ale najbardziej przejęłam się ceremonią obietnic, jakie składał mój Chatan - opowiadała z przejęciem Salcia. - Otóż, wyobraź sobie Kasiu, przed ślubem mój wybraniec, dobrze, dobrze, chcesz wiedzieć, kim jest i jak wygląda, zaraz ci wszystko wyjaśnię, ale po kolei, jeszcze chwilę poczekaj, otóż mój Chatan musiał spisać na specjalnym dokumencie, zwanym ketubą, wszystkie zobowiązania, które zabezpieczą moje życie. Zapisał słowo w słowo, co będzie robił, gdy zostanie moim mężem. Jak będzie mnie szanował i pomagał w każdej sytuacji, a szczególnie w sytuacjach najtrudniejszych w życiu. Na wypadek wojny czy kataklizmu. A gdyby, nie daj Boże, z jakichś powodów musielibyśmy się rozstać...

- Co? - Kasia przerwała. - Rozstać? Zaraz po ślubie?

- Och, Kasiu, nie zrozumiałaś! - zachnęła się Salcia. - Nie zaraz po ślubie! Ale sama wiesz, jak to w życiu bywa. Nieraz zdarzają się różne sytuacje i w każdym małżeństwie mogą się pojawić konflikty i rozstania...

- Ja się nigdy nie rozwiodę! - twardo powiedziała Kasia. - Nigdy! - stanowczo dodała. - Jak kogoś pokocham, to na całe życie.

- Ale ja nie o kochaniu mówię, Kasiu.

- A o czym?

- O dokumencie. Taki dokument potwierdza tylko, że twój wybrany szanuje cię i zapewnia ci wszelką opiekę i pomoc w życiu. A w przypadku rozwodu zabezpiecza ci przyszłość. To mądra zasada, Kasiu. Bo u nas, wśród Żydów, kobieta ma dużo wyższą pozycję niż u was, katolików czy u prawosławnych, albo u unitów. U nas kobieta daje początek żydowskiemu drzewu genealogicznemu. Kobieta, a nie mężczyzna. Nawet, gdyby mój mąż był Karaimem czy Turkiem...

- Turkiem? - z niechęcią wykrzyknęła Kasia.

- Och, ja tylko tak mówię - uśmiechnęła się Salcia. - Gdyby, powiedzmy, był on Turkiem albo Ormianinem...

- Ormianina też bym nie chciała - fuknęła Kasia.

- Ależ Kasiu, przecież to tylko tak na niby, rozumiesz? Ale Kasia zamysliła się i Salcia na moment przerwała opowieść.

27

- Słuchasz mnie? - po chwili spytała.

Kasia wypłynęła skądś z daleka i skinęła głową.

- W każdym razie, Kasiu, gdyby mój mąż nie był Żydem, to moje dzieci i tak będą Żydami. Bo tak mówi nasze święte prawo. Dlatego kobietę chronią urzędy i dokumenty. A dzień naszego ślubu można porównać do dnia, w którym Bóg na górze Synaj dał Żydom dwie kamienne tablice z boskimi przykazaniami. Tak bardzo jest ważny. No, dobrze, ale co było dalej? - objęła Kasię zaciekawionym spojrzeniem, jakby sprawdzając, czy przyjaciółka nadaża za jej opowieścią. Kasia słuchała. - Po tych wszystkich spotkaniach z moimi krewnymi - ciągnęła Salcia - zaczęła się główna uroczystość, czyli bedekin. I ja, wyobraź sobie, ubrana w piękną jasnoszafirową suknię, z welonem na głowie, w leciutkich jak puch, lśniących pantofelkach czekam, aż przyjdzie po mnie mój ukochany. Serce mi tak waliło, jakbym samego Pana Boga miała zobaczyć. I słyszę już kroki, śpiewy i muzykę. Siedzę jak królowa na tronie z welonem na głowie i zasłoniętą woalką twarzą. A w drzwiach staje mój ukochany Chatan, Dawid, w towarzystwie naszych ojców i kilku innych mężczyzn, a także orkiestry. Podchodzi do mnie. Zatrzymuje się i przez chwilę na mnie patrzy. Później podnosi z mojej twarzy woalkę i odsłania mi oczy, jakby sprawdzając, czy ktoś mnie nie podmienił. Byłam strasznie podekscytowana tą sceną. Serce mi waliło jak zwariowane. Ale i trochę rozbawiona. Bo to bardzo dziwna scena. Mieszały się we mnie różne uczucia. Największe napięcie budził ten moment, kiedy ukochany sprawdzał, czy to rzeczywiście ja. Wyobrażasz sobie, sprawdzał, czy to na pewno ja pod tą woalką. A nie jakaś inna dziewczyna.

- Co ty wygadujesz, Salcia? Jak to sprawdzał, czy to ty? Przecież widział, że to ty...

- Niezupełnie, Kasiu. Niby widział, ale i nie widział.

- Jak widział i nie widział? Coś ci się pomieszało.

- Widział mnie, Kasiu, ale ja, jak powiedziałam, miałam twarz zasłoniętą woalką.

Wyobrażasz sobie, co czułam? I co on czuł? Bo gdybym to nie była ja, a jakaś zamieniona dziewczyna? Co by się stało?

- No, nie, Salcia, tutaj już przesadziłaś.

28

- Wcale nie przesadziłam. Musisz zrozumieć, skąd się wziął ten obyczaj. Bo wszystko ma jakiś swój początek. Otóż ten obyczaj wziął się stąd, że przed wieloma wiekami pewien stary Żyd miał dwie córki, jedna była starsza i brzydka. I nie mogła wyjść za mąż. A druga młodzianka i piękna. I miała kawalera. A gdy odbywało się wesele, stary chytry Żyd podmienił panu młodemu wybrankę i zamiast tej ładnej, ukrył pod welonem brzydką, by jak najszybciej wypchnąć ją z domu. No, ale, rzecz jasna, sprawa się wydała. I od tej pory każdy pan młody sprawdza, kto się pod woalką ukrywa.

- Naprawdę? - Kasia się zaśmiała.

- Naprawdę, Kasiu.

- I co było dalej?

- Dalej było zgodnie ze zwyczajem.

- To znaczy?

- Dawid zajął mi w oczy, a ja uśmiechnęłam się do niego. On też się szczerze uśmiechnął i oboje poczuliśmy się bardzo szczęśliwi. Główne uroczystości zaślubin odbyły się pod gołym niebem. To znaczy pod baldachimem. Najpierw weszli tam moi dziadkowie, kuzyni i kuzynki. A potem dziadkowie i rodzeństwo Dawida. A następnie przyjaciele obu domów. Gdy już wszyscy się tam znaleźli, wszedł mój Dawid, którego uroczystości prowadzili jego rodzice, trzymając w rękach zapalone świece. A na końcu dopiero ja weszłam ze swoimi rodzicami, którzy mnie prowadzili i też nieśli zapalone świece. Wszyscy moi zaproszeni

goście stanęli po prawej stronie baldachimu. A jego goście po lewej. Wyobrażasz sobie tę niesamowitą scenę? Ten porządek? Te ustalone z góry miejsca, kolejność rytuałów? Wszystko było bardzo dokładnie oznaczone. I niczego nie wolno było pomylić. A poza tym czułam się jakoś podniośle, nadzwyczajnie.

- Mocno to przeżyłaś?

- Bardzo mocno, Kasiu. Bardzo. Do tej pory drży mi serce.

- I co było dalej? - opowieść Kasię wciągnęła na dobre.

- Pod namiotem zobaczyłam mały, okrągły stolik nakryty śnieżnobiałym obrusem, na którym stał kielich na wino. A ten cały baldachim to był jakby nasz nowy dom, taki symbol, rozumiesz?

29

Kasia przytaknęła.

- Byłam strasznie rozemocjonowana. Nogi się pode mną ugięły. Bałam się, że pominię jakąś ważną część uroczystości i skompromituję się. Wiedziałam, że zanim stanę obok pana młodego, muszę go siedem razy dokoła obejść. Ale nagle naszła mnie straszna ząć. I zupełnie straciłam orientację, w którą stronę powinnam ruszyć. W prawo czy w lewo od niego. Myślałam, że upadnę ze strachu. A on znowu się do mnie uśmiechnął i wskazał wzrokiem kierunek. Także nasi rodzice uśmiechali się do mnie, stojąc ze świecami w rękach. Przypominały one pioruny i błyskawice na górze Synaj, gdy Bóg dawał Żydom Torę. Na pewno pamiętasz tę scenę z religii. I pamiętasz o jej symbolicznym znaczeniu. Ruszyłam więc wedle wskazówek zegara i siedem razy okrążyłam mego ukochanego. A potem stanęłam po jego prawej stronie. I ceremonii stało się zadość. Spełnienie tego rytuału oznaczało, że już dorosłam do roli żony i opiekunki nowego domu. A wokół nas było wielu dorosłych weselników. Bo tak każe żydowski obyczaj.

- Ale jak sam ślub wyglądał? - dopytywała Kasia.

- To, co mówię, Kasiu, to też ślubne uroczystości.

- Nie o to pytam, Salciu, tylko... no wiesz...

- Chodzi ci o ceremonię z udziałem rabina, tak? -Tak.

- Główną część uroczystości rozpoczął rabin. Staliśmy twarzami zwróceni ku Jerozolimie i przysięgaliśmy sobie przed kantorem i rabinem wierność. A ja jeszcze bardziej drżałam z emocji. Kielich napełnili winem i pobłogosławili go, błogosławiąc także Dawida i mnie. A potem rabin podał Dawidowi i mnie kielich wina, byśmy zamoczyli w nim usta. Dawid wyciągnął przeznaczoną dla mnie złotą obrączkę, a dwaj świadkowie potwierdzili, że obrączka jest jego własnością. Po czym stanęli przy nas i sprawdzali, czy Dawid w sposób właściwy wkłada ją na wskazujący palec mojej prawej ręki.

Salcia uniosła dłoń i pokazała ją Kasi. Kasia się uśmiechnęła.

- Dawid, był szczególnie radosny - ciągnęła Salcia. - On zresztą ma takie usposobienie.

Ciągle się uśmiecha. I ma wiele

30

entuzjazmu dla życia. Bez kłopotów nałożył mi na palec obrączkę, mówiąc: Oto jesteś mi poświęcona tym pierścieniem według Prawa Mojżesza i Izraela. A wszyscy goście zakrzyknęli: Poślubieni, poślubieni. I zapanowała ogólna radość.

Salcia na moment zamilkła, a potem wyznała:

- To była, Kasiu, wyjątkowa chwila. Każda dziewczyna powinna coś takiego przeżyć.

Stała się bardzo poważna. Przez jej oczy przemknął jakiś cień. Zatrzymała wzrok na przyjaciółce, a Kasia spytała:

- Coś się stało? Dlaczego zamilkłaś? Salcia oderwała od niej oczy i szepnęła:

- Tak pięknie. Tak pięknie było, Kasiu. Pojęcia nie masz, jak pięknie.

- A przyjęcie... wesele? - spytała Kasia.

Salcia przez jakiś czas siedziała zamyślona, jakby nie mogąc się oderwać od tamtego wydarzenia. Po chwili podniosła wzrok i jakby się wahając, powiedziała.

- Przyjęcie i wesele też były cudowne, Kasiu. Ale najpierw rabin wygłosił starą żydowską mądrość, która powiada, że ten, kto żyje bez żony, żyje bez radości, bez błogosławieństwa, bez dobra, bez Tory, bez opieki i bez pokoju. A mężczyzna, który nie poślubił kobiety, nie jest człowiekiem. Gdyż Tora mówi: Stworzył ich jako kobietę i mężczyznę. I nazwał ich Człowiekiem.

Salcia westchnęła, nabrała powietrza i kontynuowała:

- Po tych słowach wysunął się przed innych honorowy gość, nasz wujek, Izaak, który jest powszechnie szanowanym i poważanym lekarzem w Drohobyczu. Odczytał kontrakt małżeński, czyli wspomnianą wcześniej ketubę. Rabin podniósł do góry kielich z winem, podobnie jak czyni to w kościele katolickim ksiądz i odmówił rytualne błogosławieństwa. Nie będę ci, Kasiu, dokładnie relacjonowała, co one zawierają, bo są dość długie, ale powiem tylko jedno, że wspominają, jak został stworzony świat, oddają cześć Bogu i wychwalają związek małżeński. Aha - zapomniałabym - na chwilę przerwała, przyglądając się z uwagą Kasi, która uważnie słuchała i widać było, że jest bardzo przejęta.

- Zapomniałaś o czymś? - szybko spytała.

- No, zapomniałam - przyznała Salcia. - Zapomniałam do-

3 1

dać, że kiedy dotknęliśmy ustami wina, goście podłożyli kielich pod prawą nogę Dawida. On uniósł nogę wysoko i z trzaskiem go rozgniół. Zaś goście zaczęli krzyżeć: - Na szczęście, na szczęście -i wszyscy się bardzo radośnie bawili, cieszyli, klaskali i życzyli nam spełnienia marzeń i szczęśliwego życia. Salcia na moment się zastanowiła i spytała:

- A czy wiesz, która chwila była dla mnie najszczęśliwsza? - objęła Kasię badawczym wzrokiem.

- No, która? - Kasia nie spuszczała z Salci oczu.

- Najmocniej przeżyłam tę chwilę, kiedy zostaliśmy sami.

- Zostaliście sami? Kto? Ty z Dawidem? Kiedy? Przecież po ślubie zaczyna się wesele. Czy nie tak?

- No, tak, Kasiu. Tylko w obyczaju żydowskim jest taki krótki czas, kiedy po zaślubinach pan młody prowadzi swoją panią do osobnego pokoju i zostają tylko sami.

- I co? Zostaliście sami? - Kasię zżerała ciekawość. Salcia się zarumieniła.

- Doszło do czegoś? - niecierpliwiła się Kasia. - Całowaliście się?

- Czekały na nas dwa talerze rosołu.

- Dwa talerze rosołu? - Kasia była zawiedziona. Czekala na coś zupełnie innego.

- Tak, Kasiu - spokojnie ciągnęła Salcia. - Nie dziw się. To taki obyczaj. Byliśmy głodni. A ceremonia trwa długo. Dawid, zamiast zaprowadzić mnie do stołu, jak tylko przekroczyliśmy próg, wziął moją głowę w obie ręce, odchylił ją do tyłu i pocałował mnie w usta.

- A ty? Co ty?

- No... ja... to było coś niesamowitego, jakby ziemia zapadła się pode mną. Dostałam takiego zawrotu głowy, że omal nie straciłam przytomności... Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Nie wiedziałam, że pocałunek potrafi tak wszystko zmienić...

- Co zmienić? Jak? - nacierała Kasia. Salcia opuściła oczy.

- No, mówże!

- Pocałunek wszystko zmienia... Całkiem wszystko... zie-

32

mię, niebo, zmienia świat, jakby wiosna, kwiaty, słońce. Tak dobrze, cudownie, wszystko w tobie drży, otwiera się... Kasia była porażona.

- I długo cię całował? - wydukała.

- Kasiu, przestań - Salcia zakryła twarz dłońmi.

- Nie wstydź, się, powiedz - Kasia nalegała. Salcia wyrzała na nią spod palców i szepnęła:
 - Bardzo długo mnie całował.
 - Naprawdę?
 - Naprawdę, Kasiu - mówiła, zerkając na przyjaciółkę przez palce.
 - W usta?
 - W usta, w szyję, we włosy... -A ty?
 - Co ja?
 - No, czy ty też go całowałaś wszędzie, wiesz...?
 - Przestań.
 - Całowałaś? Wiedziałaś, jak to się robi? - Kasia nie ustępowała.
- Salcia przez dłuższy czas nie odpowiadała, aż wychylną zza dłoni i w końcu śmiało patrząc Kasi w oczy, wyznała:
- Tak, Kasiu, ja też go całowałam. Pojęcia nie masz, jakie to słodkie. Nie ma nic słodszyego na świecie.
 - Naprawdę?
 - Naprawdę, Kasiu. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie zaznałam.
 - Och! - westchnęła Kasia i zamknęła oczy, jakby to ona sama się całowała.
 - Ale zaraz musieliśmy wyjść z tego pokoju - ze smutkiem dodała Salcia.
 - Zaraz? - zdziwiła się Kasia.
 - Tak, Kasiu, zaraz. Bo to była tylko chwila, byśmy razem zjedli rosół. Taki symboliczny znak, że jesteśmy już małżeństwem. Ale my rosółu nawet nie tknęliśmy.
 - Tylko całowaliście się?
 - Tak, tylko całowaliśmy się.
 - A potem?

33

- Potem wróciliśmy do weselników. Było już głośno, muzyka, śpiewy, tańce. Kobiety osobno tańczyły. A mężczyźni osobno. I wszyscy powitali nas z ogromną radością. Znowu byliśmy królewską parą. Dawid królem. A ja królową. I nosili nas na rękach. A kiedy podano do stołów, zaczęła się wielka uczta, na końcu której znowu rabin odmówił modlitwę...
 - A co było po weselnym przyjęciu... wiesz, o co mi chodzi... zostaliście sami... noc poślubna...
- Salcia spuściła oczy.
- Salciu, proszę - szczebiotała Kasia - powiedz, przecież jesteśmy przyjaciółkami.
- Salcia wciąż nie podnosiła oczu.
- A jaki on jest... przystojny, wysoki, brunet... No, Dawid?
 - dopytywała Kasia. - Nic mi o nim nie powiedziałaś?
 - Taki słodki, taki słodki, Kasiu - mruzczała Salcia.
 - Ale powiedz, jak wygląda? Jak ma oczy? Na pewno kasztanowe... albo nie... szare... nie, nie szare... brązowe, a może zielone? - dopytywała.
 - Taki był słodki, taki słodki - wzdychała Salcia z opuszczoną głową.
- Kasia przez dłuższy czas się jej przyglądała. A Salcia jak papuga tylko powtarzała:
- Taki był słodki, taki słodki.
- A potem zamilkła i długo się nie odzywała. Kasia podeszła do niej. Objęła ją mocno i przycisnęła do piersi. Trwały w tym uścisku, aż Salcia wyznała:
- Już nigdy w życiu, Kasiu, czegoś podobnego nie przeżyję. Tylko w snach mogą się zdarzyć takie rzeczy.
 - Co? - nie rozumiała Kasia. - Dlaczego w snach? - odsunęła się od niej i wbiła w Salcie błyszczące oczy. -Przecież wzięłaś ślub... - patrzyła na przyjaciółkę roztargniona.
 - Bo to był sen, Kasiu - Salcia ze smutkiem wyznała.
 - Co? Co ty pleciesz? - rzuciła się na nią Kasia. - Jak możesz?

- Tak, Kasiu, to był sen. A może i nie sen, sama już nie wiem...
- wydawała się wątpić we własne słowa. - Sen, a może nie sen...

34

_ powtarzała zamyślona. - Ale Dawid nie był snem, chyba nie był... - mówiła jakby do siebie

- Dawid był prawdziwy...

- Nie rozumiem cię, Salciu?

- Sama nie wiem, w głowie mi się kręci... - objęła dłońmi czoło i zastygła.

Kasia nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Patrzyła bezradnie na przyjaciółkę, a Salcia z ukrytą twarzą w dłoniach nie odzywała się.

- Salcia - w końcu wydusiła z siebie Kasia. - Jak było naprawdę? - spytała. - A ta obrączka? - wskazała palec.

- No, dobrze, powiem ci, Kasiu. Ale nie gniewaj się. Tak mocno to przeżyłam. Poznałam Dawida, który kończy gimnazjum w Drohobyczu. To syn bardzo znanego adwokata z Truskawca. Jego ojciec jest przyjacielem prezydenta Drohobycza, pana Rajmunda Jarosza, właściciela domów uzdrowiskowych w Tru-skawcu. Zabrał mnie na wycieczkę do zdrojowiska, pokazał piękne pensjonaty i sanatoria. A potem pojechaliśmy bryczką do lasu. Wysiedliśmy z bryczki i długo spacerowaliśmy. A on mi opowiadał o szkole i... i... i... - nagle zacięła się.

- I co? - spytała Kasia.

- I bardzo się w nim zakochałam - patrzyła w oczy Kasi, jakby chciała tam znaleźć odbicie Dawida. - Od pierwszego wejrzenia. Pojęcia nie masz, co to za uczucie!

- A jak on wygląda? Mów! - niecierpliwiła się Kasia.

- Wysoki, przystojny, brunet z niebieskimi oczami. Jak spojrział na mnie, to nogi się pode mną ugięły. No, a potem mi się przyśnił... - Salcia jakby zawstydzona opuściła głowę.

- Ty wariatko! Oszustko! Łajdaczko! - Kasia zaczęła ją bić piąstkami, aż przyjaciółka musiała się zasłaniać.

- Nie okłamałam cię, Kasiu - wyrwała się i szybko rzuciła. -Wybacz mi. Nie chciałam cię oszukać. Wszystko to przeżyłam naprawdę. Każdy detal, każdą cząstkę uroczystości. Ślub, wesele, pocałunek, każdą sekundę. Naprawdę, Kasiu... Wszystko słyszałam na własne uszy i widziałam jak na dłoni. Wszystko było prawdziwe i żywe. Dotykałam go i on mnie dotykał. I wszystko czułam, rozumiesz, czułam. Krew mi tętniła, dech zapierało, jak na jawie...

35

- Ale to był sen - Kasia patrzyła na nią z niewiarą. Miała jej za złe, że wciągnęła ją w taką pułapkę.

- Takie to było słodkie, Kasiu, takie słodkie. I chciałam, byś wiedziała, co się ze mną działo, bo komu mam powiedzieć, jak nie najlepszej przyjaciółce - tłumaczyła i głęboko westchnęła.

- A obrączka? - Kasia nieufnie zerknęła na lśniące, ozdobne złoto.

- To obrączka mojej babci...

Kasia nie mogła jej darować. I prychnęła jak kotka:

- Och, ty wiedzmo! Ty straszna wariatko!

MARZENIA

Panny przygotowywały się do gimnazjum. Najbliżej było do Kołomyi. Ale nie było tam renomowanej szkoły, która by zaspakajala ich rozbuchane ambicje. Brały więc pod uwagę Stanisławów. Kasia jednak naciskała, by iść do Lwowa. Bo Lwów jest wielki i piękny. I z Lwowem nie może się równać żadne inne miasto. Tak zaraziła ją Lwowem matka. Zresztą wszystkie cztery z otwartymi ustami słuchały opowieści matki Kasi. Bo była jedyną wykształconą kobietą we wsi. I potrafiła jak nikt inny zaczarować ich dusze. Roztaczała przed nimi nieprawdopodobne obrazy, w których miasto jawiło się jak najpiękniejsza bajka. Dlatego szybko wkuwały matematykę i polski, by z dobrymi cenzurkami szkołę powszechną skończyć

i studentkami, jak już siebie w myślach nazywały, zostać. A Lwów przeobrażał się w ich oczach w wielką mityczną krainę, w której spełniały się wszystkie marzenia i sny.

Gdy Salcia ociągając się nieco, wspomniała o Drohobyczu, rzuciły się na nią z takim wrzaskiem, że szybko umilkła. A one krzyczały, że żaden Drohobycz, bo to zapyziała prowincja, tylko Lwów, bo to stolica Kresów i najróżniejsze szkoły posiada.

Salcia spuściła skromnie oczy i przez dłuższy czas nie odzywała się.

I znowu słuchały opowieści matki Kasi, która z entuzjazmem zachwalała Lwów.

- We Lwowie, panny - mówiła - od wieków rozwijała się nauka i kultura. Tu najwspanialsze budowle projektowali wielcy europejscy architekci. W 1902 r. powstała Filharmonia, w której kilka razy w tygodniu odbywają się koncerty. Niegdyś, za moich czasów, sala koncertowa była wolna i wyświetlano w kinie

37

„Apollo” seanse filmowe. Odbywały się też wykłady. I to na jakim poziomie! - piała z zachwytem. - Och, gdybyście posłuchały uczonych i znawców sztuki - upajała się własnym głosem. - Choćby - nagle rozmarzyła się - wystąpien znanego kompozytora, wielkiego melomana, profesora filozofii, Kazimierza Twardowskiego. Pojęcia nie macie, co za atmosfera tam panowała?! I jacy ludzie przychodzili! Artyści, uczeni, profesorowie, poeci, ale i gimnazjaliści...

- Gimnazjaliści też? - dopytywały.

- Ależ naturalnie, gimnazjaliści, licealiści, studenci. Całym sercem chłoniliśmy muzykę. A ja najbardziej. Bo, jak wiecie, bardzo wyczulona jestem na piękne dźwięki - nadymała się i puszyła, opowiadając, jak w 1926 r. powstały Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie. I mówiła w taki sposób, jakby to ona osobiście w kształtowaniu bohemy lwowskiej brała udział.

- Wiecie panny - była coraz bardziej rozemocjonowana - słuchałam występów samego Artura Rubinsteina, Karola Szymanowskiego i Ady Sari. A raz nawet byłam na Potępieniu Fausta Berlioz. Wiecie, kto to był? Nie szkodzi, dowiecie się. Och, jakże bym chciała - wzdychała - byście i wy mogły zobaczyć opery: Straszny dwór Moniuszki czy Fausta Gounoda.

Była późna pora i koleżanki Kasi musiały wracać do domu. Kasia odprowadziła je do furki i szybko wróciła, by dalej słuchać matki. Zdawało się jej, że odbywa wielką podróż dookoła świata.

- A pisarze, poeci, mamuś? - pytała.

- Poeci, pisarze... - zadumała się młynarzowa. - Kiedyś, dawniej, Kasiu, Lwów i całe Kresy stały się wielką kolebką polskiej literatury. Nie zapominaj, że na Kresach urodzili się i uczyli tak sławni giganci polskiej poezji jak Mickiewicz i Słowacki, a znacznie wcześniej Mikołaj Rej, ojciec polskiego języka. Niedaleko stamtąd pisał Kochanowski. Nie zapominaj też o twórcy polskich kołęd, Franciszku Karpińskim. Słyszałaś o nim? - Kasia zaprzeczyła. - No, widzisz, nie słyszałaś, a co roku śpiewasz jego kołędy. A gdzie się znajdują wielkie pokłady polskiego humoru? Czy nie u Fredry? - Kasia skinęła głową. - A więc wiesz, prawda? - patrzyła na Kasię. - A dodaj do tego areopagu mistrza form

38

muzycznych, wspomnianego już Moniuszkę. Toż to nasz geniusz operowy - chwaliła się, jakby Moniuszko był co najmniej jej osobistym doradcą. - Musisz pamiętać - ciągnęła w wieszczym natchnieniu - że Kresy to wielki potencjał, kolebka polskiego romantyzmu, który ukształtował wyobraźnię wielu pokoleń Polaków i wciąż ma ogromny wpływ na nasze życie duchowe. - Rozumiesz, co mówię? - Kasia czuła się przygnieciona tym natłokiem myśli i prawdę mówiąc, nie wszystko do niej docierało, ale nie mogła zawieść matki i bąknęła: - Tak, mamuś, wiem, że to coś bardzo ważnego. - Ważnego?! - fuknęła matka. - Kasiu, dziecko, moje, to wielkie Kresy. Kresy, rozumiesz! - patrzyła na córkę lśnącymi oczami. - To potęga naszego umysłu, wyobraźni, mentalności - perorowała w natchnieniu, a Kasia pomyślała, że

nigdy matki w takim stanie nie widziała. Była nadmiernie podniecona, podekscytowana. Nawet jej głos się zmienił, jakoś stężał, nabrał powagi, głębi, jakby przemawiała z wysokiej katedry. - A to przecież tylko nieliczni artyści i pisarze, których wymieniłam, związali z Kresami - opowiadała. - Bo Kresy, to urodzajna w talenty ziemia, córuś - nabrała tchu, jakby się zmęczyła. - A co do samego Lwowa, Kasiu - mówiła - to pierwsze poetyckie kroki stawiali tu Jan Kasprówic, Leopold Staff, Gabriela Zapolska i Kornel Makuszyński...

- Ten od Panny z mokrą głową? - przerwała Kasia.

- Ten sam, córuś, ten sam. Urodził się niedaleko stąd, w Stryju, a chodził do IV Gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie. I wyobraź sobie, że nie mieszkał w bursie, tylko w skromnej kwaterze u lwowskiego hycła, na Kleparowie.

- U hycła? - zaśmiała się Kasia, jakby hycel znajdował się na księżycu.

- Tak, u hycła. Ale nie to jest najważniejsze. - A co?

- To, że gdy miał czternaście lat, wysłał swoje wiersze do Leopolda Staffa, a Staff je pochwalił.

- Naprawdę?

- Naprawdę, Kasiu.

- A czy ja też mogę swoje wiersze wysłać do Staffa?

39

- Naturalnie, że możesz - młynarzowa ożywiła się, ale po chwili zastanowienia, uspokoiła i kontynuowała - tylko jeszcze poczekaj, aż się rozwiniesz. I może tak jak Makuszyński zadebiutujesz, mając szesnaście lat. To już niedługo.

- Tak myślisz?

- Tak myślę, Kasiu. W lwowskich gazetach drukował swoje utwory Stanisław Brzozowski i działał najwybitniejszy polski krytyk, Karol Irzykowski. Jeszcze się o nich będziesz uczyła.

- I ty ich wszystkich znałaś? Spotykałaś się z nimi?

- Och, nie, Kasiu - zaśmiała się młynarzowa. - Nie znałam wszystkich. Ale na spotkania z wieloma z nich chodziłam, na przykład byłam na wieczorze autorskim Staffa...

- Widziałaś go?

- Tak, Kasiu, widziałam go, tak jak ciebie teraz widzę. Rozmawiałam z nim. On we Lwowie skończył V Gimnazjum Klasyczne.

- Naprawdę? - Kasia zaklaskała w dłonie, jakby to był znak, że i ona skończy gimnazjum klasyczne. Wyglądała jak mała dziewczynka, która się bardzo cieszy z pokazanej zabawki. Była zapłonią i rozgorączkowana. Czuła, że uczestniczy w zagadkowej i wielkiej wyprawie. I niebawem dotrze do tajemniczego, nieznanego lądu, którego nigdy nie widziała. Ale znała krążące już o nim legendy. Była tak blisko, na wyciągnięcie ręki, że tylko musiała wysunąć do przodu stopę, by postawić pierwsze kroki. - To dobrze, dobrze. Pójdę do gimnazjum we Lwowie, koniecznie we Lwowie - zapaliła się i chciała jak najwięcej wiedzieć o Staffie. A kiedy dowiedziała się jeszcze, że rodzice Staffa mieli tam cukiernię, to już cała była w skowronkach.

- Będę do tej cukierni z przyjaciółkami chodzić! - wykrzyknęła. - A jaki on był?... Znaczy... jest... Staff? - zastygła w oczekiwaniu. Zawsze zdawało się jej, że wielcy poeci, o których się uczyła w szkole, już dawno nie żyją, Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Fredro... inna epoka, daleka i mglista. Atu, proszę, Staff żyje. A ona jakoś nie wyobrażała sobie żywego poety. Co innego - umarły. Umarły to stoi jakby na cokole. Jest wielki, nieruchomy i brązowy. Na dodatek matka mówi o Staffie, jakby

40

mówiła o sąsiedzie z tej samej wsi. Bardzo ją to podekscytowało. Może go zobaczyć, widzieć jego twarz, oczy, zachowanie, może nawet usłyszy, co i jak mówi... Fantastyczne! - zapiała w duchu. Już nic innego nie liczyło się, tylko Lwów.

- Staff, Kasiu, to niezwykle wytworny i elegancki pan - mówiła młynarzowa - wysokie czoło, wydatny nos, nieco surowy wyraz twarzy, hiszpańska bródka i bystre oko. Oczywiście, poznasz go. Wielu poetów jeszcze poznasz. A jak pójdziesz na uniwersytet, to wciągnie cię w wir życia lwowska cyganeria i w słynnych kawiarniach zaczniesz bywać.

- A jakie są tam najślynniejsze kawiarnie, mamuś? - spytała z trudem panując nad emocjami Kasia.

- Najślynniejsze, Kasiu, to „Szkocka” i „Roma”. A szczególnie „Roma”. Wyobraź sobie jej wygląd - westchnęła młynarzowa, zamykając marzycielsko oczy - te jej piękne imponujące lustra, te odnowione krzesła, jasne tapety, kanapki obite skórą, a wszystko błyszczy jak nowe. A obsługa jaka? Niemal paryska, jakby prosto z Wersalu. Kelnerzy gnący się w ukłonach, uprzejmi i grzeczni nad wyraz, gospodarz witający gości, atmosfera pełna czaru i dyskrecji. Jest tam jedna taka sala od strony ulicy Akademickiej, zwana „towarzyską”, którą wypełniają goście od rana do nocy i wszyscy ze wszystkimi się tam znają, gawędzą, plotkują i żyć bez siebie nie mogą. A obok wyższe umysły nachylają się nad jakimiś planami i dalekosiężnymi projektami, które lotną myśl prowadzą w tajemniczą dal. I wyobraź sobie, moja córuś, zjawia się tu z rozbawioną kompanią kamratów sam profesor Banach. A to wielka figura. Mówię ci, Kasiu, wielka. Jedna z największych w naszej epoce. I zjawia się w „Romie”, gdzie podaje się wyśmienite ciastka. Nawet specjalny kurier co dnia odprawia je samolotem do Warszawy, bo taką cudowną markę sobie wyrobiły w kraju. A jakie stoliki w tej kawiarni, Kasiu!? Jaki koloryt, ton?! Nie do pomyślenia gdzie indziej. Nie takie typowe, jak w innych kawiarniach, drewniane czy im podobne. Tylko z marmurowymi blatami. Na nich poeci przy kawie piszą wiersze. A uczeni, choćby tak słynni matematycy, jak Stanisław Ulam czy - właśnie - Stefan Banach, wzory matematyczne na nich ukła-

41

dają. A gdy im się coś nie powiedzie, na gorąco je ścierają i zaczynają od nowa. Znasz te nazwiska? - młynarzowa otworzyła oczy. Kasia zaprzeczyła.

- To masz braki, córuś - młynarzowa żartobliwie pokiwała palcem. - Koniecznie musisz ich poznać. I stanie się to niebawem.

- Będą o nich nas w liceum uczyli? - spytała Kasia.

- Pewnie kiedyś będą, bo to wielkie sławy. Już teraz są znani w całej Europie. Stworzyli tzw. lwowską szkołę matematyczną.

- W Europie są już znani? Przez te kawiarnie?

- Och, nie, dziecko, nie przez te kawiarnie, ale z powodu talentu i odkryć, jakich dokonują, i podbojów naukowych - wyliczała szybko zasługi. - Bo musisz wiedzieć, Kasiu, że uczeni nie dokonują nowych odkryć, ot tak sobie, w mgnieniu oka, na zawołanie. Praca naukowa to wielka, odpowiedzialna i mrówcza praca. Nieraz ciągnie się latami, albo i do końca życia. Zanim uczony stanie się sławny na cały świat i zdobędzie, na przykład, Nagrodę Nobla, musi się porządnie napocić.

- A oni zdobędą?

- Niewykluczone, Kasiu. Ale chcę ci coś innego powiedzieć. Coś, co jest charakterystyczne i niezwykle ciekawe tylko dla Lwowa, bo chyba tylko we Lwowie uczeni pracują, równocześnie bawiąc się.

- Jak to? W jaki sposób pracują, bawiąc się? Czy to możliwe?

- Bądź cierpliwa, chcę ci to właśnie wytłumaczyć. - Kasia była wpatrzona w matkę jak w święty obrazek. Z każdym jej słowem była coraz bliżej Lwowa. - Otóż profesor Banach uwielbia życie towarzyskie. A to największy polski matematyk, zapamiętaj to sobie - dłużej zatrzymała wzrok na ustach Kasi, jakby pragnęła sprawdzić, czy są zdolne do odpowiedzi, ale Kasia nie odezwała się, tylko skinęła głową. - I wyobraź sobie - z natchnieniem ciągnęła młynarzowa - że profesor Banach jak tylko uwolni się od zajęć ze studentami, natychmiast biegnie do „Romie” i tam wśród przyjaciół prowadzi ożywione rozmowy i popija wino, a że

nie znosi notatników, zeszytów, karteluszków i wszelkich papierów, robi notatki na byle czym. Choć prawdę

42

mówiąc i notatek nie cierpi. Są dla niego udręką. Ale, jak to się mówi, dla towarzystwa i Cygan da się powiesić. Dlatego, gdy siedzi w kawiarni, a otacza go tłum wielbicieli zasłuchanych w jego najnowsze teorie naukowe, wykłada swoje racje, wypisując wielopiętrowe liczby i prezentując nieznane im dotąd wykresy, wzory i Bóg wie, co jeszcze, nie na kartce papieru, tylko na blacie stołu, a oni wpatrują się w te liczby, wykresy i wzory jak w wielką gwiazdę, która rozświetla im przyszłość, podziwiają mistrza i próbują go zrozumieć. Szkopuł w tym, Kasiu, że ten genialny uczony, a prywatnie, przeuroczy i pełen czaru człowiek, zapomina często o płaceniu rachunków i z tego banalnego powodu nie dawano mu wina na kredyt, więc musiał się przenieść z kawiarni „Roma” do położonej blisko Uniwersytetu kawiarni „Szkockiej”.

- I ty go znałaś, mamuś, osobiście? Poznałaś go tam?

- Tak, Kasiu, miałam okazję go poznać właśnie w słynnej kawiarni „Szkockiej”. -

Młynarzowa świadomie opowiadała tak wiele o atmosferze Lwowa, o wybitnych twórcach i uczonych, by Kasię przekonać do nauki i studiowania w tym mieście, i zachęcić do wytrwałej, żmudnej i twórczej pracy nad sobą. Uważała, że gdy natchnie ją światłą myślą, Kasia zakocha się w sekretnych miejscach, uliczkach, kawiarniach, architekturze i wielkich umysłach artystów i uczonych Lwowa. A wtedy, połykając bakcyła nauki i wiedzy, zdobędzie należne jej miejsce w życiu publicznym. Było w tym zachowaniu coś z jej dawnych, niespełnionych marzeń, kiedy tak bardzo pragnęła się rozwijać na salach koncertowych, wśród wybitnych twórców, ale los brutalnie rzucił ją na głęboką prowincję i teraz musi się zadowalać tylko wspomnieniami. Dlatego swoje tęsknoty poprzez Kasię postanowiła realizować. Toteż coraz bardziej rozemocjonowana z przekonaniem ciągnęła opowieść, jakby sama wybierała się na studia. -W tej kawiarni, Kasiu, z zapalem mówiła - przebywała i nadal przebywa cała menażeria ludzka. Bo kogo tam nie spotkasz? -uśmiechnęła się na wspomnienie nie tak dawnych w końcu obrazów. - Studenci, bibliofile, dziwacy, artyści, lwowskie damy, plotkarze, hazardziści, Żydzi, Ormianie, Karaimowie, Tatarzy,

43

poeci, wokaliści, pianiści, no, i koniecznie, absolutnie koniecznie, profesorowie wyższych uczelni, a wśród nich, ma się rozumieć, i profesor Banach. Bywał tam często ze swoim przyjacielem, Stanisławem Mazurem. Nieraz siadałam w pobliżu -westchnęła z nostalgią - i obserwowałam ich spod oka, nie mogąc się nadziwić ich stylowi bycia. Godzinami potrafili milczeć, pochyleni nad liczbami i wzorami. A potem nagle wybuchali śmiechem i sięgali po lampki wina. Długo gaworzyli o podróżach, przygodach i życiu. I znowu popadali jakby w odrętwienie, zagadkowi, milczący i zajęci sobie tylko znanymi światami, nachyleni nad karkołomnymi figurami liczb i znaków. A gdy odkryli jakiś nowy wzór, dotarli do nieznanej dotąd idei, zaczęli gwałtownie i nerwowo dyskutować i spierać się, by po chwili po raz kolejny zapaść się w ciszy. Tacy byli. Nikt wówczas nie mógł wydobyć z nich głosu. Niekiedy długo się w siebie wpatrywali, ale jakby siebie nie widzieli. Patrzyli strasznie daleko i tak byli zajęci swoimi myślami, że mogłaś kiwać przed ich oczami palcem, a oni go nie dostrzegali. Uczyli się, Kasiu, w ten sposób koncentracji i wytrwałości, tak niezbędnych przy pracy twórczej. Bo oni tworzyli. Rozumiesz, tworzyli. Po czym jak we śnie, wyłaniali się jakby z zaświatów, sięgali po szklanekę kawy, pili ją i rozmawiali o swoich odkryciach - urwała i na moment nad czymś się zastanowiła.

- O czym myślisz, mamuś? - natychmiast spytała ją Kasia.

- Usiłuję sobie przypomnieć twarz profesora Banacha. Gdy go poznałam, był mężczyzną młodym, wysokim, o niebieskich oczach i jasnych włosach, może nieco ociężały w ruchach, ale tylko wtedy, gdy się zamyślał. Był przeuroczy, szczery i bezpośredni. A gdy z nim

rozmawiałam, miał w sobie coś wyjątkowego i absolutnego, niezwykle i czyste, niemal dziecięce poczucie humoru. Potrafił godzinami opowiadać dowcipy. Najczęściej jego twarz nabiera łagodności i pogody ducha. Niestety, za wiele palił papierosów, jeden zapalając od drugiego. Nie pomagały żadne uwagi i napomnienia. Kawa i papierosy były mu niezbędne do życia, choć ja osobiście tego stylu nie pochwalam. I tobie też nie zalecam. Bo to niezdrowe. Ale profesor Banach taki był. I lubił, jak już wspomniałam, towarzystwo. Nieraz dołączali do nas pro-

44

fesorowie - Stanisław Ruziewicz i Hugo Steinhaus oraz młodszy, zdolni matematycy, tacy jak Stanisław Ulam czy Władysław Orlicz. Naturalnie, nie znasz ich i nie musisz teraz znać, przyjdzie na to czas, ale chcę, byś wiedziała, jak moje młode życie wyglądało. I byś zrozumiała, kogo spotykałam. Bo to ważne dla rozwoju młodego człowieka. Z całą pewnością z wielkimi umysłami, z przyszłymi sławami światowej miary warto się spotykać i słuchać, co mówią, jak myślą i dokąd podążają, bo to nas wzbogaca, umacnia w naszych postanowieniach i buduje jakąś wyższą i ważną perspektywę naszego życia. Choć, naturalnie, musimy uwzględniać nasze osobiste pasje i talenty, by nie dać się całkowicie pochłonąć przez zupełnie odrębne i cudze światy. Powiem ci tylko jeszcze, że któregoś dnia, gdy dołączyłam do nich, siedzieli już przy stoliku chyba z dwanaście godzin bez przerwy i byli nieprzytomni, jakby nie z tej ziemi.

- Dlaczego?

- Sama chciałam wtedy to wiedzieć. Okazało się, że pracowali nad jakimś ważnym zagadnieniem matematycznym i zapomnieli o jedzeniu i picu, poza, naturalnie, kawą. Odsunęłam się na bok, by im nie przeszkadzać, a oni pochyleni nad wzorami, całkowicie odgradzili się od reszty świata. Dopiero później pojęłam, że tego dnia, po siedemnastu godzinach ciężkiej harówki, stworzyli tzw. „przestrzeń Banacha”. Powiem ci od razu, że nie wiem, co ta przestrzeń znaczy, bo na tym się kompletnie nie znam, ale uczeni powiadają, że ta teoria zrewolucjonizuje naukę. Twój ojciec też tak uważa, Kasiu, wszakże jest inżynierem. Niby co jakiś czas rzucali żartami, ale ich oczy były nieprzytomne, jakby wyrwane ze snu. I taki to, Kasiu, epizod miałam w swoim życiu.

- A co było potem?

- Z czym?

- No... z tym wszystkim, to znaczy... długo się z profesorem Banachem spotykałaś?

- Kasiu - przemówiła czulej, jakby chcąc skomplikowaną zagadkę wyrazić prostym zdaniem - nie wyobrażaj sobie, że ja się specjalnie z profesorem Banachem umawiałam, czy coś takiego. Zrozumiesz to lepiej, jak pójdziesz na studia. Po prostu mieliśmy

45

wspólnych znajomych i spotykaliśmy się całymi paczkami. Wszyscy we Lwowie wiedzieli i do tej pory wiedzą, gdzie można szukać profesora Banacha. Wystarczy pójść do „Szkockiej”. On tam nadal przesiaduje.

- I można go tam zobaczyć?

- Oczywiście, że można, Kasiu, z tą wszakże różnicą, że już nie pisze po blacie stolika, bo żona mu zabroniła, ponieważ goście skarżyli się, że blat stolika wiecznie pomazany. Więc kierownik „Szkockiej” udał się do pani Łucji Banach, która kupiła mu duży zeszyt i od tej pory profesor pisze już tylko w tym zeszycie, który zresztą na noc zostawiał w kawiarni.

- To twoje życie było ciekawe, mamuś, prawda?

- Bardzo ciekawe, Kasiu, bardzo. Przypomina mi się, jak profesor Banach za swoje odkrycia otrzymywał od kolegów profesorów żywe gęsi albo kaczki.

- Co? - nie rozumiała Kasia.

- Och, to była taka ich zabawa. Jeśli ktoś rozwiązał jakiś problem matematyczny, dostawał w nagrodę żywą gęś, królika albo kaczkę. Było z tym wiele śmiechu.

- Tak się bawią profesorowie? - zdumiała się Kasia.

- Profesorowie, Kasiu, to też ludzie. A ten zeszyt, w którym zapisują swoje badania, nazywa się odtąd „Księgą Szkołą”. I pewnie kiedyś inni uczeni będą sobie nad nią łamali głowy.

- Nie wiedziałam, że tak wygląda życie uczonych - odezwała się Kasia. Do tej pory zdawało się jej, że uczeni i artyści żyją jakby za murem, do którego nikt nie ma dostępu. A może nawet na osobnej, odgradzonej od świata planecie. I że to wszystko, o czym teraz matka opowiada, odbywa się gdzieś strasznie daleko, a okazuje się, że uczeni i artyści chodzą po kawiarniach, rozmawiają, dowcipkują, śmieją się i odkrywają naukowych dokonują przy filiżance kawy, nawet w kawiarni. A więc wielkie odkrycia dokonują się nie tylko w laboratoriach i zamkniętych na cztery spusty domowych pracowniach.

Młynarzowa zadumała się, a potem, jakby zapominając o Kasi, mówiła:

- W wolnych chwilach włóczyliśmy się całymi gromadami,

46

hłopczy i dziewczyny, po mieście. Chodziliśmy na seminaria i spotkania naukowe.

Poznawaliśmy wybitnych profesorów, artystów i pisarzy. U „Świstuna” bywaliśmy. To kawiarnia głośna z zabawnych karykatur znanych postaci, którymi oklejono tam wszystkie ściany. Do winiarni „Stadtmüllera” i „Atlasa” w Rynku zaglądaliśmy. Och, niezapomniane wieczory i noce - wzdychała. I widziała już siebie u „Atlasa”, gdy siedziała przy stole ze znanymi artystami i poetami, popijając grzane wino i spierając się o wartość sztuki w życiu człowieka. A potem błędziła wąskimi uliczkami miasta i podążała do restauracji „Naftuły”, gdzie środowisko operowe i teatralne się zbierało, sami reżyserzy, aktorzy, pianiści, kompozytorzy i głośne solistki operowe. A ona siadała wśród nich, piła słodki miód i szeptała do siedzącego obok niej młodego kompozytora, wschodzącej gwiazdy muzyki, czułe słówka: Bronek, Bronek...

- Mamuś - nagle usłyszała głos Kasi. Przetarła oczy, jakby się dziwiąc, skąd się Kasia tutaj wzięła. - Wymieniłaś imię Bronek. Kto to był? - spytała Kasia.

Szybko pofrunęła rzęsami, jakby w ten sposób dało się córkę odtransportować w dalekie kraje.

- Och, zamyśliłam się, córuś. Różni ludzie przewinęli mi się przed oczami - patrzyła badawczo na Kasię, sprawdzając, czy już na tyle wydorosła, by można jej było powierzyć dawne sekrety serca.

- Wielki świat, tak?

- Tak, Kasiu, wielki świat - młynarzowa już panowała nad głosem. - Ale najważniejsze byś zdobyła wiedzę. Byś swój poetycki talent rozwinęła i ukształtowała. Bo w poezji ogromne skarby się mieszczą - patrzyła na nią uważnie, przygotowując ją do roli wieszczki narodowej. W takiej atmosferze dziewczynki przygotowywały się do gimnazjum.

Wyrwanie się ze wsi uznały za swój cel. Roił im się przed oczami odległy świat, który kusił i pobudzał wyobraźnię. Spierały się o to, które z miast posiada największe tajemnice. Szperały w gazetach i leksykonach. A młynarzowa podsuwała im wciąż nowe pomysły:

47

- A dlaczego nie miałybyście podróżować po Europie?

Toteż na przemian przekrzykiwały się, kim która zostanie i dokąd pojedzie.

Kasia i Ksenia głosowały za Paryżem. Bo to było miasto wspaniałych artystów i słynnych pisarzy. I obie z całą pewnością tam osiadą. Jedna, by pisać wiersze, druga, by malować obrazy.

Salcia głosowała za Wiedniem, zapominając na chwilę o Drohobyczu. Bo to stolica światowej opery, operetek i geniuszy muzyki. Tam, bezbłędnie recytowała, wertując encyklopedie i leksykony, żyli i tworzyli Mozart, Beethoven, Schubert i Johann Strauss. Tam Fryderyk Chopin, Rubinstein i Jan Kiepura występowali.

Aż głos zabrała Sara. I rzekła, że żadne Paryże, Londyny czy Wiednie nie są tak ważne jak miasto Nowy Jork w Ameryce. Panny zastygły, patrząc zaskoczone na Sarę. A ona mówiła, że Nowy Jork to najpotężniejsza i najbardziej magiczna aglomeracja miejska świata. Dziewczynki rozdziawiały gęby, a potem rzucały się na Sarę z pytaniami, by im dokładnie zrelacjonowała, na czym nadzwyczajność i potęga tego miasta polega. Sara miała powody, by dopominać się o Nowy Jork, bo jej serdeczna przyjaciółka, Larysa Haliczer, kilka lat temu wyjechała do Ameryki wraz rodzicami. Od tej pory pisała do niej piękne i wzruszające listy. I Sara dowiadywała się z nich, jak naprawdę wygląda nieznany świat, ogromne wieżowce, windy, szybkie samochody, błyszczące w świetle żyrandoli damskie stroje, sale wystawowe i kinematografy. A dziewczynki nie mogły się nadziwić, że istnieją na świecie takie dziwa. Przebijała tym nawet opowieści o Lwowie matki Kasi. Największe wrażenie robiły na nich ogromne wieżowce, które sięgały chmur i bezszelestnie mknące pod niebo windy, które same jak ptaki ulatywały wysoko, a potem bezpiecznie i po cichu opadały w dół, nikomu nie czyniąc szkody.

Kasia, choć miała najbujniejszą wyobraźnię, nie mogła sobie takiej windy wyobrazić. A jak się jeszcze dowiedziała, że w tej niepojętej Ameryce różni kolorowi ludzie żyją, czarni, biali i żółci, Murzyni, Japończycy i Chińczycy, zrobił się w jej głowie taki mętlik, że nijak nie mogła sobie z nim poradzić. Wszystko ze wszystkim się mieszało. Kolorowi ludzie z windami. Pałace wiel-

48

kich panów z kinematografami. Witraże z powozami i szybkimi samochodami. Olbrzymie budowle z pięknymi kobietami. Lam-niony, złote bransolety i zapach perfum. Jakby zamieszkała w długo ciągnącej się baśni. Albo w bezkresnym śnie i nie mogła się z niego wydobyć.

A kiedy Sara dodała, że do tej Ameryki płynie się statkiem całe tygodnie, bo oceany są nieprzebrane i tak wielkie jak pół Ziemi, dziewczynki całkiem zamilkły i patrzyły na nią oniemiałe.

Choć uczyły się w szkole, że są morza i oceany, nigdy nie przyszło im do głowy, że mogą być aż tak ogromne i nieskończone.

49

GLÓD NA UKRAINIE

Kiedy Kasia otrząsnęła się z wrażenia i przygotowywała się do snu, przypomniała sobie pewną rozmowę. Leżała wtedy w łóżku z książką w ręku, a z dołu przez uchylone drzwi dochodziły podniesione głosy matki i ojca.

Matka wypominała ojcu, że nie wyjechali do Ameryki, choć tak bardzo tego chciała. I mówiła o wielkim głodzie, który nadchodzi z Ukrainy. - Coraz więcej ludzi ucieka - atakowała ojca. - Wyjeżdżają za ocean, a my nie. Nawet zwykli chłopcy się nie boją wody, a ty się boisz! - wyrzucała ojcu. I skarżyła się, że on, inżynier, człowiek światły, a lęka się oceanu. - Nie oceanu się boję - odpowiadał ojciec - tylko nieznanego losu. Bo tam nieznany los nas czeka, Anno - mówił - a my tutaj młyn mamy, na nogach mocno stoimy i niepotrzebna jest nam żadna Ameryka. Dorobimy się na miejscu, w Polsce. I tu Amerykę zbudujemy. Bo Polskę stać na to - mówił. - Nowa Polska dopiero się zaczyna - tłumaczył. - Po 123 latach niewoli, dźwigamy się z upadku. Tacy ludzie jak ty i ja są Polsce potrzebni, wręcz niezbędni. Mamy wykształcenie, wiedzę, jesteśmy młodzi i silni. I możemy przynieść ojczyźnie wiele pożytku. Był poirytowany, a w jego głosie brzmiał żal do matki.

- Mamy za sobą, Anno - mówił - zaledwie kilkanaście lat wolności i musimy kraj odbudować. Niewola spustoszyła naszą ziemię, naukę, oświatę, kulturę. I zrujnowała gospodarkę. To młode państwo, Anno. Ludzie z energią i wykształceniem są tu na wagę złota. Nie możemy, ot tak sobie, tupiąc nóżkami, rzucić zabawki i wyjechać. Bo coś się nam nie podoba.

Ale matka się uparła, że trzeba uciekać, bo głód idzie, na co ojciec odrzekł, że głód idzie, ale nie przez Polskę, tylko przez sowiecką

50

Ukrainę. I to tam stadami chłopci umierają, a nie u nas. I nawet nie ma ich kto chować. Padają jak muchy, mówił. Całymi gromadami leżą na podwórkach, ulicach i polach. A najwięcej umiera dzieci. Z głodu puchną. To nieszczęście, Anno, mówił, straszne nieszczęście, ten komunizm i te ich nieludzkie kołchozy. Ten biedny ukraiński naród w tym sowieckim piekle z głodu zdycha.

Kasia odłożyła książkę i z napięciem słuchała. Słowa ojca wydały się jej bolesne, gorzkie i groźne. Nigdy dotąd nie słyszała o żadnym głodzie i umierających dzieciach.

- Kołchoźnicy skaczą do rzek - burczał ojciec - topią się w morzu, podryniają sobie gardła, by tylko nie patrzeć na cierpienia dzieci. Chodzą po pustych polach obłąkani i wołają umarłych. Grzebią w śniegu, wydłubują stare żołądźce, korzonki, szczątki liści, chwasty, zamrożone jagody. Węgiel ze spalonego drewna i tynk ze ścian gryzą. Jakaś baba jeża na obiad obierała. A sąsiad doniósł i oskarżyli ją o okradanie sowieckiego państwa. I ugotowanego jeża jej zabrali. Bo to państwowy jeż, powiedzieli. A państwowych jeży chłopom jeść nie wolno. I do aresztu babę wsadzili. Na przedwiośniu kobiety wkładają do garnka gorzkie zielska, łopuchy, trawę, korę z drzew, byle tylko żołądek zapchać. Jak nie idziesz do kołchozu, to na pohybel z tobą. Zsyłka na Sybir i katorgia, Anno. Straszna katorgia, poniewierka, cierpienie i śmierć. Bo tam, Anno, już tylko białe niedźwiedzie i straszny wiatr hula, opowiadał.

Matka przez dłuższy czas nie odzywała się, a potem spytała:

- A jak ten głód do nas dojdzie, Jakub, to co zrobimy? Mamy dzieci. Co się z nimi stanie? I wtedy ojciec walnął pięścią w stół. Aż ściany zadrżały. Zapanowała ciężka cisza.

Kasia bała się ruszyć z miejsca, by łóżko nie skrzypnęło. Aż ojciec się odezwał i powiedział już spokojniej:

- Przepraszam cię, Anno, ale to nerwy. Tylko nie narzekaj, proszę, bo robię, co mogę, byś nie odczuła żadnej goryczy, czy choćby niepokoju z powodu swego losu. Wiem, że wieś, to nie Lwów. I nie ma tu życia w blasku kryształowych żyrandoli. Ale przecież Wybraliśmy harmonię, spokój i ciszę. Czyż nie tak, Anno?

51

Musiał podejść do matki, bo Kasia usłyszała jego kroki.

- Posłuchaj tylko, co mówi Wasylko - odwołał się do chłopca, który od niedawna tutaj zamieszkał. Kasia go znała, wiele razy bawiła się z jego córką, Marusią.

- Wasylko? - zdumiona spytała matka. - A co mi tam jakiś Wasylko? Co mi on może powiedzieć? Żebrak i nędzacz - pogardliwie prychnęła.

- Nie obrażaj go, Anno - ojciec poprosił łagodnie. - Wasylko zdobył się na akt wielkiej odwagi. Uciekł ze swoją babą i córką spod moskiewskiego buta i przekroczył naszą granicę na Zbru-czu, choć strzelali do niego i czekała go pewna śmierć. Już dwu synów mu z głodu umarło. I babka padła na jego rękach. Nie pamiętasz, jak wyglądał, kiedy się tu zjawiał? Cień człowieka. Oczy na wierzchu, wszy krew mu piły. Aż żał patrzeć. A tutaj żyje jak u Pana Boga za piecem. Bo posmakował wolności, Anno. A nie pamiętasz, jak opowiadał o taczance, która jeździła od chaty do chaty i trupy po drodze zbierała? A trupów było co nie miara. Trup na trupie leżał. Zmarlak na zmarlaku. Kobiety, dzieci i starcy. Nawet pogrzebu nie wolno było im robić. Władza sowiecka na to nie pozwalała. Jak by było do jednego dołu wszystkich nieboszczyków wrzucali i ziemią zasypywali. Jakby człowiek był plewą albo śmieciem. Usłyszała kroki ojca, skrzypienie drzwi szafki i zaszleściły papiery. Po chwili usłyszała.

- O, proszę - ojciec czytał: - Siódmego sierpnia 1932 roku został na sowieckiej Ukrainie wydany tzw. „Dekret pięciu kłosów”. Mówi on o karze śmierci lub długoletniego więzienia

za wszelką kradzież lub trwonienie socjalistycznej własności. - Wiesz, co to znaczy, Anno? - pytał matkę, a matka odparła, że to jakieś bzdury.

- Nie bzdury, Anno - poważnie odparł - a urzędowy dokument, który oznacza - tłumaczył - że jak kołchoźnik skradnie pięć kłosów, to czeka go pewna śmierć. Rozumiesz, śmierć. Za pięć kłosów zboża! Pojmujesz to? - urwał na moment, pewnie patrzył wtedy w oczy matki i opowiadał: - Powiem ci więcej, Anno - mówił - ten dekret obowiązuje także dzieci. Bo oni się i dzieci boją. Komuniści boją się maluchów! Za każdego schwy-

52

tanego dzieciaka kapuś otrzymuje nagrodę. Piszą tutaj, o proszę „znowu zaszeleścił papier - że, ... no... gdzie to jest... aha, tutaj, że od sierpnia 1932 do grudnia 1933 roku na podstawie „Dekretu o pięciu kłosach” skazano na śmierć, więzienie lub łagier ponad sto dwadzieścia pięć tysięcy osób. Wyobrażasz sobie, sto dwadzieścia pięć tysięcy osób, Anno. W tym połowa to dzieci. I pisze to „Gazeta Lwowska”. Posłuchaj - czytał:

Ludzie, widząc zbliżające się mrozy i to, że plony z pól w całości komuniści wywożą do sowieckich magazynów w Moskwie, potajemnie, w blasku księżyca szli w nocy na pola i zbierali kłosek po kłosku, by jakoś przetrwać zimę. Ale wielu z nich nie przeżyło. Bo na specjalnych wieżyczkach strzegli pól komsomolcy albo działacze partyjni z karabinami w rękę i za każdego schwytanego chłopca dostawali w nagrodę dodatkową porcję chleba. Więc strzelali do nich albo prowadzili na posterunek.

Ojciec na moment zamilkł. A potem spytał.

- A słyszałaś o tym kapusiu, który na swego ojca doniósł, że zboże ukrywa. Słyszałaś, Anno? Ale matka nie słyszała, więc ojciec powiedział.

- Stworzyli całą sieć agentów i donosicieli. No, i znalazł się niejaki Pawka Morozów, czternastoletni chłopak zza Uralu, który zakapował swojego ojca za ukrywanie zboża.

- Jak to, ojca? - zdziwiła się matka.

- Tak, Anno, doniósł na swojego rodzzonego ojca.

- I co się stało? - nerwowo spytała matka.

- Jak to co? Ojca natychmiast zamknęli, a Pawka Morozów stał się symbolem nowego sowieckiego systemu. Donosicielstwo i zdrada stały się oznakami cnoty i dobrych obyczajów. Chodziło o to, by rozbić rodzinę, Anno. By sponiewierać zasady i ludzką godność. By zasiał wśród najbliższych nieufność, podejrzenie i strach. By jeden drugiemu nie wierzył. By żona mężowi nie wierzyła, mąż żonie, syn ojcu, a córka matce. W takim porządku, Anno, łatwiej się ludźmi rządzi. I można im wmówić wszystko, najgorsze łajdactwo. Najpierw więc niszczyli tradycyjny system wartości, dobro, dumę, godność, uczciwość, piękno i mądrość. Robili z tego miazgę. By nikt nie odróżniał dobra od zła, prawdy od kłamstwa, mądrości od głupoty i piękna od brzydoty. Bo jak się ludziom w głowie

53

pomiesza, to można z nich ulepić każdą kukłę. Bez honoru i własnego zdania. Więc mieszają i będą mieszać. Bo to taki diabelski system. Ale na tym nie koniec, Anno.

Kasia nie rozumiała wszystkiego, co ojciec mówił. Używał słów, które do niej z trudem docierały. Ale czuła, że to, o czym mówił, jest groźne.

- Co jeszcze? - niecierpliwie spytała matka. Ojciec chwilę odczekał i rzekł.

- Tego kapusia zarznął jego własny dziadek.

- Jak to zarznął? - trwożliwie spytała matka.

- Wziął nóż i poderznął mu gardło.

- Nie, to za wiele, jak na jeden wieczór - powiedziała matka. Kasię ogarnął strach.

- A potem, ma się rozumieć, Sowietci rozwalili dziadka - rzekł ojciec. - Wasylko tego wszystkiego nie wytrzymał. I uciekł. I Hryćko uciekł. I Kundera uciekł. I Świszczuk uciekł. Uciekają od zarazy. Nie zważają na więzienia, katongi i kulę w łeb. Mało ich tu po

okolicznych wioskach osiadło? - spytał i sam sobie odpowiedział: - Masa narodu, Anno. Masa narodu. Bo Polska przyjęła ich jak swoich i stała się dla nich matką.

Westchnął i spytał:

- A wiesz, co było najgorsze?

- Co? - cicho odezwała się matka.

- To, że chłopci z głodu zjadali własne dzieci.

- Jak to? Co ty pleciesz? - Kasia usłyszała wystraszony, jakby drżący głos matki.

- Posłuchaj - mówił ojciec. - W pewnej wsi mieszkał tęgi chłop z dwójką pulchnych, małych dzieci. Głód do niego jeszcze nie dotarł. W nocy przed jego domem zjawili się dwaj mężczyźni. Chłopa w chacie nie było. Ci dwaj o tym wiedzieli. A baba spała jak zabita. Zakradli się do sypialni, udusili synka i córeczkę, i po cichu wynieśli na dwór. A potem nad rzekę. Tam przygotowanym wcześniej tasakiem pocięli ciało na kawałki i powsadzali do garnków. Mięso zanieśli swoim kobietom. Kobiety w milczeniu mięso posoliły, a potem przez kilka dni gotowały dziecięce języki, serca, żołądki i pośladki. Kroiły i podawały pociechom, które niczego nie podejrzewając, zjadały jak najlepsze smakołyki.

54

_ Nie - jęknęła matka. - Nie mów, proszę.

- Anno, musisz wiedzieć, jaki jest świat. Bo czasami wydaje mi się, że za bardzo błędzisz w obłokach. A to realne życie. Ciało i krew, Anno. Tak powiedział, ciało i krew.

I oboje zamilkli.

55

WIELKA NARADA

W domu odbywała się narada rodzinna. Obok matki i ojca, uczestniczył ksiądz Robert. Zastanawiali się nad tym, w jakiej szkole ulokować Kasię.

Kasia nie brała w tym udziału. Poszła do Saki, by posłuchać jej opowieści o planach na przyszłość. Była pewna, że Salcia wybiera się do lwowskiego gimnazjum. O Drohobyczu coraz mniej mówiła. Ale od jakiegoś czasu wiele malowała. I to zastanowiło Kasię. Zupełnie zapomniała o śpiewie i wielkiej karierze operowej. Dlatego Kasia uznała, że coś się za tymi rysunkami kryje i postanowiła przyjaciółkę dokładnie wy badać.

Tymczasem młynarzowa zerwała się z krzesła i pokrzykiwała:

- Tylko Lwów, Jakubie. Nic innego, tylko Lwów.

- Za daleko - burknął młynarz.

- Jak to za daleko? - obraźliwie fuknęła. - Oboje tam studiowaliśmy. I nie było za daleko!?! To i Kasia może...

- Ale to się wiąże, Anno, z wielkimi kosztami - nie dawał za wygraną.

- Nie jesteśmy biedni! - wrzasnęła, aż ksiądz Robert, dotąd zanurzony we własnych myślach, raptem się ocknął. - Nie bądź sknerą! - wołała - Nie oszczędzaj na córce!

- A ty nie bądź w gorącej wodzie kąpana - odpalił. - Ceny poszły w górę. Wszystko drożeje - bronił się.

- No widzisz. Sam widzisz, że trzeba było jechać do Ameryki - zgryźliwie przypomniała.

- Nie kłóćcie się - wtrącił się ksiądz Robert. Zacisnęła dłonie.

- Zawsze tak jest, gdy mamy podjąć ważną decyzję - rzuciła

56

oskarżycielskie spojrzenie na męża. - A co ty o tym myślisz, wuju Robercie? - spytała księdza.

- Ja bym najpierw z Kasią porozmawiał. _ sto razy już o tym z nią rozmawiałam. -I co?

- Ona jest zakochana we Lwowie. Tak jak ja! - podkreśliła z emfazą. - Wielkie miasto, wuju, uczelnie, teatry, literackie kawiarnie, opera, wybitni profesorowie, Banach, Steinhaus, słynni piosenkarze, aktorzy, Horzyca, Schiller, Modrzejewska, Micho-tek, cudowna Lwowska Fała, która daje tyle radości...

- Ale Lwowską Falę, Szczepcia i Tońcia w domu możesz posłuchać - zgryźliwie przerwał młynarz.

- Brutal! - prychnęła.

- Ależ Anno, nie możesz tak... - upomniął ksiądz.

- On nic nie rozumie, wuju Robercie - z żalem rzuciła. - Nic!

- Anno - ksiądz łagodnie napięcie - proszę cię, ostudź emocje. To rzeczywiście poważna decyzja.

- A co mam rozumieć? - spytał młynarz, nie poddając się.

- Przecież to nie o słuchanie Lwowskiej Fali chodzi - z dezaprobatą rzuciła.

- A o co?

Rozłożyła ręce i z politowaniem patrzyła na męża. A potem z naciskiem wyrzekła:

- Chodzi o to, mój drogi, by była odpowiednia atmosfera, w której się będzie kształtowała dusza naszej córki, rozumiesz?

- przyglądała mu się nieufnie, zgorziona.

- Anno - młynarz ciężko westchnął, podniósł się z krzesła, przez chwilę się zastanawiał, pochylił się ku żonie i powiedział:

- masz szczególnie dar uwznioślenia rzeczy.

- Ja!?! - wybuchła, a jej oczy zapłonęły gniewem.

- Tak, Anno, ty - spokojnie, ale stanowczo odrzekł. - Ale proszę cię, nie unoś się.

- Uwznioślenia rzeczy!?! Też mi?! - obraziła się, nie mogąc się pogodzić z tak straszliwą obelgą. - O co ci chodzi? - patrzyła rozczarowana.

- Chodzi mi o to, Anno, że jesteś humanistką, masz silnie roz-

57

winiety instynkt twórczy i twój świat składa się tylko z rzeczy pięknych i wzniosłych.

- No, tak - przyznała. - A jest coś w tym złego?

- Nic - odparł łagodnie, wyraźnie pragnąc wyciszyć spór. - To samo w sobie nie jest złe.

Nawet, hm, jakby ci to powiedzieć, ujmujące i urocze...

- Więc? - natarła.

- Proszę, Anno, nie atakuj mnie, jakbym był twoim wrogiem - uspokajał. - Bo nie jestem. I ty dobrze o tym wiesz.

- Do czego zmierzasz? - badała go.

- Do tego, Anno, byś zrozumiała, że zmienia się czas, zmieniają się warunki, inne rzeczy dochodzą do głosu...

- Jakie rzeczy? O czym ty mówisz? - spytała niespokojnie. 1

- O tym, że ludzie nie żyją dzisiaj tylko książkami, poezją, teatrem, operą i Lwowską Falą - spojrzał na nią pytająco. - Rozumiesz?

- Nie! - krnąbrnie odparła.

- Właśnie - tłumaczył - wciąż ci się wydaje, że jesteś studentką, ganiasz po teatrach i kabaretach. I w tym kierunku pchasz Kasię.

- Bo chcę, by była mądrą i wykształconą panną. Nie ma w tym nic naganego.

- Istotnie, w tym, by była mądrą i wykształconą panną, nie ma nic naganego. Ale są różne drogi do wykształcenia. Nie tylko szkoły humanistyczne. Dzisiaj świat idzie w stronę bardziej praktyczną...

- To znaczy?

- Potrzebni są lekarze, nauczyciele, inżynierowie, prawnicy, ekonomiści, specjaliści od różnych dziedzin życia. Nie można tylko jednostronnie patrzeć w przyszłość. By dobrze ulokować się w życiu i rozumieć świat, Anno, trzeba mieć wiedzę z różnych dziedzin.

- Więc nie chcesz, by została humanistką? - z oburzeniem spytała.

- Nie powiedziałem tak... -A jak?

- Chodzi o to, że nadmiernie w niej rozbudowujesz... jakb

ci to powiedzieć - zastanowił się - sferę fantasmagorii... hm -zamyślił się. - No... te różne romantyczne uniesienia, duchowe ekstazy. A przecież...

_ Co przecież!/? - gwałtownie przerwała.

_ Wybacz, moja droga, świat dzisiaj zmierza ku konkretem.

- Ku konkretem? Jakim konkretem? - nie mogła uwierzyć, że istnieje coś takiego jak konkret.

- Mam na myśli różnorodność wyborów, wielość światów, form, zadań, profesji...

- Kuba, czy ty nie czujesz, że twoje dziecko to dusza artystyczna? - patrzyła na niego z wyrzutem. - Stadami pochłania książki, pisze wiersze...

- Czuję, Anno, że pod twoim wpływem oderwała się całkowicie od życia.

- Jak tak możesz mówić? - patrzyła na niego zirytowana. -Wuju Robercie - zwróciła się do księdza - odezwij się. Powiedz coś. Nie siedź tak bez słowa.

- Ale co ci mam powiedzieć, Anno? - ksiądz bezradnie rozłożył ręce. - Co?

- No, doradź nam, wskaż jakąś drogę, podpowiedz. To sprawa ducha...

- Powiem wam jedno - ksiądz popatrywał to na jedno, to na drugie. - Za wcześnie dzielcie skórę na niedźwiedziu. Kasia ma przed sobą jeszcze cztery lata gimnazjum i dwa lata liceum. I ma czas, by podjąć właściwą decyzję, kim zostanie. Dla mnie najważniejsze jest coś innego...

- Co? - nie spuszczała z księdza oka.

- To, Anno, by Kasia miała solidne podstawy religijne w swoim życiu. By miała bliski kontakt z Bogiem. Bo w życiu różnie bywa. Niezależnie od zawodu. Tak samo poetka jak inżynier, czy matematyk potrzebują duchowego wsparcia. A nie zawsze to wsparcie przychodzi od człowieka. Nieraz, nie daj Boże, człowiek zostaje sam jak palec na świecie. I co wtedy? Na kim ma się oprzeć? Bez religii i Boga trudno szukać głębszego sensu w życiu. Gdy Kasia na tym fundamencie będzie dobrze osadzona, to nic złego jej w życiu nie grozi, a reszta sama przyjdzie.

59

- Ależ wuju Robercie, nie o tym mówimy.

- A o czym?

- Kasia, jak wiesz, jest dziewczyną głęboko wierzącą. I ma -jak sam to nazwałeś - zbudowane silne fundamenty religijne. A Kuba, jeśli dobrze zrozumiałam, mówi o praktycznej stronie życia. Ale przecież ja też, wuju Robercie, o praktycznej stronie życia mówię. I chcę ciebie spytać, czy jest coś nagannego w tym, że kieruję jej uwagę na Lwów?

- Nie, Anno, w tym nie ma nic złego - odparł ksiądz. - Ale myślę, że Jakubowi chodzi o coś innego.

-O co?

- O to, jak mniemam, że nadmiernie wpychasz Kasię w ramiona Pegaza. Czy nie za wcześnie?

- Obaj jesteście przeciwko mnie! - krzyknęła.

- Nikt nie jest przeciwko tobie, Anno - wkroczył młynarz. -Czasy są niespokojne, z zachodu wieją ciemne wichry. W Niemczech doszedł do władzy Hitler...

- A co mnie obchodzi jakiś Hitler? - wybuchła. - Mnie obchodzi moja córka! - z naciskiem powiedziała. - Lwów ma najlepsze szkoły.

- I najdroższe - ponuro rzekł młynarz.

- Nie! To jakiś obłęd!/? - krzyknęła. - Jesteś kutwą, skapira-dłem i dusigroszem! Pieniądze i pieniądze! Tylko pieniądze liczysz!

- No, dobrze, Anno - złożył ręce jak do modlitwy - posłuchaj mnie. - Dzisiaj wszelkie opłaty za wysłanie dziecka do Lwowa wyniosą nas około tysiąca złotych. A może nawet półtora tysiąca rocznie. Sama szkoła, internat, czesne, to prawie sto złotych miesięcznie. A wiesz, co

to znaczy sto złotych? Spójrz na ceny. Dobra krowa kosztuje sto złotych. Czyli w roku musimy przeznaczyć na Kasię ponad dziesięć krów.

- Boże, krowa!? Jak tak możesz? - gniewnie rzuciła.

- Anno, dokładnie to sobie obliczyłem. Nie chcesz krowy, to podam ci inne zestawienia.

Ubranie w dobrym guście kosztuje czterdzieści złotych. Świnia dziewięćdziesiąt...

- Przestań! - krzyknęła. - Nie mogę tego słuchać! - z obrzydzeniem rzuciła i ruszyła w obchód pokoju.

60

_ A dochodzą jeszcze opłaty dodatkowe - młynarz nie ustępował - książki, komitet rodzicielski, mundurki, dojazdy, wycieczki, kieszonkowe, teatr, kino, nieprzewidziane wydatki...

Zatrzymała się przed nim zde gustowana.

- Nie miej mi za złe - młynarz się uparł i postawił na swoim - że o stronie materialnej wspominam. Wiem, że to razi twoje uszy. Wiem, że palpitanie serca dostajesz, kiedy o tym mówię. Ale ja, Anno, w przeciwieństwie do ciebie, jestem realistą i muszę twardo stać na nogach.

- A ja niby nie? Same fanaberie?! Tak?! To chcesz powiedzieć? - obraziła się.

- Kochani - wtrącił ksiądz. - Podniesionymi głosami do niczego nie dojdziecie. Proszę, usiądźcie i spokojnie rozważcie, co wybrać, by Kasia była zadowolona, a ty, Anno, byś miała satysfakcję. Ty zaś, Jakubie, byś powiązał wszystko w jeden węzeł. Proszę, siadajcie.

Po chwili wahania oboje usiedli. Młynarzowa jednak bokiem do młynarza.

- A teraz posłuchajcie mojej rady - odezwał się ksiądz. - Nie musicie jej uwzględniać. Ale posłuchajcie. Życie istotnie staje się coraz trudniejsze i droższe. Widzę to po datkach na tacę w kościele. Ledwie mi starcza na przetrwanie, a czeka mnie jeszcze remont dachu, budowa kapliczki, słowem, ciężko. To znaczy, że z każdym groszem istotnie trzeba się liczyć.

- Liczyć i liczyć...! - nerwowo zareagowała młynarzowa. - I ty, wuju Robercie, ksiądz, osoba duchowna, zamiast o duchu mówić i moje duchowe zamiary wspierać, o pieniądzach rozprawiasz. - Z oburzeniem w oczach na niego patrzyła.

Ksiądz na moment zamilkł. Ale po chwili spokojnie powiedział:

- Może nie wiesz, Anno, ale nawet w naszej wsi bieda ludziom do gardła zagląda. Ty, dzięki Bogu, nie narzekasz, bo masz obrotnego męża, który bardzo dba o rodzinę.

- A ja niby nie dbam? - skoczyła mu do oczu.

- Proszę, nie denerwuj się. Naturalnie, że dbasz. Ale przecież Wiesz, że młyn stoi na Jakuba głowie. Nie o tym jednak chcę mówić.

61

- A o czym? - była nadąsana.

- Otóż na przednówku bieda na wsi aż piszczy. Nieraz widzę, jak do kościoła chłopci boso przychodzą. I serce mi się kraje. Ale co ja mogę zrobić? - rozłożył ręce. - Wiem, że już zapalki na dwoje, albo i na czworo dzielą. A na nowego konia to tylko bogacze mogą sobie pozwolić. Bo dobry koń kosztuje, Anno, dwieście złotych. Ludziom cukru brakuje, soli...

- Chyba przesadzasz, wuju - nie zgodziła się. - To za Zbruczem tak się dzieje. Na sowieckiej Ukrainie taka nędza. Ale nie u nas. U nas, dzięki Bogu, nikt jeszcze z głodu nie umarł.

Mówiliśmy już o tym z Kubą - zerknęła na męża, który trwał w zadumie.

- To prawda, Anno, prawda. Los nas jeszcze oszczędza. Chcę tylko, byś wiedziała, że oboje powinniście w Kasię mądrze zainwestować. Bo to dobra i wrażliwa dziewczyna. Tylko inwestujcie bez nadmiernego przepychu. Bo nie wiadomo, w jakim kierunku świat pójdzie.

- I ty kraczesz? - z niewiarą patrzyła na księdza.

- Nie kraczę, Anno, tylko obserwuję, co się dzieje - ksiądz panował nad głosem - czytam gazety, słucham radia i wyciągam wnioski.

- No, dobrze - włączył się młynarz i ku zaskoczeniu żony, powiedział - skoro upierasz się Anno, by Kasię do Lwowa na naukę wysłać, to wyślemy.

- Naprawdę? Zgadasz się? - zerwała się z krzesła i podskoczyła do młynarza, całując go w policzek.

- Tak, Anno, zgadzam się - odparł poważnie, cmokając ją w dłoń - bo dobro naszej córki jest najważniejsze.

Ksiądz Robert tylko się uśmiechnął. Szybko postanowili, że zgodnie z życzeniem młynarzowej, Kasia razem ze swoimi przyjaciółkami już za kilka dni zostanie odtransportowana do Lwowa. A osobiście zajmie się tym sam młynarz.

I wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie nagłe wtargnięcie rozgorączkowanej Kasi. Wpadła do domu z płaczem. Rzuciła się w ramiona matki i mówiła przez łzy, że Salcia i Saraj nie wybiorą się do Lwowa, ponieważ znalazły inną szkołę. Natychmiast wyjadą do Drohobycza, bo tam jakiś żydowski nauczy-

62

ciel rysunku uczy. A one już nie słynnymi solistkami zostaną, tylko wielkimi malarkami. Młynarzowa nie mogła tchu złapać. A ksiądz Robert i młynarz patrzyli na siebie w roztargnieniu, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Kasia wyplakała się matce w mankiet, a pod wieczór poszła na górę i bardzo smutna, zanotowała w zeszycie: Jestem roztrzęsiona. Salcia i Sara zdradziły mnie. Przez całe tygodnie marzyliśmy o wielkim lwowie, a tu taki zawód. Obie dały się namówić rodzicom, by pójść do jakiegoś zapyziałego Drohobycza. Żeby tam przynajmniej choć jeden wybitny człowiek się urodził. A tam, w pobliżu, tylko naftę wydobywają. Ale co to za atrakcja - nafta. Pfu! Na dodatek Ksenia, której zaniósłam tę wiadomość, oznajmiła mi smutna, że ona w ogóle nie pójdzie do gimnazjum, bo w domu policzyli i okazało się, że jej ojca nie stać na internat, a tym bardziej na kwatery prywatną, bo strasznie dużo to wszystko kosztuje. A Ksenia za biedna na taki wydatek. Bardzo mi żał Kseni. Ale ona nie załamuje się. Powiedziała, że ojciec będzie zbierał pieniądze i za rok albo dwa, jak dobrze pójdzie, wyśle ją do szkoły, choćby do Kołomyi. Bo tam jest najtaniej. I w taki sposób rozleciały się nasze wspólne plany. Już razem nie będziemy się uczyć. Mama i tata zgodzili się, by mnie, tak jak prosiłam, do Lwowa wysłać. Choć teraz sama już nie wiem, czego chcę.

63

CHOROBA SARY

Kasia została przyjęta do gimnazjum. Zdawało się, że wszystko już zapięte na ostatni guzik i tego dnia znajdzie się w szkole, gdy zwałił się na jej głowę nowy kłopot. Rano dowiedziała się, że ciężko zachorowała Sara. Pobiegła do niej i nie poznała jej. Sara dostała strasznych plam na ciele i leżała w łóżku. Jej plecy pokryły brązowe skazy z wysiękami, twarz zaróżowiła się i zapadła. Czerwone plamy wykwitły na ramionach, plecach i nogach.

- Sara - wyszeptała Kasia. - Co ci jest?

Sara nie odpowiadała. Miała otwarte oczy, patrzyła przed siebie, ale Kasi nie widziała.

Przyjechał lekarz, osłuchał, załamał ręce i oznajmił, że natychmiast musi odtransportować ją do szpitala w Stanisławowie. Matka spytała, czy na pewno, a on odrzekł, że na pewno, ponieważ choroba wymaga, jak się wyraził, konsylium, bowiem wiele chorób ma podobne objawy, a bez dokładnego zbadania, nie jest w stanie stwierdzić, jakie procesy zachodzą w jej organizmie. Matka szybko Sarę ubrała, wsadziła do czarnej limuzyny, sama usadowiła się obok, lekarz usiadł za kierownicą i ruszyli.

Kasi odechciało się jechać do Lwowa. Zamknęła się w pokoju i zwierzała się dzienniczкови z nowego zmartwienia. Przyjaźniła się z Sarą. Bardzo ją lubiła. I oto Sarę zabrali. Nie wiadomo na jak długo. I czy wyjdzie z tego.

Nie była w stanie wyjechać. Popadła w apatię. Salcia idzie do Drohobycza. Sara chora.

Ksenia smutna. A ona została sama. Nie odzywała się. Chodziła po pokoju, patrząc pod nogi,

aż młynarzo-wa się zmartwiła, czy też nie jest chora. Dyskretnie ją obserwowała i sprawdzała, czy nie pojawiają się na szyi czerwone plamki.

64

Na szczęście ciało Kasi było zdrowe, tylko z duszą działo coś niepojętego. Wadziła się z myślami. Kaprysiła. Dąsała się. Nie dość, że sama musi iść do Lwowa, to na dodatek nie może się uczyć w szkole, w której się uczył Staff, ani w tej, do której chodził Makuszyński, bo, jak się okazało, były to gimnazja męskie. By obraz nieszczęścia dopełnił się, znajdzie się w gimnazjum, z którego żaden wybitny poeta nie wyszedł. A tak bardzo chciała się uczyć w murach, nad którymi unosi się duch poezji. Aż w końcu się udobruchała, ożywiła się nieco i przestała kręcić nosem. Matka przekonała ją, że nie ma co rozdzierać szat, najważniejszy jest sam Lwów, a nie jakieś zapyziałe prowincjonalne miasteczko, choćby Drohobycz, aluzyjnie dodała. Bo Lwów to Lwów. Centrum życia kulturalnego Polski i Kasia szybko miasto pokocha i będzie szczęśliwa. Chcąc nie chcąc, Kasia poczęła się pakować, by szukać tego wymyślanego szczęścia.

65

LWÓW

Poszła do Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego im. Zofii Chrzanowskiej we Lwowie, z ciekawym architektonicznie czteropiętrowym gmachem i dużym ogrodem przy ul. Zielonej 22. Była to szkoła mieszana, składająca się zarówno z klas humanistycznych, jak i matematyczno-przyrodniczych, co szczególnie odpowiadało młynarzowi, bo, jak powiadał, nigdy nie wiadomo, jakie jeszcze talenty Kasia w sobie odkryje. Bo człowiek nie samą poezją żyje, kwaśno skwitował.

Obie panie jak kotki na niego prychnęły, ale on się skrył za dymem z fajki, a one paplały dalej.

- I pamiętaj Kasiu - pouczała młynarzowa - że jesteś panną z dobrego domu!

Potem posadzili Kasię na bryczkę, w oku młynarzowej zakręciła się łza, młynarz świsnął batem i bryczka ruszyła. Na dworcu w Kołomyi Kasia mocno uścisnęła brata, a Mariusz żartując, krzyknął, gdy już z ojcem była w pociągu:

- Tylko wszystkich kawalerów, nie zwal u swoich nóg - łobuzersko się uśmiechnął, Kasia zdążyła mu pogrozić pięścią, a on wskoczył na bryczkę, zawrócił konia i pognał do domu.

Po tygodniu młynarzowa otrzymała list. A po nim drugi. Kasia opisywała, jak wygląda szkoła. Jest ogromna i bardzo pięknie położona, wśród drzew i egzotycznych krzewów. Nie brakuje kwiatów, a szczególnie róż. Nie odczuwa się miejskiego gwaru. Nauki jest dużo i jak na razie nie może ogarnąć całości. Wszystko nowe, zagadkowe i trudne. Ludzie są innego pokroju niż na wsi. Inaczej mówią, inaczej się ubierają, inaczej patrzą, inaczej się zachowują. Nie zdołała się jeszcze z nikim zaprzyjaźnić. Czuje się samotna i opuszczona. Gdyby nie dzienniczek, któremu się

66

zwierza z każdej myśli, byłoby jeszcze gorzej. Choć pełno tu panienek, pisała, i najrozmaitszej paplaniny, ją ogarnia pustka i nie może się z niej otrząsnąć. Samotność bardzo silnie odbija się na \e\ uczuciach. I słowo samotność, jak obliczyła młynarzowa, aż pięć razy się powtórzyło.

Gwałtownie zapragnęła Kasię zobaczyć. Chciała już następnego dnia wyruszyć do Lwowa, ale młynarz ją powstrzymał, tłumacząc, że dla Kasi ważna jest adaptacja, a samotność to cena za dojrzwianie. Na szczęście, dodawała Kasia, nostalgii zabijają po trosze nowe wrażenia. A jest ich mnóstwo. I rozwodziła się, jak to panny z dobrych domów ekscytują się strojami „studentek” i z dumą podkreślają, że są już „studentkami” i bardzo się tym słowem upajają. Wszystkie chodzimy w ciemnogrnatowych mundurkach - pisała - ale co innego, kiedy się widzi jeden mundurek, a co innego, kiedy dwieście panienek w takich samych strojach w jednym pomieszczeniu się kręci. Kiedy mi zamówiłaś, mamuś - pisała - odpowiedni dla tej

szkoły mundurek, nie zdawałam sobie sprawy, jak się zaprezentuję w nim tutaj. Ale prezentuję się znakomicie.

W części listy były adresowane do całej rodziny, w części zaś tylko do matki.

Ten fragment korzystnie podziałał na nastrój młynarzowej.

Kasia z detalami opisywała, jak w mundurkach wyglądają. I że skromniejsze wydają się mundurki na co dzień, czyli granatowe bluzy z kołnierzem i w takim samym kolorze spódniczki, a inaczej, kiedy nakładają barwne galowe, białe bluzeczki z marynarskimi kołnierzykami i plisowane spódniczki, a na głowach noszą granatowe czapki z błyszczącymi daszkami i kolorowymi otokami w barwach szkoły, z wpiętymi złotymi orłami.

Uczymy się polskiego - pisała - matematyki, łaciny, historii, niemieckiego, francuskiego, biologii, geografii, fizyki, śpiewu, ćwiczeń cielesnych, prac ręcznych i religii. W starszych klasach dojdzie greka i inne przedmioty. Rano mamy apel szkolny, a lekcje zaczynamy modlitwą. W niedzielę idziemy do kościoła. Ładne są nowe drewniane ławki z otworami na kałamarze. Mnóstwo pomocy szkolnych, mapy, globusy, wypchane zwierzęta, modele maszyny parowej, telefonu Bella i inne. W większości jesteśmy katoliczkami. Kilka panien należy do kościoła ewangelickiego. Kilka do unic-

67

kiego. I kilka chodzi do synagogi. A jak odbywają się lekcje religii, to one opuszczają salę katechetyczną i udają się do innych klas. A dyrektorem szkoły jest pan Gajczak, bardzo elegancki i dystyngowany mężczyzna. I podobno, jak mówią panny ze starszych klas, bardzo surowy i wymagający.

Całuję Was, a tego mego brata, drania Mariusza, mocno ściskam. Pozdrówcie ode mnie Ksenię i Sarę.

Wasza Kasia

I było jeszcze post scriptum, które bardzo młynarzową rozbawiło, a młynarza rozsierdziło.

Zaś Mariusz tylko zjadliwie bąknął: - Kawalera szuka! - A brzmiało tak:

Dowiedziałam się, że we Lwowie stacjonuje 14. Pułk Ułanów Jazło-wieckich. Czy to prawda?

Młynarzową wybuchła śmiechem. A młynarz przybrał surową minę i burknął:

- Za wcześnie na amory, Anno. Nie podsycaj w niej tych uczuć. Najpierw nauka!

I wyszedł z domu. Dla młynarzowej to ostatnie zdanie było wskazówką, że Kasia przezwycięża chwilowy, jak się jej zdawało, kryzys, stan rozchwiania i bezradności.

Szybko odpowiedziała na list, pozdrowiła Kasię i prosiła, by koniecznie do domu przysyłała częściej korespondencję.

68

TAJEMNICZY NAUCZYCIEL

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie. Poświęcona została głównie Salci i jej tajemniczemu nauczycielowi rysunku, Schulzowi. Kasia powiadamiała, że Salcia czuje się w Drohobyczu szczęśliwa i znalazła to, co lubi. Mieszka u kuzynek, które są gimnazjalistkami i licealistkami. I razem się uczą. A nauczyciel rysunku, ów Schulz, tak ją urzekł, że już od pierwszych lekcji głównie rysunkami żyje. Niemal cały list jemu poświęciła, jakby nową gwiazdę na niebie odkryła. Że pochodzi ze znanej w Drohobyczu żydowskiej rodziny. Że jego ojciec jest właścicielem sklepu tekstylnego w centrum miasta. A rysunku uczy nie tylko w jednej szkole, ale we wszystkich szkołach średnich Drohoby-cza. To bardzo wstydlivy pan, pisała. Rzadko podnosi wzrok na swoje uczennice, a jak podniesie, to cały jest roztargniony i zakłopotany. Nieraz skrada się pod płotami, trzymając się sztachet, jakby był pijany. Ale on nie jest pijany, tylko bardzo zamyślony. Bo to niezwykle mądry profesor i prawdziwy artysta. Z wielkimi czarnymi oczami, w których kryją się rozmaite tajemnice, ale ona, Salcia, jeszcze ich nie odkryła i nie wie, co to za tajemnice. Schulz ma ciemne włosy, długie, dziwny i jakby nieco wykręcony nos, duże uszy i czesze się z przedziałkiem na lewą stronę. Ma bardzo

sympatyczną i niezwykłą twarz. I tak przeszywające spojrzenie, że panienkom kolana się trzęsą. I co najważniejsze, i co ją, Kasię zainteresowało szczególnie w liście Salci, ów Schulz pisze opowiadania. I jedno z tych opowiadań wydrukowali już w gazecie. Nosi ono tytuł „Ptaki”. I Kasia prosi, by matka to opowiadanie przeczytała, bo podobno ciekawe. Starsza kuzynka Salci, Chawa, dobrze zna Schulza, bo tutaj wszyscy Żydzi się dobrze znają. I może któregoś dnia pan Schulz przyjdzie do niej

69

i wtedy Salcia porozmawia z nim nie jako z nauczycielem, ale ze znajomym, pisarzem, przyjacielem rodziny.

Młynarzowa zamyśliła się i uznała, że Kasia za bardzo ulega sugestiom Saki i przejmuje się jakimś małomiasteczkowym grafomanem, których bez liku dzisiaj krąży po prowincji, podczas, kiedy ona, Kasia, we Lwowie ma na wyciągnięcie ręki cały kwiat polskiej inteligencji, artystów, pisarzy, wielkich aktorów, kompozytorów i solistów. I nimi powinna się zająć, a nie byle jakim pa-cykarzem. Zerknęła jeszcze raz na list i zatrzymała wzrok na ostatnich zdaniach, w których Kasia pisze o samotności. Że czuje się coraz gorzej. Że samotność ją przygniata. A wielkie miasto zabija ją i niszczy jej duszę. Przytłacza i dławi. Tak napisała, przytłacza i dławi. To zdanie wstrząsnęło młynarzowa. A więc jest gorzej, niż myślałam, wbijała wzrok w kolejną samotność w liście.

70

KŁÓTNIA

Wieczorem poinformowała męża, że z Kasią dzieje się niedobrze, należy do niej pojechać i wzmocnić jej psychikę. Ale młynarz twardo rzekł, że nie, niech się Kasia hartuje, inaczej nigdy nie stanie samodzielnie na nogach. Życie to nieustanne pasmo wyzwań i niespodzianek, rozgadał się, wprawiając młynarzowa w zdumienie. Na ogół był milczkiem i rzadko w domu zabierał głos, zajęty młynem i gospodarką. A tu w psychologa się bawi i swoje prawdy o życiu ogłasza. Rzuciła się na niego jak lwica, z pretensjami, że nie rozumie wrażliwej duszy córki. Lekceważy jej ból i cierpienie. Ale jakie tam cierpienie, odrzekł twardo, to zwykła egzaltacja, Anno. I to ją ubodło. Aż odczuła ucisk w dołku. Chciała mu przerwać, a on uniósł rękę i poprosił, by pozwoliła dokończyć. Zacisnęła zęby i czekała. A on ciągnął, że to ona, jego żona, przez lata wpajała Kasi tę egzaltację i oto są skutki. I grzmiał, że romantyczne tamtadracje, jak się wyraził, to nic innego, tylko nieszczęście dla człowieka. I zwykła pycha. Bo dzisiaj świat potrzebuje, przypomniał, twardego gruntu pod nogami, a nie romantycznych uniesień i ckliwego grzęzawiska, w jakie wpycha się młode pokolenie i ono w to grzęzawisko wpada. A służy temu ta cała rozmamfana literatura i sentymentalna sztuka. Czas najwyższy z tym skończyć. I porzucić czcze mrzonki o ckliwej duszy oraz fałszywe teorie o męczeństwie, które zbawia świat. Bo wciąż ta dusza i dusza! Jakby nic innego poza nią nie było. Zbawia nas, Anno, tylko ciężka praca, mówił. Praca u podstaw. I realne plany. Konstrukcja nas wzmacnia, życiowy pomysł i budowa, ciągła i nieustanna budowa. I konkrety, rzecz jasna, praca aż do krwi i potu, dudnił chrapliwym głosem. Mocne realne fundamenty, praktyczna strona życia. A nie hodowa-

71

ne w głowach fanaberie. Tak, Anno, patrzył na nią z wyrzutem, pod rozum trzeba stawiać fundamenty, a nie pod mgliste emocje, czułościowość i melodramatyczne, albo jak ty to nazywasz, wzniosłe uczucia. Bo to jest przekleństwo dla odradzającego się kraju. Przywara, która ciągnie się za nami od ponad stu lat. Wychowujemy całe generacje w kulcie fałszywych proroków, idiotycznych haseł i mglistych, mistycznych ideałów. Masz tego przykład na własnej córce. Nie radzi sobie w życiu, zakończył i wstał.

Tego młynarzowa miała już dość. Zrzuciła mu, że nie docenia duchowej strony życia i jest niewrażliwy, jak pompatycznie rzekła, na ból egzystencji. Na co on zareagował gorzkim śmiechem. Jaki ból egzystencji? - szyderczo się skrzywił. To zwykła megalomania.

Wściekła się i krzyknęła, że oczekuje od niego szacunku i przyzwoitego zachowania i chce, by ją natychmiast przeprosił. Była wzburzona, miała łzy w oczach i strasznie się miotła. Po raz pierwszy od lat wybuchła między nimi tak wściekła awantura. No, nie licząc walki o szkołę. A w ogóle, to skąd u niego ten nagły przyptyw zjadliwego języka zmieszanego z goryczą, a może nawet szyderstwa, zastanawiała się i gorączkowo myślała, jakie mogą być tego przyczyny. I skutki. Może uznał, że za bardzo się od niego odsunęła i zajęła się tylko Kasią. Głupia męska zazdrość, skwitowała w duchu. Nigdy tak ostro nie reagował, patrzyła na niego zażwawionymi oczami i z lękiem w sercu myślała, że dobrze go nie zna, a przecież już tyle lat z sobą żyją. I beczka soli nie pomoże, skwitowała, ponieważ człowiek wciąż kryje w sobie jakieś tajemnice.

I wtedy podszedł do niej, przytulił, pogłaskał po głowie i wyburczał, że ją przeprosza i czuje się źle w takim napięciu, jakie stworzyli. Nie chciałby jej zranić i niepotrzebnie się uniosła. To ty się uniosłaś, krzyknęła. Nie ja, Anno, tylko ty, odpowiedział. I omal nie doszło do nowej kłótni. Szybko to zrozumiał i wytłumaczył jej, że nie miał na myśli nic złego, a w żadnym wypadku nie chciał jej urazić. Tylko uświadomił sobie, że przed Kasią stanęło widmo bezradności, któremu ona sama musi stawić czoło. Ale i przed nami stanęło wyzwanie, Anno, tłumaczył. I kto wie,

72

nie trudniejsze niż przed Kasią. Widzisz, mówił już spokojnie w jaką wpadliśmy pułapkę. Ledwie córki zabrakło, a my nie radzimy sobie z jej nieobecnością. Gdyby tutaj była, nie mielibyśmy żadnych kłopotów. Chyba nie chcesz powiedzieć, z wyrzutem odrzekła, iż źle się stało, że wysłaliśmy Kasię do Lwowa. Nic takiego nie powiedziałem, odparł. Tylko nie możemy z powodu jej listów uznać, że skończył się świat. Bo się nie skończył. Tylko twoja wyobraźnia, Anno, mówił, produkuje dramatyczne obrazy...

- Moja wyobraźnia? - krzyknęła. - Przecież to Kasia pisze, nasza córka pisze, jak bardzo jest tam samotna, a nie ja. Czy ty tego nie rozumiesz, Kuba? - wbiła w niego roziskrzona oczy. Chwilę odczekał i spokojnie, lecz kategorycznie odparł.

- Przecież to nie ja nalegałem, Anno, tylko ty, by do Lwowa ją wysłać.

- A gdzie mieliśmy ją wysłać? - wzbierał w niej gniew. - Do jakiegoś zapyziałego Drohobycza? Co? - prychnęła ze wzgardą, mając żal, że chce ją obarczyć odpowiedzialnością za los Kasi.

Odczuł, że zanosi się na większą awanturę. Wiedział, że ona zaraz wpadnie w szał i zacznie histerycznie wyć. Że marnuje się na wsi. Że czuje się źle na prowincji. Podczas, gdy jej przyjaciółki odkrywają rozkosze świata. I tym podobne bzdury. A na dodatek jakoby on chce, by i Kasi życie stało się wielkim pasmem nieszczęść. Nie, nie mógł do tego dopuścić.

- Proszę, Anno - powiedział cicho - nie spierajmy się już więcej. Znowu ją mocno uściskał i ucałował w rękę. Naburmuszona,

patrzyła na niego spod oka, a on mówił, że nie ma sensu, by tracili czas na spory, poczekają jeszcze kilka tygodni i zobaczą, jak się sprawy ułożą. Ale ona zaprotestowała.

- Same się nie ułożą - patrzyła na niego z goryczą.

Chwilę się wahał i odparł, że skoro tak nalega, to może do Kasi jechać, porozmawia z nią, wzmocni ją na duchu, a on się zajmie gospodarką, do roboty wynajmie ukraińskich chłopów i wszystko wróci do normy.

73

LUDOZERSTWO

Wieczorem czytał nowy numer „Gazety Lwowskiej”, którą przyniósł listonosz. Młynarzowa nerwowo spytała listonosza, czy nie ma czegoś od Kasi, ale on odparł, że nie ma, więc odeszła z pochyloną głową. Młynarz szeleścił papierem i nagle zmieniony, gwałtownie wstał. Potrząsał gazetą i wołał:

- Anno, to przechodzi wszelkie wyobrażenia!

- Co znowu? - spytała pobladła. Była przekonana, że te słowa dotyczą Kasi. - No, mów! - chwyciła się za serce.

- Popatrz! - młynarz machał gazetą. - Nowa fala ukraińskich uciekinierów przedostała się do Polski przez Zbrucz.

Odetchnęła z ulgą. Chwała Bogu, pomyślała, Kasi się nic nie stało. Jakby na Kasię czyhało stado wilków. Patrzyła niemo jak młynarz zagryza wargi.

- Nie do uwierzenia! - kręcił głową.

- Co? - już spokojniej spytała. - Co nie do uwierzenia? Przecież już trzeci rok przekraczają naszą granicę. Czemu się tak dziwisz? Uciekają od głodu.

- Ale żeby aż tak?! - wbijał wzrok w gazetę, jakby tam widział całe chmary uciekających kołchoźników.

- Nie rozumiem cię. Mówże!

- Posłuchaj - zaczął czytać. - Uciekinierzy przynoszą niewiarygodne wiadomości. Zgrupowała się szajka złodziei. Wykradają z grobów trupy - wolno czytał, a młynarzowa wyszeptwała:

- Trupy?

Usłyszał jej szept i powiedział:

- Tak, Anno, trupy. Wykradają z grobów ciała nieboszczyków i handlują tymi ciałami.

- Handlują? - nie rozumiała, o czym mówi. - Jak to handlują?

74

_ założyli taki tajny kołchoz - tłumaczył. - Grupa sekretarzy artii- Mają swoich ludzi, najemników. Normalna szajka. Wykonują świeże zwłoki z grobów, czyszczą, wydobywają wnętrzności ćwiartują, wkładają na szerokich szuflach do rozgrzanego niecą, pieką jak chleb, dzielą na porcje i sprzedają ludziom po kawałku. To cała fabryka, która pochłania tysiące trupów. Seryjna produkcja pieczonego mięsa z ludzkiego ciała. Mają swój transport, łączność, magazyny. W zimie w lodzie umarłaków trzymają. A na wiosnę od razu pieką. Jedni wynajdują ciała, nieraz od biedaków na katafalku wykupują, drudzy grzebią się w grobach i z trumien ciała wydobywają, trzeci szukają kupców, czwarcy handlują, a szefowie gangu zgarniają pieniądze, ile się tylko da. Robota na skalę przemysłową.

- Boże! - jęknęła.

- Niewiarygodne, prawda!?! - burknął. - Ale prawdziwe. I to tak się dzieje, gdy sowieckie magazyny pękają od zboża. A potężne transporty z tym zbożem dniem i nocą odjeżdżają do Moskwy. Katastrofa, Anno, katastrofa ludzkiego sumienia.

- Aż strach pomyśleć - czuła jak wali jej serce.

- Potwierdziło to wielu kołchoźników, którzy stamtąd uciekli - potrząsał gazetą. - Przychodzi taka banda do chutoru, na wieś, czy do prowincjonalnego miasteczka i handluje mięsem trupów. Za kolczyki, koszulę, buty czy cokolwiek. I ludzie wyciągają ostatnie zaskórniaki i kupują kawałki pieczonego mięsa, byleby tylko umierające dzieci nakarmić.

- Nie! - jęknęła. - Dość.

- Tak, Anno, to są prawdziwe problemy - burknął. Następnego dnia przyszedł od Kasi list pełen czułości i młynarzowa zajęła się czytaniem.

75

WYJAZD

Odetchnęła z ulgą. Kasia sobie poradzi, pomyślała. Pierwsze frustracje minęły.

Korespondencja przychodziła rządziej, lecz kładła to na karb nauki. Młynarz jakby nawet zapomniał o Kasi. Nic złego się nie działo, więc zajął się gospodarką. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie przyjaciółka młynarzowej z dawnych lat. Właśnie napisała, że odwiedziła ją Kasia. Jest piękną i mądrą panią - zachwycała się w liście - tylko bardzo smutną.

Młynarzowa wpadła w popłoch. Dlaczego smutną? Nie zwlekając, wsiadła do pociągu i pojechała do Lwowa. Ku swemu zaskoczeniu, zastała Kasię w dobrym stanie. Okazało się, że

wtedy, gdy była u jej przyjaciółki, bolała ją głowa. Ale nic już jej nie dolegało. I bardzo się ucieszyła z przyjazdu matki. Obcałowały się, obciskały, przez kilka godzin z sobą rozmawiały. Choć istotnie, gdy się Kasia lepiej przyjrzała, wydało się jej, że Kasia jakby poblądła. - Nic ci, dziecko, nie dolega? - dopytywała, ale Kasia uspokajała, że nic szczególnego się z nią nie dzieje i matka może być całkiem spokojna. Nie zdradziła swoich kłopotów sercowych.

Następnego dnia młynarzowa przyjął dyrektor szkoły i oznajmił, że nauczyciele chwalą Kasię. Jest zdolna i wszechstronnie rozwinięta, choć, najbardziej, ma się rozumieć, uśmiechnął się, w kierunku humanistycznym. Zajrzał do dzienniczka i pogratulował tak utalentowanej córki. Oceny dobre i bardzo dobre. Wiedział już nawet, że Kasia pisze wiersze, bo właśnie powstało kółko literackie, do którego Kasia wstąpiła, a niebawem zadebiutuje w szkolnej gazecie „Pegazik gimnazjalisty”, który na dniach ujrzy światło dzienne. Młynarzowa była przejęta, serdecznie się z dyrektorem pożegnała i spytała Kasię, dlaczego jej nie powiadomiła o wierszu, który właśnie w gazecie się znajdzie. - To

76

rzecz takie ważne! - wykrzyknęła. Kasia tajemniczo się śmiechnęła i odrzekła, że chciała zrobić niespodziankę.

Przed odjazdem młynarzowa długo trzymała Kasię w objęciach. Wydawało się jej, że - jak na swój wiek - Kasia nadmiernie spoważniała i nabrała kształtów młodziutkiej kobietki.

Wyrastała na śliczną damę. Tak właśnie pomyślała, na śliczną damę. Wróciła do domu napęczniała z dumy i pełna szczęścia. Powiadomiła młynarza, że Kasia dobrze się uczy i jest zdrowa jak rydz. A on skinął głową, co znaczyło, że jest kontent. I życie potoczyło się dalej.

77

UŁANI I UROCZYSTOŚCI

Po kilku dniach Kasia napisała, że profesor Gmyrek od rysunku mówił o lwowskich muzeach. I oznajmił, że jest ich bardzo dużo. W ciągu roku będą je odwiedzać. Ten profesor - relacjonowała - to bardzo zabawna postać. Może nie tak malownicza jak pan Schulz, ale 1 też dziwak. Wygląda groźnie, robi dzikie miny, drapie się za uchem, ma krzywe zęby, długą, czarną brodę i kręcony wąsik. Marszczy brwi i kiwa na klasę palcem. Ale to tylko pozory, bo jest dobry i życzliwy dla uczniów.

Młynarzowa uświadomiła sobie, że Kasia jakby tworzy kon- j trapunkt dla profesora rysunku z Drohobycza. I pod wpływem Saki zainteresowała się profesorem Gmyrkiem i rysunkiem. A przecież ma być poetką! - krzyknęła w duchu. Nie może ule- 3 gać byle powiewowi wiatru - miała za złe córce, że nie stoi mocno na gruncie poezji, którą pojechała rozwijać w wielkim mieście.

Kasia pisała też, że ma nową koleżankę, Ormiankę, nazywa się Anahit Karenian. Bardzo wesółka i miła panienka. Czarne włosy i piękne, brązowe oczy. Niższa od niej i bardzo szczupła. Anahit opowiadała mi o potwornej rzezi - pisała - jakiej dokonali w 1915 1 roku na Ormianach Turcy. W pień wyrżnęli półtora milionów jej rodaków. Nawet się popłakała. Jej dziadek został siekierami posiekany. Było mi bar- j dzo przykro i smutno. Turcy strasznie się na Ormianach znęcali. Mężczy- 1 znom stopy jak koniom kopyta podkuwali i kazali im iść w daleką drogę. Wyobrażacie sobie, co to za barbarzyńcy. Przytuliłam mocno - pisała - I Anahit do piersi, a ona mi podziękowała. Bardzo mi przypadła do gustu. Pewnie się zaprzyjaźnimy. Młynarzowa się zadumała. A potem szukała jakiegoś zdania o samotności i większych kłopotach duszy. Ale nie znalazła. Za to Kasia zwierzała się, że widziała ułanów jazłowieckich i jak donosiła, wywarli na niej silne wrażenie. Rzeczywiście stacjonują we

78

rwowie, mamciu - zwracała się prosto do niej. Są eleganccy i znakomicie się prezentują. Z żółtymi proporczykami z wąskim białym paskiem pośrodku. A na głowach mają czapki

rogatywki z żółtym otokiem. Mają niekne mundury i są bardzo szykowani. Noszą buty juchtowe, brązowe, albo oficerki, jak są oficerami.

Nie zdradziła, że w jej sercu siedzi pewien ułan, który się na ulicy do niej uśmiechnął. I ten uśmiech każe jej teraz ścigać wzrokiem każdego, kto ma ułański mundur. Informowała, że profesor od historii, Andrzej Maliszek, mówił, że na defiladę wojskową, która może się tutaj odbyć, przyjedzie nawet sam Marszałek Piłsudski. I wtedy przypomniałam sobie - pisała - jak tatko przy winie śpiewał pewną piosenkę:

Lance do boju, szable w dłoń

Bolszewika goń, goń, goń. Teraz lepiej rozumiem te słowa - zwierzała się. - A gdy oglądałyśmy z koleżankami ułanów jazłowieckich, usłyszałam inny, ale tym razem śmieszny wierszyk. Aż wstydzę się go powtórzyć. Ale co tam, powtórzę. Jak nas mijali ułani, to jakiś chyba student, który stał za nami i nam się przyglądał, zanucił:

Prawda to od wieków znana,

Nie masz pana nad ułana. A drugi, śmiejąc się, dodał:

Hej, dziewczęta w górę kiecki!

Jedzie ułan jazłowiecki. I obaj patrzyli na nas, jak zareagujemy. A my w nogi i uciekłyśmy. Ze wstydu się bardzo zaczerwieniłam. To nieobyczajne zachowanie panów studentów, prawda. Wszystko odnotowałam w dzienniczku. Wierszyki też. Bo wszystko, co widzę albo słyszę, odnotowuję.

Młynarzowa pomyślała, że skoro Kasia obserwuje ułanów jazłowieckich i potrafi się bawić wierszykami, to nie jest źle. Uspokoila się. Nadeszły jesienne roboty Zająła się gospodarstwem, przygotowywała się do zbioru buraków i kartofli. A młynarz nowy agregat do młócenia kupił.

79

NOWE PRZYJACIÓŁKI

Kolejne listy też były pogodne. Kasia wyraźnie się zaadoptowała. Pisała o tym, jak wychowawcy zwracają uwagę na styl i maniery w szkole.

Każde wyjście na zewnątrz jest odnotowywane - informowała. Gdyby policjant złapał którąś z nas w czasie lekcji w mieście, miałby prawo zatrzymać i wylegitymować. Byłaby straszna awantura w szkole. Jedna uczennica obraziła pana woźnego z dużym wężem i musiała go przeproszać wobec całej klasy. A i tak dostała bure. A ten pan woźny to bardzo ważna figura w naszym gimnazjum. Na przerwy dzwoni wielkim dzwonem. Nosi gruby, czarny zeszyt i jak wchodzi z nim do klasy i rusza wężem, to już wiadomo, że będzie kara. Daje profesorowi do odczytania kurendę, profesor odczytuje, a klasa zamiera ze strachu, bo to oznacza, że posypią się nagany. Na szczęście w pierwszej „A” jak na razie nikogo to jeszcze nie spotkało. Nie stawiano nas do kąta ani nie kazano klęczeć na grochu. Nie toleruje się natomiast spóźniania na lekcje. Najgorsze jest „consilium abendi”, to znaczy zagrożenie wydaleniem ze szkoły. Zdarza się to rzadko i tylko za poważniejsze wykroczenia. Uprzedzano nas o tym na apelu porannym. Mam obok siebie dwie koleżanki Żydówki, Hannah i Miriam. I obie są bardzo dobrymi uczennicami. Często rozmawiam z nimi. Są miłe i życzliwe. Jak trzeba w czymś pomóc, to pomogą. Jest jedna Karaimka. Są też trzy Ukrainki. Ale nie takie jak Ksenia. Są zamknięte i tylko razem się trzymają. A Hannah ma dziwne kłopoty. Uwierzyć nie mogłam, że coś takiego może się zdarzyć. Chodzi o to, że ona wybrała polskie, a jej koleżanki żydowskie gimnazjum. I teraz tamte ją bojkotują. Śmieją się z niej, dokuczają albo pogardliwie odwracają się do niej plecami. Uważają, że zdradziła żydowską nację. A to przecież nieprawda. Ona po prostu chciała się uczyć u nas. Bo tu jest wysoki poziom. A poza tym ma bliżej do szkoły. I jest jej smutno. Polubiłam ją, a ona mnie. I zwierza się sobie. Może się zaprzyjaźnimy. Będę więc miała przyjaciółki: Ormiankę i Żydówkę. Nieraz idziemy do szkolnego sklepiku i kupujemy smaczne torciki.

80

ZNOWU SCHULZ

Z ostatniego listu młynarzowa dowiadywała się po raz setny o tym dziwnym rysowniku z Drohobycza. Schulz na lekcjach bardzo się denerwuje, pisała Kasia, jakby to był jej krewny. I koniecznie musiała zawracać nim głowę matce. Nie panuje nad rękami, pisała, i bez potrzeby nimi macha. Ma narzeczoną i nazywa się ona Józefina Szelińska. Nawet jej portret namalował. I ta narzeczona też jest nauczycielką. A kiedy Schulz rysuje na tablicy, cały jest w kredzie. Ubranie w kredzie. Twarz w kredzie. Oczy w kredzie. Rzęsy, brwi i wszystko w kredzie. Ale sam tego nie zauważa. A klasa chichocze. Kiedy uczniowie hałasują i nie może ich uspokoić, staje obrażony bokiem do tablicy, patrzy w okno i kreśli palcem w powietrzu kształt domu. Aż nadchodzi przerwa i ucieka do kamienicy przy ulicy Floriańskiej 10. Normalnie ucieka, jakby się bał ludzi. Zamyka się w domu i długo nie wychyla z niego głowy. Albo kryje się na drewnianych schodach od podwórka i siedzi w bezruchu, wpatrzony w tyły kamienic od ulicy Mickiewicza, sprawiając wrażenie, jakby w wielkiej ciszy z duchami rozmawiał. Niby coś do nich mówi, a one mu odpowiadają. A to oznacza najwyższy stopień zdenerwowania. A raz, kiedy wyszedł ze szkoły i wpadł mu jakiś pomysł do głowy, zaczął palcem rysować na stojącej limuzynie. Nie zauważył nawet, że limuzyna ruszyła. I rysował dalej. Szedł za nią i rysował. A gdy mu uciekła, wciąż kreślił rękami w powietrzu jakieś figury. A mimo to, a może właśnie dlatego, uczniowie za nim Przepadają. Wprost uwielbiają go. Bo nikt tak nie uczy rysunku jak on. I Kasia kończyła list zdaniem, że tom opowiadań, które niedawno Schulz opublikował, nazwany Sklepami cynamonowymi, Już jedna ze starszych kuzynek Saki, Chawa, czyta i niebawem Salcia, a więc i ona, Kasia, też będzie o nim więcej wiedziała.

81

Młynarzowa, zaintrygowana fascynacją dziewczyn Schulzem, postanowiła szybko zasięgnąć języka u swoich przyjaciółek, nauczycielek ze Stryja, który leży blisko Drohobycza, czy znają takie indywiduum, jak Schulz. A one natychmiast odpowiedziały, że i owszem, znają, bo na konferencjach i różnych zjazdach nauczycielskich mówi się o wielu sprawach. I niedawno usłyszały także właśnie o Schulzu. To bardzo nieobyczajny i groźny człowiek. Robi straszne rzeczy. Potajemnie maluje twarze swoich koleżanek z gimnazjum, pań profesorek albo napotkanych przypadkowo dam z towarzystwa, a potem dorysowuje im nagie piersi i często, skaranie Boskie, całkiem gołe tyłki. Porządne panny i wielce szanowane i powszechnie znane damy z Drohobycza drżą na samą myśl, że mogłyby spotkać się z nim oko w oko. Bo jak powszechnie wiadomo, to okrutny i straszny dręczyciel. I one, niewinne dziewczynki, padłyby ofiarami jego niecznych praktyk. Na widok tego potwora chyba by zemdlały z wrażenia, bo taki zasiał w ich umysłach strach. Bowiem nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. I której z nich zniecka narysuje twarz, a potem dorysowuje świński ryj, ośle uszy, albo, nie daj Boże, te okropne i straszne rzeczy na gołym ciele. Schulz jawił się więc w ich opisach, jako demon zła, przed którym należy zamykać młodzieńskie dzierłatki na cztery spusty w domu, a dojrzałe panny wysyłać za granicę. Bo tutaj, w Drohobyczu, dopadnie je wszędzie i z pewnością zepsuje dobre imię. A najlepiej zniknąć tam, gdzie pieprz rośnie.

Młynarzowa ze wstępu syknęła:

- Bezwstydnik, hulaka i erotoman!

Na dodatek przyjaciółki dodawały, że nawet sama matka Schulza potępia jego rysunki z gołymi tyłkami. Raz przyłapała go, jak maluje nagą służącą w jej domu. A ta świntucha usłużyła mu pozuje. Zbesztła ją jak burą sukę i rzuciła się na Schulza z pretensjami. Była tak wściekła, że omal go nie pobiła. I choć to jej syn, chciała z domu wyrzucić. Bo wstydu tylko przez niego się najadła. A poza tym, co za bazgroły rysuje?! Zamiast ładne pastelowe portrety wiekowych dam malować, jak czynią to czcigodni artyści od wieków, albo cudowne kresowe pejzaże szkicować lub

82

konie w biegu pokazywać, on jakieś straszne potworki prezentuje. Jakieś opętane szaleństwem poczwary, maszkarony i gar-gulce, które podglądają ogromne, gołe cielska grubych babsztyli i wstydu nie mają. - To wszystko chore! - miała się wyrazić matka Schulza. Ale znajomi wytłumaczyli jej, że to sztuka. I że Schulz jest artystą. A artystom wolno wiele. Bo inaczej świat by się nie rozwijał. Wtedy matka spytała znajomych, dlaczego akurat takie bezceństwa w jej domu jej własny syn uprawia, i to z jej własną służącą, ale odpowiedzi już nie otrzymała. Młynarzowa głęboko się zamyśliła.

EUFORIA

Nadszedł grudzień i ferie. Na dworcu w Kołomyi Kasię powitała cała rodzina. Matce rzuciła się na szyję, ojca obcałowała. Nawet Mariuszowi nie szczędziła komplementów:

- Jakiś ty przystojny, braciszku! Patrzyli na nią zaskoczeni.

- Co ci jest, Kasiu? Zakochałaś się? - spytał zgryźliwie Mariusz, z ironicznym uśmiechem na twarzy.

- Ty łobuzie! Ty draniu! - skoczyła na niego i udając, że go bije, gryzie i znęca się nad nim, strasznie marszczyła czoło.

- No, dosyć, dzieci - wkroczył młynarz. Kazał wsiadać do bryczki i wkrótce byli w domu. I tu poznali przyczyny entuzjazmu.

Okazało się, że Kasia debiutowała w piśmie literackim, „Pe-gazik gimnazjalisty”. I od razu pokazała swój wiersz. Czarno na białym wybijały się wielkimi literami dwa słowa:

KATARZYNA KUKUŁKA. A niżej, równie wielkimi literami, tylko pochyłymi:

NIEZWYKŁY DEBIUT. I tytuł wiersza. Ale co tam tytuł!? Najważniejsze było nazwisko.

Młynarzowa natychmiast wyrwała gazetę z rąk Kasi i machając młynarzowi przed oczami, z przejęciem pokrzykiwała:

- Katarzyna Kukułka! Katarzyna Kukułka! Patrz, Kuba. Tu stoi jak byk napisane - Ka-ta-rzy-na Ku-kuł-ka. Na-sza cór-ka! - sylabizowała i mówiła w taki sposób, jakby te dwa ostatnie słowa, nasza córka, też były tam wyryte. I jakby za oknem nagle potężna góra wyrosła. A on, młynarz, jej nie widział. Wykrzywił twarz, zagryzał usta, drapał się za uchem i niepewnie popatrywał na Kasię. Jego inżynierski umysł nie był w stanie odebrać druku wiersza z takim kolosalnym przejęciem jak wrażliwa arty-

84

styczna natura młynarzowej. Patrzył na Kasię wyczekująco i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, jak szybko córka mu wydorosła. I to w tak krótkim czasie. Zaledwie cztery miesiące jej w domu nie było, a tak bardzo się zmieniła.

- Kuba, słuchasz mnie?! - młynarzowa natarła, widząc jego zagubienie. - Nie czujesz się dumny? - podniecona pytała. - Tu twoje nazwisko wybite. Wyryte jak w kamieniu. Nasze nazwisko, Kuba! Twoje i moje! W gazecie! Rozumiesz, co to znaczy!? Kasia przynosi nam chlubę. Pojmujesz? - miotała się między mężem a córką, po drodze omiatając rozgorączkowanym spojrzeniem siedzącego z boku Mariusza, który zachowywał się, jakby był w teatrze i spektakl na scenie oglądał. Uśmiezek nie schodził mu z ust.

- Pół Kresów będzie o nas mówiło -już brała na siebie wszystkie zasługi za wiersz Kasi. - Wszakże to ja nalegałam, by ją do Lwowa wysłać! - chełpiła się i nadymała jak indor. - Czyż nie tak było, Kuba? - pokrzykiwała. - I popatrz - puszyła się - na kogo wyrosła!

- Jeszcze nie wyrosła - bąknął Mariusz. Sponiewierała go wzrokiem.

- Ależ mamuś? - włączyła się Kasia, jakby chciała zaprotestować. - To przecież tylko gazeta szkolna - skromnie powiedziała. Cieszyła się bardzo z druku, ale nie spodziewała się, że matka wpadnie w euforię.

- Szkolna, nie szkolna, a gazeta - zachłystywała się młynarzowa. - I nasze nazwisko wielkimi literami wybite. Nie, twoje - powiedziała - a nasze, wpisujące się we wspólnotę intelektualnych dokonań. Znam się na tym! - uniosła palec do góry, biorąc za świadka niebo. -

A po za tym, moi drodzy - zaśpiewała słodko, obejmując łaskawym wzrokiem także i Mariusza - takie gazety ważni literaci w całym Lwowie czytają. I niebawem Ka-S1a na ustach poetów się znajdzie. Na ustach elity artystycznej Lwowa. A może i całej kultury kresowej - z emfazą plotła.

- Choć już panie profesorki zainteresowały się wierszem -bąknęła Kasia.
- Tylko profesorki? - młynarzowa była zawiedziona. Wydęte Pogardliwie wargi.

85

- Ależ mamuś, pozwól dokończyć... - poprosiła Kasia.
- Właśnie, pozwól - burknął młynarz.
- Dokończ, córuś, dokończ - zgodziła się dobrodusznie. -Wszak nasz ród rozstawiasz.
- Też mi sława - szkolna gazetka! - zachichotał Mariusz.
- Milcz! Zazdrościsz Kasi! Trzeba było iść na studia - z wyrzu-1 tern syknęła.
- Bazgroły! - lekceważąco rzucił.
- Pojęcia nie masz, że tak się wielka kariera zaczyna - zapia« ła. I zwracając się do Kasi, spytała: - I co ci panie profesorki po-wiedziały?
- Powiedziały - odparła Kasia, popatrując niepewnie na brata - że pochwalił mój wiersz sam redaktor ze „Słowa Polskiego”.
- Co?! - osłupiała młynarzowa. - Sam redaktor ze „Słowa j Polskiego”?!
- Tak, mamuś, pan redaktor powiedział, że wiersz bardzo mu się podoba...
- I co? I co? - niecierpliwiła się młynarzowa.
- I powiedział, bym mu podzuciła kilka innych wierszy. Może wydrukują.
- A nie mówiłam! - z dumą rzekła młynarzowa. - Jakubie/ Mariuszu - krążyła między nimi, podekscytowana, przejęta. -,„Słowo Polskie”, „Słowo Polskie”, zaraz, zaraz, coś mi chodzi po głowie, gdzie to jest, aha... - unosiła brwi. - Ależ naturalne! -podbiegła do szafki, wyjęła stos szpargałów, szybko poczęła je rozrzucać, aż natrafiła na poźółkłe kartki. I jakby skarb odkryła, krzyknęła: - Mam! Jest! Słuchajcie!

Patrzyli na nią oniemiałi.

Mgiełka kurzu z poźółkłych papierów uniosła się w powietrzu, a ona głośno czytała: - Wychodził wtedy we Lwowie wielki dziennik „Słowo Polskie” pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. Każdej niedzieli dawało „Słowo” dodatek literacki na wysoką miarę pod tytułem „Tygodnik Literacki”, w którym na naczelnym miejscu drukowano pierwszorzędne wiersze. Redaktorem tego dodatku był Jan Kasprowicz - pędziła jakby ją ktoś gonił. Ludzie, zastanówcie się! - czytała pospiesznie - Jan Kasprowicz! Cóż robię ja - młody żak? Wybieram ze stu dwa sonety i z listem

86

osyłał Kasprowiczowi z tą samą nadzieją ujrzenia ich w druku, co ujrzenia ludzi na Marsie. Mija jeden tydzień - nic.. Jest wiersz Staffa - śliczny! Mija drugi tydzień. Jest wiersz Maryli Wolskiej - przepiękny. Jak mogło być inaczej? Moje sonety wiją się w mękach na dnie kosza, ciśnięte ze wzaardą przez Kasprowicza. A jednak... Przechodząc w niedzielę obok redakcji „Słowa Polskiego”, zatoczyłem się jak pijany. U wejścia wywieszono numer gazety. Boże jedyny! Na pierwszym miejscu w dodatku literackim jaśnieje, błyszczący się, promienieje, krzyczy, wrzeszczy na cały świat mój wiersz, moje dwa sonety. Jan Kasprowicz uznał je za godne druku. Jan Kasprowicz kazał je wydrukować. Świat się ze mną zakreślił. Chciałem krzyzczeć i śpiewać z radości, chciałem ścisnąć każdego przechodnia, każdemu powiedzieć: „Panie! To moje wiersze!” Proszę sobie teraz wyobrazić, co się nazajutrz działo gimnazjum. W ulu nie ma nigdy takiego poruszenia. Smarkacze obchodziły mnie z daleka, z niemym podziwem w błyszczących oczach. Stałem się dumą całego gimnazjum.

Młynarzowa z triumfalną miną, spytała:

- No, czyje to? Kto to napisał?

Wodziła władczy wzrokiem po rodzinie i czekała. Popatrzyli jedno na drugie. Nikt jednak się nie odezwał.

- To sam Makuszyński! - pompatycznie ogłosiła.

- Makuszyński? - zdziwiła się Kasia.

- Tak, Kasiu, sam Makuszyński. Debiutował w „Słowie Polskim”. Rozumiesz? - biła z niej duma, jakby to ona sama w „Słowie Polskim” debiutowała.

Kasia, jakby spłoszona, lękliwie rozglądała się, popatrując na zagubionego ojca i na ironicznie krzywiącego usta brata.

- To, Kasiu, drogowskaz dla ciebie - mówiła uroczystym tonem młynarzowa. - Skoro Makuszyński drukował, to czemu byś ty, Katarzyna Kukułka, nie mogła drukować w „Słowie Polskim?!”

- Tak myślisz? - niepewnie spytała Kasia.

- Naturalnie, moja droga! - kategorycznie odrzekła. Znowu zajrzała do pożółkłych papierów i przypomniała: Smarkacze obchodziły mnie z daleka, z niemym podziwem w błyszczących oczach. Stałem się dumą całego gimnazjum. I ty, Kasiu, będziesz dumą całego gimnazjum. Już jesteś. A potem będziesz dumą nie tylko gimnazjum, ale i Lwowa, Polski...

87

- Ależ, Anno - bąknął młynarz.

- Co, Anno!? - przeszła go nie znoszącym sprzeciwu wzrokiem.

- Może zbyt koturnowo, moja droga, to widzisz. Kasia musi dojrzeć... - niepewnie mówił.

- Dojrzeć?! - wzgardliwie prychnęła. - A wiesz, ile miał Ma-kuszyński lat, kiedy zaniósł do redakcji swój pierwszy wiersz?

- No, nie wiem - przyznał.

- Piętnaście. Pięt-na-ście!- wyrecytowała. - A Kasia? - ogarnęła obu panów triumfalnym spojrzeniem. - Kasia może w tym] względzie przebić samego Makuszyńskiego. Zadebiutuje w „Słowie Polskim”, mając czternaście lat! - postanowiła twardo, nie pozwalając na chwilę wątplenia. A gdy Kasia odważyła się odezwać: - Ależ, mamuś... - młynarzowa kazała jej milczeć, bo rzecz] została postanowiona i koniec.

- A wtedy - roztaczała przed nią panoramę chlubnych zdarzeń, które niewątpliwie nastąpią. - Wtedy, Kasiu, jak zadebiutujesz w „Słowie”, a to przecież niedługo, następny krok postawisz... - obliżała się, jakby czując słodczy sukcesu. - No, gdzie, moi drodzy, Kasia postawi następny krok? - zwróciła się do panów.

Młynarz chciał uciekać. Miał taką minę, jakby mu się sufit na głowę walił. A Mariusz udawał głupka. Przewracał gałami, tylko ogromne białka widniały.

- Wtedy Kasi wiersze - cedziła młynarzowa - będą się ukazywały w „Skamandrze”! - kategorycznie stwierdziła.

- W „Skamandrze”? - pisnęła Kasia. - Naprawdę tak myślisz?

- A czemuż by nie?! - hardo odparła. - A „Skamander” to już szczyt szczytów, Kasiu. Będziesz publikować z samym Staffem, Tuwimem i Leśmianem - ogłosiła.

- Nie, mamuś - Kasia spuściła skromnie oczy. - Za wcześnie. To, to... to giganci, a ja...

- Giganci, nie giganci, a będziesz razem z nimi! I koniec!-postawiła na swoim. I rozmarzona ciągnęła: - Poważni literaci będą się do ciebie zwracać: - Droga pani koleżanko. A ty im z gracją odpowiesz, z gracją, Kasiu, bo nabierzesz ogłady i wielkowiejskich manier, więc z gracją odpowiesz: - Drodzy panowie

88

koledzy. Rozumiesz, Tuwim, Staff, Leśmian. A oni będą cię zapraszać na arystokratyczne salony, gdzie znakomici twórcy przebywają- BCdą rozprawiali z tobą o muzyce, literaturze, teatrze, o sztukach pięknych. Będą cię prosili o nowe wiersze, a ty wdychając, odpowiesz, jakby od niechcenia: - Och, pracuję nad wielkim poematem o dziejach - zastanowiła się, o jakich to dziejach ma napisać Kasia, ale dzieje jakoś nie przychodziły jej do głowy, jednak

ona walczyła dalej, nieugięte, nie ustępując ani na krok, aż wykrzyknęła: - naturalnie, o dziejach ducha! - i patrzyła zwycięskim wzrokiem na młynarza.

- Anno - ryzykownie wyburczał.

- Jakubie, proszę cię, pozwól mi nakreślić perspektywę... -objęła go lodowatym spojrzeniem.

- Kreśl, moja droga, kreśl - zrezygnował, kompletnie załamany. I już chciał wstać i wyjść do swoich ulubionych koni, ale go przygwoździła wzrokiem. - Chwileczkę, Jakubie, teraz nie możesz - mierzyła go surowym spojrzeniem. I zaczęła czegoś poszukiwać w głębinach szafy. A gdy się wynurzyła spośród kupy papierzyk, zwycięsko ogłosiła:

- Mam!

Milczeli jak zakłęci.

- Oto jak witano Sienkiewicza we Lwowie - rzuciła dumne spojrzenie, jakby to ją witano. I czytała: Nagle się tłum zakotłosał, bo tam w oddali coś się stało. Dreszcz stu tysięcy ludzi zdobył się na jedno słowo: „Przyjechał!”... Tłum się chwiał, wył, szalał, wołał, klaskał, huczał i grzmiał; matki podnosiły dzieci na ręce, starcy patrzyli z zachwytem. Dusza lwowa była szczęśliwa, pyszna, dumna i wniebowzięta.

Westchnęła.

- Wzruszające! Prawda? - objęła zastygłą rodzinę pytającym wzrokiem. Nikt się nie odezwał.

- Tak opisuje witający Lwów Makuszyński - powiedziała. - Tak się wita wybitnych artystów, Pisarzy, wielkich poetów - patrzyła z nadzieją na Kasię.

89

WIERSZ

I wtedy Mariusz trzeźwo zauważył: - Ależ mamo, nie znamy jeszcze wiersza Kasi. Stała zaskoczona, jakby nie rozumiejąc, o czym on mówi.

- No, właśnie, mamuś - pisnęła Kasia. - Tyle opowiadasz... Młynarzowa zatrzepotała rękami niczym odlatujący motyl.

- Och, Kasiu, istotnie - zreflektowała się. - Przepraszam. Wzięła do ręki „Pegazika gimnazjalisty” i zaczęła czytać:

POMNIKI LWOWA

Pod pomnikami kwiaty składamy, Na Placu Mariackim Wieszcza witamy. Na Wałach Hetmańskich Sobieski w tupanie, Na wspiętym rumaku na wieczność ostanie.

Kornel Ujejski w brązie zakuty. Kiliński, co niegdyś w Warszawie szył huty, Szablę i sztandar unosi wysoko, Aż Fredrze hrabiemu świeci się oko.

Nasze Orłęta to duma Lwowa. A dla nas, młodych, pieśń honorowa. Orzeł potężny do lotu się zrywa, Pułk Jazłowiecki bitwę wygrywa. ,

Popiersie Marszałka w brązie odlane, W westybulu kadetów pielęgnowane. Bartosz Głowacki z kamienną twarzą, A nam do domu wracać już każą.

90

A gdzie Słowacki, pyta Anahit, jemu należy się złoty granit. Lecz dla pomnika słynnego Juliusza, Zbrakło, jak dotąd, rzeźbiarza geniusza.

Znów Łyczakowską do szkoły wracamy, I Markoniego po drodze mijamy. Nasze gimnazjum kocha pomniki, Przy każdym pomniku zostawia goździki.

Młynarzowa spojrzała na Kasię z uznaniem.

- Brawo, córuś! - kręciła z podziwu głową. - Jakubie, Mariuszu! Powiedzcie coś.

Mariusz bąknął:

- Z rytmem coś nie tak - i skulił się, widząc piorunujące spojrzenie matki.

A młynarz jakby zjawę zobaczył. Kasia wydała mu się kimś zupełnie nowym, innym, nieznanym. Niby córka, ale już i nie córka, a poetka. Z twarzy Mariusza zniknęła złośliwy uśmieszek.

- I ty to sama...? - wymamrotał, patrząc na Kasię.

- Tak braciszku, sama - uśmiechnęła się i zwróciła się do matki:

- Podoba ci się, mamuś?

- Nie mogę wyjść z podziwu, dziecko. No, nie mogę. Wprawiłaś mnie w prawdziwe osłupienie. Taki wiersz! A jaki patriotyczny! - obejmowała Kasię wzrokiem pełnym zachwytu.

A Kasia podbiegła do niej, przytuliła się i wsłuchiwała się, jak matce mocno bije serce. Tej nocy nie mogła zasnąć. Dochodziła do niej z dołu dziwna rozmowa rodziców, a właściwie monolog ojca.

91

ROZMOWA IHORA Z BOGIEM

Ojciec długo się kręcił po kuchni, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca. Zatrzymywał się, znowu ruszał, aż odkasznął i odezwał się:

- Pozwól, Anno - mówił do matki - że ci opowiem pewną historię. I opowiedział, jak to na sowieckiej Ukrainie w obwodzie Winnickim, rejonu chmielnickiego, zdarzył się następujący wypadek. W jednym z chutorów żył pobożny chłop, Ihor Proscen-ko, ze swoją żoną Oksaną i siedmiorgiem pięknych dzieci, z trzema córkami i czterema synami. Regularnie chodził do cerkwi, trzy razy się żegnał, a jego potężny głos znał cały chutor. Batuszka, znaczy pop, Tryszomenko, po nabożeństwie bardzo go chwalił, powiadając do niego: - Ty, Ihor, chyba świętym zostaniesz, bo nikt tak głośno i serdecznie Pana Boga nie sławi jak ty. Najstarszy z jego synów miał dziesięć lat, a najmłodsza córka niespełna rok. Ihor bardzo dbał o swoje stadko. Brał dzieci do cerkwi, obmyślając plany na przyszłość. Wymarzył sobie, że synów na popów dla świętej Cerkwi wyświęci, zaś córki na żony popów przeznaczy.

Gdy nadeszły ciężkie czasy, Ihor popadł w straszne tarapaty. Zaczął z sobą gadać, duchy przed oczami widział, z marami się bratał, a na cmentarzu ucztę urządzał. Na grobie siadał i duchy przywoływał. Piał jak kogut albo szczekał jak pies. Wśród duchów ludzkich widział też duchy zwierząt. I przywoływał je do siebie. Stare misy z wodą im podkładał. Mamrotał do widziadeł i uśmiechał się do nich. A nieraz unosił do góry oczy i wołał:

- Poczekaj, zaraz ci pomogę.

- A co ty tam Ihor w górze widzisz? - pytali chłopci, zapalając świeczki na mogiłach najbliższych.

92

A on jeszcze wyżej zadzierał głowę i uśmiechał się.

- Widzę, jak anioł mnie prosi, bym mu do nieba drzewa zawiózł. Bo chłodna zima nadchodzi. Chłopi spuszczały oczy, bo rozumieli, że mózg Ihora złe moce nawiedziły.

Chodził z mętym wzrokiem po polach i na wrony polował.

Dzieci chudły mu na oczach, a żona, cienka jak placek, szlochała i bała się, że z głodu niebawem wszyscy pomrą. Nadeszło przedwiośnie i życie stało się nie do zniesienia. Zapasy się wyczerpały, tylko korzonki i kora z drzew została.

Aż któreś nocy Ihor Proscenko miał widzenie.

Sam Pan Bóg mu się objawił. I do sfer niebiańskich zapraszał.

- Słuchaj, Ihor - mówił - nie będę czekał, aż się twoi synowie na popów wyświęcą. Są mi potrzebni od zaraz. Bo strasznie dużo roboty mi przybyło w Niebie - mówił. - Nie nadażam z przyjmowaniem dusz z tej bolszewickiej, mrocznej Ukrainy. Chłopi całymi chmarami ze wszystkich gmin, rejonów i obwodów się zlatują. Istne trzęsienie nieba! A ja, prawdę mówiąc, Ihor, nie spodziewałem się takiej inwazji. Z natury rzeczy przewiduję różne zdarzenia, boć, jak wiesz, wyobraźnię mam nie od parady. Nad przeszłością muszę panować, by jej nie przeszwin-dlowali mi handlarze fałszu. Przyszłość, jaką taką muszę wam zaprojektować. No i czas terazniejszy skrupulatnie śledzę. I co widzę, bracie? Widzę, że jest źle. A nawet bardzo źle. - Bóg ciężko westchnął, zastanowił się i powiedział: - Coraz mi trudniej, Ihor. Musisz mi, przyjacielu, w potrzebie pomóc. Bo i Bóg nieraz potrzebuje

pomocy. Czasami wygadać się musi, wyżalić, by lżej mu na sercu było. A wszystko przez ten straszliwy pomór na Ukrainie. Padacie jak muchy.

Kołchoźnik nerwowo się obejrzał.

- Strach cię obleciał? - spytał Bóg. Kołchoźnik zzieleniał.

- Widzisz, bracie, na wolnej polskiej ziemi stopę postawiłeś, a trzęsiesz się jak osika - mówił Bóg. - Oto, co z was zrobili. Rabów, bracie, z was zrobili.

Kołchoźnik nieśmiało spojrział na Boga.

93

- A to hołota, przyjacielu - mówił Bóg, przytulając Ihora do piersi, aż chłop się nieco uspokoił. - Jak tak dalej pójdzie, to cały naród na śmierć zagłodzą. A gdzie wasza godność? Nie potraficie się bronić. Nie potraficie wznieść powstania narodowego przeciwko komunistom.

Kołchoźnik stał błądy i przerażony.

- My, Ihor, odnotowujemy tutaj najdrobniejsze przestępstwo. Najmniejszą kradzież, każdy szwindel, przekręt czy kłamstwo, a co dopiero mówić o ludobójstwie. Jak nic zapiszemy to w naszych annałach. Bo moje zastępy aniołów każdy czyn wasz tutaj widzą i zapisują. I nic tym bestiom nie ujdzie na sucho. U nas, Ihor, czuwa nad tym sam archanioł Uriel. A to porządny urzędnik, niczego nie popuści. Wszystko musi być przejrzyste. A jego skrybowie, całe zastępy anielskie w klasztorach niebiańskich najdrobniejszą rzecz odnotowują.

Bóg kołchoźnikowi badawczo się przyglądał i rzekł:

- Wiem, bracie, że masz dobre serce. Boś ty porządny i pobożny człowiek. Ale, prawdę mówiąc, to i golnąć sobie lubisz, prawda?

Ihor stał zawstydzony. I pomyślał: „Niestety, przed Bogiem nic nie da się ukryć. Wszystko wie.”

- Pewnie, że wiem, bracie - zareagował Bóg. - Wszystko wiem. Wprawdzie nieraz się pomylę, ale zaraz cała parada aniołów krzyczy: - Panie, pomyliłeś się! -1 błąd naprawiają. Zdarza się, że to trochę trwa, bo sam wiesz, jak to w życiu bywa. Urząd niebiański to potężna machina. Wszystko na swoim miejscu. Ale wielkie tryby pracują, jak się orientujesz, wolniej. Tak, tak, Ihor, Niebo to potężna machina. To taka maszyna, bracie, która niczego nie przepuści, na wszystko reaguje i cały świat ma pod kontrolą. Owszem, czasami zdarza się, że i tu coś się zatnie. Lecz gwarantuję ci, że w końcu wszystko się naprawi. Ale, ale... - Bóg zastanowił się. Spojrzał na kołchoźnika poważnym wzrokiem i rzekł:

- Wiem, że wspomozesz Boga w chwili próby, prawda? Ihor rozdziawił gębę. By Bóg prosił go o pomoc, tego nigdy jesz-j

cze nie słyszał. Jakże to ja, nędzny kołchoźnik, Bogu mam pomóc? - myślał i już chciał powiedzieć, że nie rozumie, czego Bóg od niego żąda, ale Bóg natychmiast mu wyjaśnił.

94

_ Niedola wielka mnie dopadła, Ihor - mówił Bóg. Dałem łowiekowi rozum, bracie, a on, popatrz, kołchozy zakłada, 'wiete prawo własności łamie. Oczy wielkie mu dałem, by imiał patrzeć. Uszy mu dałem, by umiał słuchać. Język mu dałem, by prawdę objawiał. Wszystkimi zmysłami go obdarzyłem, by radował się życiem. A on? - Bóg spojrział na Ihora z naganą. - On, bracie, jakby był głuchy i ślepy. Sam sobie kajdany nakłada. Sam sobie pęta plecie. A przecież wolną wolę mu dałem. Wolną wolę, bracie. Wielki dar Nieba, by umiał wybierać. A popatrz, co on wybiera?! Same nieszczęścia. Same kłamstwa, obłudę, machlojki i szwindle. I jak ja mam sobie z nim poradzić? - Bóg spojrział na chłopca z roztargnieniem i spytał:

- Nie odmówisz mi chyba pomocy?

- Jakże bym śmiał, Panie - szczerze wyznał Ihor, mocno się dziwiąc, dlaczego akurat Bóg sobie jego upatrzył. Jego, słabego i bezradnego kołchoźnika. A nie, dla przykładu, takiego Giena-dija Jakunowycza. Przecież on Gminną Spółdzielnią trzęsie i do cna okrada. A na dodatek kilka kochanek w zapasie ma i grzeszy na potęgę. To dopiero obrotny człowiek. I

cwaniak nad cwaniaki. A wpływy jakie posiada. Nawet w samym rajkowie. Bogu by od razu pomógł. Doradziłby. Wsparcie w partii by dostał. Albo, dlaczego, dla przykładu, wybór na Jewhena Taranienkę nie padł. Ten to dopiero straszną władzę w Komitecie Gminnym dzierży. I kołchoźników żelazną łapą trzyma. Oskubuje ich do ostatniej kopiejki. A sam w dostatkach się pławi. A jak nie dasz mu w łapę, to od razu Trójkę Społeczną na ciebie napuści. A taka Trójka do środka pieca nawet zajrzy i warknie, no, towarzyszu Ihor, niedobrze z wami, szczura żeście na rosół dla dzieci schowali, a szczur, towarzyszu Ihor, to własność państwowa, znaczy nasza. I od razu cię za kratki wsadzą. Naród kuli się w strachu. Bo nawet teraz ja, Panie, kiedy w myślach do Ciebie przemawiam, drzę z przerażenia, że mnie podsłuchują. Bo to szatańskie nasienie. Czort jeden wie, czy już we mnie w środku nie siedzą. Bóg się smutno uśmiechnął, a Ihor nabrał odwagi i rzekł.

- To wielka łaska dla mnie, Panie - skłonił się przed Bogiem ~ służyć Ci wiernie. Ale są godniejsi ode mnie, sprytniejsi i bar-

95

dziej powołani do wielkich czynów niż ja. Oni mają za sobą Radę, ! Komitet Miejski, a nawet Powiatowy. A prawdę mówiąc, swoje wtyczki w Komitecie Wojewódzkim i Centralnym mają. Siłę! mają, Panie. A ja? - stał bezradny i biedny.

Bóg pokiwał głową i oznajmił, że do jego królestwa nie weB dzie żadna komunistyczna szuja. Nawet przez ucho igielne nie prześlizgnie się. Bo nie będzie brał do nieba żadnego sekretarza partii ani prezesa gminnej spółdzielni, bo jeszcze większego bałaganu by w sferach niebiańskich narobili, niż narobili na ziemi.

- Pomyśl sobie tylko, Ihor - zwrócił się do kołchoźnika kordialnie - co by się w Niebie stało, gdybym na duchowe salony takie ponure indywidua jak sekretarz partii albo prezes gminnej spółdzielni ściągnął. To bym się dopiero wstydu przed zastępami anielskimi najadł. A i przed samymi archaniołami. Musiałbym się przed nimi gęsto tłumaczyć. Bo to formacje surowe i nieprzekupne, bracie - uniósł palec. - A jakie sprawiedliwe?! Bo] co jakiegoś biedaka przemycę do Nieba, od razu wkracza archanioł Gabriel, trzaska piorunami i woła.

- Co czynisz, Panie?! - krzyczy na mnie. - Czyżbyś nie wiedział - powiada - że ten łapserdak trzy razy Cię oszukał? A Ty chcesz go do Nieba przesz mugłować? I to wbrew anielskim statutom i regulaminom. Wbrew konstytucji Nieba. Nie mówiąc o naszych dzielnych strażnikach przy głównej bramie. O świętym Piotrze. Wstydziłbyś się! - pogrąża mnie w zakłopotaniu. A gdy mu jak bratu tłumaczę, że wiem, iż ten chudopachołek trzy razy mnie oszukał, a nawet bluźnił przeciwko mnie, ale przecież potem odpokutował i stał się łagodny jak baranek, więc przymknąłem oczy na jego drobne grzechy i przewinienia. I przyznaję, samowolnie przepuściłem go przez bramę niebieską. Wszak jestem miłosierny, prawda? Ale archanioł Gabriel rzucił się na mnie i powiada:

- Tu sprawiedliwości, Panie, musi się stać zadość! - syczy. - Rozumiesz, Ihor, normalnie syczy. Na mnie, na Boga! Taki nieustępliwy w swojej sprawiedliwości. Gotów nawet rzucić mi w twarz: - Ciebie, Panie bardzo kocham, ale bardziej kocham prawdę! I p0' wiada mi dalej: - Dafeś, Panie, człowiekowi wszystko - mówi I

96

■ nrzestań się nad nim litować. Obdarzyłeś go ponad miarę łaska-■ nauczyłeś odróżniać dobro od zła, piękno od brzydoty, mądrość j głupoty, a popatrz, jak się skundlił. Zamiast się rozwijać i pomnażać Twoją chwałę, sam siebie ośmiesza, dręczy i wyniszcza. Jak głupi' niech cierpi! - ciężko westchnął i dodał: - A ile kłopotów Tobie przysparza! Dość tej litości! - zawołał. - Jak tak dalej będzie, Panie, to ja się do dymisji podam.

- Wyobrażasz sobie, bracie! Mój najważniejszy archanioł dymisją mi grozi. Powiada, że jak jeszcze jedną grzeszną duszę przez ucho igielne przepuszczę, to wakat mam murowany. A pojmujesz, co znaczy w Niebie wakat?

Kołchożnik wydał się zmieszany i pocierał nerwowo nos. Bóg przyjrzał mu się z roztargnieniem i oznajmił:

- Wakat dla mnie, bracie - ścisnął go za ramię - to katastrofa. Nie poradziłbym sobie z nawałą towarzyszy z Komitetu Centralnego z Ukrainy. Bo i tacy się tu zjawiają. I to coraz więcej. Choroby ich dopadają. Z pijaństwa umierają. Z obżarstwa. Z pychy i próżności. Gdy lud głoduje. - Ja, towarzyszu Boże - powiada taki sekretarz - ja byłem komsomolcem i generałem od służb specjalnych i dacza mi się w Niebie należy, powiada. Wyobrażasz to sobie, Ihor. Nie dość, że ani razu w cerkwi się nie pokazał. Ani razu się nie przeżegnał. A dacza mu się należy! Miałbym się z pyszna, gdybym takiego przez ucho igielne przepuścił. A to tacy jak on - Bóg spojrział na niewidzialną dla kołchożnika kartkę i przeczytał. - Ponad milion chłopskich gospodarstw rozwalili, by założyć dwadzieścia kilka tysięcy kołchozów. Rozumiesz, Ihor? Milion chłopskich gospodarstw w bagno zepchnęli. Ale to nie koniec, bracie. Bo jak mi pokazuje nasza niebiańska analiza - Bóg wpatrywał się w niewidzialne arkusze - wasz Komitet Centralny podjął niedawno uchwałę pod nazwą O tempie kolektywizacji i chcą całą Ukrainę w jeden barak zamienić. A dobrych rolników kułakami nazwali i na roztriebkę wzięli.

- Wszystko wie! - kołchożnik wstrzymał oddech. I z uznaniem pomyślał o Bogu.

- Owszem, Ihor, wszystko wiem - przyznał Bóg - ale jak pa-rz? na te wasze kołchozy, to głowa mi pęka. A wiesz, kto najbar-

97

dziej się pcha do Nieba? - spytał nagle. Ihor nie wiedział. - Najbardziej, bracie - wtajemniczał go Bóg - szuje się tutaj pchają. Największe kanalie z KC i bezpieki. Tam, na dole, udawali, że Boga nie ma. A tu przyłazą i od razu: - Daczę nam daj, towarzyszu Boże. Z basenem, telefonem i ochroną osobistą. Bo im się wydaje, Ihor, że oni i na salonach niebiańskich wciąż generałami, naczelnikami i sekretarzami partii są. Brak im pokory, Ihor, brak skromności. Zapadła cisza.

I w tym momencie rozległy się szybkie kroki. I jakby z innego świata do izby wtargnął Mariusz. Kasia usłyszała jego krzyk: j

- Tato, klacz się źrebi.

Skrzypnęła podłoga i ojciec szybko wybiegł.

Kasia nie usłyszała już tego dnia zakończenia tej dziwnej historii.

98

GDZIE JEST DUSZA

Następnego dnia pod wieczór już szczebiotała z Salcią. Ochów i achów nie było końca. Jak ty pięknie, Salciu, wyglądasz!? A jak ty?! Nabrałaś kształtów. Wyrosłaś. A ty też. Och, nie mów! To ty wyrosłaś. Oglądały siebie, dotykały się, kazały się obracać, ćwierkały jak wróbelki, zerkały do lustra, podziwiałały się i cieszyły sobą jak małe dzieci.

Salcia wyjęła z teczki serię portretów, które w Drohobyczu rysowała. Kasia nie rozpoznała żadnej z widniejących na nich twarzy. Były zdeformowane. Domyślała się tylko, że to nowe koleżanki Salci, bo Salcia tylko panienki malowała. Ale dlaczego tak powykrzywiane, powyginane, jakby burza nimi telepała. Szydercze miny, kpiące oczy, jakieś ukośne i boczne spojrzenia, a wszystko spłaszczone, jakby kamień na nie spadł. - Dlaczego tak patrzysz? - spytała Salcia. - Bo wcześniej tak nie rysowałaś - odparła Kasia. - Jak? - No, tak, jak tutaj, jakoś dziwnie, niezrozumiale. Postacie jakby spaczone, wykoślawione, zdeformowane.

Dlaczego nie są normalne?

I wtedy Salcia przypomniała, że rysunku uczy ją Bruno Schulz. A ten Schulz powiedział jej, że każdy widzi po swojemu. A tak jak każdy widzi po swojemu, to i po swojemu ma rysować.

- Ale ja widzę Salciu normalnie - buntowała się Kasia. - Jak twarz, to twarz. Jak oczy, to oczy. Wszystko na swoim miejscu, nos, oczy, usta, uszy, głowa. A u ciebie jakieś poprzestawiane, powykręcane, zawite i ukośne. Czy te twoje koleżanki tak wyglądają?

- patrzyła zdumiona na Salcie. A Salcia zaśmiała się. - Nie, Kasiu, tak nie wyglądają. Wyglądają normalnie. I wszystko mają na swoim miejscu - znowu się zaśmiała. - To dlaczego zrobiłaś z mch takie dziwadła, maskary? - Bo ja nie ich twarze rysowa-

99

łam, Kasiu. - A co? - Ja ich dusze rysowałam. - Dusze?! - krzyknęła Kasia. - Jak to dusze? Jak można narysować duszę? Dusza] przecież jest niewidzialna. I zaczęły się spierać, jak się rysuje dusze, a jak ciała. I czy dusza jest widzialna, czy niewidzialna. A jeśli widzialna, to jak ją; rysować. Salcia, jak się okazało, miała w tym względzie więcej doświadczenia. I wyrobione już zdanie. Wy tłumaczyła Kasi, że dusza jako taka sama nie jest widzialna, choć nie jest do końca tego pewna. Z pewnością natomiast dusza się jakoś wyraża. Jakoś się wypowiada. Na różne sposoby. Tylko trzeba umiejętnie ten moment wychwycić, mówiła. Czasami dusza się wyraża przez nasze twarze, gesty, miny, zachowania. Czasami przez sen. A czasami przez marzenia, tęsknoty, żale. Albo w inny sposób. I dlatego trzeba dokładnie obserwować człowieka, jego twarz, ruchy, zachowania. I chwycić ten moment, kiedy widać, jak dusza się wyraża. I dokładnie przyglądać się wszystkiemu, co się wokół nas dzieje. Bo dusza wyraża się nie tylko przez człowieka, ale i przez inne stworzenia żyjące, a nawet przedmioty, rzeczy, zjawiska. Bo wszystko, Kasiu, ma duszę, mówiła Salcia. Kasia nie mogła jednak tego ogarnąć. Nigdy tak nie myślała. Owszem, człowiek ma duszę. To wszyscy wiedzą. O tym się zawsze w kościele i w domu mówiło. Ale krowa, pies albo stół? Nie, nie mogła tego pojąć. - Przedmioty też mają dusze? - niepewnie spytała, mocno się dziwiąc słowom Saki. Patrzyła na nią w taki sposób, jakby jej nie poznawała. Z pewnym respektem, ale i z podejrzliwością, jakby nie była pewna, czy to ta sama Salcia, którą znała. I czy mówi poważnie. Od tej strony nie znała Saki. Mogła się zmienić. I to przez tego nauczyciela rysunku, Schulza. Chyba w szkole tego wszystkiego ją nauczyli, myślała. Poprzestawiali jej coś w głowie. Musi mieć dziwnych nauczycieli, przyglądała się jej spod oka. Nie tylko tego jednego. Także innych. - Najważniejsze - tymczasem mówiła Salcia - by umieć uchwycić ten moment, kiedy dusza jest jakby w skrajnej postaci, jakby się w niej coś ostatecznego dopełniało. Albo gdy dusza z czegoś rezygnuje, zmienia się, załamuje... - Nie rozumiem cię, Salciu. Takim dziwnym językiem mówisz - odezwała się Kasa. I znowu zaczęły roz-

100

mawiać o duszy, gdzie się ona mieści. I czy zamieszkuje także kamienie, ptaki i kwiaty. - Pewnie, że zamieszkuje - wykrzyknęła Salcia. - W każdym razie artyści ją widzą, rozumiesz? - Nie _ szczerze odparła Kasa. - Najważniejsze, Kasiu, by duszę uchwycić w najwłaściwszym momencie - powtórzyła, ignorując wątpliwości przyjaciółki. - To znaczy? - nie rezygnowała Kasia. - To znaczy, wtedy, kiedy z duszą dzieje się coś szczególnego, wyjątkowego. Coś dobrego albo złego. - I to widać? - spytała Kasia. - Tak, Kasiu, to widać. Każdy dobry artysta to widzi i wychwyci natychmiast. Pod warunkiem, że jest artystą. A nie pacykarzem. Bo to widać w naszych twarzach, w gestach i ruchach. I widać w całym świecie, wszędzie, na każdym kroku - z przekonaniem mówiła. - Tylko trzeba umieć patrzeć. I to jest właśnie zadanie artysty - oznajmiła. I przyznała, że duży wpływ ma na nią Bruno Schulz. I że ona pod jego wpływem rysuje. Ale świat widzi po swojemu. - Nie tak jak ten Schulz? - spytała Kasia. - Nie, Kasiu, widzę po swojemu. On widzi po swojemu. Ty widzisz po swojemu. I ja widzę po swojemu. Każdy widzi po swojemu.

101

RYWALIZACJA

Znowu zaczęły się spierać, co znaczy widzieć po swojemu, skoro wszystkie rzeczy świata są takie, jakie są i nie mogą być inne. Stół jest stołem. Kura kurą. A kamień kamieniem. A nie kura stołem, stół kamieniem, a stół kurą. Salcia do niebios wychwalała Schulza, a Kasia

profesorowi Gmyrkowi kadziła. Salcia w błyskach światła profesorkę łaciny do góry dźwigała, a Kasia anglika złociła. Salcia matematykiem walnęła, a Kasia nabrała oddechu i katechetą strzeliła. I przez chwilę zadawały sobie ciosy ciałem pedagogicznym, aż zabrakło amunicji. Wtedy po woźnych sięgnęły. Drohobycki potężnym brzuchem został przelicytowany, a lwowski sumiastym wąsem. Poskakały sobie do oczu, popisz-czały i widać było, że szkoły szeroko otworzyły im umysły. Wyostrzyły zmysł obserwacji, inteligencję i dowcip. Nauczyły się zadawania pytań. I rozwinęły wyobraźnię. Miały po czternaście lat i czuły się jakby Himalaje zdobyły. I znowu na arenie potyczek się znalazły. I do zmagania przystąpiły. Niby szermierkę uprawiały, ćwicząc styl, ale ciosy zadawały ostrożnie, by za mocno siebie nie zranić. Była w tym pewna igraszka, przekora i językowa zabawa. Jakby na nowo się rozpoznawały i sprawdzały swój fechtunek intelektualny. By dowieść, jak bardzo się zmieniły. Dwie dorastające sroczki, którym zachciało się swoje ogonki chwalić. Bawiły się sobą, igrały, weseliły i uprzyjemniały sobie czas.

Znowu spojrzały na siebie wojowniczo i dalejże za panińskie bary się brać.

Kasia Lwowem się zachwycała. A Salcia Drohobyczem. Że piękny ma Rynek, z oryginalnym ratuszem.

A Kasia: - Co tam drohobycki Rynek?! - prychała - Lwowski Rynek to dopiero! Posąg Diany na tle południowej pierzei

102

widoczną Katedrą Łacińską. Posąg Adonisa w północnym narożniku. Posąg Neptuna w zachodnim narożniku. To jest właśnie r0ś, Salciu. Mówię ci, Coś! A wy macie choćby jednego Adonisa!

- spytała.

- Och, ty, chytra lisico! - udając groźną, zawołała Salcia. -д wy macie cerkiew św. Jura? - rzuciła się na Kasię.

- A i owszem, mamy cerkiew św. Jura! I dwie inne, Wołoską i na Zniesieniu - odparła cios Kasia.

- Ale synagogi takiej jak my na pewno nie macie! - walnęła Salcia.

- E, tam!! - wydeła w udawanej pogardzie wargi Kasia. - My to dopiero mamy synagogi. I to jak dużo! Nigdzie na świecie w jednym mieście tylu synagog nie ma, co Lwowie. Co ulica to synagoga albo bożnica. Nie słyszałaś, jak dużo zbudowano ich w stolicy Kresów? - podkreśliła, chęlnie się wiedzą zdobytą w czasie zwiedzania miasta na lekcjach historii i rysunku. - Ot, choćby takie jak - wyliczała: - Złota Róża, Turej Zahaw, synagoga Kortisa, czy największa miejska synagoga, Bet Hamidrasz.

- I ty to wszystko pamiętasz? - zdziwiła się Salcia.

- A czemu mam nie pamiętać? - wzruszyła ramieniem Kasia. I głośne zmagania powoli się wyciszały, a emocje topniały.

Jednak Salcia po raz ostatni poderwała się do boju i wyciągnęła najcięższą broń:

- Ale największej synagogi w Europie Środkowej nie widziałaś? - przygwoździła Kasię potęgą budowli, wspinając się na szczyty zwycięstwa.

- No, nie widziałam - przyznała Kasia. - A ty widziałaś? - spytała zdruzgotana, nie mogąc uwierzyć, żeby taki fenomen w zasięgu ręki Saki się znajdował. - Gdzie jest niby ta największa synagoga? - z nutą ironii zagadnęła, nieprzygotowana na taki cios.

- Jak to gdzie? W Drohobyczu! - triumfalnie ogłosiła Salcia. Kasia pokręciła głową i zastawiała się, czy zdoła się jeszcze

Podnieść po takim ciosie. „Ale to przecież Lwów!” - rozpaczliwie w myślach poszukiwała nowej broni. „Nie mogę skapitulować, myłaby to hańba” - w duchu mówiła. I nagle przypomniała sobie

103

tajną broń: katolickie kościoły! Jasne, przecież mam w zapasie kościoły, świątynie. Jakże mogłam o nich zapomnieć! Przecież widać je z daleka. A jakie piękne, architektonicznie bogate! I runęła z całym impetem na Salcie, ogromnymi budowlami sakralnymi obrządku łacińskiego atakując. - A ty nie widziałaś najwspanialszych kościołów: Dominikanów, Bernardynów, Jezuitów!

Salcia się zachwiała. Uderzenie było celne. Ale Kasia szła za ciosem.

- I Katedry Ormiańskiej nie widziałaś.

Zdawało się, że po tym ataku Salcia się już nie podniesie. Ale, jak się okazało, Kasia nie znała Saki. Przyjaciółka się wyprostowała, tajemniczo się uśmiechnęła i zadała Kasi śmiertelną ranę.

- Schulz! - strzeliła.

- Co Schulz? - zatrzepotała Kasia rękami.

- No, Schulz, Kasiu! Schulza nikt nie przebije! - zaśmiała się i uznając, że czas zakończyć zmagania, rzuciła się Kasi w objęcia i znowu chichotały.

- Ale jesteśmy pomyłone! - pokrzykiwały, bawiąc się sobą.

104

SEKRETY

Przed rozstaniem, Salcia patrząc uważnie na przyjaciółkę, spytała: - Masz kawalera? Kasia spuściła oczy.

- Masz, prawda?

- Sama nie wiem - cicho odparła Kasia.

I opowiedziała pokrótce, jak widuje na ulicy pewnego przystojnego ułana z zielonymi oczami i jest w nim na zabój zakochana.

- A on? - spytała Salcia. Zakłopotana Kasia odparła:

- On o tym nie wie.

I pospiesznie jej zrelacjonowała, że od kiedy zobaczyła ułana, wykrada się z internatu i podpatruje, czy przypadkiem znowu nie idzie ulicą Zieloną. Przez dłuższy czas go nie widuje, a potem, gdy go spotyka, widzi, jak do niej puszcza oczko, a ona zmieszana, ucieka.

- Dlaczego? - spytała Salcia.

- Nie wiem... tak jakoś...

- Jesteś panną, Kasiu, trzeba się było uśmiechnąć do niego...

- Coś ty! - wzdrygnęła się Kasia. - Chyba bym się ze wstydu spaliła.

- I co? Spotkałaś go jeszcze?

- Tak i za każdym razem uciekłam.

- Głupia! - tupnęła nogą Salcia. Po chwili milczenia Kasia spytała:

- A ty? Spotykasz się z Dawidem?

- Rzadko, Kasiu. Dawid uczy się w Stanisławowie.

- A ja myślałam, że w Drohobyczu.

- Nie, Kasiu, skończył gimnazjum w Drohobyczu, ale do liceum poszedł do Stanisławowa.

105

I opowiedziała, że spotykają się raz na miesiąc. A gdy się już' spotykają, to jest to dla niej najradośniejszy dzień w życiu.

- Idziemy na spacer do parku - mówiła - albo Dawid zabiera mnie do Truskawca. Jedziemy wtedy bryczką i pojęcia nie masz, co to za niezwykle miejsce.

- Truskawiec? - prychnęła Kasia.

- Tak, Truskawiec. Zieleń, parki, ścieżki spacerowe, aleje, wille, atmosfera. Cudowny zakątek świata. Niby prowincja, a przyjeżdżają tu do wód najwytworniejsze damy z Paryża, Londynu i Wiednia. A jakie piękne, Kasiu! Jakie urodziwe! - zachwycała się. - I najbardziej eleganccy panowie z Europy. A pojazdy jakie?! Jakie limuzyny! Pojęcia nie masz. Nawet we Lwowie takich nie ma. Mówię ci, oczopląsu można dostać. Wytworni panowie spacerują po

ulicach, odpoczywają w parku, w ciemnych, modnych garniturach, białych, lśniących koszulach ze srebrnymi spinkami. Wszyscy w krawatach i kapeluszach. Nieraz we frakach. Niektórzy podpierają się laskami. Dystyngowane damy w paradnych i gustownych strojach, śnieżnobiałych rękawiczkach, ozdobnych kapelusikach, ze złotymi kolczykami i parasolkami. Zupełnie nowy świat, Kasiu. Jak z bajki. I wyobraź sobie, że woda lecznicza pochodzi aż z 14 mineralnych źródeł i śmiesznie się nazywa, Naftusia. Prawda, że śmiesznie?

- Naftusia? - zdziwiła się Kasia. - Co to znaczy?

- Dawid mnie poczęstował i smakuje trochę jak nafta.

- Tfu! - z odrazą sarknęła Kasia. - I takie świństwo ludzie piją? - niemal się zgorszyła.

- To prawda - uśmiechnęła się Salcia - woda zalatuje trochę naftą. Ale właśnie dlatego jest taka zdrowa. A wiesz, kto tam nawet przyjeżdża?

Kasia uniosła brew.

- Sam Piłsudski! - wypaliła Salcia.

Kasia nie mogła uwierzyć. Ojciec o Piłsudskim w domu wiele mówił. I wyobrażała sobie Piłsudskiego, jako niedosiężne bóstwo, postać pomnikową, symbol. A on żyje. I do wód przyjeżdża.

- Sam Piłsudski? - zdumiona spytała.

I znowu szczebiotały o szkole, nauczycielach i kinie. Kasia

106

powiedziała, że widziała film ze słynną Ordonką, na co Salcia dparła, że widziała film z wielką Ćwilkińską i Dymszą. Wybuchaly zaraźliwym śmiechem, śmiały się długo i szczerze, a potem przyrzekły sobie, że nie będą już więcej walczyć na pomniki i katedry. A gdy nagadały się do woli, poszły do Kseni i z nią trochę pogawędziły.

Późnym wieczorem Kasia wróciła do domu, zapisała w dzienniczku wrażenia z rozmowy i położyła się spać. Ale nie od razu zasnęła. Myślała o szkole. Jutro wyjedzie do Lwowa i zacznie się nowy czas.

Przed oczami przesuwaly się dziwne krajobrazy, ulice, pomniki, koleżanki z klasy, jakaś łąka, park, źródło wody, nieznana ścieżka. Potem muzea i sala teatralna. I niespodziewanie wtargnął głos ojca, a potem matki.

107

DOKOŃCZONA ROZMOWA IHORA Z BOGIEM

Kończyli przerwana przez Mariusza rozmowę o tym chłopie, który uciekł z sowieckiej Ukrainy i zamieszkał na wsi. I o jego rozmowie z Bogiem.

- Naprawdę to wszystko się zdarzyło? - spytała matka.

- Naprawdę, Anno - odparł ociec. - Bóg spojrzał surowym: okiem na Ihora i powiedział: - Ci towarzysze z waszego KC moich aniołów od razu by do partii zapisali. Z anielskich dziecięcych chórów drużynę pionierską by zrobili. I komitety partyjne w niebieskich klasztorach by pozakładali. Rozumiesz, Ihor?

- Masz racje, Panie - skwapliwie przyznał kołchoźnik, dziwnie się oglądając. - Co jak co, ale partię w niebie natychmiast by ci, Panie, zainstalowali. Komitet Centralny by wybrali! I Wydział Propagandy. Najgorszy, Panie!

- Ale ja nie pozwolę! - twardo rzekł Bóg. - Choć komuniści jak czarne chmury gromadzą się nad światem, na to nie pozwolę. Zaraz by mi tu czerwoną republikę zafundowali. Kołchozy by, w niebie pozakładali. Biedne duszyczki do sowchozów zaciągnęli. Defilady i pochody pierwszomajowe by organizowali. Transparenty czerwone nosili. Masz, racje, bracie, sekretarzami komitetów powiatowych i wojewódzkich zaraz by mnie osaczyli. Rozumiesz, Ihor? Zamiast do kaplicy na modlitwę iść, oni by aniołów na zebrania partyjne gonili. I na kursy marksizmu-leni-nizmu pędzili. A niewinnym formacjom skrzydlatym czerwone krawaty by zakładali. I do komsomołu zapisywali. A na dodatek moich świętych i błogosławionych by do związków zawodowych oddelegowali. Chcieliby ten niebieski kraj

wolności w wielką komunistyczną oligarchię przeobrazić. Z obozami koncentracyjnymi, ze szpitalami wariatów i więzieniami wypełnio-
108

vni wiernymi mi formacjami anielskimi. A alkoholizm jaki by tutaj kwitł?! Boć to sami pijacy, Ihor. Sam to dokładnie wiesz.

Ihor skromnie spuścił oczy. A Bóg mówił: - Żłopią bez ograniczeń. A korupcja jaka by była?! Rozlałaby się jako ciemna rzeka I kazaliby mi jeszcze tutaj portrety Lenina i Stalina wieszać. Znam ich. To zaraza, Ihor, mówię ci, zaraza. No, a pomyśl - Bóg się zastanowił - pomyśl, bracie, co by się z archaniołem Michałem stało? Albo z archaniołami Rafałem i Arielem? Aż strach pomyśleć. Zaraz by ich w kajdany zakuli i na Sybir zesłali. Zgroza, bracie, zgroza! - Bóg objął dłońmi głowę i na długo zamilkł.

Ihorowi zawirowało przed oczami.

- Na szczęście - Bóg powiedział - nie odpowiadają mi tutaj rządy komunistów. Do służby potrzebuję świętości, bracie. Muszę tu mieć dusze niewinne, które by ładu i porządku pilnowały. I moje polecenia do dalekich sfer niebieskich przekazywały.

Akurat przed oczami Ihora przeleciało stadko małych aniołków.

- No, właśnie, widzisz te formacje - zwrócił się Bóg do kołchoźnika - są najwierniejsze z wiernych. To dusze najczystsze. Za nimi suną w głębię Niebios tysiące nowych niewidzialnych ukraińskich dusz.

Ihor ze zdumienia przetarł oczy. Pojęcia nie miał, że w nocy dzieją się takie dziwne rzeczy.

- To nowy transport z rejonów Charkowa i Dniepropietrow-ska - wyjaśnił Bóg. - Znowu kilkaset tysięcy Ukraińców zmarło. Po czym pochylił się ku Ihorowi i rzekł:

- No, ale słuchaj, bracie. Teraz, jak wiesz, na Ukrainie straszne nieszczęście. I, jak powiedziałem, całymi tabunami dusze do nas przylatują. Muszę je jakoś ulokować i porządnie zagospodarować. A Niebo, jak widzisz, to ogromne terytorium. Całe sztaby anielskie od wysiłku i potu się uginają, a i tak nie nadążamy A każda taka dusza musi mieć swój osobny numer, katalog osobowy, rejestr, słowem, całą dokumentację. Jest tu trochę biurokracji, ale tak trzeba. Niebo to wolny kraj, jednak jakieś rozeznanie, kto kim jest, nam się należy. Dlatego potrzebuję sporo nowych niewinnych dusz, by mi wiernie służyły. Najbardziej
109

chłopięcych, bo dziewczęcych mam już nadmiar. Fruwają tylko 1 po niebiańskich łąkach i kwiaty zbierają. A ja potrzebuję chłó-1 pięcej fantazji. Rozumiesz mnie? Kołchoźnik nie bardzo rozumiał.

- Przyślij mi, bracie - rzekł Bóg - swoich chłopaków. I to jak najszybciej - klepnął kołchoźnika po plecach. - Będą niebieski- \ mi listonoszami. Formacją niewidzialną, ale jakże pożyteczną. To 1 najbardziej zaufane moje zastępy. A dzięki temu, że mnie w po-1 siadanie swoich chłopców oddasz, najmłodsze córki ocalisz, bo co trzy gęby do wykarmienia, to nie siedem, prawda?

- Ależ Panie, dlaczego chłopcy? - jęknął kołchoźnik. - To moi następcy. Na popów ich chciałem wyświęcić. Może dziewczynki? - patrzył przestraszony na Boga.

- Handlować ze mną chcesz? - Bóg groźnie zmarszczył brwi.-Przecież tłumaczyłem ci, dlaczego chcę chłopców.

Na chwilę Bóg zamilkł, a potem jakby do siebie rzekł: - Daję ludziom palec, a oni by chcieli całą rękę. Niepokorne plemię! -skrzywił się.

- Panie - ze zdławionym gardłem wymamrotał chłop - kto mi pomoże w kołchozie, jak chłopców zabierzesz? Bo nie baby przecież?

- Proszę, co za kombinator!?! Nauczył się w kołchozie kombinować, to i samego Pana Boga by przechytrzył?! Widzicie go?! -Bóg wskazał chłopca niewidzialnym istotom, a kołchoźnikowi włosy ze strachu dęba stanęły. Przeraził się, że wnet przed Sądem Ostatecznym stanie.

Ale Bóg go uspokoił.

- Na ciebie, Ihor, przyjdzie czas. Lubię cię, bracie - pogłaskał go po głowie. - A teraz do roboty, przyjacielu. Jeszcze dziś chcę tu na wysokościach widzieć twoich chłopców - z naciskiem podkreślił.

Ihor nie zdążył wydukać słowa, ponieważ Bóg się oddalił.

Gdy został sam, zrozumiał, że jego synowie zostali wybrani.

Po cichu, na palcach, by nie zbudzić w drugiej komórce śpiącej żony z córeczkami, wziął brzytwę i synom poderznął gardła. Gdy żona rano zobaczyła cztery trupy, załamała ręce. A

Ihor

110

'miechał się i wymamrotał, że dusze synów już Bogu służą, dodał, że córki więcej do jedzenia będą miały. A wieczorem, gdy ona z córeczkami poszła spać, mruknął do siebie:

- Bóg potrzebuje i ciebie, Ihor. Musisz mu pomóc w jego ciężkiej doli.

Wziął sznur i się powiesił.

111

PIERWSZA MIŁOSC

Wr domu paliła się lampa, a młynarz z młynarzową siedzieli w kuchni. Odpoczywali po całodiennej pracy. Kasia w li-1 ście nie narzekała już na samotność Chwaliła się, że dużo czyta. Wśród lektur wymieniała Poganekę Narcyzy Żmichowskiej. Młynarzową przyklasnęła i rzekła do młynarza, że taka lektura rozwija kobiecy instynkt i daje nowy punkt widzenia na życie. Choć naturalnie, Kasia musi dojrzeć, by tak kontrowersyjne dzieła czytać. Uznała, że dusza Kasi potrzebuje nowego pokarmu. Zadumała się dłużej nad Gabriellą Zapolską, o której Kasia pisała z entuzjazmem. Zapolska - powiadała - urodziła się na wsi, w Podhajcach, koło Łucka. A to przecież są nasze Kresy - z dumą podkreślała. I od razu dodawała, że pani od polskiego uczyła, że słowo kresy wprowadził do literatury polski poeta, Wincenty Pol, używając tego pojęcia w jednym ze swoich poematów.

- Popatrz, Kuba, jaką mamy dociekliwą córkę - powiedziała młynarzową. - Nie tylko wiersze pięknie układa, ale i dużo czyta. Może prócz poetki i uczoną zostanie. Nieraz się tak zdarza. Nie uważasz?

Młynarz mruknął, że uważa. I że wszystko przed nią otwarte. I dodał, że byłoby lepiej, by także nauki ściśle dokładniej studiowała. Młynarzową wzruszyła ramieniem, ale już nie komentowała.

W kolejnym liście Kasia mądre maksymy przytaczała, przysłowia, sentencje, porzekadła i aforyzmy. Człowiek bez miłości jest zgubiony w świecie obcych i wrogów (Lew Tołstoj). Każdy zakochany jest poetą (Platon).

- To miłość, Kuba! - krzyknęła młynarzową, gwałtownie szu-: kając wsparcia. A młynarz powoli, jak niedźwiedź budzący się z zimowego snu, uniósł na nią ciężki wzrok i spytał:

112

_ Nowe fanaberie?

_ Ależ Kuba! - skoczyła na niego. - Jak możesz!? Twoja córka się zakochała, rozumiesz?

Z kwaśną miną wyburczał:

- Szkolne amory! - i wrócił do gazet.

Czuła, jak wali jej serce. Kasia nie napisała jednak, że spotkała ułana i po raz pierwszy poznała, co znaczy pocałunek. Nie zdradziła, że ułan nadszedł z drugiej strony ulicy i gdy go zobaczyła, był już tak blisko, iż poczuła się jak w matni. Nie była nawet w stanie się ruszyć.

A co dopiero uciec. Spłoniona, z pochyloną głową, czekała, aż ją minie. Ale nie minął.

Zatrzymał się, uniósł jej głowę do góry i długo wpatrywał się w jej oczy, a jej serce trzepotało jak schwytanego ptaka. Wtedy pocałował ją w usta. Zanim zdążyła się zorientować, co się stało, już go nie było. Szumiało i wirowało jej w głowie. I jakby słyszała jego głos: - Czekaj tu na mnie. - Ale nie była pewna, czy to był jego głos. Brzmiał jakoś fantastycznie, jak w

bajce, realnie i nierealnie równocześnie. A ona nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Stała jakby w pobliżu trzasnął jasny grom. Wstrząśnięta, zachwycona i przerażona. A prawdę mówiąc, nie potrafiła dokładnie określić swego stanu. Wciąż waliło jej serce, a nogi były jak z waty. To był jej pierwszy pocałunek. I tak niespodziewany. Nie wiedziała, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.

Normalnie - zapisała potem w dzienniczku - nie wiedziałam, kim jestem i czy to naprawdę ja. Myślałam, że to sen. Ale to nie był sen. Bo jak się uszczypnęłam, to poczułam ból. A we śnie nie czuje się bólu. On mnie naprawdę pocałował! Na-praw-dę! Mój pierwszy pocałunek. Pocałunek czternastoletniej gimnazjalistki.

Ale w korespondencji tego nie zrelacjonowała. Jednak młynarzową, już wszystko wiedziała. Wyczuła od razu, co się świę-°- Jej dziki matczyiny instynkt był niezawodny. Przynęła się bużej do lampy i w nerwowym pośpiechu napisała list, który następnego dnia rano wysłała do Lwowa. Młynarz tylko się zmarszczył, gorzko uśmiechnął i ze współczuciem pokiwał głową. Miał nne kłopoty. Nadszedł maj, a wraz z nim zła wiadomość.

113

ŚMIERĆ PIŁSUDSKIEGO

Rano wysłuchał radia i grzmotnęło go jak obuchem w głowę. - Nie, to niemożliwe! - przecierał oczy. - Jakże to tak?! - stał osłupiały. Piłsudski wydawał mu się wieczny. A tu taka wiadomość. Naczelnik nie żyje. Smutna muzyka. Marsz żałobny Chopina. Żałobny nastrój. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Piłsudskim interesował się już na studiach. Pochłaniała go legenda Legionów. Jego ojciec był piłsudczykiem. I on, Jakub Kukułka, śmiało mógł o sobie powiedzieć, że jest piłsudczykiem. I oto runął żywy pomnik. Jakby się świat zawalił. Co będzie dalej? Odczuł to jako osobistą klęskę, wręcz tragedię. Jakby wielkie idee, które się nad nim unosiły jak potężne sztandary, nagle zwiął wiatr historii.

Następnego dnia znalazł w gazetach ogromne zdjęcia Marszałka. Sześć dni później, 18 maja 1935 roku, odbył się pogrzeb Piłsudskiego.

Wieczorem, dzień po pogrzebie, siedział przy stole z nosem wbitym w stos gazet i czytał relacje ze smutnej, podniosłej uroczystości. Młynarzowa wpatrywała się w tańczące w piecu płomienie. Wynurzył się zza sterty papierzyk i ponuro odezwał się:

- Niedobrze, Anno. Bardzo niedobrze - wpatrywał się w nią z powagą, a ona odwróciła wzrok od ognia i zobaczyła go skurczonego. Jego szaroniebieskie oczy ściemniały, a rysy twarzy wyostrzyły się.

- Niestety, Kuba, odszedł. Skończyła się ważna epoka w naszym życiu. Choć nie był aż tak stary - cicho rzekła.

- Sześćdziesiąt osiem lat, Anno. Mógłby jeszcze żyć. To wielki cios dla Polski. Cały kraj w żałobie. Runął nasz świat, Anno.

Podniósł gazetę i pokazał zdjęcia z pogrzebu. Na pierwszym planie trumna z dużym białym orłem. Fotografia ogromna, na

114

'} strony, a niżej nota biograficzna i informacje o sześciotygodniowej żałobie narodowej.

Siedział zamyślony, jakby zapominając, że wciąż trzyma niesioną do góry gazetę.

Młynarzowa na powrót pochylała się nad ogniem, wpatrywała się w liżące drewno płomyki i rozpryskujące się iskry. Przynął gazetę przed oczy i odezwał się: _ posłuchaj, co piszą. Odwróciła głowę.

Zmarł 12 maja 1935 r. o godz. 20,45 w Belwederze - czytał. - Znajdowały się przy nim żona i córki. W pewnym momencie wyciągnął w ich stronę rękę, jakby chciał coś powiedzieć. Po czym skierował wzrok na obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Poszły za jego spojrzeniem. A on głośno westchnął i skonał. Przez dwa dni zwłoki Marszałka były wystawione w Belwederze. 17 maja na Polu Mokotowskim przed złożoną na lawecie armatniej trumną

odbyła się uroczysta parada oddziałów wojska polskiego. Towarzyszyła jej raptowna burza z piorunami.

- To było przedwczoraj, Kuba, prawda? - przerwała.

- No, tak, przedwczoraj. I u nas też lało jak z cebra. Na pole nie dało się wyjść.

- Właśnie, pioruny trzaskały, jakby się świat walił. I popatrz, Kuba, tam daleko, Warszawa, a tu Pokucie, dwie różne krainy, a takie same straszne huragany. Nie dziwne to? Jakby znak jakiś.

- Masz rację, Anno, jakby trąba powietrzna przeszła przez Kresy. Drzewa połamane, dachy pozrywane. Dla wielu, katastrofa. Na szczęście u nas większych szkód nie narobiła.

115

WIELKA POLITYKA

I wtedy, gdy rozmawiali, rozległo się pukanie. Młynarzowa drgnęła. Młynarz podniósł ze zdziwieniem głowę.

- Proszę - krzyknął.

Otworzyły się drzwi i wtoczył się jakby zamroczony krawiec, Izaak Hermann, największy gminny polityk.

- Witaj, Icek. Chodź, chodź, siadaj - ożywił się młynarz. - Co cię sprowadza o tak późnej porze?

- Co sprowadza, Jakub? Ty pytasz, co Hermanna sprowadza? - stał pod drzwiami.

Miał podkrążone czy i zmiętą twarz. Włosy zmierzwione, długa broda w nieładzie.

- Siadaj, Icek - zerwała się młynarzowa. - Coś ci zrobię do picia. Machnął ręką.

- A co mnie, starego Żyda, ma sprowadzać? - rozłożył ramiona.

- Nie jesteś stary, Icek - wtrąciła z uśmiechem młynarzowa.

- Każdy Żyd jest stary, Anno, każdy - wychrypiał. - Każdy Żyd ma tysiące lat.

Spojrzeni po sobie.

- Masz jakieś kłopoty? - spytał młynarz.

Hermann podrapał się po głowie i ruszył w obchód kuchni, jakby był we własnym domu.

Ominął młynarza i chodził od drzwi do okna i z powrotem.

- Wszyscy Żydzi dziś, Jakub, mają kłopoty - burczał. - Wszyscy, co do jednego. I to duże kłopoty! - uniósł dłoń.

- Jakie? - nie rozumiał młynarz.

- Jak to jakie? Ty, Kuba, pytasz, jakie? Bardzo duże kłopoty, Kuba.

Młynarz odłożył gazety i śledził jego kroki.

116

- Co się stało? - zaniepokoił się.

Jy młynarzowa także wpatrywała się w niego z lękiem.

_ co się stało, pytasz, Kuba? Ty piłsudczyk, starego Żyda pytasz, co się stało?

_ No, tak, tak - mruknął młynarz, a młynarzowa podeszła do kuchni, by zaparzyć herbaty.

_ To ciężki czas dla Żydów - powiedział krawiec.

- Dla nas też, Icek, dla nas też - odparł młynarz.

- I co teraz będzie, Kuba? Co się stanie?

- A co ma się stać, Icek?

- Jak to co? Ty mnie, Hermanna, starego Żyda pytasz, co ma się stać? Ty, światły człowiek - burczał. - Nie ciemny chłop, jak pół tej wsi, a rozumny, z myślącą głową i jasnym okiem. Bo ty masz rozum, Jakub. Bo jakbyś nie miał rozumu, to byś nie miał młyna i kilkudziesięciu morgów ziemi. A masz młyn i kilkadziesiąt morgów ziemi. A to znaczy, że masz rozum. A kogo ja, stary Żyd, mam pytać, jak nie ciebie, Kuba? - zatrzymał się przed młynarzem. - Czy do karczmarza Feldmana mam pójść, co się trzęsie ze strachu?! Albo do piekarza Gotlieba, co interes chce już zwijać?

Młynarz spojrzał na żonę.

- To ty nie wiesz, że jak zabrakło Piłsudskiego - krawiec nerwowo szarpał brodę - to dla Żydów w Polsce nastał sądny dzień?
- Ależ Icek, co ty wygadujesz?! - zachnął się młynarz.
- To nie ja, Kuba, wygaduję, to tysiące lat żydostwa przeze mnie mówi. To żydowska mądrość wieków przeze mnie gada, Kuba.
- Nie rozumiem ciebie, Icek. Ustawy Piłsudskiego uchwalone w 1918 i 1919 roku gwarantują ci wszystko. Czego chcesz jeszcze?
- Oj, Kuba, Kuba! Niby ty mądry Polak, a nie wiesz, jak to już kiedyś było. A było już źle. Kilka wieków temu w Hiszpanii też nam gwarantowali wszystko. A potem kopa w tyłek i żadnych gwarancji już nie było.
- Ale Polska to nie Hiszpania. Polska ma swoją godność, ho-n^or i dumę, rozumiesz? Polska was przyjęła z otwartymi ramionami- I jesteście tutaj jak u siebie w domu. Bo Polska teraz to wasz dom.

117

- Jesteśmy albo nie jesteśmy, Kuba, nasz dom, albo i nie nasi - mamrotał krawiec.
- Icek, nie przesadzaj. Czego wam brakuje? - pytał nerwowo młynarz. - Macie własne szkoły, synagogi, fabryki, banki, handel, gazety. Macie swoich adwokatów, sędziów, prokuratorów, profesorów, pisarzy, poetów... macie wszystko.
- A co, Kuba, chciałbyś, byśmy nic nie mieli? - krawiec kwaśno się skrzywił.
- Icek, proszę...
- A czy my, Kuba, nie tacy sami ludzie, jak wy? No powiedz mi?
- Tacy sami, Icek. I dlatego macie takie same prawa. Żydzi są wszędzie, w rządzie, w parlamencie, w polityce. Dzierżawicie i kupujecie ziemię tak samo jak my. Język żydowski ma takie same prawa jak polski w urzędach. - Nie narzekaj, Icek, proszę... Piłsudski dał wam wszystko...
- Łaski nam nie zrobił, Kuba - krawiec zesztywniał. - Wal-; czyliśmy w Legionach. Budowaliśmy nową Polskę razem ze wszystkimi.
- To czego się boisz?
- Ano tego, Kuba, że to, co dał nam Piłsudski, mogą nam teraz odebrać inni. Tego się boję.
- Kto wam może odebrać?
- Ty, Kuba, nie idziesz dobrym tropem.
- A jakim?
- Ty złym tropem idziesz, Kuba. Ty musisz myśleć, kim był Piłsudski...
- Też mi mądrość?! Przestałbyś się, Icek, tą swoją żydowską talmudyczną mądrością popisywać - zdenerwował się młynarz...
- Ty się nie denerwuj Kuba. Ty myśl. Ty człowiek poważny i nie wolno ci się denerwować. No, kim był Piłsudski?
- Jak to kim? Wiadomo, był marszałkiem, naczelnym wodzem, naczelnikiem państwa...
- Nie, Kuba, Piłsudski był socjalistą. Rozumiesz, socjalistą! -wybił. - Jakby nie był socjalistą, to nie byłby tym, kim był.
- Nie rozumiem.

118

- Najważniejsze, Kuba, że Piłsudski był socjalistą, a socjali-' i to porządni ludzie... Przecież ty też, Kuba, socjalista.
Młynarz popatrzył dłużej na Hermanna i wyraźnie, dobitnie powiedział:
- Ja, Icek, nie socjalista. Ja nigdy nie byłem socjalistą.
- Co? Ty już nie socjalista, Kuba!?! - Hermann osłupiał. - Jakże nie socjalista? Jak całe życie ty był socjalista. A teraz, po śmierci Piłsudskiego, ty już nie socjalista?! - kręcił głową. - A ja, stary Żyd, był pewny, że mój przyjaciel, Kuba, to socjalista. Aj, waj, aj, waj! - burczał pełen

zawodu. - Ty już ktoś inny teraz, Kuba! Ty już nie przyjaciel Hermanna - chwycił się za głowę. - I ja z tobą przystaję? Ja, stary Żyd?

- Ja piłsudczyk, Kuba, a nie socjalista - poważnie powiedział młynarz.

- A to nie to samo, Kuba? - zawołał krawiec. - Jak piłsudczyk, to i socjalista! - odetchnął z ulgą.

- Nie, Icek - spokojnie odparł młynarz. - To nie to samo.

- Co ty wygadujesz, Kuba? Jak nie to samo, jak to samo - Hermann znowu szarpał brodę.

- Posłuchaj, Icek - młynarz się uśmiechnął - to prawda, że Piłsudski był socjalistą. Ale pewnie nie wiesz, co powiedział pod koniec 1918 roku...

- No, nie wiem, Kuba - przerwał krawiec. - Co powiedział? Oświeć starego Żyda - z irytacją zawołał.

Młynarz zignorował nieprzyjemny ton w jego głosie.

- W końcu 1918 roku - wyjaśniał młynarz - przyszedli do Piłsudskiego dawni koledzy, socjaliści, z prośbą, by wsparł ich ugrupowanie. A on odpowiedział: - Towarzysze, jechałem czerwonym tramwajem socjalizmu aż do przystanku „Niepodległość”, ale tam wysiadłem. Wy możecie jechać do stacji końcowej, jeśli potraficie, lecz teraz przejdziemy na „Pan!”.

- Co ty mówisz, Kuba?! Tak powiedział Piłsudski? On, socjalista?!

- Tak powiedział, Icek.

- A ja, stary Żyd tego nie słyszał?! Jak to może być, Kuba? ~ targał włosy.

119

Zrobił rundę dokoła stołu, nad czymś się głęboko zastanowił i wychrypiął:

- Ale Piłsudski, Kuba, do końca życia miał duszę socjalisty. A dusza socjalisty, Kuba, jest ważniejsza niż słowa.

Młynarzowa zrobiła kanapki, podała herbatę. Zaprosiła Hermanna do stołu. Po chwili wahania usiadł. I zaczęli rozprawiać, co się zdarzyło po śmierci Piłsudskiego.

- Jaka będzie teraz ta nowa ekipa? - spytał krawiec.

- Żeby to wiedział, Icek. Ale powiem ci szczerze, że teraz zaczną się walki w obozie rządowym.

- Jakie walki, Kuba? Kto z kim będzie walczył? - niecierpliwił się Hermann.

- Jak na mój nos, Icek, po śmierci Piłsudskiego dojdzie do zmagania między prezydentem Mościckim a Rydzem-Śmigłym.

- A endecja? - ze strachem spytał krawiec.

- Ty, Icek, nie bój się endecji...

- A kogo mam się bać, Kuba - gwałtownie przerwał Hermann - jak nie endecji? To nie wiesz, że oni nas, Żydów, chcą do Palestyny wygnać. To nie są żadni demokraci, Kuba, to, to...

zwyrodniał-cy! - krzyknął. - Nie kochają nas. Oj, nie kochają! - chwycił się za serce. -

Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje. Jak nie kijem go, to pałką. Taki jest los Żydów. A każdy Żyd ma tysiące lat, Kuba. Tysiące lat na swoim karku. I każdemu Żydowi rośnie garb.

Tak wielki garb, Kuba, jak góra Ararat. Garb z tysiącami lat historii. A jak się ma na karku,

Kuba, taki garb z tysiącami lat historii, z tułaczkami, prześladowaniami i wygnaniami, to

człowiek się boi każdego nowego kroku. Bo nie jesteśmy pewni, co się teraz stanie. To już

jest w naszej krwi. Bo to od krwi idzie, Kuba. Od nerwów i od duszy. Od cierpień i od

żydowskiego bólu. Bo razem z naszą krwią przez wieki płynie ból i strach. Straszny strach. I

dlatego ja, stary Żyd, do ciebie, mądrego goja przyszedłem, bo ciebie szanuję, by się dowiedzieć,

czy teraz, po śmierci Piłsudskiego, znowu mamy się bać...

- Nie ma powodu, Icek, by się bać. Nikt tutaj na Żydów nie poluje...

- Ale mego syna dzieci na wsi parszywym Żydem nazywają i przeganiają za płot... - ze smutkiem powiedział krawiec.

120

- Dzieci, jak to dzieci - wtrąciła młynarzowa - przezywają się, jak świat światem.

_ A wiesz, czego mi szkoda, Icek? - spytał nagle młynarz. _ No, czego, Kuba?
- Tego, Icek, że Piłsudskiemu nie udało się wielki plan.
- Jaki plan, Kuba?
- Jak to jaki? To nie pamiętasz, ty, największy tutaj polityk, że jeszcze w 1918 roku Marszałek Piłsudski marzył o wielkiej federacji obejmującej Polskę, Ukrainę i Białoruś...
- Tylko marzenia, Kuba, tylko marzenia - westchnął krawiec i podniósł się.
- Jakby te marzenia wcielił w życie, mielibyśmy dziś ogromny kraj i bardzo bezpieczny... Z wieloma nacjami, kulturami i religiami. Ta ziemia do tego się nadaje. Kresy się sprawdziły. To taka mała Europa w jednym miejscu.
Krawiec już tego nie skomentował. Rozprostował kości i rzekł:
- Pora do domu - spojrzał na pochyloną nad ogniem młynarzowa. - A ty co, Anno, z płomieni wróżysz?
Blado się uśmiechnęła.
- Już trochę mi lżej na duszy, Kuba - powiedział na koniec. - Człowiek musi się wygadać, wypłakać przed drugim człowiekiem, a wtedy odczuwa pewną ulgę...Dziękuję ci, Anno, za herbatę.
- Kanapki żeś nie tknęła - skarciła go.
- Innym razem, Anno. Dobranoc - wyburczał, kiwnął głową i pokuśtykał.

121

WAKACJE

Tym razem Kasia pisała o nowej przyjaciółce, Karaimce, Dewo-rze, która poczęstowała ją egzotycznym przysmakiem, zwanym kibinem, czyli dużym zapiekany pierogiem, nafaszerowanym mięsem. Palce lizać! - pisała Kasia. - A miłość?! Gdzie jest miłość! - niecierpliwiła się młynarzowa i szperała wśród liter. Koniecznie chciała poznać tajemnice serca córki. I znalazła odpowiedni fragment. Już nie żadna Karaimka, ale ułan. I to ułan jazłowiecki. - Mamuś - pytała Kasia - jakbyś się zachowała, gdybyś miała czternaście lat, a piękny ułan jazłowiecki ciebie by pocałował?
A więc ją pocałował! Ułan jazłowiecki ją pocałował. Moją córkę ułan pocałował! - nadymała się z radości. Ale zaraz się wystra-j szyła. Gdzie? W jakich okolicznościach? Oficer czy zwykły żołnierz? Kasia to moja krew, z dumą myślała. Tak samo kochliwa jak ja. A jeśli ją zbałamucił i porzucił? Znam panów oficerów! Przebierają w pannach jak w ulęgałkach. Nie darują żadnej. Znam niepisany ich kodeks oficerski. Jak najwięcej flirtować. Jak najwięcej mieć romansów. I jak najrzadziej się żenić. A jeśli natrafiła na takiego? - przeraziła się. W nocy nie spała. Wierciła się w łóżku i rozmyślała o córce. W końcu uznała, że chyba przesadza, bo Kasię unosi tak samo jak ją, rozpalona wyobraźnia i fantasmagorie.
Aż nadeszły wakacje. Kasia zjawiła się w domu z czerwonym paskiem na świadectwie. Rzuciła się matce w objęcia, a młynarzowa dostrzegła jej bladą twarz i smutne oczy. Kasia zwała to na trudy podróży i zmęczenie. Pokręciła się po domu. Coś przekąsiła. Nie była zbyt rozmowna. Młynarz tylko na nią zerkał kiwał głową, ale nic nie mówił. Mariusz pokpiwał, że straciła głos. Młynarzowa spod oka śledziła jej ruchy, lecz nie narzucała się. Pod wieczór Kasia poszła do Saki. Zamknęły się w pokoju i wtedy wyznała Saki, że się całowała.

122

_ i było to słodkie? - spytała Salda. Kasia się uśmiechnęła. _ Było? _ Bardzo.
Kasia zamknęła oczy, jakby pragnąc raz jeszcze odczuć ukrytą nod powiekami całą zachowaną tam słodycz tego pocałunku. _ A co było potem? - spytała Salcia. Kasia opuściła głowę i cicho powiedziała:
- Potem czekałam na niego kilka tygodni, wypatrywałam, ale nie nadszedł. Jeść nie mogłam, schudłam i w nocy ryczałam jak bóbr. Aż koleżanki zaczęły się domyślać, że coś złego ze mną się dzieje. I do pani doktor chciały mnie wysłać. Ale nie zgodziłam się. Bo tylko ja wiedziałam, co mi dolega. Byłam rozbita w środku, jakby popękana, pełna chaosu i nie

wiadomo czego. Tak strasznie za nim tęskniłam. Tak bardzo chciałam go widzieć. A równocześnie drżałam, gdy dostrzegałam kogoś podobnego. Bo ciągle mi się zdawało, że gdzieś go widzę. Na ulicy, w parku, teatrze, muzeum. A potem okazywało się, że to nie on. Raz nawet pobiegłam za jakimś panem oficerem, ale w ostatniej chwili się zatrzymałam, ze strachu, wstydu, sama nie wiem czego. Aż nadszedł koniec roku szkolnego i jestem, Salciu, tutaj, bez niego. Bo mój ułan zapadł się pod ziemię - kwaśno się uśmiechnęła.

- Może na ćwiczenia wojskowe pojechał. Oni manewry, Kasiu, często mają - tłumaczyła, jakby się znała na strategii ułańskiej.

Kasia się załamała. Nie mogła jeść, pić, schudła i bardzo spoważniała.

Młynarzowa patrzyła na nią z troską. Pytała, czy nie dolega JeJ jakaś ciężka choroba, w podtekście mając na uwadze ciążę, ale Kasia stwierdziła, że nie, nic jej nie dolega. I zwała całą winę za swoje zachowanie na zmianę warunków. Przyzwyczała się, mówiła, do wielkiego miasta, jego tętna, rytmu, hałasów, szumu, a tu taka cisza, kombinowała, kręciła, aż młynarzowa zagroziła, Ze Ją do szpitala zawiezie, bo nie może patrzeć, jak mizernieje jej na oczach.

Kasia kategorycznie twierdziła, że nic złego się z nią nie dzie-

123

je i do żadnego szpitala nie pójdzie. Rzuciła się w wir ciężkiej pra. cy. Nie oszczędzała sił. Jakby w ten sposób pragnąc odsunąć na plan dalszy ciemne myśli. Obornik wyrzucała. Na polu jak wół harowała. Rowy kopała, by woda z pola mogła spływać. Łąkę kosiła i siano w stogi ustawiała. A potem zwoziła pod dach. Mariusz z sarkazmem zauważał:

- Dziwnie robotna ta moja siostrunia. Energia aż ją rozpiesiera. Pewnie chłopaka jej brakuje.

A ona obracała się na pięcie, pod wieczór wsiadała na konia i jak oszalała pędziła po zboczach, z wichrem się ścigając. Potrzebowała szybkości i zapomnienia, aż koń się pienieł. A ona zeskakiwała, głaskała go po szyi, dawała owsa i szła do swego pokoju. Znowu brała do ręki Poganę Narcyzy Źmichowskiej i szukała w niej lekarstwa na swoje utrapienia. Mimo że po raz drugi czytała, pochłoneła ją w ciągu nocy. Główna bohaterka powieści, Aspazja, tak samo jak ona, kochała i wzbudzała w swoim środowisku respekt. I tak samo jak ona budowała wokół siebie aurę tajemniczości. Niektóre zdania z powieści wprost pasowały do niej. Dzisiaj nad ranem spostrzegłam, że mi czegoś brakuje, zaczęłam szukać (...) ogarnęła mnie czułość... To o mnie, myślała. I zapisała to w dzienniczku. I dopisała: ...kochać ciebie, och! Czy to ja nie tego szukałam właśnie... Boże, inne pisarki także zadają sobie podobne pytania, zdumiewała się i zapisywała siebie do jakiegoś zawiedzionego klanu wielkich pisarek, które nie radzą sobie z własnymi uczuciami. I czuła się w tej rozczarowanej rodzinie trochę lepiej, choć ból duszy ciągle nie ustępował. Ale opowieść o historii Beniamina, który wplątał się w złowieszcze sidła miłości i pozostał w zamku pogańskiej Aspazji, zapominając o całym świecie, dała jej wiele do myślenia.

W końcu sierpnia wróciła Sara. Już była zdrowa. Kuracja jej pomogła. Plamy z twarzy i całego ciała znikły. Cera była czysta i gładka. Wybierała się do drohobyckiej szkoły. Tylko Ksenia znowu nie mogła pójść do gimnazjum. Okazało się, że wciąż brakuje pieniędzy. Nie rozpacziała jednak z tego powodu. Miała mnóstwo roboty. A na dodatek rozwinęły się w niej zainteresowania rzemiosłem ludowym i malowaniem. Przystrajała ogró-

124

, k żłobiła z drewna ludziki i przyozdabiała całe gospodarstwo. Potrafiła cuda czynić z żdźbła słomy, trawy, korzenia, a nawet ze

wykłych Hści. Czarowała swój własny świat. A sąsiedzi z podziwem kiwali głowami.

125

NOWE DOŚWIADCZENIA

W szkole Kasia zabrała się od razu do nauki. Doszły nowe przedmioty. Śpiewała w chórze. Grała na mandolinie. Wciągnął ją rytm szkolnych zajęć. Pisywała do Saki, a Salcia jej

odpowiadała. I znowu pojawiał się Schulz. Pracował w Państwowym Gimnazjum im. Władysława Jagiełły i był kierownikiem wydziału robót ręcznych. W klasach pierwszych uczył obróbki drewna. Salcia wymieniała jakieś ścinki, strugi, dłuta, pilniki, tarniki, kreślarskie ołówki i tym podobne dziwadła. - Ależ to zwykły rzemieślnik! - mruknęła Kasia. I wydała na Schulza wyrok. - Toż to wyrobnik! Prosty najemnik! A nie artysta! I czym się tu zachwycać?! - pogardliwie wzruszała ramieniem. - A ja myślałam, że to pisarz. - I pożałowała, że jeszcze nie tak dawno chciała kupić tę, podobno, niezwykłą książkę, o której Salcia wspominała, Sklepy cynamonowe, czy jakoś tak, ale teraz już nie kupi. Bo i po co jakiegoś ślusarza ma czytać. Lekceważąco machnęła ręką. I dziwiła się sama sobie, że jeszcze nie tak dawno zazdrościła Salci, że ma nauczyciela artystę i pisarza. A Salcia informowała ją właśnie, że Schulz nie wymawia dobrze „r” i zamiast rak, mówi hak.

Czas mijał szybko. W końcu roku Kasia znowu była w euforii. Napisała do matki, że jest szczęśliwa. Gra w teatrzyku szkolnym. Recytuje patriotyczne wiersze i otrzymuje gromkie barwa. A dyrektor szkoły wymienił nawet jej nazwisko, jako wielką nadzieję szkoły. I przysłała sławę. Tak powiedział, przysłała sławę-Gdy przyjechała na Boże Narodzenie, młynarz ukradkiem spoglądał na nią i w duchu stwierdzał, że rośnie mu dziewczyna na schwał. Ale jej tego nie powiedział. Z poczuciem dumy zapalał fajkę i zerkał na nią z zadowoleniem. Za to Mariusz pokpiwał, że

126

stanie gryziórką. Dostał za to od matki straszną burę. Młynarzowa go skrzyczała i wygnała do świń.

- Popatrz Kasiu - wymachiwała przed nią gazetą i wołała 7 przejęciem - córka Marii Skłodowskiej-Curie, naszej wielkiej noblistki, Irena Joliot-Curie, dostała w tym roku w dziedzinie chemii Nagrodę Nobla. Najpierw jej matka, a teraz ona.

- Tak, to wielki prestiż - zgodził się młynarz, pykając fajkę.

- Kobieta! - ze szczególną satysfakcją ogłosiła młynarzowa, jakby łącząc się w ten sposób w wielkiej solidarności ze wszystkimi ważnymi kobietami świata.

- Za chemię, Anno, dostała, za nauki ścisłe - dodał z przekąsem młynarz.

- Ale kobieta! - z naciskiem rzuciła młynarzowa. I zwróciła się do córki. - Kobiety teraz, Kasiu, odgrywają coraz poważniejszą rolę w życiu. W nauce, sztuce, literaturze - objęła ją promiennym uśmiechem, jakby niebawem i na Kasię miał spaść grad nagród.

- Tak, tak, kobieto - zaśmiał się w oknie Mariusz, patrząc na Kasię.

Wieczorem Kasia, jak zwykle, pobiegła do Salci. Zastała już tam Sarę i Ksenię. Radośnie się przywitały i Salcia, a jakże by inaczej, opowiadała o Schulzu. „Ona jest nim normalnie zauroczona. To jakaś mania.” - dziwiła się w duchu Kasia. Ale nie przerywała. - Moja starsza kuzynka, Chawa - mówiła Salcia - twierdzi, że Schulz boi się ciasnych pomieszczeń. A taka choroba nazywa się klaustrofobią. I boi się otwartej przestrzeni. A ta choroba nazywa się agorafobią.

- I tego się boi, i tego?- spytała Kasia.

- Tak, Kasiu. I tego się boi. I tego. - odparła Salcia. - Może dlatego tak się czai przy ścianach w naszej szkole. Bo klasy mamy małe.

Na chwilę zamilkły. Po czym Salcia sekretnie przywołała je skinieniem dłoni do siebie.

Nachyliły się ku niej jak w wielkim sPisku, a ona szepnęła:

- Wiecie, że on kolekcjonuje damskie pantofelki i czarne Pończochy?!

~ Coś ty!?! - wydukała Kasia.

127

- Naprawdę - potwierdziła Sara, która już w Drohobyczu rpIII stała wtajemniczona w niecne praktyki Schulza.

- Widać to zresztą - ciągnęła Salcia - na jego rysunkach i w grafice. Pełno nagich pań w malutkich pantofelkach i czarnych pończochach.

- A reszta goła - dodała Sara.
- Świntuch! Nie? - skrzywiła się Ksenia.

Kasia i Ksenia dowiedziały się jeszcze, że ten dziwak Schulz często maluje Żydów, ale w bardzo dziwnych pozach. Jakby na coś czekali albo przed kimś uciekali. Ubrani są w tradycyjne żydowskie stroje. W czarne chałaty z drobnymi pionowymi pasami. Zamiast koszul nakładają kamizelki zwane tałasami, robione z białego płótna. Zszywają je po bokach, a z przodu zdobią granatowymi paskami, z frędzlami na rogach, zwanymi po żydowsku cycesami. Wystają one nad spodniami. I takich właśnie Żydów Schulz maluje. A oni na coś czekają. Jakby chciał powiedzieć, że maluje swoje dni, które też na coś czekają, choć nie wiadomo na co. W każdym razie na coś niezwykłego.

I Salcia relacjonowała, że widać na tych rysunkach białe pończochy u Żydów, długie buty z cholewami, a na głowach jarmużki, na które nakłada się kapelusze albo czapki z lisiego futra. Po świętach rozjechały się, zostawiając Ksenię samą.

128

MŁYNARZ I KRAWIEC ZNOWU POLITYKUJĄ

Izaak Hermann odwiedził młynarza i od progu zaczął: - Oj, niedobrze, Kuba, niedobrze.

- Co znowu, Icek? Co niedobrze?
- Młodzież Wszepolska atakuje Żydów. Z uniwersytetów żydowskich studentów rugują...
- E, tam, rugują - przerwał młynarz i lekceważąco machnął ręką. - Słuchasz bredni. To jakieś młodzieńcze głupoty. A myślałem, żeś naprawdę z czymś ważnym do mnie przyszedł.
- To nieważne, Kuba?! - krawiec się zachnął. - Żyd nieważny?
- Icek, co ci jest?
- A to, Kuba, że zostały wprowadzone na uniwersytetach getta ławkowe.
- Getta ławkowe? - zdziwiła się młynarzowa. - Co znaczy getta ławkowe?
- To znaczy, Anno, że mój syn, Srulek, nie będzie mógł normalnie w Polsce studiować, ponieważ na polskich uniwersytetach w osobnych ławkach, tak jak przestępców, sadza się żydowskie dzieci. I palcami się je wytyka. Czy to normalne, Kuba? Rozumiecie teraz... - przerzucił spojrzenie z jednego na drugie.
- Pierwsze słyszę - powiedziała młynarzowa.
- I ja - dodał młynarz.
- A jednak to prawda, Kuba.

Nad czymś się zastanowił i spytał:

- A pamiętacie jak to kilka lat temu, chyba w 1932, doszło do zamieszek na Uniwersytecie Jagiellońskim i usuwania siłą z sal wykładowych żydowskich studentów?
- Tak, pamiętam - przypomniała sobie młynarzowa. - Rze-

129

czywiście, tak było. Ale wcześniej został zabity polski student i o tego się wszystko zaczęło. To chyba był listopad 1932 r.

- A ja, stary Żyd, Hermann, wtedy ci mówił, Kuba, że to nie wróży nic dobrego. Bo jak raz zaatakowali Żydów, to już i dalej będą atakować.
- Ale nie atakowali - powiedział młynarz.
- Na szeroką skalę nie atakowali, bo Piłsudski na to nie pozwalał. A jak Piłsudskiego zabrakło, to się zaczyna - krawiec odbył kolejny rajd dokoła stołu, a gospodarze w milczeniu patrzyli jak chodzi, zamyślony i smutny. A gdy obrzędowi stało się zadość, pożegnał się, ale młynarz następnego dnia poszedł do niego i powiedział, że słyszał w radiu, jak przeciwko gettu ławkowemu wystąpili wybitni profesorowie, tacy jak Stanisław Ossowski, socjolog i teoretyk kultury, i Tadeusz Kotarbiński, filozof, logik i etyk. A krawiec na to, że to ładny gest, tyle, że niepraktyczny. I bez żadnego znaczenia. Bo sytuacja Żydów się pogarsza. Została ogłoszona właśnie zasada ograniczania liczby studiujących dzieci żydowskich do dziesięciu procent w skali całej populacji. Czyli tzw. numerus clausus. I to jest bardzo

krzywdzące. Bo nie wszyscy, którzy chcą podjąć studia, dostaną się na nie. To brutalna dyskryminacja. Gdyby żył Piłsudski, nigdy by do tego nie dopuścił.

Młynarz przyznał Hermannowi rację i z pochyloną głową wrócił do domu.

Zajął się młynem, gospodarką. Czas mijał coraz szybciej. I nadszedł rok 1938.

130

KŁOPOTY SCHULZA

Salcia napisała do Kasi, że Schulz ma dość szkoły i chce się przenieść do Lwowa. Skarży się, że szkoła go ogłupia i staje się dla niego garbem. I Salcia się bardzo martwi, bo straci znakomitego nauczyciela, który jako artysta jest dla niej wzorem. Ale co ma robić. Schulz ma dosyć Drohobycza i koniecznie chce uciec. Popołudniami musi taszczyć ze składu drewna niezbędne materiały do prac ręcznych, jakby był robotnikiem. Znajomi bardzo się martwią o jego zdrowie. Popada w depresję. Zamyka się przed światem. Znika z życia. Drażni go pustka, kiedy nie pisze. I to go wykańcza. Nie ma za co żyć. Stypendia, jakie otrzymywał w postaci stu pięćdziesięciu złotych, urwały się. I nie wie, jak związać koniec z końcem. Ponadto, trapią go też inne kłopoty. Ma ciężko chorego na raka przyjaciela. Myśl o jego śmierci zatrauwa mu życie. Nie najlepiej układają mu się także stosunki z narzeczoną, Józefiną Szelińską. I to ona najbardziej nalega, by jak najszybciej razem z nią wyjechał z Drohobycza. A on się miota. Nie wie, jak to zrobić. Nie ma zmysłu organizacyjnego. A ona naciska. Schulz chciałby spełnić jej życzenie. Nawet wystąpił dla niej z gminy żydowskiej. Ale nie ma grosza. Poza tym, nie wie, gdzie miałby się udać. Jest w niej zakochany po uszy. Uważa, że bez niej jego życie stałoby się wielką udręką. I boi się ją stracić. Uważa, że narzeczoną wybawia go od samotności. Ceni jego twórczość i reaguje na nią spontanicznie. Dodaje mu siły i wiary. Tylko, że straszne go pogania. I grozi, że jak nie wyjadą, nie wyjdzie za niego za III-i. A on znowu popada w depresję. I tak w kółko. Mieszka w bardzo trudnych warunkach. W małym mieszkanku. Razem z siostrą, kuzynką i siostrzeńcem. I wszystkich utrzymuje z własnnej pensji. Chciałby uciec na koniec świata, zaszyć się w jakiejś

131

samotni, nikogo nie widzieć i zająć się tylko pisaniem. Nawet podjął próbę, by się przeprowadzić. Ale wszystko spaliło na pa. newce. W lutym 1938 roku zjawił się we Lwowie, jednak szyb. ko się miastem rozczarował i powrócił do Drohobycza.

132

SPOTKANIE Z UŁANEM

Kasia znowu spotkała ułana jazłowieckiego. Zjawił się niespodziewanie. Stał przed nią jak duch. Wychodząc z Dewora do miasta, podniosła wzrok i zobaczyła go. Ugięły się pod nią kolana. Nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Uciekać, krzyczeć, że nie chce, że się boi, że nie umie już cierpieć i nie radzi sobie z tą miłością. Czy też rzucić mu się w ramiona. Ułan patrzył na nią badawczo, z uśmiechem na twarzy. Dewora nic z tego nie rozumiała. Kim jest ten przystojny, elegancki młody mężczyzna w mundurze, który się tak wpatruje w Kasię. I czy go z nią coś łączy. I dlaczego Kasia stoi jak zamurowana. Nigdy jej w takim stanie nie widziała. Była biała jak kreda. I spuściła oczy. A potem raptem pociągnęła Deworę za rękę i zaczęła biec jak szalona. Jakby uciekała przed przeznaczeniem. A ułan wciąż się uśmiechał. A kiedy już znikła za zakrętem, pokiwał głową, odwrócił się i odszedł. Wtedy przestały biec. Dewora spytała, o co w tym wszystkim chodzi.

- Och - powiedziała zdyszana Kasia - to długa historia.

- Znasz go? - dopytywała Dewora, patrząc jak Kasia drży.

- Nie... to znaczy... tak... sama nie wiem... - wydusiła.

- Jak to nie wiesz? - Dewora była zdezorientowana.

I wtedy Kasia jej opowiedziała, jak to w pierwszej klasie spotkała tego ułana i jak on ją pocałował.

- Pocałował cię?

- Tak, pocałował mnie i na długo znikł.

- Jesteś strasznie rozdygotana - powiedziała Dewora. - Oczy ci się świecą jakbyś gorączkę miała. Co ci jest?

- Sama nie wiem... To spotkanie, takie nagłe, jakoś tak uderzyło we mnie, cała się trzęsę...
133

Po drodze zrelacjonowała Deworze, jak przebiegały wypadki, i od tej pory coraz częściej miała podkrążone oczy. Drżała na myśl, że znowu go spotka. I tak samo jak poprzednio chowała się przed nim jak gąska. Walczyła z sobą. Zmagając się z tą miłością Krzyczała na siebie, buntowała się. Czuła, jak ta miłość ją zniewala, zabija, wyniszcza. Miała do siebie pretensje, że na tak długo poddała się jej urokowi. Nie jestem już podlotkiem, wyrzucała sobie. Mam siedemnaście lat. W moim wieku panny już za męża wychodzą. A ja jestem dzika, wystraszona i serce mi wali jak zwariowane. Nie mogę od niego uciekać. Tak długo za nim tęskniłam. Tak długo łzy wylewałam. A teraz, kiedy się zjawił, znowu się trzęsę ze strachu. Nie możesz taka być, Kasiu, przemawiała do siebie w nocy, gdy leżała w łóżku. I nie mogła zasnąć. Chcesz go spotkać, to spotkaj. Weź sprawy w swoje ręce. Pamiętaj wiersz Staffa, Kowal. Człowiek jest kowalem własnego losu. Wyjdź pod wieczór na ulicę Zieloną. Uśmiechnij się do niego. Przecież chcesz tego, pragniesz. Nie jesteś już zwykłą pensjonarką, głupią dzierlatką. Niedługo zdasz maturę. Do liceum pójdziesz. Nie lękaj się. Pragniesz tego jak nigdy dotąd. I rzeczywiście, pragnęła.

Potem wychodziła do parku i zerknęła w stronę ulicy, czy nid nadchodzi. Ale nie nadchodził. Mijał tydzień i drugi, a jego nie było. Zapadł się pod ziemię. Pomyślała, że to majaki, które zamieszkały w jej głowie. I zaczęła się bać, że z duchami gada. Gdyby nie Dewora, która zaświadczała, że ułan był prawdziwy, a nie widmo, sama sobie by już nie wierzyła.

Jednak zjawił się. Gdy zrezygnowana wracała ze spaceru dokoła szkoły, nadszedł. Zobaczyła go z daleka. Ścierpła jej skóra. Ale zacisnęła zęby i postanowiła, że nie podda się żadnym lękom. Stanie z nim oko w oko. I niech się dzieje, co chce. Nie ucieknie. Nie załamie się. Nie stchórzy. Gdy już był blisko i widziała jego zielone oczy, nie wytrzymała napięcia i spuściła wzrok. Ale przystanąła. I on się zatrzymał. Widziała jego lśniące pastą buty. Nie miała jednak odwagi, by podnieść głowę. Usłyszała jego głos. Miękki, ciepły. Desperacko podniosła oczy i spojrzała na niego. - No, teraz lepiej - uśmiechnął się. - Gimnazjalistka? - skierował wzrok na szkołę. - Tak - szepnęła, bojąc się, że zauważy jak drży. - Ostatnia

134

Hasa? - Nie, przedostatnia - odparła i znowu spuściła czy, nie ogąc wytrzymać jego spojrzenia. - A więc niedługo matura. - Za nk - odparła zdławionym głosem. - Porucznik Łaniewski, Marek f aniewski - stuknął obcasami, przedstawiając się. - A panna? - Zerknęła na niego ukradkiem i cicho odparła: - Kasia, Kasia Ku-kułczanka - poprawiła się. - Więc Kasia Kukułczanka... całkiem pięknie - wpatrywał się w nią. - Wyrostaś, Kasiu - powiedział. - Nie krępuj się, pięknych panien nie pozeram - zaśmiał się głośno i zobaczyła jego piękne, białe zęby. Zaproponował, by się wybrali na krótki spacer po parku. Skinęła głową i drżąca, szła obok niego, oddalając się od szkoły. Spytał, czy pamięta tamten pocałunek. Odparła cicho, że tak, pamięta. Ale gdy usiedli w cieniu drzew, a był maj, i znowu chciał ją pocałować, nie pozwoliła. Zaśmiał się i spytał, dlaczego nie pozwala. A ona zebrała się na odwagę i sama siebie zaskakując, wyrzuciła:

- Bo przez... przez... pana, pana... Marka...

- Co przez pana Marka? - dusząc się ze śmiechu, spytał.

- Spać nie mogłam - wystrzeliła i przeraziła się, że palnęła głupstwo. Słowa jakby same wyskoczyły z ust. - To znaczy, nie wiem... zniknął pan... - starała się jeszcze osłonić swoją szczerość. Zamaskować ją.

- Zniknąłeś, Marku - poprawił.

- Mogę tak mówić? - cicho spytała, ukradkiem zerkając na niego.

- Oczywiście, że możesz - otulił ją ramieniem, a ona nie odsunęła się. Poczuła jak przenika ją ciepło jego ciała. Nie miała siły, by się odsunąć. Jednak, gdy pochylił się nad nią, jak dzika kotka zerwała się z ławki i skoczyła na nogi. Aż zawołał:

- Kasiu, nie uciekaj... wiele myślałem o tobie... Stała nieopodal i patrzyła na niego rozdygotana.

- Naprawdę - powiedział i zrelacjonował, co się nim działo. Długo był na manewrach, potem wysłali go za granicę. No i niedawno wrócił i zjawił się tu, by ją zobaczyć. Do głowy nie przyszło jej, że mógłby kłamać. Był ułanem. Na dodatek oficerem. A oficerowie nie kłamią. W jej domu panował kult oficera. Kult odwagi, elegancji i stylu. A jak ktoś ma odwagę, elegancję i styl,

135

to nie kłamie. Dla niej to było oczywiste i jasne jak słońce. Więc mu uwierzyła. A na pytanie, co się z nią działo, nie bardzo chciała odpowiadać. Była powściągliwa, ostrożna. A że czas mijał, oznajmiła, że musi wracać. A on spytał, dlaczego. Odprowadzę cię, powiedział. I chciał odprowadzić pod bursę. Ale nie zgodziła się. Bała się, że ktoś ją zobaczy. Pożegnali się, a on obiecywał, że za tydzień zjawi się znowu. I zabierze ją do teatru. I rzeczywiście, zjawił się i zabrał do teatru. A po spektaklu znowu spacerowali. Tym razem nie próbował całować. Był poważny, zamyślony. A Kasia idąc na to spotkanie, była strasznie przejęta, ubrała swój najlepszy strój. Przez pół godziny obracała się przed lustrem. De-wora tylko się uśmiechała. Już poznała jej sekret. Lecz nie nalegała, by Kasia się jej zwierzała.

Ułan Kasię dokumentnie zawrócił w głowie. Tylko o nim myślała. Wszystko inne poszło na bok. Szkolne spektakle, chór, zajęcia plastyczne, Salcia, Schulz, nawet pisanie wierszy. Co sięgnęła po pióro, to wzburzone myśli nie chciały się jej ułożyć w kształt poetyckiej strofy. Opuściła się w nauce. Przed końcem roku szkolnego spotkała się z nim jeszcze kilka razy. Chodzili do kina, spacerowali. I poznała wreszcie prawdziwy smak pocałunku. Nie takiego, kiedy ją całował, ale takiego, kiedy i ona całowała. Tym razem całowali się. Tak właśnie myślała o tym pocałunku. Oboje tego chcieli. A ona szczególnie. Bo pamiętała jeszcze słodycz pierwszego spotkania. I na myśl o tamtym pocałunku, drżały jej kolana. Nie opierała się więc, gdy pochylił się nad nią. Nie uciekała. Zamknęła oczy i czekała. Siedzieli w altance w Stryjskim Parku. Daleko od szkoły. W uroczym, romantycznym miejscu. Otaczały ich górzyste stoki wąwozów, malownicze drzewa i krzewy różnych gatunków. Nieopodal widniała sztuczna ruina zamku i staw. Zanim znaleźli to ustronne miejsce, minęli u wejścia kamienny pomnik Jana Kilińskiego. Ułan nachylił się nad nią, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i stało się to samoistnie, jakby ręce same pobiegły ku niemu. I poddała się tej wzbierającej fali namiętności, która w niej od dawna dojrzewała. Czuła, jak przenika jej ciało. Czuła jego język w ustach i gorący oddech. Świat zawirował. Pragnęła być blisko niego. Jak najbliżej.

136

A on dotknął jej piersi. Na moment zamarła. Drgnęła i jeszcze mocniej przyłgnęła do niego. Z jej ciałem działo się coś niezrozumiałego. A ułan zagarniał ją coraz bardziej. Nie mogła tchu zła-oać. Aż poczuła jego rękę pod spódniczką. Targnął nią straszny dreszcz. I wyrwała się. Odskokzyła od niego i zdławionym głosem zawołała:

- Nie! - z trudem oddychając. Księżyc oświetlał jej twarz.

Ułan poprawił mundur. A ona wymamrotała:

- Pan., pan... pan porucznik...

- Nie pan, Kasiu, tylko Marek - powiedział spokojnie.

- Pan Marek... Marek...

- Co Marek? - pozwalał, by wyrzuciła z siebie emocje.

- Pan Marek... ty... - porządkowała garderobę.

- Kasiu, pocałunek, to coś naturalnego i pięknego - powiedział. - Panny w twoim wieku już mają kawalerów, całują się, wychodzą za mąż i... - przerwał na moment i spytał: - Czy nie tak?

Patrzyła na niego jak lunaticzka.

- Tak... nie, nie wiem... - mamrotała - ale...

- Co, ale? - widział, jak nie może dojść do siebie. Nie odpowiedziała, spłoszona, niepewna, zagubiona. Wstał i zaproponował małą kawę w pobliskiej kawiarni. Nie była pewna, czy powinna się zgodzić. Czy panna z dobrego domu może w takich okolicznościach zasiąść z obcym mężczyzną, nawet jeśli jest ułanem. Ale przestraszyła się, że jak odmówi, to on odejdzie i już nigdy go nie zobaczy. Anie miała już siły, by cierpieć. Zgodziła się. Doszła jej uszu melancholijna muzyka. Powiał lekki wiatr. Zaszeleściły liście. Mijały ich w ocienionych alejkach pary zakochanych.

Długo potem wspominała ten wieczór. I pierwszy taniec z ułanem, gdy ją przytulał, a ona czuła się jak w niebie.

137

SMUTEK

Nadszedł koniec roku szkolnego. Wróciła do domu. Młynarzo-wa zauważyła podkrążone oczy. Kasia była milcząca i osowiała. Siadała nad dzienniczkiem i skarżyła się światu, że znowu strasznie tęskni, a jej ukochany milczy jak grób. W połowie wakacji nadszedł list. Akurat nie było jej w domu. Poszła na pogawędkę do przyjaciółek. W pierwszym odruchu młynarzowa chciała zajrzeć do środka, ale wstrzymała się. Dostrzegła jednak imię na kopercie, bez adresu zwrotnego. Tylko Marek. A więc Marek, westchnęła, jakby odkryła tajemniczy skarb. Gdy oddawała list, spytała, od kogo, a Kasia odparła, że od kolegi ze Lwowa i szybko pobiegła do swojego pokoju, by przeczytać. Ułan pisał, że za nią tęskni i chce jak najszybciej ją zobaczyć. Poczowała się szczęśliwa. Ale na krótko, bo wtargnął Mariusz i zaczął kpić, że nowy adorator od niechcienia do niej pisze. I tylko wtedy, kiedy ma kaprys. Pewnie jej nie kocha. To ją zabolowało. Poczowała się zraniona. Rzuciła się na brata z pięściami, aż uciekł. Następny list nie nadchodził. Stała się rozdrażniona i nieprzyjemna. Była opryskliwa i zła. A Mariusz ironizował, że zostanie starą panną. Tego miała już dość. Uciekła z domu i wałęsała się po polach. Wróciła dopiero późnym wieczorem. Młynarz zagnał ją do roboty i konflikt z Mariuszem się skończył. Skończyły się też wakacje.

Wróciła do Lwowa. A po ułanie ani śladu. Dopiero w październiku się pojawił. Gdy go spytała, co się stało, odparł zagadkowo, że w wojsku nigdy nie wiadomo, co się stanie. Nie nalegała, by powiedział więcej. Cieszyła się z każdej spędzonej z nim chwili. Narzuciła sobie surowe rygory. Nie będzie od niego zbyt wiele żądać. Każda minuta się liczy. Byleby tylko z nią był. Byle tulił ją i całował. Chciała czuć jego męskie ciało i zapach jego perfum. Przed snem wyobrażała sobie, jak leży z nim w łóżku, a on

138

• szepcze do ucha czułe słówka i dotyka jej piersi. Nie pozwoli-| bie jeszcze dotąd na pierwsze cielesne zbliżenie, ale myśla-o nim. I zastanawiała się, jak to będzie. Dotykała piersi, gry-. wargi, czuła jak tętni krew. I szum w głowie. Rękę kładła na onie, a przez ciało przenikały dreszcze. Wszystko w niej było gotowe na jego przyjęcie. Tylko carpe diem jest ważne, powtarzała. Łacińskie sentencje odgrywały teraz w jej życiu ogromną rolę, stawały się drogowskazem. Życiową busolą. A że uczyła się łaciny, więc przyswajała sobie łacińskie mądrości. Amor vincit omnia, czvli: Miłość wszystko zwycięża. Aby znaleźć miłość, nie pukaj do żadnych drzwi. Gdy przyjdzie twoja godzina, sama wejdzie do twojego domu, zycia, serca. Wyszukiwała nie tylko mądrości łacińskie, ale i greckie, bo już i greki się uczyła. Cytowała przysłowia i złote myśli. Z panem profesorem Gajdą tłumaczyła na lekcji Odyseję. I języki nowożytne poznawała, francuski i niemiecki. Miała z czego wybierać. Więc carpe diem, Kasiu, mówiła do siebie. Najbardziej carpe diem się jej spodobało. Było proste i

uniwersalne. Ciesz się z każdej chwili, Kasiu, szeptała w samotności. Korzystaj z dnia. Raduj się miłością, którą masz. Nie żądaj więcej. Bo inne panny i tego nie mają. I chorują. W depresję wpałają. W obłąd. Wyskakują przez okna. Rzucają się do rzeki. Odbierają sobie życie. A z tobą, Kasiu, nie jest źle. Darowała ułanowi, że przez dwa, trzy tygodnie nie spotyka się z nią. Najważniejsze, że przychodzi. I że znowu ją obejmuje, całuje, a ona czuje, jak wali jej serce. Tęskniła za jego widokiem, ale gdy jej zaproponował, by wyjechali razem na niedzielę ze Lwowa, a on zarezerwuje nocleg, nie zgodziła się. Znowu się nie zjawił. Tyle, że tym razem przez miesiąc. A jak przyszedł, był chłodny, zagadkowy, uśmiechał się tajemniczo, nie tłumaczył, gdzie był, co robił, co się z nim działo. Tylko jakby mimo woli oznajmił, że gdyby była dla niego łaskawsza, może postarałby się częściej z nią bywać. Bo inne panny postępowałyby inaczej, jakoś dziwnie powiedział. Obraziła się. Uciekła. Ale potem znowu go szukała. I znowu się spotykali. Aż nadeszła zima. Musiała się przygotować do matury. I wtedy ułan zapadł się pod ziemię. Dewora radziła, by wzięła się w garść, bo strasznie się zdręcza.

Gdy przyjechała na ferie zimowe, matka załamała ręce.

139

Córuś, co się z tobą dzieje, pytała, tuląc ją do piersi. Ale Kasia nie przyznała się do ułana. Sama siebie nie rozumiała, dlaczego zataja przed matką tę wiadomość. Przecież to matka, mówiła sarna do siebie. Najbardziej zaufana osoba. A ja jestem taka zamknie, ta, nie mogę się przełamać. Czuła, że było to głupie i beznadziejne. Wiedziała o tym, a mimo to nie zdobyła się na odwagę, by matce powiedzieć. I bardzo ją to bolało, gryzło. Miotła się w sprzecznych uczuciach. Już szła do matki, a potem gwałtownie się cofała. Sama siebie nie rozumiała. Przecież matka jest dla mnie wszystkim, myślała, przyjaciółką, powiernicą, a ja nie mogę się przełamać. Potężny blok odgrodził ją od matki. Czuła się z tym źle. Kręciła się po domu jak mara, z opuszczoną głową. Aż matka spytała: - Kochasz? - I wtedy rozplakała się. Rzuciła się matce w ramiona i wyznała, że kocha ułana, ale on ciągle znika i nie wie, co się z nim dzieje. - Powinnaś mówić matce o swoim sercu, bo nie masz większej powierniczki, Kasiu, niż matka - zganiła ją cicho młynarzowa. - Inaczej będziesz się zdręczać i cierpieć. Bo miłość ma taką samą siłę budowania, jak i burzenia. Podnosi nas wysoko, ale też zwała z nóg. A gdy jesteśmy bardzo młode, miotamy się, szarpiemy i wydaje się nam, że bez miłości kończy się świat i życie nie ma sensu, Kasiu. Ale tak nie jest. Życie jest bogate i wielostronne. I nowa miłość może w każdej chwili do nas przyjść. Jedna gaśnie, druga się rodzi. - Ale ja chcę jednej miłości. Wielkiej i ostatecznej - łkała Kasia. - Młynarzowa gładziła ją po głowie, tuliła i przekonywała, że nie może się poddawać złym nastrojom. - To nie są złe nastroje, mamuś - skarżyła się Kasia. - To prawdziwa miłość. Nie widzisz, co ze mną robi. Nie widzisz, jak wyglądam. Jeść nie mogę, spać, chodzić, siedzieć, żyć. Wszystko jest udręką. - Bo nazbyt impulsywnie traktujesz miłość. - A jak mam traktować? Ja w ogóle jej w żaden sposób nie traktuję. To ona, miłość ze mną czyni, co chce - skarżyła się. A gdy się nieco uspokoiła, powiedziała matce, że bardzo ciężko znosi to uczucie. Że ta miłość bardzo ją rani. A równocześnie bardzo chce, by trwała. Sama siebie w niewolę wzięła. I nie ma z niej wyjścia. Matka doradziła, by poważnie porozmawiała z ułanem, dlaczego ją tak dręczy. Kasia obiecała, że porozmawia, ale w jej oczach był smutek.

140

HANNAH

Gdy wróciła do szkoły, świat się zmienił. Jak za dotknięciem różdżki. Ułan już na nią czekał. Od razu napisała pełen szczęścia list do matki. Matka odetchnęła. A młynarz, gdy się dowiedział, że do Kasi cholewki smali jakiś ułan, z męską odpowiedzialnością burknął, że szkolne amory szybko się kończą, a życie trwa dalej. I całkowicie zignorował tarapaty córki. Młynarzowa westchnęła, pokręciła głową i zajęła się robotą. Kolejne listy nic złego nie zapowiadały.

Kasia pisała, że szczególnym wydarzeniem stało się w szkole zainteresowanie jej żydowskiej przyjaciółki, Hannah, religią katolicką. Już wcześniej Hannah o wiele rzeczy ją pytała. Ale Kasia myślała, że to zwykła ciekawość. Tym razem jednak Hannah coraz głębiej sięgała po książki religijne. Czytała Nowy Testament, zaopatrywała się w dzieła filozoficzne, książki św. Tomasza i św. Augustyna, o których nawet ona, Kasia, nie pomyślała. Hannah bardzo się zmieniła. Spoważniała. Jeszcze do niedawna, gdy odbywały się lekcje religii, wychodziła z klasy. Ale teraz pytała katechetę, czy mogłaby zostać i posłuchać, o czym będzie mówił. Ksiądz bardzo się zdziwił, poklepał się po dużym brzuchu, pokręcił głową, badawczo się jej przyjrzał, jakby się chciał upewnić, czy ona rzeczywiście chce na lekcji religii zostać, a Hannah patrząc na księdza pięknymi smutnymi oczami odparła, że tak, chce posłuchać lekcji religii katolickiej i została. Usiadła obok Kasi i bardzo uważnie przysłuchiwała się temu, co katecheta mówił. Niektóre jego słowa notowała, a raz nawet zadała pytanie, dlaczego Bóg, nieskończenie dobry, pozwala na tyle cierpień. Ksiądz strasznie się zmarszczył i odparł, że Bóg dał człowiekowi wolną wolę, ale człowiek nadużywa łaski Pańskiej i sieje wokół

141

siebie śmierć i zniszczenie. By człowiekowi dać szansę i wyzwolić go od grzechu, zesłał na Ziemię Chrystusa i Chrystus odkupił nasze winy. Ale ta odpowiedź Hannah nie zadowoliła. Po przerwie nadal rozmawiała z księdzem. A potem poszła do Ossolineum i przyniosła stos książek. Zanurzyła się w nich i nosa nie wystawiała. Po kilku tygodniach spytała księdza, co należy zrobić, by przejść na wiarę katolicką. Ksiądz się bardzo zafrasował. Powiedział, że zna wielu Żydów, którzy przechodzą na wiarę katolicką, ale zastanawia się, czyjej decyzja, jeśli taką podejmie, nie spotka się w domu z oburzeniem. Bo nie chciałby jej narażać na konflikt z rodziną. Podziały religijne - tłumaczył - w rodzinie niczego dobrego nie przynoszą. I radził, by się poważnie zastanowiła. Hannah nadal zносиła z biblioteki Ossolińskich stosy książek i wciąż od nowa czytała. Nowy Testament, św. Augustyna, św. Jana od Krzyża, który chyba najmocniej wpłynął na jej rozumienie religii i Boga, a szczególnie była pod wielkim wpływem jego heroizmu i siły duchowej, która kierowała go ku bardzo skromnemu, ascetycznemu, przepełnionemu mistycyzmem stylowi życia. I mimo słabości fizycznych, kruchego ciała, prześladowań, chorób i tortur trwał w wierze. Hannah rozmawiała o tym z Kasią i utwierdzała się w przekonaniu, że wiara katolicka jest wyborem słusznym i odpowiada jej widzeniu świata. Była bardzo poważna, chodziła zamyślona i widać było żywym okiem, że przechodzi przemianę duchową. Kasia się zastanawiała, co ją pchnęło w tę stronę, ale nie znajdowała jednej tylko odpowiedzi. Musiało wiele czynników wpłynąć, o których Hannah nie informowała, by podjąć taką decyzję. Być może wśród nich był i ten, domyślała się Kasia, że jej dawne koleżanki wciąż bardzo jej dokuczały, że nie poszła razem z nimi do szkoły żydowskiej. Ale to były tylko domysły. Prawda leżała głęboko w sercu Hannah. Taką mam przyjaciółkę, kończyła Kasia.

142

ZDRADA

Ostatni list nadszedł w końcu kwietnia. Znowu był smutny. Młynarzowa domyśliła się, że ułan znikł, a Kasia cierpi. I tak rzeczywiście było. Ułan się nie pojawiał. A Kasia cierpiała. Jednak zacisnęła zęby i poszła pod koszary, zdeterminowana spytała dyżurnego, czy może prosić o rozmowę z porucznikiem Markiem Łaniewskim. - A kogo mam przedstawić? - spytał dyżurny. Zamarła. Nie wiedziała, czy powinna podać swoje nazwisko. - No, panno... - czekał. - Kasia... - cicho powiedziała. - Ach, panna Kasia - dziwnie się uśmiechnął. Wziął słuchawkę i po chwili oznajmił, że porucznika Łaniewskiego nie ma i długo nie będzie. Wyjechał za granicę. Nie powiedział jednak dokąd i kiedy wróci. A pytania Kasi o szczegóły zbył tajemnicą wojskową. I wciąż się pod nosem uśmiechał. Wróciła do bursy rozbita, a w nocy myślała, że się zabije. Bo życie bez miłości nie ma sensu. Ale to nie wszystko. Nadszedł koniec roku szkolnego. Musiała wykazać się wielkim hartem umysłu i ducha, by zdać maturę.

Zacisnęła zęby, powiedziała, że jest Kukułczanka, a Kukułczanka musi sobie radzić w życiu. I zdała, nawet dobrze. Przed wyjazdem do domu, poszła z Deworą do kawiarni, a potem do Stryjskiego Parku, by pospacerować. Nogi same prowadziły ją w stronę altanki, gdzie się spotykała z ułanem.

I osłupiała.

Jej ukochany siedział w tym samym miejscu i na tej samej ławce, na której nie tak dawno siedzieli razem. Tylko, że obejmował inną pannę. Kasia odwróciła się na pięcie i odeszła. Tej nocy nie mogła zasnąć. Najpierw postanowiła, że się zabije, skoczy do rzeki, runie ze skały. Bo życie nie ma sensu. Nic nie ma sensu. Czowała się przegrana i sponiewierana. Nie tylko zdradzona. Ale

143

upokorzona. Gdy jednak ochłonęła, zastanawiała się, co takie zrobiła, że ułan odsunął się od niej. Przecież jest ładna, zgrabna, miła, mądra, ma talent, pisze wiersze i wcale nie jest gorsza od innych dziewczyn, wyliczała swoje zalety, a on ją porzucił. Nie godziwiec, drań i egoista. Łkała i nie mogła mu darować. Nędznik i kanalia, wyzywała go w gniewie. Najpierw rozpaczła, a gdy zabrakło łez, wściekała się. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się stało. Dlaczego tak zrobił. Wykazała się taką cierpliwością, czekała na niego miesiącami, była wierna jak pies, a on, nikczemnik, odszedł i zdradził ją z inną. I to ją najbardziej zabolowało. Gdyby to był jakiś nieokrzesany wiejski chłopak, nędzny urzędnik, nauczyciel czy handlarz, to by jeszcze zrozumiała, ale to był ułan Ułan! I tego nie mogła mu wybaczyć. Wychowana w kulcie ułana. Ułan zawsze w domu był wszystkim. Był elegancki, piękny i mądry. Miał dumną postawę, honor i godność. A ten poniżył ją, ośmieszył i upokorzył. Zaciskała pięści. Zemści się. Tak, zemści się. Tylko zemsta jej została. Nie daruje mu takiej zniewagi i upodlenia. Po godzinach płaczu i zwątpienia, gdy wydawało się jej, że świat się skończył, nastał czas gniewu i buntu. Nie ma nic słodsze niż zemsta, pomyślała. Nigdy tak nie myślała. Nigdy zemsty nie brała pod uwagę. Ale tutaj na oczach Dewory ją poniżył i ośmieszył. Znajdzie lepszego, piękniejszego i mądrzejszego. Też ułana. A temu utrze nosa. I z tym postanowieniem wyjechała do domu.

Zapisała się do liceum w Stanisławowie, by Lwów już go nigdy jej nie przypominał. Zajął się nauką, czytaniem psychologicznych książek i obmyślała całą strategię, jak ma się na ułanie zemścić. Niech nie myśli, że sobie nie poradzi. Sprowokuje spotkanie, w czasie którego będzie z innym i porucznika Łaniewskiego rzuci na kolana. Zemsta jest słodka, wmawiała sobie.

144

ZALOTY

Wyrosła na najpiękniejszą dziewczynę we wsi. Ledwie przyjechała na wakacje, a chłopcom na jej widok usta zasychały. Stali oniemiały i gapili się na nią, jakby królową zobaczyli. Była wysoka, postawna i pełna pokus. Odsunęła się od koleżanek, zamknęła się w samotności, lecząc rany, choć minęło wiele czasu, gdy ułan ją porzucił. Wciąż jednak miała przed oczami to nieszczęsne spotkanie w altance. Twardo postanowiła, że już nigdy nie podda się rozpacz i szybko stanie na nogach. Jest dojrzała, rozumna i poradzi sobie.

Surowa twarz młynarza pogodniała, gdy ją widział. Przekonany w dyskretnej rozmowie z młynarzową, że nie może jej teraz zranić jakimś nieostrożnym słowem, bo po sercowych tarapatkach musi dojść do siebie, uszanował prośbę i nie czynił niczego niestosownego. Tylko Mariusz wyżywał się na Kasi i pokpiwał z jej romantycznych fanaberii. Był surowy, twardy i kanciasty. I często stawiał się rodzicom. Typ kresowego watażki i buntownika. Na co dzień oschły, ostry i dziki. A dla Kasi złośliwy i szydery.

Skończyła osiemnaście lat i opędzić się od zalotników nie mogła. Zaglądali za nią także i żonaci mężczyźni i głucho wzdychali, gdy ich mijała: - Och, Kasiu!

Ale tylko na tyle ich było stać. Bo widząc ją, słowa więcej nie mogli wydusić z siebie. A stary, łysy handlarz koni, Aron Kartal, burczał tylko pod nosem:

- Ja bym cię łyżkami jadł.

Patrzył na nią z progu domu i oblizywał się.

A gdy się wybierała nad staw, by się wykapać, chłopcy zza szuwar ją podglądali. Pływała jak śmigła ryba. Błyskawicznie za-

145

nurzała się i na długie sekundy znikąca pod wodą. A kiedy szła spać i rozbierała się przed lustrem, wielbiciele zerkali w okno i z zapartym tchem śledzili cienie na szybie. Ale Kasia szybko odsuwała się i chłopcy z rozpalonymi głowami wracali do domów.

Najdłużej i najbardziej wytrwale cholewki do niej smalił syn organisty, Lolek Kępa. Silny, zgrabny i uparty chłopak. Oka z niej nie spuszczał. Gdzie się pojawiała Kasia, tam i on się pojawiał. Kasia przed sklepem. I Lolek przed sklepem. Kasia w kościele. I Lolek w kościele. Kasia na grzybach. I Lolek na grzybach. Uwolnić się od niego nie mogła. Niby przypadkowo na nią trafiał, ale ona z miejsca wyczuwała, że za nią gania. Wysoko unosiła głowę, prychnęła i znikąca mu z oczu. Ale on nie rezygnował z pościgu. Śledził ją z daleka, skradał się jak kot, godzinami koczował pod drzewem za górką albo za płotem jej domu, ukryty wśród gęstych krzaków i wystawiał głowę, gdy słyszał jej dźwięczny i śliczny głos. A nieraz i pół nocy zarwał, byleby tylko w pobliżu ukochanej się znaleźć. Właził na konar wysokiego dębu, który stał naprzeciwko jej okien, wpychał się między gęste gałęzie i czekał, kiedy Kasia się pojawi w sypialni, by rozpocząć wielką ceremonię rozbierania do snu.

A Kasia nie od razu się rozbierała. Adorator musiał się wykazać wielką cierpliwością, by doczekać tej jednej jedynej chwili, kiedy zobaczy, jak zdejmuje bluzeczkę, sukienkę i odstawia swoje długie, śliczne nogi, przygląda się w lustrze, oddala się od zwierciadła, to znowu zbliża, by wyłapać choćby cień wady w swojej urodzie. Ale, rzecz jasna, nie wyłapywała. Wiedziała, że jest piękna. I własnemu pięknu się poddawała, mizdrzyła się i w aktorkę się zabawiała, grając przed sobą rolę kopcuszka, królowy i dzikiej kotki, w zależności od nastroju, humoru i kaprysów. A ileż przy tym było ruchów!? Ileż gracji i wdzięku!? Jakże przechylała główkę to w prawo, to w lewo, jakby sprawdzając, dlaczego ułan zrezygnował z tak smacznego kąska. Pochylała się do przodu i spod długich rzęs śledziła liczne znaki wielkiej urody. Otwierała buzię i odstawiała białe jak śnieg zęby, oblizywała się i przeciągała po pulchnych wargach gorącym językiem. I Lolek Kępa musiał to wszystko znosić, siedząc na konarze drzewa jak na ogniu.

146

Obserwował właśnie jak podeszła do szafy, wyjęła gruby ze-zyt, usiadła przy stole i długo coś pisała. Na moment prostowała i brała ołówek do ust i gryząc go, mocowała się z jakąś myślą. Unosiła oczy i wpatrywała się w sufit, szukając natchnienia. Trwało to z pół godziny. Lolek przesuwał się między gałęziami, by w każdej chwili widzieć jej twarz i zgrabną sylwetkę. Kasia wrzucała zeszyt do blaszanego pudełka, podchodziła do okna, a Lolek przerażony, że go dostrzeże, krył się w gęstwinie liści i drżał. Kasia otwierała okno i głośno wzdychając, wpatrywała się w gwiazdy, nawet nie podejrzewając, że ktoś ją podgląda. A Lolek widział, jak pełne i mocne piersi Kasi szybko unoszą się i opadają, a ona szeroko otwierała oczy i pochłania rozświetlone niebo. Potem następował ten wyjątkowy rytuał rozbierania, na który Lolek długo i niecierpliwie czekał.

Silnie się chwycił gałęzi, bo czuł, że kręci mu się w głowie. Na moment stracił Kasię z widoku, takiego zaćmienia umysłu dostał. A gdy na nowo ją ujrzał, unosiła do góry długą nogę i przyglądała się swojej stopie. Lolkowi zaschło w gardle, mącił mu się wzrok, a ciałem targały dreszcze. Przywarł głową do konaru i drżał, czując, że zaraz spadnie. Ogarnęła go nagła niemoc i był pewien, że chwieje się. W poczuciu rozpaczony chwycił się obiema rękami

najbliższej gałęzi, głowę wsadził między liście, zamknął oczy i czekał, kiedy zaćmione zmysły wrócą do równowagi. A gdy znowu spojrzął na Kasię, zobaczył, że odstoniła brzuch i dostrzegł gęsty, czarny krzaczek między udami. Zrobiło mu się ciemno i sam nie wiedział kiedy, dziko wrzasnął. Głęboka słodycz przeniknęła jego lędźwie, poczuł jak wytryska z niego nasienie, a w rozporoku zrobiło się mokro.

Pech chciał, że jego krzyk usłyszał młynarz, który akurat siedział przy oknie i ściągał ze ściany strzelbę, by ją wyczyścić. Chwycił za lufę, przy okazji potracając wiszącą obok mandolinę, na której grał jego ojciec, Ksawery, i rzucił się do okna.

Równocześnie krzyknęła Kasia. Zobaczyła przez szybę skulonego na konarze wielbiciela, nie rozpoznając jego twarzy. I wrzasnęła. A młynarz właśnie poderwał się od stołu, otworzył okno i huknął w ciemność.

147

Usłyszał trzask łamiących się gałęzi. A potem głuchy odgłos upadku. Kiedy wybiegł na dwór, dostrzegł w mroku oddalającą się kulejącą sylwetkę. To Lolek Kępa, który runął na ziemię, potłukł sobie biodra i zaciskając z bólu zęby, gonił co sił w nogach w pobliskie karczki, byle tylko się ukryć przed strzelbą i nie zhańbić się w oczach Kasi.

Po chwili już był w zagajniku i nikt za nim nie gonił.

Uoadek musiał zaważyć na jego życiu. Kulał przez kilka tygodni. Ale serce je nadal mocno biło na widok Kasi. Zagryzał wargi, unikał bezpośredniego kontaktu, lękając się, że sprawa podglądania wypłył na wierzch. W końcu widząc, że Kasia ma wielu innych adoratorów, dał sobie spokój, popadając w apatię, zniechęcenie i smutek. Błąkał się po polach. Sam z sobą gadał. Przestał oznaczać znajomych. Aż gruchnęła wieść, że zwariował. Organista zaniepokojony stanem jego zdrowia, począł dopytywać, co mu dolega, a gdy usłyszał, że boli go dusza, zawiózł go do Kołomyi, by lekarz stwierdził, co to za choroba. Ale doktor Liberman stwierdził że to nic groźnego, tylko melancholia. I że z tym można żyć długie lata. Od tej pory Lolek błąkał się po drogach, uśmiechał się do kamieni i kotów. Rozmawiał z drzewami, ptakami i wiatrem. Ale był spokojny. Nikomu nie wadził. A nawet kłaniał się ludziom z szacunkiem, choć wielu twierdziło, że widać w jego oczach obłądzenie. Stał się pierwszą ofiarą wielkiej miłości do Kasi.

Natomiast młynarz po tej nocy, kiedy już był pewny, że ktoś Kasie nodgla zabezpieczył dom przed intruzami. Przywiązał jej oknem dużego psa i zmontował mu tam budę. Ale to nie był koniec zalotów. Gdy ustały umizgi syna organisty przyczepił się do niej Feluś Niezgoda, syn sklepowej, Józef. F-otern Jacuś zbieg z sąsiedniej wsi, syn bogatego gospodarza, Oleś Kłucza syn Kłomiy, co na handlowca się kształcił, Henio Władzalc co przyjeżdżał na wakacje ze Stanisławowa i cyklistą wielokrotnym miał zostać. I tuzin innych. Ale Kasia ze wzgardą wydymała usta i żadnemu z nich nie dawała najmniejszej szansy, czekając na księcia z bajki.

Feluś Niezgoda, a także inni kawalerowie któregoś dnia zrozumieli że Kasia nie została stworzona dla nich i od niej się od-

148

sunęli. Choć to nie było łatwe. Nie mogli już dłużej znosić żalosnych upokorzeń i uderzeń serca. Kasia była dla nich nieczuła, wręcz zimna. Nieraz widzieli jej ironiczne spojrzenia i uciekali, gdzie pieprz rośnie. W końcu zajęli się wyszukiwaniem innych panien i wkrótce każdy sobie jakąś przygruchał. I znikli z życia Kasi. A Feluś Niezgoda na dodatek dom sobie zaczął nowy stawiać.

149

HENIO LANCKORONSKI

Nieoczekiwanie na horyzoncie pojawił się nowy wielbiciel, który stał się dla wielu badaczy sercowych spraw dużym zaskoczeniem. Najpewniejsze i, powiedzmy to wprost, zagwarantowane silnymi więzami towarzyskimi i koneksjami majątkowymi, szanse miał

młody nauczyciel, Henio Lanckoroński, wywodzący się, jak sam głosił, ze słynnego staropolskiego rodu szlacheckiego, herbu Zadora. A wśród swoich antenatów wymieniał najwcześniejszych przodków z Brzezia, którzy otrzymali w 1370 roku zapisane przez Kazimierza Wielkiego w testamencie miasto Lanckoronę wraz z wieloma okolicznymi majątkami. Spośród znamienitych członków rodu przywoływał na pamięć marszałków koronnych, wojewodów, hetmanów, kasztelanów i biskupów. A bezpośrednią gałęzią, z której wywodził się jego ród, była gałąź sławnego niegdyś polskiego rycerza, może nawet kozackiego hetmana, Przecława Lanckorońskiego.

Ale matka Kasi w tym czasie nie o nim myślała, a o kimś zupełnie innym. O kimś ważniejszym niż nauczyciel, nawet z herbem. O kimś, kto był godny ręki Kasi. Skoro nie wyszło z ułanem, może wyjdzie z panem. Uznała bowiem, że w tym wieku należy już mieć poważnego i stałego kawalera. Rozmyślała o młodym, eleganckim paniczku, który mieszkał w pałacu za wsią i ukończył Uniwersytet Lwowski. Tak, młody paniczek byłby w sam raz dla niej - upewniała sama siebie. - Byłby wielką i dobrą partią dla Kasi. Snuła plany w ciemności nocy, gdy nie mogła zasnąć i rozmyślała z nostalgią, że lata mijają i pora najwyższa, by przygotować dla córki wiano.

Ale młynarz miał swoje plany. W niejasnych okolicznościach przyrzekł Kasię Heniowi Lanckorońskiemu. Możliwe, że stało się

150

to w oparach alkoholu, a może przy układaniu jakichś większych strategii majątkowych, w każdym razie słowo się rzekło, kobyłka u plotu. I Henio Lanckoroński uznał, że ma do Kasi większe prawa niż inni i coraz częściej zaczął nawiedzać dom młynarza. Młynarz domyślał się, że bogata, majątna, choć nieco sknerowa-ta rodzina Lanckorońskich z dalekiej wsi podkarpackiej, która kształci swoje dzieci na uniwersytetach i przygotowuje do życia z pracy umysłu, a nie z ciężkiej harówki, nie poskąpi majątku na zaślubiny z Kasią.

Umyślił sobie, że tak piękna, wrażliwa i delikatna dziewczyna jak Kasia, nie może dźwigać ciężarów życia wiejskiego i już swoim wyglądem, niezwykłą urodą i romantyczną naturą predestynowana jest do przebywania wśród ludzi nie tylko majątnych, ale i wykształconych, i mądrych.

A Henio Lanckoroński był wykształcony i mądry. I akurat nadawał się na przewodnika po teatrach, salach koncertowych i majątkach ziemskich. Został dobrze przyuczony do zawodu nauczycielskiego, a ponadto mierzył znacznie wyżej, pragnąc wykładać nauki tajemne dla studentów na uniwersytecie i chciał zostać sławnym profesorem. Ale na razie ogarnęła go pasja społecznikowska. Przejęty ideami siłaczki Żeromskiego, postanowił dzieci wiejskie kształcić. A w dalszej perspektywie, po zdobyciu doświadczeń pedagogicznych i nowych kwalifikacji, na wsi Uniwersytet Ludowy założyć, który - z natury rzeczy - jako dyrektor, poprowadzi. I rozśławi niedużą kresową wieś na cały kraj. A potem, gdy już będzie starszy, katedrę we Lwowie obejmie, by dalej swoich uczniów ze wsi w wiedzę przysposabiać. I nieść kaganiec oświaty coraz wyżej i wyżej. Bo ideały oświeconego ludu od dawna go napełniały radością. A Kasia mu wpadła w oko, kiedy miała piętnaście lat. Zafascynowała go nie tylko wielką urodą, ale i zaletami umysłu i ducha. Była młodziutką i śliczną, fizycznie nad wyraz rozwiniętą, a na dodatek urzekła go rozwagą, dobrymi manierami, nadzwyczajną wrażliwością i delikatnością uczuć. O takiej pannie od dawna marzył. Toteż obserwował ją dyskretnie, z daleka, a gdy dorosła, nawiedzał młynarza i niedwuznacznie dawał mu do zrozumienia, że nie patrzy na nią obojętnie.

151

Odwiedzał więc często młynarza, przymilał się do Kasi, alei ona nie odwzajemniała jego uczuć. Owszem, była grzeczna i rrr. ła, lecz niczego mu nie obiecała. Ojciec tłumaczył jej zachowanie młodym wiekiem i kaprysmi, które są charakterystyczne dla okresu dojrzewania. A gdy któregoś razu Henio Lanckoroński zaprosił ją na wycieczkę do Lwowa,

grzecznie, lecz stanowczo odmówiła, oznajmiając, że nie nadszedł jeszcze czas, by z kimkolwiek tak daleko poza dom rodzinny się wypuszczać. Henio doskonale rozumiał, że to zwykły wybieg i cierpliwie czekał na swoją godzinę, urabiając przy okazji młynarza, by za nim się wstawiał. Młynarz natychmiast przystąpił do akcji.

- Czy ty wiesz, kim on będzie? - ze złością wyrzucał Kasi.

- Nie obchodzi mnie to! - obcesowo odrzekła.

- Dziewczyno! - grzmiał na całe gardło. - On profesorem zostanie! Profesorem! Rozumiesz!?! Profesorem na Uniwersytecie! Wykładać nauki mądre będzie! A ty panią profesorową zostaniesz, pojmujesz?

- Nie, nie pojmuję - beczelnie odparła.

- Czyściutkie ręce będziesz miała. Jak wielka pani w futrach będziesz chodziła. Złotą karetą po Lwowie będziesz jeździła. Z ambasadorami będziesz rozmawiała.

- Nie! - buńczucznie odparła, aż młynarz załamał ręce.

- To czego chcesz? - zdruzgotany spytał. Kasia spuściła głowę.

- No, czego? Kasia milczała

- Powiedz, czego?! - atakował, aż desperacko krzyknęła:

- Miłości chcę, papo. Miłości! Zbaraniał. Zatelepało nim.

- Jakiej miłości!?! - ryknął.

- Miłości! Miłości! Miłości! - biła piąstkami w stół.

Młynarz się zadumał, złagodniał, spuścił z tonu, przypomniał sobie o prośbie żony, by jej nie dokuczać, podszedł do okna, spojrzął w dal, jakby w tej dali szukając miłości, o której ona marzy i cicho rzekł:

- Potem, Kasiu, przyjdzie i miłość - pomyślał o swoim zwią-
152

, z młynarzową, która też go nie pokochała od pierwszego wejrzenia. A prawdę mówiąc, wciąż czekał na jej pełną, dojrzałą i bezgraniczną miłość.

- Już chcę miłości! Już!- krzyknęła.

Spojrzał na nią spod czoła i zobaczył jak szybko unoszą się i opadają jej kształtne, duże piersi.

Pomyślał, że istotnie, to dorosła i w pełni ukształtowana panna. Jakby dopiero teraz to dostrzegł. I z pewnością czuje już wolę Bożą. Podszedł do niej, objął i mocno przytulił. A po chwili już ciągnął, nie rezygnując z góry wytyczonego planu: - Lanckoroński, Kasiu, to młody, wykształcony i przystojny kawaler. I stałą pensję ma - tłumaczył. - Nawet dwieście złotych miesięcznie wyciągnie. A wiesz, co to dwieście złotych znaczy? To dwie krowy!

- Kuba, przestań! - nie wytrzymała młynarzową, która przysłuchiwała się rozmowie. - Jak możesz?! Prosiłam cię - syknęła.

Kasia odsunęła się od ojca, stała ze zwieszoną głową i milczała.

- To księżę z bajki! - wykrzyknął desperacko, zapominając, że przyrzekł młynarzowej powściągliwość i umiar.

Wtedy Kasia dumnie uniosła głowę i powiedziała:

- Nie.

- Co nie? - osłupiał młynarz.

- Nie księżę z bajki - odparła hardo.

Młynarz rozłożył bezradnie ręce. A gdy uspokoił się nieco, pochodził po pokoju i oznajmił: - Poczekamy jeszcze z rok, dwa, a wtedy sama się przekonasz, że nie ma lepszej dla ciebie partii niż profesor.

Nie odpowiedziała.

153

INTRYGA

Gdy młynarzowa przysłuchiwała się tej rozmowie, w jej mózgu rysowała się już poważna i sprytna intryga. Była kobietą operatywną i zaradną. Jak coś postanowiła, konsekwentnie do tego dążyła. Owszem, Henio Lanckoroński nie jest najgorszy, myślała, nawet przeciwnie, to dobra partia, ale przecież Kasia zasługuje co najmniej na kapitana, jeśli nie pułkownika wojsk polskich. W każdym razie na wysokiego rangą oficera. Wprawdzie raz się sparzyła, ale dzięki temu teraz będzie bardziej ostrożna i z dystansu spojrzy na kawalera. Wiedziała, że mężowi nie może się sprzeciwić, bo im bardziej mu się sprzeciwiała, tym bardziej stawiał na swoim. Uknuła więc perfidną intrygę, w którą mąż miał wpaść, jak zając w sidła, niczego nie podejrzewając. Wysłała liścik do przyjaciółki we Lwowie i poprosiła ją o bileciki na bal, który, jak pamięta, o tej porze organizuje. Szybko otrzymała radosną, niemal entuzjastyczną wiadomość, że przyjaciółka czeka na nią z otwartymi ramionami i chętnie ją zobaczy wraz z mężem i dorosłą córką. Wprawdzie nie będzie to bal, ale sympatyczne przyjęcie, na którym zjawi się dobre towarzystwo.

A to dobre towarzystwo oznaczało w wyobraźni młynarzowej radosne płasy i ćwiczenia intelektualne w rozmowie z oficerami. Niech się Kasia uczy dobrych manier, postanowiła, przypominając sobie niegdysiejsze bale, na których panny z dobrych domów mogły oszołomić kawalerów czarnymi, kloszowymi sukniami z żorżety i stylowymi, aksamitnymi pantofelkami na zgrabnych nóżkach. Na stołach pojawiały się likiery, krupniki, żubrówki, miętówki i wódka ze słomką. A gospodyni z uśmiechem witała elitę towarzyską Lwowa. Od dam niosła się subtelna kompozycja zapachów róży i lilii, jaśminu i konwalii. Bo damy musiały wiedzieć,

154

jaki sposób pocierać sobie nimi ciało. Nie nakładały jak zwykle mieszczki na skórę za uszami, bo skóra za uszami jest tłusta i zapach szybko ulatuje. Nakrapiały zaś lekko te miejsca, w których krew płynie żywo, czyli dekolty, przeguby dłoni i włosy, bowiem stamtąd aromaty najszybciej się roznoszą. A co się wtedy tańczyło? - rozpamiętywała. Z pierwszymi taktami angielskiego walca panowie kłaniali się damom, podawali ramię i zapraszali do tańca. Dystygowane towarzystwo bawiło się do rana, tańcząc polki, tanga, oberki i mazurki. Panowie w smokingach i frakach, a panie z ufrizowanymi włosami, w eleganckich sukniach i z wyraźnie zaznaczonymi dekolcami. Pojawiał się wodzirej, który dbał o styl i elegancję, starając się, by wszystkie panny czuły się usatysfakcjonowane i szczęśliwe.

Młynarzowa na wspomnienie dawnych lat natychmiast zaproponowała mężowi, wprawiając się w dobry humor i słuchając muzyki z patefonu, by wyjechali na kilka dni do Lwowa, gdzie stoi nie tylko 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, ale stacjonuje też 19. Pułk Piechoty, 5. Pułk Artylerii Polowej, a niedaleko Lwowa, w Skniłowie, 6. Pułk Lotniczy, nie mówiąc już o Korpusie Kadetów im. Józefa Piłsudskiego. Z pewnością na tym przyjęciu, myślała, nie zabraknie oficerów, którzy, jak wiadomo, lubią dobre towarzystwo i młode panny. Tak, koniecznie wezmę Kasię na przyjęcie, by ją wyrwać z tego odrętwienia, w które popadła po nieszczęśliwej miłości i towarzysko rozerwać, knuła intrygę. A tam z pewnością pozna poważnego kapitana czy pułkownika i wyleczy się zrań. Tak, z pewnością pójdziemy na przyjęcie. Wprawdzie to nie bal, ale też przyzwoita uroczystość. I atrakcji nie zabraknie. Jej dawna przyjaciółka ze szlacheckiego rodu, Łucja C zerwińska, właścicielka kilku kamienic i ogromnego majątku pod Tarnopolem, serdecznie zapraszała.

Kasia najpierw się boczyła, że nie chce i nie pojedzie, bo czuje się źle. Ale i ona zwietrzyła swój interes. Nadarza się znakomita okazja dla słodkiej zemsty. Wręcz wymarzona. A jeśli zjawi się tam jej ułan? Na jego oczach rzuci się w objęcia innego, by go w ten sposób upokorzyć, wręcz spoliczkować. Tak jak on ją spo-Hczkował w altance, wciąż pamiętała.

Tamta scena tkwiła w niej

155

jak zadra. Najlepszym sposobem na kawalera jest zazdrość, ka, siu, wyznała jej kiedyś matka. Gdyby cię twój ułan zobaczył w towarzystwie innego oficera, na nowo by zapalał do ciebie uczuciem, wtajemniczała ją w zawile arkana kobiecych wybiegów. W ten sposób, myślała sobie w duchu, albo Kasia odzyska swego ułana, albo pokaże mu, na co ją stać i znajdzie nowego, znacznie ciekawszego i lepszego kawalera, a może i męża. Dwie pieczenie na jednym ogniu upiecze. Sprytna jestem, ogłosiła w duchu, dodając sobie animuszu.

156

PRZYJĘCIE

Młynarz bez specjalnych oporów się zgodził, choć pora nie była najlepsza i wybrali się razem z Kasią do Lwowa, zostawiając Mariusza na gospodarstwie. Kasię wystroili na boginię i zjawili się na miejscu w sam raz, kiedy akurat przyjęcie się zaczynało. Przyjaciółka otworzyła szeroko ramiona, wylewnie ich przywitała i gościnnie przyjęła. Pogratulowała Kasi debiutu w „Słowie Polskim”, bo wiersz czytała, ale nie rozwodziła się zbytnio. Najważniejsze, że pamiętała, mimo że sporo czasu upłynęło i Kasia była za to jej wdzięczna. Gospodyni zaprosiła do stolika i przedstawiła ich znakomitszym gościom.

Kasia najpierw była onieśmielona i zagubiona, pąsowa na twarzy, z płonącymi oczami, bo wokół kręcili się przystojni panowie i z zaciekawieniem się jej przyglądali, ale po pewnym czasie oswoiła się z atmosferą, a nawet chłonęła rozgrywające się wokół niej wydarzenia z dużą uwagą, obiecując sobie, że w swoim dzienniczku odnotuje każdy detal.

Ostrożnie rozglądała się za panami oficerami, mając na uwadze głównie tego jednego, najważniejszego, ale jakoś nie dostrzegła go, ani żadnego innego, który by ją zainteresował. Była tym mocno zawiedziona. Zerknęła pytająco na matkę, lecz matka też nie wypatrzyła żadnego godnego Kasi munduru. Po prostu ciekawych i ważnych oficerów zabrakło.

Młynarz rozmawiał z nieznanymi mężczyznami o interesach, młynarzowa oddała się pogawędce z przyjaciółką o dawnym Lwowie, a Kasia tkwiła obok jak zbędny mebel i z zakłopotaniem popatrywała na towarzystwo. W pewnej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi i weszło kilku oficerów. Kasi załomotało serce. Młynarzowa zerknęła na nią i upudrowała so-

157

bie nos, wpatrując się w przybyłych jak zahipnotyzowana. Oficerowie natychmiast przywitali się z panią domu, wręczając jej Pyszny bukiet kwiatów, trzaskając obcasami i całując ją w rękę

Kasia szukała wśród nich znanej twarzy, ale nie znalazła. Wszyscy byli jakby nieco starsi od jej ułana i nie tak szczupli jak porucznik Łaniewski. A jeden z nich natychmiast wbił w Kasię siwe oko i zagryzł wargi, podkręcając wąsa. Na epolecie widniały trzy haftowane srebrnymi nićmi gwiazdki. Ubiór wieczorowy, długie, granatowe spodnie z lampasami, czarne lakierowane trzewiki z krótką cholewką i elastycznymi gumowanymi ściągaczami na wysokości kostek. Pas z jedwabnej tkaniny barwy ochronnej z metalową klamrą i wizerunkiem antycznej głowy. 1 naturalnie kremowe rękawiczki.

Kasia poczuła niepokój. Oficer przedstawił się matce, zdjął rękawiczki, cmoknął w mankiet, delikatnie ujął dłoń Kasi i pocałował, mrużąc:

- Kapitan Sztukel, do usług.

Dłużej zatrzymał wzrok na jej ustach i przez chwilę się jej przyglądał. Po czym przysiadł się do stołu, przy którym siedział młynarz, ale wybrał sobie takie miejsce, z którego mógłby obserwować Kasię. A ona spuściła oczy i jakby szukała ratunku, tuląc się do matki. Podano trunki i wkrótce salon zabrzmiał muzyką i Wrzawą wielu głosów. Przy stoliku, przy którym siedział oficer, rozmawiano o koniach i gonitwach konnych. Kapitan Sztukel, jak się okazało, jako znawca koni, rozwodził się o najnowszym w Europie torze wyścigowym na Służewcu w Warszawie, który ocladano do użytku, a on dopiero co ze stolicy wrócił i miał wiele do powiedzenia, a przede wszystkim to, że tor ten został zbudowany w oparciu o założenia i

niezbędne cechy nowoczesnego tom wyścigowego z oryginalnymi rozwiązaniami nigdzie indziej POza Polską nie znanymi itp., itd. I zakończył konny motyw podaniem wyników gonitwy dla trzyletnich koni czwartej kategorii na dystansie 1600 metrów, w trakcie której wygrał Felsztyn przed Pontusem, Kockiem, Karioką II i Gondolą, a czas gonitwy nie przekroczył 1.42,5 sek. Mówił w taki sposób i takim tonem, jakby wszystkim było wiadomo, co znaczą te nazwy, a mężczyź-

158

; poważnie kiwali głowami i udawali, że ich to bardzo zajmu-•p potem mężczyźni zaczęli rozprawiać o sprawach wojskowych. Najwięcej emocji wzbudził komentarz kapitan Sztukela do informacji, jakie reakcje wywołało żądanie Hitlera z maju tego roku, kiedy zażądał od Polski Gdańską i korytarza. W Ilustrowanym Kurierze Codziennym zamieszczono list pewnego obywatela, Władysława Bożyczki i jego szwagrów, Edwarda i Leona Lutostańskich, którzy w odpowiedzi na żądania Hitlera zwrócili się z apelem do wszystkich Polaków, by gotowi byli oddać życie za Ojczyznę. I sposób poświęcenia Ojczyźnie wzbudził najwięcej kontrowersji. Bo okazało się, że apel wzywał do tworzenia tak zwanych żywych torped, dzięki którym bohaterscy Polacy staną w obronie kraju, oddając swoje życie za wolność i niepodległość. Ta desperacja bardzo poruszyła umysły, a kapitan Sztukel uznał ją za najwyższy dowód oddania i poświęcenia rodaków w chwilach zagrożenia, kiedy potrafią postawić na szali zwycięstwa wartość najwyższą, własne życie. Ten fragment Kasię nawet zainteresował. Nigdy nie słyszała o żywych torpedach i zrobiły one na niej silne wrażenie. Nawet spojrzała na kapitana Sztukela z respektem i szacunkiem, jakby to on był tą żywą torpedą, która za polskie sprawy oddaje życie. Okazało się, ciągnął kapitan, że apel trzech obywateli poskutkowało. - Przedstawcie sobie państwo -mówił - że odpowiedziało nań blisko pięć tysięcy Polaków, a w tym ponad sto pięćdziesiąt polskich pań.

Ta liczba jeszcze większe zrobiła wrażenie na Kasi. Poczwała dumę z takiej heroicznej postawy kobiet. Jakby była z nimi związana niemi patriotyzmu. Rozmowa potoczyła się w kierunku zagrożeń, jakie niesie Hitler. Uczestniczyli w niej głównie panowie, a Kasia nie rozumiała wszystkiego, co mówili, więc znowu się zniechęciła. Dochodziły do niej pojedyncze zdania i oddzielne słowa, które wywoływały u wielu słuchających lęk i przerażenie. Słyszała coś o Stalinie, który może „wbicić nam nóż w plecy”. Potem wznoszono toasty za piękne panie, a kapitan Sztukel krzyknął, że tylko oficerowie potrafią pić i opowiedział, że jak ułani biesiadują, to konie same do koszar wracają, a żołnierze po pijaństwie nad ranem wytaczają armaty, aż szyby z okien z trza-

159

skiem wylatują. Bo ułani mają ułańską fantazję, chwalił się, pod. bijając towarzystwo żelazną logiką dowodzenia. I na znak, że tradycja w narodzie nie ginie, wlał do kieliszków nową porcję luksusowej, podziwiając pomysłowość rodaków, wedle której, trunki zbliżony do wódki pierwsi zaczęli właśnie produkować Polanie, a dopiero sto lat później Rosjanie. Ale, rozwodził się, tym razem jako znawca trunków, że są narody, które w ogóle wódki nie piją, bo zabrania im tego religia, na przykład religia buddyjska lub prawo koraniczne. I wliczył do tych pozbawionych fantazji narodów naród chiński, hinduski i tybetański. I rozwodził się, jakie to rodzaje alkoholi się rozpowszechnia. Czyste i kolorowe - zdumiewał erudycją siedzących wokół panów - zwykle, produkowane z żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa, gryki lub ziemniaków, sięgające trzydziestu dwu procentów mocy i owocowe otrzymywane z owoców pestek, takich jak wiśnie, śliwki, morele, mirabelki, jagody i brzoskwinie, zawierające nawet czterdzieści procent alkoholu, czy egzotyczne wódki roślinne i korzenne z korzeni ryżu, agawy, anyżku, takie jak rum, arak czy sake, którą się pija na ciepło.

- Na ciepło? - wyrwało się młynarzowi.

- Tak, łaskawy panie, na ciepło - odparł znawca trunków, zerkając na Kasię.

A młynarz ze wstrętu się wzdrygnął. Nie wyobrażał sobie, jak można pić ciepłą wódkę.

Kapitan, by dowieść, jak wielkim jest ekspertem od alkoholi, zaczął opowiadać, jak i w jakich kieliszkach należy pić. I sięgnął, a jakże by inaczej, do starożytnej Grecji i Rzymu, kiedy to - uczenie dowodził - Pliniusz Starszy wspomina o złotych i srebrnych naczyniach, które później zamienione zostały na naczynia ze szkła, nawiasem mówiąc, droższe, czego, rzecz jasna, teraz zrozumieć się nie da. Dopiero w piętnastym wieku pojawiły się kielichy z nóżką. W Anglii piło się ze szkła grawerowanego, tłumaczył, a we Francji dwa wieki później z kryształowych naczyń, służących głównie do wina. A na smakowanie i odbiór wina zasadniczy wpływ mają kształt, kolor i rozmiar szkła. I w taki sposób toczyły się intelektualne rozważania o sztuce picia.

160

A Kasia wciąż czegoś brakowało. Nie dość, że nie pojawił się rucznik Kaniewski, któremu chciała utrzyć nosa, to nie przybyła żadna inna wesoła kompania młodych oficerów, spośród których mogłaby sobie wypatrzeć do towarzystwa kawalera. Po to przyjechała i matka jej to solennie obiecała. A gdzież oni są, owi wspaniali, elegancy i przystojni dwudziestoletni młodzieńcy.

Rozważała w głębi serca, w jakiej znalazła się sytuacji. Została opuszczona przez ułana, którego kochała. Przyszła tu bez kawalera, co i tak już ją jakoś poniża. A na dodatek nie ma do kogo otworzyć ust. Biła się z myślami, co powinna zrobić. Stawała się roztargniona i zdegustowana, zawiedziona.

Młynarzowa wodziła oczami po salonie, szukając dla niej czegoś godnego, ale wciąż nie znajdowała. Z wielu kątów dolatywał gwar rozmów. Wznoszono toasty, rozlegały się chichoty, śmiechy i głośne porykiwania. To grupa mężczyzn we frakach o czymś hałaśliwie rozprawiała i śmiała się. Kilku oficerów nachyliwszy ku sobie głowy, po cichu i z powagą o czymś rozprawiali, zajęci tylko sobą.

Orkiestra dyskretnie grała. Żyrandole świeciły drobnymi kryształami.

Kapitan Sztukel, porzucając już tematy alkoholowe i zajmując się armią, na czym, rzecz jasna, znał się najbardziej, tłumaczył mężczyznom, którzy patrzyli na niego jak na wyrocznie, że nie ma się czego bać, bo, jak mówił, „jesteśmy zvarci i gotowi” i dodawał, że „nawet guzika z munduru nie oddamy”, ale Kasia nadal nic z tego nie rozumiała. Patrzyła na towarzystwo znudzonym wzrokiem, zdeorientowana i rozbita psychicznie. I zatęskniła za domem i ciszą. Przyjęcie wydawało się jej zbyt monotonne i nieatrakcyjne. Liczyła na dużo więcej. W żaden sposób nie potrafiła się dostroić do atmosfery. Mimo że słyszała jak wokół niej kobiety gawędziły o teatrze, wachlowały się, bo było duszno i gorąco, a potem o muzyce i ta rozmowa całkowicie pochłonęła uwagę jej matki, ale jej nikt o zdanie nie pytał. A matka tak dalece była przejęta koncertami, partyturami i dyrygentami, że pograżając się w świetcie piękna, zupełnie o niej zapomniwała. I Kasia poczuła się niepotrzebna. Miało być wielkie przyjęcie, kan-

161

delabry, żyrandole, blask miejskiego świata, tańce i muzyka a ona widziała rozplotkowane przekupki przy stołach i spoc-nych, podchmielonych starców, po trzydziestce. I po cóż ubrała się w najpiękniejsze stroje?! Nałożyła najszykowniejsze buciki wyprosiła od marny perłowe korale, a w uszach zawiesiła złote kolczyki. I po co odsłoniła dekolt, skoro żadne młodzieńki, ciemne oko na nią nie spojrzy?! Tylko te starcze, oślizgłe macania oczami jej dekoltu. Wszystko na nic.

Ale nie zapomniał o niej kapitan Sztukel. Po kilku kieliszkach zrobił się nabrzmiały na twarzy i czerwony. Przesiadł się do Kasi, pytając, „czym się waćpanna zajmuje”, co Kasię najpierw rozśmieszyło, a potem zirytowało. Rozbawił ją język kapitana, jakiś sztuczny, anachroniczny i krotchwilny, jego mina, nadęta i pusta, a także cała jego osoba, jakby z panoptikum wyjęta. O ile jeszcze wtedy, gdy opowiadał o żywych tarczach, budził szacunek, to teraz, gdy się spił, budził już tylko litość.

Teraz zaczął prawić jej komplementy. A to podziwiał jej „oczka jak węgielki.” A to figurę, której by się nie powstydzila „niejedna hrabina”. Nie mógł się nasycić delikatnością jej „alabastrowych dłoni” i „głosem, przez który przemawiają aniołowie”. Aż w końcu zadeklarował, że niechybnie zaprosi „cudowny kwiat młodości” na dłuższy spacer i odwiedzi ją w domu. Bo to dla niego, polskiego oficera, wielki zaszczyt przebywać w tak „nadzwyczajnym, oświeconym i kulturalnym towarzystwie”.

Młynarzowa, słysząc te słowa, jęknęła „ach.” A potem dwukrotnie jeszcze powtórzyła „och, och” i krygując się, zatrzepotała rzęsami, z zachwytem patrząc na coraz bardziej piękniejącego w jej oczach oficera. Im więcej kieliszków wypila, tym kapitan Sztukel rósł jej oczach. Przez moment wydawał się jej nawet generałem. Patrzyła na niego urzeczona i pełna uznania. Tymczasem kapitan Sztukel znowu cmoknął Kasię w rękę, a nawet sięgnął wyżej, całując ramię i już zbliżał się do szyi, kiedy zdarzyła się ta straszna katastrofa.

Kapitan Sztukel przewrócił się i runął jak długi na podłogę.

Kasia wrzasnęła. Młynarzowa przecierała oczy. A mężczyźni przy stole klepali powiekami, nie rozumiejąc, co się stało.

162

Γ

Kapitan Sztukel już leżąc na ziemi wciąż bełkotał, że on „ptaszynę sobie przyhołubił”, bo każdy oficer „powinien flirtować jak najczęściej”. I wtedy podskoczył towarzyszący mu major i postawił go na nogi. Szybko wznosił toast:

- Za pana zdrowie, panie kapitanie.

Ci, co się znali na wojskowej etykietce, natychmiast zrozumieli, że to oznacza koniec pijaństwa. W ten sposób korpus oficerski dbał, by pijani oficerowie nie przynosili armii ujmy. A szczególnie wtedy, gdy mają chronić swoją damę i dbać o honor pułku. Oficerski Sąd Honorowy mógłby nawet wnioskować do Ministerstwa Spraw Wojskowych o usunięcie takiego oficera z wojska. Dlatego kapitał Sztukel, mimo że kurzyło mu się w głowie, w mig pojął, co oznacza toast majora. Przetarł oczy i wypiwszy strzemienne, zbierał się do wyjścia. Przy stoliku ktoś skonstatował, że jednak oficerowie za bardzo grzeją. A ktoś inny, iż zdarzają się przypadki, że gdy nowo przybyły do jednostki porucznik wznosi toast za pomyślność kolegów, musi wypić tyle kieliszków, ile cyfr zawiera numer jego jednostki wojskowej. Jeśli dostał przydział, powiedzmy, do 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich, musi wypić dwadzieścia jeden kieliszków, a kompania przyjaciół bawi się pysznie. By temu podolać, winien długo i z uwagą ćwiczyć.

Po incydencie z kapitanem Sztukelem oficerska kadra wyniosła się w pośpiechu.

Kasia była zdruzgotana. Nachyliła się do matki i kategorycznie zażądała, by wracały. Następnego dnia wyruszyli do domu. Kasia była posępna, znużona i rozczarowana. W matce odżyły dawne tęsknoty i przypomniały się jej młodzieńcze lata. Jednak i ona nie miała powodów do zachwyty. Jej plan spalił na panewce. Kasia nie spotkała swego ułana ani nie poznała innego, godnego jej ręki. Perfidny plan zemsty także się nie udał. Nie można było więc mówić o zadowoleniu i sukcesie.

- Kiedyś, Kasiu - zwierzała się młynarzowa - przyjęcia były weselsze - oznajmiła. - A to - smutno dodała - okazało się jakieś dekadence, schyłkowe. Jakby się jakaś epoka kończyła.

163

I poczuła, że jej dawny świat odszedł na zawsze. A ten, który wyłania się jak z magmy, równocześnie na jej oczach się rozsypuje. A to przyjęcie, zamiast blasku i wielkości, ostatecznie obnażyło jakąś ciemność i degradację. Zapowiadał się nowy czas” którego twarzy wyraźnie jeszcze nie widziała. Ale symptomy były dla niej oczywiste. Ludzie, choć niby bawili się, pili i rozmawiali, byli niespokojni, jakby obcy i zagubieni. W domu ostrzej widziała tamte sceny. I surowiej je oceniała.

Młynarz siedział naburmuszony i nieprzystępny, coś głęboko w sobie rozważając.

KASIA I MATKA

Kilka dni później, młynarzowa korzystając z chwili, kiedy były same, wróciła do atmosfery spotkania u przyjaciółki. Okręzała Kasię, jakby sprawdzając jej wygląd, przyglądała się jej uważnie, aż Kasia spytała:

- Dlaczego mi się tak przyglądasz, mamuś? Młynarzowa mierzyła ją okiem inżyniera geodety, który ma

dokonać pomiaru pola i zastanawia się, od którego kawałka zacząć. Wpatrywała się w nią intensywnie, jakby pragnęła odkryć to jedno jedyne miejsce, które rozwiąże jakąś kartograficzną zagadkę.

Kasia śledziła te osobliwe manewry, wyczuwając instynktownie, że matka zmierza do odślonięcia jakiejś nowej karty w tajemniczej grze. Kapitan Sztukel ze swoimi niewybrednymi zalotami wbił się w jej mózg jak czarna igła w gardło. Wciąż nie mogła przełknąć niedawnego spotkania. Młynarzowa zafurkotała rzęsami i uśmiechając się, powiedziała:

- Jesteś bardzo zgrabną i piękną panną. Kasia wzruszyła ramieniem i odpaliła:

- I co z tego?

Nie miała ochoty na zwierzenia. Tamten wieczór wciąż ją bolał, denerwował i wprawiał w zakłopotanie, padając złym cieniem na jej nastrój. Młynarzowa jednak z raz obmyślonego planu nie zamierzała się wycofywać. „Jest młoda i miewa fanaberie” - patrzyła na Kasię z wybaczącym uśmiechem.

- Och, Kasiu, nie musisz matce odpowiadać tak obcesowo. Nie jesteś byle jaką chłopką czy zahukaną, ukraińską dziewczką. Tylko dżicz się tak zachowuje! - karciła ją. Ale zaraz jakby się sama poczuła winna, szybko wyrecytowała: - Wiem, Kasiu, że

165

nie masz tutaj odpowiedniego towarzystwa. Wokół nas, niestety, nie kwitną pałace, bogate dwory ani pańskie majątki. Nie masz więc dobrych wzorców i szczytnych ideałów, by je naśladować. A sama szkoła, jak się domyślasz, nie wystarcza. Choć posłaliśmy cię do jednej z najlepszych, to wiemy doskonale, że brakuje ci trwalszego i głębszego zakorzenienia w kulturze, w dobrych obyczajach i w nowoczesnych manierach.

Kasia patrzyła na matkę z niedowierzaniem. Nigdy dotąd nie prawiała jej takich kazań.

- O co ci chodzi, mamuś? - spytała.

- Jak to o co? O ciebie, Kasiu, o ciebie.

- Ale o co, konkretnie?

Spojrzała na Kasię z zastanowieniem.

- Skończyłaś już osiemnaście lat - patrzyła jej prosto w oczy. - Stałaś się piękną panną. I ja, jako matka, muszę myśleć o twojej przyszłości. Muszę zadbać, byś była szczęśliwa i zadowolona z życia. Byś nie tęskniła tak jak ja za innym światem. A tutaj - przypomniła - jak sama wiesz, nie masz zbyt wielkiego wyboru. Pospolite chłopstwo, ukraińskie czy polskie, wszystko jedno, ciężko myślące i zdziczałe. Może ukraińskie jeszcze bardziej zdziczałe niż polskie. Tak, tak, zdecydowanie bardziej. A za mąż trzeba wyjść w odpowiednim wieku. Bo później może się okazać to trudne, a nawet niemożliwe.

- Co ty mówisz, mamuś?! - zachnęła się Kasia. Jestem młodziutka!

- W twoim wieku wiele panien już wyszło za mąż - kategorycznie stwierdziła. A Kasia przypomniła sobie podobne słowa ułana. I zagryzła wargi. - I ja nie chcę - słyszała głos matki - by twoje koleżanki jeździły w bryczkach albo w drogich pańskich limuzynach i pachniały słodkimi perfumami, podczas kiedy ty zostałabyś samotną, starą panną. Nie chcę tego, rozumiesz?

- Ja?! Stara panną? - wydeła wargi Kasia.

- Jak się nie uwiniemy - nacierała młynarzowa - to wszystko może się zdarzyć. Popatrz - uniosła ramię - tutaj, Kasiu, na wsi, jak ci wiadomo, nie masz właściwego kandydata - zastanowiła się chwilę i pierzchła oczami, jakby czymś zawstydzona, ale szybko

166

wróciła do córki. - No, wprawdzie tatko daje do zrozumienia, że dobrą partią dla ciebie byłby pan nauczyciel, ale ja wiem, że niezbyt za nim przepadasz. Czyż nie tak, moja droga?

- To prawda - odparła Kasia. - Nie podoba mi się Henio Lanc-koroński - przyznała. - Jest taki bladej, chudy i ma oczy myszy, malutkie, świdrujące i zawsze zakłopotane, jakby był czemuś winny. Jest śmieszny.

- Właśnie - skrzywiła się młynarzowa - ja też nie przepadam za nim, choć, naturalnie, doceniam zalety jego umysłu, siłę charakteru i wykształcenie. A biorąc pod uwagę fakt, że nadal pobiera nauki i profesorem zostanie, to dobrze o nim świadczy i przemawia na jego korzyść. Ale skoro ci nie odpowiada...

- Zupełnie nie odpowiada! - wykrzyknęła Kasia. - A poza tym, sama chcę się kształcić. Chcę być niezależna.

To stwierdzenie młynarzowej zaimponowało. Pomyślała, że w swoim czasie wykorzysta je na korzyść Kasi. Ale na razie musi kuć żelazo póki gorące.

- Pamiętaj jednak - mówiła - że mądra dziewczyna zawsze ma jakiegoś kawalera, że tak powiem, w zapasie. W życiu kobieta musi przewidywać, kombinować...

- Nie chcę kombinować! - zawołała Kasia i dramatycznie załamała ręce. - Miłość się tylko liczy! Tylko miłość! - wykrzyzczała. - Sama mi to mówiłaś! - wbijała oskarżycielski wzrok w matkę. - Że tylko miłość w życiu się liczy. I tylko miłość ma sens!

- Och, tak, Kasiu, naturalnie, tylko miłość się liczy. I tylko miłość ma sens. Ale - zastanowiła się - miłości trzeba dopomóc. Trzeba w nią zainwestować, trzeba nią pokierować...

- Miłością?! - zdumiała się Kasia.

- Tak, moje dziecko, miłością.

- Miłość sama prowadzi dokąd chce.

- Masz rację. Trzeba tylko być pewnym, że to już właśnie ta miłość, ta jedna jedyna i najważniejsza.

- Chcesz powiedzieć, że może być wiele miłości w życiu? Młynarzowa skinęła głową.

- Tak, Kasiu, w życiu może być wiele miłości.

- Nie chcę! - krzyknęła Kasia - Nie chcę wielu miłości! - biła

167

dłońmi po kolanach. - Chcę jednej, wielkiej miłości. Takiej na całe życie! Tej najprawdziwszej! Największej. I najwierniejszej! Teraz to wiem na pewno.

Młynarzowa zamyśliła się. Ten krzyk, determinacja, ostry upór wzmocniły w niej przekonanie, że Kasia zbudowała już w sobie jakiś jeden i ostateczny wizerunek miłości, romantycznej i nieosiągalnej. I że nic już i nigdy tego wizerunku nie odmieni. I niczym innym nie zastąpi. Zrozumiała, że lata zanurzone w książkach, w czytaniu wielkich romantyków, teraz odbijają się w jej duszy. Nagle złękła się, że jej córka będzie cierpiała. Znała życie i wiedziała, że tylko niewielu ludziom przytrafia się tak wymarzona i pełna blasków miłość. I pomyślała, że sama jest trochę winna, że podtrzymywała w córce taki obraz świata.

- No tak, no tak - westchnęła.

A Kasia przenikliwie ją lustrowała. Jej delikatny nosek zmarszczył się, oczy rozbłyły, a usta lekko drżały. I wtedy padło to nagłe i kłopotliwe pytanie:

- A czy ty, mamus, przeżyłaś wielką miłość? Młynarzowa wpadła w popłoch. Gwałtownie się cofnęła.

- Powiedz - napierała Kasia, nie spuszczać z niej wzroku. Młynarzowa była przerażona, jakby ktoś dotknął jej bolącej i głęboko ukrytej rany.

Kasia zamieniała się w młodą lwicę, która sprawdza matkę, czy nadal jest jeszcze królową.

- Kochałaś kogoś, zanim poznałaś tatę, wielką miłością? -wbiła w jej serce sztylet.

Młynarzowa chwyciła się za pierś.

- Ależ, Kasiu -jęknęła. - Nie możesz tak... nie wypada... to niestosowne wobec matki... -jąkała się. Była zdruzgotana, powalona na ziemię i musiała się teraz, po takim ciosie, dźwignąć.

Wszystkiego się spodziewała, ale nie aż tak gwałtownego pytania. Zabolało ją. Kasia dotknęła wciąż krwawiącej rany. Dopiero teraz to z całą mocą sobie uświadomiła. Pytanie rozbiło jej świat, zrujnowało gmach, który przez wiele lat tak starannie i z poświęceniem budowała. Nagle otworzyła się przed nią przepaść, a na jej dnie zobaczyła grającego na skrzypcach młodego artystę, Bron-

168

va Rubinowicza, wschodzącą gwiazdę sal koncertowych. Targnięta bolesną myślą, poczuła, jak mocno wali jej serce. Ileż musiała znieść cierpienie, gdy się z nim rozstała, by wyjść za mąż za inżyniera, człowieka dobrze sytuowanego i przedsiębiorczego, Jakuba Kukułkę. Wybrała dostatek i pewność losu, a odrzuciła wielką miłość i biedę. Rozstała się z artystą, którego kochała nad życie. I tylko dlatego, że był ubogim skrzypkiem i nic jej nie gwarantował, poza nędzą i rozpaczą. Niczego nie obiecywał. Zajmował się graniem i na nic innego nie zwracał uwagi. Obca mu była materia przedmiotów, majątki, pałace, tytuły, bogactwa. Znalazł pasję życiową i oddał się jej zachłannie, straceńczo i na zawsze. Przed jej oczami rozwinęła się taśma filmowa i pomknęła w dal. Zobaczyła siebie w towarzystwie Bronka Rubinowicza, jak siedzą w suterenie albo w baraku, który on wynajmował, a pod sufitem kopci się świeczka. I ona siedzi na podłodze, a on gra na skrzypcach. Ma zamknięte oczy, a jego twarz błada i zamyślona. Czują jak oddala się od niej, jak odlatuje ku jemu tylko znanym światom, a ona przestaje dla niego istnieć. Ale trwała przy nim. I wiedziała, że słucha czegoś wielkiego. A potem kochali się, padali na podłogę i gwałtownie poszukiwali swoich ciał. Ileż takich nocy było w ich życiu?! Ileż nieprzespanych godzin?! A potem nagle, jak cięcie noża, rzuciła go i wyszła za mąż za człowieka konkretnego, praktycznego, a nie zrodzonego z fantazji i mgieł. I tylko ona jedna wie, ile cierpienie i bólu ją to kosztowało. A jednak rzuciła go. I odeszła z innym, którego nie kochała. Bo on gwarantował jej szacunek i uznanie oraz stabilizację życiową. I oto teraz tamta rana otworzyła się na nowo.

- Kochałaś? - Kasia wbijała w nią oczy.

I cóż mam jej odpowiedzieć, myślała. Mam wyznać prawdę, czy też przemilczeć, obejść i zlekceważyć pytanie. Zmierzyła Kasię poważnym wzrokiem i odezwała się:

- Kocham twego ojca, Kasiu. I to jest moja najważniejsza miłość...

- Ale czy największa, najprawdziwsza?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zrobić z córki powiernicę najgłębszych tajemnic i wyznać, że i dziś często po nocach widzi

169

Bronka Rubinowicza i kocha się z nim we śnie. Czy powiedzieć że dzięki małżeństwu, otrzymała stabilizację życiową, względny spokój i pewność jutra. A to są mocne fundamenty dla życia. I Co z tego, że powiem jej, myślała, że uciekłam od wielkiej miłości. Czy ona to zrozumie? I czy nie będzie mi miała za złe. A jeśli nie powiem, czy stracę u niej szacunek? Czy się nie odwróci ode mnie i nie potępi mnie za to? Nie mam dobrego wyjścia. Najlepiej będzie, gdy odsunę tę chwilę na później. Więc się odezwała:

- To, Kasiu, temat na długą rozmowę. Pozwól, że do tego wrócimy kiedy indziej.

- A więc kochałaś! - krzyknęła Kasia. - Kochałaś wielką i beznadziejną miłością! - niemal triumfowała z odkrycia tajemnicy matki. - Kochałaś! Kochałaś!

- Ciii! - przeraziła się młynarzowa - jeszcze ktoś usłyszy.

Wiedziała, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Cokolwiek powie, nie zmieni już niczego.

Wzięła się w garść. Najpierw zapewni Kasi przyszłość. A potem znowu będzie, najpewniej w

samotności, rozważała o swoim losie. Naprędce umyśliła pewien chytry fortel, który - jeśli się powiedzie - połączy ogień z wodą. Młody panicz za wsią! To jest idea! Już wcześniej o nim myślała. Teraz jednak poczuła, że staje na twardym gruncie. Żaden oficer, tylko pan z majątkiem. Należy wybierać konkrety, a nie fantazje. Wiedziała, że musi Kasią zabezpieczyć byt, bo to najważniejsze. Kasia powinna mieć już męża. Gdy stanie się mężatką, nabierze godności, powagi i znaczenia. Znikną jej rojenia i wyciszą się emocje. Zginą fantasmagorie. I choć wiedziała, że fanaberie Kasi i jej głęboki idealizm będą trudne do pokonania, powinna jej wskazać praktyczną drogę życia. I tą drogą wydał się panicz za wsią. Przystojny, młody, wykształcony i z dobrymi manierami. Kasia go pokocha. A przy tym bogaty i z koneksjami. Partia w sam raz dla Kasi.

170

W PAŁACU

Po tygodniu młynarzowa oznajmiła, że jadą do pana za wsią. Kasia już tam bywała i zgodziła się z radością, nie podejrzewając, jakie się plany za tym kryją. Każda atrakcja była lepsza od nudy na wsi. Gdy bryczka zajęła przed pałac, Kasia poczuła dziwne skrępowanie. Rzucała krótkie, ostrożne spojrzenia na boki, zerknęła w wielkie okna pałacu i pochłaniała widok ocienionego bluszczem ganku, do którego wiodły kilkustopniowe, kamienne schody. Pałac był wielki, piętrowy, z nowym, błyszczącym dachem. Kwadrat podwórka otaczały budynki gospodarcze, ogromna, długa stodoła, stajnia i obora, i niski budynek, którego Kasia nie pamiętała, a który teraz wyrastał jako ważna część nowej architektury. Była to kuźnia nowego sprzętu wodociągowego, serce techniki, skąd płynęła woda do pałacu. Z zainteresowaniem przyglądali się też kilku wozom i bryczkom stojącym pod dachem bez ścian, ustawionym na grubych słupach.

Młynarz zatrzymał konia, a na ganku ukazał się pan na włościach, z czarnym sumiastym wąsem i dużym brzuchem, w okularach na nosie, słowem, sam Michał Kulczycki, za którym wyskoczyła drobna, szczupła i zaciekawiona gościem żona, Adela Kulczycka. Oboje na widok młynarza rozwarli ramiona, jakby dawno na niego czekali, witając także serdecznie panią młynarzową i Kasię.

- Ach, jakże panna wyrosła! - zdumiał się gospodarz. - A figura jaka! - zachwycił się, to odsuwając się, to zbliżając do skrępowanej Kasi.

Adela Kulczycka już ścisnęła panią młynarzową i z młynarzem serdecznie się witała.

Młynarz giął się w ukłonach i prawił komplementy:

171

- Całuję rączki, szanownej pani - uniósł jej dłoń do góry i szarmancko cmoknął w nadgarstek.

- Jak zdrowie szanownej pani?

- Och, drogi inżynierze, nieźle, nieźle - zaśpiewała pani Adela i już prowadziła gości na salony.

- To honor dla nas - burczał gospodarz.

- I dla nas, drogi Michale, i dla nas - odpowiadał młynarz. -Wszakże nie możemy o sobie zapominać, nieprawdaż, drogi przyjacielu - spojrzał poufale na pana Kulczyckiego i dodał: - Dlatego pozwoliłem sobie do państwa bez zapowiedzi... Ale, ale - obejrzał się, wskazując zaparkowane pod dachem powozy. - Czyżbyś nabył nowe modele? - wskazał kilkanaście rzadkich pojazdów.

- Och, Jakubie, sam wiesz, co to znaczy umiłowanie pięknych rzeczy. Chodźcie, pokażę wam - zaprosił gości, by przed wejściem do pałacu, obejrzeni niepowtarzalną kolekcję. I ruszył w stronę powozów. A za nim młynarz, młynarzowa i Kasia, tylko pani Kulczycka zatrzymała się na schodach i patrzyła jak odchodzą. Młynarzowa zdołała z uśmiechem na twarzy w jej kierunku rzucić:

- Nie możemy sobie odmówić podziwiania tak okazałej kolekcji.

Od dawna wiedziała, że pan Kulczycki zgromadzi stare pojazdy, szukając po całym Podolu i Pokuciu, a nawet ściągając zza granicy.

- Oto moje skarby - wskazał ramieniem całe bogactwo typów, form i stylów.

- To - już tłumaczył, wskazując na dwukołowy pojazd - zwykła kariołka, powozik spacerowy, modny w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, przede wszystkim we dworze. - A ten - pokazał drugi - to kocz, który przywędrował do nas z Węgier, ale w dziewiętnastym wieku przyjął się w Polsce. A to - zwrócił uwagę na dość prymitywny model - to banalna kolasa na drewnianych osiach, popularna głównie na Rusi, ale także u nas, na Kresach. - Kasia zwróciła uwagę na osobliwe dziełko. - A to co? - spytała, widząc mały wózek. - Och, to, Kasiu - zaśmiał się pan Kulczycki - to dorodniejsza, choć drobniejsza kuzynka kolasy, zwana kola-sieczką. Powozik dziecięcy służący dla dzieci do zaprzęgnięcia kozy

172

albo psa. - Co ty mówisz, Michale? - zdumiała się młynarzowa. - Dier tak, Anno.

Sprowadziłem go aż spod Krakowa. Cacuszko, nie? i istotnie - zgodziła się młynarzowa. - A to co? - spytał młynarz widząc małą karetkę na jedną osobę. - To, Kuba - odparł gospodarz - solitera, francuska kareta, modna w osiemnastym wieku.

I podchodząc do kolejnych, klepał je tak jak się klepie konia, zachwalał urodę i fason, pokazując jakieś najtyczanki, uniwersalne i proste bryczki z początków dwudziestego wieku, pantofelki, niemieckie powozy spacerowe, ale najbardziej był dumny ze skarbniczka, niewielkiego staropolskiego wózka bagażowego, obitego skórą i kolebki, polskiego pojazdu paradnego dla kobiet, zawieszzonego na pasach, używanego w Polsce jeszcze w siedemnastym wieku, ale zachowanego jakimś cudem do dziś.

- Godne podziwu, godne podziwu - z uznaniem powiedziała młynarzowa, a Kasi najbardziej się podobał pojazd na wysokich kołach.

- Jak się nazywa? - spytała.

- Motyl, Kasiu - odparł pan Michał.

- Motyli - zdziwiła się.

- Tak, motyl - uśmiechnął się.

- To istne skarby - rzekł młynarz.

- Och - kończył przegląd pan Michał - znasz Jakubie różne ludzkie dziwactwa. To takie moje dziwactwo. Lubię pojazdy. Jedni zbierają znaczki, inni kapelusze, a ja karoce, leżajki, rydwany, ta-radajki i tym podobne cudactwa i ekscentryczności. Po prostu jestem cudak, dziwak i odmieniec, nie? - zaśmiał się. I poprowadził do pałacu. Pani Adela czekała na ganku.

- Prosimy o wybaczenie, że bez zapowiedzi - jeszcze raz tłumaczył się młynarz.

- Ależ panie inżynierze - rozpływała się w grzecznościach - co też pan mówi, zawsze są państwo oczekiwany i drogimi gośćmi.

- Nie za wiele przyjmujemy wizyt, drogi Jakubie - włączył się gospodarz i zwierzył się: - Jesteśmy trochę na odludziu i światło umysły nie za często u nas goszczą - poskarżył się. - Dlatego witamy państwa jak najgoręcej i jak najserdeczniej.

173

I już pani Adela wskazała miejsca, wygodne fotele w salonie który lśnił czystością.

Obładowały był stylowymi, gdańskimi szafami, ogromnym lustrem, dużym zegarem z kukułką, który stał pod ścianą i głośno tykał, z biblioteczką pełną książek, z obrazami na ścianach, na których widnieli gospodarze i cały ich ród eleganccy dziadowie i pradziadowie z podkreślonymi wąsami' ubrani we fraki, z fajkami w dłoniach, marszczący groźnie brwi' oraz, rzecz jasna, dumne i piękne damy w długich, ciemnych sukniach, wyraźnych dekoltach i śmiałych spojrzeń.

Oglądała te wszystkie bogactwa Kasia, niespokojnie zerkając na drzwi, czy nie pojawi się w nich panicz.

- Och, zaraz służba przygotowuje herbatę - zaśpiewała pani Adela. - A może kawkę dla państwa? - spojrzała po gościach.
- Nie, dziękujemy, prosimy, jeśli można, o herbatę - odparł skromnie inżynier Kukułka.
- O, tak, tak, gorący czaj! - szeroko uśmiechnęła się gospodyni. - A dla panny może czekoladę na gorąco? - zaofiarowała się, przyglądając się z uwagą Kasi.

Kasia spuściła oczy.

- Tak, tak, czekolada. Koniecznie gorąca czekolada. Dobrze robi na cerę, wygładza skórę i upiększa ciało - szczebiotała pani Adela. Odsunęła się nieco od Kasi i patrząc na nią, z emfazą rzekła:

- Nie tylko w znakomitym zdrowiu widzę pannę, ale co za szyk! Jaka elegancja! - nie mogła się nadziwić urokom i strojowi młodej damy.

Rzeczywiście, Kasia ubrała się nie tylko elegancko, ale i prowokująco, odsłaniając ramiona. Pani Adela wezwała pokojówkę, która natychmiast przyniosła porcelanowe filiżanki z napojami, podała na złożonych podstawkach, razem ze srebrnymi łyżeczkami i gorącą czekoladą dla Kasi.

Inżynier zagadnął pana Kulczyckiego o interesy i od razu rozmowa potoczyła się o majątku, przychodach i rozchodach oraz o handlu zbożem, który się staje coraz mniej opłacalny. Padały już słowa o myślistwie, którym zajmują się głównie okoliczni Huculi, flisactwie, wyrębie drzewa, snycerstwie, inkrustacji i zdobnictwie w drewnie, tak charakterystycznym dla tej ziemi, o tkactwie,

174

a szczególnie o weretach, liźnikach i kilimach, huculskich krzyżach i zabawkarstwie z sera, którym zajmują się stare Hucułki.

Panie przez jakiś czas przysłuchiwały się tej rozmowie, gospodarz objaśniał, jak działają nowe urządzenia hydrauliczne, a potem zeszli na politykę, która staje się coraz bardziej niespokojna i światu grozi widmo wojny. Aż na stół wjechała butelka wina dla pań i coś mocniejszego dla panów. I panie zaczęły sobie szeptać o nowinkach kulinarnych, tylko Kasia była jakaś rozko-jarzona i nie mogła spokojnie usiedzieć.

- To mówisz, drogi Michale - dopytywał młynarz - że nie unikniemy uderzenia Hitlera?

Pan Kulczycki podkreślił węża, podrapał się po szyi i odrzekł:

- Boję się, Jakubie, że nie poradzimy sobie z nim.

- Ale za nami stoi Anglia i Francja. I nie pozwolą, by nam się stała krzywda - argumentował młynarz.

- Ja tam im nie wierzę, drogi Jakubie. Każdy broni swego interesu. A ich chata z krają - z nieufnością spojrzał pan Kulczyki w okno. - Na wszelki wypadek chcę mego Antosia za granicę wysłać, by powęszył, co i gdzie słychać. On językami dobrze włada, świetnie zna francuski i niemiecki. I dowie się, panie dziej-ku, co tam w trawie piszczy. Może do Paryża go na ten czas wyprawić? - zastanowił się. - Jak radzisz, Jakub? - Ale nie czekając na reakcję gościa, od razu sam sobie odpowiedział. - Rzecz jasna, Jakubie, do Paryża, bo Paryż to stolica Europy. I co w Paryżu mówią, to i na salonach całej Europy mówią. Jeżeli, rzecz jasna, dojdzie do najgorszego - pytając patrzył na młynarza.

175

WE DWOJE

Gdy Kasia usłyszała, że paniczka chcą wyjechać za granicę, szybko spojrzała na matkę. A pani Adela zmiarkowała, że młoda dama się trochę nudzi politycznymi dywagacjami i postanowiła, że ją wraz z matką po pałacu oprowadzi. Przepraszyła panów i dała znak do wyjścia. I wtedy młynarzowa, jakby przez zwykłą ciekawość, spytała:

- Czyżby panicz dokądś wyjechał?

- Och, nie! - pani Adela gwałtownie zaprzeczyła.

I jakby się sumitowała, że popełniła błąd, z zakłopotaniem dodała:

- Powinam była od razu po niego posłać, naturalnie, że powinienam, obowiązkowo powinienam - tłumaczyła się. - Wszelakoż na skutek emocji, wyleciało mi to z głowy, przepraszam panie - wyrzucała sobie.

Uśmiechnęła się przepraszająco i wyjaśniła, że Antoś ma naturę samotnika i marzyciela.

Właśnie siedzi w parku w altanie i uczcie duchowej się oddaje.

- Zaraz każę go przywołać - oznajmiła i poleciała służbie, by sprowadziła panicza z altanki.

Kasia poczuła, jak jej serce zabiło żywiej.

Panicz się zjawił szybko, z książką w ręku, zamyślony i daleki, ale gdy zobaczył Kasię, twarz mu się rozjaśniła, uśmiechnął się i nisko się uklonił.

- Poznajesz, Antosiu, pannę Katarzynę? - pani Adela z rozbawieniem patrzyła, jak syn przenika długim spojrzeniem młodzieńką damę. - Prawda, że nad wyraz dojrzała i wypiękniała! - z emfazą rzekła. Lecz szybko się poprawiła: - Co też ja plotę! - zachnęła się. - Zawsze była śliczna. Tylko, że teraz rozkwitła nam jak piękna róża!

176

Kasia opuściła skromnie oczy i nie miała odwagi ich podnieść.

- Nie wstydź się, młoda damo - ośmielała ją pani Adela. Zwróciła się do syna i zaproponowała:

- Zajmij się, Antoni, panną Katarzyną, oprowadź po ogrodach, a ja sobie pogawędzę z panią Anną.

Panicz położył książkę na ganku, a Kasia zdążyła jeszcze odczytać tytuł: Sonety do Laury Petrarki. Znała je. Wyciągnął ramię i wkrótce zniknęli w parku. Przez jakiś czas milczeli, jakby zakłopotani nagłym spotkaniem. Młody Kulczycki zerkał na nią z zaciekawieniem...

- Czy pokaże mi panicz... - zaczęła.

- Och, panicz?! - przerwał jej. - Jestem dla ciebie Antoś, Kasiu. Znamy się przecież dobrze. I nie bawmy się w konwenanse - spojrzał jej w oczy. - Czyż nie tak? - spytał.

Była mu wdzięczna, że zdjął z niej ciężar łamania obyczajowych rygorów i uśmiechnęła się.

- Istotnie - odparła - znamy się dobrze.

- Ale w pierwszej chwili - przyznał - nie poznałem cię, Kasiu,

- To dobry znak - odparła. I poczuła jak pierwsza fala skrępowania znika. Wydał się jej naturalny, szczery, otwarty. Pociągnął ją za rękę i ruszyli ku ogrodowi. Poprosiła, by jej opowiedział, co się z nim ostatnio działo i czy przebywał w wielkim świecie, bo ona właśnie skończyła pierwszą klasę liceum i za rok podejmie studia, ale nie jest jeszcze pewna, jakie i gdzie. Może wyjedzie do Wiednia albo do Paryża, by studiować nauki filologiczne, bo, jak wyznała, nauczyła się francuskiego i nieźle włada niemieckim, a ponadto uwielbia literaturę.

- Och, wiem, piszesz wiersze - zaskoczył ją. Zatrzymała się. Zdumiała się, że wie.

- Skąd wiesz? - spytała.

- Czytam „Słowo Polskie”. Czytałem twoje wiersze.

- Podobały ci się?

- Owszem, ciekawe. Kim chcesz zostać?

- Poetką - odrzekła bez namysłu.

Patrzył zaskoczony. Jeszcze nie skończyła szkoły, a już wie, kim chce zostać. On w tym wieku nie wiedział.

177

- Naprawdę?

- Naprawdę! - stanowczo odparła.

Mrużył oczy, jakby nie wierzył, że stoi przed nim przyszła sława a może geniusz poezji, których na kresowej ziemi nie brakowało

- Chcesz jak Konopnicka zawładnąć duszami ludu? - spytał

- Konopnicka? - fuknęła. - Konopnicka nie w moim stylu

- Więc kto? - zdziwił się. - Zaleski, Malczewski, Goszczyński, Pol? - dopytywał. -Wszyscy pochodzą z tej ziemi.
- Żaden z nich - wydeła wzgardliwie wargi.
- Ktoś większy, ważniejszy?
- Słowacki - dumnie odparła. - Chcę jak Słowacki w Królu duchu być przewodnikiem ludu.
- Wysoko mierzysz - kiwał głową.
- Ty też - odparła. - Pewnie ambasadorem zostaniesz. Słyszałam, że za granicę wyjeżdżasz, do Rzymu albo nawet do Paryża.
- Jeszcze nic nie wiadomo, Kasiu. Nic nie postanowiono. Chociaż ojciec doradza, popycha. Uśmiechnął się i zaczął jej opowiadać, czym się zajmował. Okazało się, że po ukończeniu studiów inżynierskich we Lwowie, dodatkowo ukończył studia humanistyczne w Wiedniu, bowiem odczuł potrzebę wszechstronnego wykształcenia no, i rzecz jasna, przebywał sporo czasu w Rzymie, Berlinie, Wilnie, Warszawie, Krakowie i Paryżu. Odwiedzał głównie muzea i galerie, ponieważ, jak się wyraził, połknął bakcyła piękna, a w Paryżu, jak wiadomo, można spotkać wszystkie światowe mody w sztuce, więc całe tygodnie spędzał w Luwrze, zachwycając się malarzami impresjonistycznymi, Monetem, Manetem, Sisleyem i wieloma innymi. Opowiadał, jak to Paryż przewodzi we współczesnej kulturze europejskiej i jak bardzo, my, Polacy, daleko jesteśmy poza światowymi trendami i stylami w sztuce i obyczajowości. Wtajemniczał Kasię, jak wiele uwagi poświęca dzisiejsza sztuka i cała kultura ciału ludzkiemu, odsłanianiu jego tajemnic. Jak bardzo kobiety uwalniają się od krępującego ich gorsetu starej mody, z pęt zakazów i nakazów, a Kasia słuchała z uwagą. Chciała mu powiedzieć, że sama od dawna czuła, iż natura ludzka żąda jakiegoś wyzwolenia, nowej przestrzeni, a stary świat

178

h'aotek i świętoszków krępuje i dusi ducha wolności, ale nie wiedziała, jak to wyrazić, by się nie skompromitować w jego oczach. Spytał, czy ma ochotę na spacer po ogrodzie róż. Skinęła głową i w milczeniu ruszyli.

- Czy wiesz, Kasiu, ile jest gatunków róż? - zagadnął. Poczuli się zakłopotani. Nie wiedziała. Uśmiechnął się.

- Aż trzydzieści tysięcy odmian - odrzekł. Zaimponował jej.

- Aż tyle?

I wyliczał jej z pamięci, podając przykłady róż pnących, ram-blerów, krzewiastych, rządowych, naziemnych i dzikich.

- Ja lubię dzikie róże - zawołała.

- O tak, dzika róża jest cudowna - przyznał. - Ale i dzikie róże mają swoje odmiany. - A czy wiesz, że róża pojawiła się na świecie znacznie wcześniej niż człowiek?

Nie wiedziała.

- Tak, Kasiu, wcześniej niż człowiek. A z największym uznaniem, wręcz z kultem przyjmowana była w Grecji i Rzymie. Koronowane głowy leżały na poduszkach z róży, a wieńce z róż przyozdabiały pańskie stoły. W średniowieczu zaś - popisywał się wiedzą, widząc, jak duże wrażenie robi na niej - w średniowieczu - ciągnął - głównie w klasztorach, hodowano róże dla celów medycznych, czyli dla wytwarzania leków. Zaś w renesansie róże zdobiły wejścia do parków i zamkowych ogrodów.

Słuchała, pełna podziwu dla jego talentów narracyjnych, aż weszli na temat lilii i tulipanów.

- Tulipany, Kasiu, są pyszne - mówił - ale nie te nasze, banalne, ale na przykład compostella, która ma żółte i czerwone płatki, czy jimmy z płonącym, bordowym kolorem.

Słuchała jak zaczarowana.

- A czy wiesz, że róża to symbol miłości i doskonałości? - zbliżył się do niej i patrzył jej głęboko w oczy. Poczuli się niepokój. Ułan też tak patrzył. Nie wiedziała, czy gra z nią, czy też, nauczony na Zachodzie, zachowuje się tak swobodnie, bo tak się tam wszyscy mężczyźni

zachowują. Uściskał jej rękę, a ona pytająco spojrzała mu w oczy i poczuła, jak przenika ją fala ciepła. Zwilżyła językiem wargi, a on pociągnął ją ku ukrytej wśród gałęzi cisów

179

altance. Gorąco się jej zrobiło. Znowu altanka. Znowu młody mężczyzna. Jak w złym śnie. Patrzyła na tę altankę i widziała siebie we Lwowie, w Stryjskim Parku. Czy wszystko musi się po_ wtarzać, pomyślała. Nie przestraszyła się. Postanowiła tylko, że już nie będzie taką głupiotką gąską, jaką wtedy była. Przeciwnie, ma już poważne za sobą doświadczenie. Sprawdzi, w jakim kierunku panicz pójdzie. I czy zechce ją jak ułan od razu pocałować. Uśmiechnęła się na myśl o pocałunku. A może on o tym wcale nie myśli, tylko ja głupia przez strach i niepewność tak sądzę. Nie powinnam się zamykać, postanowiła, bo to nic nie daje. Niech się sprawy same rozwijają. Jestem w końcu pełnoletnia, licealistka. I usiadła obok niego. Sama nie wiedziała, czy bardziej chce go sprawdzić, czy sprowokować do pocałunku. I wtedy on ją zaskoczył. Zamiast objąć, przytulić, jak ułan, zaczął jej opowiadać o Paryżu, Wiedniu i Rzymie. I że wprawdzie to szczyty współczesnej kultury, ale on, z duszą humanisty, często wraca do polskiej romantycznej literatury i w niej odnajduje bogate pokłady uczuć i idei, które są bliskie jego naturze i sercu. Wtedy, jakby ironicznie, przypomniała mu, uśmiechając się, że Sonety do Laury, to nie jest polska romantyczna literatura.

- Och, ty złośnico - pogroził jej palcem.- Gdzieś sobie tak języczek wyostrzyła? - spojrzał na nią, jakby na nowo ją odkrył.

- Widziałam, jak odkładałeś Petrarę.

- Właśnie, dobrze powiedziałaś, odkładałem. Bo po Petrar-ce zapragnąłem Mickiewicza i jego Sonetów krymskich.

- Więc kochasz wiersze?

- Tak, Kasiu, na tej pustyni - wskazał ręką gospodarstwo -poezja to lepsza droga.

Przysunął się do niej, a ona się nie odsunęła. A więc gra, pomyślała. Mickiewicz, to zasłona dymna. Romantyzm to przynęta. Wszyscy są tacy sami. A ja marzyłam o wielkiej miłości. Może matka ma rację. Kobieta powinna umieć grać. Tak samo, jak oni, mężczyźni. Ale jak grać, skoro to nie w moim stylu. Zerknęła na niego, a on ją obserwował. Tak, jestem zwierzyną. A on łowcą. Oto męskie prawo. Oto jak nas wabia. Ale przecież nie muszę być zwierzyną. Wiem, co robię. Nie kieruję się tylko instynktem. In-

180

stynkt już mnie zawiódł. Udam, że połknęłam haczyk. I też zagram. Gra się spiętrza. Zobaczymy, na co go stać. Chciała przeniknąć jego myśli, ale nie dawał się. Przyglądał się jej z uwagą. W milczeniu. Wiednie, Paryże, Rzymy i Mickiewicza odstawił na bok. Tak dawno się nie całowała. Po zdradzie ułana, bała się chłopców. Uciekała od nich. Raz zraziła się i trudno jej było znowu im zaufać. A on przecież mówił o ciele. O wyzwoleniu kobiety. Może właśnie teraz. Po nocach wyła z pożądania. Chciała już mieć mężczyznę, jej ciało kwitło. Było spragnione. W nocy błędziła rękami po swoich piersiach i chciała, by mężczyzna ją dotykał. Czuła to. Dziwne, pomyślała. Dziwne to wszystko. Coś mnie w nim pociąga. Zerknęła na niego z ukosa. I szybko uciekła oczami. Była pełna sprzeczności. Czuła, że zmagają się w niej dwie moce. Pragnienie i lęk. I ta atmosfera, altanka, bluszcz, cichy szelest liści, nastrój. Jakby byli sami na świecie. Jest w tym wszystkim coś nielogicznego, pomyślała. Ale i jakaś magia. Poplątanie, którego nie rozumiem. Ale coś mnie do niego pociąga, myślała. Sama nie wiem, co. A może w życiu tak musi być. To sytuacje nas stwarzają. Kształtują nas. I udowadniają, jacy naprawdę jesteśmy. Ważne, jakie nadajemy im sens. A ta cisza! Taka sama jak wtedy, we Lwowie, w Parku Stryjskim. Biła się z myślami. Wciąż nie wiedziała, co w niej zwycięży. Dziki instynkt i ciało, czy ostrożność, obawa i lęk. Raz rozum zwyciężał, raz ciało. Nie, nie może mnie nic wiązać, więzić. Jestem nowoczesną wyzwoloną dziewczyną, myślała. Czytałam Poganę. I inne podobne książki. I wiem już coś o mężczyznach. Choć nie

doświadczyłam najważniejszego. W czym jestem gorsza od niego. Tym, że on jest mężczyzną, a ja kobietą? Mam się lękać o swoją opinię? Bo tak nakazuje nam dom, ludzie, towarzystwo, obyczaj, moda? A dlaczego to inni mają za mnie decydować? Panowie nie boją się o swoją opinię. Całują dziewczyny, kiedy chcą i jak chcą. Ułan się nie bał. Kapitan Sztukel się nie bał. I kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie padł jak długi na podłogę. A dlaczego ja mam się bać. Antek Kulczycki jest wykształcony, mądry i podoba mi się. Dlaczego nie mogę się z nim całować, skoro tego chcę. A chcę. Już wiem, że chcę. Moje ciało tego chce. Moje usta chcą. Moja krew chce. Wszystko we mnie chce. Czuję, jak huczy mi krew. Znowu zerknęła na niego. A jeśli gra, to co z tego, że gra. Ja też

181

gram. Uczę się grać. To dobra lekcja. Bezpieczna. Od pocałunku świat się nie zawali. Poznał Zachód. Pewnie tam panują takie oby czaje, taki styl. Ja też widziałam wiele filmów. Również zachód nich. I wiem, jak się może zachować wyzwolona kobieta. Wyzwolone ciało. Wyzwolony umysł. Objął ją w milczeniu ramieniem przytulił, a ona nie uciekła. Pomyślała, że gdyby ktoś ze wsi tak ją zobaczył, zgorszyłby się. Czyli moda, konwencje, konwenanse, to nie żelazne zasady, raz na zawsze dane przez Absolut, tylko stan świadomości, poziom wiedzy, wykształcenia, wrażliwości, wyobraźni, kotłowały się w niej myśli. Pierwszy raz siedzi w tej altance i on ją obejmuje.

Mocno czuła swoje ciało. I jego. Przenikało ją ciepło jego ramienia. I ten zapach, zapach męskiego ciała. Działał silnie na jej zmysły. Poczwała jak się poddaje fali podniecenia. Nie myliła się. Dotknął delikatnie dłonią szyi, ucha i policzka, a ona się nie cofnęła. Czekwała. Zobaczyła, jak nachyla się ku niej i widziała już blisko jego twarz i rozchylone usta.

Zamknęła oczy.

I wtedy zaszemrały krzaki. Rozległ się jakiś nerwowy i ponaglący głos:

- Paniczu, depesza! Panna Adrianna przyjeżdża. Zaraz na dworcu w Kołomyi będzie - trajkotał posłaniec. - Pani matka prosi, by panicz natychmiast pojechał pannę Adriannę odebrać.

Przed nimi stał służący.

Młody Kulczycki z roztargnieniem spojrział na Kasię. Puścił jej rękę, uniósł do góry ramię i przeprosił, że musi, jak rzekł, na czas jakiś się oddalić. Nie tłumaczył, co się stało, nie wyjaśniał, kim jest owa tajemnicza panna Adrianna i dlaczego przyjeżdża. Po prostu wstał, uklonił się i odszedł.

182

ROZTERKI

Jakby ją kto obuchem uderzył. Wszystko wydawało się nierealne, senne. A może to rzeczywiście było przywidzenie. Rzuciła spojrzenie na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Antek, ale miejsce było puste. Czy naprawdę wszystko musi się powtarzać, pomyślała. Tylko realność zamienia się w groteskę. Jeszcze czuła drżenie spragnionych warg, a została sama. Poczwała się oszukana i znieważona. Po raz kolejny. Tak, zlekceważył mnie i upokorzył - myślała. - Co za wstyd! - szepnęła. Przez chwilę siedziała w bezruchu, aż usłyszała głos matki:

- Kasiu, pora wracać.

Matka w towarzystwie pani Adeli wyszła zza drzew.

- Jaka piękna altanka! - jakoś nadmiernie głośno, jakby sztucznie zachwycła się. Nie wiedziała, co się tu stało. Wydało się jej, że Kasia jest bardziej niż zwykle zaróżowiona. „To pewnie ten niezwykły krajobraz tak ją poruszył” - pomyślała. „Romantyczna natura!” Ale i sama nie była w najlepszym humorze. Gdy obie panie gaworzyły sobie o zaletach techniki i pani Adela wskazywała, jak nowe maszyny i agregaty pozwalają unowocześnić pałac, dostarczając wodę do kranów i oświetlając salony, nagle ktoś zapukał, a po chwili pokazała się pokojówka z depeszą, którą właśnie przed chwilą dostarczył umyślny. Pani Adela szybko

depeszę odczytała i poleciła służącemu powiadomić panicza, że narzeczona, panna Adrianna, przyjeżdża i panicz do Kołomyi szybko musi jechać.

Młynarzowa poczuła mrowienie w szyi. „Narzeczona?!“ Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Nic nie wiedziała o żadnej narzeczonej. Tak blisko mieszka i musiałaby coś słyszeć. O takich sprawach w okolicy się mówi. Kto z kim, kiedy i jak. A ona nic nie słyszała. Pewnie od niedawna jest jego narzeczoną. W mgnieniu oka zaważyła się

183

jej tak misternie budowana konstrukcja. Nie dała jednak tego p0 sobie poznać. Ale jej serce biło niespokojnie, a myśli krążyły wokół Kasi. Zrozumiała jedno, panicz zajęty. I ta partia odpada!

Teraz musiała grać rolę zadowolonego gościa, którego bardzo serdecznie tutaj przyjęto. Patrzyła na Kasię i zastanawiała się, czy Kasia pojęła, co się stało i kim jest panna Adrianna. Żeby sprawę wyjaśnić raz na zawsze, postanowiła tajemnicę wydobyć od samej pani Adeli. I patrząc na Kasię, spytała wprost:

- Czy od dawna się znają panicz Antoni i panna Adrianna?

- Och, jeszcze z czasów studenckich, ze Lwowa - odparła pani Adela. I szybko wytłumaczyła, że panna Adrianna studiowała nauki medyczne i obecnie jest panią doktor. To bardzo obiecująca partia, z przyszłością - podkreślała, nie wiedząc, jak rani młynarzową, a szczególnie Kasię. I Kasia poczuła, jakby po raz drugi ktoś ją spoliczkował, a na dodatek pchnął nożem w serce. „A więc narzeczona! - pomyślała z goryczą. „A on mnie tulił, dotykał i chciał całować, drań. A może i pragnął czegoś więcej, a ja byłam gotowa mu się oddać pośród tych przeklętych róż!“

Znowu poczuła się odrzucona i niepotrzebna. Rósł w niej gniew i bunt. „Bezecnik! Łajdak! Nikczemnik! I hipokryta!“ -mściła się w myślach i wzbudzała w sobie odrazę, wstręt i pogardę dla niego. Chciała jak najszybciej stąd uciec, znaleźć się w domu, usiąść przy kajecie i wypłakać mu się na czystych, białych kartkach. Znowu poniżenie. Znowu upokorzenie. Nawet kapitan Sztukel tak jej nie upokorzył.

Podniosła wzrok na matkę i zastanawiała się, czy się domyśla, co zaistniało między nią a paniczem. Ale matka nie szła tym tropem. Jej strategiczne myśli biegły w dramatycznym poszukiwaniu już innego kawalera dla Kasi. Tylko, że Kasia o tym nie wiedziała.

- Ach, tak! - dopiero po chwili zareagowała młynarzową na słowa gospodyni. - Powiada pani, że panna Adrianna, to pani doktor?

- Tak, specjalistka od kardiologii! - z satysfakcją ogłosiła pani Adela. - Zapowiada się jako wybitna uczona! - dodała z satysfakcją. - Studiowała też w Paryżu. Już dwie poważne, wysoko ocenione przez ekspertów zagranicznych dysertacje naukowe napisała i w wielce szanowanych, prestiżowych angielskich pismach ogłosiła. I naturalnie w klinice praktykę prowadzi - pyszniła się.

184

PANNA ADRIANNA

Kasia jeszcze bardziej poczuła się poniżona i znieważona. Oznajmiła, że jest już późno i powinni jechać do domu. Oczy jej się szklily. Ale pani Adela zdążyła jeszcze obie panie zatrzymać na chwilę, by poznały, jak się wyraziła, „tę niezwykłą i godną najwyższego uznania osobę“, która niewątpliwie „wpłynie na bieg nauk medycznych w kraju i za granicą.“ Tym bardziej powinny zostać, że obaj panowie, pan Kulczycki i inżynier Kukułka, tak bardzo byli przejęci rozmową o ekonomii i polityce, że trudno było im ją przerwać. Co chwilę nachylali ku radiu głowy i słuchali komunikatów o trwających rokowaniach na scenie politycznej Europy i zbliżającej się, niemal pewnej, jak wynikało z ostatnich wiadomości, wojnie. Co, rzecz jasna, jak powiadał inżynier Kukułka, potwierdzałoby wcześniej zastraszane na przyjęciu w mieście pogłoski, które rozgłaszali oficerowie, a szczególnie kapitan Sztukel. I już wiadomo było, że trzeba się przygotować na najgorsze. Choć, jak dodawał, oni, polscy

oficerowie i sztabowcy, są gotowi odeprzeć każdy atak zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu. Powtórzył te informacje inżynier Kukułka Michałowi Kulczyckiemu i obaj rysowali już plany mających się niedługo rozegrać bitew wojennych, które im obu i ich rodzinom mogą zagrażać dużym niebezpieczeństwem. Ale nie dadzą się, bo Polska to silny kraj. I nie ulegnie wojennej Wsterii. Jest silna i gotowa do obrony. I odeprze hitlerowską agresję.

- Jakby, nie daj Boże, doszło do wojny - perorował gospodarz - to, ja, panie dziejku, jak nic wysyłam swoje oszczędności do banków zagranicznych, by potem umieścić tam rodzinę i zapewnić jej byt. A ty... co ty, Jakubie, o tym myślisz?

Trunki uderzyły już im mocno do głowy- I Jakub przez chwilę

185

już nic nie myślał. A jak koniaczek jeszcze drobny wypił i jeszcze bardziej zakręciło mu się głowie, huknął pięścią w stół i ryknął na całe gardło:

- Pobjemy, Michał, Niemców, jak nic! - dławił się własną śliną. Rozglądniętą się przekrwionym okiem, chwycił gospodarza za szyję, przygarnął do siebie i wycodził:

- Powiem ci szczerze, Michałku, nie odważą się! No, nie odważą się! Nasz żołnierz to chwata! Na bagnietach rozniesie to szwabskie nasienie! - zachwiał się i zażądał kolejnego kieliszka. Gospodarz nalał i rozprawiali jeszcze o planach gospodarczych i nadchodzących żniwach, które zapowiadają się dobrze. Żyto gęste, wysokie, kłosy długie i pełne, pszenica, jak nigdy, nad podziw wyrosnięta, gruba, złota i ze zdrowym ziarnem. A gdy już sięgali po drugą butelkę, a inżynier Kukułka chwiał się, młyna-rzowa dała sygnał do odjazdu.

- Ależ, serdeńko - pieścizotliwie wyburczał - nie pali się. Jesteśmy wolni do wieczora.

Młynarzowa spojrzała na Kasię, jakby u niej szukając ratunku.

- Tatko - poprosiła Kasia - głowa mnie boli, jedźmy. Popatrz na nią z otchłani alkoholu.

- Ach, to ty, moje złotko! - poznał ją z trudem, chwiejąc się i kiwając głową: - Już kropeczko, już - i zaczął czegoś szukać po kieszeniach.

W tym czasie zajechała lśniąca, długa limuzyna, wysiadł z niej panicz, otworzył drzwi i wysunęła się dorodna, wysoka, z dużym biustem i nieco ukośnymi, szafirowymi oczami i rudymi włosami panna Adrianna, na którą spod oka nieufnie patrzyła Kasia. Śledziła spod brwi jej ruchy także młynarzowa. Panicz przedstawił:

- Moja narzeczona, doktor Adrianna Koniecpolska.

Kasia próbowała dygnąć, ale wyszło jej to kulawo i kiepsko. Młynarzowa schyliła głowę. Panna Adrianna podeszła do pani Adeli i serdecznie się przywitały. Inżynier Kukułka ciężko się podniósł i jakimś cudem złożył ukłon pannie Adriannie. I żegnając się, cmoknąc gospodynię w rękę, o dziwo, nie przewracając się. A gdy panicz żegnał się z Kasią, przeniknął jej oczy głębokim,

186

oważnym spojrzeniem, lecz ona spuściła wzrok i nie patrzyła na Hiego. Gwałtownie się odwróciła, uniosła wysoko głowę, wsiadła do bryczki i fuknęła, jak zła kotka. Na koźle usadowiła się matka, bo jak się okazało, młynarz nie był w stanie powozić. Zwalił się na tylne siedzenie jak bela, a pan Michał Kulczycki mrugnął do niego i zachwiał się, podtrzymywany przez panicza.

Trzasnął bat i bryczka szybko się potoczyła.

Kasia tego wieczora zapisała w dzienniczku: Zostałam obrażona {poniżona przez panicza i bardzo się na nim zawiodłam. Pół nocy poświęciła na pisanie sonetu, w którym pragnęła wyrazić cały swój żal, gorycz i cierpienie, jakie musiała znieść.

187

POTWÓR NA NIEBIE

W' ciągu kilku godzin wieś znieruchomiła i zapadła się w sobie. Już od rana na ludzi padł blady strach, a kobiety, mężczyźni i dzieci stali na progach domów i z zabobonnym lękiem

śledzili niesamowite zjawisko na niebie. Nie była to gwiazda ni księżyc, ani też słońce. A świeciło tak samo jak słońce, albo i mocniej, było duże, z ogromną, płonąca, jakby owłosioną jasną głową i ciągnęło za sobą długi czerwony warkocz, coraz cieńszy i coraz bledszy na końcu. Nie wiadomo, kto pierwszy to dziwo zauważył, chłop, baba czy jakiś dzieciak. W każdym razie od świtu ludzie wlepiali w niebo oczy, widząc nieprawdopodobnego potwora, który się wyłaniał z niebieskich otchłani i powoli płynął z zachodu na wschód. I już swoim istnieniem, niepojętą postacią i dostojnym, pewnym powagi zachowaniem, unieważniał wszystkie rzeczy i sprawy, którymi wieś jeszcze wczoraj się zajmowała. Ludzie zapominali o drobnych kłopotach, niesnaskach czy konfliktach. Odrywali na moment od nieba głowy i zerkali po sobie, szukając w swoich oczach wytłumaczenia. I znowu ogłupiali gapili się jak owo dziwactwo, ów monstrualny potwór, powoli sunął w jakimś ceremonialnym dostojenstwie wśród białych obłoków, nie podnosząc potężnego łba ani nie mrużąc oczu. Bo już dostrzegli w nim wszelkie cechy ludzkie. Widzieli ogromną głowę, parę ciemnych, głęboko osadzonych oczu, zobaczyli powieki, a nawet świecące, białe rzęsy, i rzecz jasna, długi, lśniący nos i wielkie, odstające uszy, nie wspominając o potężnych białych kłach, które porażały swoją siłą i grozą. Niektórzy dostrzegali łeb byka, inni cielsko żubra lub też wielki kark wielogłowego monstrum.

Ów dziwoląg szykował się do wielkiego skoku i pożarcia

188

'wiata. A ponieważ był gigantyczny i tajemniczy, tym większe budził emocje i potężniejszy siał strach. Toteż o ile na początku olśniewał swoją niezwykłością, budził zaciekawienie i wywoływał zadumę nad nieznanymi istotami zamieszkującymi kosmos, to z biegiem czasu począł budzić niepokój, lęk, a nawet zgrozę. 2 godziny na godzinę stawał się coraz bardziej niebezpieczny, a starcy i pochylone nad ziemią półślepe baby, żegnali się z przestraczem i ciężko wzdychali, mamrocząc, że z takimi zjawami nie ma żartów. Aż ktoś przypomniał sobie, że jego pradziadek czy prapradziadek już widział podobne dziwadło i ono także przed wielu laty przenosiło się z jednego krańca świata na drugi, zapowiadając same kłopoty, nieszczęścia, a nawet zagładę. Baby załamywały ręce i pojękiwały, modląc się w duchu, by i tym razem nic podobnego się nie powtórzyło.

Ale już po wsi gruchnęła wieść, że stwór na niebie niesie zapowiedź klęski, zarazy i głodu. Buchnęły opowieści o wojnach, które zapowiada, o gwałtach, zabójstwach i straszliwych mękach, w jakich pograży się świat, a najstarsi mieszkańcy przypominali sobie, że tak właśnie było przed pierwszą wojną światową i wtedy morze krwi się polało. Kobiety chwyciły się za głowy, zakrywały przerażone oczy i długo stały pograżone w ciemnych wizjach i strasznych, apokaliptycznych obrazach.

Nawet karczmarz Samuel wyszedł na próg szynku i z zadumą patrzył na ciągnący się czerwony i długi warkocz. I to on pierwszy dał mu nazwę: kometa.

- To kometa - burknął do chłopów, którzy stali pod płotami.

- Kometa? - spojrzeli na niego niepewnie.

- Tak, kometa - potwierdził. - Co jakiś czas pokazuje się na niebie - ogłosił i dowiódł, że wie znacznie więcej niż inni i zna się na rzeczy. Chłopi z uznaniem spojrzeli na Samuela, który skubał brodę i machał głową. Ale nazwanie zjawiska nie tłumaczyło sensu jego pojawienia się.

- I co, Samuel? - wytrzeszczali na niego oczy. - Co znaczy niby ta, jak jej tam, kometa? - oczekiwali odpowiedzi. Ale mądry Żyd wciąż kiwał głową, jakby zmagając się z własnymi wątpliwościami i niepewną wiedzą.

189

- Znaczy coś? - dopytywali i pokazywali głowami długi warkocz Karczmarz zamyślił się, a potem krótko rzucił:

- Nie wiadomo, co znaczy.

Taka odpowiedź, rzecz jasna, wzbudziła jeszcze większy lęk. Skoro nawet karczmarz Samuel twierdzi, że nie wiadomo, co znaczy, to co dopiero oni, ciemni chłopcy mieli powiedzieć. Patrzyli na niego w milczeniu, a on stał zamyślony, budząc swoją postawą i zachowaniem respekt. Potem oddalił się, zostawiając chłopów w jeszcze większej niepewności.

Nie pomógł krawiec Hermann ani piekarz Gotlieb. Nie pomógł też ksiądz Robert, który w milczeniu przypatrywał się ognistej głowie na niebie i miał smutną twarz, jakby rozpoznawał w niej nadchodzący zły znak. Ani pop Kuryło nie pomógł, który zadumał się nad zjawiskiem i ukrył się w cerkwi, zapalając przy świętych obrazach świeczki.

Tylko nauczyciel, Henio Lanckoroński, zachował zimną krew i stanął na wysokości zadania, jak prawdziwy racjonalista i uczony mężczyzna. Wprawdzie już były wakacje i dzieci nie chodziły do szkoły, ale miały boisko i w wolnych chwilach ganiały się po murawie albo kopały piłkę. Henio Lanckoroński zgromadził uczniów wokół siebie, razem z nimi usiadł na rozstawionych dookoła boiska ławkach i zaczął tłumaczyć, czym jest kosmos, jakie kryje w sobie zagadki i niespodzianki, i że obok miliardów gwiazd na niebie, naszego księżyca i słońca, raz na wiele lat, a często raz na wiele wieków, pojawia się kometa, która też jest ciałem niebieskim, wyjaśniał z najwyższą powagą, i tak samo, jak inne ciała niebieskie, ma swoją drogę do przebycia i właśnie widzą, jak okrąża ziemię, by niedługo potem oddalić się od niej i pomknąć w głąb nieskończonego, zimnego i ciemnego wszechświata. Dzieci raz wpatrzona w nauczyciela, to znowu w kometa, słuchały z takim zaciekawieniem, jakby im nauczyciel czytał najbardziej tajemniczą i niezwykłą bajkę.

- Nieraz - wyjaśniał, oddalając wszelkie zabobony i podejrzane interpretacje - nieraz - powiadał - ludzie biorą kometa za znak niebieski, który ma przynieść choroby, nieszczęścia i smutek - powiadał - ale - naciskał - nie wiercie w to, nie jest to

190

aden znak od Boga, tylko zwykłe prawo natury. Tak samo jak spadające gwiazdy, które są zwykłymi meteorytami. O ile jednak meteoryty w przestrzeni kosmicznej na skutek wielkiego tarcia, szybkości i rozgrzania materii spalają się, a nieraz w postaci jakiegoś ogromnego, rozpalonego kamienia spadają na nasze pola, to komety spokojnie okrążają większe ciała niebieskie i mają swoje trajektorie, czyli wyznaczone ścieżki, jakbyśmy mogli dziś powiedzieć, swoje drogi życia. Rozumiecie? Mimo że wykład wydawał się klarowny i zgodny z zasadami nauki, dzieciaki wywalały gały i nieprzytomnie patrzyły na nauczyciela, nie mogąc pojąć ani się nadziwić, jak wiele zagadek i tajemnic mieści w sobie jeszcze świat. Potem razem z nim długo się wpatrywały w coraz bardziej oddalającą się i blednącą w kosmosie kometa.

Właśnie mijała ich wiedźma Walentyna, która na widok wykładającego wielkie mądrości astronomii nauczyciela zatrzymała się i wyszczerzyła ostatnie zęby.

- Czego? - krzyknął jakiś malec. - Wynoś się, jędzo! - machnął ramieniem.

- Boluś, tak nie wolno - powstrzymał go nauczyciel.

- Zawsze się zjawia nie w porę - mruknął chłopiec.

- To ona czaruje świat - zapał jak kogut inny.

- Chłopcy?! Chłopcy!?! - upomniał ich Henio Lanckoroński, odwrócił się od wiedźmy i ciągnął swoją opowieść o ciałach niebieskich. Dzieci znowu rozdziawiały gęby.

Ale gdy wracały do domów, zapomniały o racjonalizmie i odpowiedzialności ludzkiego umysłu za objaśnianie świata, wpadały w opary zaduchu i domowych ciemności. Ze zmąconymi umysłami słuchały swoich dziadków i babć, jak to po pojawieniu się takiej komety następowały wszelkie plagi i nieszczęścia, trzęsienia ziemi, gradobicia, wylewy rzek i potopy, zarazy, cholera, dżuma i wszelka franca, a świat tonął w płaczu i ludzkich łzach. A nie daj Boże, dodawali i kulili się w strachu, mógł nadejść archanioł z wielką, złotą trąbą i ogłosić koniec świata. Pozostawał tylko płacz i zgrzytanie zębów.

Na dodatek tej wiosny na darmo wieś oczekiwała na cygański tabor. Cyganie nie zjawili się. Już od marca kobiety i dzieci

191

tęsknie popatrywały w stronę drogi, czy nie nadjadą cygańskie wozy. Ale nie nadjeżdżały. Mijał marzec, kwiecień, a horyzont wciąż był pusty. Mijał maj, a Cyganów nie było. Ludzie spuszczały głowy i smutni szli na swoje pola. A gdy tylko pojawiły się tumany kurzu, natychmiast przerywali prace, a ich serca były rażniej. Tym jednak razem jakiś silniejszy podmuch wiatru wznosił chmury pyłu, a o Cyganach nie było słyhać. A kiedy ich zabrakło i na początku lipca, zawalił się nie tylko odwieczny rytuał tej ziemi, ale i zapadł w ciemność jakiś porządek świata.

Ale jakby i tego było mało, zaczęły się rodzić dwugłowe cielaki. Albo prosięta ze ślepyimi oczami. Chłopi popatrywali teraz z lękiem na swój dobytek, nie wiedząc, czy klacz nie urodzi żrebięcia z pięcioma nogami, a z jajek kury nie wyklują się pisklęta z ryjem knura. Mo i te bociany! Jakże one lubiły zakładać gniazda po wsiach. Lecz w tym roku bocianów było jak na lekarstwo. I jakieś cherlawe, suchotnicze, niemrawe, nie rozmnażały się tak jak kiedyś, a małe co i rusz to z gniazd wypadały, takie były słabe.

I dochodził do tego jeszcze dziad polny, który zwykle o tej porze kuśtykał po drogach, wieści najrozmaitsze ze świata przynosił, tajemnice możliwych ogłaszał, zapowiedzi mających nadejść zdarzeń obwieszczał, a teraz gdzieś zniknął i wszelki ślad po nim zaginął. To też nic dobrego nie wróżyło i same kłopoty zapowiadało.

A cóż powiedzieć o flisakach? Co roku drewno na tratwach przeprawiali z jednej strony Prutu na drugą. Słyszało się ich głośnie śpiewy, hałaśliwe rozmowy i dźwięczny śmiech. A tej wiosny nagle i flisaków zabrakło. I Bóg jeden wie, co się z nimi stało. Ukryli się gdzieś Huculi, chwilami się zdawało, że zapadli się pod ziemię, a przecież żyli, byli na tej ziemi, mieszkali, coś robili. A jednak potężne monstrum na niebie musiało i w nich uderzyć. I musiało w ich sercach zasiać strach. Choć był to lud odważny i gotów do największych poświęceń i walk, ale w żaden sposób nie wiedział, jak się ma dorwać do tego potwora, który sunął jak dzikie widmo przez chmury.

Już rzadziej na koniu przemykał młody Hucuł w białej wyszywanej koszuli, w długich czerwonych spodniach, okręcony

192

zdobnym szerokim pasem skórzany, w żółtym kożuszku, zwa-vm keptarem na ramionach, albo odziany w sukieny płaszcz, brązowym kapeluszu na głowie, przyozdobionym piórem ptaka i w kierpcach na nogach. I młode Hucułki rzadziej się pokazywały, tak samo, jak i starsze kobiety, w długich białych i wyszywanych koszulach, zwanych soroczkami, z dwiema zapaskami w pionowe pasy, w zdobionych kożuszkach i w kształtnych kierpcach.

Mniej się słyszało pieśni o karpackich rozbójnikach i rzadziej płonęły ogniska na połoninach. Coś się musiało stać złego z duszą Hucułów, bo nawet na targi się rzadziej wybierali, niespokojnie spoglądając w niebo. Niegdyś targi odbywały się kilka razy w roku i Huculi tłumnie zjeżdżali z wysokich gór. Ciągnęły wtedy drogami niemal jak cygańskie karawany długie kolumny z wozami krytymi dachami, wypełnione wiejskim towarem, by zamienić go w miście na wódkę i niezbędne dla gospodarstwa urządzenia i meble. Te długie karawany miały swój porządek i logikę. Zbierali się Huculi z wielu wiosek i mieli swego przywódcę, który kierował porządkiem. Z przodu pędzili bydło rogate, krowy, a za krowami ciągnęły owce, barany i kozy, a na samym końcu wolno stapały konie, objuczone mlekiem, bryndzą i masłem, lub workami siana, zwanymi biesagami, niezbędnymi do karmienia zwierząt na dłuższych postojach. Konie także poruszały się wedle tradycyjnego ładu i połączone były z sobą specjalnymi, długimi rzemieniami. I szły jeden za drugim, a gazdowie trzymając je za uzdy, towarzyszyli im z boku, a, gdy byli zmęczeni, wsiadali na grzbiety i przeciągle pogwizdywali, spoglądając w niebo i wypatrując dzikich kaczek i gęsi. A na czele całej

kolumny dzielnie kroczył znany w okolicy muzyk z trąbą i rozgłaszał na wszystkie strony, że nadciąga świeży towar do miasta. I z wielu balkonów i otwartych drzwi spoglądały rozemocjonowane panienki i podziwiała barwne huculskie stroje. I oto znikli flisacy, ukryli się w swoich szałasach Huculi, nie ciągnęły się już po drogach długie procesje, a nad wsiami rozciągały się ciemne chmury.

Czyż to nie wystarczyło, by zasiać strach i przerażenie?

193

Na dodatek za wsią, na wzgórzu, w cieniu drzew, gdzie się kryły ruiny starego zamku, znowu pojawiło się widmo Czarnej Damy w długiej, ciemnej sukni, która majestatycznym krokiem przechadzała się po murach w środku nocy, zatrzymywała się na moment i widziano ją w świetle gwiazd, jak stała nieruchomo, z twarzą zwróconą na zachód i unosiła wysoko do góry ramiona, jakby dając komuś tajne znaki.

Niebo gwałtownie ciemniało i duch pokutującej kobiety zniknął.

Ale najdziwniejsze było to, że rankiem następnego dnia jakiś samochód z oddziałem wojska wspinał się po stromym zboczu w kierunku ruin i nagle runął w ciemną otchłań. Natychmiast to zdarzenie odczytano jako widomy znak mającej nastąpić tragedii. Na ludzi padł blady strach i wieś ogarnął popłoch. Z każdej strony coś boleśnie uderzało, drażniło albo niepokoiło. Nawet najbardziej światli mieszkańcy tej okolicy zerkali za siebie z obawą, czy nie zobaczą jakiejś mary, czy widma, które idzie za nimi ślad w ślad, albo nie dostrzegą czarnego ogona diabła, który przybywa, by potwierdzić inne groźne znaki na ziemi i niebie.

194

ZASKAKUJĄCA WIADOMOŚĆ

Młynarz coraz częściej zapraszał Lanckorońskiego do domu. Rodzinne spotkania organizował niby przypadkowo, ale zawsze w taki sposób, by Kasia była obok i siedziała koło nauczyciela. Na nic się to jednak zdało. Kasia wyraźnie go unikała. Wykręcała się, że boli ją głowa albo nagle sobie coś przypominała i uciekała do swego pokoju. Mimo to, nauczyciel nie załamywał się. Uśmiechał się pod wąsem i tak samo, jak młynarz, tłumaczył, że Kasia jest jeszcze zbyt młoda i wielu rzeczy nie rozumie.

- Oj, nie rozumie, Heniu, nie rozumie. A taki skarb znalazła - łechtał jego próżność młynarz i obiecał, że uczyni wszystko, co do niego należy, by Kasia została jego żoną. I rozmarzył się.

- Jak już profesorem, Heniu, zostaniesz - dywagował - i na słynnych uniwersytetach będziesz wykładać, to połączymy nasze majątki i staniesz się dziedzicem wielkiej fortuny. A nawiasem mówiąc - chytrze dopytywał - czy ziemie twojego ojca bardziej buraki i pszenicę rodzą, czy konopie i strączkowe?

Henio kiwał głową i odpowiadał, że odziedziczy po rodzicach najbogatsze gleby w Małopolsce, a jak już nadejdzie czas odpoczynku, gdy się zbliżą stare lata, razem z Kasią osiadą na rodzimym majątku i będą w spokoju zażywać słońca i pogody ducha. A kiedy poniesie ich wyobraźnia, pojedą do teatru i filharmonii, choćby do Wiednia lub Paryża. A gdy młynarzowa spytała, czy będąc niedawno we Lwowie, dowiadywał się, kto jakie koncerty daje i na jaką muzykę inteligencja lwowska obecnie chadza, Henio odparł natychmiast, że największym wzięciem cieszą się występy wybitnego skrzypka, Bronisława Rubinowicza. I ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

195

- Czyje występy? - spytała, jakby się przesłyszała. A w jej głosie było coś szczególnego. Jakieś napięcie, niepewność, rozdygotanie. Aż inżynier Kukułka spojrzął na nią z zaciekawieniem.

- Widziałem rozlepione plakaty z informacjami, że koncerty daje wybitny skrzypek, Bronisław Rubinowicz. A zapamiętałem to nazwisko dlatego, ponieważ w majątku mego ojca pracował ekonom o tym samym imieniu i nazwisku, Bronisław Rubinowicz.

- Rubinowicz? - policzki młynarzowej zaróżowiły się.

- Tak, Rubinowicz, droga pani Anno, Bronisław Rubinowicz - potwierdził nauczyciel.
- A więc jego się teraz słucha - jakby do siebie powiedziała.
- Ptaszyno - zwrócił się do niej słodko młynarz - jak tylko zechcesz, pojedziemy do Lwowa i pójdiesz na koncert tego, jak mu tam, aha - zastanowił się - Rubniewiczza.
- Nie Rubniewiczza, mój drogi - stanowczo sprostowała i zmierzyła go ironicznym wzrokiem
- tylko Bronisława Rubino-wicza - wyraźnie wyartykułowała - jak słyszysz, najśłynniejszego obecnie skrzypka we Lwowie.
- No dobrze, dobrze - z lekceważeniem machnął ręką - Rub-niewicz czy Rublewicz, jaka różnica, wszystko jedno, pójdiesz, złotko, pójdiesz, jak tylko zechcesz.
Nie powiedział, jak łaskawy czytelnik zauważył, pójdziemy, tylko wyraźnie zaakcentował, pójdiesz.
- A ja - dodał - w interesach do znajomych wstąpię. Skinęła głową i zamknęła oczy, oddając się marzeniom. Ale nie pojechali do Lwowa, bo wkrótce dowiedziała się, że Rubinowicz daje koncert w Kołomyi. I wybrali się do Kołomyi.

196

KONCERT

Gdy stanęła pod budynkiem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, przy ulicy Tarnowskich, gdzie miał się odbyć koncert, nogi się pod nią ugięły. Przeżarta lękiem, choć pchana zachłanną ciekawością, zastanawiała się, czy jeszcze by się nie wycofać. Tyle lat minęło, a dźwięk jego nazwiska wciąż poruszał jej umysł. To niemożliwe, myślała, by po dwudziestu latach nadal przeżywać te same napięcia i emocje, co kiedyś. Przed jej oczami przewinał się szybki film z tak, wydawałoby się, odległej epoki. I zobaczyła siebie w objęciach Bronka, gdy byli młodzi.

Stała niezdecydowana, czy wejść na salę, czy też stchórzyć i wrócić do domu.

Przed jej oczami przesuwały się obrazy, domy, bramy, parki, piwnice, strychy i wynajęte pokoje, w których się kochali. Chłodne, wilgotne i duszne czynszowe mieszkania. Zapalone świece i mrok. Smutek, bieda i głód. I jego wielka determinacja, straszliwy upór, by zostać sławnym skrzypkiem. I ta jego muzyka, która poruszała duszę, znowu zabrzmiała w jej uszach.

Zamknęła oczy i widziała, jak ją tuli, całuje, a ona drży ze szczęścia, potem kochają się wśród ciemności i dalekich gwiazd. I zobaczyła jego piękne, męskie ciało. Przeszły ją dreszcze, takie same jak te, które ją przenikały, gdy leżeli nago, a on delikatnie wodził po jej podbrzuszu dłonią. A potem długo, niecierpliwie i w gorączce kochali się w jednym z tych czynszowych mieszkań, w których czuło się zapach wilgoci i pleśni. Przenosili się z miejsca na miejsce, z podłogi na stół, ze stołu na łóżko, a potem na stojąco, przy ścianie, na krześle lub na progu domu, tracąc siły i opadając z wyczerpania.

W wolnych chwilach ganiał za nią po Stryjskim Parku. A gdy

197

zapadał zmierzch, znowu wpadali na siebie głodni, spragnieni i spalani niecierpliwą żądzą. I zwalali się wśród traw, a ona czuła, jak kręci się jej w głowie, drży ciało, a on w niej nabrzmiewa rozrasta się i pęka ziemia, a oni osuwają się w głąb siebie, zatraceni i nieobecni. I oto znowu ma go spotkać? Znanego, głośnego, wybitnego. Już nie tego biednego i pełnego lęków młodego skrzypka, na którego patrzyła nieraz ze współczuciem i roztargnieniem, widząc, jak mu odrzucają najlepsze kompozycje. A on załamywał się, wpadał w depresję, rozczarowany i pełen goryczy, a potem znowu dźwigał się z dna upadku i nie poddawał się. Wiedziała, że drzemie w nim wielki talent i jego muzyka jest genialna. I oto teraz, już za moment, znowu ma na niego spojrzeć. Znowu ma się poddać tej magicznej chwili, kiedy się zapomina o całym świecie, słuchając tylko rozmowy dźwięków z ciszą. Zaciśnięta zęby i ruszyła przed siebie. Czy pozna mnie? Czy ja go poznam? Dręczyły ją wątpliwości.

A potem siedziała na koncercie jak zaczarowana. Zobaczyła Rubinowicza w czarnym fraku, eleganckiego, przystojnego i cudownego. Tego samego, co niegdyś. Jakby się nie zmienił. Może tylko nabrał powagi. Od razu go poznała. Serce jej zakolało, jakby na ogromną górę wbiegła. „Boże on się wcale nie zmienił” -nie mogła uwierzyć. „Nie, nie, co ja mówię, zmienił się - gonila myśli - i to jak się zmienił. Stał się jakby wyższy, pełen dostojeństwa, twarz nabrała klasycznych, rzymskich rysów, sylwetka bardziej męska. Nawet pasemka siwych włosów na skroniach wzmacniają w nim powagę i wielkość” - konstatowała. A on swoim graniem unosił ją już ku ich wielkiej, pełnej bólu i ran miłości. I w pewnej chwili, po burzy braw, kłaniając się publiczności, nagle zastygł, wbijając zdumione oczy w jej twarz. Pojęła, że ją rozpoznał.

Patrzyli na siebie niemi i osłupiali.

W końcu Rubinowicz się wyprostował i stał przez chwilę, nie wiedząc, co ma z sobą zrobić. A gdy huragan braw przebrzmiał, cofnął się za kurtynę, ona zaś w popłochu rzuciła się do ucieczki, raptem się zatrzymała i trzepocząc powiekami, gonila

198

rozbieganym wzrokiem po sali, szukając ratunku. Ale ratunku nie było. Obejrzała się, a Rubinowicz wychylał zza kotary głowę i zaraz wysunął się cały, patrząc na nią i czekał, jakby nie mogąc się ruszyć z miejsca.

Ona też wlepiła w niego nieprzytomny wzrok i czuła jak się trzęsie. Brawa całkowicie ucichły, sala koncertowa zaczęła się wyludniać, a oni wciąż byli w sobie wpatrzeni i stali jak sparaliżowani.

Ludzie mijający artystę wydawali się zdziwieni tą zastygłą sylwetką, zatrzymywali się na moment, kłaniali się jemu, ale on nie odwzajemniał ukłonów, stał zahipnotyzowany, popatrywali więc z niedowierzaniem na siebie i szli za jego wzrokiem, dostrzegając skamieniałą twarz młynarzowej, raz jeszcze zerkali na mistrza i unosząc ramiona, kierowali się w stronę drzwi.

A on wciąż stał, jakby nie mogąc pojąć, że lata czekał na taką chwilę, a gdy ta chwila nadeszła, nie wiedział, jak ma się zachować i co ma z sobą zrobić.

Aż nie wytrzymała tego napięcia i ruszyła w jego stronę. Była zakłopotana i pełna kłębiących się uczuć. I żadne rozsądne słowo nie chciało jej przejść przez gardło. Ale szła, bo czuła, że ciągnie ją tam potężna siła.

- Pan... ty... tutaj... - w końcu wymamrotała, spuszczać oczy.

On milczał, zagubiony. Jakby oboje znaleźli się we śnie. Przyglądał się jej uważnie, śledząc rysy twarzy, ogarniając wzrokiem sylwetkę, jakby sprawdzając, czy nie pomylił się i nie wziął jej za kogoś innego.

- Nie spodziewałam się... - bąknęła.

- To ty, Anno? - ni to spytał, ni stwierdził.

- Ja, Broniek, ja.

Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak dawniej, delikatnie, ciepło i ostrożnie, jakby w obawie, że głośniejsze brzmienie może je zdmuchnąć jak bańkę mydlaną.

I znowu zamilkli, zakłopotani.

Zrobił krok do przodu, a ona znowu poczuła, jak drży.

- Przywitajmy się, Anno, jak kiedyś - wymówił jej imię z taką czułością, jakiej nie zaznała od lat i rozwarł ramiona.

Niemo wsunęła się w jego objęcia, uderzył ją ten sam zapach

199

męskiego ciała, który znała z młodości. „Boże, pomyślała, jakby się nic nie zmieniło. To samo uczucie spełnienia, ten sam czuły i dobry uścisk, to samo drżenie. Nie! Nie!” - nagle przeraziła się że przekroczyła niedozwoloną granicę i nie wolno jej tkwić w objęciach cudzego mężczyzny. Jest mężatką, szanującą się kobietą i ma poważanie. A wokół wciąż są

ludzie, obserwują ich, zerkają na nią i coś szepczą, pokazując ją oczami, a nawet palcami. Nie wolno, stanowczo nie wolno, broniła się. A równocześnie tkwiła w jego ramionach. I czuła, że tego jej najbardziej brakowało w życiu. Tej bliskości, tego mgnienia wieczności, gdy się zanurza w jego męskich, mocnych zapachach. Gdy chłonie go całą piersią, krwią, oddechem.

Czuła, jak otwierają się dawne uczucia, wcale nie oziębione, i nieobce, a wprost przeciwnie, głodne, namiętne i pełne mocy. Czuła jak narasta w niej fala pożądania, którą - wydawało się jej - w związku małżeńskim dawno straciła.

Ta bliskość i jego poruszyła.

Trzymał ją mocno, chłonąc zapach jej perfum i miał wrażenie, że to uczucie już zna i czuje płynące z niego elektryzujące prądy. Gdy się oderwali od siebie, sala była pusta i wtedy zaczęli sobie szybko, gorączkowo opowiadać, co kogo spotkało, co się z nimi działo i dokąd poniosły ich losy. Byli niespokojni, zaskoczeni, zdziwieni sobą. I jakby się bali, że zaraz jedno z nich zniknie jak duch. Sprawdzali siebie oczami, dłońmi, nagłymi ruchami ramion, dotykali swoich twarzy i gwałtownie od siebie odskakiwali, jakby targnięci prądem.

- A więc jesteś szczęśliwą mężatką - uspokoił się trochę i patrzył na nią z melancholią, a ona znowu spuszczała oczy. - A ja, Anno - kwaśno się uśmiechał. - Ja... - objął ją badawczym spojrzeniem. - Ja też mam żonę, Ryfcię... - zająknął się -jeszcze raz przepraszająco się uśmiechnął i poczuł, że zdenerwowanie i niepewność mijają.

Opowiadał jej jeszcze o koncertach w Paryżu i Wiedniu, o ofercie wyjazdu na cykl koncertów po Ameryce, a ona patrzyła na niego z zachwytem.

Potem przypominali sobie starych znajomych, niektóre epizody z życia, żartowali i śmiali się.

200
Powoli nabierali dystansu do sytuacji, do siebie i do wspólnej przeszłości, a równocześnie czuli, że to spotkanie na nowo ożywiło w nich dawne uczucia i przywróciło czasowi jakąś głębię, odsłaniając skrawek tajemnicy, w której oboje tkwili. I poczuli ogarniającą ich niepojętą zadumę nad losem człowieka. Jakby zbierali uciekające myśli i na powrót składali niegdyś rozsypany świat. I od początku poznawali swoje ręce, twarze, oczy, oddechy. Jakaś straszna wyrwa, przepaść czy otchłań, w której się zagubili, wyrzuciła ich teraz na powierzchnię ziemi i oni się na powrót odnajdywali.

Chciała mu powiedzieć, że jest urzeczona jego muzyką, ale nie potrafiła. Dawniej jednym słowem wyrażała swój zachwyt, a teraz ścisnęło się jej gardło. Zdawało się jej, że wszystko, cokolwiek by powiedziała, zabrzmiałoby pretensjonalnie, sztucznie i banalnie. Wpatrywała się tylko w niego, a jej suche usta były lekko rozwarte. A on delikatnie się uśmiechał, tak samo, jak niegdyś i cicho mówił:

- Tyle razy o tobie myślałem, Anno, tyle razy...

- I ja też, Broniu, i ja też - zaciskała dłonie. - Nie, lepiej nie! - tłumiała uczucia.

On kiwał głową i powoli uspokajali się.

Kiedy doszli do siebie, przy pożegnaniu wzięli swoje adresy, a Anna obiecała, że któregoś dnia zaprosi go do swego domu na wsi i przedstawi mężowi i dzieciom.

- A więc masz dwójkę?

Skinęła głową. I już chciała spytać: -A ty?

Zadumał się na moment i wyznał, że bardzo chciał mieć dzieci, ale los mu ich nie dał.

- Koniecznie musisz... to znaczy, naturalnie, musicie nas odwiedzić, koniecznie, Broniu - zachęcała, nie chcąc brnąć w stronę życia rodzinnego. - Zapraszam was bardzo serdecznie w imieniu męża, córki i syna. Będziemy zachwyceni.

Była pewna, że powinna go zaprosić, a swoją znajomość z nim przenieść na poziom oficjalnego, towarzyskiego spotkania. Pożegnali się czule, on ucałował jej dłoń i długo przetrzymywał uniesioną do góry rękę.

201

Gdy wyszła na dwór, zaczerpnęła świeżego powietrza i głę. boko westchnęła. Rozejrzała się wokół siebie, jakby nie mogąc rozpoznać, gdzie się znajduje. W głowie jej szumiało, a świat wydał się jakiś dziwny, niepojęty. Czuła, jak mocno bije jej serce. „Za dużo wrażeń jak na jeden dzień” - pomyślała. „Czyżby to jakiś znak?” Była tak rozemocjonowana, że nie bardzo wiedziała, co z sobą począć. Znalazła się na wprost Państwowego Gimnazjum Żeńskiego, minęła Dom Ludowy, zatrzymała się przy kinie „Mars”, ale zamiast iść w stronę Kraszewskiego, pod Sąd Grodzki, gdzie się umówiła z mężem, skrzyła Aleją Wolności w kierunku Parku Miejskiego i nagle znalazła się u stóp pomnika Mickiewicza. Zadumała się, patrząc na niewielki kamienny posąg. A potem otumaniona krętymi myślami, spacerowała po Kołomyi, krążąc między Czarnieckiego, Fredry, 3-go Maja aż do Legionów. Serce wciąż jej waliło. Mieszały się jej czasy, wydarzenia i okoliczności. Dawne dzieje ze współczesnością. Niedługo, gdy uczyła się historii, profesorowie wbijali jej w głowę, że Kołomyja to historycznie ważny ośrodek handlowy, w którym mieszkańcy zajmowali się górnictwem i eksportowali sól, a także budowali wspaniałe ośrodki nauki i kultury, najważniejsze na Pokuciu, bowiem działały tutaj liczne szkoły, polskie, żydowskie i ukraińskie, słynne Towarzystwo Muzyczne im. Stanisława Moniuszki, a niedaleko stąd, w pobliskim Hołoskowie, urodził się Franciszek Karpiński, autor znanych pieśni Bóg się rodzi i Kiedy ranne wstają zorze. Stały rozmaite pomniki, piękny, wysoki posąg Franciszka Karpińskiego, Józefa Piłsudskiego, pomnik 2 Brygady Legionów, Nieznanego Żołnierza, posąg upamiętniający hołd Stefana Wielkiego, złożony przed królem Kazimierzem Jagiellończykiem. Kotłowały się w jej głowie myśli, obrazy, sytuacje. I wszystko było jakieś nieogarnione i strasznie pomieszane. Stylowe kamienice Kołomyi przeplatały się z zabytkami Lwowa, z owymi wielkimi darami urbanistyki, stającymi się europejskimi skarbami mistrzowskiego stylu i dobrego smaku. Niedawno przeczytała, że ponad tysiąc lwowskich architektonicznych pomników należy do najważniejszych zabytków światowej kultury. Niosła się na fali dawno nie odczuwanych emocji. I to wszystko

202

rzez ten jeden jedyny koncert, pomyślała. Przez to jedno jedyne od lat spotkanie z Rubinowiczem. Wystarczyło jej, by trącił jakiejś struny, a usłyszała orkiestrę. Wziął do ręki skrzypce i odmienił jej świat.

Zatrzymała się przed kościołem Jezuitów, dziękując Bogu za dar, jaki jej zesłał, myśląc, rzecz jasna, o Rubinowiczu. A potem wstąpiła do kawiarni i wypija lampkę czerwonego wina.

Odnalazła młynarza i wsiadła do bryczki.

Gdy wracali, młynarz spytał chrapliwym głosem o wrażenia, ale nie usłyszała jego pytania, pograżona w myślach, więc zerkając na nią, czknał i znowu zagadnął:

- I jak było, skarbenko z tym tam, no... hm... jak mu tam... Rubniewiczem. Czy tego... Robkiewiczem?

- Co? - spojrzała na niego roztargniona.

- Moje złotko, jesteś jakaś taka... - przyjrzał się jej - może chora... oczy ci tak świecą...

Drgnęła, spojrzała na męża i odparła:

- Och, Jakubie, wróciłam do lat młodszych, do tamtej atmosfery...

- Aha, aha - krótko skwitował i świsnął batem.

Koń ruszył szybkim tempem. Niebawem byli w domu.

203

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

Kościół napełniał się tylko wtedy, kiedy Kasia przed ołtarzem zasiadła. A obok niej i jej matki, ojca i brata Mariusza w pierwszym rzędzie zasiadali: sklepowa - Zośka Kusa, kowal - Alojz Kępy, stolarz - Adaś Jaźwiel, sołtys - Andrzej Cykła, listonosz - Paweł Gaj, leśniczy - Czesio Róg, posterunkowy - Bolo Kluska i naturalnie nauczyciel - Henio Lanckoroński.

Ksiądz dobrodziej, Robert Kołtek, dobrze wiedział, dlaczego jego kazań tak wielu mężczyzn o tej godzinie słucha. Uśmiechał się dobrodusznie i zachęcał Kasię, by i na inne nabożeństwa przybywała, dając do zrozumienia, że nic nie ujdzie jego uwagi. Kasia się czerwieniła i szybko uciekała.

Także pop Kiryło zapraszał do cerkwi, niby pół żartem, pół serio, wpatrując się w jej wielkie oczy, a Kasia zmykała, spłoszona.

Pewnego razu w czasie mszy poczuła, że ktoś się jej intensywnie przygląda.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że pożerają ją oczy młodego, przystojnego chłopca, którego nigdy dotąd w kościele nie widziała. Szybko odwróciła wzrok i opuściła głowę, udając, że zagłębia się w modlitewniku. Ale odzyskać spokoju już nie mogła. Przez cały czas czuła na sobie to przeszywające na wskroś spojrzenie.

Pod koniec sumy znowu zerknęła na tajemniczego mężczyznę. I znowu jej ciemne oczy spotkały się z gorącym wzrokiem nieznanego wielbiciela. Kiedy ksiądz Robert wiernych pobłogosławił, Kasia uklękła, odklepała modlitwę i podniosła się z klęczek, bojąc się spojrzeć w bok. Szła z opuszczoną głową, ale nie wytrzymała napięcia, rzuciła spojrzenie za siebie, lecz ciemnych, świecących oczu już nie dostrzegła.

Następnej niedzieli nie spotkała tego gorącego spojrzenia. Sta-
204

ła się nerwowa i zjadliwa. Gdy Ksenia z Salcią wyciągnęły ją na potańcówkę do Domu Ludowego, bawiła się krótko i była skwa-szona i smutna. Nie rozweselił jej akordeon, mimo że uwielbiała, jak się na nim grało, ani skrzypce, z których sama wydobywała najbardziej tęskne tony. Nie rozśmieszały jej dowcipy, jakie kawalerowie opowiadali. Ta cała wiejska zabawa wydała się jej nudna, szara i byle jaka. A im bardziej obsypywali ją chłopcy komplementami, z tym większym wstrętem na nich patrzyła. Nie było wśród nich tego, który w tak dziwny sposób zawrócił jej w głowie. Nawet słowa z nim nie zamieniła. Ale o nim teraz tylko myślała.

Mariusz pokpiwał z niej, że czeka na królewicza z bajki. A ona miotała wściekłe spojrzenia i waliła go pięściami po głowie, aż wkraczała Ksenia i uspokajała ją. Mariusz porywał Ksenię do tańca, Salcia się bawiła z innymi chłopakami, tylko ona siedziała naburmuszona i zła, zerkając, jak jej brat ściska przyjaciółkę, jak tulą się i Mariusz całuje Ksenię w szyję.

Szybko wróciła do domu, rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać, aż matka usłyszała jej szloch. Weszła do pokoju i spytała, co się stało. Ale Kasia wbiła głowę w poduszkę i chlipała.

Młynarzowa zrozumiała, że to zbyt poważna sprawa, by ją lekceważyć. Poszła spać pełna niepokoju. A następnego dnia przyglądała się Kasi z uwagą. Jednak Kasia jakoś doszła do siebie, choć była milcząca i przygaszona. A gdy w niedzielę poszli do kościoła, nagle odżyła. Znowu poczuła to samo mrowienie w szyi, co wcześniej i odwróciła oczy.

Nieznamy był znacznie bliżej. A w jego oczach zobaczyła smutek. Już nie pożerał jej, tylko patrzył na nią z powagą, jakby mówiąc, wiem o tobie wszystko, Kasiu, ciągle ciebie widzę, ukradkiem na ciebie spoglądam i wiem, że przeznaczili cię innemu, ale nigdy nie zrezygnuję z ciebie. A ona już nie kryła się w książeczce do nabożeństwa. Odpowiadała mu wzrokiem, przecież wiesz, że wbiłeś się w moje serce jak drzazga i teraz cierpię. Nie mam pojęcia, kim jesteś, gdzie znikasz i jak mam ciebie szukać. Zdradź mi, kim jesteś, powiedz, daj sygnał. Zapadłeś mi w pamięć i nie wiem, co mam z sobą zrobić.

I tak rozmawiali oczami, aż matka targnęła ją za ramię. Zbli-
205

żało się Podniesienie i wszyscy wokół już klęczeli, tylko Kasia stała i wbijała spojrzenie w twarz nieznanego.

Musiała się matka domyśleć, że na kogoś patrzy, bo też zerknęła w tamtą stronę i zobaczyła młodego, przystojnego mężczyznę, jak już się pochyła, ale nie dostrzegła jego wzroku.

Tymczasem Kasia padła na kolana i modliła się do Boga, by nieznajomy nie zniknął nagle, bo ona już nie chce dłużej cierpieć. Błagała Boga, by zobaczyła nieznajomego, gdy wstanie i by pozwolił jej Bóg nacieszyć się jego zuchwałą twarzą, ciemnymi oczami i tym żarem, który z nich bił. I gdy wstała z klęczek, zobaczyła go. Bóg jest dla mnie łaskawy, pomyślała. Nieznajomy uśmiechnął się, a ona, głupia, znowu uciekła spojrzeniem. Zaciśnęła mocno powieki, a gdy otworzyła oczy, jego już nie było. Kończyła się msza. Matka przywołała ją do porządku:

- Idziemy, Kasiu - szepnęła i lekko ją pchnęła, ruszając do drzwi.

Przed kościołem Kasia pomyszkowała oczami wśród chłopców, ale nie dostrzegając tego, którego chciała zobaczyć. Zniknął. Pomyślała, że to, co się z nią dzieje, to nieustanne przywidzenia i fantasmagorie, a ona jest chora. I ma rojenia. W domu runęła na łóżko, zamknęła oczy i zapragnęła umrzeć. Od tego dnia znowu zaczęła chudnąć, nie mogła jeść, była roztargniona albo smutna. W nocy krzyczała. Zrywała się ze snu, bo jej się zdawało, że ktoś puka do drzwi i wchodzi nieznajomy. Wpadali sobie w ramiona i całowali się. Gdy otwierała oczy, tuliła pustkę.

Mijały dni, a ona nie wychodziła z domu. Zaczęła opuszczać msze, aż ksiądz proboszcz spytał młynarzową, co się z nią dzieje. Młynarz patrzył na córkę z zastanowieniem, ale nie naciskał, by szła do lekarza, sądząc, że to chwilowa niedyspozycja i zmiana nastroju. A nawet jeśli potrwa kilkanaście dni, to i tak kiedyś się skończy. Bo wszystko się kiedyś kończy. Miał swoje ugruntowane teorie i był im wierny. Kasia całymi dniami leżała w łóżku, aż wreszcie młynarz się zdenerwował i rzekł, że ma już dość tej jej melancholii. I zagroził, że zawiezie ją do doktora. A może nawet do szpitala i tam zostawi, by medycyna rozstrzygnęła, jak należy dalej z nią postępować. Groźby na nic się nie zdały. Kasia nie odpowiadała na pytania, uciekała przed ludźmi, kryła się w pokoju i mia-

206

ła podkrążone oczy. Wpatrywała się w ciemną noc i myślała, że jej młode życie straciło sens. A ona jest przeklęta albo naznaczona jakimś strasznym grzechem, skoro tak cierpi. I chciała się zabić.

Ale tęsknota za nieznajomym była silniejsza niż śmierć. I powoli odzyskiwała nadzieję, że go spotka. Matka pozostała z domysłami. Ukradkiem ją śledziła i dbała, by się nie stała jej jakaś krzywda. Bo wiedziała, że dziewczyny w tym wieku mają szalone pomysły.

Nauczyciel widząc, że Kasia go unika, jako wytrawny pedagog oznajmił młynarzowi, że na wszystko należy patrzeć z dystansem i spokojem, aż Kasia do zamążpójścia dojrzeje. A on, nauczyciel, rzecz jasna, ma czas, bo jest młody i poczeka na nią. Sam zajmie się nauką, przygotuje dysertację, która pozwoli mu na założenie Uniwersytetu Ludowego na wsi, a w przyszłości, jak już postanowił, wykłady na innych uniwersytetach będzie prowadzić. Bo biedny lud z ciemności ku światłu trzeba prowadzić. I idee oświatowe są mu bardzo bliskie. Więc nie należał, by Kasia natychmiast stała się jego żoną. Wykazał się cierpliwością i należną rezerwą do sprawy. Młynarz był mu za to niezmiernie wdzięczny, rozumiał i podziwiał jego wielki umysł i nie mógł się nachwalić rozsądku i rozwagi tak światłego człowieka.

- Taki młody jesteś, Heniu, a już tak wiele rzeczy rozumiesz i dużo wiesz o świecie - chwalił go.

Nauczyciel widział, jak Kasia odwraca od niego wzrok, ale uśmiechał się do niej i dawał do zrozumienia, że ma znacznie więcej zalet, niż dotychczas ona dostrzegła, ale na razie wszystkich nie będzie ujawniał, by czymś nowym ją i całą rodzinę zaskoczyć. A co do przyszłości, to ustalili z młynarzem, że nauczyciel ją na studia zaproteguje i zajmie się jej dalszą edukacją. A w przyszłości Kasia nie tylko panią profesorową zostanie, ale i sama wykłady z literatury prowadzić będzie. Młynarz był zachwycony, a młynarzową odetchnęła z ulgą, że sprawa się odwleka.

Tymczasem musieli się pożegnać z Mariuszem.
Został powołany do wojska, co znaczyło, że wojna za progiem.
Młynarzową wpadła w popłoch. Inżynier zacisnął zęby i burknął:
207

- Nie ma rady, służba nie družba.

Jeszcze widzieli jak długo rozmawia z Ksenią, całuje ją, a ona ma zaczerwienione oczy i nie może ukryć smutku. Młynarz dał znak odjazdu, wsiedli do bryczki, świsnął bat i znikli w obłokach kurzu.

Kasia, Ksenia i matka długo za nimi patrzyły.
208

NIEUDANE SAMOBÓJSTWA

Na horyzoncie pojawiły się ciemne chmury. I wyszła z ukrycia Czarna Dama, która jak wiadomo, wieszczyla nadchodzące nieszczęścia. O wojnie już nie tylko przebąkiwano, ale mówiono wprost. Już wiadomo było, że Hitler zniemacka atakuje i nie ma zamiaru w swojej grabieżczej, jak ją określali gazety, polityce komukolwiek ustępować. Nie dość, że Austria została włączona do III Rzeszy, że Niemcy zagarnęły czeskie Sudety i podbiły Czechów, powołując karykaturalne państewko, Protektorat Czech i Moraw zależne od Hitlera, to wyraźnie Hitler ostrzył sobie zęby na Polskę. Wojna wisiała na włosku. Nastroje wśród ludzi wyraźnie się pogorszyły. I to, co niedawno jeszcze mogło poczekać, teraz wymagało natychmiastowego rozwiązania i błyskawicznej decyzji.

Młynarz uzgodnił z nauczycielem szybki czas zaręczyn i równie szybki ślub.

Kasia mizerniała na oczach. Żadne lekarstwa jej nie pomagały. I najlepszym wyjściem, według młynarza, na jej chorobę, był związek z Heniem Lanckorońskim. Musiała mieć męża i opiekuna. - Małżeństwo to najlepszy lek na wszystko - burczał młynarz i czuł, że spełnia najważniejszy ojcowski obowiązek, wiążąc ją z nauczycielem. Gdy wybuchnie wojna, mąż już będzie się nią opiekował, bo nie wiadomo jeszcze, czy jego, Jakuba Kukułkę, inżyniera, specjalistę od wszelkich pojazdów mechanicznych, też nie powołają do armii. A jak ulokuje córkę w dobrych i pewnych rękach - myślał - zapewni jej byt.

Gdy Kasia o tym usłyszała i dowiedziała się, że zapadł na nią wyrok, powiedziała ojcu, że się otruje albo rzuci do rzeki, ale za nauczyciela nie wyjdzie. Młynarz jednak się tym nie przejął. Nie trzeba było długo czekać. Nieszczęście było na progu.

209

Kasia chodziła po domu z obłędem w oczach. Snuła się po podwórku, blada jak śmierć. Aż kiedyś weszła na wysoką skałę i skoczyła z niej. Na szczęście zahaczyła o zielony gęsty krzew i nic się jej nie stało, tylko podrapała sobie nogi i ręce. By jednak los się spełnił, najadła się dzikich, gorzkich owoców leśnych, sądząc, że się otruje. Ale los nie chciał się spełnić. Poczęła wymiotować i przez kilka dni bolał ją żołądek. W końcu wyznawała, że bez miłości jej życie nie ma sensu i wstąpi do klasztoru. Poprosiła ojca o rozmowę, a gdy jej słuchał, rzekła, że chce zostać mniszką.

- Co? - ryknął na nią. - Ty!? Taka dziewczyna!? Z taką urodą?! Ty chcesz mniszką zostać?! - grzmiał, zapominając, że sam jej groził klasztorem, jeśli nie wyjdzie za mąż za nauczyciela.

- Tak, ojcze - mówiła poważnie - chcę pójść do klasztoru. Wtedy się wściekł.

- Wyjdiesz za mąż, jak każę i wyzdrowiejesz. Męża ci trzeba - huknął - a nie klasztoru!

Cicho się wycofała i już nie wracała do rozmowy. Nie pomogło też spotkanie z księdzem Robertem, któremu młynarzowa zdradziła, że mąż nalega, by Kasia wyszła za nauczyciela, którego nie kocha. Ksiądz Robert zasepił się i pogadał z inżynierem. Nadejdzie czas, a Kasia sama znajdzie sobie kawalera, doradzał. Nie ma już czasu, Robercie. Nie ma, zgrzytał zębami młynarz. A taka partia, jak nauczyciel, już się nie powtórzy. I postawił na swoim. Ksiądz pomodlił się w duchu w intencji Kasi i odszedł.

Młynarz szykował się do wesela.

Zniechęcona do życia Kasia, z wiszącą przy ziemi głową, już nawet nie protestowała, kiedy nauczyciel delikatnie ją dotykał i szeptał, że będą szczęśliwi, a on potraktuje ją jak królową. Milcząco przyjmowała jego słowa, a kiedy wręczył jej zaręczynowy pierścionek, przyjęła go obojętnie, martwa i pusta.

Młynarzowa patrzyła na córkę z lękiem. Próbowwała do niej dotrzeć, bezskutecznie.

210

WESELE

Ślub odbył się w pośpiechu i bez rozgłosu. A ludzie widzieli, jak Kasia stała przy ołtarzu ze zwieszoną głową, a kiedy ją podnosiła, wydawała się ciężko chora. Z obłędem w oczach patrzyła po zebranych, nikogo nie poznając. Młynarz wiedział jednak swoje. Stanowczo twierdził, że wszelkie kłopoty znikną, kiedy wejdzie do alkowy i pozna uroki życia we dwoje. Młynarzowa też w końcu uwierzyła, że skoro Kasia zapadła się w sobie, może ją tylko związek małżeński wyzwolić z tajemniczej choroby. A mocniej jej serce drgnęło, gdy przy weselnym stole zauważyła, jak Kasia się uśmiechnęła. Bardzo się z tego powodu ucieszyła i natychmiast się do niej podsunęła. A Kasia się wciąż uśmiechała. Choć wydawała się nikogo z weselników nie rozpoznawać, uśmiechała się. Nie poznawała nawet księdza Roberta. Nie radowała się białym jak śnieg welonem, długą jasną suknią ani złotą obrączką i naszyjnikami ze świecącymi kryształami. Z obojętnością powiedziała przy ołtarzu „tak” i to dopiero za trzecim razem. A na weselu siedziała smutna i przygnębiona. I gdy się teraz uśmiechnęła, weselnicy zakrzyknęli, że wraca do zdrowia. Młynarzowa ćwierkała przy niej jak ptaszek, dopytując, czy choroba mija. Zależało jej na tym, by Kasia choć przez chwilę się rozerwała i poczuła się szczęśliwa.

Młynarz bawił się dobrze. Nalewał do kieliszków wódkę i widząc nagle uśmiechniętą córkę, pohukiwał, że od dawna wiedział, że ślub odmieni jej życie.

I wtedy otworzyły się drzwi. Z ciemnego korytarza wyłonił się jak zjawa Lolek Kępa, syn organisty, z bladą twarzą i obłędem w oczach. Stał z otwaftą gębą, zerkając na boki. Sala zamarła.

Nawet orkiestra, która grała skoczną polkę, urwała nagle

211

melodię. A tancerze jakby zastygli w nieruchomych gestach na wielkim zdjęciu. Lolek trzymał prawą rękę ukrytą za plecami. A gdy dostrzegł pannę młodą, wysunął ramię do przodu i wszyscy zobaczyli duży bukiet pięknych, czerwonych róż.

Weselnicy wpatrzeni byli w niego, jakby ducha zobaczyli. Młynarzowa mrużyła oczy, jakby nie dowierzając zmysłom. Kasia obejmowała go martwym wzrokiem. Uniosła brwi i lekko rozchyliła usta. Tylko Henio Lanckoroński nerwowo ruszał szczęką i co chwilę zerkał na Kasię.

Lolek patrząc na pannę młodą, zrobił w tej przytłaczającej, ciężkiej ciszy krok w jej kierunku, na moment zatrzymał się, a kiedy widział, że jej oczy zaczynają go śledzić, jakoś dostojnie, z godnością do niej podszedł, uniósł bukiet róż i wystękał, jękając się:

- Królo...lo...wo...wo... moja. Pe...pepe...reńko moja. To...to... -położył przed nią kwiaty - to... dla ciebie.

Wbijał w nią obłędny, chory wzrok, a jego wargi drżały.

- Zbu...zbudu... ję dla ciebie - bełkotał - pa...pałac... za...zamek... królestwo. Moja... jas...jas...kółko... moja żab...żabko -dukał.

Aż któryś z orkiestry bąknął:

- Król żab!

I parsknął zaraźliwym, szyderczym śmiechem.

Podchwycił ten drwiący śmiech harmonista i sala zatrzęsa się od chichotu.

Lolek zdeprimowany i wykpiony, grzecznie się uklonił i zaczął się wycofywać. A Kasia patrzyła na niego niewidzącymi oczami. Kiedy salwy śmiechu przebrzmiały, weselnicy przypominali sobie Lolka z różnych miejsc i sytuacji. Widzieli go na łące, jak rozmawiał z bocianami. Gdy przemawiał do drzew, przelatujących ptaków i chmur. A nawet, gdy wspinał się na ruiny zamku i podpatrywał Czarną Damę. Niektórzy twierdzili, że w jakieś tajne konszachty z nią wchodzi. A kiedy nadeszło lato, na górze, w ruinach starego zamku pomieszkiwał. I już to jedno budziło dreszczyk emocji. A przecież był wariatem. I wszyscy to wiedzieli. Bo tylko wariat nie bał się tego zaklętego miejsca.

Gdy orkiestra znowu zagrała, weselnicy szybko wrócili do tańca. Wesele nie było huczne. A nawet jakby wstydlive. Mły-

212

narz zaprosił tylko najbliższą rodzinę, a goście wydawali się za•eci innymi sprawami niż ślub. Nawet osobliwe zachowanie Kasi nie budziło już takiej sensacji, jak na początku. Nachylali się ku sobie i wznosząc toasty, życzyli sobie spokoju i ładu w świecie, który wydawał się być zakłócony. Zdrowie państwa młodych pili jakby z ukrycia, jakoś pospiesznie i nerwowo. I natychmiast wracali do przerwanych rozmów. Ciężko wojny kładł się już na ich twarzach smutkiem i niepewnością. Znowu nachylali się ku sobie i opowiadali o podpisanym dopiero co przez Ribbentropa i Mołotowa pakcie o nieagresji. I zastanawiali się, co to znaczy, jedni twierdzili, że pokój, inni, że wprost przeciwnie, wojnę, bo teraz już Polska ze wszystkich stron została otoczona wrogami. I pili na umór. Poszły słuchy o powszechnej mobilizacji. Ale ktoś uspokajał, że nie wszystko stracone, bo właśnie Anglia podpisała z Polską układ o wzajemnej pomocy. Układ za układ. Tam Sowiety i Niemcy. Tu Polska i Anglia. Jakby równowaga. A jak równowaga, to wojny nie będzie. A jak wojny nie będzie, to pijmy. A jak będzie, to też pijmy. Bo już nic do stracenia nie mamy. Tak, czy inaczej, pijmy. I pili. I znowu, jedni za to, że Polska jest silna i Hitler nie odważy się napaść. A drudzy z rozpaczą, że Polska jest słaba i wojna za oknem. I tak dookoła Wojtek. Zrzucali marynarki, bo było coraz goręcej, albo wychodzili na dwór i poddawali się powiewom łagodnego, letniego wiatru.

Patrzyli w niebo, a orkiestra siadała przy stole i też się spijała. Niektórzy z gości wspominali dawne huculskie wesela i przypominali, że była to znakomita okazja do wspólnych zabaw i śpiewów, i nikt nigdy nie widział podkrążonych oczu panny młodej ani martwej atmosfery, jak teraz. Na huculskich weselach, opowiadali, lud bawił się wesoło, głośno i z rozmachem. Nie brakowało ognistych tańców i żwawej muzyki. A gdy muzykanci pragnęli zrobić psikusa gościom i porządnie ich zmęczyć, grali coraz szybciej, aż weselnicy padali z wyczerpania. Dobijała ich żywa kołomyjka, przy której śpiewającym dech w piersiach zapierało. A gdy gdzieś na wzgórzu o wieczornej porze zagrały jeszcze sopił-ki, monteliewy, telenki, floyary czy dudy, nie mówiąc o cymbałach, skrzypcach czy trąbitach i muzyka niosła się po połoninie, to serce z radości skakało. No, ale to nie było huculskie wesele.

213

Ani znikąd zza okna nie dolatywały radosne tony. Granie tutaj było jakieś kalekie, choć orkiestra starała się. Ale nikt z uciechy nie skakał pod sufit.

Panna młoda, mimo pięknych strojów, wyglądała jak siedem nieszczęść, osowiała i zapadnięta w sobie. A pan młody nerwowo zagryzał paznokcie i szukał ratunku w oczach pani młynarzowej.

Przed świtem, gdy łysi i blade księżyc siedział na skraju stodoły, rozległ się nagły huk i trzask rozbijanej szyby. Weselnicy zamarli. Do sali wleciał kamień. Kasia drgnęła, uniosła głowę i z otwartymi ustami wpatrywała się w rozbity szybę.

Kilku mężczyzn wybiegło za płot i zobaczyło, że między krzakami mignął galopujący koń, na którym siedział pochylony jeździec. Długo za nim patrzyli, aż zniknął w pobliskim gaju.

Spoglądali po sobie pytająco, a potem wzruszyli ramionami i z powrotem weszli do domu,

uznając wypadek za głupi żart jakiegoś zazdrośnika, którego zaloty wcześniej Kasia odrzuciła. A było ich niemało w okolicy.

Przez chwilę o tym rozmawiali, a gdy orkiestra zagrała skoczny taniec, ruszyli na parkiet i mocno podchmieleni, głośno śpiewali, zapominając o złym nastroju i co chwilę bili brawo, żądając nowej gorzałki.

Tylko młynarz zaciskał zęby i zastanawiał się, co ten incydent znaczy.

Kasia niemo wpatrywała się w roztrzaskane szkło.

I wtedy ktoś krzyknął:

- Pali się!

Orkiestra przestała grać, ludzie stanęli osłupiali.

- Pali się! Młyn się pali! - wrzeszczał Andrzej Cykła, sołtys, który znużony tańcem, uchylił okno Domu Ludowego i dojrzał wąskie języki ognia i niewielką smugę dymu.

Kasia drgnęła. Jakby sobie coś przypomniwała. Spojrzała na matkę, która siedziała z otwartymi ustami, nie rozumiejąc, co się dzieje. Zaczął się wrzask, krzyk, wycie, harmider. Ludzie biegali od okna do okna, potracali się, uderzali o siebie, łapali się za głowy i pędzili przed siebie, nie mając pojęcia, co robić. Dopiero, gdy młynarz ryknął:

- Za mną! - nagle otrzeźwieli i rzucili się kupą, by ratować młyn.

214

Wkrótce zalewali wodą niewielkie, na szczęście, ognisko, które dopiero się przenosiło do środka młyna i już się zajmowały deski, belki i drewniana podłoga. Jednak w strugach lejącej się wody, ognisko powoli poczęło gasnąć. Tylko kłęby dymu snuły się nad brzegiem rzeki.

Gdyby ktoś nieznany dostrzegł z daleka tę scenę, zobaczyłby stojącą w świetle gwiazd Białą Damę, w długiej, jasnej, ślubnej sukni i rozwiewanym przez wiatr welonem. Wyglądała jak zjawą w ciemności. I zobaczyłby krążącego wokół niej młodego człowieka w ciemnym garniturze, który giął się i łamał, podskakiwał i kulił, jakby odprawiał jakąś nocną ceremonię, która wymagała ruchu, biegania, zginania, ukłonów i nagle wyrzucanych do góry ramion.

To Henio Lanckoroński uspokajał pannę młodą, że nic się nie stało, że młyn ocalał i szkody są niewielkie. A ona wpatrywała się w niego niewidzącymi, szklanymi oczami. Stała jak woskowa figura wystawiona w ciemnościach nocy, wśród znikających gwiazd. Mimo to on ciągle skakał, biegł wokół niej, giął się i podnosił ramiona, mamrocząc:

- Najdroższa, Bogu dzięki, Bogu dzięki... - i raptem urywał, jakby zapomniał tekstu, którego się miał nauczyć na pamięć. Młynarzowa dawała mu znak ręką, by się uspokoił. Stał zagubiony i porażony nagłą ciszą. A weselnicy niemo wpatrywali się w dogasający ogień. Młynarz tylko kręcił głową. A potem warknął: - Już ja go dopadnę! - Młynarzowa ciężko westchnęła. Objęła Kasię ramieniem i z powrotem poprowadziła do weselnej sali. Za nią ruszył pan młody, oniemiały i zatopiony w swoich myślach.

A za nimi weselnicy, mężczyźni i kobiety, i dopytywali się, kim był sprawca podpalenia i gdzie się ukrył. I choć w sali balowej orkiestra znowu zagrała, by zatrzeć złe wrażenie po pożarze, nikomu jakoś nie przyszło do głowy, by tańczyć. Za to coraz więcej rąk sięgało po kieliszki i pili na umór i z niepokojem popatrywali w okna, jakby spodziewając się najgorszego. I już do świtu trwali w jakimś amoku, zapici, nieprzytomni.

Panna młoda siedziała osowiała, zamknięta, patrzyła jakby w pustkę.

215

Nad ranem nauczyciel zaprowadził ją do swojej sypialni. a kiedy się rozebrał i chciał się koło niej położyć, gwałtownie gń odtrąciła, odwróciła się plecami, a on stał speszony, popatrywał na nią z ukosa, aż w końcu dał za wygraną, sądząc, że należy pΓ2e. czekać trudny okres adaptacji. Skoro już tyle wytrzymałem i wysj. łek się opłacił, myślał, to nic się nie stanie, kiedy jeszcze kilka dni minie, aż przygotuję ją do dojrzałości małżeńskiej. W tym wieku powtarzał znaną śpiewkę, miewa się najrozmaitsze fanaberie Najważniejsze, że powiedziała przy ołtarzu „tak", a przy stole już nawet się uśmiechała, tłumaczył na swoją korzyść każdy jej gest, ruch

czy zmianę rysów twarzy. Poczul się nawet dumny, że to on, nauczyciel i przyszły profesor, osiągnął to, co chciał. I że to jego żoną została Kasia Kukułka, teraz pani Lanckorońska, jego, a nie żadnego z tych młodzieńców, którzy za nią wodzili oczami. Bo nie był głupi i wiedział, jakim powodzeniem cieszyła się w okolicy. Teraz duma rozpieraała mu piersi. Nikt na Pokuciu nie będzie miał tak pięknej jak on żony. I obiecał sobie w duchu, że do niczego ją siłą nie przymusi, a wprost przeciwnie, roztoczy nad nią pełną opiekę i swoim łagodnym charakterem roztopi wszelkie lody i nadejdzie dzień, kiedy Kasia sama do niego podejdzie, zawiesi na jego szyi ramiona i powie, Heniu, dojrzałam do życia z tobą. A on ją wtedy obejmie, przycisnie do piersi, gorąco ucałuje i powie, wiedziałem Kasiu, że tak się stanie i jestem ci wdzięczny, że już to zrozumiałaś. A potem będą się kochać, będą dla siebie czuli i bezgranicznie oddani, aż narodzi się dziecko, z pewnością syn, i wszystkie swoje siły jemu poświęcą. Tak się przejął rolą ojca i swoją szlachetnością, że poczul się dowartościowany i już wiedział, że stać go na wielką wyrozumiałość. Rozglądnał się po sypialni i uznał, że z powodzeniem położy się w wygodnym fotelu i do rana przeczeka. Nałożył nocną koszulę i nasłuchiwał, jak Kasia cichutko oddycha. Położył się na wznak, nie zamykając oczu i poddał się nadpływającej fali marzeń.

216

NIEZNAJOMY NA KONIU

Od pewnego czasu sensację wzbudzał tajemniczy młodzieniec, którego przypadkowo odnalazł leśniczy w pobliskim lesie, gdy wisiał na sznurze na grubym konarze dębu.

Natychmiast go odciął i uratował mu życie. Chłopak był wysoki, zgrabny, o bladej, pociągłej twarzy, ciemnych oczach i kruczej czuprynie. Nie odezwał się słowem, nie spojrział nawet na leśniczego, tylko z ponurą miną odszedł w głąb lasu, a potem leśniczy słyszał oddalający się tętent końskich kopyt. Wydał wargi i burknął:

- Jakiś wariat!

I poszedł przed siebie.

Podobnego młodzieńca widziano jeszcze w wielu różnych miejscach. Ale zawsze w pobliżu wsi. Szalał na czarnym ogierze, pędził przez wzgórze i leśne drogi na złamanie karku. Miał chore, świecące oczy i ciemne oblicze.

- Nic, tylko szaleju się najadł - komentowali chłopci. Albo powiadali: - A niemało to młodych w obłęd wpada. Życie robi z ludźmi straszne rzeczy. Zawsze się tak dzieje, gdy nadchodzi wojna - smutno kiwali głowami.

W ostatnich dniach sierpnia Kasia wyszła na wzgórze, niedaleko stawu, rozłożyła koc, położyła się na nim i patrzyła w dal. Henio Lanckoroński zostawił ją u rodziców, a sam wyjechał na jakiś czas do Lwowa, by w bibliotece Ossolińskich zebrać materiał do naukowej dysertacji, dając w ten sposób także Kasi czas na przemyślenie ich związku. Leżała do późnego popołudnia, a pod wieczór rozebrała się do kąpieli i pływała w stawie. Zdawało się jej, że usłyszała rzenie konia, wystawiła głowę, lecz nikogo nie dostrzegła. Gdy wyszła z wody, wytarła się i ubrała, dostrzegła długi cień Przed sobą. Szybko się obejrzała i zobaczyła zjawę. Nieznajomy

217

z kościoła niemo się w nią wpatrywał. Jego czarne, świdrujące oczy przenikały jej duszę. Stała jak osłupiała. Złękła się, że to znowu duch. Ale nieznajomy zrobił krok w jej stronę i zatrzymał się

Patrzyli na siebie jak urzeczeni. Tak samo jak w kościele. Widziała wysokiego, młodego mężczyznę, z zarostem na twarzy i czarnym wąsikiem pod nosem. Był ubrany w długie ciemne spodnie i w szarą koszulę. Parzyła w jego czarne jak smoła oczy, które tak samo, jak za pierwszym razem, znowu ją pożerały. Ona też wzroku od niego oderwać nie mogła. I sami nie wiedzieli, kiedy i w jaki sposób się to stało, nagle rzucili się ku sobie i młody mężczyzna w jakimś transie, w dzikim opętaniu wbił się w jej gorące ciało, łapczywie poszukując jej

warg, języka, szyi i piersi. Leżeli wśród wysokich traw, w cieniu wielkiego dębu, złąknie-ni i porażeni straszną namiętnością, która wyrwała korzenie z ziemi, a ich spychała w objęcia wielkiej wichury, ogromnego, ciemnego leju powietrza i wpadli w szybki wir przestrzeni, tonąc w ciemności. Słyszeli swoje nagłe, rwane szepty. I były to jego szepty do jej nagich piersi, brzucha i łona. I jej szepty do świata, który się spełnił w jej wnętrzu, w gorącej krwi ciała. Tonęli w ślepej miłości. A jej nagły, dojmujący krzyk przeszył przestrzeń. A kiedy nasycili swoje zmysły i ciała, popatrzeli na siebie ze zdumieniem, jakby odkryli najważniejszą prawdę swojego życia. Po chwili znowu runęli na siebie, jak zgłodniałe zwierzęta i kochali się długo, bez pamięci, w mrokach wieczoru, pośród śpiewu ptaków i wschodzących gwiazd. A potem długo leżeli w ciszy, zasłuchani w bicie swoich serc. I nagle on wstał, wskoczył na konia, który stał w krzakach, a ona patrzyła za nim jak za zjawą. Nie знаła nawet jego imienia. Znikał odległy i tajemniczy. Jeszcze słyszała tętent konia, a potem tylko wzgórze powtarzały po nim echo. Patrzyła na atramentowe niebo, usiane błyskami spadających gwiazd. Pomyślała, że znaczą one drogę szczęścia i że jest to jej droga. Poczuli się lekka, młoda i szczęśliwa. Na wzgórzu, w trawach zostawiła niedawne jeszcze ból i cierpienie.

218

ZWIERZENIE

Chciała śpiewać, tańczyć i grać na skrzypcach. Uniosła ramiona i tańczyła na polnej drodze. A potem pobiegła do domu, zobaczyła matkę, wpadła jej w ramiona i matka poczuła, jak drży. Gdy spojrzała jej w twarz, zrozumiała, że stało się coś ważnego. Oczy Kasi płonęły. Kasia była szczęśliwa. Z jej twarzy znikła melancholia. Tuliła ją i głaskała po głowie. Po tylu tygodniach milczenia i zagubienia, Kasia na nowo się odnalazła. Obejmowała ją i zobaczyła w jej włosach wysuszone trawy, wplątane liście i drobne grudki ziemi. Nie miała wątpliwości, co się stało. Tylko kim był ten mężczyzna. A Kasia, czując na swojej głowie delikatną dłoń matki, jeszcze mocniej do niej przylgnęła. Matka nie odrzuciła jej, nie potępiła, jak inne matki, tylko całowała i szeptała: - Dobrze, Kasiu, już dobrze - tak samo, jak niegdyś, gdy była mała. W domu panowała głęboka cisza. Były tylko we dwie. Młynarz kręcił się po gospodarstwie, więc mogły dowoli się nagadać.

W pewnej chwili obie wybuchnęły głośnym śmiechem i złapały się za ramiona, jakby chciały zatańczyć. Matka patrzyła na Kasię zaskoczona, a ona wciąż się śmiała.

- Więc nie wiesz? - spytał matka.

Kasia rozłożyła ręce. Matka chciała wiedzieć, kim jest mężczyzna, któremu się Kasia oddała i jak ma na imię, ale Kasia nie znała jego imienia i nie wiedziała, kim jest. I matka zamiast zrugać Kasię, wybuchnęła śmiechem. I obie już się śmiały. Inna by krzyczała, że nie wypada, że jest mężatką, a oddaje się byle komu, jakiemuś kmiotkowi czy przybłędzie przy drodze, ale młynarzowa, pomna utraconej miłości, przyjęła to jako dar Boży. A Kasia wyznała jej, że wybranek najpewniej jest Ukraińcem. Ale i tego matka nie potępiła, mimo że do tej pory takiej myśli do głowy nie dopuszczała.

219

NOC

W nocy Kasia przypominała sobie każdą spędzoną z nim chwilę, nie chcąc uronić żadnego śladu, znaku, głosu i szeptu. Przypominała sobie, jak go zobaczyła, jak na nią patrzył, barwę jego głosu, pełne głodu ciało i dotyk dłoni, delikatny i mocny, gdy brał ją za poślądki i mocno rozciągał. A gdy nadszedł sen, znowu była w jego objęciach. Rano wstała szczęśliwa, wesola, aż ojciec przy śniadaniu odłożył łyżkę, by się jej dokładnie przyjrzeć. Długo się w nią wpatrywał, a ona się uśmiechała. Machnął głową, dając do zrozumienia, że nie może się już połapać w jej kapryśkach. Raz chodzi jak zjawą, to znowu śmieje się radośnie. A kiedy na nią znowu spojrział i zobaczył pogodną twarz i roziskrzony oczy, uznał, że małżeństwo jej dobrze służy. A wcześniejsze humory złożył na karb trudnego dojrzewania. Po czym wstał i zabrał

się do roboty, mając nadzieję, że Kasia pojeła, jakie spotkało ją szczęście, gdy wyszła za męża. I niedługo on, inżynier, Jakub Kukułka, zostanie szczęśliwym dziadkiem. Nawet chciał wysłać depezę do nauczyciela i objawić mu, że córka odzyskała rozum i spełniły się jego przewidywania, że ślub był słusznym wyborem, ale nawał roboty w młynie nie pozwolił mu na to. Wyszedł na dwór i wesoło pogwizdując, myślał już z czułością o swojej mądrej córce, która przejrzała na oczy. Matka dyskretnie zerknęła na Kasię, a w chwilę później obie wybrały się na pole, by zbierać bukiet czerwonych maków i bławatków do wazonika. Przez kilka dni Kasia zajmowała się pisaniem dzienniczka. Dokładnie relacjonowała, co się z nią działo i co przeżywa. Na sto sposobów opowiadała tamten wieczór, w którym nieznajomy raz był księciem z bajki, raz rycerzem na koniu albo czarodziejem, w każdym razie postacią z obcego świata.

220

Na mszy jednak nie zobaczyła swego rycerza. Na następnej też nie. Zniknął jak kamień w wodę. I znowu zaczęła za nim tęsknić i wyobrazać sobie, że to tylko złudzenie. Aż któregoś popołudnia zaskoczył ją znowu. Zbierała grzyby w lesie. Zaszedł ją od tyłu i zacisnął dłonie na oczach. Najpierw się przestraszyła, że to ktoś obcy. Ale zaraz poznała jego ręce. Odwróciła się i zobaczyła pożerające ją oczy. Padli sobie w ramiona i runęli na ziemię. A później gnietli trawy, przewracali się, zachłannie poszukując swoich ciał. Mężczyzna wbijał się w nią głęboko, a ona gryzła wargi i jęczała. I zdawało się jej, że znowu pęka pod nią ziemia i świat wiruje. A ona, tak samo, jak przedtem, leci w głęboką otchłań. Gdy obudziła się, jego nie było. Tylko tętent kopyt konia oznajmiał, że oddała się przez leśne ścieżki. Słyszała wciąż jego dziki, porywczy szept:

- Kochanija moje, bez tebe pomru!

Bezwiednie powtarzała: Mitia, Mitia i sama nie wiedziała, skąd zna to imię i kiedy je po raz pierwszy usłyszała. Wciąż ją zaskakiwał. Gdy najmniej się tego spodziewała, zjawiał się jak wichur i brał ją jak własność, na polu, w lesie, w stogu siana, wśród sianokosów, nad stawem, w stodole, a nawet pod młynem, kiedy jej ojciec stał niedaleko, a oni się w wysokich trawach kochali. Nigdy nie była pewna, co i kiedy ją spotka. Żyła jak w otumanieniu. A matka za każdym razem wyjmowała z jej włosów kwiat koniczyny, źdźbło trawy lub drobny liść. Nic innego poza Mitią już dla niej nie istniało. Czasami popadała w nagły smutek, ale on znowu rzucał ją w trawy i czuła jak wiruje ziemia.

Na listy męża nie odpowiadała. Nawet nie otwierała kopert, odkładając je na stosik w nocnej szafce. A gdy ojciec pytał, co Henio pisze, odpowiadała zdawkowo, że nic szczególnego, pracuje i zbiera materiały do książki. Młynarz widząc jej odmienioną twarz i radosne usposobienie, już z całą pewnością przypisywał sobie sukces, jaki odniósł, zalecając jej kurację małżeńską.

221

WOJNA

Itak mijało lato. Na starych murach zamku zapaliła ogień Czarna Dama. Miała podniesioną głowę i nieruchomo wpatrywała się w niebo. Wtedy wybuchła wojna.

Wojsko polskie w pośpiechu się wycofywało. Panował nieopisany bałagan i chaos. Każdy uciekał, gdzie mógł. Młynarz wprawdzie burczał, że liczy jeszcze na talenty strategiczne naczelnego wodza, marszałka Rydza-Śmigłego, ale szybko się przekonał, że nawet marszałek nie jest w stanie przeciwstawić się potężnej machinie wojennej Hitlera. Jeszcze kilka dni wcześniej gazety rozpisywały się, że Rydz-Śmigły to nieustraszony dowódca, śmiały taktyk i niezastąpiony wódz. Porównywały go nawet do samego Marszałka Piłsudskiego. I młynarz także tak sądził. I powtarzał za innymi słynną dydaktyczną piosenkę, której słowa brzmiały: Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły-Rydz.

Niestety, pierwszy września 1939 roku przekreślił wszelkie nadzieje. Rydz-Śmigły nie miał recepty na zwycięstwo. Radio donosiło, że Hitler napadł na Polskę i szybko przerwał linie obronne. Polska obrona, jakkolwiek heroiczna, nie przydała się na nic.

I znowu panny śpiewały:

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, Że za tobą idą, że za tobą idą, Chłopcy malowani. Chłopcy malowani, sami wybierani, Wojenko, wojenko, wojenko, wojenko, Cóżeś ty za pani...

222

Młynarz chodził nachmurzony, warczał pod nosem, że sojusznicy zdradzili. Nie mógł zrozumieć, dlaczego armia polska okazała się taka słaba. Jeszcze nie tak dawno na przyjęciu we Lwowie zapewniali go oficerowie, że guzika nie oddadzą, a tu taka katastrofa. Miał żal do naczelnego wodza, że okazał się nieudolnym strategiem i niemal od razu stracił kontrolę nad armią, nie potrafiąc zorganizować nawet łączności ani logistycznego zaplecza dla żołnierzy i kadry wojskowej. Zamiast ustanowić silną linię obrony, burczał młynarz, inżynier i jak się okazało znawca wojskowości, nasz wódz wycofał się, naiwnie sądząc, że z Zachodu przyjdzie pomoc aliantów i wtedy razem z nimi odepchnie napastnika. Ale pomoc nie przyszła. Dopiero trzeciego września Wielka Brytania i Francja przystąpiły do II wojny światowej, zresztą formalnie, bo praktycznie nic nie robiąc. Jednak Hitler już miał spustoszenie. Niemiecka doktryna wojskowa, Blitzkrieg, jak donosiło radio, czyli wojny błyskawicznej, święciła triumfy.

Młynarz zaciskał zęby i po cichu kłął, nie ujawniając swojego gniewu przed całym domem, by nie siać i tak wystarczającego przygnębienia i strachu. Na Pokuciu i Podolu widać było jak na dłoni, jak polskie wojsko w rozproszeniu i popłochu bezładnie się wycofuje. Młynarz zachodził do karczmy, by posłuchać opinii mądrych Żydów, co o tym sądzą, a także zasięgał rady księdza, który patrzył na niego smutnymi oczami i cicho wyrzucał: - Za mało wiary, Jakubie, za mało wiary w ludziach.

Młynarz sam musiał sobie radzić. Bał się o dom, gospodarkę, młyn i rodzinę, a najbardziej o Kasię. Tymczasem wyrastające jak grzyby po deszczu ukraińskie bandy napadały na niewielkie polskie oddziały, rozbrajały je, zagarniały broń i w pień wycinały żołnierzy. W końcu dowiedział się od krawca Hermanna, że coraz trudniejsza staje się sytuacja Rydza-Śmigłego i całego polskiego dowództwa. Ewakuowała się nawet kancelaria prezydenta. A krawiec nie rzucał słów na wiatr. Zawsze wiedział dużo więcej niż mni, choć nigdy wszystkiego nie mówił, zostawiając najważniejsze informacje dla siebie.

Polskie radio szybko zamilkło. Pozostały stacje zagraniczne- W pierwszych dniach września 1939 r. zbombardowana zo-

223

stała radiostacja w Raszynie. A Warszawa II, uruchomiona na rozkaz cywilnego komendanta stolicy, prezydenta Stefana Starzyńskiego, przekazywała wiadomości ze świata i informacje" o tym, co się dzieje w stolicy tylko do końca września i jedynie dla słuchaczy niewielkiego terytorium. Niemcy szybko rozgłoszili zdobyli i polskie radio przestało nadawać.

Ale i na Kresy nadszedł sądny dzień.

Rano, 17 września, na Polskę napadła sowiecka Rosja, a jej kolumny pancerne przekroczyły granicę pod Korcem i Ostrogiem, zajęły Husiatyn, a kolumny kawalerii i artylerii przedzierały się przez całą linię wschodniej granicy Polski. I tego samego dnia zajęły Tarnopol, Zbaraż i Żałożce, a dwa dni później, 19 września, stanęły na przedmieściach Lwowa.

Ludzie popadli w popłoch.

Zewsząd napływały meldunki, że Sowieci zagarniają polską ziemię.

224

RZĄD OBRADUJE W KOŁOMYI

Tego samego dnia, 17 września 1939 roku, przybyły do Kołomyi najwyższe władze Polski z prezydentem, Ignacym Mościckim, premierem, Kazimierzem Bartlem i naczelnym wodzem, Edwardem Rydzem-Śmigłym. I już o godzinie 11,30 obradowały, zastanawiając się nad aktualną sytuacją w kraju. Potem przeniosły się do Kut, gdzie nadal radziły, jakie podjąć kroki. Sytuacja stawała się beznadziejna. Wódz naczelny, Edward Rydz-Śmigły, wydał dyrektywę o wycofaniu wojska i rządu do Rumunii i na Węgry. A ostatnie zdanie tej dyrektywy, skierowane do żołnierzy, brzmiało: Będziecie jeszcze bić się za Polskę i wrócić do Polski przynosząc jej zwycięstwo. Zaś prezydent Mościcki w ogłoszonym w Kosowie, pod Kołomyją, „Orędziu do Narodu” określił wojskowe działania sowieckie jako akt agresji. I kończył zdaniem, zwracając się do rodaków: Na każdego z was spada dzisiaj obowiązek czuwania nad honorem Naszego Narodu w najcięższych warunkach. Opatrzność wymierzy nam sprawiedliwość.

I stało się.

W nocy z siedemnastego na osiemnastego września rząd polski z częścią armii zaczął się przeprowadzać do Rumunii i na Węgry.

A na Kresach dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy i oficerów trafiło do sowieckiej niewoli. Z zagarniętych terenów niosły się straszne wieści. Sowietnicy zaczęli mordować polskich oficerów w drodze do obozów pracy. Opowiadano ze zgrozą w oczach, że całe transporty z jeńcami wojennymi, głównie oficerami, odjeżdżają w nieznanym kierunku i nie wiadomo, jaki spotka ich los. Bo Sowietnicy, szeptano po izbach, są kłamliwi i wiarołomni. I gotowi jeńców zgładzić. Widzieli świadkowie, jak grubo ponad tysiąc polskich rozbrojonych oficerów ze Lwowa pognali pieszo w stronę Winnik, a potem w kierunku Krasnego i dalej kolejną do

225

Starobielska i Charkowa, gdzie osadzono ich w obozach jeńców. Potem wszelki słuch o nich zaginął.

W wielu chatkach ze strachem popatrywano zarówno na wschód, jak i na zachód. Zewsząd wiało grozą i nieszczęściem. Anglia i Francja zawiodły. Nie wspomogły Polski w pierwszych dniach walki. Nastąpiło załamanie w armii, a strach paraliżował ludzkie działania. Nie wiadomo było, czy uciekać, czy trwać na posterunku. Kobiety płakały po kątach. Mężczyźni bezradnie rozglądali się wokół siebie. Nie można było zostawić dobytku i uciekać. Ale nie można też było trwać w bezczynności. Toteż każdy kto mógł, zabezpieczał swój majątek, jak potrafił, krył swoje dobra, zastawy stołowe, srebrne łyżki, zegarki, pierścionki, złote monety. Ale przecież nie mógł ukryć domu, gospodarstwa, zwierząt i całego dobytku. Tu i ówdzie, na wszelki wypadek, kopano ziemianki, jakby schrony, czy bunkry, by się w nich chować. W domach trwały nieustające i gorączkowe narady. Co robić, jak postępować, dokąd pójść i jak się ratować. Nie wiadomo było, co się stanie z ludnością cywilną. Napływające informacje nie pozwalały ludziom spokojnie spać ani snuć planów na przyszłość. Bo przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Pożar wojenny zagarniał coraz to nowe tereny. Szerzyły się pogłoski, że Sowietnicy wszystkich wywiozą na Sybir albo zapędzą do kołchozów w głąb Rosji. Kobiety modliły się po kościołach o ratunek do Boga, ale ratunek nie nadchodził.

Nie oznaczało to jednak, że wszyscy polscy żołnierze przestali walczyć i uciekali do Rumunii czy na Węgry. Przeciwnie, wiele wojsk polskich nadal walczyło. Na zachodzie wciąż wojna trwała. Polska się zmagала z o wiele silniejszym wrogiem, Niemcami, i nie poddawała się. Warszawa się broniła. A armie frontu środkowego toczyły ostry bój pod Tomaszowem Lubelskim. Natomiast na Pokuciu 49. Huculski Pułk Piechoty wraz z 53. Pułkiem Strzelców Kresowych w drugiej połowie września brawurowym atakiem na bagnety rozgromił pod Mużyłowicami elitarny niemiecki pułk SS „Germania”. Takiego sukcesu nie odniosła żadna armia w pierwszej fazie wojny, ale najazd sowieckich wojsk zmusił polskie oddziały do odwrotu.

Dodajmy, że żołnierze przeprawiali się do Rumunii wzdłuż linii Kut, Kosów i Wyżnica, a dalej przez Czerniowce i rzekę Czeremosz. Ruchy wojsk były widoczne.

W Kołomyi nikt już nie miał wątpliwości, że Polska pada.

Polskie oddziały wciąż się przeprowały przez most na Dniestrze w Zaleszczykach, a reszta wojska szła w stronę przełęczy górskiej i dalej na Węgry. Jednak główny nurt przeprawy, włącznie z prezydentem, naczelnym wodzem i rządem przesunął się w stronę Rumunii przez rzekę Czeremosz.

A przez Pokucie niosła się smutna wieść, że Czarna Dama ma zapłakaną twarz.

POWITANIE SOWIETÓW

Po opuszczeniu okolicy przez polskie władze, szybko poczęła się na tym terenie organizować ukraińska i żydowska milicja. Ukraińska nosiła na rękawach niebiesko-żółte opaski, a żydowska czerwone.

Do Kołomyi armia sowiecka wkroczyła 18 września 1939 roku po południu. I trzydziestopięciotysięczne miasto znalazło się pod okupacją. Na budynkach urzędów powiewały już czerwone sztandary. Tłumy ukraińskiej młodzieży wyszły napastnikom naprzeciw, bijąc brawa i owacyjnie witając radosnymi okrzykami i kwiatami. A jakiś chłopak wdrapał się na budynek ukraińskiej szkoły im. Tarasa Szewczenki i zatknął na dachu niebiesko-żółtą flagę, symbol niepodległej Ukrainy. Ale sowiecki żołdat z czołgu wypuścił w kierunku flagi serię z karabinu maszynowego, rozrywając ją na strzępy. I flaga spadła na ulicę. A gdy go ukraiński młodzieniec spytał, dlaczego to uczynił, żołnierz odparł z całą powagą i surowością:

- U nas odin cwiety, krasnyj.

Dwudziesty września zaczął się piękną, słoneczną pogodą. W sadach niewielkiego nadgranicznego miasteczka, w Kutach, roznosił się zapach dojrzałych owoców, jabłek, śliwek i grusz. I wtedy gruchnęła trwożliwa wieść, że na przedmieściach pojawiły się sowieckie wojska. Wkrótce do centrum miasta wjechały obce tanki. Polacy z lękiem wycofywali się do swoich domów. Natomiast w kierunku czołgów rzucili się z entuzjastycznymi gestami powitania żydowscy i ukraińscy milicjanci. A tuż za nimi żydowska i ukraińska ludność cywilna, rzucając „wyzwolicielem”, jak głośno fruwały wokół ulotki, bukiety kwiatów i wznosząc na ich cześć entuzjastyczne okrzyki radości.

Sowieckie tanki zatrzymały się koło szkoły podstawowej dla chłopców. Młodzież wskakiwała na maski czołgów i ścisłała najeźdźców. Wiwatowaniu, brataniu się i przyjaznym okrzykom nie byłoby końca, gdyby któryś z ukraińskich milicjanów nie zauważył jak spod piekarni Różankowskiego, z ulicy Tiudowskiej, wyjeżdża samochód ciężarowy z polskimi znakami wojskowymi, obładowany workami chleba, które miały trafić do żołnierzy przekraczających granicę na Czeremoszu, a także dla tych, którzy znaleźli się już po drugiej stronie mostu. Chłopiec ów wskazał sowieckim żołnierzom skręcający w stronę Rumunii samochód. Trzy ruskie czołgi z miejsca ruszyły w pościg. Polski kierowca dodał gazu i ciężarówka na zakręcie zatoczyła szeroki łuk, chcąc wjechać na ulicę Kolejową, ale nie wyrobiła zakrętu i z impetem wpadła na płot posesji Rypsyny Mojzesowicz, wywracając się, a chleb rozsypał się po całej ziemi. Z sowieckich czołgów padły strzały. Kierowca zdołał uciec, ale siedzący obok niego żołnierz w stopniu kaprała, jak się później okazało, znany polski pisarz, legenda przedwojennych salonów Warszawy i Lwowa, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, autor słynnego dzieła Kariera Nikodema Dyzmy, zginął na miejscu. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła miasto. Ciało pisarza zabrał na wóz jeden z mieszkańców, zwany Tonde-lem, i zawiózł je do kaplicy cmentarnej. Natomiast właścicielka posesji, p. Mojzesowicz, pozbiierała dokumenty pisarza i inne drobiazgi, i oddała je pełniącemu wtedy obowiązki burmistrza Kut, księdzu

wyznania ormiańsko-katolickiego, Samuelowi Ma-nugiewiczowi. Sowieci pozwolili duchownemu zająć się pogrzebem. Trzy dni później przygotowania do pochówku powierzono zakładowi pogrzebowemu państwa Antoszewskich. Ciało pisarza włożono do metalowej trumny zalutowanej w taki sposób, by umożliwić najbliższej rodzinie we właściwym czasie przewiezienie zwłok w inne miejsce. I trumna została umieszczona w nowo zbudowanym i pustym jeszcze grobowcu należącym do znanej w okolicy ormiańskiej rodziny Ohanowiczów, w pobliżu cmentarnej kaplicy. Pogrzeb przerodził się w wielką manifestację patriotyczną, w której brali udział głównie Polacy, Żydzi, Ukraińcy i Ormianie, ale także przedstawiciele innych nacji za-

229

mieszkańców Pokucie. Ceremonię przy trumnie odprawiali dwaj księża, jeden wyznania ormiańsko-katolickiego, wspomniany już ksiądz proboszcz, Samuel Manugiewicz oraz kapłan wyznania rzymsko-katolickiego, ksiądz proboszcz, Wincenty Smal.

A żołnierze, którzy przepawali się przez rzekę, oglądali się za siebie ze łzami w oczach, jakby nie wierząc we własną klęskę. Przez most sunęły nowe, nieużywane jeszcze w boju czołgi, działa przeciwpancerne, saperzy z pontonami, kuchnie polowe i zaplecze sanitarne. Wszystko już było dla obrony polskich granic bezużyteczne. Nie było wiadomo, co się z tym wszystkim stanie. I jaki los spotka polskich żołnierzy na obczyźnie. I znowu nuciły panny smutną pieśń:

Rozkwiwały pąki białych róż, Wróć Jasieńku z tej wojenki już. Wróć, ucałuj jak za dawnych lat, Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat.

Władze polskie po przekroczeniu granicy polsko-rumuńskiej pragnęły przedostać się do Francji. A potem powołać rząd emigracyjny. Nie zdołały. Zostały internowane.

Młynarz nerwowo przerzucał szpalty gazet, szukając najnowszych doniesień. Właśnie dowiedział się, że 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, który jeszcze niedawno stacjonował we Lwowie, toczy pod dowództwem pułkownika Edwarda Godlewskiego heroiczną walkę z okrażającymi stolicę wojskami hitlerowskimi i po ciężkich bojach, przerywając pierścień niemiecki, przedostaje się pod Dąbrową Leśną do stolicy, gdzie już walczy aż do kapitulacji Warszawy.

Pomyślał, że może jeszcze odwrócą się losy wojny.

230

GWAŁTY

Na wieś padł blady strach. Chłopi bali się wojska, aresztowań, wcieleń do obcej armii i Syberii. Ale nadeszło i nowe nieszczęście - kołchozy. Ludzie wiedzieli, że to zaraza. Już od uciekinierów z radiańskiej Ukrainy nasłuchali się, jak kołchozy niszczą życie i gospodarkę, tworzą terror, doprowadzają do nędzy, głodu i śmierci. I wiedzieli, jak gęsto pada trup. Dawaj zboże, bydło, jedzenie i ostatnią koszulę, bo jak nie dasz, to idziesz na zsyłkę. I tutaj tak się zaczęło, myśleli przerażeni. A już najbardziej ze strachu trzęśli się bieżeńcy, jak ich tutaj nazywano, czyli uciekinierzy z kołchozowego szczęścia. Ponure wieści o dramatach, jakie na sowieckiej Ukrainie się rozgrywały, wciąż drażyły umysły chłopów.

Wasyłko, Hryćko, Kundera i Świszczuk załamywali z rozpaczony ręce i szukali dla siebie ratunku. Ale ratunku nie było. Władza radziecka nie przebacza. A oni zdradzili i uciekli z rajku. I pierwsi padną ofiarą. Ledwie dom postawili, a już się znajdują na Syberii.

Przez wioski przewalała się armia z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Wyglądała strasznie i śmiesznie, równocześnie. Istny obraz nędzy i rozpaczony, połączony ze grozą i przerażeniem. Żołnierze byli brudni, zaniedbani i obszarpani. Mundury w strzępach, porwane i obwiązane konopnymi sznurami. Karabiny zawieszono na jakichś szmatkach i drutach. Głód im wzywał z oczu. Ledwie powłóczyli nogami, ale szli. I byli groźni, z gniewem i nienawiścią w oczach. Szli bić polskich panów. I wszystkiego można się było po nich

spodziewać. A ich nieliczne pojazdy sapały, prychały i co rusz się psuły. Mimo to parli do przodu. Nędza z bidą w Polskę idą, można było powiedzieć, trawestując słowa poety. Najważniejsze urzędy w mieście, milicję i administrację opanowali przybysze z sowieckich guberni i przy pomocy NKWD wła-

231

dali Kołomyją. Za swoich zauszników mieli, jak się tu mówiło, czerwonych Rusinów. I w dużej części Żydów. Milicją trzęśli Ukraińcy.

Do młynarza docierały zatrważające wieści. Słyszał, że Sowieci tylko jednego dnia aresztowali ponad dwanaście tysięcy polskich obywateli, a wśród nich setki oficerów, tysiące żandarmów, policjantów, agentów tajnej policji oraz ziemian, kupców, fabrykantów i urzędników. I wszystkich zesłali na Sybir. Wielu z nich usiłowało się dostać do powstającej polskiej partyzantki, którą 16 września 1939 roku tworzył na rozkaz Rydza-Śmigłego w Kołomyi mjr Edmund Galinat, ale nie zdążyli, bo wcześniej dopadły ich sowieckie wojska. Młynarz rozważał różne warianty swojej sytuacji. Jako właściciel młyna i obszarnik był pierwszy do odstrzału. Wiedział o tym doskonale. Tylko nie wiedział, kiedy się to stanie. Czy ma uciekać, czy zostać. A może wyjechać do miasta? Albo za granicę? Ale jak, dokąd? - kłębiły się pytania. Naradzał się z księdzem Robertem, ale ksiądz kazał się tylko modlić. Pytał, co czynić karczmarza Feldmana i krawca Hermanna. Karczmarz rozkładał ręce i nie umiał mu doradzić. Zaś krawiec Hermann go uspokajał, że nie ma powodu do strachu, bo Ruskie też są ludźmi i Polaków nie zeżrą. Młynarz kręcił głową. Nie podobały mu się uspokajające słowa krawca. Patrzył na niego podejrzliwie. A krawiec wydawał się nadmiernie, jak na takie czasy, spokojny i pewny siebie. I to młynarza zastanowiło. Na wszelki wypadek postanowił zasięgnąć języka u znajomych w Kołomyi, a przy okazji zrobić niezbędne zakupy dla młyna i sprawić drobną niespodziankę Kasi. Wziął bryczkę, posadził młynarzową i pojechał. Kasia została w domu sama. Miał wrócić wieczorem.

Gdy Kasia po południu czytała książkę, nagle rozległ się warkot samochodu. A potem głośnie dudnienie w drzwi. Wpadli dwaj żołnierze z dzikimi twarzami. Brudni, zaniedbani, straszni. Jeden rzucił się na Kasię, która nawet nie zdążyła krzyknąć, a drugi ryknął:

- Miaso, dawaj mięso!

I nie czekając na odpowiedź, runął w stronę spichlerza. Ale nie znalazł mięsa. Zaczął szperać po pokojach i szafach. Rabował

232

naszyjniki, spinki do rękawów, korale, złote monety. Zbiegł na dół, gdzie już na niego czekali inni. I poczęli grabić kurnik i świniarnię, wrzucając do samochodu kury, prosiaki i kaczki. Kasia broniła się przed gwałtem. Wydrapywała sapiącemu żołdakowi oczy, gryzła ręce i krzyczała. A on na odlew rąbnął ją pięścią w twarz i syknął:

-Małczy, blad'!

I rozrywał stanik, ściągał majtki i wkładał owłosione łapsko między nogi. A gdy wyrwała się, dzikus się wściekł. Jego oczy przeżarte żądzą, płonęły złym ogniem. Runął na nią i wałnął pięścią w twarz. Zamroczona, zachwiała się i upadła. A on na nią. Jak lwica gryzła go i szarpała za włosy. Przygniótł ją potężną łapą, sapał i charczał, kołysał się nad nią, a drugą ręką wyciągał z rozporka sterczącego fallusa i wpychał jej w usta. Z obrzydzeniem szarpnęła się. A dzikus napierał jak czołg. Ostatkiem sił odepchnęła go, a osilek się wściekł.

- Zabju, sobaka! - warknął.

I znowu zaatakował. Zobaczyła jego straszłą, nabrzmiąłą gębę. Przed jej oczami drgał gruby jak u ogiera członek. Targnął nią straszny skurcz żołądka. Zwymiotowała. A strumień nieczystości zalał mu mundur. Dzikus zdzielił ją na odlew, stęzał na gębie i wbijając gały w jej nagie ciało, zawył, skurczył się i trysnął na nią gorącą spermą. Zalał jej twarz, oczy i usta. Z odrazą splunęła. A żołdak zapinając spodnie, bluzgał:

- Proklatają, polskają blad'. Jeszcze wiernus', job twoju mat'! Z dołu rozległ się krzyk. Drugi Sowiet krzyczał, by ten z góry się pospieszył:

- Bystrej, Sasza, bystrej!

Potwór znad Kasi warknął: - Suka! - I ruchami małpy zbiegł na dół.

Po chwili usłyszała szum odjeżdżającego samochodu.

Zwlokła się do kuchni, brudna, z odruchami wymiotnymi, szybko się wymyła, nałożyła nową sukienkę, zabarykadowała się i ze strachem patrzyła przez okno, czy nie wróci. Lecz samochód pognął za armią, która zatrzymała się dopiero za wsią. Przez inne chaty też przeleciała fala napadów, grabieży i gwałtów. Ludzie byli w szoku.

233

Gospodarze chodzili po obejściach jak struci. A wojsko parło na południowy zachód. Resztki polskich oddziałów w panice się cofało ku rumuńskiej granicy. A ci, którzy dostali się do niewoli, szli boso jak katorżnicy pędzeni na Wschód i nie było dla nich litości.

Wśród nich ktoś zauważył kapitana Sztukela, który włókł się ze zwieszoną głową, bez odznaczeń i epoletów. A obok niego powłócząc nogami i kulejąc, posuwali się wolno oficerowie z jego sztabu, z poodrywanyymi guzikami, brudni i zaniedbani. Poganiali ich, głodnych i pół żywych. Matki i córki jęczały, wzywały pomocy Boga, padały na kolana, unosiły do góry ręce, ale nie zaznawały litości. Ich i ich mężów, braci i synów wrzucano jak worki na kibitki albo gnano jak stado psów przed sobą i kierowano na wschód. Z Pokucia coraz więcej taborów opuszczało Kresy i sunęło na Syberię.

Sowieci, po zakorzenieniu się w Kołomyi, instalowali swoją władzę w gminie. I nie pozostawiali złudzeń, że się stąd nie wyniosą. Młodzi Ukraińcy z góry i pogardliwie patrzyli na Polaków, którzy w milczeniu zamykali się w domach. A starzy z zakłopotaniem odwracali oczy i ginęli w obejściach. Ruskie zajmowali polskie ziemie, majątki, fabryki i folwarki. Z osłupieniem patrzyli ludzie, jak ubogi krawiec, Izaak Hermann, na powitanie Sowietów wywiesił w swojej chacie czerwoną flagę, wyszedł na próg domu i dumnie uniósł do góry głowę.

- Hermann, czyś ty się szaleju najadł? Człowieku, diabeł cię opętał?! - pukali się w głowy chłopci.

A on robił groźną minę i burczał pod nosem, że teraz zapanuje władza ludu i jak będą mądrzy, to do niego dołączą, bo też są, tak jak on, ludem.

- My Polacy, Hermann! Nie pamiętasz, kim jesteśmy? Mamy swoją godność. Nie będziemy się z kacapami zadawać! To bandyci i złodzieje - odkrzykiwali.

A on burczał:

- Nastal czas klasy robotniczej i postępowego chłopstwa.

- Co on bredzi?! - nie rozumieli chłopci. - Jakiej klasy robotniczej? Jakiego postępowego chłopstwa? Przecież to Moskale, Izaak! Nie widzisz? Dicz! - nie mogli wyjść ze zdumienia.

- Mo-

234

skale! Sowiet! Napadli na nas, nóż nam wbili w plecy, zgrabili naszą ziemię, nasze żony gwałcą, kołchozy będą zakładać.

- Teraz będzie wolność, równość i braterstwo - ucinął zimno. - I nikt nie będzie mnie nazywał parszywym Żydem. Skończył się czas pańskiej Polski. Dumnej i pełnej pychy. Nadchodzi pora zgnębionego, poniżonego i przez wieki upokarzanego ludu. Zapłacicie teraz za doznane przez nas krzywdy i upokorzenia. I lepiej zamilczcie! Bo jak nie... - zagroził.

Chłopci zaczęli się wycofywać. Patrzyli na niego ze strachem. Nigdy tak nie mówił. Był jakiś hardy, a jego oczy mściwie przesuwaly się po twarzach. Pochowali się po domach i zerkali przez okna. A wisząca na domu Hermannna czerwona flaga władczo powiewała nad wsią, ogłaszając nową erę.

Krawiec Hermann zdecydowanie poparł sowiecką władzę. Szybko został wójtem, jego syn, Srulek, wstąpił do milicji, a najbliższa rodzina otrzymała intratne posady w powiecie. A wielu z tych, co krzyczeli na niego, nagle znikło. Wieś pogrążyła się w smutku.

Młynarz dowiedział się w Kołomyi od kuzyna młynarzowej, Artura Klajsy, że we Lwowie Sowieci porwali kilku profesorów z Uniwersytetu Jana Kazimierza i z innych uczelni i o wielu z nich słuch zaginął. A nowe władze nadały Uniwersytetowi imię Iwana Franki.

Zlikwidowały też Wydział Teologiczny. Za to stworzyły Katedrę Marksizmu-Leninizmu. Kilku znajomych oficerów młynarza z Huculskiego Pułku Strzelców w Kołomyi zostało aresztowanych i internowanych w obozie w Starobielsku lub w innych obozach. Los ten spotkał też bliskiego przyjaciela młynarza, samego dowódcę 49. Huculskiego Pułku Strzelców, pułkownika Karola Hodałę, oraz dowódcę 1. Batalionu, majora Eugeniusza Lityńskiego i wielu innych. A kapitana artylerii, Kazimierza Siewierskiego, Sowieci zamordowali kilka miesięcy później w Charkowie. Znikali księża, posterunkowi, harcerze, sędziowie, nauczyciele i osadnicy wojskowi.

Ludzie patrzyli z przerażeniem, jak potężne sowieckie czołgi i wojskowe oddziały parły pod rumuńską granicę, zajmując pół Polski. - To czwarty rozbiór - szeptano po kątach.

235

A stare baby kuliły się i patrząc na święte obrazy, modliły się o ratunek.

- Nie będzie już Polski. Zapanuje niewola, przemoc i gwałt -szeptano po domach.

I właśnie gwałtu, dosłownego gwałtu, najbardziej się bały kobiety. Chłopu, który mieszkał pod lasem, Karolowi Kipiakowi, żołdacy zgwałcili sześćdziesięcioletnią matkę. I to nie jeden, a cała kupa zbirów, jeden po drugim, aż matka ducha wyzionęła.

Wieczorem wrócili rodzice Kasi i zastali ją pobladłą i smutną.

- Och, mamuś - rzuciła się w ramiona, łkając w objęciach matki.

- Boże, co się stało?! - przeraziła się młynarzowa.

- Sowieci tu byli - tuliła się.

A gdy ochłoneła, opowiedziała, co się zdarzyło, zatajając wstydlive szczegóły. Opowiedziała, jak Moskale oborę i świniar-nię ogołocili, jak dom splądrowali i krzywdę jej chcieli zrobić, ale ona się nie dała.

Młynarzowa mocno ją tuliła i uspokajała:

- Najważniejsze, Kasiu, że nic ci się nie stało, że żyjesz, córeczko.

Młynarz wyciągnął z kieszeni złoty łańcuszek i jakoś niepewnie jej wręczył, a ona blado się uśmiechnęła, skinęła głową i cicho szepnęła: - Dziękuję, tatusiu - nie bardzo wiedząc, co z podarunkiem zrobić. Kiedy indziej rzuciłaby się ojcu na szyję, a teraz siedziała markotna i milczała.

Kolacji nie mogła zjeść. Wzięła do ręki słodką bułkę, kajzerkę, którą matka przywiozła z Kołomyi, a zawsze jej tak bardzo smakowała, ale tym razem, na wspomnienie odrażającej sceny z sowieckim żołnierzem, nie mogła przełknąć nawet kęsa.

Wzdrygała się i czuła wstręt, a matka patrzyła na nią z troską, ale nie wymuszała, by jadła.

Inżynier Kukułka tylko mściwie zaciskał pięści i burczał:

- Sowiecka dzicz!

Po tygodniu Kasia wróciła do siebie, nawet zaczęła się uśmiechać na myśl, że poradziła sobie z drabem.

Henio Lanckoroński następnego dnia po wkroczeniu Rosjan do Lwowa, wrócił do domu.

Zastał Kasię milczącą, ale opano-

236

waną, bez kaprysów. Mile go to zaskoczyło i zdziwiło, położył to na karb swojego mądrego postępowania. Zabrał ją z powrotem do domu, ale gdy szli spać, Kasia łagodnie, ale stanowczo go odsunęła. Młynarzowa wtajemniczyła go w krótką historię strasznego wydarzenia. Poczul się winny, że nie było go w tej trudnej chwili przy Kasi. I przeprosił ją.

Młynarzowa nalegała, by nie przymuszał jej do niczego, bo Kasia ciągle jest w szoku. Postanowił, że nadal będzie cierpliwy i pełen dobroci, aż w końcu wszystko się ułoży. I zajął się szkołą.

Kasia wstawała wcześniej rano i biegła do matki. A młynarzowa opracowywała strategię drobnych kłamstw i subtelnych uników, słowem, zastanawiała się, jak Kasia ma teraz postępować i układać swoje stosunki z nauczycielem, by nie zaczął podejrzewać, że w jej życiu wtargnął inny mężczyzna.

Stała jednoznacznie i stanowczo po stronie córki. Nauczyciel zaproponował, że zawiezie ją do rodziny pod Kraków, by tam odpoczęła i doszła do siebie, ale Kasia się nie zgodziła. Z listu, jaki otrzymał od krewnych, dowiedział się, że w Małopolsce, a szczególnie w Krakowie pod okupacją niemiecką dzieje się bardzo źle. I opowiedział młynarzowi, że w stolicy Małopolski 6 listopada hitlerowcy przeprowadzili akcję pacyfikacyjną skierowaną przeciwko polskim uczonym. Uwięzili kilkuset profesorów i innych pracowników nauki, a najwięcej z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nawet starych i schorowanych. Wielu z nich nie wytrzymało tortur i zmarło. A wśród nich wybitny znawca literatury, uczony, którego szczególnie nauczyciel cenił, Ignacy Chrzanowski.

- Jak nie dżuma to cholera - skwitował młynarz sytuację pod zaborami.

Nadchodziła zima. Zaczął się bać o swoje gospodarstwo. A najbardziej o młyn, dorobek całego życia. Lękał się, że skonfiskują mu go albo rozbiorą i części wywiozą na Wchód. A on umrze z rozpacz. Miał złe przecucia. I obie panie, w uzgodnieniu z nauczycielem, wysłał do kuzyna żony, do Kołomyi. Ale nadeszło najgorsze.

237

KIBITKI

Luty 1940 roku był lodowaty, mróz ścinał oddech, pozamarzały rzeki, a śnieg zasypał drogi. Ukraińska milicja zagnała chłopów do oczyszczania terenu. W nocy z dziesiątego na jedenasteo lutego do drzwi młynarza zapukali umundurowani mężczyźni z karabinami w rękach i kazali mu się szybko ubierać. Byli brutalni, źli, popychali go, a on nie wiedział, o co im chodzi. Myślał, że to przebrani bandyci. Już chciał się rzucić po strzelbę, gdy usłyszał ryk:

- Nie śmieć! - i dostał po łbie. Aż gwiazdy mu stanęły w oczach.

- Bystrzej, polskaja swołocz! - zobaczył wymierzoną w siebie lufę karabinu. Zrozumiał, że to nie przelewki. Zabrali strzelbę i spytali, czy ma jeszcze inne aruzje, a on odparł, że nie ma, że to broń myśliwska, ponieważ on jest myśliwym i chodzi na polowania.

- A gdzie siemia?- spytał drugi.

Skłamał, że żona leży chora w szpitalu. A córka u przyjaciół we Lwowie. Sprawdzili dom, a gdy się przekonali, że nikogo nie ma, zerknęli do jakichś papierów i komandir dał rozkaz drugiemu, by zajrzał do stajni i zabrał konie. „Całe szczęście, że ogiera zostawiłem w szopie za młynem” - pomyślał młynarz. Po chwili, narzuciwszy kożuszek, z torbą z niezbędnymi rzeczami, pchnięty w plecy, wyszedł z domu. Jeszcze się oglądnał i przygnieciony ciężarem smutku, opuścił głowę. Rzucili go na kibitkę i ruszyli w stronę sołtysa. A potem w kierunku wojskowych osadników, nauczyciela, leśniczego, gajowego, kowala i karczmarza. A ci w mundurach, ziejący alkoholem, rzucali ich na wozy jak śledzie i wywozili na Wschód.

Nauczyciel tej nocy nie spał. Pracował nad dziełem naukowym. Kiedy usłyszał łomotanie w drzwi, pomyślał, że pijany są-

238

siad się dobija, co już się nieraz zdarzało. Niechętnie podszedł, odryglował, nacisnął klamkę i otworzył. Przed nim wyrosli jak spod ziemi sowieccy żołnierze i kazali mu się natychmiast zbierać. Narzucił bluzę, chwycił sweter i wziął walizę, do której cisnął kilka rzeczy i pchnięty kolbą w kark, wałnął głową w ścianę. Poczul ból, a oni go już wypychali z domu. Wkrótce znalazł się na wozie razem z innymi.

Kibitki jechały na Wschód i ciągnęły za sobą długi rząd wygłodniałych ludzi. Były wśród nich stare kobiety i dzieci. I ciągał się ciemny, pokręcony wąż ludzkich istot, sunący wolno przez długie kilometry i wijący się przez rozległe wzgórza, aż zniknął w dali i nikt nie wiedział, co się jeszcze zdarzy. Wozy kierowały się w stronę dworców kolejowych, gdzie czekały pociągi z bydłocymi wagonami, które się potem wlokły tygodniami w kierunku obwodu archangielskiego, kraju krasnojarskiego, obwodu swierdłowskie-go, irkuckiego, na Korn i w kierunku stepów Kazachstanu.

Gdy młynarzowa dowiedziała się, co się stało, natychmiast wróciła z Kasią na wieś.

Kasia była poważna i zamyślona, a ból rysował się na jej twarzy.

W domu zrobiło się pusto i smutno.

Młyn stanął. Młynarzowa milczała. I chodziła ze zwieszoną głową.

239

W PAŁACU IW KARCZMIE

Na Sybir wywozili Polaków, Ukraińców, Żydów, Czechów, Ormian, Greków, Karaimów, Rumunów i Niemców. I wywieźli pana Michała Kulczyckiego z pałacu i jego drobną, kruchą żonę, Adelę. Syn, Antoni, ocalał przez przypadek. Akurat tego dnia odwoził na stację kolejową w Kołomyi swoją narzeczoną, Adrianę, a gdy wrócił, zastał pałac pusty i ogołocony. Zwinął manatki, zabrał ocalałe rzeczy, pamiątki, fotografie, szczątki portretów i wyjechał do Lwowa, zostawiając pałac na łaskę i niełaskę służby. Zainstalowała się tam wkrótce sowiecka wojskowa komendatura.

- Jakże się znęcali nad panem Michałem! Jakże go poniżali, lżyli, przeklinali i szydzili z niego - opowiadali wieśniacy.

- Znaczit, polskij pan!? - drwili. - Znaczit burżuj! - warczeli i popychali go kolbami, gapiąc się na rodowe portrety i waląc w nie karabinami, rozbijając obrazy i stare zdjęcia.

- Oj, nacierpiał się biedny pan, nacierpiał. Nasłuchał się jadowitych drwin, szyderstw i chamskich żartów - opowiadali po wsi. - A ukraińscy służący z uciechy szczerzyli zęby.

Do mieszkania młynarzowej wpadła żona karczmarza, Samuela, Gytla Feldman z Salcią i opowiedziała, jak to się stało, że Samuela zabrali. Samuel był bogaty, miał nie tylko karczmę, ale także dobry kawał pola, który mu ubodzy Ukraińcy za niezłą opłatą obrabiali. Jak tylko żołdacy załomotali w drzwi, Samuel spytał kto tam. Ale nie usłyszał odpowiedzi, tylko ryk wściekłych mężczyzn.

Od razu zrozumiał, że to nie żarty.

Nie stanął po sowieckiej stronie, jak ubogi krawiec Hermann i mógł się spodziewać najgorszego. Wyrzwał przez okno i zobaczył taczanekę. Oblał go zimny pot. Wiedział, że to już koniec. Usłyszał

240

пик i drzwi runęły. Do mieszkania wdarło się dwu żołdaków w szynelach. Ważniejszy zerknął na kartkę papieru, spytał, czy nazywa się Feldman, a gdy odrzekł, że tak, krzyknął:

- Sobiraj sia, Jewrej! U nas niet wremieni!

Znał imię, nazwisko, pochodzenie, miał zapisane na papierze.

Samuel z miejsca pojął, że był na jakiejś liście, skoro wiedzą o nim wszystko. Postanowił, że będzie się ratować. I zaczął błagać, by mu darowali życie, a on dobrze zapłaci.

Tamci wywlekli z łóżek Gytłę i Salcie i kazali im się ubierać.

- Bystrej, jewrejskije bladi! - ryczał sowiecki drab. A one trzęsły się ze strachu.

Samuel rozkładał ramiona i obiecał złote góry, jeśli ich ocala.

Komandir przyjrzał mu się z uwagą, kamratowi dał do ręki jakąś bumagę i kazał zająć się innymi domami, a sam spytał, co Samuel proponuje.

Samuel obiecał, że jeśli ich nie wezmą, da mu sztabę złota.

Żołdakowi zaświeciły się oczy.

- Dawaj! - powiedział.

Samuel szybko wyjął ze skrytki złotą sztabkę i wręczył mu. Tamten szyderczo się uśmiechnął, wziął złoto, odepchnął Feldmana i począł penetrować szafę, z której Samuel wyjął kruszec. Ale nic nie znalazł. Huknął na niego:

- Gdzie ostalnoje zołoto? Karczmarz zzieleniał.

- Nie mam już więcej... - wymamrotał. Tamten wrzasnął:

- Idiom! - machnął ramieniem i wypychał Samuela z chaty. Salcia i Gytla kulily się.

Komandir na moment zastanowił się

i oznajmił, że jak Samuel da mu jeszcze dwie sztabki, to zostawi ich w spokoju. Zgarbiony Samuel wyszedł do drugiego pokoju i wyciągnął wszystko, co miał, kilkanaście złotych monet. I wręczył je żołdatowi. Komandir skinął głową, ale spenetrował wszystkie szafy, jednak złota nie znalazł. Wyciągnął tylko kilka srebrnych monet.

- Niczywo bolsze? - spytał, wściekły.

- Niczywo - odparł Samuel.

241

Komendant pchnął Samuela kolbą w kark i kazał mu się natychmiast ubierać. A kobiety wygonił do sypialni, warcząc:

- Oni swobodnyje!

- I w ten sposób ocalałyśmy - powiedziała Gytla. - A Samuela wrzucili na wóz jak kłodę drewna i wywieźli.

Zastanawiały się z młynarzową, co mają robić. Obie były w takiej samej sytuacji. Wpadły na pomysł, by uciec ze wsi. Bo co będzie, jak Sowieci wrócą i też je wywiozą na Sybir albo zgwałcą. Ale dokąd miałyby uciec? Zostawiając domy, dobytek, rodziny? Były bezradne. Postanowiły, że będą się wzajemnie wspierać i pomagać sobie w tych trudnych chwilach, a szczególnie teraz, kiedy nadeszła surowa zima. Karczma została zamknięta. Młyn także. A wieś pogrążyła się w strachu i niepewności.

Jacyś urzędnicy robili spis ludności i wymieniali dowody. Nagle okazało się, że Kasia Lanckorońska nie jest już obywatelką polską, tylko radziecką. I że nie urodziła się w Polsce, tylko w Związku Sowieckim. To samo stało się ze wszystkimi mieszkańcami wsi. Nagle znaleźli się w innym kraju. I nie wiedzieli, co ich spotka następnego dnia.

Po wsi łazili już agitatorzy i namawiali, by chłopci założyli kołchoz. A chłopci odmawiali. Bo chcieli pracować na swoim, a nie oddawać ziemię, majątek, całe mienie jakiejś masie, która nie odpowiada za nic. Zaczął się szantaż, przesłuchania, terror. Agitatorzy nachodzili dom po domu i jak nie straszili, to obiecywali złote góry. Opowiadali, jakie to szczęście spotka wieś, kiedy powstanie w niej kołchoz. Już nie będzie biednych i bogatych, a wszyscy staną się równi. Bydło będzie wspólne, konie, krowy, mleko, kozy, kury, jaja, owoce, wszystko wspólne. I jakie życie stanie się wtedy wesołe. Zapanuje powszechna radość, zgoda i miłość. „Tak jak w radiańskiej Ukrainie” - z przekąsem burczeli chłopci pod nosem. „Może i baby będą wspólne!?” - po cichu przeklinali. I nie dawali się zagonić do kołchozowej gospodarki. Tamci jednak nie ustawali. Wysłuchiwali donosicieli i szperali w starych dokumentach, sprawdzając, czy któryś z chłopów nie ma jakiejś rodziny za granicą, bo jak ma, to czeka go więzienie. A nie pójdzie siedzieć, jak wstąpi do kołchozu, bo władza ra-

242

dziecka jest dobroduszna i przebacza tym, co są posłuszni. I tak gnębili, tak się znęcali, tak nachodzili, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, że wieś została sparalizowana. I była przerażona. A stara Kobiałkowa, co mieszkała w pobliskim siole, nie wytrzymała już tego, bo miała w Anglii siostrę i bała się o swoje życie, więc tak się biedaczka przejęła groźbami, że dostała ataku serca i zmarła. Aż znalazło się kilku nędzarzy i obdarcuchów, którzy wystraszeni, P^od groźbą zsyłki, zgodzili się i założyli we wsi kołchoz.

243

MITIA

Któregoś wieczora, gdy Kasia z matką siedziały przy kolacji, a na dworze wiał wiatr, rozległo się ciche pukanie. Zastygły. Kasia powoli odłożyła kromkę chleba i z otwartymi ustami słuchała. Młynarzowa drżała. Bała się, że znowu przyszli Ruscy, by je wrzucić na taczanke i wywieźć na białe niedźwiedzie. Czekala, ale nikt nie wchodził. Popatrzyły na siebie pytająco. Gdyby to Sowieni, pomyślała młynarzowa, tak cicho by nie pukali. Strachliwie spytała:

- Kto tam?

Lecz nikt nie odpowiedział.

Kasia poczuła jak strasznie wali jej serce. Patrzac na matkę, zawołała:

- Proszę.

Powoli otworzyły się drzwi. Kasia oniemiała. W drzwiach stał mężczyzna wyglądający jak widmo, strzęp człowieka.

- To ty? - wyszeptała Kasia

Mężczyzna skinął głową i uklonił się matce. Miał w ręku czapkę, miał zniszczone, porwane ubranie i rzeczywiście wyglądał jak upiór. Kasia zmrużyła oczy i wymamrotała:

- To Mitia, mamó.

Gdyby nie te płonące oczy, nie poznałaby go.

Młynarzowa wciąż patrzyła na zjawę. Płomyk w lampie za-syczał i podskoczył do góry. Po chwili opadł. Kasia dostrzegła na jego twarzy czerwoną szramę.

- Siadaj - w końcu odezwała się młynarzowa.

Mitia skinął głową, ale nie usiadł. Zrobił krok w stronę Kasi i jakby nie wiedział, jak się ma zachować. Chciał ją pocałować, ale powstrzymał się. Kasi też zabrakło odwagi. Jakby się badali.

244

Cofnął się i usiadł obok matki. Zapadło kłopotliwe milczenie. Kasia nie wiedziała, co ma mu powiedzieć, a matka śledziła jego powolne ruchy, gdy siadał, a potem, gdy położył na kolanach swoje długie ręce i westchnął. Kasia wymamrotała:

- U nas, Mitia, duże zmiany.

- Wiem - odparł. Patrzyły a niego z uwagą. - U mnie też -dodał, pochylił głowę i zaczął opowiadać, jak pewnej nocy obcy ludzie z karabinami w garściach wywalili w jego domu drzwi i w pośpiechu zabrali matkę, kierowniczkę szkoły, na wóz i razem z innymi porwanymi, wywieźli na Sybir. Szukali pewnie i jego, ale nie znaleźli. Akurat tej nocy był u wuja pod rumuńską granicą i zbyt długo gościł, a potem się ściemniło, wuj go zatrzymał i on został. Znał tamte tereny jak własną dłoń. Od dawna wiedział, że tam szmugluje się towar. Widział na własne oczy poszukiwaczy przygód. Chłopi przierzucali uciekinierów, handlarzy i inne dziwne typy w niedozwolonych miejscach. I pokazywali mu tajne przejścia, wprowadzając w zagadki przygranicznego handlu.

Gdy wrócił do domu, matki nie zastał. O wszystkim opowiedziały mu siostry, Stefka i Katia. Miały zapłakane oczy i mówiły na wrywki. Ojca nie mogli zabrać, bo od kilku lat już nie mieszkał z nimi. Miał inną kobietę i wyniósł się z domu. Zamieszkał w odległej wsi, strasznie się rozpił i z rodziną nie utrzymywał kontaktów. Mitia został z dwiema siostrami. Młodsza, Stefka miała dwadzieścia jeden lat, a starsza, Katia, dwadzieścia trzy. On był średni w rodzeństwie. I w ten sposób Kasia i matka dowiedziały się, że Mitia ma dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał na znacznie starszego i poważniejszego. Sióstr bolszewicy nie ruszyli, bo nabawiły się jakiejś paskudnej choroby i leżały w gorączce, majacząc i bełkocząc jak przez sen. Wściekły żołdat splunął na podłogę, odwrócił się, pchnął matkę i kazał wychodzić. Ledwie zdążyła zabrać z sobą sweter, stary kozuch, wełnianą spódnicę i rękawiczki. Bo już wiedziała, co ją czeka. Dziewczyny jakimś cudem odzyskały świadomość i pustymi oczami patrzyły w szeroko otwarte drzwi. Wiał zimny wiatr, a one widziały w blasku gwiazd, jak matka się oddala, pchana przez żołdaków. Myślały, że to wszystko, co widzą, to senne majaki. Do-

piero następnego dnia zrozumiały, co się stało. I że zostały same Choroba powoli się cofała, aż w końcu wróciły do zdrowia.

A jeśli chodzi o niego, mówił, to skończył gimnazjum, szykował się na stolarza, bo chciał robić to samo, co ojciec, choć matka przygotowywała go do szkoły muzycznej, bo grał na instrumentach. Młynarzowa po słowach o instrumentach łaskawiej na niego spojrzała. Lubił strugać w drewnie i robić stoły, szafy i krzesła. I tak zostało. Stał się stolarzem. A na dodatek nauczył się fachu zduna. Terminował przez rok u dobrego majstra, który należał do cechu zdunów i był bardzo szanowanym w okolicy rzemieślnikiem. A w ogóle zdun, dodawał, to zawód, który wymaga pomysłu i jest nie byle jaki. Wstawał wcześniej rano, nawet o wpół do piątej i przez sześć miesięcy uczył się wyrabiać glinę, przyglądał się, jak majster stawia piec. A zanim podjął naukę, musiał stanąć przed Sejmem Zdunów i przekonać najwyższe zgromadzenie w branży, że zasługuje na miano zduna, że jest szczerzy, prawdomówny, uczciwy, porządny i pochodzi z dobrej rodziny. I dodał, że najpierw piec stawiało się z gliny, a potem dopiero z cegieł i kaflów. W sumie, ma dwa fache, ale lubi też sobie poczytać, szczególnie książki przygodowe i pograć na instrumentach.

Młynarzowa uśmiechnęła się i spytała, na jakich instrumentach gra. Okazało się, że na wielu, bo z takiej wywozi się rodziny. Gra na mandolinie, fujarce, cymbałach, skrzypcach, akordeonie, a także na bębnie. To już zupełnie otworzyło ramiona młynarzowej.

I Mitia dokończył opowieść o tym, co się z innymi mieszkańcami jego wsi i okolic stało. Tej nocy Sowietci zabrali jeszcze wielu Polaków, Łemków, Hucułów, Bojków i Ukraińców, co ważniejszych w gminie i powiecie. Okazało się też, że Mitia wiedział już, że młyn stanął. I że inżyniera zabrali. I obiecał, że w tym trudnym czasie pomoże im, jeśli - naturalnie - tego zechcą. Drewno z lasu przywiezie, na wiosnę młyn uruchomi, gospodarką się zajmie. Choć mieszka za Kołomyją, na połoninie, w stronę gór, poradzi sobie z każdą robotą. Ma konia i duży wóz, a także sanie. A jeśli chodzi o robotę, to on lubi pracować i przywiezienie drewna z lasu, czy naprawa młyna nie sprawi mu żadnego kłopotu.

Kasia popatrywała na matkę, czekając na reakcję.

246

Młynarzowa przyglądała mu się z ciekawością, jakby pragnąc odkryć prawdziwe oblicze i ukryte zamiary jego wizyty. I patrząc mu wprost w oczy, cierpko spytała:

- A czy wiesz, że Kasia ma męża?

Zacisnął szczęki, gwałtownie zmienił się na twarzy, lecz szybko zapanował nad emocjami, uniósł głowę, ponuro spojrzał na młynarzowa i chrapliwie odrzekł:

- Tak, znaju.

Dławił gniew, bunt i ciężką gorycz. A gdy niechcący odsonił nadgarstek, Kasia zauważyła różowy, rwany pasek. Od razu domyśliła się, co się stało. Znała jego ręce, ramiona, piersi, plecy, szyję i całe ciało, i wiedziała, że ten ślad powstał niedawno. Nie widzieli się kilka miesięcy, a on cierpiał. Czowała, z jakim ciężarem i trudem znosi swój los...

247

SAMI

Pi o kolacji wiatr ucichł. Wieś spała, a ciemne szyby okien odbijały srebrne blaski gwiazd. Kasia zaprosiła Mitę do pokoju na górze i znowu patrzyli na siebie, jakby wciąż nie mogli się rozpoznać. Przytulili się, a Mi-tia całował jej twarz, oczy, szyję. Ona odwzajemniała się. A potem uznał, że najwyższa pora wracać do domu. Zmierzyła go wyczekującym spojrzeniem, ale udał, że nie zauważa go i zeszedł na dół.

A gdy matka zaproponowała, by został na noc, a skoro świt wstanie i odjedzie, by nikt go ze wsi nie widział, stanowczo odparł, że nie, bo ma sporo obowiązków i musi wracać do sióstr. Czasy są niespokojne i będą się o niego martwić. Obiecał, że niedługo przedstawi im Stefkę i Katię. I na pewno Kasia je polubi.

Kasia wyszła za nim na podwórko i jeszcze przez chwilę rozmawiali, spojrzął w niebo i widząc duże, jasno świecące gwiazdy, powiedział, że na niego pora. Przywarli do siebie, jak dawniej, mocno, namiętnie się całując. Aż Kasi dech zaparło. Skoczył na konia i mignął między drzewami. Widziała jak pochyłony znika wśród zimowych pejzaży. Jeszcze nasłuchiwała odgłosów końskich kopyt, a gdy ucichły, spojrzała w rozgwieżdżone niebo, nabrała powietrza, głęboko odetchnęła i wróciła do domu.

Matka posprzątała stół i szykowała się do snu.

Kasia ukradkiem na nią zerknęła i spytała:

-I co?

Młynarzowa uniosła duże wilgotne oczy i długo się w nią wpatrywała.

- Podobał ci się? - zagadnęła Kasia. Twarz matki była nieodgadniona.

- Tak? - nacierała Kasia - a gdy matka milczała, dorzuciła:

248

_ Jest poważny i odpowiedzialny, choć teraz wygląda nieszczególnie. To z powodu tych zmartwień, mamo.

- Ale spotykać się z nim nie możesz - stanowczo oznajmiła matka.

Kasię sparaliżowało.

- Jak to?

- Nie możesz, dziecko - tłumaczyła młynarzowa. - Nie wypada, Kasiu. Jesteś mężatką, a twój mąż na Syberii. Co powiedzą ludzie? Co powie ksiądz? To nieodpowiedzialne. I niegodne mężatki.

Kasia posmutniała. Patrzyła na matkę z wyrzutem i ze zwieszoną głową poszła na górę. Idąc po schodach, czuła jakby stąpała po cienkiej krze i musi bardzo uważać, by lód się nie załamał. Miała do matki żal, że nie porozmawiała z nią dłużej i poważniej o Miti, a jednym zdaniem zamknęła sprawę. Zawyrokowała o przyszłości. Najbardziej zabolą ją słowa: - Co powiedzą ludzie? - A co ona miała powiedzieć, gdy ją zniewolili i zmusili do niechcianego małżeństwa. Wtedy opinia ludzka nie była ważna. Nikt nie pytał jej o zdanie. Nikt ze wsi nie wiedział o jej mękach i cierpieniu, a teraz wieś miałaby decydować, co wypada, a co nie wypada.

Wstępował w nią duch niezgody i buntu

Nie poddam się. Nie zrezygnuję z tej miłości. Niech mnie przeklą. Niech potną na kawałki. Niech spalą na stosie, a nie poddam się. Za wiele przecierpiałam. I co z tego, że mój mąż na Syberii? Czy to ja go tam wygnałam? Czy ja jestem winna wojnie i utracie ojca? Czy ktokolwiek wie, ile łez wylałam za tatą? Ile nocy nie przespałam? I ile mnie to wciąż kosztuje? Nie, nie dam sobie zmarnować swego młodego życia. Nikt mnie nie zmusi do zamordowania tej miłości. I tak już moja twarz się postarzała, moje młode oczy zmętniały, a moje serce doznało tylu zawodów. Łkała w środku nocy, ale nie poddawała się. Zaciskała zęby, wbijała głowę w poduszkę i dławiła płacz. Nie będę już wypłakiwać oczu. I tak więcej w nich smutku i umierania niż życia. A ileż bólu i cierpienia w jego oczach!? Ileż złamanej dumy i godności?! Musiał wiele znieść, by ugiąć się pod ciężarem honoru i wejść do naszego domu. Nie było to dla niego łatwe ani proste. Znam go.

249

Musiał z sobą walczyć. Bo miłość jest ważniejsza od wszystkiego innego. I on to dla mnie zrobił. Dla nas. Dla naszej miłości. I ja mam mu teraz powiedzieć: koniec! Teraz, gdy ledwie go odzyskałam? Gdy na nowo spojrzalam na świat? Teraz mam zamilknąć i pozwolić, by moja miłość uschła jak złamana gałąź?! Nie! Nigdy! Czy to naprawdę kogoś obchodzi?

- Nie, Mitia! - przemawiała do niego. - Nikt nas już nie rozłączy i nie zastraszy. Nikt na nas nic nie wymusi. I nikt nas nie powstrzyma, byśmy się spotykali. Zostanę twoją!

Wbiła pięści w poduszkę i z zaciśniętymi zębami długo leżała na łóżku, w ubraniu, przytłoczona czarnym światem, który się na nią zwałił i wsłuchiwała się w pulsującą ciszę, aż w końcu zmęczona, usnęła.

250

TUNELE W ŚNIEGU

Koniec lutego zastał wieś wśród zamieci. Kasia obudziła się wcześniej rano i chciała wyjść do obory, by nakarmić krowy. Było ciemno, że oko wykol. Po omacku wyszukała latarkę. Chciała wyrzucić przez okno, okno było zalepione śniegiem. Śnieg zasypał dom aż pod dach. Zostały odcięte od świata. Szybko obudziła matkę i powiedziała, co się stało. Drzwi były zablokowane. Okien nie można było ruszyć. Chyba tylko przez komin można wyjść - pomyślała. I zapaliła lampę, patrząc bezradnie na matkę.

- Już tak bywało, Kasiu. Nie pamiętasz? - spokojnie odezwała się matka, przecierając oczy. I przypomniała jej, ile razy ojciec musiał odgarniać sterty śniegu albo pod śniegiem tunele kopać.

Kasia szybko zniosła ze strychu ryskale, szufle, a nawet wielką, zardzewiałą siekierę. Zastanawiała się, od czego zacząć. Nigdy sama tego nie robiła.

Otworzyły drzwi, a przed nimi ściana śniegu. Potężne zwały oklejały budynek. Matka przypomniała jej, że ojciec najpierw zagwiał topił śnieg, a potem przez wielkie góry przebijał się ryska-lem i szuflą.

- Ja też tak zrobię - powiedziała Kasia, zapaliła w kuchni i przygotowała żagiew. Po chwili już topniał śnieg i robił się wyłom u podnóża góry. Przebijała tunel między domem a oborą i stacją. Śnieg zasypał nawet dach. Tylko komin wystawał nad białymi górami. Z trudem wyrąbywała ścieżkę, kopała na oślep, a matka jej pomagała. Aż dobiły się do budynków gospodarczych i wyjrzały na powierzchnię ziemi.

Zobaczyły tylko wyrastające ponad wsią drewniane ściany kościoła oraz ciężkie, zwałiste mury i barokowe kształty cerkwi.

251

Wokół, jak okiem sięgnąć widniała srebrna biel iskrzącego się śniegu. Nawet drzewa tonęły w tej przepastnej otchłani jasności. Kasia i matka mrużyły oczy i przykładły dłonie do czoła, by widzieć, jak rozciągają się wokół iskrzące się zwałiska śniegu. Na dodatek mróz był tak silny, że dech zamarzał.

Chłopi z uporem przebijali się przez wielkie zasy, stawali na białych zwałach śniegu i niepewnie kiwali głowami. Wiatr nocą dął z taką siłą, że wyrzeźbił wokół wsi i między zabudowaniami wielkie śnieżne bryły.

Z lasów wyskakiwały w poszukiwaniu korzonków i liści zające, sarny, dziki i jelenie.

Gospodarze natychmiast powymowiali ze strychów ukryte wnyki, pętle z cienkiego drutu i zakładali sidła, by jak najszybciej złować jakie zwierzę. Co bardziej sprytni wykopywali w śniegu głębokie doły, przykrywali je chrustem, posypywali dla niepoznaki cienką warstwą śniegu i następnego ranka odnajdywali w nich dzika, sarnę czy jelenia, a w wielu sidłach zamrożone, martwe zające. Wygłodniałe zwierzęta zawsze zimą szukały pożywienia w pobliżu wsi.

Sąsiedzi odwiedzali się pod śnieżnymi tunelami i naradzali, jak się bronić przed straszną zimą, która nie chciała puścić. Minał luty, a zima trwała. Mróz trzymał. Studnie pozamarzały. Wodę uzyskiwali ze stopionego śniegu. I na takiej wodzie kobiety gotowały posiłki.

Kasia z matką świetnie sobie radziły. Trudności jeszcze bardziej zmobilizowały je do pracy. I mocniej związały w trosce o dom i dobytek. Wybiły ścieżkę do kopca ziemniaków, a Kasia, tak samo, jak chłopcy, nastawiała sidła, wnyki i łapała zające, zdzierała z nich skórę, a potem szykowała wraz z matką obiad i siadały do stołu.

Kłopoty i trudy życia bardzo ją zahartowały i umocniły na duchu. Stała się silna, zaciskała zęby i nie poddawała się ciężarom losu. Patrzyła na matkę z mocnym postanowieniem

trwania, obiecała sobie i matce, że już nic jej nie złamie, a gdy nadejdzie wiosna i śniegi stopnieją, odmieni się życie, powieją ciepłe wiatry, a ona zajmie się gospodarstwem, obrobi pole i zasieje zboże.

Dławiła w sobie tęsknotę za Mitią, wierząc, że wkrótce się spotkają. Nade wszystko obiecała sobie, że zadba o matkę, bo

252

dostrzegła, że jest coraz słabsza i coraz smutniejsza. Nie mogła udźwignąć nieobecności męża i brakowało jej wieści od syna. Kasia zostawiała matce tylko kuchnię i opiekę nad domem. Sama zajęła się gospodarstwem i zdobywaniem pokarmu.

Aż nadeszła wiosna. Poczowała przyływ nowej energii, wezbrały w niej soki młodości i zatęskniła za Mitią. To już nie były nostalgiczne westchnienia i sentymentalne zapiski w dzienniczku. Atakowała ją prawdziwa namiętność i wielkie pożądanie. Przed snem dotykała swoich nabrzmiałych piersi, badała ciało, gładząc uda, sięgając do podbrzusza, aż przesywała ją fala dreszczy. Zamykała oczy i marzyła o Miti. Zaglądała do dzienniczka i odnajdywała obrazy potajemnych spotkań, miłosnych doznań i cielesnych zbliżeń. Czuła, że całe jej ciało napętnia się ogniem, nocami zrywała się z łóżka, podrywana wizjami erotycznych uniesień. Drżała, spocona i pełna napięć.

Po omacku poszukiwała rękami koło siebie kochanka, jego ciała, ust, piersi i mocnej, twardej męskości, ale Miti nie było. Wiedziała, że musi się z nim spotkać. Wszystko jej to mówiło, piersi, uda, usta, tętniąca w żyłach krew, gorący, przyspieszony oddech i skóra czekająca na dotknięcie jego dłoni, a przede wszystkim jej dusza, zboląta i głodna.

253

PORWANIE

Zjawił się z nagłą. Jak piorun z jasnego nieba. Gdy wieczorem wracała z pola, usłyszała za sobą szybki tętent konia. Nie zdążyła się odwrócić, by zobaczyć, co się dzieje, gdy silne ramie chwyciło ją w żelaznym uścisku, uniosło do góry i posadziło na konia. Poczowała na szyi jego gorący oddech i nie zdążyła krzyknąć:

- Mitia, nie trzeba - gdy usłyszała dziki szept do ucha:

- Bez tebe ne možu żyty, moje kochanija! Kochaju tebe, duże kochaju... - szeptał, zdyszany, a czarny koń galopował, ile sił w nogach. Wiatr targał jej włosy, a jej się wydawało, że Mitia wraz z tym wielkim, czarnym koniem stanowią jedność, połączeni galopem, siłą, oddechem i dudniącą krwią w żyłach.

- Mitia! Szalony! - krzyknęła - Co ty robisz?! - ale pęd powietrza zdławił jej głos.

Chciała wołać, że tak nie można. Że to nie ma sensu.

Odwrócił jej głowę i wbił się ustami w jej usta, nie zważając, że koń pędzi na oślep. Aż Kasia nie wytrzymała tego wściekłego pragnienia, wyrwała mu się i syknęła, że się zabijają. I że on zwariował.

- Tak, Katrusju, z rozumu zijszow, sowsim zijszow - krzyczał, a wiatr wył i szarpał jej włosy. Mitia wbijał w brzuch konia czubki butów, a koń zrywał się do jeszcze szybszego pędu, a wokół huczało powietrze i migaly drzewa.

Gdy znaleźli się w lesie i nie widać było żywej duszy, mocno pociągnął za uzdę, koń stanął dęba i oboje zsunęli się na ziemię, ciepłą, wiosenną i parującą. Zanim się zorientowała, co się stało, już jego zachłanne, dzikie ręce zdzierały z niej suknię, szarpały i rwały stanik. Zagarniał ją pod siebie, wbijał się w nią mocno, i pożerał jej usta.

254

Zamknęła oczy i jakby w malignie wymamrotała:

- Mitia, Mitia.

A on wbijał się coraz głębiej, jej ciało poddawało się szybkim rytmom i oboje już pędzili w tym obłądnym tempie na oślep, tak samo jak jego czarny dziki ogier. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła jak się nad nią kołysze, unosi się i opada, aż raptem targnął nią potężny wstrząs,

zamknęła oczy i poczuła drżenie ziemi i wtedy krzyknęła, a jej krzyk odbił się leśnym echem. Leciała ku gęstym mgłom, a potem poczuła w sobie łagodność i ciszę. Osunął się obok, obejmując ją ramieniem i w tej ciszy trwali długo, zasłuchani w swoje ciała.

Lekko się przesunęła, oparła głowę na jego brzuchu i szepnęła: - Mitia, Mitia, ty wariacie! - zamykając w tych słowach całe swoje szczęście.

Leżeli wśród zielonych traw, on znowu dotykał jej piersi, a potem podniósł się i zawisł nad nią, wpatrując się w jej nagie, młode ciało i nie mógł od niego oderwać oczu. Widział jej naprężone piersi i ciemne, brązowe i twarde sutki. Znowu uderzyła mu krew do mózgu. Wszedł w nią gwałtownie. Krzyknęła, chwytając się za twarz, na moment uniosła się, a potem zanurzyła palce w jego włosach, pojękując i krzycząc:

- Mitia, Mitia - jakby na tych dwu słowach kończyła się jej cała wiedza o miłości.

Ale on nie zważał już na nic. Szarpał pazurami jej brzuch i znowu wbił się w jej ciało, a ona syknęła, zamykając oczy, objęła go i szeptała:

- Szcze Mitia! Szcze choću! Prahnu tebe. Dawaj, szcze, szcze... Dawaj, bery, wchód!...

A on gonił, cwałował, wpadał w galop jak jego ogier, aż krzyknął i padł koło Kasi, ciężko dysząc. Kasia powoli się podniosła, pochyliła się nad nim i szeptała mu do ucha:

- Kochany, odleciały nasze ptaki, odleciał nasz świat i zostaliśmy sami.

Ale jemu i tego było mało. Jego męskość po raz trzeci się naprężyła i znowu się rzucił na Kasię, wygłodzony jak wilk, a ona poddała się jego rytmom, a potem długo leżeli w trawie, aż na niebo wzeszły gwiazdy i poczuła chłód.

255

Okrył ją swetrem i leżeli objęci i przytuleni. A on błędził ślepo po jej piersiach, okręzał palcami sutki i przeciągał się jałj stary kocur. A gdy już nasycili straszny głód, podniósł Kasię z ziemi i rozejrzał się. Koń stał przy drzewie i machał głową, jakby mówiąc, owszem, widziałem, ale już pora.

256

W DOMU MITI

Posadził Kasię na konia i pogalopowali wśród leśnych ścieżek. Słyszała tylko szum wiatru i czuła oszalały pęd ogiera. I w tym pędzie rozwiewały się jej czarne włosy. Myślała, że odwozi ją do domu, ale wkrótce się zorientowała, że to nie ta droga i już dawno oddalili się od wsi.

- Mitia! - krzyknęła - Mitia, dokąd ty pędzisz! Zatrzymaj się! Zawracaj!

Ale on nie odpowiadał. Mocniej ją przygarnął i w świetle księżyca galopowali wśród lasów, polnych dróg i wzgórz, aż znaleźli się w gęstwinie drzew i wyłoniła się wieś ukryta między grubymi, wysokimi dębami.

- Mitia! Szalony! Ty czorcie! - pokrzykiwała.

Gdy wjechali do obejścia, zobaczyła niewielką, murowaną chatę, a z okien wyglądały dwie młode kobiety. Zrozumiała, że znalazła się w jego gospodarstwie, a te dwie dziewczyny, to zapewne jego siostry, Katia i Stefka. Mitia nic nie mówił, z niczego się nie tłumaczył. Porwał ją i to był język jego miłości.

Gdy weszli do izby, dziewczyny wydawały się już na nich czekać. Patrzyły na Kasię z ciekawością, a Mitia bąknął:

- To wona! - jakby dawno było wiadomo, kim jest i jak wygląda. Przedstawiając siostry, pokazał najpierw Stefkę, niższą, jasną i drobną blondynkę z delikatnymi, szafirowymi oczami, a potem starszą, Katię, tęższą, silnie zbudowaną, z mocnymi piersiami, wyrazistymi, brązowymi oczami i długimi, ciemnymi rzęsami. Objęły Kasię jak przyjaciółkę, jakby ją znały od lat. I pochwałyły Mitię za dobry gust, nie krępując się powiedzieć wprost, że są urzeczone jej urodą, i że jest Kasia niezwykle piękna i czarująca.

- Jaka krasunia! - zakrzyknęła Stefka.

Natychmiast zaprosiły ją do stołu. Były bardzo otwarte, szczerze i rozmowne. Spytały, jak się Kasi podoba okolica, a gdy odparła, że nie wie, jak ta okolica wygląda, bo Mitia pędził jak głupi. Serdecznie się roześmiały i pogroziły Miti palcami, mówiąc:

- Takij to je nasz bratczyk.

A on patrzył na Kasię zuchwałym wzrokiem zwyczajcy, jakby mówiąc, oto czego możesz się po mnie spodziewać, dziewczyno. To ja decyduję o twoim życiu. To ja jestem atamanem i zrobię z tobą, co zechcę. Zniknął wcześniejszy smutek z jego twarzy. Nabrał ciała. Doszedł do siebie. Jego postawa i oczy zhar-działy. Stały się na powrót dumne i silne. Pierwotna, dzika natura zwyciężyła. Słowem, watażka. I Kasia wiedziała, że już nie wyrwie się z jego szponów. I prawdę mówiąc, wcale tego nie chciała. Rozejrzała się po domu, a Stefka pokazała jej huculską chatę, może niepodobną do innych, ale też nie za bardzo się różniącą. Stała z dala od pozostałych chat, jak to u Hucułów, jedna daleko od drugiej. Była jednak większa i wyższa niż pozostałe. Gdy się do niej wchodziło, najpierw trzeba było przejść przez długą, ciemną sień, potem się szło do niewielkiej kuchni z ogromnym, glinianym piecem i półkulistą wnęką. Tym piecem ogrzewano dom, a zarazem piekło się w nim chleb. A po drugiej stronie znajdowała się duża izba, z ogromnym, drewnianym łóżkiem, kufrem i ławami po bokach. Na ścianie wisiały stare ikony i czuło się zapach zleżałych, wełnianych koców. Po domu rozrzucone zostały beczułki lub drewniane kanki na żętycę i mleko, duże kadzie z uszami, niewielkie, drewniane cebrzyki, zdobione, kolorowe kołowrotki i brązowo-zielone gliniane misy.

A gdy Kasia spojrzała w okno i zobaczyła daleko od domu nikłe światełko, spytała, dlaczego takie duże przestrzenie dzielą ich od sąsiadów. Mitia z kwaśnym uśmiechem odparł, że Huculi lubią samotność, a obie siostry krzyknęły, że to nieprawda, bo żadna z nich nie znosi samotności, a on też byłby jak wilk, gdyby był sam.

- To nie jesteście prawdziwymi Hucułkami - dokuczał siostram.

- A pewnie, że nie jesteśmy - żartowały. - Gdybyśmy były prawdziwymi Hucułkami, mieszkałybyśmy w górach i nasza

wioska kryłaby się u podnóża skał, a my mieszkamy przed górami, więc nie jesteśmy prawdziwymi Hucułkami.

I pokrótce opowiedziały, jak tutejsze góry zamieszkują Huculi i Bojkowie. Od wschodu zasiedlają wzgórza Huculi, a począwszy od Czarnego Lasu i rzeki Łomnicy, aż do źródeł Dniestru, zakorzenili się Bojkowie.

- Więc jesteście Bojkami - krzyknęła Kasia.

- Nie! - gwałtownie zaprzeczyła Stefka.

- Tak - zawołała Katia i obie się zaśmiały.

- No, to jak, jesteście, czy nie? - spytała zaskoczona.

- I tak, i nie - parsknęły śmiechem. - Zawsze się o to kłócimy. I zaczęły jej tłumaczyć, że tutaj wszystko jest pomieszane.

Niby jasne, wyraźne, ale i pomieszane, skłębione w sobie. Bo nieraz tata jest Hucułem, a matka Bojkinia, albo odwrotnie, tata Bojkiem, a matka Hucułka. A nieraz przyplącze się i krew jakiegoś Rumuna, Ormianina, Greka, Węgra, Słowaka, Niemca, Tatara, Łemka, Karaima czy Polaka.

- Bojkowie mają jasną cerę, a włosy rude. A my? - spojrzały wyzywająco na Kasię.

Kasia przerzucała spojrzenie z jednej na drugą.

- Rzeczywiście, nie macie rudych włosów - zaśmiała się. - To kim jesteście? - już poważnie spytała.

- Albo to kto wie - wtrącił Mitia. - Nasza matka opowiadała nam, że przez te ziemie przewalały się całe hordy różnych nacji, stanów i ras, Berendejowie, Pieczyngowie, Mongołowie, Wołochowie, Tatarzy, Turcy...
- Węgrzy, Rusini, Polacy... - pociągnęła Stefka.
- Niemcy, Rumuni, Czesi, rozbójnicy i inne oprychy - zakończyła Katia.
- Chyba wiesz, jaka piorunująca mieszanka z tego powstała? - patrzył na nią wyzywająco Mitia.
- Wiem, oj, wiem, wiem - zaśmiała się Kasia, a obie siostry jej zawtórowały.
- A jeśli chodzi o to, gdzie kto zamieszkuje - wyjaśniał Mitia - to powiem ci, że osady huculskie ciągną się od Białego Czeremoszu i potoku Putyły, aż do rzeki Łomnicy. Bojkowie zaś

259

zapuścili swoje korzenie od Porohów i Jabłonki aż po źródła Dniestru.

- A Łemkowie? - spytała.

- Łemkowie? - chwycił się za czoło, spojrzał na nią figlarnie i rzucił: - Nie za dużo ode mnie wymagasz?

- Nie - odparła, zawiadując na niego patrząc.

- Łemkowie, Kasiu - pospieszyła bratu na pomoc Katia - osiedlali się głównie w Beskidzie Niskim, a także w Bieszczadach. Są krępi, ciemnowłosi, o oliwkowej cerze.

- Jak Mitia - krzyknęła Kasia. To on jest Łemkiem! - zawołała, a Mitia przeszył ją krytycznym wzrokiem i zaśmiał się.

- Ja, Łemkiem?

- Jesteś za wysoki na Łemka - zmiarkowała się Kasia.

- A wiesz, Kasiu, jak się ubierają Łemkowie? - wtrąciła Stefka.

- Nie, nie wiem.

- Mężczyźni noszą krótkie lniane koszule i białe płócienne albo wełniane spodnie ze szwami. Na głowy nakładają czarne, filcowe kapelusze z podwiniętymi ku górze krezami.

- A dziewczyny?

- Dziewczyny - wkroczył Mitia - ubierają barwne stroje.

- A ty skąd wiesz? Znasz jakąś Łemkę? - krzyknęła Kasia. Siostry parsknęły śmiechem.

- Jesteś zazdrosna, Kasiu? - spytała Stefka.

- A nie widać? - wyduła wargi. I też się zaśmiała.

Katia jeszcze dodała, że córki i żony Łemków noszą lniane, zapinane z przodu i wyszywane krzyżykowym ścięciem koszule oraz ciemne spódnice z ręcznie drukowanego płótna, które z przodu zasłaniają zapaski. Często na koszule zakładają aksamitne gorsety, a na głowę chusty lub czepce.

- Tak, Kasiu - powiedział Mitia. - Takie są nasze dziewczyny.

- O ty, zdrajco! - rzuciła się na niego z piąstkami. - Wszystko o dziewczynach wiesz! - uderzała go.

Siostry znowu wybuchły śmiechem. Kasia zauważyła, że obie bardzo się lubią śmiać.

Chichotki, pomyślała. A Katia zawołała:

- Dość tego wymądrzania się - i szybko nakryła stół. Kolacja upłynęła wśród zabawnych opowieści sióstr, które

260

kazały się mistrzyniami gawędy. Były nadzwyczaj radosne, mimo złych czasów i z poczuciem humoru, jakby pokazując tajną broń rodu, który w ten sposób przez wieki bronił się przed klęskami i dramataми życia. Nie wspomniały słowem o Syberii i swojej matce, jakby nie chciały wprowadzać wątku smutków i gorzkich wspomnień. Wiedziały doskonale, co się stało z ojcem i mężem Kasi. I wiedziały o jej nieszczęśliwym małżeństwie. Bały się tego tematu jak ognia. A gdy wyłaniał się z długich opowieści o życiu jak zły smok z

wodnych topieli, szybko przechodziły nad tym do porządku dziennego i dzieliły się z Kasią swoimi drobnymi radościami. Opowiadały, że potrafią robić na drutach, wyszywać piękne stroje i że obie grają na organkach, skrzypcach i mandolinie.

Na koniec, zwracając się do Miti, opowiedziały mu, że znowu się kręcił wokół domu ten obrzydliwy, wstrętny syn sołtysa, Wiktor Struś, który nie daje spokoju Stefce. Upatrzył ją sobie na żonę i prześladowa przy każdej okazji. Podgląda, gania za nią, a gdy ją spotka, nie pozwala spokojnie przejść. A Stefka nie czuje do niego mięty, rzekła Katia. I jest jej wstrętny, nachalny i ma go dość. No i śmierdzi mu z gęby. Na dodatek jest sprośny i podły, powiedziały obie. Bo gdy Stefka go unika, on rozpowiada o niej złośliwe plotki i poniża w oczach wsi. I opisały go, jako parszywego zgnilca. Powiedziały, że ma świńskie, chytne oczka, krótki nos, dużą, ryżą głowę i gruby kark. Opisywały tak zabawnie, że Kasia pękała ze śmiechu.

- A czy wiesz, że on nocami koczuje pod naszym domem - rzuciła Katia. - I śpi w trawach.
- Skunks! Obiję mu mordę! - warknął Miti i na tym się skończyła opowieść o synu sołtysa Strusia.

261

WSPOMNIENIA

Minął wieczór i Miti zabrał Kasię do swojego pokoju. Tej nocy nie spali. Wielokrotnie się kochali, szarpali pazurami swoje ciała, wciąż byli nienasytzeni, Kasia popiskiwała z rozkoszy i nie mogli się wyzwolić od pożądania. Dopiero nad ranem się uspokoili i leżeli obok siebie w ciszy i zasłuchaniu.

Potem Miti jej opowiadał od jak dawna się znają i jakie tajemne znaki ich połączyły, a ona szeroko otwierała oczy.

- Czy pamiętasz ten czas - pytał - kiedy byłaś małą dziewczynką, z czerwoną kokardką we włosach, a nad rzekę ścigały cygańskie tabory?

Kasia usiłowała sobie przypomnieć, gwałtownie wykrzykiwała, że tak, oczywiście, pamięta. A czy pamięta chłopca, który biegł na bosaka za wozem i gdy ją zobaczył, zatrzymał się i oboje wpatrywali się w siebie, a on zaśmiał się i krzyknął:

- Bdziesz moja!

- To ty byłeś? - zdumiała się Kasia. Pamiętała. Gdy przerzucała swój dziennik, ciągle natykała się na tamtą scenę.

- Tak, to ja byłem. I powiedziałem ci, że będziesz moja.

- Wstrętny, zuchwały typ! Naprawdę ty?

Wtedy zaczął jej opowiadać, jak dzień wcześniej Cyganka mu wywróżyła, że pozna czarnowłosą, piękną Polkę, która strasznie skomplikuje mu życie, ale w końcu zostanie jego żoną.

- Co ty pleciesz? To ty mi poplątałaś życie.

- Nie, Kasiu, ty mi poplątałaś. Nie wiesz, że o mało co, a doprowadziłabyś mnie do obłądzenia?

- Nie, to ty - przerwała mu i zaczęli się spierać, kto komu poplątał życie.

A potem znowu słuchała jak mówi.

262

Skradał się za nią, podpatrywał ją, chował się w zbożu, gdy szła z rodzicami na pole, leżał w trawie i widział, jak pracuje. A potem pędził do domu, by w łóżku warczeć z gniewu, że nie należy do niego, a przeznaczona jest dla innego. Wszystko wiedział. Nie mógł już bez niej żyć. Postanowił umrzeć. Poszedł do rzeki, aby się utopić, jednak wyłowili go. Powiesił się w lesie, ale odcięli sznur. Przeciął żyły, ale siostry go odratowały.

Zawiesił głos i spojrzał na nią ukradkiem, z boku.

- Ukrywasz coś? - spytała.

- A nie zabijesz mnie? - pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Nie - cicho odparła, czując jakieś nowe szaleństwo. - Nie! Nie zabiję cię, wariacie.

- To posłuchaj - uniósł do góry palec, nakazując milczenie. Zastygła z wargami na jego szyi.
- To ja wybiłem szybę na twoim weselu.

- Ty padalcu!

- Ale to nie koniec - mruknął. Spowaźniał i burknął:

- Dostałem obłądu, Kasiu. Myślałem, że za chwilę wpadnę do tej waszej weselnej sali i wyrznię wszystkich w pień. Nic mnie nie powstrzymało. Byłem gotów na wszystko. Wyła we mnie krew i jęczała dusza. Miałem nóż, wielki, ostry nóż i byłem gotów jemu i tobie poderżnąć gardła. Zaciskałem zęby i w duchu wyłem z gniewu. Mściwość mi oczy przesłaniała. Niech się wreszcie skończy to piekło, warczałem. Niech się przeleje krew. Wyrznię wszystkich, co do nogi. Ale jakaś wyższa siła mnie powstrzymała. Gdy już szedłem z nożem w rękę, by ugodzić cię w serce, bo wolałem, byś była martwa niż żywa w jego ramionach i gdy już naciskałem klamkę, ostrzegawczy głos syknął:

- Nie rób tego!

Stałem pod drzwiami, słyszałem muzykę, śpiewy, tańce, a we mnie zamierał świat.

Zacisnąłem palce na nożu i powoli odwróciłem się.

Kasia poczuła jak dygocze.

- Mitia - jęknęła. - Mitia?! Najdroższy! I to wszystko przeze mnie?

- Tak, przez ciebie. Wszystko przez ciebie.

263

Odsunął się i przyglądał się jej.

- Jeszcze coś? - spytała trwożliwie. Machnął głową.

- Co? - miała popękane, spieczone wargi.

Położył palec na ustach. Jego twarz skrzywiła się w grymasie szyderstwa. Poczula, że coś straszego zrobił. Wylękła się.

- To ja podpaliłem wasz młyn - wycharczał. - I chciałem spalić dom nauczyciela razem z nim i z tobą! - syknął.

Poczula lodowate zimno, a potem zaczęła go bić.

- Ty psie! Ty wściekły psie! - syczała, aż Mitia się cofnął. Nie widział jej w takim wzburzeniu i gniewie. Runęła na niego i zaczęła mu wydrapywać oczy, szarpała wargi, wbijała palce w źrenice. Zaslaniał się i opędzał jak przed wariatką, a ona atakowała, gryzła. I wyła:

- Chciałeś zabić naszą miłość! Ty zakuty łbie! Chciałeś pogрузić naszą miłość w śmierci!

Osiół! - wściekała się, aż chwycił ją za ręce, ścisnął i powstrzymał ten akt bezradnej, nagłej agresji. W niemej bezsile poddała się, upadła na łóżko i kwiliła jak dziecko.

- Mitia! Mitia! Jak ja będę z tobą mogła żyć? Zabijesz mnie?! Zamordujesz?! - unosiła powieki i patrzyła na niego oślepiona jego świecącymi oczami. A potem cichutko szepnęła:

- Zabij mnie, Mitia? Nie mogę żyć! Bo cóż mi z takiego życia? - patrzyła w sufit. A potem zarzuciła mu ręce na szyję i zawołała:

- Mitia, nie ma dla nas wyjścia. Zabij mnie! Kocham cię nad życie!

Głaskał ją po głowie, uciszał.

- Nie jestem ciebie godna, Mitia - wyszeptała i zamilkła.

- To ja ne mozu bez tebe żyty - tulił ją.

Spojrzała na jego rękę i czerwoną szramę na nadgarstku. Uśmiechnął się blade i powiedział:

- To było wtedy, gdy wróciłem do domu, po tym pożarze młyna - rzekł. - Podciąłem sobie żyły, bo już nie mogłem sobie z tobą dać rady.

Chwyciła jego rękę i przytuliła do piersi. Leżeli w milczeniu, a potem opowiedział jej jeszcze, jak przeżył falę mrozów. Gdy nadeszły wielkie śniegi i mróz ścinał w rzekach wodę, wziął ogiera

264

i chciał polecieć do niej na skrzydłach, ale koń zapadł się po piersi i z trudem go wydobył. Był bez siły.

- Nie, Kasiu, tak dalej, nie mogę żyć! - stanowczo powiedział i walnął pięścią w zagłówek łóżka.

Przytuliła go mocno i też się zwierzyła, że jej życie bez niego nie ma sensu. I że ona też chciała utonąć w rzece, trwała się i skakała ze skały, by się zabić, ale Bóg ją uchronił i żyje. Więc pewnie to życie musi mieć jakiś sens, skoro oboje chcieli umrzeć, ale nie udało się. A on odpowiedział, że nigdy już nie wypuści jej ze swoich ramion i zostanie tutaj na zawsze.

Położyła głowę na jego piersi i odrzekła:

- Mitia, ja też chcę z tobą zostać. Pojęcia nie masz, ile nocy przepłakałam bez ciebie, ile łez wylałam. I jakim koszmarem było dla mnie życie bez ciebie, ale matka - urwała.

- Maty - powtórzył cicho. - Twoja maty.

- Tak, Mitia, moja matka. Została sama. Martwi się, że mnie nie ma. Musisz natychmiast odwieźć mnie do domu.

Wybłagał, by jeszcze trochę została.

Zapukała Stefka i spytała przez drzwi, czy podać im coś do jedzenia. Wtedy dopiero uświadomili sobie, że minęła noc i połowa dnia, a oni wciąż nie mogą się rozstać. Wybuchli głośnym śmiechem, dziękując Stefce i obiecując, że zaraz zejdą do kuchni.

Gdy zeszli, siostry były uśmiechnięte i natychmiast podały do stołu.

Kasia, choć miała bladą twarz i podkrążone oczy, czuła się lekka i szczęśliwa. Pod wieczór poprosiła Mitię, by ją odwiózł, bo jest niespokojna i ten niepokój zatruje im najszcześniejsze chwile.

- Jestem twoja - przywarła do niego.

Spojrzał na nią poważnie i kiwnął głową. Wieczorem była w domu.

265

ZARAZA

Niestety, nie dane jej było jeszcze cieszyć się pełnym życiem. Z pola wojny dochodziły złe wieści. W kwietniu Niemcy napadły na Danię i Norwegię, i oba państwa szybko skapitulowały. Hitler sunął w kierunku Skandynawii jak czołg do przodu. Finlandia dzielnie broniła się przed atakiem sowieckim. Jednak po wielu miesiącach zmuszona została do zawarcia niekorzystnego dla niej pokoju, tracąc dużą część terytorium i tysiące żołnierzy, którzy zginęli w walkach.

W nocy z dwunastego na trzynastego kwietnia Sowieci znowu wywieźli na Sybir setki tysięcy polskich obywateli. A od ojca Kasi nie nadszedł żaden list. Na dodatek wraz z wiosną nadciągnęła jakaś straszna choroba, która pokotem kładła ludzi po podwórkach. Nie zdążyli nawet wejść do chaty, a już padali jak zatrute szczury na progach domów.

I wtedy gruchnęła wieść, że to zaraza, cholera, dżuma, tyfus, czy jakaś inna straszna franca, z którą nie wiadomo było, co robić i jak się leczyć. Człowiek dostawał nagłej gorączki i już nie mógł wstać z łóżka. Ludzie żółkli, szybko schli, marnieli na oczach i po kilku, najwyżej kilkunastu dniach wydawali ostatnie tchnienie. Blady strach padł na wioskę, a potem na całą okolicę. Rozniosło się po wsiach, że nie wolno leżących odwiedzać, bo można się od nich zarazić i umrzeć. I od tej pory wszystkie furtki były zamknięte, a baby tylko popatrywały zapadłymi oczami przez okna, zaglądając na cudze obejścia i sprawdzając, czy ktoś jeszcze żywy po nich chodzi.

Nie dość, że na przednówku niejednemu głód spozierał w oczy, ludzie puchli z głodu i padali jak muchy, to zjawiła się ta straszna zaraza. Musiała być bardzo niebezpieczna, skoro urząd

266

gminny zabronił urządzania pogrzebów, by ludzie nie spotykali się z sobą na cmentarzach, tylko przygotował kilka wozów, woźnice mieli obwiniete bandażami nosy, a na rękach nosili gumowe rękawice i gdy ktoś umierał, jego ciało owijali prześcieradłem, brali na furę i wieźli do głębokiego dołu, obsypanego wapnem i wrzucali do środka.

Wkrótce dół wypełnił się trupami kobiet, mężczyzn i dzieci.

A puste chaty, w których wszyscy umarli, woźnice znaczyli kredą, malując na drzwiach duże, białe krzyże i wiadomo już było, że nie wolno tam nawet stopy postawić. I wieś zapełniła się białymi krzyżami na drzwiach. Wozy powoli zajeżdżały przed domy i mężczyźni w zamaskowanych bandażami twarzach wynosili kolejne ofiary. Tylko dzwon kościelny nieustannie bił, zawiadamiając, że znowu ktoś umarł.

Między chatami, nie lękając się niczego, krążyła z kosturem w dłoni wiedźma Walentyna i ze smutkiem w oczach popatrywała w okna mieszkań. Wieś pustoszała. Tylko ona jedna miała odwagę wałęsać się między gospodarstwami, odprowadzając zmarłych nad długie i głębokie doły spryskane wapnem, gdzie trupy były zasypywane jak kartofle na zimę czarną ziemią. Nawet ksiądz Robert ani pop Kiryło, nie byli dopuszczani do zmarłych. Jedyne kiedy zakopywano dół, obaj cicho modlili się nad ciałami i szybko wracali do domów.

267

POP KIRYŁO

Aż któregoś dnia zachorował pop Kiryło. I wtedy ksiądz Robert zakaz złamał i przyszedł do popa, by dać mu ostatnie namaszczenie, co bardzo ludzi zdziwiło i poruszyło, bo w czasie długich lat posługi innych duchownych, coś podobnego się tutaj jeszcze nie zdarzyło.

Pop wezwał księdza Roberta i powiedział mu, że Bóg jest jeden i w chwili śmierci każda religia może spełniać ostatnią posługę. Zarówno Ukraińcy, jak i Polacy podziwiali księdza Roberta, że nie zląkł się choroby i nachylił się nad popem, dając mu ostatnie namaszczenie.

Pop zżółkł, policzki mu się zapadły, ciężko oddychał i zdawało się, że jego godziny są policzone. Ale ksiądz Robert przy nim czuwał. Podawał mu zwilżoną wodą chusteczkę i przykładał do czoła. Mijały dni, pop strasznie się męczył w gorączce, pocił się, mówił przez sen, bredził, w końcu patrząc nieprzytomnym okiem na księdza, wołał:

- Chliba, dajcie chliba - i rozglądał się po pokoju. - Ludy cho-czut jisty - pamiętał o biednych, żebrakach i nędzarzach, ale nie mówił tego świadomie, to jego serce przemawiało, jego wrażliwa, ukraińska dusza, jego sumienie.

Nawet w malignie wydobywały się z niego jasne myśli. Unosił ramiona i wołał, że trzeba innym pomagać, wspierać ich i nie pozwalać, by umierali. Potem gwałtownie chwycił księdza Roberta za rękę i rżąc, wyrzucał:

- Boh?! De je Boh? - pytał z rozpaczą w oczach. A ksiądz Robert wiedział, że pożera go gorączka.

- Bóg czuwa nad tobą, Kiryło - pocieszał.

A pop przewracał żółtymi gałkami i niemo patrzył na księdza.

268

A potem cicho poruszał wargami, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale nie mógł wydobyć głosu. Gwałtownie się dźwigał do góry, wstawał i rozglądał się niepewnie dokoła, a jego wzrok był błędny i chory. Ksiądz go na powrót układał do łóżka, wycierał mu spoconą twarz, usta nasyczał zwilżoną chusteczką i widział, jakie straszne zmagania z chorobą przechodzi jego ciało. Drżał, nagle podskakiwał, jęczał albo wpadał w omdlenia. Ale ksiądz Robert nie opuszczał go ani na sekundę. Pop wymiotował, przewracał oczami, ciężko dyszał, nogami zsuwał z siebie przykrycie, jego piersi tak się zapadły, że powstał w nich duży dół i zdawało się, że nadchodzi koniec. Bo tak objawiała się ostatnia faza zarazy. Potem jednak się dźwignął, ale zaraz znowu opadł na poduszkę i zdawało się, że już po nim.

Ksiądz Robert ujął jego dłoń i trzymał w swoim ręku, modląc się o łagodną śmierć.

Pop drgnął, spocony i nieprzytomny, z opuszczonymi powiekami, jęknął i zdawało się, że tym razem to już na pewno koniec, ale wciąż żył. Ksiądz Robert wyczuł pod palcami delikatne tętno szyi. Dobrze go okrył, a widząc, że śpi, cicho się oddalił. Następnego dnia znowu go odwiedził. Pop nie tylko żył, ale poznał go. Uśmiechnął się do księdza i podziękował za odwiedzinę. Od tej pory z każdym dniem czuł się coraz lepiej, aż w końcu wyzdrowiał, wprawiając ludzi w zdumienie. To było coś takiego, jak cud.

MATKA

Kasia z lękiem patrzyła na matkę. Młynarzową chwyciły dreszcze. Położyła ją do łóżka, przygotowała gorące mleko z topionym masłem i czuwała przy niej do nocy. Przez kilka dni matka leżała bez pamięci.

A kiedy ksiądz Robert, wbrew zakazom władzy, dał jej ostatnie namaszczenie i pokiwał głową, mówiąc Kasi, że musi być dzielna, bo nadchodzi godzina próby, Kasia zbladła i zaczęła łkać. Ksiądz Robert przytulił ją do piersi i uspokajał. A gdy już tylko pochlipywała, zrobił nad nią znak krzyża i oddalił się.

Matka przez kilka dni leżała w malignie, majaczyła, pociła się, nie poznawała Kasi, aż nadszedł dzień, kiedy szepnęła: - Pić. Kasia szybko podała jej sok z czerwonych porzeczek i matka odetchnęła, jakby żegnając chorobę. Patrzyła przez chwilę na Kasię niewidzącymi oczami, wyciągnęła przed siebie ręce i powoli wstawiała, jakby zamierzała się wybrać w daleką drogę. W milczeniu poszukiwała swoich rzeczy, a gdy Kasia spytała, dokąd się wybiera, odparła:

- Broniek na mnie czeka. Broniek... - zawiesiła głos i wbiła chore spojrzenie w przestrzeń. Kasia przeżegnała się, przestraszona, że choroba wpędziła matkę w obłąd.

- Mamo - szepnęła.

- Broniek - powtórzyła matka. - Broniek, wiosna idzie... koncerty... wyjazdy... suknię nową muszę uszyć... naszyjnik z perłami... - nagle urwała.

Kasia była wstrząśnięta. Nawet nie tyle objawami choroby, co potęgą uczuć. Bo wiedziała, co znaczą słowa matki. Delikatnie ją ułożyła do łóżka, gładząc po głowie. Matka wciąż gorączkowała.

270

policzki zapadły się, pod oczami wyłobily się duże, żółte kręgi, a jej pulchne i piękne wargi były spierzchnięte, popękane i suche. Uniosła dłoń i błądząc po omacku, nie otwierając oczu, na oślep przygarnęła Kasię do piersi. Kasia poczuła, jak jej gorące, rozpalone piersi targają jakieś podskórne drgania, z płuc rozlegają się przeciągłe świsty, jakby harmonia grała.

Najgorsze nadeszło nocą. Matka rzeziła, wymiotowała i Kasia już była pewna, że odchodzi na zawsze. Lecz silny organizm wytrzymał i ten atak. Rano Kasia otworzyła oczy, śpiąc obok matki na leżance i zobaczyła, że matka uniosła do góry dłoń i dokładnie się jej przyglądała.

- Mamo - zawołała Kasia. Matka odwróciła głowę i blado się uśmiechnęła.

Po kilku dniach sama wstała z łóżka, wracając do zdrowia.

271

KSENIA

Natomiast źle się działo z Ksenią. Zmarli jej rodzice, a ich ciała wrzucono na wóz i zasypano w dole. A Ksenia dogorywała w strasznych męczarniach.

- Pójdę do niej, mamo, zwilżę jej wargi, podam napój - powiedziała Kasia. Dawno u niej nie była. Kontakty się rozluźniły. Każda miała własne życie. Ale Ksenia nadal była jej przyjaciółką. Matka objęła Kasię posepnym spojrzeniem i rzekła: - Możesz się zarazić, Kasiu i umrzesz. Lepiej nie idź - radziła.

- Nie, mamo, pójdę. Jestem silna i odporna. Byłam przy tobie i nic mi się nie stało. Muszę jej pomóc.

- Jak chcesz - z rezygnacją odparła matka.

Wiedziała, że Kasia jest uparta i co postanowi, to zrobi. Skinęła głową i zgodziła się, by Kasia poszła.

Kasia zastała Ksenię, gdy majaczyła. Wzywała matkę, ojca, a na końcu Mariusza. Potem zaczęła szlochać: - Mariusz, kochany, uściśnij mnie. - Kasia widziała, jak Ksenia błądzi w powietrzu ramionami w poszukiwaniu Mariusza, którego pragnie objąć i ucałować. Jej suche, spieczone wargi rozchylały się i Ksenia pojękiwała: - Mariusz, Mariusz...

Kasia nie mogła tego płaczu znieść. Ksenia wzywała jej brata. Jej także Mariusza brakowało. Widziała poźólkłą twarz przyjaciółki, sine worki pod oczami i słyszała ciężki oddech. Pomyślała, że to szczyt choroby. Jeśli przetrzyma ten atak, zacznie wracać do zdrowia. Na razie rzuciła się w pościeli, kopła nogą koce, zrywała się z łóżka, podnosiła się i ciężko opadała. Potem zrywała się i pytała:

- Matka!?! Gdzie moja matka?

Kasia chwyciła ją za ramię i uspokajała. A gdy Ksenia po-

żyła się, zwilżyła jej wargi. Ugotowała mleko, dodała do niego masła i powoli wlewała do rozchylonych ust. Przewietrzyła mieszkanie, przykrywając Ksenię kocem i czuwała przy niej do wieczora. Gdy się zмирchało, Ksenia wpadła w krótki sen, pełen majaczeń.

Wykrzykiwała coś o weselnej sukni, która jest za krótka i o welonie, który jest rozdarty. Potem szeroko otworzyła oczy, martwo patrzyła na Kasię, ale jej nie widziała.

- Ksenia - szepnęła Kasia. - Jestem przy tobie. Będziesz żyła - nachyliła się nad nią. Ale Ksenia nie odpowiadała. Patrzyła zagadkowo w przestrzeń i nagle się uśmiechnęła:

- Mariuszu, хочiesz syna czy doczku? - pytała suchymi ustami. A potem spokojnie, poważnie dodała:

- Dam tobi syna, widważnoho syna. Bo znaju, szczo na nio-ho czekajesz. Kochanyj mij nareczyj! Kochaju tebe!

Kasia słuchała majaczeń, pocierając jej usta nasączoną szmatką. Dotknęła rozżarzonego czoła i z lękiem pomyślała, że Ksenia tej zarazy nie przeżyje. Chudła w oczach, zapadła się w sobie, jej piękne, duże piersi spłaszczyły się i poźólkły, oczy zmały i skurczyły się, pozostały tylko dwie świecące szpary. Ksenia wydała ciężkie westchnienie, kopnęła koc, przeciągnęła się i Kasia myślała, że to już koniec. Ale żyła. Delikatna, sina żyłka pod szyją wciąż pulsowała. Gdy nadeszła noc, Kasia usłyszała pod oknem głos matki. Przez chwilę nasłuchiwała oddechu Kseni, ale był tak słaby, że ledwie go wyczuwała. Jeszcze raz zwilżyła usta, podała kilka kropel mleka, dobrze ją przykryła i wyszła.

Następnego ranka znalazła Ksenię z otwartymi oczami.

- Ksenia - zawołała od progu. - Ksenia - a przyjaciółka wolno odwróciła ku niej głowę i długo się jej przyglądała. Była blada, twarz miała suchą, pokrytą plamami.

Kasia zobaczyła jak z jej oka spływa malutka, połyskująca łza.

- To ty? - wyszeptwała Ksenia. - Kasiu, to ty? A w Kasi załomotało serce.

- Tak, Ksenia, to ja. - Kasia blado się uśmiechnęła. - Żyjesz, Ksenia! Będziesz żyć! - szybko powiedziała. I pielęgnowała ją do wieczora.

Ksenia dawała już wyraźne znaki zdrowia. Podnosiła się,

273

wstawała, a kiedy przed nocą żegnała się z Kasią, spjrzała na pusty dom i zwiesiła głowę.

Kasia nie odezwała się. Przez chwili trwało milczenie. A odchodząc, szepnęła:

- Ty, Ksenia, musisz żyć.

Objęła przyjaciółkę poważnym spojrzeniem, a Ksenia skinęła głową.

- Treba żyty, Kasia, treba - wyszeptwała i zapłakała.

Po trzech dniach wyszła na dwór i uniosła do nieba oczy.

274

INNI

Tiego wieczora Kasię odwiedziła Salcia i spytała, czy może jej w czymś pomóc. Może jakiegoś lekarstwa potrzebuje albo porady. Kasia podziękowała i zaczęły rozmawiać o tragedii, która nawiedziła wieś. Okazało się, że nie wytrzymała ciężaru choroby jej babka, Rebeka, wywieziona na wozie do dołu z wapnem. Matka ciężko przeszła przez zarazę, jeszcze leży, ale nic poważniejszego już jej nie grozi. Na pożegnanie młynarzowa dała Saki koguta i kosz jaj, by ugotowała rosółu i upiekła ciasto.

Dogorywała matka zbzikowanego Lolka. Leżała w pościeli pokryta żółtymi plamami i bredziła w ciężkiej malignie, przywołując męża, który dawno został zesłany na Sybir. A ona wciąż go wołała. Potem śpiewała pobożne pieśni. Głośno się modliła i patrzyła nieprzytomnie na krążącego wokół niej Lolka, wołając:

- Aniele mój złoty! Przyszedłeś, przyszedłeś! Lolek kłaniał się i mrucał:

- Ptaki śpiewają. Las idzie, królowo. Drzewa płyną do nieba - i wpadał w objęcia matki i oboje coś sobie szeptali do uszu, chorzy i zbolali. A kiedy Lolek chwycił jej dłoń i przyciskał do warg, uniosła się do góry, wyprężyła jak kotka, a potem opadła na brudną pościel, głośno westchnęła, kopnęła w zagłówek łóżka i wydała ostatnie tchnienie. Lolek wciąż całował jej martwe ręce.

I siedział przy niej do późnego wieczora. Aż wtargnęli mężczyźni, odciągnęli go i matkę wrzucili na wóz. A Lolek chodził po wsi, a kiedy mijał straszną wiedźmę, z otwartą paszczą i wywalonymi gałami, kłaniał się jej nisko i śpiewał weselne pieśni. Pozostał sam, bez rodziców i najbliższej rodziny, sam jak palec. Żywił się ziarnkami zboża, leśnymi owocami i korzonkami.

W tym czasie stary, chorowity ojciec pielęgnował Felusia Nie-
275

zgodę. Feluś okazał się od niego słabszy i zmarł. I znowu zajechał woźnica i zabrał ciało, kropiąc je białym wapnem.

We wsi jednak już coraz mniej ludzie chorowało. Widać było gołym okiem, że zaraza się cofa. Ale co nabierała ofiar, to nabierała. Żniwo śmierci było okrutne i przerażające. Cwierć wsi odeszło tej wiosny. Każdy z domu kogoś stracił. Pomarli starzy, młodzi, dzieci. I już nie w jednym dole leżeli, a w kilku. Wokół wsi widać było rozlane, białe wapno.

Nic nie było w stanie zmóc tylko wiedźmy Walentyny ani Lolka Kępy. Widziano ich, jak wędrują po polnych drogach i rozmawiają z ptakami. Słońce coraz mocniej przygrzewało i nadeszło lato. A wraz z nim nowe życie.

Młynarzowa wróciła do zdrowia i dziękowała Bogu za tę łaskę. Kasia była dla niej dobra i wykonywała wszystkie prace domowe. Orała ziemię i siała zboże. Czyściła obory i stajnie. Wyprowadzała na pastwiska krowy i kozy.

276

LIST

Na początku czerwca, gdy już zaraza wyniosła się z okolicy, młynarzowa dostała list. Parzyła na znajomy charakter pisma, mrużyła oczy, przecierała powieki, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna to pismo. Charakter pisma był znajomy i nieznanym. Niby znała te długie, nieco ukośne, grube litery, ale wydało się jej, że są jakieś połamane, zgniecione, jakby pogryzione i chore. „Może się mylę” - pomyślała. Kiedy indziej od razu by otworzyła list i zaczęła czytać, ale tym razem coś ją powstrzymywało. Jakaś ciężka blokada. Jakby między nią a listem wyrósł mur. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. „Ależ to on!” - po chwili chciała krzyknąć, lecz nie mogła wydobyć głosu. Jakby wrywała się z dręczącego snu i nie była w stanie się obudzić. Trzymała w ręku list z szarą, pomiętą i brudną kopertą, i czuła rosnące napięcie. Miała uczucie, że list jest żywy, pulsuje, ma swoje tętno. Od miesięcy nikt do niej nie pisał. Długo nie otwierała, jakby się bała, że zobaczy diabła.

- Mamuś - nie wytrzymała Kasia - otwieraj. - Miała złe przecucia.

Młynarzowa spojrzała na nią niepewnie i ostrożnie zaczęła otwierać. Kiedy zerknęła na list, zamarała. A potem zaczęła połykać słowa.

- Od taty - krzyknęła. - Żyje! - chwyciła się za serce. - Żyje, córeńko! Żyje!

- Boże, mamciu, czytaj głośno - wołała Kasia. I krzyknęła:

- A on?

Młynarzowa zanurzyła nos wśród liter i po dwakroć sprawdzając słowa, czytała: Najdroższy mój skarbie, już jesteśmy na miejscu, karczujemy lasy. Jakoś się trzymam, zdrowie mi dopisuje. Ale niestety -młynarzowa urwała i zerknęła na Kasię...

277

- Co, niestety!? - wybuchła Kasia. - Co niestety, czytaj! - ponaglała, zniecierpliwiona.

-...niestety - młynarzowa zagryzła wargę - niestety - powtórzyła i znowu urwała, jakby w żaden sposób nie chciało jej to słowo przejść przez gardło.

- Mamuś! - krzyknęła zdesperowana Kasia. - Nie poddawaj mnie takiej próbie!

- Moja... moja... kochana - szeptała młynarzowa, nie spuszczać z córki oczu, a potem jednym tchem, jakby pragnąc się wreszcie od tego ciężaru uwolnić, przeczytała: Niestety, Henio nie wytrzymał trudów zsyłki. Był słaby odmroził nogi, płuł krwią a kiedy uciekał w las, zabili go.

Kasia pobladła i skurczyła się. Jakby w niej coś gwałtownie tapnęło. Jakby nagle cisza zawładnęła jej światem. A młynarzowa cicho powtórzyła: -... kiedy uciekał w las, zabili go. Oczy Kasi zrobiły się małe, wzrok zmętniał i zastygł. Szum w głowie rozsadał jej czaszkę. Objęła twarz w obie dłonie i nie poruszyła się. Ale po chwili wyjrzała i cichym drżącym głosem spytała:

- Jesteś tego pewna, mamuś? Młynarzowa skinęła głową.

- Popatrz - podsunęła jej list i pokazała palcem.

Kasia przebiegła wzrokiem wskazany akapit i mamrocząc: zabili go, odsunęła się na bok.

Oparła się o ścianę i nieporuszona trwała w milczeniu. Czuła się tak, jakby nagle zawaliła się pod nią ziemia. Jakby sama wpadała w jakiś głęboki, czarny dół.

A przecież nie kochała go. Nawet nie darzyła sympatią. A gdy nie żyje, coś się dziwnego z nią stało. Wyglądała jak drewniana figurka, która stoi przy drodze, niema, z opuszczoną głową. Po chwili odwróciła się od matki i bez słowa odeszła. Tego dnia już nie wyszła z pokoju. Leżała w łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit i do wieczora się nie ruszyła. Nawet nie usłyszała przed nocą kroków matki, która cicho, na palcach stanęła nad nią i bezgłośnie szepnęła:

- Kasiu.

Ale Kasia nie odpowiedziała. Przeleżała tak do następnego

278

dnia, nic nie jedząc ani nie pijąc. Nie miała w oczach łez, ani razu nie zapłakała, była milcząca, zamknięta i nieobecna. A kiedy i trzeciego dnia nie podniosła się z łóżka, matka podała jej śniadanie i powiedziała, że ją rozumie, ale tak nie można żyć i Kasia musi się wyzwolić z letargu i dźwignąć na nogi. Kasia długo na nią patrzyła i odparła, ku zaskoczeniu matki:

- Tak mamuś, tak nie można żyć. I ja o tym wiem.

Wstała, spojrzała w okno i oznajmiła, że wraca do pracy. Zaciśnęła usta i natychmiast zabrała się do wyrzucania obornika, a pracowała tak szybko i w takim tempie, jakby pragnęła zapomnieć o całym świecie. Jakby sobie tą zmuśną pracą ciężką karę narzuciła.

Odwiedził ich ksiądz Robert, pokiwał głową i powiedział młynarzowej, że musi minąć trochę czasu, zanim Kasia dojdzie do siebie. Młynarzowa opowiedziała mu, w jak nieludzkich warunkach żyją skazańcy. Żywią się korą i korzonkami, czasami tylko dostają chudą zupę i raz na kilka dni kromkę czarnego chleba. I z głodu, wyczerpania i chorób padają jak muchy.

279

SPOTKANIE W LESIE

Mitia się nie zjawiał. Kasia drżała na myśl, że zabrała go zaraza. Głęboko przeżywała jego nieobecność. Wciąż o nim myślała i do niego w dzienniku pisała listy. Odczekała jeszcze kilka dni, a gdy nie nadjeżdżał, wsiadła na konia i popędziła przez las. I napotkała Mitię,

który gnał do niej z przeciwnej strony. Zsiedli z koni, rzucili się ku sobie i wpadli w objęcia. Kasia szeptała:

- Mitia, Mitia - jakby tylko to jedno słowo znała na pamięć. Nie mogła się oderwać od niego. A on zlizywał jej słone łzy i uspokajał:

- Wże dobre, moja gołubko, wże dobre.

A potem zaczęli sobie chaotycznie, beładnie opowiadać, co się z nimi przez ten czas działo. Kasia dowiedziała się, że wieś Miti została tak samo zdziesiątkowana przez zarazę jak jej. I że choroba nie ominęła także jego domu. On sam już umierał. Siostry były przekonane, że kona. Leżał bez tchu, a jego ciało zrobiło się chłodne i pokryte zimnymi kroplami potu. Siostry wpadły w popłoch. Zaczęły krzyczeć, machały ramionami, chwytaly się za głowy. A on leżał bez życia, z żółtymi plamami pod oczami, z opuszczonymi ramionami, trup. Dotykały trupa. Tętno na szyi było martwe. Czoło zimne. Ręce lodowate. A one błagały:

- Mitia, ne wmyraj. Ty musysz żyty. Szczo my bez tebe zrobymo?

I on, ku ich zdumieniu, słyszał te głosy. Słyszał jako trup. Słyszał ich płacz i rozpacz. Widział jak machają ramionami i wrywają sobie włosy z głowy. Opowiadał im potem, że na pewno musiał umrzeć, bo jego duch gdzieś wysoko uleciał i on z tej wysokości siebie widział.

Widział siebie martwego, jak leży na łóżku, a jego siostry nad nim się pochylają, dotykają go, całują, ocierają mu pot z czoła, biorą za ręce i badają puls. Widział siebie

280

z tej wysokości, swoją twarz, oczy. Widział wszystko, co się na dole, przy jego łóżku działo. I wszystko słyszał. Ale głosy docierały jakby zza szyby. Wydawało mu się, że to wszystko dzieje się w jakiejś otchłani, chociaż on leży na łóżku i widzi siostry i znane sobie przedmioty, krzesła, stół, szafę, okna, drzwi.

- I co? - spytała cicho Kasia.

Schylił głowę, a gdy ją podniósł, objął Kasię czułym spojrzeniem.

- Ty uratowałaś mi życie, Kasiu, ty - wymamrotał.

- Ja? Jak to, ja? Przecież... - urwała.

- Tak, Kasiu ty - powtórzył. - Stefka dotknęła mojej dłoni i płacząc, zawołała: - Mitia, jesteś taki młody! Nie zaznałeś jeszcze życia - nachyliła się nade mną i wykrzyknęła: - A co będzie z Kasią? Z waszą wielką miłością?! - I wtedy coś we mnie drgnęło. Poczułem jakiś silny związek ze swoim ciałem. Zjednoczyłem się z nim, ja duch, nicość, cisza, złączyłem się ze swoim ciałem. Wygląda to jak bajka i ja o tym wiem. Gdyby mi ktoś obcy dzisiaj to powiedział, nie uwierzyłbym. Ale tak było, Kasiu. Byłem duchem i żywym człowiekiem równocześnie. Stefka mi później opowiadała, że zauważyła wtedy, gdy zawołała, że mam jeszcze miłość i ciebie, że drgnęła mi powieka, a po chwili poruszył się palec u ręki i westchnąłem. - Mitia!? Najdroższy!?! - obie krzyknęły i tuliły się do mnie. Wzywały, bym wrócił, bym żył. I pamiętam, jak ciężko mi było się ruszyć, z jakim trudem przedzierałem się przez mroki i ciemność. Jakbym przez gęste ciężkie powietrze przenikał i z dna głębokiej, ciemnej studni się wydobywał. Aż poczułem, że przestrzeń staje się rzadsza, zaczynam oddychać i otworzyłem oczy. Nade mną pochylały się Stefa i Katia, obie zapłakane. Ale naraz zmieniły się i zobaczyłem na ich twarzach ulgę. Ukradkiem wycierały łzy.

- Wróciłeś - przywitała mnie Stefka i dotykając moich rąk, poczuła, jak moje ciało nabiera ciepła, jak się ożywia. Poruszyłem głowę. Ale to był ciężki powrót, bardzo ciężki, Kasiu.

Kasia nie wiedziała, co ma powiedzieć.

281

RUSKI KOCHANEK

Objęci chodzili po lesie i Kasia słuchała, co się zmieniło w jego wsi, kto umarł, a kto żyje, co robił potem, już po zarazie, gdy nadeszło lato. A on opowiadał, że odbywał długą

kwarantannę, bo bał się, by i ona się nie zaraziła. Siostra Stefka, pielęgniarka, odradzała mu natychmiastowe spotkanie. Choć on był z tęsknoty. Ale musiał jeszcze odczekać jakiś czas. Tak sobie gawędzili, aż w pewnym momencie Mitia jak lwowski batiar uśmiechnął się i powiedział:

- Wiesz Kasiu, Stefka się zakochała. -Co?

- No, Stefka się zakochała.

- Naprawdę?

- I to w kim!? - rzekł z przekąsem.

- W kim?

- W Ruskim! Kasi odjęło mowę.

- Co ty pleciesz? - po chwili rzuciła. - Jak w Ruskim? W jakim Ruskim?

- Mówię ci, że w Ruskim!

- W Sowiecie?

- Tak, w Sowiecie.

- Nie! Chyba żartujesz - patrzyła na niego nieufnie, jakby chciała go przyłapać na kłamstwie.

- Nie zmyślam, Kasiu. Ona naprawdę się zakochała.

Zamknęła oczy. W ułamku sekundy przypomniała sobie scenę, gdy ją sowiecki żołdat chciał zgwałcić. Wzdrygnęła się, poczuła nagły wstręt i obrzydzenie.

- Sowieci zabrali wam matkę, wywieźli na Sybir, a ona...? -

282

nie dokończyła, patrząc na Mitię. Chciała mu wyznać, co z nią robili, ale zlekła się, że Mitia dostanie szału.

- Uspokój się - powiedział chłodno. I z kwaśnym uśmiezkiem ironizował: - Moja kochana siostrzyczka oddała duszę Ruskiemu. A gdy Kasia mocniej go przycisnęła, by coś więcej powiedział, kim jest ten wybraniec, jak go poznała, gdzie się spotykają, wziął ją za rękę i idąc lasem, dokładnie jej opowiedział. Pewnego wieczora jechał przez wieś sowiecki samochód z żołnierzami z pobliskiego posterunku. I akurat przed ich domem się zepsuł. Z szoferki wyskoczył młody porucznik, wszedł na podwórko i widząc przez okno Stefkę, poprosił o wodę. Jego, Miti, wtedy w domu nie było. Razem z Katią byli na polu. Stefka wyszła na ganek i podała żołnierzowi garnek wody. Porucznik na nią spojrzął i ich spojrzenia spotkały się. Zobaczyła jego brązowe oczy i, jak później wyznała, zastygła. Nigdy nie widziała tak pięknych oczu. Porucznik był szczupły, elegancki i wysoki, z ciemnym wąsikiem pod nosem. Patrzyli na siebie i oderwać oczu od siebie nie mogli. W końcu oficer rzucił:

- Boh ty moj, kakaja ty krasawica! - a Stefka się zapłoniła, opuściła głowę i nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Porucznik stał z garnkiem w ręku, zakłopotany i przestępował z nogi na nogę. Dopiero, gdy szofer krzyknął, ocknął się i mruczając: - Podaż-di, ja wiernus - odszedł szybkim krokiem, podał szoferowi garnek i po chwili wrócił. A Stefka jakby wrosła w ziemię.

- Wot kakaja wstrecza, diewuszka - powiedział i przedstawił się. - Mienia zowut Misza. A tiebia?

- Stefa - odparła.

Podszedł bliżej i tak się w nią wpatrywał, jakby zapragnął zapamiętać jej twarz na zawsze.

- Maleńkaja, no oczy kak zwiozdy!

Gdy szofer zwrócił garnek i dał znak odjazdu, Misza spytał, czy może ją jeszcze odwiedzić, a ona jakby w amoku z miejsca odparła:

- Tak. - No, i w taki sposób się poznali - opowiadał Mitia.

Od tej pory porucznik odwiedza Stefkę co kilka dni. Umawiają się na spacer albo grają w karty. Okazał się całkiem sympatyczny, z poczuciem humoru i Stefka wpadła, jak śliwka w kompot - zakończył.

283

- A co na to Katia, ty, wiesz? Przecież to wróg.

- Wróg, nie wróg, a jej się podoba. Chce mieć ruskiego sołda-ta, niech ma. A co wsi do tego!? Pewnie gadają, jak to na wsi, plotkują, podglądają, ale nikt Stefce złego słowa nie piśnie. Bo boją się Ruskich jak ognia.

- Mitia, to Sowiet! - wrzasnęła.

- I co z tego, że Sowiet? - zimno odparł. - Sowiet, nie Sowiet, a jej chłopak. Nie pamiętasz już, co znaczy miłość? - zmrużył oczy i badawczo się jej przyjrzał. Opuściła głowę. I już do tego nie wracali.

284

OPOWIEŚĆ KASI

Przez dłuższą chwilę spacerowali w milczeniu. Najpierw szli w pewnym oddaleniu, a potem Mitia mocno ją objął i przytulił. Spojrzeli po sobie znacząco. I Kasia przystanęła. Uniosła się na palcach i delikatnie go pocałowała w czoło. A kiedy odchylił jej głowę, położyła palec na ustach i mruknęła:

- Poczekaj.

Zerknęła na niego z ukosa. Znał już to spojrzenie.

- Co? - niespokojnie spytał.

Już wcześniej chciała mu to wyznać, na początku spotkania, ale pędził ze swoją opowieścią o Stefce i ruskim oficerze, jakby go kto gonił. A ona nie miała odwagi mu przerwać. A poza tym słuchała w napięciu. I sama była zdenerwowana. Pomyślała, że gdyby mu przerwała, nic by się nie kleiło. Teraz doszła do wniosku, że nadeszła odpowiednia pora. Zerkała jeszcze na niego, aż się zniescierpliwiał:

- Mówże - syknął.

- Jestem wolna - cicho powiedziała.

- Co? - nie zrozumiał.

- Otrzymaliśmy z Syberii list. -I?

- On nie żyje - wydusiła

- On? - patrzył, jakby nie pojmując

- No, on - odparła zdławionym głosem. Nie powiedziała „mąż”, nawet nie „Henio”, tylko „on”, jakby był cudzy, obcy.

Patrzyli na siebie niemo. Oboje czuli, że stało się coś nieodwracalnego i ostatecznego. Ale nie mogli sobie jeszcze z tym poradzić. Spadł na nich ciężar, który ich gniótł. To, co miało Kasi przynieść ulgę, nagle zmieniło się w problem.

285

Gdy do Miti wreszcie dotarło, co się naprawdę stało, zaczęli rozważać, co teraz mają zrobić i jakie plany przedsięwziąć na przyszłość. Uznali, że los był im pisany. Ale nie nadszedł jeszcze czas, by się legalnie mogli spotykać. Kasia nie powinna sprawiać matce kłopotów i wołała, by wieś nie plotkowała. Wprawdzie już ludzie się dowiedzieli, że nauczyciel nie żyje, ale lepiej będzie, jeśli oboje poczekają, a życie samo rozwiąże nową sytuację.

Od tej pory widywali się ukradkiem. Mitia jak zwykle ją zaskakiwał. Potajemnie kochali się w lesie, na polu, w stogu siana, jak na początku. Raz ona pędziła koniem do niego, a raz on do niej. Matka obgadała sprawę z księdzem Robertem, który nie sprzeciwiał się małżeństwu, ale doradzał, by się nie afiszowali i nie spieszyli za bardzo, bo zbyt szybki ślub naraziłby ją na złą opinię. Obowiązuje żałoba i bez względu na to, czy go kochała czy nie, zasad należy przestrzegać. Bo są fundamentem życia. A bez nich życie straciłoby sens.

Kasia wysłuchiwała tych słów z uwagą, ale nie do końca się z nimi zgadzała. Czuła w tym jakiś fałsz, bo uważała, że miłość jest ważniejsza od wszelkich zasad. Jednak nie chciała ranić matki ani księdza i przystała na te zalecenia. W końcu to tylko kilka tygodni i będą razem, myślała.

Aż nadszedł czas, kiedy matka oznajmiła, że byłoby dobrze, gdyby Mitia ich odwiedził. Kasia skakała z radości. Obcałowy-wała matkę i pędziła na koniu jak na skrzydłach. I już

następnego dnia Mitia się zjawił w domu. Od tej pory co kilka dni pokazywał się na wsi. Sąsiedzi już się nie dziwili, gdy przez wieś pędził młody, czarny mężczyzna z rozwianą grzywą i wyskakiwał przed domem Kasi. Co niektórzy przypominali go sobie sprzed roku, gdy gnał jak wicher na złamanie karku, ale wtedy nie wiedzieli, kim jest i za kim się ugania. - Znowu przyjechał - komentowali, pokazując go palcami, patrząc przez okna, a kobiety wzdychały: - Takie życie - i kiwały ze zrozumieniem głowami. Powoli ludzie się oswojali z Mitią i jego koniem. Choć stare baby i lokalne plotkary z jadowitą niechęcią patrzyły jak powoli wrasta w wieś.

Mijało lato. Żniwa, roboty w polu. Mitia się dwoił i troił, by
286

u siebie porobić i Kasi pomóc. Młyn naprawiał, ale wciąż czegoś brakowało. Szkody po pożarze okazywały się dużo większe, niż sądził.

Ze świata nadchodziły wieści, że wojna rozszerza się. W maju Hitler uderzył na Belgię i Holandię. I Luksemburg szybko zajął. W czerwcu przeciwko Anglii i Francji przyłączyły się Włochy. A już w końcu czerwca Hitler oderwał kawał Francji i utworzył marionetkowy rząd w miasteczku Vichy, na czele którego stanął marszałek Petain, kolaborant i zdrajca. Dzielnie broniła się za to Wielka Brytania. Zmasowane naloty na wyspę trwały całe lato aż po późną jesień, ale nie przyniosły Hitlerowi sukcesu. Europa z nadzieją patrzyła na Londyn. Ale w październiku Włosi zaatakowali Grecję i wojna przesunęła się na południe.

Zbliżała się jesień, a za nią zima. Mitia zwoził drewno, domy zabezpieczał przed chłódami. Aż nadszedł grudzień i Boże Narodzenie.

287

ŚWIĘTA

Tlej nocy Kasia nie spała dobrze. Budziła się i dziwiła się, że nie przyśnił się jej Mitia. Tylko jakieś ptaki, które płynęły wysoko na niebie, a ona patrzyła na nie, jakby zapowiadały nowe życie. Rano wstała zmęczona, z klejącymi się oczami, a matka już z dołu wołała, by zeszła do kuchni, bo dzisiaj wigilia i muszą oporządzić gospodarstwo. Niechętnie zsunęła się z łóżka. Młynarzowa poprosiła, by szybko się umyła i poszła do obory, podała bydłu paszę, przyniosła wodę i posprzątała. Kasia bez słowa wykonała polecenie. Pod krowami zmieniła podściółkę, koniom przygotowała obrok, ziarna kukurydzy, otręby i mieszaninę sypkich pasz. Nakarmiła króliki i zabrała się do sprzątnięcia domu, odkurzania i mycia podłóg. I energicznie wymachiwała miotłami i ścierkami. Tak minął ranek i obie zabrały się do szykowania wigilijnych potraw.

W piecu huczało, kuchnia była rozpalona, a Kasia ciągle się dopytywała, w czym może jeszcze matce pomóc. Wiedziała, że matka myśli o ojcu i Mariuszu, który nie dawał znaku życia i obie nie wiedziały, co się z nim dzieje. Czy został wzięty do niewoli, a może zagnany, tak jak ojciec, na Syberię. A może, nie daj Boże... Nie chciały o tym myśleć. A gdy Kasia przyłapywała matkę w chwilach samotności, młynarzowa w pośpiechu chowała zdjęcia i udawała, że przez przypadek na nie trafiła. Nieobecność męża i brak znaku od Mariusza był dla niej ciosem. Wciąż nie mogła się podnieść. Kasia postanowiła, że będzie dla niej dobra, pomocna i w pełni oddana. Dawne urazy i niechęci zgmiotła w sobie.

- Czy jak zwykle, mamuś, dwanaście potraw przygotowujemy na stół? - pytała.

288

Matka uniosła się znad stołu, ogarnęła ją smutnym spojrzeniem i cicho odparła:

- Tak, córuś, jak zwykle przygotowujemy stół z dwunastoma potrawami, bo przecież przy stole było dwunastu apostołów i mamy dwanaście miesięcy w roku - pochyliła nad tartym makiem, który najpierw tłukła ogromnym wałkiem, zwanym ma-kochonem, w dużej drewnianej makutrze, a potem robiła z niego gęstą słodką zaprawę do kutii, dodając miodu i rodzynek. Kasia gotowała pszenicę bez łusek i widziała, jak pęcznieje i rośnie na jej oczach.

Szykowały kołacze i strudle, najsmaczniejsze, jakie można było sobie wyobrazić na święta. A do strudli potrzebne było cieniutkie jak papier ciasto, dlatego rozciągały je kilkakrotnie i zawijały.

Zanim nastał wieczór, w kuchni pachniało, roznosił się aromat wielu potraw. A Kasia przyniosła wyrąbane w pobliskim gaju wysokie świerkowe drzewko na choinkę i poczęła je stroić. Wieszala świecące papierem cukierki, owoce, jabłka, suszone śliwki, słodkie ciastka, orzechy, pierniki, małe gwiazdki z kolorowej bibułki, pajacyki, księżycy i słońca uszykowane wcześniej z kolorowego papieru, aniołki i świętego Mikołaja, wielobarwny, długi łańcuch, który co roku odnawiała, dopinając wciąż nowe ogniwa. Obsypała drzewko bielusięnką jak śnieg watą i srebrnymi anielskimi włosami, zapaliła świece, a na szczyt wbiła ogromną, świecącą gwiazdę i choinka była gotowa.

W domu się rozjaśniło i nawet smutek na twarzy matki powoli topniał.

Patrzyła na Kasię wielkimi wilgotnymi oczami i dyskretnie się uśmiechała. Kasia także odpowiadała jej ciepłym, dobrym uśmiechem i poczęły rozmawiać o starych obyczajach. Kasia dopytywała, które święta matka najbardziej zapamiętała i zaczęły się wspomnienia, połączone z westchnieniami, przeplatane barwnymi opowieściami o dawnych czasach. I ledwie się spostrzegły, a już pierwsza gwiazdka weszła na niebie.

Zauważyła ją Kasia i krzyknęła, jak zawsze:

- Mamuś, gwiazda na niebie, gwiazda - jakby zapominając o całym świecie. Jakby święto w jednym krótkim mgnieniu

289

chwili zakryło ciężkie chmury, a otworzyło blaski i światła. jej głos zabrzmiał tak samo przejmująco jak wtedy, kiedy była malutką dziewczynką i czyhała przy oknie, by wypatrzeć w ciemnej, atramentowej otchłani pierwszą jasność.

Drżała wtedy z przejęcia, a gdy dostrzegała i inne gwiazdy, pokrzykiwała, ile tchu w piersiach:

- Mamuś, tatuś, już niebo się świeci, pora na modlitwę i opłatek.

Wtedy inżynier Kukułka stawał się bardzo uroczysty, unosił wysoko brodę, poprawiał krawat, gładził Kasię po głowie i burczał, że istotnie, pora zasiadać do stołu i wszyscy zasiadali, włącznie z dziadkiem i babcią, którzy wtedy ich odwiedzali, ale od kiedy oboje zmarli, coraz częściej zostawali sami. I oto znowu święta. Jakże inne od poprzednich. I Kasia to czuje, i młynarzowa czuje. Jednak obie starają się omijać bolesny temat i udają, że są strasznie zapracowane.

Stół był pokryty białym obrusem, a pod spodem cienka warstwa siana, zaś pod stołem, na podłodze żytnia słoma, która przypominała, że Chrystus urodził się w ubogiej betlejemskiej stajence. Z kuchni niosły się zapachy lwowskiego czerwonego barszczu, pierogów z grzybami, pierogów z kapustą, z makiem, z mięszem owoców, z powidłami, gołąbki z kaszą gryczaną. Czuło się wonie świeżego pieczywa, strucli z serem, kołacza drożdżowego, plecionego jak warkocz i innych smakołyków, jakie wydawała ta mlekiem i miodem płynąca kraina. A na tym kołaczu na ozdobnym talerzu leżały opłatki. Swoje miejsce miało też naczynie z czosnkiem i olejem. Opowiadano sobie bowiem za dawnych czasów, że czosnek i olej tej nocy w tajemniczy sposób odpędzają od człowieka demony i złe duchy, i zapowiadają zdrowie, a przede wszystkim zabezpieczają zęby przed wszelką zarazą. Najważniejszym smakołykiem pośród wszystkim była jednak kutia. Na nią czekała Kasia. Na kutię słodką i pachnącą.

Teraz spoglądała w niebo, to znowu na matkę, która także szukała pierwszej gwiazdki.

- Jaka ogromna, mamuś - znalazła Kasia. I wtedy usłyszały pukanie. Zastygły.

290

A gdy otworzyły się drzwi, zobaczyły księdza Roberta. Od progu uniósł ramię i serdecznie obie pozdrowił.

- Bóg z wami, drogie panie - powiedział poważnym głosem. ▯ Kasia bardzo się ucieszyła, że ksiądz już przyszedł. Podbiegła do niego i mocno go ucałowała. Poczwała się bardziej bezpieczna i pewniejsza. W końcu był jej krewnym. Ksiądz Robert co święta odwiedzał ich dom. Od czasu, kiedy przywędrował tutaj z odległej parafii, spod Łucka, wpadał do nich jak sąsiad, by pogawędzić sobie z młynarzowa albo z inżynierem Kukułką. Tym razem się zapowiedział, że przyjdzie, by razem z nimi spędzić wigilię. No i zjawił się. Zwykle odwiedzał tego wieczora wiele domów, teraz jednak postanowił poświęcić im więcej czasu.

- Siadaj, wuju - szybko zaprosiła go do stołu młynarzowa, a Kasia podsunęła krzesło.

Ksiądz Robert zdjął płaszcz, ściągnął szal. Na dworze zrobiło się zimno. Dniem napadało dużo śniegu i dociskał mróz. Usiedli przy stole, dosunęli jedno wolne krzesło dla nieznanego podróżnika, który może wieczorem przybyć i zapukać do drzwi. Postawiły przed pustym krzesłem dodatkowe naczynia z okruskami opłatka, by stało się zadość starej tradycji, która mówiła, że w wieczór wigilijny nawiedzają domy duchy przodków, a nieraz przywdziewają szaty dziadów prosalnych, których należy poczęstować świętecznymi potrawami. Dzieciom, które tego słuchały, cierpła skóra i z lękiem wypatrywały nieznanymi, zastanawiając się, jaką postać tym razem przyjmą duchy. Pamiętała Kasia, jak jeszcze dziadek Ksawery opowiadał, że w wigilię trzeba bardzo ostrożnie poruszać się po domu, by nie nadepnąć jakiegoś ducha, który siedzi skulony w kącie, albo usadowił się na ławie lub przy stole. By nie uczynić mu najmniejszej krzywdy, należy zaklaskać w dłonie, a duch ustąpi miejsca.

Młynarzowa zerknęła w róg pokoju i spuściła oczy.

- Co się stało? - szybko spytała Kasia.

Matce zadrżały wargi. I wtedy Kasia pojęła. Kąt pokoju był pusty. Zapomniały o czymś ważnym.

- Zawsze, jak był Jakub, przynosił snop żyta - powiedziała cicho młynarzowa.

291

- O, tam stawał - pokazała kąt.

- Ten snop symbolizuje urodzaj - dodał ksiądz.

- A my zapomnieliśmy, Kasiu - z zakłopotaniem rzekła.

- Nic się nie stało, Anno, zaraz przyniosę - ksiądz Robert się podniósł, narzucił płaszcz i wkrótce przyniósł dorodny snop żyta.

Uklonił się paniom, tak samo, jak kłaniał się inżynier Kukułka i złożył całemu domowi życzenia. Wprawdzie nie brzmiały one tak samo, jak życzenia inżyniera Kukułki, nie miały rymów ani tamtego rytmu, ale też były miłe i pełne miłości. W zapomnianym snopie dopatrzyła się młynarzowa pierwszego wyłomu w obyczajach ich domu. Inżynier Kukułka powtarzał odwieczny rytuał i zawsze w taki sam sposób szykował izbę do świąt. Bo tak to robili jego dziadowie i pradziadowie. A gdy go zabrakło, zabrakło i snopa, i wierszowanych życzeń. Nikt też nie rzucił na dach domu kilku kłosów, by chroniły gospodarstwo przed nieszczęściem. Ksiądz też o tym zapomniał i jakby złamał tradycję. Ale snop stanął na miejscu.

Ksiądz Robert zasiadł przy stole. I choć był ich krewnym, choć szanowały go, lubiły i ceniły, nie mógł zastąpić im ojca ani męża. Zmówili modlitwę, połamali się opłatkiem i życzyli sobie dużo zdrowia. Nie mogli nie wspomnieć o Mariuszu i Jakubie oraz o innych zesłańcach i zaginionych. I tego się Kasia najbardziej bała. Ksiądz wyczuł powstałe napięcie, starał się je zmniejszyć, opowiadając, że na całym świecie ludzie obchodzą wigilię i na Syberii z pewnością też, ale młynarzowa wbiła smutne spojrzenie w stół i milczała.

- Skąd wezmą opłatek? - spytała.

- Och, Anno - starał się ją uspokoić. - Opłatek jest symbolem daru ofiarnego, chleba, oznacza też miłość i dobroć. I cokolwiek się tam podziela, nawet starym sucharem czy też dobrym słowem, to też będzie miało swoją moc.

Ale młynarzowa ze smutkiem mówiła, że teraz, kiedy oni tutaj siedzą przy stole, a w piecu huczy ogień, Jakub gdzieś tam w głębokiej tajdze zamarza. I przypominała, co opowiadał dziadek Ksawery, dawno zesłany na Sybir, którzy jakimś cudem ocalał i wrócił. I mówił, że mieszkał w drewnianych zimnych bara-

292

kach, a pięćdziesięciostopniowy mróz ścinał oddech. I zżerały •Cb choroby, świerzb, tyfus, szkorbut, wszawica i wszelka zaraza, padali pokotem. Umierali setkami i tysiącami. I trzeba było jamy kopać i grzebać ich jak zwierzęta, bez księdza, mszy świętej i modlitwy, bo na to władza nie pozwalała.

- Tak, Anno, to wszystko prawda - przerwał ksiądz Robert -ale nawet i tam, w tym piekle, jak mówisz, też obchodzi się święta. I bez względu na to, jakie one są, biedne i głodne, czy syte i bogate, zawsze ludzie wracają myślami do Betlejem. I to pozwala nam bardziej zrozumieć tajemnicę narodzenia syna Bożego i sens czekania na Chrystusa.

Młynarzowa westchnęła i przypomniała jak niegdyś przychodził św. Mikołaj, a Mariusz i Kasia cofali się niepewni, co im przyniesie, różgę czy smakołyki. Tym razem Mikołaj osobiście nie zjawił się, ale poprzez swoich niewidzialnych wysłanników zostawił pod choinką małą paczuszkę, którą Kasia szybko otworzyła i znalazła w nim piękną broszkę, perfumy i srebrny naszyjnik.

- Pamiętał o mnie - uśmiechnęła się.

Także ksiądz Robert i młynarzowa zostali obdarowani drobiazgami, z których bardzo się ucieszyli. Kasia pomyślała o Miti, który z Katią wyjechał w ważnych sprawach rodzinnych do kuzynów pod rumuńską granicę i z pewnością po świętach wróci.

Ksiądz Robert zaczął opowiadać, jakie obyczaje panują w innych regionach kraju. Że wszędzie w wigilijny wieczór zjada się to, co rośnie na najbliższym polu, w ogrodzie, lesie czy w sadzie. Nie jada się tylko tłuszczów zwierzęcych ani mięsa, a stoły zastawione są potrawami zbożowymi, z grzybów, mąki, jarzyn i owoców. Potem mówił o odległych, egzotycznych krainach. A ponieważ przez kilka lat przebywał na misji w Ameryce Południowej oraz w Afryce, opowieści coraz żywiej wciągały i po pewnym czasie obie były już zasłuchane w opowieści o niezwykłym, obcym i dalekim świecie. - Boga można na sto sposobów wielbić i odmiennymi językami do niego się modlić - mówił.

Kasia przypomniała, że gdy była mała, ojciec tego wieczora zapalał garść słomy, a ona skakała przez ogień, by zahartować, jak mówiła legenda, swoje ciało i by płomień nigdy się jej nie imały.

293

Ksiądz się uśmiechał, ale nie skomentował wydarzenia. Ani się spostrzegli, kolacja dobiegła końca.

Zrobiła się późna noc i ksiądz Robert musiał wracać.

Przed pożegnaniem zaśpiewali kilka kolęd, a Kasia dała solowy popis, śpiewając ulubione jej pieśni Lulajże Jezuniu i Bóg się rodzi.

Ksiądz Robert był poruszony jej wielkim i ciepłym głosem. Ucałował Kasię w czoło i już chciał wyjść, gdy sobie coś przypomniał. Opowiedział im krótko, że poprzedniej nocy, gdy chwyciły ostre mrozy, omal nie zamarza córka sklepowej, Jasia, którą sąsiedzi znaleźli na drodze. Wracali z miasta, a ona leżała na śniegu, zimna, a jej rzęsy wyglądały jak oszronione igły sosnowe.

- I co? I co? - zatrwożyła się Kasia.

- Odratowali ją. Wsadzili na wóz, zawieźli do domu i poczęli nacierać ciało śniegiem. Po kilkunastu minutach odżyła, a wydawało się, że już było po niej. Gdyby nie nadjechał sąsiad, mielibyśmy zamiast święta, pogrzeb.

- Żyje? - płochliwie spytała Kasia.

- Tak, dziecko, żyje - odparł ksiądz Robert. I pouczył, że w takich sytuacjach należy zamrożonego pocierać śniegiem. Jak nie jest za późno, odratuje się go. Pochwalił jeszcze kutię, podziękował za gościnę, dłużej zatrzymał wzrok na Kasi i widząc jej skrępowanie, pochwalił za dzielność, jaką wykazuje w tych trudnych chwilach, a młynarzowej obiecał wszelką pomoc, jaka jej tylko będzie potrzebna. I rzekł, że w takich chwilach ludzie powinni sobie wzajemnie pomagać, pożegnał się i wyszedł.

Ale jeszcze z za progu, odwrócił się i uśmiechając się do Kasi, powiedział:

- Nie zapomnij Kasiu, że tej nocy nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem.

Kasia dygnęła i obiecała, że zaraz pójdzie do konia i poda mu opłatek i coś ze stołu.

Przypomniała sobie, jak dziadek Ksawery opowiadał, że w dawnych czasach, kiedy się w przeddzień świąt polowało na dziką zwierzynę, w dniu wigilii przyprowadzano z lasu niedźwiedzia albo potężnego tura i te zwierzęta oprowadzano od domu do domu, by zabezpieczyć gospodarstwa przed nieurodzajem i rodzi-

294

nom zapewnić dostatek i szczęście. Bo symbolizowały one gospodarność, moc i odwagę. Potem z tej tradycji, gdy zabrakło już tura, wywiódł się obyczaj chodzenia po domach z turoniem, który przypominał tura.

A babcia przestrzegała, by w wigilię nie szyć, nie tkać, i obejść się bez przędzenia. Bo takie czynności lubią złe demony, które potem zsyłają na ziemię burze, pioruny i straszne deszcze, które mogą zatopić nawet ziemię. I nie wolno tego zakazu złamać, bo nieszczęście gotowe. Nie wolno też w wigilię się kłócić ani okazywać sobie niechęć. I należy dbać, by w czasie świąt się nie zranić, ani nie zachorować, bo takie znaki wieszczą zły rok. A panny z największym lękiem patrzyły na to, kto w dniu wigilii pierwszy przekroczy próg ich domu. Mężczyzna czy kobieta. Jeśli kobieta, to kłopot. Dziewczyna nie wyjdzie w najbliższym roku za mąż. Jeśli mężczyzna, to wesele pewne. Kasia nie miała powodu do smutku. Pierwszy wszedł ksiądz Robert.

Po wyjściu księdza stały przez moment jakby skrępowane. A dokuczliwa cisza biła w uszy. Zdawało się im, że nagle cały świat zamarł. W końcu młynarzowa cicho się odezwała:

- Powoli zbierajmy się, Kasiu, do snu.

- Dobrze, mamuś - odparła Kasia - tylko podam zwierzętom opłatek.

Narzuciła na siebie kożuszek, wzięła latarkę i wybiegła do stajni.

W stajni patrzyła na konia, jakby oczekując, że ogier odezwie się do niej po ludzku i powie:

- Kasiu, już wkrótce nadejdzie czas, gdy twoja radość będzie wielka.

Koń prychnął i ona zrozumiała, że właśnie tak powiedział.

Podawała mu opłatek, pogłaskała po szyi, a potem podeszła do owcy i krowy, także je obdarowała i wróciła do domu. Zabrały się do sprzątanía stołu. Dłużej zatrzymały się przy choince i jakby dopiero teraz dostrzegły jej piękno, wpatrywały się w nią jak w bajeczny, senny widok.

- Ach! - nagle krzyknęła Kasia.

- Co? - zastygła młynarzowa.

295

- Zapomniałam o wróżbie. Zawsze wróżyliśmy sobie w wigilijny wieczór.

- Kasiu, nie uchodzi, byś sobie wróżyła. Tylko dzieci w dzień wigilii sobie wróżą.

Przez chwilę milczała.

- To jutro zaproszę do nas Ksenię - odezwała się.

- Naturalnie, zaprosz - matka się uśmiechnęła. - W końcu to twoja przyjaciółka. I tak nie macie dla siebie zbyt wiele czasu. Kiedy byłyście małymi dziewczynkami, nie starczało dla was dnia, ciągle biegałyście, bawiłyście się w chowanego. Byłyście jak dwie krople wody. A teraz i z Salcią, i z Sarą rzadziej się widzisz. A kiedyś, jak tylko się rozwidniło już krzyczałaś: „Chcę do Kseni, do Sal-ci, do Sary” i goniaś. Pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam. One mnie też zapraszały na święta
- zamyśliła się i rzuciła: - A wiesz mammo, że ceremonie cerkiewne są ciekawsze od naszych, bogatsze...
- Dziecko, co ty wygadujesz?! - krzyknęła młynarzowa. - Jakby wuj Robert to usłyszał, pociągnąłby cię za ucho. Każda wiara ma swoje własne ceremonie - popatrzyła na Kasię z wyrzutem.
- To musisz wiedzieć. To lata tradycji...
- Tak, wiem.
- Więc zaproś, kogo chcesz.

296

PASTERKA, PRZYJACIÓŁKI

O północy poszły na pasterkę. W kościele najpierw paliła się tylko wieczna lampka, a dopiero po słowach „Chwała na wysokościach Bogu” kościół rozjarzył się wieloma światłami. Koło ołtarza stała wielka i barwna choinka, obwieszona wieloma gwiazdkami i aniołkami. Zwalił się tłum ludzi, paliły się świece i dymiły kadzidła. Było bardzo uroczyście, niezwykle. Muzyka organów przyprawiała serca o drzenie. Głos kolęd brzmiał głośno, donośnie i wydawało się, że trzęsą się ściany. Ksiądz Robert wydawał się wyższy i potężniejszy niż zwykle. Uniósł ku niebu oczy i nastąpiła cisza. Zdawało się, że zaraz nadpłynie gwiazda betlejemka, która oznajmi o nadejściu trzech króli. Gdy ksiądz Robert z ambony wygłaszał kazanie, jego wyciągnięte ramiona wskazywały aniołów, które niewidzialnie unoszą się nad nawą główną. A gdzieś na dole przemyka potwór, któremu na imię Herod. I jego ręce umazane są krwią niewinnych dzieci. Małe dzieci tuliły się do swoich matek w obawie, że ten straszny Herod zaraz się zjawi w kościele i zetnie im głowy. Patrzyły z przestraszaniem na stajenkę, lękając się, że zły król i do Chrystusa zaglądnie. Na moment zgasły światła. I rzeczywiście przez kościół przesunęła się gwiazda. Spływała jakby z nieba, a ludzie unieśli głowy i zadumani patrzyli.

Dawniej bywały pasterki, które stawały się okazją do wykrywania czarownic. Jeśli ktoś miał podejrzenia, że we wsi mieszka czarownica i rzuca na ludzi zły urok, zabierał na mszę świętą o północy stołeczek, który został wykonany między dniem św. Łucji a dniem wigilii, w czasie podniesienia klękał na nim i patrzył przez ocedzarkę do mleka na modlących się wiernych. Je-

[

297

śli dostrzegł kobietę dziwacznie ubraną albo ze skopcami na gł0. wie, oznaczało to, że pojawiła się czarownica. Rzucił wtedy w nią stołeczkiem i wszystkie czary traciły swą moc. Kasia, choć z uśmiechem popatrywała, czy ktoś nie rzuci stołeczkiem w jakąś czarownicę, tym razem nikogo takiego nie zauważyła.

Chłopcy mieli na podorędziu żarty. Po kryjomu spinali modlących się dziewczynom suknie albo przyczepiali spódnice do kołnierzy. A dziewczyny nie mogły się obrażać, bo potem przez cały rok by się dąsały. Dlatego tej nocy wszystko i wszystkim wybaczano, nawet tak osobliwe i absurdalne zabawy i żarty! Ale Kasia bardzo uważała, by jej kto psikusa nie sprawił.

Gdy wracała z pasterki do domu, pod nogami trzaskał śnieg, a mróz szczypał w uszy. Następnego dnia w porze obiadowej zjawiła się u Kasi Ksenia, ładnie ubrana, z koralami na szyi i z białą, wyszywaną pod szyją bluzką. Miała zdrową cerę i nieco ukośne, duże niebieskie oczy, z ciemnymi, długimi rzęsami. Kasia patrzyła na nią zachwycona.

- Ksenia, nie poznaję cię, jesteś jak wielka dama. Ksenia odparła:

- Tobie też niczego nie brakuje. I obie się roześmiały.

A potem składały sobie życzenia, dzieliły się opłatkiem, ze smakiem zjadały szynkę i delektowały się kutią. A kiedy przyszli kolędnicy, panie zrobiły poważne miny. Kolędnicy byli ubrani w odwrócone wełną na wierzch kożuszki, w rękach trzymali ruchome gwiazdy na

kiju i śpiewali kolędy. Zaraz po nich zjawiali się inni z kozą na kiju, z diabłem, aniołem, żydem, Herodem i śmiercią z kosą. I odgrywali przedstawienie, w którym historia Bożego Narodzenia przeplatała się z lokalną tradycją. A gdy kończyli scenki teatralne, otrzymywali od dziewczyn cukierki, słodkie ciastka i grosz na drogę.

Wspominały Mariusza, za którym Ksenia tęskniła i dopytywała, czy do domu też nie pisze listów, bo do niej od dawna nie pisze.

- Boże, by tylko żył - powiedziała Ksenia. A Kasia zobaczyła w jej oczach łzy.

298

_ by tylko Ruskie go nie chwycili i na Sybir nie wywieźli - szepnęła Kasia.

A gdy nadeszła noc, Ksenia pożegnała się, objęła przyjaciółkę i obiecała, że wkrótce się zobaczą. Drugiego dnia świąt Kasia aprosila swoje żydowskie koleżanki, Salcie i Sarę.

Bawiły się do zmięzchu, czule się pożegnały i tak minęło Boże Narodzenie.

299

CZARNA DAMA I SAMOLOTY

Propagandziści sowieccy znowu chodzili po domach i zaganiali chłopów do kolchozu. Ale nie mieli łatwego zadania. Mimo grózb i szantażu niewielu nowych się zapisało. W najgorszej sytuacji znaleźli się ci, którzy byli bogaci. Grożono im więzieniem, bo są, jak ich nazwano, kułakami, którzy ukrywają przed socjalistycznym państwem swoje bogactwa. A nawet wymyślono skierowane przeciwko nim strofy poetyckie przetransponowane prosto z komunistycznych gazet w rodzaju: Kułak płacze, kułak stęka, a odsetek kieszeń pęka, byleby ich wciągnąć do kolektywnej gospodarki. Bieżeńcy natomiast, jak wiadomo, byli zdrajcami i tylko kolchoz mógł im uratować życie. Ale niewielu bieżeńców ocalało. We wsi został tylko Hryćko, który za pierwszym razem się ukrył, teraz jednak od razu go capnęli i siłą wcielili do kolchozu. I w taki sposób rozwijał się na wsi kolchoz, do którego w sumie przystąpiło trzynastu chłopów. I ten kolchoz od początku ledwo zipsał. Kolchoźnicy zaczęli gospodarke od wzajemnego okradania i rujnowania dobytku. Nic dziwnego, że wkrótce wszystko potoczyło się ku ruinie.

Z frontów wojennych docierały informacje, że po wcześniejszych układach zawartych między Niemcami i Włochami, doszł do nowych. W Berlinie powstało porozumienie wojskowe, na moc którego Niemcy, Włochy i Japonia podzieliły się w świecie strefa mi wpływów. I w ten sposób Hitlerowi i Mussoliniemu przypadła Europa, a Japonii Azja.

A na wsi wariat, Lolek Kępa, znowu wspinał się na skałę. A potem widziano go na murach zamku.

- Tylko głupiec albo obłąkany waży się tam wejść i spotkać Czarną Damę - komentowali chłopci.

300

Istotnie, nikt inny poza Lolkiem Kępą nie był w stanie wdrapać się na szczyt góry. Naturalnie, także poza wiedźmą Walentyną. Ale ona chyba czarowała górę, by góra pozwoliła jej tam wejść.

- Niedobrze - wieś kręciła głowami. - Znowu się zapowiada jakieś лихо.

Czarna Dama wyszła w nocy na ruiny zamku i w ciemnościach zapłonął czerwony znicz. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że nadciąga nowy pomór, zaraza czy inne nieszczęście. Od niepamiętnych czasów tak było. Czarna Dama zawsze obwieszczała światu jakąś katastrofę, powódź, gradobicie, suszę czy inny kataklizm.

Wzmogły się pomruki wojny. I wojna już nie była gdzieś daleko, na zachodzie, w Belgii, Francji, czyli Bóg wie gdzie, ale nadciągała zza Buga i zapalała swoje ognie na Kresach. Nie wystarczył atak Sowietów. Musieli zwalić się tu i Niemcy. Armie hitlerowskie zbliżyły się wielkimi krokami do Lwowa, Stanisławowa i Kołomyi. I 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Rosję.

Pierwszym znakiem nowej wojny była bitwa samolotów nad wsią. Ludzie podnosili wysoko głowy i widzieli, jak w błyskach słońca śmigają po niebie aeroplany. Słysząc było coraz silniejsze odgłosy wystrzałów, suche trzaski i na ziemię spadały duże brązowe gilzy. Dzieci rozdziawiały gęby i z przestachem gapiły się na podniebne bitwy żelaznych ptaków. Deszcz spadających łusek budził sensację i niepokój. Malcy gonili za toczącymi się po podwórkach łuskami, brali je do rąk i z przerażeniem odrzucali, były gorące, pachniały prochem i parzyły dłonie. Ktoś krzyknął, by się cofnąć, bo samolot może spaść na ziemię i zabić. Rzucili się do domów. Żelazny ptak dla dzieci był niedosiężny. Jak podniebny orzeł. I mógł fruwać bez ograniczeń. Jednak dorośli zaganiali malców do chałup i co najwyżej pozwalali im patrzeć przez okna albo z ganków domów.

Samoloty nagle ginęły w białych obłokach, gwałtownie się wynurzały i pikowały ku wsi, by znowu wzbic się w przestworza. Wieś nie mogła oderwać oczu od tych ognistych zmagających, raptownych lśnień, kołowrotek, beczek i podniebnych gonitw. Mężczyźni rozpoznawali już znaki na skrzydłach i rozróżniali czarne krzyże i czerwone gwiazdy.

301

- Ruskie ze Szwabami się tłuką - poburkiwali. I znowu zadzierali do góry głowy.

I raptem zamarli. Bitwa przeniosła się nad las i w pewnej chwili w powietrzu rozwinęła się ciemna, gruba wstęga dymu, którą ciągnął za sobą samolot z czerwoną gwiazdą, szybko spadając na ziemię. Wkrótce zniknął za drzewami. A za nim pędziło już kilka aeroplanów, pikując w obłokach dymu. Pozostałe zawróciły i pomknęły na wschód, a niebo zrobiło się czyste.

Tłum dzieci i młodzieży runął w stronę lasu.

Gdy pierwsi chłopcy dobiegli do płonącego samolotu, zobaczyli już tam Mitię, który akurat wybierał się do Kasi. I teraz szukał rozbitej maszyny.

Huknęła ziemia i dwa inne aeroplany spadły między drzewami, kosząc konary i grube gałęzie. Dzieci gapiły się na stojącego w płomieniach żelaznego ptaka. A gdy się już dym rozniósł po okolicy i wrak samolotu stał się widoczny, zobaczyły spalone zwłoki pilota w kabinie.

Długo bały się do niego zbliżyć, obserwując w milczeniu rumowisko złomu. Samolot wbił się dziobem w ziemię, wyrrywając głęboki, czarny dół, wystawał złamany ogon i popękany kadłub oraz połamane skrzydła.

Zasapani chłopci, którzy dopiero co tu dobiegli, zastygli w milczeniu. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego z bliska. Bo co innego widzieć żelaznego ptaka w powietrzu, a co innego na wyciągnięcie ręki w lesie albo na polu. Toteż gapili się jakby diabła zobaczyli. A kiedy któryś uniósł nogę, by podejść bliżej, pozostali syczeli jak żmije, by tego nie robił, bo lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Bo nie wiadomo, co to za potwór. Niby kupa żelastwa, ale coś w nim warczy, syczy i trzeszczy. I nie wiadomo, co z niego może jeszcze wyskoczyć.

Gdy prychanie, warkot i syczenie ustało, co śmielsi ostrożnie podchodzili bliżej, wyciągali ręce i czekali, czy jakiś demon nie wyskoczy ze środka i nie porwie ich. A za nimi strachliwie pod-pełzały dzieciaki i z bardzo bliska widziały zmiażdżonego potwora, w którym dopatrywały się oczu, długich ramion, i naturalnie, skrzydeł oraz czarnych źrenic.

302

Ktoś podniósł kij i uderzył nim o rozerwane skrzydło. Rozległ się głuczny dźwięk. Coś trzasnęło i ludzie w popłochu odskoczyli.

Najbardziej przerażał widok spalonego pilota, którego czarna, osmolona czaszka oparta była o jakieś zegary. Samolot jeszcze raz prychnął, jakby się w środku coś w nim dopalało i nastał spokój. Wtedy ku niemu ruszyli. Obiegli wrak ze wszystkich stron i pomrukiwali:

- Sowiecka maszyna. Ruski aeroplan.

A gdy się napatrzyli, podeszli ku dwu innym strąconym samolotom, rozgrabiając części, wydzierając z kabin jakieś druty, kable, zegary, lśniące kule, błyszczące płytki i wracali do

chat. Każdy z jakimś łupem. Stracony samolot był pierwszym znakiem nowych działań wojennych.

A wieczorami już tylko o bitwie samolotów po chatach opowiadano. Trwozę spowodowały wiadomości przyniesione z Kołomyi. 22 czerwca Niemcy przekroczyli granicę i od razu zaczęli mordować Żydów. Wojska rosyjskie kopały długie rowy wzdłuż lasów i zaganiały do roboty chłopów. Okolice została pocięta długimi transejami i bunkrami. Sowietci umacniali posterunki, a ich samochody penetrowały teren, objeżdżając wioski i sioła.

I znowu pokazała się na ruinach zamku Czarna Dama w długiej sukni i z zakrytym obliczem. Zwiastowała kolejne nieszczęście albo wielką odmianę. Najpierw zapowiedziała zabór sowiecki, potem atak zarazy, a teraz najście Szwabów. Była nad wyraz poważna. Stała na najwyższym murze, tuż obok wielkiej wieży i nieruchomo patrzyła na Zachód. Potem spacerowała po tarasie, milcząca i smutna.

- Czarna Dama. Znowu nieszczęście.

I już nikt nie miał wątpliwości, że jest tylko kwestią czasu, kiedy niemieccy żołdacy wejdą na Pokucie.

Nocą Czarna Dama na tle gwiazd trzymała w ręku zapaloną żagiew i wysoko unosiła ją do góry, jakby rozświetlając przed światem mroczną drogę. Wyraźnie było widać jej woalkę i wysoką, szczupłą postać.

Ruskie strzelali do niej zapalającymi kulami, ale kule nie chciały się jej imać. A proch w kulach robił się wilgotny i zgniły. Kiedy jeszcze raz próbowali, karabiny się zacinały. Albo kule nie trafiały.

303

ZNIKANIE URZĘDNIKÓW

Mitia dotarł do wsi i powiedział Kasi, że słyszał od narzeczonego Stefki, jak oficer mówiąc o Czarnej Damie, szpetnie kłął:

- Proklataja Poliaczka! - i pokazywał zaklętą górę.

A po wsiach gadali:

- Jak Sowietci jej nie zdobyli to i Szwaby nie dadzą rady.

I zerkali niespokojnie w okna, czy nie zobaczą jakiegoś błysku albo nie usłyszą kanonady walących dział.

Krawiec Hermann, który trząśł gminą i miał wielu krewnych we władzach powiatowych, razem ze swoją rodziną nagle zniknął. Uciekł do Moskwy. Jego syn służący w sowieckiej milicji także ulotnił się jak kamfora. Żydowscy sklepikarze w pośpiechu pozbywali się towaru i zamykali kramy. Uciekali na Wschód. Kobiety rzuciły się do wykupywania wełny na suknie, adamaszku na pościel, materiałów na pierzyny i bławatnych kuponów na ubrania. Mitia zabrał się za młyn, którego Sowietci nie zdołali upaństwowić. Chyba tylko dlatego, że był zepsuty. Kasia patrzyła z powagą, jak silnymi ramionami i zgrabnymi ruchami rąk naprawiał urządzenia. Okazało się, że konstrukcja budowli w kilku miejscach została naruszona i wymagała wielu zabiegów. Kasia mrużyła oczy, kiwała na niego paluszkami, dając do zrozumienia, że to dzieło jego rąk, gdy podpalił ściany. A on z determinacją walił młotem w drewniane belki.

304

ZNOWU WOJNA

Lato zapowiadało się gorące. Mitia pragnął jak najszybciej przygotować młyn dla nowych zbiorów zbóż. Ale następnego wieczora, gdy siedział z Kasią przy stole, a okna były szeroko otwarte, usłyszeli daleki huk, jakby na ziemię spadł wielki głaz i ziemia zadrżała. Poczęli nasłuchiwać. A gdy huk się powtórzył, wyszli na ganek, a potem na podwórko i zobaczyli za lasem odległe błyski ognia. Młynarzowa powiedziała, że to zapowiedź burzy. Ale Mitia spojrział w niebo pełne gwiazd i oznajmił:

- To wojna.

Kasia przytuliła się do matki.

- Może nie? - broniła się młynarzowa.

Na niebie pojawił się grad błyskawic, rozdzierających chmury. Wkrótce usłyszeli odległe brzęczenia komara i cieniutki świst. Wysoko nad chatą przemknęła ślepa, świecąca kula, pomknęła za las i znikła.

- Tak, to wojna - Mitia nie miał już wątpliwości. Kasia oderwała się od matki i przyłgnęła do niego.

- Boże, zabiorą cię do wojska - jęknęła.

Objął ją ramieniem i odprowadził do izby. Szybko się pożegnał, obiecując, że wpadnie jutro. I jak oszalały pognął na koniu do domu. Kasia wyszła na drogę i długo za nim patrzyła.

Następnego dnia od rana rozgorzały walki. Spod lasu, gdzie się zadekowali w bunkrach Sowietów, leciały na zachód pociski i rozgrywały się wśród rozbłysków. Aż któryś z chłopów burknął:

- To armaty.

- Albo i nie armaty, a inny czort - wtrącił drugi.

Stada dzieciaków ze strachem wsłuchiwały się jak z potężnym świstem przelatują nad wioską kule. Ale na nic nie zdały się

305

te sowieckie pociski. Nad lasem pojawiła się czarna chmura niemieckich samolotów i zbombardowała okopy i bunkry. Armaty zamilkły. Strzepy oddziałów, resztki sowieckiego wojska w popłochu wycofywały się na wschód. A ci, którzy się ukryli w bunkrach, zostali z nich wykurzeni jak szczury, granatami.

Drogą sunęły samochody pełne szwabskich żołnierzy, ciągnęły się działa, a piechota błyskawicznie zajęła las i sowieckie okopy, pędząc za wrogiem. Po Czerwonej Armii śladu nie zostało. We wsi rozpadł się kołchoz. I już nie było czego kraść.

306

ŻOŁNIERZE WĘGIERSCY

Po ucieczce wojsk sowieckich, Podkarpacie wraz ze Stanisławowem zajęły oddziały węgierskie, które zawładnęły całym Pokuciem aż po Dniestr. Żołnierze zatrzymali się na środku wsi, rozstawili wielkie okrągłe kotły pod kościołem i gotowali gorącą zupę z kawałkami kiełbasy w środku. Podawali dzieciom, nalewając do menażek lub płaskich blaszanych mis. Okazali się bardzo mili, sympatyczni i nie czynili nikomu krzywdy. Próbowali się dogadać z gospodarzami. Zaglądali do chat, by porozmawiać, choć trudno było ich zrozumieć. Mieli na głowach dziwne, okrągłe czapki z daszkami i nieraz zdejmowali je, by nałożyć na uszy jakiemuś maluchowi. Chmara brzdąców najpierw przyglądała się im ze strachem, a potem z zaciekawieniem. A oni mówili do nich jakimś cudacznym, gardłowym językiem, którego dzieci nie rozumiały. Zachęcali jednak, by spróbowały grochówki czy tłustej zupy z mięsem, a nieraz dawali i pajdę chleba ze słoniną. A raz nawet czekoladą poczęstowali, której maluchy nie jadły od lat. Dzieci powoli przyzwyczajały się do tych życzliwych gestów. Aż nabrały śmiałości i same podchodziły do żołnierzy, w oczekiwaniu na jakąś niespodziankę.

W niedzielę żołnierze szli do kościoła. Okazali się bardzo religijni. Maszerowali w paradnych mundurach, a za nimi zerkały panny, bo byli przystojni i eleganccy. Ale wszystko trwało krótko.

Na początku sierpnia 1941 roku, gdy wieś się obudziła, Madziarów nie było. Pognali na wschód. Ich miejsca zajmowała armia szwabska. Pozostawili po sobie dobre wspomnienia. Byli życzliwi i nie dopuszczali do konfliktów, a szczególnie do agresji ukraińskiej policji przeciwko Polakom. Powstrzymywali mordy i coraz liczniejsze napady na polskie osady i pojedynczych gospo-

307

darzy. Łagodzili spory i nieporozumienia. Dzieciom dzień przed odmarszem darowali drobne pamiątki, cukierki, czekoladki a odchodząc, pozostawili, jakby specjalnie, pokarm i nieużywane już mundury dla biedniejszych wieśniaków. A na kamiennym progu sąsiad młynarzowej ze zdumieniem zobaczył napisane wielkimi literami kredą dwa dziwne słowa z dużym wykrzyknikiem na końcu, których nie mógł odczytać. A brzmiały ono tak: EL JEN LENGYELORSZAG! I trzy słowa po polsku: Nie poddawajcie się! Ciemny chłop nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Myślał, że to jakiś bachor zamazał mu próg. Ale kto po polsku napisał? I co to ma znaczyć. Pokręcił się po podwórku, wyjrzał za plot, podrapał się po głowie i udał się do młynarzowej, która nieraz podania do władz mu pisała. Bo wiedział, że jest światłą kobietą i nieznanymi językami włada. Młynarzowa od razu odrzekła, że to wojsko węgierskie napisało. Wprawdzie węgierskiego za dobrze nie znała, ale znała kilkadziesiąt pojedynczych wyrazów i kilkanaście zwrotów, a między innymi i ten, jak się toasty wznosi, czyli Egeszegedre. Toteż bez trudu rozszyfrowała, że te dziwne hieroglify, czyli Ełjen lengyelorszag, znaczy tyle samo, co Niech żyje Polska.

- Tak tu napisano? - zdumiał się chłop.

- Tak - odparła młynarzowa.

A chłop, oglądając się na boki, szybko napis stał.

308

ZMIANA WŁADZY

Po niebie płynęły już ławice samolotów z czarnymi krzyżami i ginęły w chmurach za lasem.

Nie minęło lato, a Pokucie zostało zalane przez niemiecką armię.

Znowu zmieniła się władza. I nastały nowe porządki.

Młynarzowa pojechała do Kołomyi, by zasięgnąć języka, co się dzieje w kraju, bo na wieś docierały tylko szczątkowe informacje o przebiegu walk i sukcesach niemieckich żołnierzy. Zastanawiała się, czy szwabski najazd i pogoń za sowiecką armią nie oznacza czegoś dobrego dla tych, którzy przebywają w lagrach i kazamatach. Może nadejdzie czas ich powrotu, myślała, może Jakub i inni mieszkańcy wsi i okolicy wrócą cali i żywi. Budziła w sobie nadzieję i podtrzymywała się na duchu.

Ale znajomi z Kołomyi szybko wybili jej to z głowy. Ruskie pod wpływem strachu nie zlitują się nad Polakami i ich nie wypuszczą, mówili. Wprost przeciwnie. Jeszcze bardziej chwycą za pysk. Nigdy i niczego nie darują. Jak już wzięli kogoś na katorgę, to koniec.

Jej kuzyn, znany w Kołomyi prawnik i urzędnik magistratu za czasów wolnej Polski, wspomniany już wcześniej, Artur Klajsa, który skończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i studiował w Krakowie, opowiadał, że jedenaście dni po przekroczeniu przez Moskali polskiej granicy, 28 września 1939 roku, nowe komunistyczne władze poinformowały społeczność akademicką Uniwersytetu Lwowskiego, że od tej pory uczelnia będzie kształcić nie panów, tylko lud. Nowym rektorem został półanalfabeta, Ukrainiec, Mychajło Marczenko, bez żadnego stopnia naukowego, ale niewolniczo oddany sowieckim okupantom. Wybitny polski matematyk ze słynnej lwowskiej szkoły matematycznej, profesor Hugo Steinhaus, określił go krótko i dobitnie: cham i tchórz.

309

Sowieci dość szybko zabrali się za kadrę naukową. Z Wydziału Prawa zamordowali lub wywieźli na Sybir wielu profesorów A pracowały tam znakomitości, choćby tej miary, co Juliusz Makarewicz, autor kodeksu karnego z 1932 roku, którego młynarzo-wa znała osobiście, a także wielcy ekonomiści, Stanisław Grabski czy Stanisław Głabiński.

Szwaby także nie patyczkowali się z polską kadrą naukową.

Pierwsze oddziały niemieckie pojawiły się we Lwowie 30 czerwca 1941 roku. Następnego dnia wkroczył Oddział Operacyjny Policji Bezpieczeństwa, którym dowodził słynny już w Małopolsce Eberhard Schoengarth, znany z tego, że w listopadzie 1939 roku w ramach tzw. „Sonderaktion Krakau” wydał rozkaz aresztowania profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Już drugiego lipca żołnierze Schoengartha aresztowali profesora Politechniki Lwowskiej, byłego premiera Polski, Kazimierza Bartla. A w nocy z trzeciego na czwartego lipca jednostki Geheime Feld-polizej pod dowództwem Hansa Krugera z SS, w towarzystwie ukraińskiego batalionu „Nachtigal”, posiadając listy proskrypcyjne przygotowane przez ukraińskich volksdeutschów, wpadli do mieszkań wielu lwowskich uczonych i aresztowali ich. Następnie przewieźli na przesłuchania do bursy Abrahamowiczów, a potem na Wzgórza Wuleckie i tam rozstrzelali. Wśród wybitnych profesorów zginął też ostatni przedwojenny rektor, profesor prawa cywilnego, Roman Longchamps de Berier, a także ulubiony poeta i tłumacz Anny, Tadeusz Boy-Żeleński. Nie lepiej działo się w Stanisławowie.

- Pojęcia nie masz, Anno - mówił kuzyn - jaką gehennę przeżywa tam moja rodzina.

Młynarzowa, pochylona nad filiżanką kawy, słuchała w bezruchu. Patrzyła na kuzyna, jakby go pierwszy raz widziała, próbując odgadnąć, jakie jeszcze złe wieści jej przekaże. A on opowiadał, co się działo, gdy Hitler zaatakował Stanisławów.

- Sowietci - mówił - tuż przed ucieczką ze Stanisławowa, postanowili rozprawić się z polskimi więźniami przy ulicy Bilińskiego. Tych, co nie wymordowali wcześniej albo nie zdołali zesłać na Sybir, teraz wykańczali. Oddział NKWD zmasakrował ich

310

ciała, kłując bagnietami, miażdżąc czaszki kolbami, parząc płomieniami, zdzierając z pleców skórę i wrywając paznokcie. Po wkroczeniu Niemców, Stanisławów znalazł się w Generalnej Gubernii. I od razu hitlerowcy zabrali się do likwidacji Żydów. W lipcu 1939 roku było ich jeszcze w mieście około trzydziestu tysięcy. W sierpniu 1941 roku został zlikwidowany kwiat inteligencji żydowskiej. Niemcy wywieźli ponad tysiąc Żydów do lasu koło Uhrynowa i rozstrzelali. Tego samego miesiąca gestapo wraz z ukraińską policją wymordowało w Czarnym Lesie inteligencję polską, głównie nauczycieli. To początek dramatu - mówił kuzyn. - A co będzie dalej?

Właśnie, co będzie dalej, na ustach młynarzowej też zastygło to pytanie.

Na dodatek załamały ją wieści o zachowaniu zwierzchnika greckokatolickiej cerkwi, metropolity Lwowa, arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego, który powitał zaborców germańskich chlebem i solą, a w lipcu 1941 roku ogłosił list pasterski i polecił odczytać go we wszystkich cerkwiach swojej archidiecezji.

A w liście tym było czarno na białym napisane jak metropolita lwowski radował się z najazdu.

Zwycięską armię niemiecką... - pisał - witamy z radością i wdzięcznością... W tej ważnej historycznej chwili wzywamy Was Ojcowie i Bracia... do posłuszeństwa dla władzy... Aby Najwyższemu podziękować za wszystko, co dał i uprosić potrzebne łaski na przyszłość, każdy duszpasterz odprawi w najbliższą niedzielę po otrzymaniu niniejszej odezwy dziękczynne nabożeństwo i po pieśni „Ciebie Boga chwalimy”, wniesie intencję za zwycięską armię niemiecką i Naród Ukraiński”.

Te słowa ją poraziły.

- Nie dziw się, Anno - tłumaczył kuzyn - faszyci znaleźli dobry grunt dla swojej propagandy i wzięli ukraińskich pachołków do swojej służby. Może nie wiesz, bo tym się nie zajmujesz, ale Ukraińcy także mają swój Mein Kampf. A ich główny ideolog, Dmytro Doncow, tak jak Hitler, wydał swoje propagandowe dziełko pt. Nacjonalizm. I to jeszcze, wyobraź sobie, w 1926 roku, a więc piętnaście lat temu, w naszym, polskim Lwowie. To jawnie faszystowska, nieludzka książeczka, w której powiada, że świat to wielka dżungla i tylko silny przeżyje.

Dlatego należy li-

311

kwidować każdego, kto jest słabszy. I autor nawołuje do dominacji nacji ukraińskiej nad resztą. O, proszę, to ta książeczka - wyjął z szafki egzemplarz i kartkując, czytał na wrywki:

Fanatyzm narodowy to broń narodów silnych, przy pomocy której dokonywane są wielkie czyny... W historii siła jest jedynym miernikiem znaczenia ... Racje ma silniejszy... Sensem życia jest posiadanie i panowanie; jego istotą jest walka o przewagę, o rozrost i poszerzenie, o potęgę, bowiem żądza potęgi jest właśnie żądzą życia... Wrogość jest nieunikniona... Społeczeństwo, które odrzuca ekspansję, jest w stanie upadku... Wola życia i wola władzy przekształcają się w wolę wojny. Wola wojny między narodami jest wieczna... - przerwał i patrzył na młynarzową.

- Rozumiesz, Anno, o co w tym wszystkim chodzi?- spytał.

- Nie - odparła szczerze. Nie rozumiała. Te urwane zdania wydały się jej bełkotem, rojeniem chorego umysłu.

- Te słowa, Anno, znaczą to samo - wyjaśniał - co Deutsch-land, Deutschland uber alles...

Niemcy, Niemcy ponad wszystko. - Proszę - podał kuzynce książkę.

Młynarzową przekartkowała i z pogardliwą miną spytała:

- Myślisz, że to ktoś czyta? Ukraińcy, to ciemny lud, nie czytają, Artur.

- Mylisz się, Anno - odparł. - Ukraińcy mają swoją inteligencję, uczonych, artystów, pisarzy, swoje świątynie, cerkwie, i jak wiesz, czasopisma, blisko sto tytułów, kooperatywy, partie polityczne, silne przedstawicielstwo w parlamencie, organizacje młodzieżowe, gospodarcze, finansowe, Narodną Torhiwę, Złotyj Kołos, Na-rodną Hostynycię, własne szkolnictwo, organizacje oświatowe m.in. Proswita, Łuh i Sokił, stowarzyszenia i zakłady dobroczynne, udział w funduszach publicznych. Niemało, prawda?

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Wiesz, że od dawna śledzę ich kroki - kontynuował -i orientuję się doskonale, co w trawie piszczy. Powiem ci szczerze, Anno, marzyła mi się, tak jak Piłsudskiemu, wielka unia narodów - polskiego, ukraińskiego i litewskiego. Zresztą, Jakub, jak wiem, też tego chciał. Myślałem, że wyjdzie coś z Petlurą, kiedy podpisał w 1920 roku akt sojuszniczy z Polską przeciwko bolszewikom. Ale kilka lat później został skrytobójczo zamordowany.

312

A jego dzieła już nikt inny nie podjął. I niestety, nic z wielkiej unii narodów nie wyszło. No, ale odłóżmy marzenia na bok. O czym to ja chciałem powiedzieć - poskrobał się w czoło - aha, o rusińskiej inteligencji. Nie wolno ci lekceważyć tego, co ta inteligencja robi. Oni działają na wielu frontach i jak mi się wydaje, z dalekosiężnymi planami. Bo popatrz, w 1920 roku powołali w Pradze Ukraińską Wojskową Organizację. I to z tych kręgów wyszedł rozkaz, by zabić Piłsudskiego.

- Przecież to jakiś szaleniec chciał go zabić! - zachnęła się.

- Nie, Anno, nie żaden szaleniec. Polecenie, by zamordować Marszałka, wydał sam Jewhen Konowalec, przewodniczący Ukraińskiej Wojskowej Organizacji - mówił spokojnie, a młynarzową słuchała. - A potem, na polecenie tej samej organizacji, Ukraińcy mordowali ludzi w 1922 roku w czasie wyborów do parlamentu. A kto podpalał polskie folwarki? Kto atakował urzędy państwowe? Kto wykolejał pociągi? Kto napadał na polskie ambulanse pocztowe, jednostki wojskowe? Kto zabijał polskich policjantów, żołnierzy, wartowników? No, kto, Anno?

Patrzyła na niego w milczeniu, usiłując odgadnąć, do czego zmierza.

- Oni. Ukraińska Organizacja Wojskowa. A przecież to nie jedyna ich organizacja, która ma na celu niszczenie, podpalanie i mordowanie. Mają jeszcze silną Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, która powstała w 1929 roku w Wiedniu, jednocząc inne struktury nacjonalistyczne.

- Arturze, nie jesteś przypadkiem przeczulony na tym tle?! Przecież te organizacje działają za granicą, nie w Polsce!

- Ja, przeczulony? - skoczył na nią. - Jakże przeczulony? -zastygł. - Przepraszam cię, Anno - zmitygował się, że przesadził i uśmiechnął się. - Unoszę się, gdy mi się zarzuca przeczulenie.

A ja tylko podaję fakty - powiedział. - Chciałaś wiedzieć, jak wygląda sytuacja, więc ci mówię.

- Ale ty mówisz o historii. A ja chcę wiedzieć, co się dzieje teraz. I co nas czeka. Co mam robić? Mam córkę. Czekam na powrót męża z Syberii, muszę mieć jakąś busolę, plan, perspektywę... Myślałam...

313

Wpatrywał się w jej usta, jakby za chwilę miała go oskarżyć

- Wiem, Anno, myślałaś, że ja ci dam jakąś konkretną receptę. Jediną słuszną wskazówkę. Rób tak albo inaczej. Rzecz w tym, by wiedzieć, co robić, trzeba najpierw wiedzieć, jak wygląda sytuacja. Musisz zrozumieć, w jakim miejscu się znajdujesz. Co się wokół ciebie dzieje. Kto działa przeciwko tobie? Jak się masz przed nim bronić. I ja ci właśnie próbuję tę sytuację narysować, przedstawić. Mam mówić dalej?

Skinęła głową.

- Dobrze, jeszcze kilka uwag o niedawnych przecież wydarzeniach. A potem ci doradzę, co czynić. Chyba pamiętasz, że Ukraińcy chcieli zamordować prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. I urządzili zamach na kuratora szkolnego, Sobińskiego. A w 1934 roku dokonali zamachu na polskiego ministra spraw wewnętrznych, Bronisława Pierackiego. I kto to wszystko robił? Kto dokonał zabójstw? Bojówkarz z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. I oni nie działają gdzieś daleko, za granicą albo w próżni, jak ci się wydaje, tylko tutaj, u nas, w Polsce, w konkretnej sytuacji, w znanych im realiach. Mało ci? A to przecież nie wszystko. To jakby początek.

- Początek? - młynarzowa wyraźnie była zaskoczona. - Jak to początek?

- Tak, Anno, to początek.

- Do czego zmierzasz, Arturze? - głos jej zdrzął. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że możemy się spodziewać czegoś gorszego?

- Anno, nie mówię ci tego, by cię przestraszyć, tylko dlatego ci mówię, byś wiedziała, na jakim świecie żyjesz. I byś rozumiała, dlaczego arcybiskup Szeptycki z takim uniżeniem wita Hitlera w Polsce. Bo on myśli kategoriami ukraińskich nacjonalistów. Jest w tych słowach podobny do nich. I puszcza do Niemców oko, powiadając, popatrzcie, oto my, Ukraińcy, was witamy chlebem i solą, a ci straszni Polacy nóż na wasz widok wyciągają. Wiecie teraz, co z nimi zrobić. I kto jest po waszej stronie. To jest polityka, Anno, wielka polityka. Tu nie ma sentymentów.

Namieszał porządnie w jej głowie.

Do tej pory była przekonana, że Sowietów i Szoków są takim

314

samymi zaborcami i jeden drugiemu nie ustępuje. Najpierw podzieli się Polską, rozebrali ją na pół, a teraz skoczyli sobie do gardła, by ostatecznie ujarzmić polski naród. Nie mogła pojąć, dlaczego grekokatolicki metropolita lwowski raduje się z najazdu Fryców. A tu okazuje się, że ma w tym cel. I nad Polakami wisi nowe zagrożenie. Nigdy by jej do głowy to nie przyszło.

Patrzyła na kuzyna zbolełym wzrokiem i nie wiedziała, jak ma sobie poradzić z tą ciężką i trudną wiedzą.

- Popatrz Anno, kto teraz tu rządzi - odezwał się. - Wójtami i wyższymi urzędnikami w gminach, powiatach i magistratach zostali podporządkowani Niemcom ukraińscy nacjonałiści, którzy jeszcze niedawno wiernie służyli Moskwie. A teraz pozakładali na rękawy żółto-niebieskie opaski i z góry już patrzą na polskich i żydowskich sąsiadów. Natychmiast się przestawili. Najpierw wiernie służyli Stalinowi, a teraz równie wiernie Hitlerowi. I nie wiadomo, do czego jeszcze dojdzie. Nic dziwnego, że na nas, Polaków, a przede wszystkim na Żydów padł blady strach. Pojawiły się pierwsze złowrogi antypolskie i antyżydowskie hasła. Jedno z nich przyniosłem tutaj - zajrzał do szuflady i wyciągnął ulotki -

o, popatrz - pokazał, a młynarzowa przeczytała: Smerf Lachom! Czyż takie hasła nie mogą nas, Polaków, przerażać? -urwał, ale po chwili kontynuował. - Powiem ci jeszcze jedno. Gdy Niemcy wkroczyli do Kołomyi, w kilka dni później wydali Żydom nakaz noszenia białych opasek z gwiazdą Dawida. Czy to nic nie znaczy? Śmiertelny strach padł na sklepikarzy, karczmarzy, handlarzy i żydowskich kamieniczników. To nic dobrego nie wróży.

Była przerażona. Wracała do domu ze zwieszoną głową. I strasznym szumem w uszach.

Ludzie kryli się po domach, rozglądając się niepewnie po sąsiadach.

Któryś z chłopów znalazł na płocie karton papieru z napisem:

MOSKWA WMERŁA, CHAJ ŻYWE HITLER. W kilku polskich chatach poleciały szyby.

315

WYWÓZKA DO RZESZY

Spanikowany Mitia wpadł do Kasi już o świcie. Gdy ją zobaczył, chwycił w objęcia, mocno tulił, a ona nie wiedziała, o co mu chodzi:

- Jesteś! - wołał. - Jesteś, jesteś!

- A czemu miałoby mnie nie być? - spytała naiwnie. Gładził ją po głowie, nie wypuszczał z ramion, aż wyszła

z drugiego pokoju młynarzowa i zaalarmowana krzykami, patrzyła na niego z niepokojem.

- Mitia - wystękała Kasia. - co się stało?!

Był rozdygotany, czerwony na twarzy i trzęsły mu się ręce.

- Mitia, proszę? - targała go za ramię.

- Katia! - rzucił.

- Co Katia? Mów!

- Katię zabrali - zacisnął pięści.

- Gdzie?

- Przekłete Szwaby! Na roboty do Rzeszy.

- Do Rzeszy?! Na roboty?! - nie zrozumiała. Młynarzowa poprosiła, by usiadł i spokojnie opowiedział, co

się stało.

- Wszystko się stało zaraz po tym piekle - mówił -jak Szwaby wycięli pod naszą wsią w pień Sowietów. - To była krwawa jatka! Do dziś leżą tam setki trupów. Porozrzucani po całym lesie. Z poodrywaniem nogami, ramionami, głowami. Wielu zginęło w bunkrach, gdy dobijali ich granatami. Pełno złomu, porzuconych dział, broni, wszystko rozbite, zbombardowane - wyliczał i dorzucił: - A gdyby dobrze poszukać, znalazłoby się w schronach jeszcze sporo karabinów i pistoletów.

Kwaśno się uśmiechnął i zagadkowo spojrzął na Kasię, jak-

316

hv krył jakąś tajemnicę. I rzeczywiście krył. I nie chciał jej zdradzić. Nie chciał powiedzieć, że schował w dziuplach drzew kilka granatów, dwa karabiny i rewolwery, na wszelki wypadek. Wołał jednak tego Kasi nie mówić, by się nie przestraszyła.

_ Ale co z Katią? - dopytywała.

I wtedy już dokładnie zrelacjonował, w jaki sposób Niemcy zabrali siostrę.

Był na polu, zbierał siano. Pod wieczór zobaczył jak biegnie do niego zapłakana Stefka.

Załamuje ręce i woła, że przyjechały ciężarowym samochodem Szwaby, weszły do domu, a ona z Katią szykowały kolację. Niemcy wskazali palcem na Katię, kazali jej natychmiast się ubierać i zabrali.

- A Stefka? Co ze Stefką? - niecierpliwiła się Kasia.

- Stefka była zbyt chuda, mała i drobna, a takiej nie potrzebowali - odparł. I dodał, że

Niemcy zabierali tylko zdrowych i silnych, Polaków i Ukraińców. - A u was? - spytał.

- U nas, dzięki Bogu, nikogo jeszcze nie zabrali - powiedziała młynarzowa.

- Bałem się, by Kasi nie wzięli - wyznał.

- Mogą i z naszej wsi zabrać? - przeraziła się.

Mitia ją uspokoił i powiedział, że zadba o Kasię, a jak trzeba będzie, to ją za granicę wywiezie i nic się jej złego nie stanie. Najważniejsze, że żyje i jest na miejscu.

317

ŻYDZI

Młyna nie dało się naprawić. Wymagał wymiany wielu mechanizmów i zakupu nowych urządzeń. A były zbyt drogie. Mitia przez kilka dni zabezpieczał strych przed deszczami i nadciągającą ostrą zimą. Nie zostawał u Kasi na noc. Wracił do siostry, która była bardzo smutna. Pograżała się w żalu. Najpierw odszedł ojciec. Potem Sowietci zabrakli matkę. A teraz Fryce siostrę. Na dodatek zabrakło jej Miszy. Nie wiedziała, co się z nim dzieje. Czy żyje, czy też zginął na froncie, w tej strasznej masakrze w lesie. Pożegnał się z nią czule, mówiąc, że jego oddział się prze-grupowuje, co oznaczało w języku wojskowym tylko jedno, że Ruskie uciekają. Ale obiecał, że szybko da jej znak, jak tylko zakwaterują się w nowym miejscu. Na pamiątkę wręczył jej swoje zdjęcie. Nosiła je teraz na sercu jak relikwię. I ciągle zerkała przez okno, by sprawdzić, czy nie nadchodzi.

Kiedy się jeszcze zjawiał, osładzał jej smutne chwile po utracie matki. Chodziła ze zwieszoną głową, zżerana przez mroczne myśli. Mitia musiał dzielić czas między nią a Kasią. Pocieszał jedną i drugą. I wspierał obie w trudach życia. Następnego dnia znowu zjawił się u Kasi. I pomagał w ciężkich pracach. Przywiózł z lasu drewno, wymłócił trochę zboża. Większy zazdrośnicy z niechęcią patrzyli jak przytula Kasię i nieraz jej docinali, że Ukrainka wybrała sobie za kawalera, a nie Polaka.

W końcu polubili Mitię. Okazał się człowiekiem pomocnym, zacnym i przyzwoitym.

Jednemu wóz drabiniasty zrobił, drugiemu drzwi obstalował, a trzeciemu piec postawił. I zapłaty wielkiej nie żądał. Szybko się wkradł w łaski wieśniaków, zbratał się ze wszystkimi. Gospodarze go cenili za otwartość, szczerłość, uczciwość i odpowiedzialność. Młodzi chłopcy zaprzyjaźnili się

318

z nim i często razem szli do większej i trudniejszej roboty, a także na polowania.

Kasia poczuła się rażniej.

Starsi patrzyli na nią z powagą. Zauważyli w niej duże zmiany. Znikła dawna nachalna, wyzywająca uroda i dumna postawa, choć nadal była piękną i zgrabną dziewczyną. Już nie zamykała się w swoim pokoju. Wychodziła na wieś, do sklepu, pogadała z sąsiadkami, była miła. Dbała o gospodarstwo, pomagała matce, starała się zastąpić ojca. Była silna i sprawna, niejedną męską robotę wykonywała. Wiadrami wodę z głębokiej studni ciągnęła. Koniem się zajmowała. Czyściła go, czesała i doglądała. A gdy cielęta się krowa, potrafiła poród odebrać i za nogi śliskiego, mokrego cielaka wyciągnąć. Także gnój wyrzucała, krowom ściółkę przynosiła, ogierowi owies podawała. Słowem, była robotna i zdeterminowana.

Z Sybiru nowe wiadomości nie nadchodziły. Choć matka wciąż wypatrywała listonosza i nieustannie na drogę spoglądała.

W gminie zmieniła się władza. Głową został Hawryło Koby-lec, butny i zarozumiały Ukrainiec. Najpierw innego szukano, nawet do Miti szły wici, by się zjawił w urzędzie, ale pewnie mu zaszkodziło, że się z Polką związał i zrezygnowali z niego. I Mitia nie został wójtem.

Niemcy przy pomocy ukraińskiej policji w Kołomyi zagnali Żydów do getta. Niektórzy Żydzi pod osłoną nocy z fałszywymi papierami poczęli uciekać i kryli się u zaufanych Polaków. Starali się przekroczyć granicę. Gdy młynarzowa znowu zjawiła się w Kołomyi, by dokonać bieżących zakupów, dowiedziała się od kuzyna Artura, że Żydzi mają inny kłopot. Spośród nich wybrani zostali policjanci i okazali się dla swoich braci jeszcze bardziej twardzi i nieustępliwi niż policja ukraińska i sami Niemcy. A do niedawna byli tacy sami jak pozostali. Wzajemnie się wspierali i pomagali sobie. Handlowali, byli sklepikarzami, mieli własne

kawiarnie, restauracje, gazety i banki. A tu od razu się odmienili. Taka jest natura ludzka, rzekł kuzyn. Stali się okrutni i dręczyli swoich braci, chcąc się przypodobać Niemcom. Traktowali ich wrogo, nieraz gorzej niż hitlerowcy. Byli brutalni i źli. Byleby tylko siebie uratować.

319

Gdy młynarzowa wróciła do domu, czekały już na nią Gytla Feldman wraz z Salcią i poprosiły o pomoc. Obie były blade z podkrążonymi oczami. Całą noc nie spały. Bały się, że ukraińska policja zapuka do drzwi i zabierze je. Już wiedziały, że powstało getto. Większość Żydów uciekła ze wsi. Znikli gdzieś Go-tliebowie i inni. Gytla powiedziała, że ukraińska milicja jeszcze niedawno sporządzała listy skazanych na Sybir. I że na jednej z tych list znalazł się właśnie karczmarz Samuel. A teraz ta sama ukraińska milicja, tyle tylko, że nazywa się policją, szykuje nowe listy, tym razem zsyłające Żydów do getta. I one się boją, że tej nocy przyjdą po nie.

Gytla miętoszyła w rękę kartkę papieru, otwierała dłoń i zaglądała do niej, nachylała się ku młynarzowej i szeptała:

- Dostałam listy z Drohobycza i ze Lwowa. Życie zaczyna być piekłem, Anno. O, popatrz - pokazywała młynarzowej listy - popatrz, co z Drohobycza pisze moja siostra.

Młynarzowa pochyliła się nad kartką, a Gytla czytała na głos, że dochodzi do pogromów Żydów w wielu miastach. I nawet wieś przestała już być bezpieczna. Dlatego siostra namawia ją, by wraz z córką jak najszybciej coś postanowiła.

- Ale co ja mam postanowić, Anno? - pytała. - Co? Przecież pieniędzy nie mam. Zostałam bez grosza i bez Samuela. Jestem bezradna, a bez niego, jak bez ręki. W Drohobyczu Niemcy utworzyli getto, tak samo, jak w Kołomyi. Moja siostra i kuzynki Sal-ci są już w getcie.

Niemcy zamknęli Żydów w dzielnicy zwanej Lan - Gytla zastanowiła się - to chyba od nazwy - powiedziała - którą kiedyś nadał jeden z polskich królów, przydzielając naszym przodkom kawałek ziemi za miastem, nazwany właśnie Łanem. I w tym Lanie skupili się teraz wszyscy Żydzi. Nie tylko Niemcy nas prześladowają. Także Ukraińcy. Strasznie znęcają się nad Żydami.

Wyciągają z domów, biją, okaleczają. A co się stanie za tydzień, dwa? - patrzyła na młynarzowa. - Ponadto - mówiła - Żydzi chorują na żółtaczkę i pojawiły się pierwsze przypadki tyfusu. Brak jedzenia, dzieci głodują. Najgorszym mordercą jest tam niejaki - zaglądnęła do kartki - gestapowiec Sobota, zdaje się, ze Śląska. To straszny kat, oprawca.

Niby niewiniątko,

320

zaprasza do siebie żydowskie dzieci, udaje, że się z nimi bawi, częstuje je słodyczami, czekoladkami, a potem bierze za nóżki i roztrzaskuje główkami o mur.

- Straszne! - szepnęła młynarzowa.

- Tak, Anno, straszne - powtórzyła Gytla i poprosiła - pomóż mi, bo mrowieje mi skóra, jak coś takiego czytam. - Znowu zajrzała do listu. - Popatrz - pokazała papier - czego się dowiaduję z listu od przyjaciółki ze Lwowa - zerknęła na drugą kartkę - Niemcy znaleźli w lochach lwowskich więzień sterty trupów, ofiar sowieckiego NKWD i teraz zwalają to wszystko na nas, na Żydów, że to niby z naszej żydowskiej inspiracji Sowietci wymordowali niewinnych ludzi. I pod pretekstem niby naszej winy, rozstrzelują każdego napotkanego Żyda. Ooo! - spojrzała jeszcze raz w kartkę - popatrz, co mi piszą. Młynarzowa zaglądnęła i przeczytała: Żydzi w miastach muszą chodzić z gwiazdą Dawida. A we Lwowie wyszli na ulice bez gwiazdy i SS oraz ukraińska policja wystrzelali ich jak kaczki. Zginęły setki Żydów.

- Dlaczego? - spytała młynarzowa i tknęła ją bolesna myśl, że mógł zginąć Bronek Rubinowicz.

- Dlaczego? - Gytla uniosła zmęczone oczy. - Dlatego, Anno, że byli Żydami. Znowu nas ścigają - głucho powiedziała. - Znowu nie pozwalają nam normalnie żyć. Zawsze nas gonią, prześladowają, torturują i zabijają. Jak nie ci, to tamci, jak nie tamci, to jeszcze inni. I tak w

koło. I jak ten biedny żydowski naród ma żyć? Jak mamy się czuć, Anno? Co mamy robić? Ciągłe przeganiani z miejsca na miejsce. Męczeni, torturowani i zabijani. I tak przez wieki. Dlaczego, Anno? - patrzyła w rozpaczliwej bezradności na młynarzowa. - Zapadł już na nas wyrok. I pętla zaciska się na naszej szyi...

Urwała i patrzyła na przyjaciółkę. Młynarzowa zastanawiała się jak ma jej pomóc.

- A czy wiesz, Anno - znowu odezwała się Gytla - że na Ratuszu miejskim we Lwowie już wisi ukraińska flaga?

- Co? Nie... Jaka ukraińska? Jak to ukraińska? - nie pojmowała. - Dlaczego ukraińska?

- A burmistrzem Lwowa został Ukraińiec, Polański.

321

- Nie, to koniec świata. By polskim miastem rządził Ukraińiec?! - oburzała się.

- Sama widzisz, co się dzieje - rzekła Gytla. - A jak ci jeszcze powiem - uniosła rękę - że doszło do straszliwych pogromów Żydów nie tylko we Lwowie, ale i w Złoczowie, Tarnopolu, Samborze i w innych miastach, to zrozumiesz, dlaczego przyszedłam do ciebie.

Młynarzowa chwyciła się za głowę.

- Co ci, mamuś? - przeraziła się Kasia.

- Och nic, nic - młynarzowa odsłoniła twarz - chwilowo poczułam się słabo. Ale już minęło, minęło...

- Rozumiem cię, Anno, rozumiem - rzekła Gytla i dodała, że niejaki Jarosław Stecko i Stefan Bandera stworzyli we Lwowie ukraiński rząd i kilka dni później proklamowali utworzenie Republiki Ukraińskiej.

- Co? U nas, w Polsce, tutaj? We Lwowie? - wybuchła młynarzowa..

- Poczekaj, Anno, jeszcze nie skończyłam - mówiła Gytla. - Jak stworzyli ten niby rząd, to od razu zaczęli organizować policję, która miała, jak się wyrazili, za główne zadanie usuwanie Żydów. No i zaczęli usuwać. I już siali terror. A najgorsza okazała się służba bezpieczeństwa tej ich Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zwana Służbą Bezpeky. A ten cały Stecko był jednym z dowódców batalionu Nachtigall, który, wkroczył razem z Niemcami do Lwowa.

Młynarzowa skinęła głową.

- Na szczęście - kontynuowała Gytla - ten ich rząd przetrwał zaledwie dwanaście dni, bo Niemcy aresztowali wszystkich ministrów, a Stefana Banderę i Jarosława Steckę umieścili w obozie koncentracyjnym - urwała.

- I nie ma już tego rządu? - spytała młynarzowa.

- Nie, nie ma, ale policja pozostała - odparła Gytla i opowiadała: - Nas, Żydów, od razu chcieli zgładzić. Bo od początku byliśmy skazani na śmierć, tak samo przez Hitlera, jak i przez nacjonalistów ukraińskich. Nasi bracia - mówiła - chowają się po strychach, piwnicach i rozmaitych kryjówkach u znajomych Polaków. We własnych domach nie są bezpieczni. Pod pozorem

322

zabierania ich do sprzątnięcia miasta, biją i znęcają się nawet nad dziećmi i kobietami.

Zaganiają do więzień i tam potwornie katują. Pojęcia nie masz, Anno, na jakie straszne kaźnie skazują Żydów. Ta ukraińska policja tysiącami zapędza Żydów do więzienia na Brygidki i naśmiewając się z nich i szydząc, wyrywa im włosy z głowy, nacina nożami twarze, odcina uszy, aż strach pomyśleć, co dalej z nimi zrobią. Na podwórzu więziennym zgromadzili kilka tysięcy Żydów - ciągnęła - i tak ich katowali, tak się nad nimi znęcali, że krew tryskała na mury i nie nadążała wsiąkać w ziemię, tworząc wielkie, czerwone kałuże.

- Nie! - jęknęła młynarzowa. - Proszę, Gytla...

- Tak - cicho odrzekła Gytla. - Tak się znęcają nad nami. A z roztrzaskiwanych czaszek wpływały mózgi.

Młynarzowa skuliła się. Podeszła do niej Kasia i objęła ją.

- A pamiętasz, jak czytałyśmy „Chwilę”? - Gytla uniosła na młynarzowa smutne spojrzenie. Młynarzowa wyjrzała zza ramienia Kasi. „Chwilę”, pismo wydawane przez lwowskich Żydów od 1919 roku, zaczęła czytać razem z Rubinowiczem. Zachwyceni oboje byli pięknym polskim językiem i zawsze atrakcyjną publicystyką. Gazetę czytali tak samo Żydzi, jak i Polacy. I oto Gytla jej przypomina najpiękniejsze lata studenckie. Naturalnie, że pamięta.

- Pamiętasz? - pytała Gytla.

- Tak, Gytla, pamiętam - odparła. - A dlaczego pytasz?

- A pamiętasz redaktora Heschelesa? Henryka Heschelesa?

- A czemu mam nie pamiętać? - przed oczami Anny przesuwały się dawne obrazy, gdy siedzieli z Rubinowiczem w wilgotnym, sublokatorskim mieszkaniu i słuchali z patefonu muzyki, a potem się spierali, który z redaktorów „Chwili” najbardziej interesująco pisze, Hescheles, Rosmarin czy Schreiber.

- Bo właśnie Hescheles został zamordowany - powiedziała ciężko Gytla.

Młynarzowa opuściła głowę. Pamiętała głośne recenzje z książek i spektakli teatralnych Heschelesa. I jakoś nie mogło do nie trafić, że nie żyje.

- Tak, Anno - mówiła Gytla. - Zabijanie Żydów trwa od wie-
323

ków, ale takiej masakry, jaka zdarzyła się we Lwowie, dawno nie było. To gorzej niż kryształowa noc w Niemczech. Nie wystarczają już kradzieże, płądrowanie żydowskich domów, rabunki i rozboje. Musi iść przez nasze życie nowa fala śmierci. Kilka tysięcy moich braci w pomieszczeniach gestapo, na Pełczyńskiej 59, po najstraszliwszych kaźniach, wycięto w pień. I te wszystkie mordy nazwali, dranie - akcją Petlury, choć Petlura od dawna nie żyje. Dzień w dzień pali się i wysadza w powietrze nasze święte miejsca, bożnice, synagogi, cmentarze.

Patrzyły na siebie w ciszy. Dopiero po chwili Gytla się odezwała:

- Gdyby z nami był Samuel - zapłakała. - To byśmy miały jakąś podporę. A tak, bez niego, jesteśmy same. - Rozłożyła ręce. - Ratuj, Anno - powiedziała, wycierając łzy. - Tylko ty mi zostałeś!

Młynarzową pomyślała, że jest znacznie gorzej, niż mówił jej kuzyn Artur.

Kasia przysunęła się do Salci i przytuliła ją. Jej wielkie oczy zapadły się, a jasne czoło nabrało żółtego odcienia.

- Pomożemy wam, Salciu - wyszeptała Kasia. - Nie bój się. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Mitya, który wrócił

z polowania. Dźwigał na plecach młodą sarenkę. Gytla niepewnie popatrzyła na niego, a potem na młynarzową. Uśmiechnął się, ukłonił, o zdrowie spytał, spojrzał na Salcie i skinął jej głową. Przez chwilę zastanawiał się, co ma zrobić z trofeum. Przeprosił kobiety, zabrał sarnę do komórki i ściągał z niej skórę.

Młynarzową chciała panie ugościć herbatą. Ale Gytla podziękowała.

Kasia próbowała namówić Salcie, by poszły na górę do jej pokoju i jak za dawnych lat posiedziały chwilę. Salcia spojrzała na matkę, która gniotła dłonie i widać było, że jest bardzo zdenerwowana i niespokojna. Młynarzową zaproponowała, by zostały u niej na noc.

Położy je w wolnym pokoju, a ona przemyśli sprawę i znajdzie jakieś wyjście. Gytla grzecznie, ale stanowczo odmówiła. Musi pozbierać rzeczy, zabezpieczyć mieszkanie i uchronić dom przed rabusiami, którzy, jak się dowiedziała, w kilku pobliskich wsiach napadli już na żydowskie chaty i doszczętnie je splądrowali.

324

Uzgodniły, że jutro młynarzową i Kasia odwiedzą je razem i doradzą, co należy zrobić.

Gytla pożegnała się, Salcia skinęła Kasi głową, ale Kasia zaproponowała, że wyjdzie razem z nią i zaprowadzi ją do domu. Po drodze dowiedziała się, że Bruno Schulz też się znajduje w dro-hobyckim getcie. Wcześniej, za Sowietów, uczył w Pałacu Pionierów i w innych

szkołach. Zatrudniali go też do dekorowania sal i ulic w czasie uroczystości. I kazali mu malować portrety Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. I on je malował. Bo musiał. A teraz pewien żydowski inżynier zatrudnia go w specjalnej brygadzie do prac budowlanych. I brygada ta buduje w Drohobyczu ujeżdżalnię koni dla Niemców, a Schulz maluje obrazy dla jakiegoś gestapowskiego smakosza sztuki, który się na nim poznał i żąda, by dostarczał mu coraz to więcej płócien. Gestapowiec ten nazywa się Landau. Gawędziły jeszcze chwilę przed domem Salci, potem Kasia serdecznie ją ucałowała i wróciła. Młynarzową przez pół nocy zastanawiała się, gdzie je ukryć. W końcu wymyśliła, że porozmawia o tym z Mitia, gdy rano wróci.

325

UCIECZKA

Następnego dnia przyszła wiadomość, że w ukraińskim przysiółku, tuż za wsią Kowalówką, za lasem zamordowano Żyda, Joachima Kitla, karczmarza. Gdy nie otwierał karczmy, znaleźli go w domu martwego. Był skatowany, a jego chata splądrowana. Miał oderżnięte wargi, powybijane zęby, plecy pocięte na paski i zdjętą kawałkami skórę. Był pieczony żywcem na rozpalonym blacie i na dodatek poderżnęli mu gardło. A do otworu wsadzili brudną szmatę.

Tej nocy jego żona i córka nie wróciły z miasta i w ten sposób ocaliły życie. Nadeszły też złe wieści z przysiółka wsi Kułacz-kowce, na wschód od Kołomyi i z okolic wioski Gwoździec, gdzie ukraiński policjant znęcał się nad grupą Żydów kopiących doły, bił ich po twarzy i po głowie skórzaną nahajką, a oni padali w strugach krwi.

Młynarzowa nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Mitia wciąż się nie zjawiał. Kasia była markotna i obca. Poszła więc sama do Gytli, każąc Kasi zająć się domem. Długo z Gytlą rozmawiała.

Gytla była wystraszona. Drżał jej głos. Nad ranem ktoś wybił im szybę w oknie. Młynarzowa oznajmiła, że nie mogą tutaj ani minuty dłużej zostać. Przez kilka dni prześpią u niej. A ona się rozglądnie za kryjówką i bezpiecznie je schowa. Gytla ociągała się. Zastanawiała się, czy jest jakieś inne wyjście. Ale nie było. Na żadnych krewnych nie mogła liczyć. Większość rodziny znalazła się w getcie, głównie w Drohobyczu. Niektórzy dawno uciekli. A w pobliżu nie miała nikogo. Uznała, że za dnia nic jej nie zrobią. Poczeka do wieczora, a gdy się ściemni, przyjdzie do młynarzowej. I na tym stanęło

Młynarzowa wróciła do domu. Obiad był już gotowy. Miti zdążył wrócić, przepraszając, że nie mógł wcześniej, bo, jak się oka

326

zało, Stefka nagle poczuła się źle, dostała gorączki i musiał przy niej czuwać. Obie zmartwiły się chorobą Stefki, a Kasia obiecała, że pojedzie z Mitia i zaopiekuje się nią. Usiedli przy stole i w ciszy jedli obiad. Kasia zerkała niepewnie na matkę, chcąc spytać, co postanowiła w wiadomej sprawie. Młynarzowa uniosła wzrok na Mi-tię, przez moment wahała się, aż cicho powiedziała:

- Musimy ukryć Gytłę i Salcie.

Mitia oderwał łyżkę od ust. Nie rozumiał, o czym mówi. Powtórzyła:

- Salcia i jej matka potrzebują pomocy.

- Pomocy?

- Tak, potrzebują pomocy.

- Jakiej? - spytał. - Co się stało? Młynarzowa zerknęła na Kasię.

- Czyżbyś nie wiedział, co się dzieje? Wbił w nią pytający wzrok.

Tak był pochłonięty swoimi kłopotami, gospodarką, Stefką i Kasią, rozbitym życiem, dwoma domami, ciągłą naprawą młyna, że otaczający świat mało go interesował. Nie dotarła do niego nawet wiadomość, że znikają Żydzi. Owązem, słyszał, że ktoś zamordował karczmarza, Joachima Kitla, bo" takie wiadomości rozchodzą się szybko, ale nie wiedział, jaki to ma

związek z Salcia i jej matką. Mordy na wsi zdarzały się, wprawdzie rzadko, bo rzadko i nie miały podłoża etnicznego. Ten też nie był czymś szad-zwyczajnym. Może dlatego go zlekceważył.

Kasia szybko wyjaśniła, że Niemcy łapią i wywożą Żydów do getta, a potem ich zabijają. Do niego jednak to wszystko nie docierało, a jeśli docierało to jakby przez mgłę.

- Mordują Żydów, musimy im pomóc - naciskała młynarzowa.

Dopiero teraz pojął powagę sytuacji. I słowa matki Kasi połączył z bladą i smutną twarzą starej Gytli i gorzkim spojrzeniem Saki. Dotarło do niego, że rzecz wymaga szybkiej decyzji i odwagi. Przeprosił młynarzowa za niezrozumienie i wytłumaczył, że był myślami gdzie indziej, ale już pojął, o co chodzi i naturalnie, natychmiast pomoże. I zaczęli się zastanawiać, jak je ukryć. Najpierw wpadli na pomysł, żeby ukryć w młynie. Tam nikt nie

327

zagląda. Młyn jest zamknięty i bezpieczny. Ale młynarzowa stwierdziła, że dni są coraz chłodniejsze, a noce jeszcze bardziej i będzie im tam zimno. Nachyliła się konspiracyjnie ku Miti i cicho spytała, czy nie można by ich ulokować na strychu.

Mitia powiedział, że tam też będzie zimno, bo nie ma pieca. Najbezpieczniej poczują się u niego w domu, u jego siostry, Stefki. To kawał drogi stąd, zakątek spokojny i nic tam im nie będzie groziło.

Otrzymają ciepłą izbę i godne warunki. Nikt też się o tym nigdy nie dowie. Okolica znana jest ze zgodnego współżycia Ukraińców, Żydów, Polaków, Hucułów, Bojków, Ormian i Łemków. I panuje tam pełna harmonia. Poczują się bezpiecznie, jak u swoich. Wokół ludzie są dobrzy, mili i życzliwi. Można na nich polegać. Najlepiej będzie jak się tam ukryją. I tak się stało.

Późnym wieczorem, pod osłoną ciemności, Gytla i Salcia oraz Kasia i Mitia wsiedli na wóz i pojechali do Stefki. Na szczęście, jej choroba minęła i Stefka powitała ich z uśmiechem.

Rzuciła się Kasi na szyję, gości poczęstowała kolacją, a poznawszy cel przybycia Gytli i Saki, natychmiast otworzyła wolny pokój i obiecała, że zadba o nie i nic złego im tutaj nie grozi.

Kasia prosiła Stefkę o szczególną czujność, bo czasy są niepewne i niech uważa, komu otwiera drzwi i z kim rozmawia. Mitia zarzekał się, że jego siostra jest mądrą i odpowiedzialną dziewczyną, wystarczy jej słowo, a ona wszystko zrozumie.

Gdy Gytla i Salcia z walizkami zamknęły za sobą pokój, Kasia, Stefka i Mitia przez jakiś czas siedzieli jeszcze przy stole i rozmawiali o swoich sprawach. Stefka pokazała zdjęcie Miszy, który z wyglądu wydał się Kasi bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Był przystojny i sympatyczny. Z wyrazistymi i harmonijnymi rysami twarzy. W oczach miał jakąś melancholię. Kasia nie skomentowała jednak jego urody, tylko spojrzała na Stefkę z zadumą. Mitia na chwilę zniknął. I wtedy Kasia powiedziała, patrząc na fotografię: - Ładny. Bo pomyślała, że w tych ciężkich czasach powinna być dla Stefki życzliwa i miła. Ruski, nie Ruski, jak powiadał Mitia, a kocha. Stefka sama go sobie wybrała.

- A wzrok jaki śmiały! - powiedziała szczerze, patrząc na fotografię. Rzeczywiście twarz Miszy była ciekawa, intrygująca, z odważnym spojrzeniem.

328

- Malarz - cicho powiedziała Stefka.

- Maluje ściany? - spytała Kasia.

- Nie - fuknęła Stefka, jakby obrażona. - Maluje obrazy - z dumą rzekła.

- Malarz, znaczy artysta?!

- Tak, artysta! - chełpiła się Stefka. - Prawdziwy artysta. Po wyższej szkole sztuk pięknych.

Kasia pomyślała, że za dużo wokół niej artystów. Sami artyści. Salcia maluje. Ksenia maluje. Ten żydowski nauczyciel, Schulz maluje. A teraz jeszcze ten Ruski maluje. Jakaś zaraza, czy co, pomyślała. Ale nie zwierzyła się ze swojej konstatacji. Wpatrywała się w fotografię, jakby chciała zobaczyć tę wyższą szkołę sztuk pięknych.

- Wyrwali go z pracowni i pognali na Wojnę - z żalem powiedziała Stefka.

\

- No i dobrze - przewrotnie pochwaliła Kasia.

- Co ty pleciesz? - omal nie obraziła się Stefka. Kasia się zaśmiała.

- Bo jakby nie wojna, nie poznałabyś go - zamruwała filuternie.

- O, ty przewrotna żmijo - Stefka nadała się. I obie wybuchły śmiechem.

\^

- A wiesz, gdzie on mieszka? - Stefka triumfująco spojrzała na Kasię, jakby pytając o tajemniczą wyspę na oceanie, gcrz'~ trwa hodowla geniuszy.

- No, gdzie? - Kasia wyzywająco zmrużyła oczy.

- W wielkim mieście Leningrad - oznajmiła Stefka. - A Leningrad, Kasiu, jest nawet większy od Lwowa i Warszawy - mówiła, jakby miasto stanowiło o wielkości jej chłopca. - Wyobraź sobie, Kasiu, mówiła, że on, artysta, z takiego ogromnego miasta, mnie, zwykłą, prostą dziewczynę ze wsi sobie upodobał - chwaliła się. I poinformowała Kasię, że Misza ma jeszcze młodszą siostrę Anię i brata Wasię. I przyjdzie czas, kiedy ich pozna. Przez chwilę gawędziły, a potem uściśniły się i Kasia poszła do pokoju Miti. Stefka odwiedziła jeszcze Gytłę i Salcie, spytała, czy im czego nie brakuje, nakarmiła je, a potem wróciła do izby na dole, długo siedziała przy oknie i patrzyła w gwiazdy.

Następnego dnia, pod wieczór Mitia odwiózł Kasię do domu.

329

OSTRZEŻENIA KSIĘDZA

Młynarzowa niespokojnie kręciła się po mieszkaniu. Była zdenerwowana. Gdy Mitia odjechał i zostały z Kasią same, wyznała, co ją spotkało.

Poprzedniego dnia, późnym wieczorem wpadł poirytowany ksiądz Robert i od progu przystąpił do rzeczy.

- Wiesz, Anno - powiedział z marsową miną - że ludzie plotkują o tym, co się pod twoim dachem dzieje.

- A co się pod moim dachem dzieje? - spytała zdziwiona.

- Jak to co? To ty nie wiesz? - był wzburzony.

Nigdy go takim nie widziała. To uosobienie łagodności, delikatności i dobrych manier nagle zaczęło krzyczeć i wściekać się. Coś mu musiało porządnie dopieć, skoro krzyczy, myślała.

- Ależ wuju - tłumiąc emocje, spytała. - O co ci chodzi? Uspokój się - poprosiła.

Przeszedł się kilka razy po izbie, stanął przed nią, wziął ją za ramiona i cichym, ale stanowczym głosem oznajmił:

- Przepraszam cię, Anno. Uniósłem się trochę. Masz rację. Nie powinienem się tak zachowywać. Jestem kapłanem. Ale sama wiesz, jak bardzo kocham Kasię. I z jaką powagą i szacunkiem traktuję twój dom. Wiesz, że to za moim cichym przyzwoleniem Kasia i Mitia od dłuższego czasu spotykają się po kryjomu. No, ale teraz, Anno, już przekroczyli wszelkie granice...

- Jakie granice? - przerwała.

- Jak to jakie? Pytasz mnie jakie, jakbyś sama nie wiedziała? - znowu się uniósł.

Pochodził po izbie i zdawało się, że po chwili się uspokoi, ale nie uspokoił się, a przeciwnie, wzburzony, ciągnął:

- To plaga, Anno, plaga.

330

\

- Ależ wuju, o jakiej ty pladze mówisz? Ciężko westchnął i wyrzucił:

- Oni już z sobą legalnie, Anno, na oczach całej wsi śpią i na-wet się nie krępują. A Kasię coraz rzadziej na mszy świętej widzę. A wiesz, jakie się budzą w ludziach demony, kiedy na to patrzą. Parafianie wiedzą, że jesteś moją krewną. I przez Kasię także mnie obwiniają.

Twierdzą, że na jej grzechy oczy przymykam. Że święte węzły małżeńskie pozwalam hańbić. Bo ledwie nadeszła wiadomość, że mąż Kasi nie żyje, ona już z innym śpi. A to grzech, Anno. To bluźnierstwo wobec Boga. Parafianie mają do mnie pretensję, że pozwalam na to. Że to aprobuję. Że bezbożność osłaniam...

- Ależ wuju, co ty wygadujesz? Tyle bojaźni Bożej, co Kasia ma, nawet mnie brakuje - patrzyła śmiało w oczy księdza. - Sam się zgodziłeś, by się spotykali, prawda? Przecież się kochają.

- Powiedz to starym babom... - skrzywił się. Zastanowiła się. Spojrzała na niego ze smutkiem i spytała.

- Więc co mają robić?

- Jak to co? Minęło już wystarczająco dużo czasu, od kiedy Henio nie żyje, by się pobrali. A skończy się kres grzechom i obmowom.

Młynarzowa odetchnęła. Myślała, że zanosi się na ekskomunikę. Na wyklęcie z Kościoła. Tak bardzo był podrażniony, zły, a nawet wściekły. Ale już ochłonął i zaczął namawiać, by młodzi jak najszybciej dali na zapowiedzi, a on już wsią się zajmie. A potem wezmą ślub.

- Z radością ich pobłogosławię - uśmiechnął się w końcu.

Pomyślała, że w tej surowej twarzy tyle zrozumienia i dobroci. Pewnie lepiej zna grzechy ludzkie ode mnie i rozumie Kasię, ale musi bronić prawd wiary.

- Cóż zrobić, Anno - mówił - twoją szelmę kocham nad życie, bo to perełka w naszej rodzinie. Ma naszą krew... co to ja chciałem powiedzieć - z ukosa spojrzał na młynarzową - to znaczy - Poprawił się, a młynarzowa zacisnęła usta, by nie parsknąć śmiechem - ma twoją krew. A i on, ten jej Mitia, to też nie ułomek. No, nie ułomek. A chłop na schwał. Będzie z nich dobrana para. Niech szybko się pobiorą, a znikną plotki i obmowa.

331

Skinęła głową.

- Niech Bóg ją prowadzi! - pożegnał się. I ucałował młynarzową w czoło.

Kasia, wysłuchawszy, aż podskoczyła z radości.

- Kochany! - wyszeptwała. A młynarzowa nie bardzo wiedziała, czy o księdzu myśli, czy o Miti. Kasia już nie mogła się doczekać, kiedy matka się zgodzi na ślub. W pośpiechu, przejęta, już następnego dnia zdradziła sekrety księdza Roberta Miti i oboje postanowili, że jak najszybciej się pobiorą, choćby natychmiast. Mitia był pomysłem zachwycony. Tym bardziej że wyszedł z ust osoby duchownej, a nie byle kogo. I nie było żadnych przeszkód, by się połączyli w legalnym związku. Toteż wkrótce mieszkańcy wsi usłyszeli pierwsze zapowiedzi.

Życzenie księdza Roberta spełniło się. Młodych widziano coraz częściej przed ołtarzem.

Oboje w skupieniu modlili się. Plotki we wsi ucichły, a ksiądz Robert tylko pod nosem się uśmiechał, widząc, jak zakochani oprowadzają się po wiosce bez strachu. Trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy, co nie było tutaj takie częste. Panowały surowe obyczaje.

Salcia i jej matka, Gytla, powoli przyzwyczajały się do nowej sytuacji, nie wychodziły z domu, strzeżone przez Stefkę. A gdy nadeszła ciężka zima i zaczęły się mrozy, Mitia zaopatrzył kuchnię w mięso, polując na sarny, dziki i zające. Na żarnach zmełł pszenicę i żyto. Mąka, chleb, szynka, ziemniaki, mleko, wszystko było pod ręką. Zabezpieczył kopce z kartoflami i był pewien, że zima nie skruszy dobytku. Niestety, nadeszły nowe zmartwienia. Ktoś w nocy włamał się i dokładnie obrabował mieszkanie Gytli.

Znikły ubrania, porcelanowe naczynia, lustra, drobne przedmioty. Sąsiedzi spali, tylko ślady kół wskazywały, że złodzieje mieli furmankę i odjechali w stronę lasu. Pustych, żydowskich domów było coraz więcej.

332

REWIZJA

Któregoś dnia prychnąc i warcząc, wtoczył się do wsi samochód z niemieckim oficerem i ukraińskimi policjantami. Spenetrowali dokładnie mieszkanie Gytli. Wkroczyli do nieczynnej karczmy. Zajrzeli do każdego zakątka. I zaczęli pytać mieszkańców, co się stało z Gytlą i jej córką, Salcią. Znali imiona kobiet i świetnie byli zorientowani, gdzie i jacy Żydzi mieszkali. Odwiedzili najbliższe polskie domy i zagadywali o Żydówkę, robiąc dokładną rewizję. Młynarzowa zamarła ze strachu. Była wtedy sama, Mitia i Kasia w lesie.

Kiedy policjanci zapukali do drzwi, zaczęła się pocić. Bała się otworzyć. Wyważali drzwi. Zbiegła na dół i udając zasnęłą, spytała, czego sobie życzą. A oni odsunęli ją na bok i wtargnęli do środka. Zajrzeli po izbach, wyszperali najdrobniejsze rzeczy, ale nie znaleźli tego, czego szukali. Zagadnęli o Kasię i Mitię. Powiedziała, że pojechali do lasu. Spojrzeli po sobie i wyszli. A niemiecki oficer burknął łamaną polszczyzną:

- Nie chować żydowska świnią - i pociągnął palcem po gardle. Gdy odjechali, a Mitia z Kasią wrócili z lasu, szybko im opowiedziała o wizycie ukraińskiej policji i poszukiwaniu Żydów.

- Całe szczęście, że nie trzymaliśmy ich w domu - młynarzowa była przerażona. I błagała Mitię, by znalazł inny sposób na ukrywanie Gytli i Saki niż mieszkanie, bo nie daj Boże, a przyjdą do Stefki, to wszyscy zginą.

Od pewnego czasu wisiały plakaty informujące, że za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci. Kasia się bardzo przejęła tą wiadomością. I na myśl, że Miti może się coś stać złego, przywarła do niego, szepcząc: - Mitia, zrób coś.

333

Niepokój Kasi stał się tym większy, że koło domu Stefki znowu zaczął się kręcić, syn sołtysa, Wiktor Struś. Jego świdrujące oczka latały za nią bezustannie. Co gorsza, został zatrudniony w komendzie niemieckiej policji, wprowadzając jako palacz, ale udawał, że pełni poważną funkcję i polował na Żydów. Choć, kto wie, kim był naprawdę.

- Skurwysyn, szpicel! - przeklinali go sąsiedzi.

Podejrzewali, że rabuje żydowskie mienie. Odsuwali się od niego jak od zarazy. A on stał się ważny. Dźwigał swoją karłowatą głowę wysoko do góry i patrzył na ludzi, jak na śmieci, szyderczo się uśmiechając. Gdy wracał z roboty, podpatrywał, co robi Stefka. Miał tylko respekt przed Mitią. A wziął się on stąd, że gdy chodzili jeszcze razem do szkoły, on podstępnie wpakował Mitię w tarapaty. Doniósł do kierownika szkoły, że Mitia jest złodziejem. I Mitia miał z tego powodu duże kłopoty. A potem się wydało, że to on sam, Wiktor Struś, a nie Mitia, okradał kolegów. Mitia stłukł mu gębę, wybijając zęby. I tamten zapamiętał go na całe życie. Od tego czasu unikał Miti jak ognia. Ponadto wiedział, że w ukraińskiej policji jest wielu dobrych kolegów Miti. I lepiej z nimi nie zadzierać. Bo Ukraińcy trzymają się razem. Toteż omijał Mitię kołem. A jak wiedział, że jest w domu, nie pokazywał się. Mimo to, nie odpuszczał Stefce. Gdy wracała ze sklepu, specjalnie na nią czekał. I wbrew jej woli odprowadzał ją pod furtkę i pytał, dla kogo tak duże zakupy robi. I czy ma jakiegoś chłopaka, który ją potajemnie odwiedza. Wchodził na ganek, ale ona twardo zasłaniała przed nim drzwi i kazała mu się wynosić. Patrzył na nią podejrzliwie, a jego chytre, świńskie oczka penetrowały ciemne okna. Musiała uważać, bo szpiclował bez przerwy. Śledził nawet w nocy. Wciąż się jej oświadczał, a gdy oświadczyły odrzucała, zgrzytał zębami i warczał, że jeszcze tego pożałuje.

Aż wkroczył Mitia.

Przylapał go w nocy, jak wlaził pod oknem Stefki na brzozę, by ją podglądać, kiedy idzie spać. Rąbnął go sztchetą w plecy i krzyknął, udając, że złapał złodzieja.

Szpicel przez kilka dni siedział z opuszczonym ogonem w domu, lecząc sińce i bolesne rany. Nie pisał ani słowem kumplom

334

z policji, bo bał się ich szyderczych docinków. Wiedział, że staną jak jeden mąż po stronie Miti.

Stefka na jakiś czas poczuła się bezpieczna.

A Mitią mógł się zastanowić, co zrobić z Żydówkarni. Gdzie bezpieczniej je ukryć.

Nadchodziło Boże Narodzenie. Zbliżał się ślub i wesele Kasi.

Niestety, dobre wiadomości mieszały się ze złymi. \

Nastąpiło zaćmienie słońca. A to był znak, że idzie nowe nieszczęście.

\

Katia się nie odzywała. Stefka czekała na wiadomość z Rzeszy, choćby ślad życia, list, skrawek papieru, cokolwiek, ale nic nie nadchodziło. Minęło pół roku, a Katia milczała.

Sowiecki kochanek te' się nie zjawił. Stefka popadła w apatię. Zaczęła obawiać się o życie Miti. Znikał na kilka dni, wracał znużony, ponury i nie chciał jej zdradzić, gdzie był.

Domyślała się, że uczestniczy w czymś ważnym. Gdy nalegała, by powiedział, burczał, że w tych czasach nie należy za wiele wiedzieć, bo im mniej się wie, tym lepiej. Czuła, że Miti ma jakąś misję do spełnienia. Nie była głupia. Inaczej tak by się nie zachowywał. Znała go dobrze i wiedziała, że tajne zadania wymagają dyskrecji. Skoro ukrył tutaj dwie Żydówki, to znaczy, że innych Żydów także ukrywa, domyślała się. Modliła się do Boga, by czuwał nad Mitią. Ludzie w okolicy go szanowali. Był nieocenionym rzemieślnikiem i dobrym człowiekiem. Poza tym, był mądry i rozważny, choć nieraz i bardzo porywczy. Ale gdy panował nad sobą, konie można było z nim kraść. Ukraińscy policjanci, gdy go mijali, pozdrawiali i pokrzykiwali na niego żartobliwie, że coraz bardziej chudnie, zwalając wszystko na Kasię. Czuł się z tej strony bezpieczny. I Żydówkom na razie nic w jego domu nie groziło.

Ale nie tylko Mitią znikał z domu.

Znikała też młynarzowa. Wracała późnymi wieczorami, zmieniona, wychudła i zasepiona.

Pomagała ukrywającym się w lesie Żydom. Zżerały ich choroby, głód, zimno, wszawica.

Dzieci umierały. Starcy byli w agonii. By ocaleć, musieli przedostać się na Zachód. Trzeba ich było wydobyć z lasu i przeprowadzić przez rumuńską granicę. Mitią znał w okolicy każdy kamień. Przeprowadzenie wymagało wielkiego sprytu, odwagi i wyobraźni.

335

- Żydzi zapłacą - mówiła młynarzowa. Mitią odpierał, że obejdzie się. Jak trzeba pomóc, to pomoże.

Kasia przypomniała sobie o szkolnych koleżankach, Żydówkach, Miriam i Hannah.

Pamiętała, że Hannah zmieniła wiarę i przeszła na katolicyzm, ale czy to jej pomogło, zastanawiała się. Przypomniała też sobie karaimską przyjaciółkę, Deworę i nagle się złękła, że już ich nigdy nie spotka. Postanowiła, że napisze do nich list. I tego dnia wysłała, by się dowiedzieć, co się z nimi dzieje. Odpowiedź nie nadeszła. To ją przygniotło. Chodziła przytłoczona ciężarem smutku. Rozumiała, że ich milczenie nie jest bez powodu. Kiedyś odezwała się do matki:

- Najważniejsze, mamó, byśmy przetrzymały wojnę. Potem wróci tato i życie ułoży się na nowo.

Mitią przez kilka dni znowu nie było w domu.

A kiedy wrócił, poczerwiał i znużony, od razu rzucił się do pokoju Kasi, ale ona już zbiegała z góry i wpadli sobie w ramiona. Gwałtownie ją objął i tulił, aż oderwała się od niego i dławiąc słowa, wyrzucała:

- Dłużej tego nie zniosę! Zwariuję bez ciebie. Za kilka dni ślub, a ciebie wciąż nie ma. Była wyczerpana i rozżalona. Z jednej strony rozumiała, jak ważną rolę Mitią spełnia, ale z drugiej drżała na myśl, że któreś nocy nie wróci. Nie wytrzymała napięcia.

Ugryzł się w język. Nie chciał kłótni. Rozumiał ją. Odczekał, aż atak minie, spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

- Niedługo się to skończy, Kasiu. Tylko kilka wypraw i już będziemy razem.

Kasia wymamrotała:

- Tylko uważaj, Mitia, uważaj, błagam. Oparła się na jego ramieniu i zeszli do kuchni. Młynarzowa spytała, czy wyprawa się udała, a gdy skinął głową, że tak, odetchnęła z ulgą, po czym zjedli kolację, a Mitia skoczył na konia i pognął do domu. I nie wracał przez dwa dni.

336

NOWE ŚWIĘTA

Tymczasem nadeszły kolejne święta Bożego Narodzenia. Mitia zjawił się na wigilię razem ze Stefką. Szybko przygotowali choinkę i gdy zaświeciła pierwsza gwiazda, usiedli przy stole, tradycyjnie zostawiając jedno puste miejsce. Złożyli sobie życzenia, podzielili się opłatkiem, ale wielkiej radości nie było. Potem zapukał ksiądz Robert. Wspominali najbliższych, których zabrakło, panie się popłakały, młynarzowej drżały usta i gdy chciała coś powiedzieć, nie potrafiła. Nie było już tej atmosfery, która panowała wtedy, gdy rodzina młynarza siadała w komplecie, a nie w takiej, jak przed rokiem.

Okolicę paraliżował strach z powodu kapusiów, którzy donosili policji, gdzie i kto ukrywa żydowskie dzieci. Kilku polskich chłopów z tego powodu zostało rozstrzelanych. W Kołomyi zgoniono na rynek ludzi i powieszono na oczach wszystkich paru właścicieli kamienic, w których ukrywali się Żydzi. Dla pokazu powieszono kościelny z sąsiedniej wsi, który schował małą, czarną dziewczynkę, wnuczkę swoich żydowskich sąsiadów, zabraną do getta.

Młynarzowa myślała o Bronku Rubinowiczu. Zastanawiała się, czy żyje i gdzie się ukrywa. Była smutna i blada. Zwrócił na to uwagę ksiądz Robert i spytał:

- Dolega ci coś, Anno?

Pospiesznie odparła, że nie, nic jej nie dolega.

Postanowiła szybko napisać list.

Ksiądz Robert również nie tryskał humorem, jak za poprzednich lat. Pograżali się w zadumie nad życiem, ale wyrwał ich z letargu Mitia, który oznajmił, że nie mają powodu, by narzekać, bo

337

żyją. Mogą się poruszać, wychodzić na dwór, pracować, w przeciwieństwie do tych, którzy cierpią w tej chwili w straszliwych ciemnościach, na ostrym mrozie, wśród śniegów, bez jedzenia i picia, nie znają dnia ani godziny, kiedy nadejdzie śmierć i nie wiedzą, czy przeżyją do rana. I opowiedział, jak wielu Żydów kryje się w lesie, w bunkrach, jak tam umierają, jak zżerają ich choroby, gorączka, wszy i wariują. A to dopiero początek zimy. Spojrzał na Kasię i ona zrozumiała, że znowu planuje wyjazd.

Młynarzowa milczała, patrząc na Mitę. A Stefka gryzła palce. Była to smutna wigilia i wszyscy chcieli, by jak najszybciej minęła.

Ksiądz Robert wkrótce pożegnał się, by odwiedzić innych parafian, zrobił nad nimi znak krzyża i wyszedł. Niedługo potem rozeszli się do swoich pokoi. Nadciągała długa i ciężka noc.

Młynarzowa pospiesznie pisała list do Rubinowicza, pytając o zdrowie i prosząc, by ją odwiedził, naturalnie wraz z żoną. „Nalegam - zakończyła - przyjeżdżaj natychmiast, czekam na Was, z pozdrowieniami, Anna.” Kila dni później dowiedziała się od kuzyna Artura o pogromach dokonanych na Żydach nie tylko we Lwowie i Złoczowie, ale i w Tarnopolu, Samborze, Brodach, Sokatu, Rudkach, Borysławiu, Krzemieńcu i w wielu innych miastach kresowych.

Gdy wróciła do domu, była roztrzęsiona.

Widziała na dworcu w Kołomyi jak ukraińscy policjanci gnali grupę Cyganów, wśród których zobaczyła starą zniszczoną kobietę. Przyjrzała się jej dokładnie i przypomniała sobie, jak ta stara kobieta jej i Kasi wróżyła z ręki. Cyganka chyba też ją poznała, smutno się uśmiechnęła i pchnięta przez jakiegoś zbira w szwabskim mundurze, znikła w tłumie.

- Byłam wstrząśnięta, Kasiu - zakończyła relację.
- Barbarzyńcy! - cicho powiedziała Kasia.

338

NOWE WESELE

Ślub w kościele wieś oglądała z przejęciem. Mitia z Kasią ustalili, że będzie to ślub w obrządku rzymskokatolickim. Panna młoda, ubrana w białą długą suknię, wyglądała kwitnąco. Pobladał twarz przypudrowała, jej duże ciemne oczy były lekko przygaszone, ale nadal znamionowały wielką urodę. Mitia w garniturze prezentował się jak młodzieniec z wyższych sfer. Był znacznie wyższy od Kasi, mocno zbudowany, choć jego twarz zdradzała wyczerpanie. Klękając przed ołtarzem, nie zapomniał o starym zwyczaju, który przekazywali sobie chłopcy z pokolenia na pokolenie, by kolaniem przygnieść rąbek sukni panny młodej, co właśnie uczynił, z wiarą, jak głosiła stara legenda, że przygnieciony koniuszek sukni gwarantuje wieczną wierność. Kasia kątem oka dostrzegła ten stały manewr wszystkich wiejskich panów młodych i uśmiechnęła się. A gdy nadeszła pora sakramentalnego wyznania wierności, Mitia zjrzał Kasi głęboko w oczy i z wielką powagą, jakoś chrapliwie, powiedział „tak”. Kasia w pośpiechu, drżącym głosem też wyrzekła „tak”, jakby ją ktoś gonił. Wesele odbyło się u panny młodej. Było ciche i niezbyt wystawne. Trudne czasy na to nie pozwalały. Zaproszono niewielu gości. Przyszła przyjaciółka Kasi, Ksenia, jej dróżka. Wyglądała bardzo pięknie, mimo że twarz miała smutną. Jej duże błękitne oczy kryły głęboką melancholię. Wciąż nie mogła się pozbierać po utracie rodziców i po długim milczeniu Mariusza. Wykazywała jednak dobrą wolę, by swoim smutkiem nie zarażać innych. Przeciwnie, szeptała do Kasi, że wygląda cudownie, co było zresztą prawdą. Kasia też ją wspierała na duchu. Mówiła, że wojna minie i Mariusz wróci. I smutno się uśmiechając, cicho wyrzekła:

- Widzisz, jak długo czekałam na Mitię. Lata całe. Ale teraz jest mój.

339

Obie się zaśmiały.

Mitia przyprowadził trzech huculskich przyjaciół, Jewhena Witalija i družbę, Iwana. Byli to chłopcy postawni, o smagłej cerze, z orlimi nosami i długimi, czarnymi włosami. Ubrali się nienagannie, wytwornie, w tradycyjne szerokie spodnie uszyte z granatowego płótna, na ramiona narzucili krótkie kożuszki, a na głowy założyli nie kapelusze, jak to zwykli czynić latem, ale czapki z lisiej skóry. Brakowało im w ręku tylko toporka. Orkiestra składała się z trzech grajków, którzy po cichu rzępolili weselne pieśni, jakby się bojąc, że zaraz ktoś wpadnie do domu i ich wygoni. Grali na starych huculskich instrumentach, na przemian na skrzypcach, akordeonie i bębnie.

Ksiądz Robert zjawił się na chwilę, złożył młodym życzenia i wyszedł, nawet nie częstując się tortem, który Kasia własnoręcznie przygotowała. Klepnął Mitię po plecach i huknął na całą izbę:

- Pamiętaj, dajemy ci perłę naszej rodziny, kochaj ją i szanuj.

Cmoknął Kasię w policzek i już go nie było.

Siedzieli w dużym pokoju, jedli i popijali wino i wódkę, którą skombinował Mitia, przywożąc kilka butelek z tajnych wypraw. Wkrótce alkohol uderzył biesiadnikom do głowy, zapomnieli o smutkach i lękach, i zaczęli śpiewać znane polskie i ukraińskie piosenki. Najgłośniej rozbrzmiewały słowa:

Rozpriadajhte chłopci koni, ta lahajte spoczywat', a ja pidu w sad wysznewyj, w sad kirnyczeńku kopal'...

Nawet matka Kasi, która wydawała się być nieobecna i co chwilę dokądś odpływała, przyłączyła się do śpiewających i już całe wesele bawiło się, jakby się nic złego wokół nich nie działo. Kieliszki dzwoniły, wódka rozgrzewała głowy i rozniecała wyobraźnię. Pary zaczęły tańczyć, a potem rozległ się smutny śpiew Kseni:

340

Oj, zaswity maty swiczku Postaw na stoli Niechaj ludy podywliatsja Czy pora meni
Zaswityła maty swiczku Wona j ne horyt A u mene mołodoi Serdeńko bołyt
Rozległy się brawa, drużba wzniołł toast za piękny głos, a Kasia podbiegła do niej i mocno
uściskała. Poprosiła Mitie, by zagrał na mandolinie, a ona też się zaprezentuje.
Mitia uradowany, szybko ściągnął ze ściany instrument, którego używał jeszcze inżynier,
odkurzył go i czekał na Kasię. A ona przypomniała sobie zabawną piosenkę, śpiewaną jeszcze
w gimnazjum przy ulicy Zielonej we Lwowie, której nauczyła także Mitie, więc znał melodię
i weselnicy usłyszeli:

Jak zacuchra szac muzyka, Odwał panna ud szaflika I du tańca chodź tu z nami, Bendzi
kadryl z figurami.

Panna szaflik porzuciła, Du tańca si nastawiła, Z figurami kadryl robi, Aż ma łoskot na
wątrobi.

Towarzystwo jest morowy, Sami gości doburowy, Są węglarzy i koźbiarzy Każdy pije co sy
każy

Wszystkich klawa gardyroba, Rozmaita jak churoba, Rzną wojskowi i cywili, Z bombunami z
daszkiem w tyli.

Znowu rozległy się brawa, okrzyki, toasty, a matka Kasi żartobliwie pogroziła jej palcem i
wszyscy wybuchnęli śmiechem. Potem Mitia zaśpiewał przy akompaniamencie orkiestry.
Najmilsza Kasiu Moji ty kuchani, Uważaj na siebie, Bo ci sprawim lani.

341

Mitia porwał Kasię do tańca i opanowało ich jakieś szaleństwo i buńczuczna fantazja, krążyli
po dużym pokoju, między stołami, a za nimi inni, wywijając polkę, kontredansa z figurami,
oberka, fokstrota i walca. Zrywali się do polki, a na końcu do ko-łomyjki, aż Kasia nie mogła
tchu złapać i opadła beładnie na krzesło.

Skrzypce, harmonia i bęben grały, a młynarzowa miała melancholijne spojrzenie i w pewnym
momencie wypuściła malutką łzę z oka i zakłopotana, szybko ją wytarła, trzepocząc rękami.
A kiedy Kasia usiadła obok niej, przytuliła ją i szeptwała:

- Cudownie, Kasiu, cudownie wyglądasz. Jesteście nad wyraz dobraną parą, nad wyraz.

Kasia gorąco ją uściskała. A młynarzowa ogłosiła, że sama zaśpiewa ulubioną lwowską pieśń
„Wesele Karolci.” Rozległy się okrzyki: - Brawo, już, prosimy. - I zaśpiewała:

Tajoj, ta co, ta siup, ta dzie Gości w sali si zebrali
du Karolci chodź na ślub. Rej! każdy klawy humor ma, Tak si klawu dzisiaj składa,
państwu młodzi przyjechali

akuratni, tak w sam raz, rudy Mišku marsza gra
jest weseli u sonsiada Jest znajomych cała zgraja,
i ży sonsiad prosi nas każdy chce pohirzyć znów,
dziś weseli u Ciuchraja, hopak, siuraj, chodź na ślub...

Piosenka i wykonanie bardzo się weselnikom spodobało, głos młynarzowej zabrzmiał mocno,
jak za młodych lat, a barwa głosu wręcz zachwycała, niektórzy tę piosenkę znali i prosili o
jeszcze, ale młynarzowa podziękowała i uznała, że wystarczy. Kasią ją znowu uściskała. I
wtedy Mitia ponownie wziął mandolinę. Coś sobie przypomniał, a kiedy orkiestra zamilkła i
grajkowie ścierali pot z czoła, on wstał, dokładnie mandolinie się przyjrzał, jeszcze raz
zdmuchnął kurz, szarpnął strunę i wydobyl jakiś głęboki, pełen zadumy ton. Pochylał się nad
instrumentem, trącał struny, a weselnicy odstawiali ciasta i kielichy, zasłuchani w niezwykłą
melodię. Popłynęła muzyka pełna powagi, cie-

342

pla i głębokiego piękna. Niosła gości ku odległym krajobrazom, gdzie zawsze świeci słońce.
Mitia szarpał struny i porywał słuchaczy ku wysokim góróm, z których roztaczały się
niebывałe widoki, połoniny, a nad głowami krążyły orły, nie poruszając skrzydłami. I
widzieli przed oczami najwyższe szczyty górskie, wierzchołki Popa Iwana i Howerłę, albo

górze Stocha, podobną do stogu siana, z gołą skałą na czubku, widniejącą z pół mili od Czarnohory. Słyszeli szum leśnych rzek, Czarnego i Białego Czeremoszu, huczały wodospady Prutu pod Dorą i Maniawki pod wioską Maniawą. Szumiały lasy, graby, dęby, osiki i klony i śpiewały rwące strumyki. A ze wsi ukrytych w jarach niosły się śpiewy dziewczyn. Zdawało się weselnikom, że słyszą w tej muzyce nawet szemranie liści winogron na zboczach południowych wzgórz oraz daleki szelest hreczki, kukurydzy, melonów i tytoniu, mimo że była zima, a oni nawet słyszeli szum ptasich skrzydeł i lot motyla. Rozlegały się dzwonki owiec idących na wypas po zboczach gór, a potem dzikie, głośne nawoływania, jakby tętent koni, gonitwa i nagła cisza. A później gulgotanie trzęsawisk i bagien, nagłe śpiewy pogańskich ludów, zgromadzonych wokół kamiennych bóstw. Muzyka zabierała ich na bezgraniczne stepy, a stamtąd na powrót w góry, na połoniny i do solnych źródeł w Kniaźdworze, ciągnęła ku nieistniejącym już górskim stawom i jeziorom, po których tylko suche dno zostało. Widzieli wielkie cienie Czarnego Lasu między Bystrzycą Sołotwińską a Oporem. A potem, gdy się zadumali, usłyszeli głosy Dobosza i krzyki hord mongolskich i tatarskich, a nawet łopot wołoskich chorągwi. A na koniec uderzyły bliskie sercom tony i usłyszeli śpiew skowronka i klekot bociana.

Tak byli zasłuchani i wpatrzeni w Mitę, jakby zobaczyli jakiegoś księcia z bajki, który nagle zaczarował smutne i bolesne życie, odkrywając prawdziwy raj, gdzieś tam daleko i wysoko, skąd można było podziwiać nieskończoność i wszystkie barwy świata.

Kasia z zachwytem wbijała w Mitę oczy. Słyszała jak tą muzyką właśnie do niej przemawia, jak jej opowiada o swojej trudnej, dramatycznej miłości, o wiecznym poszukiwaniu szczęścia

343 i słyszała bicie jego serca, czuła, jak w tej muzyce tętni krew w jego żyłach, a gdy zamknęła oczy, zdawało się jej, że właśnie porywa ją Mitia na konia i pędzi na złamanie karku. Muzyka biegła szybko, nerwowo, niespokojnie, a koń cwałował, a potem tony stały się cichsze, łagodniejsze i Mitia leżał obok niej i snuli plany na przyszłość.

Niemniej zauroczona była muzyką Ksenia. Też nie mogła oderwać wzroku. Podziwiała nie tylko niezwykłą wirtuozerię, ale i twarz Miti, tak przemienioną i natchnioną. Po raz pierwszy widziała go w takim napięciu, gdy jego długie palce trącały struny.

W pewnym momencie Kasia uchwyciła to gorące, złąknione spojrzenie Kseni i uśmiechnęła się do niej. Ksenia wyczuła wpatrzony w siebie wzrok, poczuła się skrepowana, ale zdążyła jeszcze dostrzec, jak w tej samej chwili spojrział na nią Mitia i ich oczy na sekundę spotkały się. I ona spuściła głowę.

Gdy Mitia skończył, zapanowała cisza. Jakby biesiadnicy nie mogli się wyrwać z tej krainy czarów. Dopiero po chwili wzniósł się huragan braw. Drużba Iwan wygłosił mowę pochwalną na cześć pana młodego, wzniósł toast za wielkie zdolności Miti i wszyscy ochoczo wypili. Mitia powiesił z powrotem mandolinę, a Kasia mocno go ucałowała.

Mieli już porządnie w czubach, pozdejmowali marynarki, porzypinali koszule i poczęli się wszyscy ze wszystkimi obejmować, bratać, całować i przysięgać, że się kochają i będą sobie wierni do końca życia. Gdy Kasia obejmowała drużbę Iwana, słuchając po raz kolejny jego życzeń, Mitia nachylił się ku Kseni, objął ją, a ona musnęła jego usta szybkim pocałunkiem i zerknęła na Kasię. Ale Kasia ścisnęła się już ze Stefką, z kolegami męża, a potem wznosiła toasty za wszystkich gości i nie dostrzegła umizgów Kseni. Huknęły brawa, potoczyła się nowa pieśń i poczuli się rozluźnieni, swobodni i noc upływała w radości. Tylko Stefka siedziała jakaś zadumana i tylko od czasu do czasu zamieniała słowo z młynarzową.

A młynarzową, która do tej pory wydawała się odległa i zamknięta, teraz obejmowała zachwyconym okiem zięcia i pokrzykiwa-

344

ła, że jest z niego dumna, a jego występ muzyczny, jako specjalistka, uznała za nadzwyczajny, rewelacyjny, jak powiedziała.

- Rewelacyjny, Mitia! Rewelacyjny! - chwaliła. A Kasia widząc radość matki, była szczęśliwa. I znowu popłynęły pieśni cygańskie i kresowe. Szczególną radość wzbudziła cygańska ballada:

Czy słońce na niebie, czy wieczór zapada Wędruje po świecie cygańska ballada.

A po niej:

Hej tam pod lasem, Coś błyszczy z dala, Banda Cyganów Ogień rozpala.

Śpiewano też pieśń o flisakach:

Czy to w dzień, czy o zachodzie, Zmieszana z pluskiem fal, Płynie nasza pieśń po wodzie, Niesiona z wichrem w dal.

Weselnicy się rozochocili i zakrzyknęli, by orkiestra zagrała coś skoczniejszego, bo chcą tańczyć. I orkiestra zagrała. Choć zaczynało już świtać, nikt nie miał ochoty rozstawać się ze stołem. I wtedy wolno otworzyły się drzwi i stanął w nich niepewnie Lolek Kępa z drżącą wargą i obłędem w oczach. Był w łachmanach, z twarzą zapadniętą i bladą, ze sterczącym, długim nosem i wyschniętymi ustami. Orkiestra przestała grać, tak samo, jak na pierwszym weselu. Lolek wyjął z zanadru dużą, pomiętą kartkę papieru z wyrysowaną na niej jakąś postacią w bieli. Weselnicy odwracali ku niemu zdumione oczy i wpatrywali się w przybłędę, jakby zobaczyli widmo. Lolek nieśmiało spojrzał na Kasię i w wielkiej ciszy,

345

w której słysząc było bicie serca, zbliżył się do panny młodej i podał jej rysunek, bełkocząc, jak niegdyś:

- To...to... dla ciebie... królowo...

I Kasia zobaczyła bogato ubraną królewską postać z koroną na głowie, w delikatnych, pańskich pantofelkach. Rysunek, choć był pomięty, przedstawiał kobietę w harmonijnych proporcjach i czuło się rękę fachowca.

- To dla mnie, Lolek? - spytała, patrząc na rysunek. - To ty... sam... namalowałeś? - pytała zdziwiona.

- Tak - cicho odparł.

- Na pewno dla mnie?

- Tak, królowo, dla ciebie - mówił całkiem rzeczowo, jakby nie był wariatem.

Mitia śledził tę scenę ze spokojem, a młynarzowa kiwała ze współczuciem głową.

- To ja już sobie pójdę - powiedział, nie mogąc oderwać od Kasi oczu.

Podziękowała mu, ale Mitia go zatrzymał, nalał kieliszek wódki i podał, lecz Lolek, uchodzący dotychczas za obłąkanego, bąknął wyraźnie, dziękując, odwrócił się i wyszedł.

- Biedny chłopiec - odezwała się młynarzowa. Orkiestra chwyciła instrumenty i grała już do świtu, podśpiewując huculskie pieśni, z których największym powodzeniem cieszyła ta o Prucie, Czeremoszu i Kołomyi:

Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa, a ochocza kołomyja do tańca porywa. Dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie, gdy go losy w doły rzucą wnet z tęsknoty ginie. Gdy pijani grajkowie padli, podchmieleni goście poczęli się rozchodzić.

346

DZIECI

Mitia zamieszkał u Kasi. Stefka nadal się opiekowała Gytłą i Salcią. W końcu lutego Gytła ciężko zachorowała na zapalenie płuc i wkrótce zmarła.

Salcia stłumiła płacz, zamknęła jej oczy i odmówiła modlitwę: Szema Israel, czyli Słuchaj Izraelu. Poprosiła, by Stefka zapaliła świecę i Stefka to uczyniła. Salcia odmówiła kadisz, zaczynający się od słów: Niechaj będzie wielbione i poświęcone Jego Wielkie imię, a Mitia ciało nieboszczki owinął w białe prześcieradło, zbił prostą, drewnianą trumnę i po kryjomu w nocy zakopał za stodołą. Znał obyczaj żydowski, bo miał wśród Żydów wielu kolegów i o tym mówiło się we wsi, gdy ktoś umierał. Pamiętał, że to stara ceremonia pochówku. Zwykle modlitwę tę odmawiał syn zmarłego, ale Salcia uczyniła to sama, czując, że powinna tak

uczynić. Była sierotą i odmawia kadisz, by zaznaczyć, że mimo straty matki, nadal pragnie wielbić Boga.

Mitia na grób wtoczył duży kamień, a poranny śnieg zasypał ziemię i nawet znaku po grobie nie zostało. Zastanawiał się, jak wywieźć Salcie za granicę, ale sroga zima wciąż na to nie pozwalała. Co innego latem, kiedy się nie zostawia za sobą śladów, a przyroda jest bujna, gęsta i przez wysokie zarośla łatwiej człowieka przeprowadzić na drugą stronę. Tym bardziej że teraz opiekował się kilkoma Żydami w lesie, zanosząc im co jakiś czas żywność. Kasia się trzęsa ze strachu, że go zabiją. Ale on jeździł niby po drewno, a przy okazji podrzucał do ziemianek niezbędne do przeżycia rzeczy, chleb, koce, stare płaszcze.

Salcia po śmierci matki zamilkła i nawet, gdy przychodziła do niej Stefka, nie odzywała się, patrząc przed siebie. Nie poznawała także Kasi. Wpadła w głęboką melancholię i godzinami wpatrywała się w swoje ręce.

347

Zima była sroga, ale nie trwała długo. W marcu zaświeciło słońce.

Nadeszła lato. Mitia szykował łóżeczko, widząc brzemienną żonę. Szybko się okazało, że jedno łóżeczko nie wystarczy. We wrześniu przyszły na świat dwojaczki. Zdrowa i silna dziewczynka, której na chrzcie nadali imię Zuzia i ciemny chłopak, którego na życzenie Miti nazwali Borysem.

Mitia wpadł w zachwyt, widząc nowe pokolenie Korpaków. Z dumą wymawiał: Kasia Korpak, Zuzia Korpak i Borys Korpak.

- Czyż to nie brzmi? - patrzył zauroczony na całą trójkę.

A Kasia popiskiwała z radości, czując się matką pełną gębą. Podśmiewała się z Miti, że nie przewidział dwójki dzieci, więc w pośpiechu musiał majstrować teraz nowe łóżko i dużą kołyskę. Zrobił to w mig, bo jak wiadomo, był stolarzem, ślusarzem i kim tylko chciał. Młynarzowa pojechała do Kołomyi po zakupy dla dzieci i Kasi. U kuzyna dowiedziała się, że pojawiła się w lasach polska partyzantka, Armia Krajowa. Słuchała tych wieści podekscytowana i z nadzieją. W sowieckiej Rosji powstała polska armia, pod dowództwem Andersa, która szła na pomoc zachodnim aliantom. Brytyjskie samoloty lotami dywanowymi zaatakowały niemieckie miasta. Zdawało się, że coś ważnego zmienia się w świecie. Ale nie było żadnej pewności, że wojna się szybko skończy.

Kuzyn Artur był ostrożny w przewidywaniach. Uważał jednak, że Niemcy nie wytrzymają tak szeroko rozciągniętego frontu. W getcie w Kołomyi wybuchło powstanie, rozstrzelano wielu Żydów. A getto spalono. Niemcy przygotowywali się do wywózki Żydów do obozów pracy w Bełżcu. Wielu stracono w lesie tuż koło wsi Szeparowce. Z rąk gestapo i ukraińskiej policji padło około ośmiu tysięcy Żydów i kilkudziesięciu Polaków. 7 września spędzono w punkcie zbiorczym ponad pięć tysięcy ludzi, inni się ukrywali, uciekali. Uciekinierów zabijano na miejscu. A ci, którzy się ukrywali, zostali odnalezieni i siłą zabrani do pociągu. Po spisaniu listy obecności, do każdego wagonu ładowano po stu Żydów. Było gorąco, duszno, pot spływał po karkach, Żydzi pościągali ubrania i byli nadzy, bo w tej spiekocie nie dało

348

się wytrzymać. Gdy nadeszła noc, a pociąg już jechał, poczęli wyłamywać drzwi wagonów, wrywać deski, przebijali się przez dachy i uciekali. Zaduch w wagonach był straszny. Ludzie umierali. Trupy leżały pod nogami. Strażnicy strzelali na oślep, zabijając każdego, kto się znalazł na linii strzału. Wielu zginęło. Ci, co ocaleli, dojechali do Bełżca. Blisko czwarta część nie wytrzymała trudów podróży i zmarła. A starych, chorych i słabych, których zakwalifikowano, jako niezdolnych do dalszego transportu, zabijali. Pociąg wrócił po tych, którzy zostali wyłapani w Horodence, Śniatyniu, Kosowie i Kutach. Setkami sprowadzali ich ukraińscy policjanci do Kołomyi, Żydzi szli pieszo, ciągnąc nogę za nogą, a po drodze, w czasie próby ucieczki, byli zabijani. W sumie do Bełżca wysłano ponad 8 tysięcy Żydów. I popatrz, Anno, kończył kuzyn opowieść, miasto opustoszało. A był tu teatr żydowski, kino,

Żydzi wydawali dziesięć gazet, jedne w języku żydowskim, inne w obu językach, polskim i żydowskim, i nic nie zostało. Cisza i pustka. I opróżnione domy, po których grasują szabrownicy i hula wiatr.

Młynarzowa wróciła do domu załamana. Rubinowicz nie dawał znaku życia. Pomyślała, że już po nim. Nie przetrwał zimy. Pozostały jej wnuki. Chodziła po obejściu jak kwoka, spod której skrzydeł wysypała się nowa generacja piskląt.

- Ale Jakub byłby dumny - mamrotała - Takie dzieci!

Dogłądała maleństw z taką samą pieczołowitością jak niegdyś Kasię i Mariusza.

Coraz częściej odwiedzała ich Ksenia. Przynosiła słodczyce, strudle z makiem, chrupkie ciastka, które uwielbiał Mitya, bo się rozpląwały na języku i dobre, smaczne wino, które sama robiła. Nie tak dawny cios, jaki przeżyła, utrata matki i narzeczonego, tłumiła ciężką pracą. Dbała o chude zwierzęta, krowy, konia i kozę. Rąbała drewno i opalała dom. I przychodziła, by wśród przyjaciół chwilę odpocząć.

Gawędzili o życiu, a przed nocą Mitya odprowadzał ją za furtkę i wracał do dzieci.

Oddał się im bezgranicznie. Nie dopuszczał do nich nawet Kasi. Tak był przejęty narodzinami syna i córki, że spał się tego

349

dnia do nieprzytomności, choć nie za często mu się to zdarzało a potem powiedział Kasi, że to jego oczka w głowie i zadba o nie z całą pieczołowitością.

Okazał się wspaniałym ojcem i mężem.

Odciażał Kasię, przewijał dzieci, kąpał je, gaworzył z nimi, jakby dar ojcostwa wyssał z mlekiem matki. Kasia śmiała się, była zadowolona i pełna uznania. Dziećmi na wsi, jak świat światem, zawsze zajmowały się kobiety. A tutaj Mitya zastrzegł sobie wszelkie prawa.

W nocy to on wstawał do maluchów, a nie Kasia. Dbał o nią, troszczył się nadzwyczajnie, aż młynarzowej wydało się to niewłaściwe, bo zlekła się, że tym nadzwyczajnym oddaniem rozpuści Kasię. I bała się, że po tej euforii, nadejdą dni słabości. A nadmiar miłości przerodzi się w chłód i obojętność. Ponadto zauważyła, że coraz częściej na Borysa spogląda, a nie na Zuzię. Ale próżne były jej obawy. Mitya nie ustawał w staraniach, by zaspokoić potrzeby obojga maluchów i całej rodziny.

Nie zaniebował też swoich podopiecznych w lesie. Ale zrobił się bardziej czujny i jeszcze bardziej odpowiedzialny. Długo rozpoznawał teren, zanim przystąpił do działania. A i jesień sprzyjała ukrywającym się. Mogli się pożywiać jagodami, grzybami i owocami.

Po niedzielnym nabożeństwie wrócił z cerkwi jakiś odmieniony i od progę rzucił:

- Budę lepsze.

- Co będzie lepiej? - spytała młynarzowa.

I wtedy opowiedział, że w czasie kazania pop Kiryło przeczytał list metropolity lwowskiego, Andrzeja Szeptyckiego, w którym arcybiskup wiele mówi o niemieckich i ukraińskich pogromach na Żydach i wzywał wiernych do modlitwy, apelując: „Nie zabijaj!”. A i sam, jak powiadają ludzie, ukrywa Żydów. List pasterski zrobił na wiernych wielkie wrażenie. Gdy pop grzmiał, że bezsensownie leje się krew braci mieszkających na tej samej ziemi, wielu wiernych płakało.

- Dziwny ten metropolita - zgryźliwie odezwała się młynarzowa. - Najpierw wita Hitlera chlebem i solą, a potem wzywa, by nie zabijać.

350

- Och, mamuś! - zaprotestowała Kasia, widząc marsową minę Miti. - Może się zmienił.

- No, dobrze, dobrze - pojednawczo rzekła młynarzowa i za_jęła się swoją robotą.

Mity udało się przerzucić na Zachód nową grupkę Żydów. Była wśród nich też Salcia, która szła nieobecna, zamkniętą i patrzyła przed siebie niewidząco. Do rumuńskiej granicy, dokącej przeprawiali się przez wzgórza, lasy i chaszcze, szła posłusznie bez oporów, milcząca i cicha.

Lecz gdy już mieli przedostać się na drugą stronę, nagle jakby sobie coś przypomniała, rozejrzała się niespokojnie dokoła, chwyciła się za głowę i krzyknęła:

- Ich hob mojre - a potem zaczęła jęczeć: - Marne, marne mame.

Trzej młodzi Żydzi, których Mitia prowadził, syknęli, by zamilkła, bo zdradzi ucieczkę.

Salcia skuliła się i z lękiem w oczach kogoś szukała. W tym momencie nadszedł przewodnik, który miał na nich tutaj czekać. Przywitał się z Mitią, podziękował mu, za wysiłek i patrząc na zegarek, dał znak, by szli za nim. I po chwili ciągnął za sobą grupkę uciekinierów.

Mitia powoli wracał do Kasi. Ale wciąż słyszał za plecami, jak przewodnik przekonuje Salcie, by poddała się dyscyplinie i nie opóźniała ucieczki. Potem rozległ się jej głośny krzyk:

- Nie!

I zaszumiały krzaki. Mitia nie mógł się zorientować, czy ją pociągnęli, czy też skoczyła między gałęzie i znikła. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, ale nic więcej nie usłyszał.

351

LIST OD KATU

Gdy odeszła Salcia, Stefka została sama jak palec. Mitia rzadko się w domu pokazywał. Gdy była Salcia i żyła jeszcze stara Gytla, mogła przynajmniej głowę do nich otworzyć. Teraz nie było nikogo. Wyjmowała fotografię Miszy i całowała ją, błagając Boga, by kochany wrócił. Kiedy zdawało się, że już wszyscy ją opuścili, nadszedł list z Niemiec. Zobaczyła znajomy charakter pisma i skoczyła z radości, wołając do pustej chaty:

- Katia, Katia - i zaczęła pożerać litery.

I już wiedziała, że Katia żyje, pracuje u jakiegoś bauera pod dużym miastem Stettin, w okolicach miasteczka Barwalde. Zajmuje się krowami, karmi je, wypasa, czyści, doi, robi przetwory mleczne. I co najważniejsze - Stefkę wręcz to poraziło - ma chłopca. Jest to syn gospodarza, który chorował na astmę i nie zabrali go do wojska. Zakochał się w niej na zabój, a ona odwzajemniła tę miłość. Bo Franz, jak pisała, Franz Hoffmann, jest nie tylko przystojny, ale i utalentowany. Układa wiersze i pisze piosenki. To najbardziej zainteresowało później Kasię. Stefka dowiedziała się też, że Franz jest bardzo wrażliwy i nieśmiały. Gra również na trąbce. I choć niemieckie panny wodzą za nim cielęcymi oczami i uganiają się jak za księciem z bajki, on sobie ją upodobał i za nią przepada.

Katia z innymi dziewczynami spała w baraku. Od świtu do nocy ciężko, w pocie czoła, harowała. List był długi, opisywał, jak się z Franzem poznali, czym się on zajmuje i gdzie się spotykają. Wspominała o pięknych sadach i ogromnych owocach, które tam rosną, o urządzeniach, jakie nikomu się na Pokuciu nie śniły. Krowom nie podaje się wody, tak jak u nas, pisała, bo w stajniach i oborach istnieją mechaniczne urządzenia i wystarczy, że krowa naciśnie pyskiem odpowiedni klawisz, a woda sama tryska. Wszędzie jest prąd, znaczy - elektryka, zmechanizowane

352

urządzenia do zbierania zboża, młócenia i koszenia traw. W domach nie pali się w piecach, tylko istnieje centralne ogrzewanie i kaloryfery, które podgrzewają wodę i dają ciepło.

Opisywała wiele innych cudactw i różności, których nie znała Pokucie. Nawet u pana za wsią, gdzie teraz zakorzenił się niemiecki sztab, nie było tylu wygod, a co dopiero mówić o chłopskich chatach.

Na końcu listu znowu wróciła do Franza i rozczułała się, jaki on jest dla niej kochany, dobry i jak o nią dba. Ale ich miłość jest w niebezpieczeństwie. Bo, nie daj Boże stary bauer ich wysledzi, to będzie po nich. Franza za pysk weźmie i z domu wywali, a ją zakatrupi. Tak napisała. Niewiele mogła im też pomóc młodsza siostra Franza, Wirginia, która darzyła Katię sympatią. Ale bała się surowego ojca, nie mówiąc już o chłopcach z młodzieżowej organizacji Hitlerjugend, którzy donosili na gestapo o każdym nie-prawomyślnym zachowaniu. A takim nieprawomyślnym zachowaniem mogło być zajmowanie się Katią dużo młodszym Niemcem. Bowiem niemieckimi dziećmi, a Franza wciąż można było uznać za dziecko, tylko Niemki

mogły się zajmować. Nie wolno tego było czynić kobietom innej nacji. Bo nie miały prawa do wychowywania chłopca z rasy nadludzi. Dlatego ze swoją miłością muszą się kryć - pisała - i uważać na każdy krok, by ktoś ich nie wydał. Mimo to prosi, by się o nią nie martwić. Jest zdrowa i niczego nie potrzebuje. Obiecuje też, że wkrótce napisze. Pozdrowia wszystkich i całuje serdecznie.

Stefka się rozczuliła i popłakała. Była uradowana i szczęśliwa.

Potem opowiedziała o wszystkim Miti i Kasi, a Mitia po wysłuchaniu relacji, po męsku burknął:

- Dobrze, diwczata, beremosia do roboty.

Nie pokazał po sobie wzruszenia. Tylko zacisnął zęby i wyszedł, by zabezpieczyć przed mrozami kartofle. Zbliżała się zima, powiało chłodem i chciał, by siostra miała wszystko pod ręką.

Gdy wrócili z Kasią do domu, czekała już na nich Ksenia z butelką dobrego wina, jakby przeczuwając, że są w niezłym nastroju. Zrobiła też napój z czerwonej porzeczki i czarnej jagody. Bardzo się uradowali z tej wizyty. Mitia był wesół, dużo pił i dowcipkował. Uważał się za najważniejszego ojca na Pokuciu. Przed północą odprowadził Ksenię do domu.

353

KONFLIKTY

Następnego dnia Kasia odwiedziła przyjaciółkę, by się poradzić w pewnej delikatnej sprawie. Nie chciała o niej mówić matce ani mężowi, by ich nie martwić. Zwierzyła się Kseni, że po urodzeniu dzieci odczuwa bóle w pochwie, pojawiają upławy i krwawienie. Ksenia doradziła jej, by czyściła bolące miejsca wywarem z ziół, najlepiej z rumianku, lukrecji, łopianu albo olejem z ogórecznika lekarskiego. Recepturę znalazła w starym kalendarzu. Ale wywar nie pomógł.

Mitia zniknął z domu. Kasia wiedziała, że idzie do lasu, by pomagać Żydom. A gdy nocą wracał, był zmęczony i przygaszony. Po godzinie ożywał się i uśmiechał. Podrzucał syna do góry i wydawało się, że nic złego się nie dzieje.

Ze Lwowa, poprzez kuzyna Artura, nadeszła nieprawdopodobna wiadomość o żydowskim poecie, Jakubie Szudrichu, który organizował w tamtejszym getcie zbrojne podziemie, gromadził broń i szykował się z dużą grupą Żydów do ucieczki, by podjąć z okupantem walkę zbrojną. Poszukiwał zaufanych ludzi po stronie aryjskiej, którzy by bezpiecznie przeprowadzili jego oddział do lasu. I starannie selekcionował zgłaszanych ochotników. Musieli to być ludzie uczciwi, odpowiedzialni i z wyobraźnią. Ci, co się chcieli podjąć tego zadania, żądali za usługę wysokiego wynagrodzenia. A on nie miał tak dużych pieniędzy, więc szukał dalej. Natrafił w końcu na kilku pobożnych, jak mu się wydawało, chrześcijan, którzy byli gotowi wyprowadzić jego oddział z getta i przeszmyglować do gęstych krzemienieckich lasów, skąd by już jako partyzanci rozpoczęli walkę. Uzgodnił z przewodnikami, że otrzymają, jak się dowiedziała młynarzowa, ponad dwadzieścia tysięcy polskich złotych. Którejś nocy Żydzi

354

opuścili getto. Przewodnicy dokładnie obmyślili plan ucieczki i wyprowadzili ludzi Szudricha do lasu pod Brodami. Otrzymali wynagrodzenie i oddalili się.

Kiedy wydawało się już, że są bezpieczni i rozłożyli się w cieniu drzew, by odpocząć, nagle zostali otoczeni przez ukraińską policję i gestapo. Okazało się, że zostali zdradzeni. Karabiny maszynowe wystrzelały ich co do nogi. Tylko jeden był ranny, udało mu się odczołgać na bok i ukryć w jamie. I to on właśnie opowiedział o tym pogromie.

Ta wiadomość bardzo młynarzowa poruszyła i zatrwodziła. Wydawała się jej groźna, a zarazem nierealna i zmyślona. Nie chciała w nią uwierzyć. Nie chciała uwierzyć w to, że w ludziach może być aż tak wiele łajdactwa i podłości. Ale kuzyn przekonywał, że taką właśnie wiadomość otrzymał z wiarygodnych źródeł. Zdawało się jej, że z dawnych lat zna to

nazwisko - Szu-drich, Jakub Szudrich. Jakby jej coś przypominało. Czy to nie był jeden ze znajomych Bronka Rubinowicza, zastanawiała się teraz. W tylu różnych miejscach razem bywali. Tylu ludzi spotykali. Mógł więc być między nimi i ów Szudrich. Nawet przyszedł jej na myśl pewien wiersz, który recytował za dawnych lat jakiś młody poeta, a ona go zapamiętała, bo bardzo się jej podobał. I wiersz ten zaczynał się chyba od słów: Jak młoda sarenka po górach gdzieś skacze/ zbierając rozsypane barwy lata/gdy wysokie trawy zanoszą się płaczem/ a góry z gorzkich źródeł piją wodę...

Ale nie była teraz pewna, czy nie pomyliła tego wiersza z jakimś innym, i innego autora. Dawną scenę widziała jak przez mgłę. Bała się równocześnie, by w tym rozgromionym oddziale nie znajdował się Rubinowicz. I by nie zginął na miejscu, jak inni. Bo cokolwiek się działo z Żydami lwowskimi, wszędzie widziała Rubinowicza. I wszędzie czaił się strach. Bała się też o Mitę. Tymczasem dla Miti najważniejszy stawał się syn. Mniej uwagi poświęcał już Zuzi. Im bardziej dzieci rosły, tym ważniejszy stawał się Borys. Nawet Kasia miała o to do niego pretensję, a on uśmiechał się i żartował, że podzielił się rolami. On zajmie się synem. A ona córką. I robił swoje. Podnosił Borysa do góry i przyglądał mu się z uwagą. Widział w jego

355

twarzy swoje własne rysy. To samo ciemne, ostre spojrzenie. Te same czarne, krucze włosy. Tylko cera nieco jaśniejsza, po matce. Córka była jasna i miała bławatkowe oczy.

Odziedziczyła je po babci Kasi.

Gdy Mitya ginął na kilka dni, Kasia odchodziła od zmysłów. Wyrzucała matce, że przez nią zdarzy się jeszcze jakieś nieszczęście. Bo gdyby nie ona, Mitya nie ganiałby do lasu karmić Żydów. Przez pewien czas nawet się nie odzywały do siebie. Ale Kasia nie wytrzymała takiej atmosfery. Rzuciła się matce w ramiona i przeproszała. Obiecała, że nie będzie już pleść głupstw. Po czym znowu wpadała w popłoch, że Mitya nie wróci. Wypatrywała go przez okno. Wychodziła na drogę. A gdy wracał, od razu rwał się do syna. Przynosił mu zabawki, koniki, gwizdki, baloniki. Nawet na tym tle doszło do poważnej kłótni z Kasią. Zarzuciła mu, że faworyzuje Borysa. A on dopiekał jej, że nie potrafi zadbać o Zuzię. Obraziła się i na noc nie wpuściła go do łóżka. Spał na podłodze. A gdy się pogodzili i znowu wszedł do sypialni, okazało się, że boli ją brzuch i czuje się źle. Nigdy mu wcześniej o tym nie mówiła. Ale teraz mu się z tego zwierzyła. On jednak uznał, że to wykret. Bardzo się zdenerwował, trzasnął drzwiami i wyszedł z domu.

Młynarzowa usłyszała trzask. Wbiegła do sypialni i zobaczyła jak Kasia szlocha. Leżała na łóżku, z głową wbitą w poduszkę i łkała. Gdy się uspokoiła, wyjaśniła matce, że odczuwa przykre bóle w pochwie. Postanowiły, że jeśli bóle nie ustąpią, zawiezie ją do Kołomyi. Mitya się boczył, choć młynarzowa potwierdziła, że Kasia cierpi. Spał w drugim pokoju i zaciskał szczęki.

Lekarstwa z apteki i nowe wywary miały się okazać skuteczne dopiero za miesiąc. Mitya chodził zachmurzony i zły, ponuro patrzył przed siebie i kłął. Nie mógł zbliżyć się do swojej kobiety. Od dłuższego czasu nie spędził z nią ani jednej nocy. Zaczął podejrzewać Kasię, że uprawia jakąś grę i bez powodu go odpycha. A ona pochylała się nad dziećmi, ukrywając spływające łzy. Nie pomogły wyjaśnienia teściowej, że istnieje coś takiego, jak szok poporodowy, który trwa nawet i pół roku. I kobiety przeżywają ostry kryzys, który trzeba zrozumieć. Do tego dochodzą kom-

356

plikacje macicy. Prosiła Mitę, by wykazał trochę cierpliwości. Do niego to jednak nie docierało.

Przyszła zima, minęło Boże Narodzenie, mrozy chwyciły w kleszcze całą wieś, a Mitya wciąż chodził nadąsany. Nie opuszczał tylko Borysa, wpatrując się w niego jak w gwiazdkę. Którejś nocy bez słowa zniknął. Tym razem na dłużej.

Do młynarzowej wpadł kuzyn z Kołomyi i powiadomił ją, że powstała tajna organizacja, Rada Pomocy Żydom, „Żegota” i być może niedługo emisariusze tej organizacji pojawią się na ziemi kołomyjskiej i trzeba będzie im pomóc. - Naturalnie - odparła młynarzowa, możesz na mnie liczyć. - Razem będzie nam raźniej i łatwiej - powiedział, pytając, jak wielu zna Żydów, którzy się ukrywają. Odpowiedziała, że pomaga Żydom w lesie i wielu z nich Mitia już przerzucił przez granicę. Kuzyn dodał jeszcze, że Niemcy zajęły całą Francję, a jeśli chodzi o front wschodni, to Sowieci okrążyli pod Stalingradem kilkuset tysięczną armię szwabską i wygląda na to, że armia ta pójdzie do niewoli. A to może oznaczać, że niebawem w wojnie nastąpi przełom i Niemcy zaczną się cofać. Tym bardziej że w Afryce ponoszą klęski. - Skąd ty to wszystko wiesz? spytała. - Lepiej nie pytaj - odparł i dziwnie się uśmiechnął. I już nie pytała. Dowiedziała się jeszcze tylko, że w Drohobyczu został zastrzelony polski pisarz, Bruno Schulz. - Ten dziwak i oryginał? - upewniła się. - Tak, ten dziwak i oryginał - odparł kuzyn. Wiedział znacznie więcej, niż przypuszczała. Schulz miał już lewe papiery i dzięki zaufanym osobom miał właśnie uciec z getta z Drohobycza, gdy idąc do Ju-denratu, najwyższego zgromadzenia Żydów w Drohobyczu, po chleb i inne produkty żywnościowe, trafił w kocioł i gestapowcy go zastrzelili.

- To wielka szkoda, Anno - powiedział kuzyn. - Schulz zapowiadał się na wybitnego pisarza. A nawet już nim był.

Młynarzowa zasięgnęła języka, czy nie słyszał nic o Rubinowiczu. Naturalnie, znał jego nazwisko. Był na koncercie we Lwowie. Ale nie słyszał. A jak usłyszy, to da jej znać. Pożegnał się i zniknął.

Mitia wciąż nie wracał. Kasia patrzyła z trwogą na dzieci. I całą swoją miłość przelewała na nie.

357

Umierała ze strachu, że stracą ojca. Mimo że dąsał się i ma. rudził, był jej mężem i kochała go nad życie. Nawet żal i gorycz jakie odczuwała z powodu jego kaprysów, nie były w stanie ugasić jej wielkiego uczucia. Gdy go długo nie było, dostawała obłęd. Znowu zwała winę na matkę, ale zaraz ją przeproszała i tuliła się do niej.

Którejś nocy Mitia zjawił się wychudzony, z zapadniętymi policzkami i oznajmił, że uratował kilku Żydów. Odetchnęła z ulgą. Rzuciła mu się na szyję i szlochała:

- Mitia, najdroższy, tak mi ciebie brakowało.

358

RUSKIE

Mitia zachowywał się jednak dziwnie. Owszem, pierwsze kroki skierował, jak zawsze, do syna i tylko nim się zajmował, ale musiało go coś gryźć. W twarzy pojawił się tajony żal. Popatrywał na Kasię ukradkiem, jakby chciał jej coś ważnego powiedzieć, ale się wahał. Gdy widział, jak się pochylała nad kołyską, odsłaniając mocne uda i krągłe pośladki, zagryzał wargi, czując jak napływa mu do mózgu krew. Wyło w nim pożądanie i wzbierała męskość. Nie spał z nią kilka miesięcy. I teraz mocno odczuwał głód ciała. Zaciskał zęby, zamykał oczy i wył z pragnienia. Nie mógł już wytrzymać. Odwrócił się i zbiegł po schodach na dół. Usiadł przed domem na ławie, objął dłońmi głowę i o czymś gorączkowo rozmyślał. W takim położeniu zastała go Kasia. Podeszła do niego na palcach i spytała:

- Czy masz jakieś kłopoty, Mitia? Drgnął. Nie zauważył, kiedy się zbliżyła.

- Trapi cię coś? - pytała poważnie. Uniósł na nią ciężkie oczy i odrzekł:

- Tak, Kasiu, trapi mnie pewien kłopot.

- Kłopot? Jaki kłopot?

- Wejdźmy do domu - mruknął. Powoli, jakby się ociągając, wstał. Gdy usiedli w izbie, Kasia spytała:

- Chodzi o Żydów? Coraz trudniej ich ukrywać, prawda? - nie spuszczała z niego oczu. I chciała się wykrzyknąć, że ma już dość tej jego tułaczki i niech da już sobie spokój, ale

ugryzła się w język. Uśmiechnął się smutno i odparł, że chodzi zupełnie o coś innego. Ale nie wie, czy jej zawracać tym głowę.

- A więc nie o Żydów chodzi? - upewniła się.

- Nie, Kasiu, nie o Żydów mi chodzi - odparł. - Moi Żydzi są bezpieczni.

359

- To o co chodzi?

- Nie zrozumiesz - spojrział na nią z niepewnie.

- Jak to nie zrozumiem? - poczuła się dotknięta. - Jeśli ja cię nie zrozumiem, to kto cię zrozumie - zawołała.

Zobaczył, jak płonie gniewem. Postanowił ją uspokoić. Nie chciał kłótni.

- Chodzi o Ruskich, Kasiu - wyznał.

- Co? - podskoczyła. - O Ruskich? O jakich Ruskich? - patrzyła na niego zaskoczona. - Przecież Sowietci dawno uciekli.

Wziął ją na kolana i zaczął opowiadać, jak idąc lasem, zobaczył dwa przygarbione cienie. Przystanął i przyglądał się im jak oniemiały. To byli ludzie, mówił, a wyglądali jak mary. Obszarpani, brudni, w łachmanach, które kiedyś były mundurami. Szli przez las, potykając się, przystawali, opierali się jeden o drugiego i wyglądali na ociemniałych. Wyciągali przed siebie ramiona i szukali oparcia. A gdy natrafiali na drzewo, zatrzymywali się i sprawdzali je rękami. Byli wymizerowani i musieli być głodni. Z trudem oddychali. Pochylali się, rozgarniali śnieg i skubali resztki wystających z ziemi traw. Potem zdzierali z drzew korę i łąpczywie gryzli. Byli tak wyczerpani, że co chwilę padali.

-I co?

- Jak to co? Nie rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. Spotkałeś jakichś Ruskich i koniec -twardo powiedziała. - Ty poszedłeś swoją drogą, a oni swoją. Bez broni byli, prawda?

- Tak, bez broni - przyznał. - Ledwie się na nogach trzymali.

- Wielka mi sprawa - powiedziała chłodno. - Ruskich trzeba bić! Sowiecka swołocz! - zakłęta.

- Wiesz, Kasiu - zastanowił się - widziałem dwu ludzi na krawędzi śmierci. Podszedłem do nich, upewniłem się, czy mi nic nie grozi i spytałem, kim są. Nawet nie byli zaskoczeni. Było im wszystko jedno, kogo spotkają, człowieka, ducha czy diabła. Strasznie się drapali. Wszy ich zjadały i było to widać gołym okiem. Łaziły po karku, głowie i twarzy.

Wzdrygnęła się.

- Nie byli groźni - tłumaczył. - Niczego się nie bali. Szli przed

360

siebie, choć nie wiedzieli, dokąd idą. Uciekali od tej strasznej nędzy, chorób, wycieńczenia i śmierci. Jednemu groziła amputacja nogi. Dostał gangreny. Drugi był ranny w pierś, a rana krwawiła. Byli bezzębni. Szkorbut, czy jakaś inna zaraza zżarła im dziąsła. Nie mieli więcej niż po dwadzieścia kilka lat, a wyglądali na starców. I w takim stanie ich zastałem. Po raz drugi spytałem, kim są. Przysłuchiwali się, jakby nie dowierzając, że oprócz nich ktoś jeszcze kryje się w tym ciemnym lesie.

- Zabjosh nas? - spytał jeden. Milczałem, patrząc na zjawy.

- Zabjosh? - spytał drugi. A gdy odpowiedziałem, że nie zabiję, upewnił się:

- Znaczit, nie zabjosh?

- Niet, nie zabju! - odparłem.

I wtedy mi opowiedzieli, jękając się, charcząc, mlaszcząc i ciamkając, kim są i jak długo się ukrywają. Byli żołnierzami. Gdy Niemcy natarli na Pokucie, ich oddział rozsypał się w proch i pył. Niemal wszyscy zginęli. Las wypełnił się trupami, złomem i lejami po bombach. Obaj byli ranni. Dlatego tylko przeżyli, że pierwszy stracił przytomność i wyglądał jak trup. A drugi trupa udawał. Nawałnica szwabska pognęła na wschód, a oni zostali. I zaczęli się ukrywać po lasach. Rany leczyli mchem, ziołami, korą, czym się dało. Za wszelką cenę

pragnęli wrócić do domu. Chcieli stąd uciec, ale nie byli w stanie. Bali się Niemców. Przez pewien czas jeden nawet nie wiedział kim jest. Dostał pomieszania zmysłów. Z tej nędzy, wycieńczenia i strachu bredził. A drugi oddychać nie mógł, kula zahaczyła o płuca i pierś na kawałki poharatała. Jak oddychał, to płuca mu jak harmonia grały i świszczwały. Po miesiącach jakoś się wylizali i przetrwali zimę, wiosnę i lato, kryjąc się po bunkrach. I oto nadeszła nowa zima. Tym razem już się poddali. Szli w ciemno przed siebie. Było im wszystko jedno, czy wyżyją, czy ktoś ich zabije. Lepsza była śmierć niż taka wegetacja. Mieli dość tułaczki. Nie wiadomo, jakim cudem jeszcze żyli - Mitia westchnął - Wczoraj zastałem tylko jednego - kończył opowieść. - Jego towarzysz zmarł i leżał sztywny jak sople lodu. A ten ze świszczającymi płucami jakimś cudem przeżył. Krążył koło tamtego i nie wiadomo, co mamrotał. Nie poznał mnie. Ale ja go poznałem. Wydało mi się, że już go gdzieś... kiedyś...

361

- Co gdzieś... kiedyś? - podejrzliwie spytała. Machnął ręką i uznał sprawę za nieważną. Nie spuszczała z niego oczu.

- Co gdzieś, kiedyś? - nalegała.

Burknął, że miał rojenia. Majaczył, rozmawiał ze swoją dziewczyną, a w błysku świadomości wyrzucał:

- Wojna, eto blad'. Wojna, brat, eto blad' - charczał. - Blad', krów i smiert'.

Popadał w stan niepamięci. Zatracał się, gubił, mówił niby do mnie, a potem znowu bredził.

Bełkotał o jakiejś dziewczusce, którą kocha. Mamrotał i plótł, wrak człowieka, ruina ciała. Żal patrzeć...

- Moskal! - warknęła Kasia i zerwała się z kolan. - Mego ojca mu nie było żal! - zaciskała zęby, patrząc z gniewem na Mitię.

Gdy wypowiadała te słowa, właśnie nadeszła młynarzowa i spytała, o czym rozmawiają.

- Mitia Ruskich spotkał! - naskoczyła na matkę, jakby i ona była winna.

- Ruskich!? - wystraszyła się młynarzowa. - Teraz, Ruskich? Gdzie?

Mitia był zamyślony. Nagle się ocknął.

- W lesie - odparł.

- Może to partyzantka albo jakiś zwiad? - zaniepokoiła się.

- Nie, mam - powiedział głośno. - Nie partyzantka i nie zwiad. To biedni, chorzy i strasznie samotni ludzie...

- A twoja matka?! - kipiała złością Kasia - A mój ojciec?! A setki tysięcy wywleczonych z domów ludzi, w nocy, bez chleba i wody, umierających, pędzonych przez śnieg i mrozy na Syberię. Oderwanych od rodzin, upokorzonych i zgnojonych. Ich ci nie żal? Oni nie są biedni? Oni nie są chorzy? Nie umierają? O, nie, Mitia. Miliony Polaków, Żydów, Ukraińców kona teraz na Syberii, a ty się litujesz nad jakimś gnojem, który nas napadł, mordował naszych ojców i braci. A może już zakatrupili twoją matkę!? I mego ojca!? - była rozgorączkowana, wściekła. Nie mogła mu darować tej chwili litości.

Mitia zwiesił głowę i burknął:

362

- Nasi rodzice nie przez tych dwóch poszli na Sybir, Kasiu. Tych też zmusili do wojny, do posłuszeństwa i zabijania.

- Dobrze, dobrze! - przerwała kąśliwie. - Nie mogę tego słuchać! Nie można usprawiedliwiać zła, zbrodni! - odskoczyła w bok. - Bo jak raz usprawiedliwisz zło, to pozwolisz, by już zamsze się pieniło.

- Ale można im współczuć - powiedział cicho. Młynarzowa objęła Kasię ramieniem i patrząc z uwagą na

Mitię, spytała:

- I co zamierzasz?

- Trzeba mu pomóc.

- Po moim trupie! - Kasia zerwała się z miejsca. Jak oparzona. - Niech zdycha! Niech wie, co to znaczy cierpieć i żyć jak szczur. Niech pozna smak głodu, nędzy i samotności. Krwawy potwór! - mściwie syczała.

Młynarzowa z troską obserwowała córkę. Pierwszy raz ją widziała w takim wzburzeniu.

- Nie patrz tak na mnie! - skoczyła na nią Kasia. - Może się do niego przyłączysz?! - ze zjadliwą ironią spytała. - Może razem będziecie ratować te dzikie bestie, co mi ojca zabrały!? - z goryczą sztydziła. I jakby dawny ból otworzył w jej sercu nową ranę i teraz na powrót zalewał jej umysł, myśli i uczucia. Gniewnie wyrzuciła matce:

- Czyżbyś zapomniała już o ojcu?!

Miotły ją ciężkie wspomnienia i wściekłość.

Miała już dość tych ciągłych wypraw Miti. Drżała, gdy go nie było. Popadała w rozpacz. A teraz doszli do tego jeszcze ci straszni Sowietci! Znowu przed jej oczami pojawił się ten obrzydliwy potwór, który chciał ją zgwałcić. Zobaczyła nad sobą jego dzikie, zżerane pożądaniem oczy i sterczącego, nabrzmiatego członka. Poczula tamten strach, odrazę i obrzydzenie.

Mitia podszedł do niej, chciał ją przytulić. Gwałtownie się odsunęła i warknęła:

- Podły pies! Wynoś się!

- Kasiu - jęknęła matka - co ty pleciesz?

363

ROZPACZ I GNIEW

Tego już nie wytrzymał. Puścił ją i z wściekłą twarzą trzasnął drzwiami. Zamknął się w sypialni, sięgnął po butelkę wódki i w bolesnym transie zaczął pić. I nie czekając, aż wódka spłynie do żołądka, znowu wlał pół flaszki do gardła, aż zagulgotało.

- Swołocz! - rzucił.

Wzdrygnął się i stanął w oknie, wycierając rękawem usta. Patrzył w niebo. Nadchodziła noc i niebo usiane było miliardami świecących gwiazd. Także księżyc oświetlał wyraźnie ziemię. Jak okiem sięgnąć śnieg lśnił i iskrzył się. Nie ukoilo go to jednak. Był napięty, posępny i zły. Mrużył oczy i chodził wokół stołu, jakby za chwilę miał kogoś zamordować. Chwycił flaszkę i wlał do gardła resztę. Zacisnął pięść, rąbnął w parapet okna, aż jęknęła deska.

Na dole Kasia siedziała przy stole, z głową ujętą w dłonie i szlochała. Nagle rozległ się harmider. Mitia na oślep zbiegał po schodach. Potknął się i runął na ziemię. Jeszcze bardziej wściekły, rzucił się ku wyjściu. A młynarzowa chwyciła się za serce.

Dostrzegła jego przekrwione, straszne oczy. Pomyślała, że i w niej tkwi cząstka winy za to, co się stało. Gdyby tak nie należała, by ratował Żydów, może nie doszłoby i do tego dramatu.

Siedziałyby teraz w domu, bawiłyby dzieci i nie spotkałyby tych przeklętych Moskali. Już i ją ogarniała szewska pasja na Sowietów. Ale opanowała się. Podeszła do Kasi i głaskała ją po głowie. Kasia łkała, a potem skomlała jak dziecko. Aż znużona, podniosła zapłakane oczy i patrzyła w milczeniu na matkę.

364

ZDRADA MITI

Mitia szedł przed siebie, oszalały i nieprzytomny. Płatały mu się nogi, chwiały się, zahaczał o wystające kamienie i chwycił się płotów. Czuł się zdeptany, poniżony i odepchnięty. Nawet zapomniał o siarczystym mrozie, który ścinał mu oddech. Parł do przodu, jakby go ślepy los prowadził. Wieś układała się do snu. Światła powoli gasły. Mignęło mu samotne, świecące okno. Bezwiednie skręcił w stronę jasnej plamy na śniegu.

Kasia narzuciła na siebie kożuszek i wybiegła, zostawiając matkę z dziećmi. Proszą drogą zmierzała do chaty Kseni. Nogi same ją tam ciągnęły. Chciała, by Ksenia pomogła go znaleźć. Nawet w ciemności by do niej trafiła. A cóż dopiero teraz, gdy świecił księżyc, a droga lśniła w jego blasku. Po chwili już była przed domem. Pchnęła drzwi, które nie były zamknięte. I nogi się pod nią ugięły.

Na podłodze leżeli Mitia i jej najwierniejsza przyjaciółka, Ksenia, spleceni nagimi ciałami, a w piecu huczał ogień. Było ciepło, a płomienie rozświetlały izbę.

- Boże! - jęknęła. - Chryste Panie! - jakby upiora zobaczyła. Tamci nawet nie spostrzegli, że Kasia nad nimi stoi. Mitia po-charkiwał jak knur, a Ksenia kwiczała jak maciora i wiła się w rozkoszy. Dopiero, gdy Kasia kopnęła Mitię w kark i wrzasnęła: - Mitia! - na moment zastygł, po chwili odwrócił przekrwione białka i patrzył na nią nieprzytomnie, otępiętymi oczami, mamrocząc:

- A ty czoho?

365

Ksenia poderwała się, przerażona, nie rozumiejąca jeszcze, co się stało. Skuliła się, zakrywając dłońmi łono. Miała otwarte usta, jakby ostatni okrzyk rozkoszy jeszcze się przez nie nie wydobył. Wpatrywała się w Kasię, jakby nie wierząc, że to naprawdę ona, a nie widmo. A Kasia przeszywała ją pełnym pogardy wzrokiem. Ksenia zdołała tylko wyciągnąć ku przyjaciółce rękę, jakby pragnąc ją zatrzymać i wytłumaczyć, co się stało, ale było za późno. Kasia odwróciła się i wybiegła. Czuła, że załamał się pod nią świat. Nie usłyszała nawet zachryplego głosu pijanego Miti, który wybałuszał na nią świecące gały i po pijanemu warczał:

- Kudy jdziesz, durna?

I usiłował wstać, machając ramionami. Ale zachwiał się i runął na Ksenię, która siedziała z podkurczonymi nogami.

- Poczekaj na mene! - na oślep wyciągał ręce i próbował się dźwignąć. Rąbnął głową o stół, aż tąpnęło. Mimo to powoli unosił się i musiało mu coś zaświtać w głowie, bo ukląkł na jedno kolano i ciężko się rozglądając, ponuro mamrocząc, spytał:

- De ja? Szczo ja tut robliju?

Nie wytrzymał jednak długo na stojąco i runął na podłogę, waląc głową w twarde deski.

Ale Kasia już tego nie słyszała.

No, to koniec, pomyślała i poczuła jak coś w niej łka.

Słyszała w sobie skowyt zbitego, zakatowanego na śmierć zwierzątka. Życie w niej pękło.

Życie, miłość i świat. Wszystko straciło sens. Nic do niczego nie pasowało. Wszystko było wredne, chore i brudne. Odplynęła wielka miłość, zauroczenie i dawna, błoga cisza, w której rozpoznawała jego kroki. Tak strasznie go kochała. A teraz stanęła na krawędzi rozpacz.

Musi sobie odebrać życie. Tak, musi sobie odebrać życie. Tylko jedno jej zostało. Pozbawił ją honoru. Zdradził, oszukał. Podetnie sobie żyły. Musi z sobą skończyć. Bo życie nie może być załgane i pełne błota. Musi się na czymś trwałym opierać. Musi mieć mocne funda-

366

roenty. A ona straciła grunt pod nogami. Matka ją zawiodła. Mąż zdradził. A najlepsza przyjaciółka oszukała. Nikomu już nie ufa. Nikomu nie wierzy. Zobaczyła upiorną twarz zdrady. I usłyszała szyderczy chichot życia. Ona już nie ma życia. Życie już nie ma sensu. Miłość nie ma sensu. Nic nie ma sensu. Szła z opuszczoną głową, przygnieciona ciężkim głazem obłudy. Dźwiganie tego było ponad jej siły. Wciągał ją jakiś ciemny wir śmierci. Zapomniała nawet o dzieciach. Zabije siebie. Nie ma wyjścia. Nie zniesie poniżenia i hańby. I dzieci zabije. Niech odejdą razem z nią. By nigdy nie cierpiały tak jak ona. Najpierw zabije dzieci, a potem siebie. Unieważniał się w niej świat. Szła otępią i obolała. Powoli opuszczały ją wściekłość, udreka i żal. Jednego teraz tylko chciała na pewno - śmierci. Szybkiej, bezbolesnej śmierci. Świat pokrywał się mgłą i ona właśnie w tej mgle i w ciszy dokądś szła, dokądś podążała. Nie czuła mrozu, który zamieniał jej oddech w krople lodu. Pomyślała, że najlepiej byłoby umrzeć od razu, tutaj, w głębi tej gęstej bieli, pośród nieskończonych, lśniących śniegów. Uniosła do góry głowę i zobaczyła, że przed nią nie ma żadnego domu, żadnej zagrody, tylko pustka i cisza.

367

UMIERANIE

Nie zauważyła, kiedy wyszła poza wieś. Daleko widniała ściana czarnego boru. Ale kiedy patrzyła na ten bór, nic nie czuła. Kiedyś wzruszała ją grudka śniegu, gałązka jarzębiny, gwiazdka na niebie, a teraz nic. Jakby w środku była wypalona i martwa. Już nawet płaczu duszy nie czuła. Choć jeszcze przed chwilą zdawało się jej, że wszystko w niej skowyczy i jęczy. Chyba wypłakałam dzisiaj wszystkie łzy, pomyślała. Przypomniała sobie jak przez mgłę stół i siebie łkającą. Ale i tego już nie czuła. Wszystko uciekło, ukryło się, znikło. I nic nie było ważne. Boże, pomyślała, jak mądrze stworzyłeś człowieka, gdy chce umrzeć. Odbierasz mu moc odczuwania życia. Odbierasz wszelki sens i wartość. Człowiek, który chce się zabić, przestaje istnieć już wcześniej. Tylko ciało jeszcze żyje. Dusza już jest martwa. Chciała zapomnieć o sobie, świecie, o wszystkim.

Tyłu już ludzi odeszło, więc i ona odejdzie. Łagodnie, bez bólu i w ciszy. Poszukała wzrokiem jakiegoś drzewa. Usiadła, oparła się o pień, odrzuciła kożuszek i zamknęła oczy. Przez chwilę ostre zimno targnęło jej ciałem. Skurczyła się i pomyślała, że Bóg jeszcze daje jakieś znaki. Ale i o tym po chwili zapomniała. Poczowała się błogo. Napływał spokój, ukojenie i robiło się coraz cieplej, przyjemnie i odpływała ku mlecznym, białym krajobrazom. Jeszcze zdołała pomyśleć, Boże, jaki jesteś łaskawy dla mnie, pozwalasz mi odejść bez bólu i cierpienia. Dzięki Ci panie za to. Czuła, że odpływa na zawsze. I kiedy traciła już pamięć i krew w niej zastygała, jakiś daleki głos zawołał:

- Dzieci! Kasiu, dzieci!

Chciała się jeszcze otrząsnąć, wyrwać na moment z tego letargu, bo ten głos ją zabolął. Wbił się w jej jeszcze żywe serce ostrą

368

drzazgą, ale już było za późno. Opadała pośród białych mgieł, lekka, szczęśliwa i cicha. I wydało się jej, że z nich ktoś ją woła:

- Kasiu, Kasiu!

Potem zapadła w głęboki sen.

Matka pochylała się nad nią, dotykała i krzyczała:

- Kasiu, córeczko moja! Nie umieraj. Kasiu, błagam! Zaczęła ją targać, dotykać zimnej, lodowatej twarzy i rozpaczliwie wołać:

- Ludzie, ratujcie! Dziecko mi umiera! Ludzie!

Klepała ją po twarzy, biła po policzkach, pragnęła ocucić. Wokół panowała śmiertelna cisza. Wieś spała.

- Kasiu! - próbowała ją podnieść, czując, że ciało jest już sztywne.

I wtedy usłyszała za sobą skrzypienie śniegu. Odwróciła głowę i zobaczyła głupiego Lolka.

- Bóg cię zsyła! - krzyknęła. A Lolek wracał właśnie ze swojej nocnej rozmowy z księżycem.

Na plecach miał skórę barana, a na głowie nasuniętą głęboko na uszy czapkę. Gdy zobaczył Kasię, jęknął: - Królowa!

- Bierzmy ją, Lolek. Umiera! - młynarzowa zawołała łamiącym się głosem. - Pomóż mi ją oderwać od pnia.

Lolka jakby coś oświeciło. Chwycił Kasię za ręce i pociągnął. Oderwał od pnia, zarzucił na ramię i co tchu gnał na przełaj do domu. Stawiał długie kroki. A za nim goniła młynarzowa, chwytając się za serce i mamrocząc:

- Dziecko moje! Kochane dziecko! Kasiu, Kasiu! Coś ty zrobiła?! Gdy przybiegli do domu, głupi Lolek ułożył sztywną Kasię na

ławie i spojrzał niepewnie na młynarzowa. Podała mu ogromny, blaszany baniak i kazała skoczyć na dwór i zebrać dużo śniegu. Posłusznie wybiegł i błyskawicznie wrócił, a ona już rozpięła Kasi bluzkę i głupi Lolek zobaczył ją nagą, z wystającymi na sztorc pierściami.

Młynarzowa szybko oblepiła sztywne ciało śniegiem, mocno je nacierając. Najpierw okolice

serca, a potem twarz, policzki, szyję i znowu piersi. Tarła bez ustanku, spiesząc się coraz bardziej. A głupi Lolek mamrotał:

- Królowo, królowo!

369

Odwróciła się do niego i krzyknęła:

- Nacieraj stopy i łydki! Szybko! A do Kasi wołała z rozpaczą:

- Nie odchódź, córeczko! Nie odchódź.

Czuła pod palcami jej lodowate i sztywne ciało. Nacieriała skronie i czoło. A gdy zauważyła, że śnieg się kończy, dała znak Lolkowi, by znowu przyniósł. Wrócił i nacierał stopy i łydki, aż się spocił. Zrzucił skórę i czapkę, i mocno wcierał śnieg w łydki, mamrocząc cichutko:

- Królowo moja, królowo, dlaczego?

Młynarzowa masowała jej piersi i ramiona. Przykładała ucho do serca i nasłuchiwała. I z jeszcze większą energią masowała, aż Kasia drgnęła.

- Kasiu! Kasiu! - krzyknęła młynarzowa. - Córeczko, żyjesz! Szybko okryła ją kożuszkim i widziała, jak Kasia otwiera

oczy. Odetchnęła.

Głupi Lolek narzucił na siebie skórę barana i czapkę, bezszelestnie wysunął się z izby, mamrocząc:

- Dlaczego, królowo, dlaczego?

Na dworze spojrzął na księżyc, opuścił głowę i powędrował do swojej pustej chaty.

Kiedy młynarzowa uniosła oczy i poszukiwała go wzrokiem, by mu podziękować, już go nie było. Poruszyła niemo wargami i patrzyła, jak Kasia coraz szerzej otwiera oczy i błada jak śmierć, patrzy na nią z daleka, z jakiegoś ciemnego, głębokiego dołu, a ona cicho woła:

- Najdroższa! Jedyna! Kasiu! Córeczko!

Wolno podniosła jej głowę do góry. A Kasia rozglądnęła się, jakby kogoś szukała.

370

GORĄCZKA

Długo dochodziła do siebie. Biła od niej gorączka, miała palący oddech i świecące oczy. W malignie majaczyła. Wzywała Zuzię i Borysa, obejmowała w imaginacji i całowała, krzycząc, by nikt ich nigdy nie w życiu poniżał. Unosiła gwałtownie ramiona i wołała:

- Kseniu, przyjaciółko...

Potem poszukiwała Miti, wołając, by nigdzie nie jechał. Błagała go na Boga, by został, bo ona zwariuje. Wstępował w nią. duch obłędu i destrukcji. Nikogo nie poznawała. Rozgarniała rękami powietrze, jakby pragnąc odsunąć ciężką, żelazną zasłonę/ za którą kwitło inne życie. Widząc nad sobą matkę, wołała do niej: ~ Zjawo, co tu robisz? - A matka płakała, widząc, jak Kasię opętały demony. Nie pomagały zioła, wywary, korzonki, bańki ani nacieranie ciała spirytusem. Nie uratowała święcona woda ani tabletki z apteki, które przepisał specjalnie sprowadzony lekarz. Wiedźma Walentyna oznajmiła, że trzeba jej podać gorące mleko z czosnkiem i masłem, nakarmić topionym sadłem z psa i choroba odejdzie jak ujął. I burknęła, że niczego w życiu nie należy przyspieszać.

- Bo w życiu jest czas na śmiech i na płacz, na światło ina ciemność - mruzczała. A nie widząc w pobliżu Miti, warknęła: ~ De t0J czort?! Szczowinjjj zrobyw?!

Wyszła z domu, postukując kosturem, tajemnicza i straszna.

Mitia wrócił rano. Miał podbite oko i sińce na czole- Stanął przed młynarzowa z podkulonym ogonem i zwieszona gł^owa,-Spojrziała na niego z wyrzutem i syknęła:

- Przez ciebie już by nie żyła.

Skoczył na górę i stanął niepewnie nad rozgorączkowaną Kasią.

371

Nie wiedział, co ma jej powiedzieć i jak się zachować.

Chciał ją przeproszać, błagać, by wybaczyła, zwalając wszystko na ciężki dzień, jej agresję i wódkę, ale Kasia leżała chora i majaczyła. Stał oniemiały i patrzył, jak ciężko oddycha. Jej usta były suche i spękane.

Zszedł na dół i oznajmił młynarzowej, że pojedzie po siostrę, ona się zna na chorobach. Jest pielęgniarzką i będzie się nią opiekować. Pod wieczór już nad Kasią pochylała się Stefka.

Po kilku dniach gorączka ustąpiła, a Kasia otworzyła oczy i poznając siostrę Miti, blado się do niej uśmiechnęła.

372

MITIA U WÓJTA

Tymczasem Mitię wezwał do urzędu wójt. Mitię zdziwiło to nagłe zaproszenie. Od dawna nikt go nie zapraszał do gminy, a tu natychmiast każą mu przybyć. Narzucił kozuch, wsunął czapkę na uszy i wyszedł.

Wójt przywitał go jowialnie, wesoło, a nawet wylewnie. I od razu grubiańsko skomplementował, że jednym strzałem dwoje dzieci zrobił. I zaczął rozmawiać z nim o życiu, kłopotach codziennego bytowania, o planach na przyszłość, co Mitię zaskoczyło, bo nie po to się przychodzi do urzędu, by rozmawiać o dzieciach i sadzeniu kartofli. A wójt pytał, jak się Borys i Zuzia rozwijają. Znał ich imiona. Pytał czy są zdrowe i jak się siostra czuje. Był bardzo miły, klepał Mitię po plecach i chwalił jego zaradność, talenty i wielką siłę, jaką posiadał w rękach. Twierdził, że takiego zięcia życzyłby sobie. I że powinien być dumny, że posiada tak wielkie zdolności. Tajemniczo się uśmiechał pod wąsem i kiwał głową. Krążył wokół niego, aż w końcu wyznał, że tacy Ukraińcy jak on są na wagę złota. Bo niedługo Ukraina, jak powiedział, nasza Ukraina, będzie takich jak Mitia bardzo potrzebować.

- Ale ja nie Ukrainiec, ja Bojko - przerwał mu Mitia.

- Bojko też Ukrainiec - twardo rzekł wójt.

O co mu chodzi, myślał Mitia. O jakiej on Ukrainie mówi? -zastanawiał się.

Nic nie wiedział o żadnej Ukrainie. A jeśli coś wiedział, to tylko tyle, że sowiecka Ukraina była za Zbruczem. Ale teraz już i jej nie ma, bo całą ziemię zajęli Fryce. Ale on i tak nie chciałby tamtej Ukrainy. Bo wiedział, że tamta Ukraina była pełna strachu, głodu, nieszczęść i ludzkiego cierpienia. Słyszał to od bieżących. Włosy mu stawały dęba, gdy opowiadali, co przeżyli. To istne pie-

373

kło, myślał wtedy. Nie uciekaliby z takiej Ukrainy, gdyby im było dobrze. I słyszał, że człowiek bał się tam nawet własnego cienia. I nie należała ona, tamta Ukraina, sama do siebie, tylko do Sowietów. A tu, jak świat światem, zawsze była Polska. I on się tu czuł dobrze, na swoim, był u siebie. Bo to była od wieków i nadal jest jego ziemia i dom, nawet, gdy jest wojna, a teraz doszła jeszcze żona i dzieci. I ma wszystko, czego potrzebuje. A że jest trudno i nadeszły ciężkie czasy, to i one się kiedyś skończą. Bo przecież wojna nie trwa wiecznie. A jak się skończy, to będzie lepiej, tak jak przed wojną. Nastanie pokój, ludzie będą żyć w zgodzie, a on się dorobi, postawi nową wielką chałupę, dokupi kilkanaście morgów, ze dwa młode konie, maszyny do obróbki pola, wróci z Sybiru matka i z Rzeszy Katia, i będzie żył jak pan.

Ocknął się, słysząc głos wójta.

A wójt go zaskakiwał. Ukraina, mówił, stanie się „samostij-na”, a Ukraińcy, tacy, jak ty Mitia, mówił, sprytni, utalentowani i dobrzy fachowcy będą na wagę złota. Mitia chciał przerwać i powtórzyć, że nie jest żadnym Ukraińcem, a Bojkiem, ale wójt położył palec na ustach i kazał mu milczeć. Samostijna Ukraina, mówił, będzie jego, Miti, bardzo potrzebować. A on, hołowa, osobiście na niego liczy i pragnie, by swoich talentów w słusznej sprawie używał. Obiecał też, że za swoją robotę, naturalnie, na rzecz samostijnej Ukrainy, zostanie obficie i suto wynagrodzony. Bo, jak oznajmił z zagadkową twarzą, patrząc na Mitię

zimnym wzrokiem, dla Ukrainy nadchodzą szczęśliwe lata. I my, podkreślił to „my” i tajemniczo zerknął w przestrzeń, ciebie, Mitię Kor-paka, będziemy bardzo potrzebowali i we właściwym czasie damy ci ważne zadanie do wykonania. I tak zawrócił Miti w głowie, że Mitia nie wiedział, na jakim świecie żyje. Szumiało mu pod czaszką. Czuł jakiejś dziwne prądy w ciele. W oczach mu się mąciło, sam nie wiedział z czego, choć był zdrow jak rydz. A wójt klepnął go po plecach i dodał, że pora najwyższa, by młodzi Ukraińcy, tacy jak on, zrozumieli, że ich miejsce jest po stronie „samostijnej Ukrainy”, bo to ich matka, a matkę się kocha. I nie pozwalając na żaden sprzeciw, na koniec spytał:

- A szczo tam u twojej żinki?

374

A gdy Mitia odparł: - Dobre, vse je dobre - hołowa uśmiechnął się, wyciągnął dłoń, mocno Mitię uściśnął i życzył mu radości z dzieci. Patrzył na Mitię długo, przenikliwie, jakby tym wzrokiem chciał mu dać do zrozumienia, że ma mu znacznie więcej do powiedzenia, niż do tej pory powiedział, ale na wszystko przyjdzie czas. Na pożegnanie oznajmił, że o tej rozmowie nikt nie może wiedzieć. Bo tylko wybrani są wtajemniczeni. Anie daj Boże... - uniósł ostrzegawczo palec do góry i otworzył drzwi.

375

POWRÓT DO DOMU

Mitia wracał pełen niejasnych myśli. Kłębiło mu się w głowie od słów, które usłyszał. Dręczyły go natrętne podejrzenia, że wójt go w jakiejś ważnej sprawie badał, ale on nie rozumiał, w jakiej. Szczególnie te, które dotyczyły „samostijnej Ukrainy”. Lecz nie potrafił wyraźniej ich zlokalizować. Ani nie rozumiał, czego naprawdę dotyczą. Były mgliste i dalekie.

Nigdy nie zrodziła się w nim żadna myśl o „samostijnej Ukrainie”. A hołowa tak właśnie o niej mówił. Jakby już była, jakby znajdowała się na wyciągnięcie ręki. On był Bojkiem. A tu była Polska. Jak jego i całej rodziny pamięć sięga, od dziada pradziada zawsze tu była Polska. A on i jego rodzina zawsze byli Bojkami. A nie Ukraińcami. A tu nagle „samostijna Ukraina” Co on ma wspólnego z „samostijna Ukrainą?”

Szedł do domu, jakby uderzony obuchem. Czuł zawroty głowy i szum w uszach. Musiał się uporać z wieloma pytaniami i przetrwać odbytą rozmowę na nowo.

Nie zdradził Kasi ani Stefce, o czym rozmawiał z wójtem.

Kasia przyjęła go w milczeniu, blada, z sinymi workami pod oczami. Nie krzyczała na niego. Nie wyrzucała mu, że ją zdradził. Była cicha i smutna. Patrzyła na niego bez gniewu, zamyślona i daleka. Takie zachowanie jeszcze bardziej wzmogło w nim poczucie winy. A kiedy dowiedział się, że ledwie ją młynarzowa odratowała, bo była zamrznięta, doznał szoku.

- Jak to? - pytał. - Chciała się zabić?

- Tak, chciała się zabić.

Pomyślał, że zdrady Kasia mu już nie wybaczy. Wolałby, by rąbnęła go butem, chochlą, nawet kamieniem, a nie dobijała ciężkim, głębokim milczeniem. Nie odzywała się do niego na-

376

wet wtedy, gdy wstała z łóżka. Mijała go chłodno i obojętnie. Przy stole z nim nie rozmawiała. Aż matka ją upomniała, że taka atmosfera jest nie do zniesienia. Nie może tak traktować swego męża. Gniew gniewem, ale nadchodzi czas pojednania. W każdym małżeństwie ludzie się sprzeczą, popełniają błędy, tłumaczyła, nawet siebie zawodzą, a nieraz nienawidzą, ale by tygodniami milczeć, odsuwać się od siebie, jedno drugie upokarzać, tego nie wolno robić. Nie, Kasiu, tak nie można.

Mitia czuł się odrzucony i niepotrzebny. Zaczął pić, bez słowa zniknął, aż któregoś dnia wyszedł z domu i długo nie wracał. Młynarzowa podeszła do Kasi i z wyrzutem powiedziała.

- Kasiu, jestem twoją matką i zależy mi na tym, byś się pogodziła z mężem. Bo widzisz, co się z nim dzieje. Ucieka i Bóg jeden wie, co mu się w głowie roi. I co mu się może przytrafić. Chcesz stracić męża, którego tak kochałaś? I pewnie nadal kochasz. Bo przecież miłość nie znika nagle, w ciągu dnia. Miłość trwa latami, ukryta, nieraz uśpiona, a potem znowu się budzi, ożywa i na nowo rozkwita, nawet po dziesięcioleciach.

Okrażała Kasię, a Kasia milczała. Wtedy rzekła:

- A nie daj Bóg, w chwili kryzysu, powiesi się?! Chcesz tego? Albo się zapije na śmierć? Nigdy sobie tego nie wybaczysz.

Gapiała się w okno, jakby szukała Miti, ale gdy się pojawił, znowu się od niego odsunęła.

Matka nie wiedziała, że Mitia Kasię zdradził. Nawet się dziwiła, że w czasie choroby córki, jej przyjaciółka, Ksenia, ani razu jej nie odwiedziła. Mimo że wcześniej wiele razy w tygodniu do niej przybiegała. Do głowy jej nie przyszło, że tamtej nocy Ksenia spała z Mitią. A Kasia słowem o tym nie pisała. Aż spytała ją:

- Dlaczego, Kasiu, Ksenia nas nie odwiedza?

Kasia wzruszyła ramionami i poszła do swojej roboty. Chwilę potem młynarzowa znowu wspomniała o Kseni. A Kasia skoczyła na nią:

- Nie wspominaj o tej suce! Młynarzowa osłupiała.

- Kasiu... - odezwała się, ale Kasia wybiegła z izby. Młynarzowa zastanawiała się, co ją tak ubodło.

377

Wszystko złożyła na karb zdenerwowania i kryzysu, jaki Kasia przeżywa. Niestety, w małżeństwie działa się coraz gorzej. Im bardziej się Kasia odgradzała od Miti, tym bardziej on się zamykał. Pił i znikał, a potem zniecała wpadał poczerwiał i chudy, ze szramami na twarzy, z rozpaloną głową, jakby jakieś boje toczył. Już nie czekał na łaski Kasi, szedł prosto do Borysa, brał go na ręce, zamykał się w sypialni i przez długie godziny z nim rozmawiał... Kasia słyszała jego zachrypły głos.

Przystawała przy drzwiach, zamyślała się, lecz wciąż nie mogła się przełamać, by zrobić pierwszy krok.

378

ROZMOWA ZE STEFKĄ

W końcu kwietnia, gdy już było ciepło, znowu zjawiła się Stefka. Młynarzowa skorzystała z dobrej pogody i pojechała do Kołomyi. Kasia rzuciła się Stefce w objęcia, ale Stefka była poważna i smutna.

- Muszę z tobą pogadać - od progu powiedziała, aż Kasia się przełękła.

Od razu pomyślała o Miti. Nie widziała go kilka dni. Zadrżała na myśl, że coś mu się stało.

Boczyła się na niego, nie dopuszczała do siebie, ale nocami płakała z rozpacz, że go nie ma. Głęboko odczuwała własną samotność.

- No, mów! - ponagliła.

- Kasiu - zaczęła Stefka - nie wiem dokładnie, co między wami zaszło, ale Mitia niedługo zwariuje.

- Więc mieszka u ciebie?

Bała się, że odwiedza tą straszną Ksenię i śpi z nią. Ale uspokoiła się. Nawet nie przeraził ją fakt, że Mitia zwariuje. Najważniejsze, że żyje. I że nie śpi z Ksenią.

- Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię? - potrząsnęła nią Stefka. - To nie są żarty, Kasiu. Przecież wiesz, do czego on jest zdolny - pospiesznie mówiła. - To szalenie! Całymi dniami pije ze swoim družbą, Iwanem i z kumplami. Nocami ludziom spać nie dają. Śpiewają sprośne piosenki i klną jak szewcy. Już we wszystkich chatach plotkują, żeś go wyrzuciła z domu. A on jest ambitny, hardy i dumny. Ma twardy kark. Ale boli go dusza. Nie rób z niego szmaty, bo on może - zawahała się - on może ciebie... zabić.

Kasia pobladła.

- Nie żartuję. Jak się upije, to grozi, że zarżnie ciebie, dzieci

379

i twoją matkę, a dom puści z dymem. To rogata dusza. Kocham cię, Kasiu, jak siostrę i zależy mi, byś była szczęśliwa z moim bratem. Ale chcę, by i jemu nie stała się żadna krzywda - popatrzyła dłużej na Kasię i spytała: - A o co właściwie pokłóciliście się? Bo od niego tego siłą nie wydobędziesz.

Kasia wiedziała, że Stefka nie kłamie. Bo i po cóż miałyby kłamać? Czuła, że ten straszny zew krwi, który drzemie w Miti, może go pchnąć do samobójstwa albo morderstwa.

- Więc o co? - przypomniała Stefka, widząc zasepioną twarz Kasi.

- Ach - Kasia rozłożyła ręce i zaczęła opowiadać, jak doszło do kłótni, a kiedy wspomniała o sowieckim żołnierzu, Stefka krzyknęła:

- O niego się pokłóciliście? O Misze? - nie mogła uwierzyć. - O mojego Misze? - była zdumiona. - I ty byłaś wściekła, że chce mu pomóc? Ty, Kasia, moja przyjaciółka?

Kasia osłupiała. Nie rozumiała, o czym Stefka mówi. Przez chwilę zmagła się z koszmarami pamięci.

- No, mówże! - nalegała Stefka. - O Misze się pokłóciliście?

- O jakiego Misze? - zgłupiała Kasia.

- To nie wiesz? Nie wiesz, że wrócił mój Misza? I że Mitia go przywiózł z lasu. Nic ci nie mówił?

Kasia dopiero teraz zrozumiała.

Czyżby? - pomyślała - czyżby wtedy, gdy wspomniał, że ten nędzarz z lasu, który kogoś mu przypomina, był Misza? A ja głupia się wściekłam i naskoczyłam na niego. I strasznie go obraziłam. Boże! Jaka byłam durna. On to robił dla Stefki, a ja go mieszałam z błotem, naplułam na niego. Jak mogłam?! - przeraziła się. Chciała jak najszybciej go zobaczyć i objąć. Mitia, mój kochany, lkało w niej wszystko. Chciała wytłumaczyć sobie, jemu, całemu światu ten straszny wieczór, minutę po minucie, by już nigdy się nie powtórzył.

- O czym myślisz? - zagadnęła Stefka, widząc, jak czoło Kasi się marszczy, a ona próbuje w sobie coś rozszyfrować.

- Chcesz powiedzieć - zwróciła się do Stefki - że ten nędzarz w lesie, to był twój Misza? I że Mitia go przywiózł do domu. I że on teraz jest u ciebie?

380

- Tak, Kasiu, to chcę powiedzieć - i opowiedziała, w jaki sposób Mitia przywiózł Misze. Niby pojechał po drewno do lasu. Jak zwykle. A w rzeczywistości po to, by Misze przywieźć. Nabrał drewna, Misze wsadził między grube konary dębów, osłonił bukami, przykrył chrustem i jechał. Na drodze napotkał niemiecki patrol. Spytałi, skąd i dokąd jedzie. A gdy odparł, że wiezie drzewo, dokładnie obejrzeliby wóz. Miszy nie znaleźli. Spytałi, czy nie widział gdzieś „polska żydka”, na co on odparł, że wszyscy Żydzi już dawno gniją w ziemi. Tamci ryknęli śmiechem. Krzyknęli, gut, gut, ja wohl, ja wohl, haj hitla, haj hitla i pojechali. Mitia poczuł, jak pot mu spływa z pleców. Przed wsią zatrzymał go policjant i też sprawdził, czy nie wiezie czegoś niedozwolonego. Mitia krzyknął, że wódkę wiezie, ale po drodze połowę wypił, tamten się uśmiechnął, machnął ręką i puścił go.

- A jak przywodził Misze do domu - mówiła Stefka - to zbladłam. - To nie był Misza. Nie poznałam go. To był wrak człowieka, ruina, jakieś koszarne szczątki. To nie był mój Misza, wysoki, przystojny, a żółty trup, Kasiu, żółty trup. Bez zębów, oczu, płuc, głodny i pomarszczony. Tylko skóra i kości, wszy, robactwo i zaraza. Cud, że żył. Oto, co wojna robi z ludzi!

-I co?

- Umyłam go, dałam jakieś ubranie po Miti i zaczęłam leczyć.

- Poznał cię?

- Och, Kasiu! Padł przede mną na kolana i szlochał, mamrocząc, moja lubow, wielikaja moja lubow. Zaczął mnie po stopach całować, czołgał się przede mną i ryczał jak bóbr. Od razu mnie poznał. A zdawało się, że w jego głowie dawno się wszystko pomieszało.

- Już czuje się lepiej?

- O, tak. Nawet trochę przytył, wyleczyłam mu oczy, uszy, a nawet płuca i już tak nie świszczą, jak w lesie. Powoli dochodzi do siebie. Okazało się, że nie wszystkie zęby poszły, tylko kilka. Och, Kasiu, te jego oczy! Ten jego czuły, nieśmiały uśmiech! - nagle rozkleiła się. - Odzyskałam go, Kasiu, odzyskałam. Znowu jest mój! - zacisnęła dłonie, jakby go w dłoniach ukryła. Ale po chwili zwiesiła głowę i cicho spytała:

381

- A powiedział ci Mitia, że otrzymałam nowy list od Katii?

- Nie - odparła Kasia. - I co pisze?

- To nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

- Nie, Stefka, przecież z Mitią nie rozmawiamy...

- No tak, tak.... - Stefka posmutniała i pokrótce opowiedziała, że siostra przeżywa prawdziwą tragedię. Ta piękna i rozkwitała miłość, która łączyła ją z synem bauera, Franzem, poddam została wielkiej próbie.

382

PRZEŻYCIA KATII

Katia z Franzem kochali się w stogu siana. Złapał ich aktywista z Hitlerjugend i doniósł na gestapo.

Natychmiast ich złapali i w pobliskim miasteczku, Barwał-de, odbyła się swoista egzekucja. Katię uznano za dziewczynę, która deprawuje niemieckie dzieci. Na głównym placu zebrał się tłum gapiów. Przyprawiono Katię. Szła ze zwieszoną głową. Była wystraszona, a tłum szyderczo rechotał, wył, gwizdał i znęcał się nad nią. Wyzywał ją od najgorszego, od suk, świń i śmierdzieli. Chcieli ją poniżyć i upokorzyć. Wystawili ją jak małpę na widok publiczny. Wszystko zostało starannie zaplanowane i przeprowadzone ze szczególną niemiecką precyzją. Były to igrzyska dla tłumu. Tłum musiał mieć żer. Najlepiej w postaci niższej rasy. Jakiś gestapowiec zażądał przez mikrofon napiętnowania sprawczyni tego ohydny, jak powiedział, czynu, czyli demoralizowania niemieckiej młodzieży i narzucania wyższej rasie swoich niegodnych usług. Zażądał publicznego obciążenia Katii włosów. Nałożyli na nią szary pokutny worek, a lokalny fryzjerski na oczach tłuszczy począł ścinać jej włosy. Żeby zwykłymi nożycami? Ale gdzie tam! Fryzjerski wyjął duże żelazne nożyce do strzyżenia baranów. Dzika tłuszcza zawyła. Katia była biała jak kreda. Nie wiedziała, czy na tym się skończy. A może ją zabiją, będą torturować albo powieszają? Rozglądała się przestraszona za sznurem. Najbardziej bała się, że ją rozbiorą do naga i popędzą, jak zwierzę między masami gapiów.

Wokół niej krążyły z jadowitymi uśmiezkami umundurowane dzieci, Hitlerjugend, która strzegła tu ładu i porządku. A fryzjerski ironizował, obcinając piękne, długie włosy Katii i z odrazą pokazywał jej tłuszczy, a potem odrzucał na bok, jakby trędowatej dotykał.

383

Katia czuła się zdeptana, wepchnięta w kałużę brudnej wody i ochlapana błotem. Golibroda porobił jej na głowie ciemne pasy, jakby była młodym dzikiem.

Z tłumu leciały nie tylko przekleństwa i szydercze śmiechy, ale i pomidory, kasztany i zgniłe jajka, które się roztrzaskiwały na jej głowie. Ale jakby i tego było mało, jakiś lizus z faszystowskiej organizacji uniósł w górę grubą pętlę i zarzucił Katii na szyję. Mo-tłoch zachwiał się od chichotu, huczając i wyjąc. Ale i tego było mało. Drugi młodzieniec zawiesił jej karton na plecach z napisem:

POLNISCHES SCHWEIN

I kazali Katii iść między tym tłumem, by każdy mógł z bliska ją zobaczyć i wycharczeć to plugawe - Polnisches Schwein. Wydawało się jej, że ta droga nigdy się nie skończy. Podstawili wóz z obornikiem, posadzili na nim Katię, furman świsnął batem i jechali ulicami miasta. Gapie wystawiali z okien głowy i pokazywali Katię swoim synom i córkom, tłumacząc, czego nie wolno robić. Wyjaśniali, że jak kobieta z niższej rasy chce deprawować niemieckie dzieci, to tak się to kończy. Wśród złorzeczeń i chichotów dojechała do wielkiego, głębokiego stawu nieopodal szkoły. A za nią ruszył ponury tłum. Myślała, że już po niej. Że zaraz ją utopia.

- Mogli mnie powiesić, utopić, ale na szczęści nie zrobili tego. - pisała. Powiesili natomiast chłopaka z Zabłotowa, Jasia Cudlac-kiego. I opisała pokrótce dramatyczną historię znajomego, który tak samo jak ona został wywieziony na roboty w okolicę tego samego miasteczka, zwanego Barwalde i stał się ofiarą tragicznej miłości. Pracował tak samo jak ona u bauera, tyle, że u drugiego i zauważył, że siostrzenica gospodarza domu często na niego popatruje i wyraźnie daje mu do zrozumienia, że nie jest jej obcy. On też jej się przyglądał z zainteresowaniem, bo była dziewczyną piękną i atrakcyjną. Jednak bał się do niej zbliżyć. Wiedział, że nie wolno mu. Niemka była coraz bardziej nachalna, nalegała i kusiła, aż w końcu uległ i po kryjomu poczuli się spotykać. Zauważyła te tajne schadzki koleżanka Niemki, która jej nie lubiła i doniosła na gestapo. Natychmiast zjawili się esesmani i zabrali Jasia.

384

w centrum miasta urządzili podobne widowisko, obrażali go, lżyli, szydzili, opluwali i naigrywali się z niego, aż w końcu powiesili go, każąc patrzeć na jego śmierć okolicznym polskim robotnikom, by wiedzieli, czym się kończy romans z Niemką. - Mnie się udało, żyję - pisała Katia - nie powiesili. Natomiast mego chłopaka, Franza, mimo iż był niepełnoletni, wcielili do armii i wysłali na front wschodni.

Ją zabrali do nadmorskiego miasta zwanego Stettin, do fabryki maszyn i wyznaczili najtrudniejszą pracę fizyczną. Od tej pory dźwigała żelastwo i przesuwała ogromne metalowe konstrukcje z miejsca na miejsce. Radziła sobie z tym dobrze, była bowiem silna i zdrowa. Najmocniej dotknęło ją i zabolowało to ośmieszanie. Te szyderstwa i kpiny z jej miłości. Nie wolno jej było teraz opuszczać bez zgody przełożonych baraku. Siedziała w jakiejś norze, zrozpaczona i przybita. Pisała, że gotowa jest życie oddać dla swego Franza, ale nikt nie chce tego życia.

Kasia mocno przeżywała nieszczęście Katii. Jakby ją osobiście dotknęło. Stefka wzięła jej rękę, nachyliła się ku niej i powiedziała:

- Nie warto, Kasiu, trwonić życia na kłótnie i spory z ukochanym mężczyzną - spojrzała jej w oczy i z naciskiem podkreśliła: - Widzisz jak miłość może być lżona i poniżana. A przecież wy się kochacie, prawda? Wiem to, bo widzę, co się dzieje z moim bratem. Pogódźcie się, bez względu na żal, jaki do niego czujesz, bo jutro możesz go już nie zobaczyć.

Kasia położyła głowę na jej kolanach i długo płakała. A kiedy się wypłakała, powiedziała:

- Masz rację, Stefka, nasze kłótnie z Mitią są niczym wobec nieszczęścia Katii. Jeszcze dziś pogodzę się z Mitią.

Stefka ją uścisnęła.

- Jesteś mądrą dziewczyną, Kasiu - powiedziała. - Wiedziałam, że tak zrobisz. Mitia też tego potrzebuje. Bardzo potrzebuje.

A potem długo patrzyła na Kasię, aż Kasia z lękiem spytała:

- Coś jeszcze?

385

SALCIA

Stefka ją uspokoiła, że to jej nie dotyczy, choć też jest bardzo smutne. I opowiedziała o nowym nieszczęściu. Okazało się, że Salcia nie przekroczyła granicy. Już w domu zdradzała

objawy obłądu. A później, gdy ją Mitia oddał pod opiekę przewodnika, rzuciła się w szuwały i znikła. Przewodnik nie miał czasu za nią gonić, bo opiekował się młodymi Żydami, których powierzył mu Mitia i musiał ich szybko przerzucić do Rumunii, a stamtąd dalej. Przez chwilę Salci szukał, ale bez skutku. Całkowicie pomieszało się jej w głowie. Uciekła, potem się jednak odnalazła. Zimę przeżyła gdzieś w lesie, jedząc korzonki roślin, korę drzew i liście wygrzebane spod śniegu. Uratował ją nieznaną mężczyzna, który dał jej okrycie i od czasu do czasu dożywiał. Ale nikt nie wie, kim był, Polakiem, Ukraińcem, Łemkiem czy Bojkiem. W każdym razie przeżyła ostrą zimę. Niedawno wyszła z ukrycia i natrafiła na tego szpicla, Strusia, pojękując: - Ich hob mojre, ich hob mojre, marne, mamę. - A to zwierzę od razu się zorientowało, że to Żydówka. Wyglądała nieszczególnie, brudna, obdarta, owinięta łachmanami. I ten łajdak powalił ją na ziemię i brutalnie zgwałcił. A później zawlókł na policję, gdzie z miejsca ją rozstrzelali.

- I ty mówisz, że mnie to nie dotyczy? - ze smutkiem odezwała się Kasia. - To jedna z najlepszych moich przyjaciółek. Jak on mógł?! - objęła twarz dłońmi. Stefka milczała, a potem pożegnała się, wsiadła na konia i pognęła do domu, obiecując, że niebawem znowu przyjedzie. Przy pożegnaniu szepnęła:

- Pamiętaj Kasiu, miłość jest najważniejsza.

Kasia skinęła głową i opadła na poduszkę. W nocy krzyczała:

- Mitia, Mitia.

I szukała go na oślep.

386

POGODZENIE

Kiedy się obudziła, Mitia stał nad nią i wpatrywał się w jej twarz. Otworzyła usta, a on cicho szepnął:

- Pomru bez tebe. Zażurjusja na smerf.

Poczuła, jak wali jej serce. Uniosła ramiona, a on już ją obejmował i tulił. Całował jej szyję, kark, piersi i szeptał:

- Mojo kochanija, dusze moja, żyttia moje, smerf moja, krów moja, switło i czorna nicz moja, i vse, vse, vse moje.

A ona drżała. I poczuła, jak w nią wchodzi z potężną męską siłą.

-Ty wariacie! Ty, ty... -jęczała: - Szcze, mij kochanyj... Choczu szcze... duże tebe choczu, myłyj... szcze, szcze... zabyj mene, zabyj... choczu tebe kochaty... duże choczu.

I poddawała się rytmom jego ruchów, zanurzając palce w jego włosach, chwytając go za plecy, wbijając paznokcie w skórę i szarpiąc ciało. Aż poczuła, jak płynie ku niej fala rozkoszy i zalewa jej mózg, oczy, piersi, lędźwie, brzuch, a ona spychana coraz głębiej i głębiej czuje jak opada, coraz niżej i niżej, a jakaś łagodna łódź unosi już ją ku brzegom.

Potem leżeli na wznak i długo rozmawiali o tym, co się zdarzyło i o przyszłości, przepraszając się i wybacząc sobie błędy, grzechy i zło, jakie jedno drugiemu wyrządziło. Oboje uznali, że najważniejsze są teraz dzieci. I im powinni najwięcej poświęcić uwagi.

- Ale już do Kseni nigdy nie pójdziesz? - pogroziła mu palcem.

- Na Boha, że ne pidu - odparł poważnie.

Następnego dnia zrobił dzieciom cymbałki. Nie mógł się nimi nacieszyć, szczególnie Borysem. Nie opuszczał go ani na chwilę. Jak tylko miał czas, tylko nim się zajmował.

Kasia odwiedziła Stefkę i rozmawiała z Misza. Poznała go od razu. Zupełnie nieźle wyglądał, tylko trochę kaszlał. Serdecznie

387

się uściskali. Stefka podawała mu sadło z psa i czuł się coraz lepiej. Jego oczy na nowo rozbliły. A Stefka była nim zauroczona.

Pod wieczór Mitia porwał Kasię i wrócili do domu.

Ale przed odjazdem Stefka się poskarżyła, że ten donosiciel Struś znowu ją szpieguje, w okna zagląda. A ona się go boi, bo czort jeden wie, czy jakieś lichy go nie skusi, by wpaść do chaty i wytropić Misze.

Mitia ją uspokoił. Przypomniawszy, że ten łachudra już raz sztachetą oberwał i musiał się kilka tygodni kurować. Drugi raz tego głupstwa nie zrobi. Nie wlezie na drzewo, by ją podglądać. A jak trzeba będzie, to on pójdzie do kolegów z policji i oni się nim zajmą. I tak mają go już po uszy. Bo i na nich donosi.

Gdy wracali do domu, mijali ich głupi Lolek. Przystanął i z rozdziawioną gębą wpatrywał się w Kasię. A ona kiwnęła mu ręką i uśmiechnęła się do niego. Stał jak zahipnotyzowany.

- Znowu wędruje w góry, do starego zamku - powiedziała Kasia, gdy go minęli.

- Kiedyś jeszcze spadnie z tej skały - odparł Mitia i wspomniawszy, że niedawno roztrzaskał się nad przepaścią niemiecki samochód. Strzelił batem i koń ruszył stępa. Wkrótce byli we wsi.

A głupi Lolek wciąż stał, aż znikli za zakrętem.

388

GOŚCIE

W początkach lipca tuż po kolacji, gdy na dworze zapadł zmrok, a Kasia z Mitią i matką siedzieli przy stole i rozmawiali o wyjeździe do Kołomyi, by młynarzową mogła odwiedzić kuzyna i stare przyjaciółki, usłyszeli ciche drapanie, a potem lekkie stukanie w okno.

Kobiety popatrzyły po sobie z przestachem. Mitia zerwał się z krzesła i mrużąc oczy, wpatrywał się w ciemną szybę. Nic nie zobaczył. Okno znajdowało się wysoko nad ziemią i ktoś, kto drapał i pukał był niewidoczny. Jednak po chwili uniosła się do góry smukła dłoń i zobaczyli długie i cienkie palce.

- Boże! - jęknęła młynarzową.

Mitia podszedł do okna i zobaczył w świetle gwiazd dwie skurczone sylwetki, kobiety i mężczyzny.

- Kto to? - spytała Kasia. Mitia odwrócił się i powiedział:

- Jacyś obcy.

Młynarzową przykleiła twarz do szyby i zawołała:

- Szybko otwieraj, to Rubinowicz.

Mitia otworzył drzwi. Młynarzową niezbornie składając słowa, wołała:

- Wchodź... wchodźcie, proszę, szybko wchodźcie, co za niespodzianka... jakże miła...

Weszli, niepewnie się rozglądając. Byli zmizerowani, bladzi, z pożółkłymi twarzami.

Rubinowicz patrzył na młynarzową z zakłopotaniem, a kobieta, z którą przybył, niespokojnie zerkała po kątach. Młynarzową zaprezentowała gości: - To mój stary... znaczy... przyjaciel z lat studenckich... - jąkała się. - Broniek Rubinowicz i jego... - spojrzała niepewnie na niego, a on skinął

389

głową... - i jego żona... Ryfcia, nieprawdaż? - patrzyła w smutną, z wielkimi migdałowymi oczami, piękną twarz kobiety.

- Tak - odparła - mam na imię Ryfcia i jestem żoną Bronka - zaakcentowała i z uwagą obserwowała gospodarzy.

- A to moja córka i zięć - młynarzowa przedstawiła Kasię i Mitię. - Proszę, rozgośćcie się... siadajcie, co ja mówię... rozbierzcie się - pokrzykiwała, przejęta i rozdygotana. Rubinowicz zerkał na obrazy na ścianie, a Ryfcia spoglądała niespokojnie w okno, aż młynarzowa zauważyła strach w jej oczach i rzuciła do Miti:

- Zasłoń, proszę.

Mitia zasłonił, a Kasia szybko podsunęła im krzesła. Rubinowicz położył na podłodze niewielką walizkę i wciąż rozglądając się, odezwał się:

- A więc to tak mieszkasz, Anno? - kiwał głową. - Ładny, duży dom.

Ryfka popatrywała na gospodarzy spod ciemnych brwi. Miała rude włosy i liczne żółte plamy na policzkach i czole.

- Och, tak - skwapliwie odparła młynarzowa - to zasługa mojego męża.

Gość obejrzał się, jakby poszukując właściciela. Młynarzowa pokrótce opowiedziała, że Sowietci zabrali męża na Sybir. I od tej pory, poza jednym listem, wszelki słuch o nim zaginął. Podobnie nie ma wieści od syna, Mariusza, który poszedł do wojska. Rubinowicz westchnął i rzekł:

- Tak, tak. I was, jak widzę, nie ominęła ta straszna wojna. Przez jakiś czas panowała atmosfera niepewności. Wszyscy

czuli się jakoś niezręcznie. Ryfka rzucała na młynarzowa krótkie, ukradkowe spojrzenia i zamykała oczy, jakby pragnąc sobie coś ważnego przypomnieć. Ale kiedy młynarzowa opowiedziała o swoich wnuczkach, o ich muzycznych pasjach i o tym, że Mitia własnoręcznie wystrugał proste instrumenty, a dzieci uwielbiają granie, a potem ich zapewniła, że powinni się czuć tutaj bezpiecznie, bo najgorsze czasy minęły, rewizje i naloty policji już się skończyły i dobrze się stało, że zaufali jej i przyjechali, atmosfera w domu poprawiła się.

- A jak się tu dostaliście? Ktoś podwiózł? Bez kłopotów? - spytała.

390

Okazało się, że podwiózł ich zaufany człowiek, ale o szczegółach opowiedzą później, bo to długa historia. W każdym razie wszystko odbyło się zgodnie z najsurowszymi zasadami konspiracji. O ich przyjeździe wiedzą tylko ci, którzy powinni wiedzieć. Dalej nie dopytywała. Kamień spadł jej z serca. Rubinowicz żył. I to było najważniejsze. Obiecała, że się nimi zaopiekuje i zadba o ich wygodę. A patrząc na róg wystającej walizki, oznajmiła, że także jego osobistymi skarbami się zajmie, dając do zrozumienia, że wie, co w tej walizce Rubinowicz nosi. Z pewnością skrzypce i nuty. Muzyk blade się uśmiechnął, a Ryfka zażartowała, że raczej szybciej ją zgubi, niż pozwoli, by ktoś mu ją zabrał. Atmosfera się poprawiła. Mogli już swobodnie oddać się pogawędce, wspomnieniom i planom na przyszłość.

- Zawszenosisz przy sobie nuty? - spytała młynarzowa.

- Zawsze, Anno - uśmiechnął się Rubinowicz. I dodał, że nosi nawet wtedy, kiedy mu nic nie zagraża, bo, jak wyznał, artystę, który komponuje, w każdej chwili może owionąć swoją mocą Polihymnia lub Terpsychora i zażądać, by zapisał jakiś nowy motyw muzyczny. I już całkiem poważnie podał kilka przykładów, jak nieoczekiwanie i z nagłą może się pojawić zaskakujący wątek twórczy, ciekawy dźwięk, czy sygnał, który uruchomi cały łańcuch skojarzeń brzmieniowych i dlatego warto być przygotowanym na każdy znak. Nawet teraz, opowiadał, kiedy żyje w niewoli, często na długie tygodnie zamknięty w jakiejś klatce, odgradzony od świata, zawsze przytrafi mu się coś szczególnego, choćby cisza. A kiedy zauważył na twarzy Kasi zdziwienie, skwapliwie wyjaśnił, że cisza, to jeden z najważniejszych składników muzyki i w ogóle świata sztuki. A dla niego nie ma życia bez dźwięków, bo nawet cisza, jak powtórzył, gra, śpiewa, tańczy i coś mówi. Dlatego odróżnia różne rodzaje ciszy, jasną i ciemną, wysoką i niską, dramatyczną i banalną, słowem całą gamę cisz. - Ale co ja tam będę was zanudzał ciszą - zaśmiał się - kiedy możemy porozmawiać o ważniejszych sprawach.

Młynarzowa szybko przygotowała kolację. Ryfka spytała, czy nie sprawiają im wielkiego kłopotu, Anna się zachnęła i odparła, że przecież dawno ich zapraszała i wtedy zaczęli opowiadać, co się z nimi działo.

391

OPOWIEŚĆ RUBINOWICZA

Nie zdążył wyjechać na Zachód przed wojną sowiecko-niemiecką. Ciężko zachorował na zapalenie wątroby i musiał pójść do szpitala. A gdy doszedł do siebie, Niemcy wkroczyli do Lwowa i zaczęła się straszna rzeź. Zgładzili kwiat polskiej inteligencji. Aresztowali polskich

profesorów, artystów i pisarzy - zamyślał się, na chwilę zamilkł, a potem opowiadał, że ukraińska policja i Niemcy wyszukiwali Żydów nawet w domach parafialnych, gdzie się ukrywali i w klasztorach. I zabijali. W żeńskim klasztorze ukrywał się znakomity historyk, profesor Leon Halban. W lipcu 1941 roku został aresztowany rektor Politechniki Lwowskiej, poseł na sejm, były premier rządu polskiego, matematyk, prof. Kazimierz Bartel. Młynarzowa powiedziała, że o tym dramacie już słyszała, ale niech opowiada dalej. Niemcy zaproponowali profesorowi utworzenie polskiego rządu marionetkowego, na którego czele stanąłby, jako premier, jednak on odmówił i na rozkaz Himmlera został zastrzelony. Rubinowicz podniósł zmęczone oczy i dodał:

- Teraz tworzy się ruch podziemny, Anno, buduje się podziemne polskie państwo...
- A więc tak... - młynarzowa zamyśliła się. Dotknęła ręką rozgorączkowanego czoła.
- Źle się czujesz, Anno - spytał Rubinowicz.
- Och, nie, nie...

Przyglądał się jej z zastanowieniem.

Była pod wrażeniem tych wiadomości. Informacje, które uzyskiwała od kuzyna Artura, nie tylko potwierdzały się, ale i nabierały szerszego wymiaru i głębszego znaczenia. To już nie była tylko partyzantka Armii Krajowej, ale podziemne państwo polskie, coś znacznie większego i poważniejszego...

392

- Naprawę, Anno - skinął głową. - Tworzy się silny ruch oporu. Powstają podziemne szkoły, tajne komplety, uniwersytety... Tylko musimy poczekać, aż wszystko nabierze potęgi, rozmachu.

I szybko wyjaśnił, że to właśnie ruch podziemny przerzucał go z miejsca na miejsce. Bez tego dawno by go już nie było. W początkach lipca 1941 roku we Lwowie gestapo szalało.

Przeprowadzało masowe rewizje. A listę wybitnych profesorów, którzy mieli być straceni - potwierdzał - przygotowali ukraińscy studenci z organizacji nacjonalistycznych.

Mitia szybko zerknął na Kasię. Ale Kasia nie dostrzegła tego spojrzenia.

Rubinowicz oznajmił, że ci studenci z całą pewnością nie ponoszą winy za sam mord, choć bez nich wydarzenia miałyby inny przebieg. A aresztowania odbywały się wedle tego samego schematu. Mieszkania otaczały oddziały esesmanów, a profesorów wyprowadzali starsi rangą oficerowie. W taki sposób został aresztowany rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, wybitny cywilista, prof. Roman Longchamps de Berier.

Na dźwięk tego nazwiska młynarzowa westchnęła i powiedziała, że już słyszała o jego śmierci. Ale Rubinowicz zrelacjonował dokładnie jak to się stało. Rektor został aresztowany około pierwszej w nocy. Mieszkał wtedy we Lwowie przy ul. Karpińskiego 11.

- Znam to miejsce - wyznała.

- Dom otoczyli - opowiadał dalej - żandarmi. W mieszkaniu była też żona, czterej synowie i kilkoro dalszych krewnych. Kapitan żandarmerii poprosił go, by wyciągnął dowód i pokazał mu. Chciał się upewnić, czy odnalazł właściwą osobę. Profesor podał mu dowód, a kapitan rozkazał, by wraz z synami szybko się ubrał i wyszedł z nim. Nie podał przyczyny aresztowania. Profesor, znający niemiecki, żądał wyjaśnień, powodów zatrzymania, ale nie uzyskał odpowiedzi. Potraktowany brutalnie, wraz z trzema starszymi synami, Kazikiem, Bronkiem i Zygmuntem siłą popychany, zszedł na dół. Wnet zawieźli ich do bursy Abrahamo-wiczów, gdzie już znajdowało się kilkudziesięciu innych znakomitych osobistości ze świata nauki i kultury, w tym 23 profeso-

393

rów lwowskich uczelni i tuż przed świtem, dokładnie koło godziny czwartej nad ranem na Wzgórzach Wuleckich nad wykopany wcześniej grobem rozstrzelali ich, a zbiorową mogiłę dla niepoznaki zasypali ziemią, by nie pozostał po niej żaden ślad. Ale śladów zbrodni nie da się zatrzeć, Anno - westchnął.

- To straszne - odezwała się młynarzowa. I uświadomiła sobie, że dopiero teraz, gdy opowiedział z detalami, jak to się stało, pojęła ogrom i potęgę zła. Była też pełna uznania dla jego pamięci. Nawet zwierzyła mu się z tego podziwu. Na co on odparł:

- Tylko pamięć nas potwierdza Anno, tylko pamięć. Bo tylko z pamięci jesteśmy złożeni i z marzeń, Anno. A cała reszta z tego wynika, nauka, kultura, sztuka, cała nasza cywilizacja.

Zapadło milczenie. Po chwili Rubinowicz spytał:

- Czy mogę jeszcze coś dodać? Nie jesteście znużeni?

- Ależ nie, skądże - skwapliwie odrzekła. - Mów.

- Chciałbym jeszcze dorzucić kilka słów o dwu profesorach, Maurycym Allerhandzie i Władysławie Abrahamie. Prof. Aller-hand pisał dziennik i relacjonował w nim zdarzenia, których był świadkiem. Zapisał bardzo ważne zdanie. Gdy esesmani przesłuchiwali go i pytali, czy należy do jakiejś partii, odparł: Nigdy nie zajmowałem się polityką, ale przyznaję się do narodowości polskiej. Zapamiętałem to zdanie bardzo dobrze, bo świadczyło ono o lojalności żydowskiej mniejszości wobec narodu polskiego, wśród którego Żydzi przebywają. Bez względu na konsekwencje. Oficer był zaskoczony jego wyznaniem.

Rubinowicz przerwał na chwilę i ciszej powiedział:

- pierwszego sierpnia 1942 roku Niemcy profesora rozstrzelali. Podobny los spotkał też znanego prawnika, historyka Kościoła, profesora i rektora Uniwersytetu Lwowskiego, Władysława Abrahama, zamordowanego 15 października 1941 roku. Aresztowanych wywożono zwykle do obecnego więzienia, Brygidki, do więzienia przy ulicy Łackiego, do gmachu gestapo przy ul. Pełczyńskiej i do starego wojskowego zakładu karnego na Zamarstynowie. A potem rozstrzeliwano, najczęściej na Cmentarzu Żydowskim, przy ulicy Zamarstynowskiej, w Winnikach pod Lwowem albo na Wzgórzu Kortumówki. Pierwsza fala pogromów trwała do początków lipca.

394

Westchnął, a młynarzowa spytała:

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- W wielu domach przebywałem, Anno, wśród wielu ludzi -tajemniczo odrzekł i na jej prośbę, by o sobie więcej powiedział, poprawił się przy stole i wyznał, że musiał się ukrywać po różnych norach, zakamarkach, piwnicach i schronach jak szczur. polscy przyjaciele przetransportowali go ze szpitala do jednej z kamienic na obrzeżach Lwowa, bo niedaleko stamtąd ukrywała się Ryfka. W nocy spotkali się i od tej pory już byli razem. Ich gospodarz, krewny pewnego solisty z opery, prosty polski robotnik, murarz, przygotował dla nich schowek, ukrył ich za podwójną ścianą w domu, instalując prowizoryczny sanitariat i montując rurki z dopływem świeżego powietrza. Choć pomieszczenie było ciemne i małe, mogli tam czytać książki, bo zaopatrzył ich w lampy i świece. I nikt nie miał prawa się domyśleć, że za ścianą pokoju ktoś się ukrywa. Niestety, tak im się tylko zdawało. Na początku uznali, że to miejsce gwarantuje im absolutne bezpieczeństwo. Przez kilka miesięcy rzeczywiście tak było. Nawet w tej ciasnej klatce komponował, a Ryfka robiła swetry na drutach. Mogli też korzystać z toalety. Jednak po kilku miesiącach bezruchu, braku światła i narastającej apatii, oboje byli bliscy obłędu. A do tego Ryfka zaczęła kaszeć. Chwilami się dusiła od tego kaszlu. Zdawało się, że jej dni są policzone. Ale wciąż żyła. Dostawała czosnek, cebulę, zioła, ale kaszel nie ustępował. Dławiła się od plwocin. Na dodatek murarza od czasu do czasu odwiedzał ukraiński kolega, z którym pracowali na budowach. Któregoś wieczora ten kolega usłyszał szmer za ścianą, bo przegródka była cienka. - Co to? - spytał, nadstawiając uszy. - Nic, szczury załazą za pokarmem i już do kamienic się dobrały - skłamał murarz. - Pełno teraz wszelakiego świństwa. Wojna! - Ale głos się powtórzył. Ryfka, wiedziała, że musi siedzieć jak mysz pod miotłą, ale nie mogła. Kaszel był silniejszy od niej, więc kaszłała. I tym razem znowu zakaszłała. A tamten zaniemówił. Wyraźnie słyszał ludzki

kaszel. Murarz bał się go jak ognia. Po budowie chodziły słuchy, że to szpicel i na gestapo donosi. Toteż udając, że sam się dziwi, co to za odgłosy, uznał, że to pewnie sąsiadka z za 395

ściany hałasuje. Tamten się uspokoił. Dziwił się tylko, że w tym budynku są takie cienkie ściany. Przecież był budowlancern I wydało mu się to nienormalne. Od razu zaczął wachać. Gospodarz szybko podał mu gorzałkę, by zapomniał o ścianie i zapomniał, porządnie się schlał i znużony poszedł do domu.

W nocy gospodarz i Rubinowicz poczęli się zastanawiać, jak się zabezpieczyć przed wpadką. Murarz bał się, że tamten naśle policję albo gestapo i powieszą go. Choroba Ryfki nasilała się. Zaprzyjaźniony lekarz przygotował miksturę. Leczenie trwałoby jednak tygodniami. A sprawa nie cierpiała zwłoki. Szpicel wciąż przy-łaził. Siadał pod ścianą i podejrzliwie przyglądał się gospodarzowi.

Natychmiast musieli się wyprowadzić. Przy pomocy podziemnej sieci przenieśli się do mieszkania na peryferiach. A murarz i tak zginął. Mimo że ścianę od wewnątrz pogrubili. Naszło go gestapo i żołnierze zaczęli penetrować dom. Pech chciał, że tym razem ukrywała się tam dwójka żydowskich dzieci. Odkryli schowek, Żydów pognali do getta, a jego powiesili. Zgonili tłum ludzi, by patrzył na egzekucję.

Od tej pory Rubinowicze nie siedzieli w jednym miejscu dłużej niż dwa, trzy miesiące. Tak minął im rok we Lwowie. Kryli się po piwnicach, strychach i starych szopach. Potem przetransportowani zostali na krótko do Tarnopola. I na dłużej do Stanisławowa. Ale robiło się coraz ciasniej. Na ich szyjach zaciskała się pętla pościgu. Ktoś usłużny miał ich na celowniku. I wyraźnie chciał dopaść i sprzątnąć. Goniła ich ukraińska policja i gestapo i czort wie kto jeszcze. Zawsze jednak w ostatniej chwili udawało się im uciec. Ale już i Stanisławów był niebezpieczny. A nawet Kołomyja. W Kołomyi ukrywali się na cmentarzu, w grobowcu. Ryfca odnowiła się choroba. Kaszlała i dusiła się. I najgorsze, załamała się. Już nie wytrzymała ciągłych ucieczek. Czowała się zaszczuta i popadła w apatię.

- Wtedy przypomniałem sobie - kończył opowieść - że kiedyś zaprosiłaś mnie, Anno, do siebie. No i jestem - uniósł ręce. - Ale, jeśli sprawię ci choćby najmniejszy kłopot, pójdę do lasu. Mam w zapasie upatrzony schron. Ludzie z podziemia się nami zaopiekują. Jakoś przeżyję zimę. A potem, da Bóg...

396

- Ależ, Bronek... Jak możesz tak mówić? - obruszyła się i spojrzała na Kasię i Mitię. - Na pewno was ukryjemy, na pewno!

Mitia powiedział, że pod domem jest ciepła piwnica. I na razie tam zostaną. A on przygotowuje pod dachem komórkę i w niej zamieszkają. Wprawdzie nie ma ona okna, ale zrobi wentylację i szybko się tam wprowadzą. A dzisiejszą noc spędzą w wolnym pokoju na piętrze.

Gdy Mitia mówił, Rubinowicz wsłuchiwał się w skupieniu w jego głos. Młynarzowa pokrótce wtajemniczyła gości w działalność zięcia, z dumą opowiadając, jak wielu Żydom już pomógł. Rubinowicz ożywił się i z błyskiem w oku spytał:

- I udało się panu ich przetrzymać przez granicę?

- Tak - odparł Mitia.

- To dobrze, dobrze - wpatrywał się w niego z zastanowieniem. - Czy to duże ryzyko?

- Zawsze jest jakieś ryzyko, ale do tej pory przetrzymali się udawali - odrzekł Mitia.

- Aha, aha - mruknął Rubinowicz i zerknął na Ryfkę. Na jej twarzy odbiło się zmęczenie.

Długa rozmowa także ją wyczerpała. Patrzyła na męża znużonym wzrokiem.

- A czy tu jest bezpiecznie? - jeszcze spytał Rubinowicz. - Nie ma napadów, rabunków?

Młynarzowa nerwowo popatrzyła w okno. A potem na Rubinowicza. A on, jakby poznając jej lęk, cicho oznajmił, że nikt go nie śledził. I powtórzył, że do wsi przywiózł go zaufany człowiek z Kołomyi. Mogą być spokojni. Ogona za sobą nie pociągnął. Młynarzowa skinęła głową, dając do zrozumienia, że sprawa zamknięta. Powiedziała, że ona też ma pewne

możliwości, jeśli chodzi o ruch podziemny. I pokrótce zrelacjonowała, że niedawno powstała tajna organizacja Żegota i że robi ona wiele, by ratować Żydów. Współpracuje z zakonnikami, z polskim Kościołem, z Mariankami i Urszulankami, i dostarcza Żydom katolickie metryki chrztu, dzięki którym pomaga w ocaleniu. Żydzi z fałszywymi dokumentami mają znacznie większe szanse przeżycia.

Okazało się, że Rubinowicz już trochę wiedział o Żegocie, ale nie wszystko. Dzięki Żegocie kilka razy uratował swoje życie, choć

397

pomagali mu również ludzie dobrej woli nie związani z żadną organizacją. Podziękował młynarzowej za dodatkowe informacje. A ona spytała, czy słyszał o powstaniu w getcie warszawskim, które wybuchło w kwietniu, a on odpowiedział, że tak, owszem, słyszał i wie, że strasznie dużo Żydów zginęło, a resztki z ponad pół miliona ocalałych wywożą Niemcy do obozów pracy. Mniej natomiast wiedział, co się dzieje na wojnie. Młynarzowa zrelacjonowała mu ostatnią rozmowę z kuzynem Arturem, który poinformował ją, że Rosjanie odnieśli zwycięstwo pod Stalingradem, a setki tysięcy szwabskich żołnierzy dostało się do niewoli. A w Związku Sowieckim powstaje nowa polska armia i wielu Polaków do niej wstępuje.

Rubinowicz słuchał jej uważnie, a potem odezwał się:

- Widzę, Anno, że i ty masz swoje dobre źródła.

- Mam, Broniek, mam - odrzekła - możesz być spokojny, nic wam u nas złego nie grozi.

Pora była późna, nadszedł czas na odpoczynek. Poprosiła Kasię, by zaniósła do sypialni pościel, zaś Mitę, by sprawdził zamek. Po chwili w domu zapanowała cisza.

398

GROŻNE ZNAKI

Mitia od świtu szykował schowek. Zabezpieczał go i maskował. Po trzech dniach komórka była gotowa. Gdyby nawet specjaliści od inwigilacji chcieli ją odkryć, nie udało by się. Tak chytrze i sprytnie zadekował. Odkrył też metodę, by bezkolizyjnie podawać im posiłki, zabezpieczając również prosty w formie sanitariat. W końcu był złotą rączką i nawet z powietrza upłóciłby szpagat.

Wieczorami, kiedy zamykali drzwi do domu, gawędzili z Ru-binowiczami do później nocy. Nie wolno było tylko gościom wychodzić na dwór. Ani wyglądać przez okna.

Rubinowicz zdradzał Miti tajniki gry na instrumentach, pokazując mu, jak powinien uczyć dzieci. Awaryjnie Mitia adaptował dla potrzeb gości także piwnicę. Wszystko zapiął na ostatni guzik.

Kiedy Kasia i młynarzowa z dziećmi wracały z kościoła, zatrzymała je stara bibliotekarka, Helena Kuźmowa i chciała z młynarzową pogadać na osobności. Kasia z dziećmi poszła do domu, a młynarzowa została. Kobieta ledwie się poruszała. Gdy tylko Kasia się oddaliła, spytała młynarzowa, czy słyszała o tym strasznym morderstwie.

- O jakim morderstwie? - zdziwiła się młynarzowa.

A starszka opowiedziała jej, że wczoraj odwiedził ją syn, który mieszka tuż za Obertynem i przywiózł wiadomość wołającą o pomstę do nieba.

- Co się takiego stało? - spytała młynarzowa.

Pod Obertynem, na wsi, ktoś zamordował chorego nauczyciela, który cudem ocalał z sowieckiej łapanki, unikając wywózki na Sybir. Nie zabrali go też Niemcy na roboty do Rzeszy, bo był słabowity. W każdym razie został we wsi. A mordercy na czole wyrznęli mu nożem znak orła. Obcęgami wyrwali mu paznokcie.

399

Ale jakby tego było im mało, na plecach związali mu ręce, a potem kolczastym drutem nogi. A na szyję zaciągnęli pętlę połączoną od tyłu z liną na rękach i nogach. Gdy tylko ruszył nogą albo ręką, pętla zaciskała się na szyi. I nauczyciel się dusił. Umierał w straszliwych mękach. A gdy tracił przytomność, rany posypywali mu solą i polewali gorącą wodą. Na dodatek jego

żonie kazali na to wszystko patrzeć. Żonę ogarnęły mdłości, wiła się jak w konwulsjach, a potem zemdląła. Kiedy odzyskała przytomność, była siwa jak gołąb. Nic z domu nie zabrali. Nie splądrowali mieszkania. Niczego nie zniszczyli. Nauczyciela zostawili z wydlubanymi oczami i oskalpowaną głową. A na piersiach przyczepili kartkę z napisem:

WTIKAJTY LACHY Z UKRAINY. TO NASZA ZEMLA!

Żona zwariowała. Bełkotała od rzeczy. Ale miała przebłytski świadomości i wtedy opowiadała, co się stało. We wsi zapanowała trwoga. Jak świat światem, nigdy tutaj nie było takich mordów. A gdy staruszka dodała, że w cerkwiach popi święcą noże, siekiery i kosy, młynarzowa uznała, że staruszce przewróciło się w głowie. Bo i po co mieliby święcić noże, siekiery i kosy. Nie, to jakaś brednia, myślała, patrząc na płonące, chore oczy kobiety. Może to starość i choroby tak ją opętały, myślała. We wsi mówiono, że i nawiedzają ją zwidy. Młynarzowa szybko babinę pożegnała, bojąc się nawet wspomnieć o tym Kasi i Miti. Nie mówiła, rzecz jasna, także o tym Rubinowiczom, by ich nie denerwować. O spotkaniu ze staruszką starała się zapomnieć, uznając jej zwierzenia za bełkot chorej wyobraźni. Tym bardziej że po kilku dniach zgarbiona bibliotekarka mamrotała do siebie niezrozumiałe słowa, nie poznając ludzi. Kolejna doba minęła bez szczególnych emocji. Zdawało się, że już nic złego się nie wydarzy, kiedy nadeszła wiadomość od wójta. Mitia musiał natychmiast stawić się w gminie.

Młynarzowa wpadła w popłoch. Czuła, że takie wezwanie nic dobrego nie wróży. Najpierw chciała mu doradzić, by nie szedł. Ale uznała, że odmowa może okazać się jeszcze gorsza. W końcu nic nie zawinił, myślała. I obie z Kasią zastanawiały się,

400

co to może znaczyć, przerażone, że ktoś na nich doniósł. Czyżby jakiś szpicel zauważył Rubinowicza, kiedy jechał z zaufanym człowiekiem nocą do wsi, rozważały. Ale i tę myśl odrzuciły, jako bezpodstawną. Bo gdyby o to chodziło, to już następnego dnia byłaby tutaj policja i niemieckie gestapo. I wszystkich by rozstrzelali. A minęło kilka tygodni i nic się złego nie stało.

Pewnie chodzi o szarwark albo inne roboty dla gminy, uznały i uspokoiły się.

Tym bardziej że nowa ukraińska administracja narzucała na chłopskie gospodarstwa wiele uciążliwych obowiązków, różne kontyngenty, przymusowe roboty, nawożenie kamienia na drogi, by się niemieckie pojazdy nie zapadały.

Na wszelki wypadek postanowiła zasięgnąć języka u kuzyna z Kołomyi. W chwilach rozterki, gdy zabrakło męża, zawsze się do niego udawała. Zasłużył na jej szacunek, zdobył uznanie, a przede wszystkim zaufanie. A w takich czasach, wiedziała, zaufanie to największy kapitał. Właśnie pomyślała, że kuzyn Artur, jako człowiek rozważny, mądry i doświadczony, pewnie i w tej sprawie naprowadzi ją na dobry trop. A ponadto pozwoli głębiej rozeznac się, co się wokół dzieje. I więcej, co może ich spotkać. Miał wielkie znajomości i znał ludzi z wielu środowisk.

401

WIZYTA U KUZYNIA

Długo się nie zastanawiając, wzięła bryczkę i szybko znalazła się w mieście.

- Witaj, kuzynko - ciepło ją przyjął. Po kurtuazyjnym powitaniu, usiedli przy stole i przy herbatce, i słodkich ciastkach oddali się towarzyskiej pogawędce. Gdy już omówili kaprysy pogody, stan zdrowia, a dzieci kuzyna zajęły się swoimi sprawami, weszli na poważniejsze tematy i młynarzowa dowiedziała się, że coraz silniejszy strach się ją leśne bandy, które napadają na co znaczniejszych Polaków i odbierają im życie. Kuzyn mówił o tym z pewnym wahaniem, jakby powstrzymywał się przed wyznaniem całej prawdy. Jakby powoli przygotowywał ją do rzeczy znacznie groźniejszych niż owe wspomniane leśne bandy. Popatrywał na młynarzowa, zastanawiając się, czy taka silna dawka ponurych i gorzkich obrazów nie załamie jej. W końcu raz jeszcze rzucił:

- Napadają Anno i zabijają - powiedział, świadomie nie używając znacznie ostrzejszego określenia - nieludzko mordują - bo wciąż nie był pewien, jak zareaguje, a nie chciał jej od razu wzburzyć i przerazić. Musiał stopniować napływającą groźbę wydarzeń. Wiedział, że jest wrażliwa i bał się, że silne przygnębienie może ją załamać i odbić się na stanie jej zdrowia. I tak się borykała z bolesną pamięcią po utracie męża i syna.

- Nie może być! Dlaczego? - zareagowała zaskoczona. - U nas, na wsi, panuje spokój - powiedziała. - Od kiedy wyłapali Żydów i po tej strasznej tragedii w gettach - skrzywiła się pełna goryczy - nikt nikogo nie morduje - pytając patrzyła na kuzyna. Wprawdzie chciała mu od razu wspomnieć o nienormalnie zachowującej się starej kobiecie i o tym, co ona wygaduje, ale

402

dzie miała odwagi, bo bała się śmieszności. Jeszcze mnie kuzyn wykpi, że w takie brednie wierzę, pomyślała, wciąż uważając, że tamta mówiła w obłądnie. A wcześniejsze wiadomości, które od niego uzyskiwała o narastających niebezpieczeństwach, spychała w głąb siebie, nie chcąc pomnażać i tak zbyt dużych ciężarów życia, które ją mocno przygniatały.

- Więc nie słyszałaś, że napady nasilają się? - odezwał się.

- Owszem, dochodzą pewnie wieści - ostrożnie powiedziała.

- Jakie wieści, Anno? - szybko spytał.

Zastanowiła się i uznała, że zaryzykuje, wspominając o tej dziwaczce.

- Ostatnio stara bibliotekarka opowiadała mi... - urwała i po chwili z niewiarą rzuciła: - Ale ona jest chora... gada od rzeczy, Arturze... sama z sobą, chora na umyśle...

- I nie uwierzyłaś jej, prawda? - kuzyn, domyślając się o czym chce mówić, poskrobał się po czubku łysiejacej głowy. - Czy tak?

- Prawdę mówiąc, tak - odparła - nie uwierzyłam jej. Takie okropne rzeczy wygadwała.

- Masz rację, Anno, w to się nie da uwierzyć. To przechodzi ludzkie wyobrażenia - zaryzykował, czując jednak, że musi jej powiedzieć. Lepiej niech się ode mnie dowie, myślał, niż spotka ją jakieś nieszczęście. Uznał, że powoli wprowadzi ją w miarę spokojnie w pierwszy krąg piekła.

- Ale o czym ty mówisz, kuzynie? - zastygła. - W co się nie da uwierzyć?

- W te straszne rzeczy, Anno, w te zbrodnie...

- W jakie zbrodnie? - przerażona się. - Mów, proszę... Kuzyn przysunął się do niej i ścisząc głos, jakby go kto podsłuchiwał, odezwał się:

- Jak wiesz, Anno, mamy tu, w Kołomyi, bardzo dobry szpital powiatowy, którym do niedawna kierował znany ci doktor, Stanisław Kaliniewicz...

- Jak to kierował? - przerwała. - Już nie kieruje? Kaliniewicz? Słynny doktor Stanisław?

- Naturalnie, Anno, doktor Stanisław - kuzyn zwiesił głowę i cicho powiedział: - Już nie kieruje.

403

- Dlaczego? Przecież to najlepszy w okolicy chirurg urolog? - była zaskoczona. - Bardzo go tu wszyscy szanują i cenią. Znakomity fachowiec, życzliwy ludziom, sympatyczny. Ostatnio był ordynatorem, prawda? - patrzyła w roztargnieniu na kuzyna. - Znam go doskonale. Tutaj, przy Glinianej, rodziłam Mariusza i Kasię. A rozkład szpitala znam na pamięć. Na parterze interna i porodówka. Na piętrze chirurgia i kaplica dla chorych. Pamiętam siostry szarytki, nawet imiona siostr pamiętam do dzisiaj, siostrę Helenę z sali opatrunkowej, sanitariuszki Stasię i Jankę. A co się dzieje z doktorem Stanisławem? Zachorował? - rozgadała się. A kuzyn cierpliwie słuchał, badawczo się jej przyglądając i wciąż zastanawiając się, czy jednak zdradzić tę okropną wiadomość. Bał się o jej słabe serce. Ale w końcu powoli wyrzekł:

- Nie, Anno, nie zachorował...

- Więc co? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że... że... - zająknęła się.

- Spokojnie, Anno, już ci wyjaśnię - urwał i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. A gdy ponagliła, ciężko westchnął i powiedział: - Doktor Kaliniewicz nie żyje. Został zamordowany...

- Jak to nie żyje? Jak to zamordowany? - przerwała, unosząc się z krzesła. - Przez kogo?

- Proszę, usiądź. To dłuższa historia.

Usiadła i wpatrywała się w niego z napięciem, a on opowiadał:

- Doktor Stanisław posiadał niedaleko Kołomyi, nad rzeczką Pistynią, w Szeszorach, letni domek. Był lipiec, dyrektor po wielu operacjach czuł się już zmęczony i postanowił odpocząć. Ponieważ jednak dochodziły do niego głosy, że dokoła Kołomyi zaczyna się robić niespokojnie, spytał swoją asystentkę, ukraińską koleżankę, doktor Lidię Lewicką, czy nic mu na wsi nie grozi. Asystentka odparła, że jego imię jest powszechnie znane w powiecie, wszyscy go bardzo kochają i darzą wielkim szacunkiem, ale czasy są niepewne, trwa wojna i musi się zastanowić, zanim wyjedzie. Doktor pomyślał i uznał, że istotnie, wszyscy go znają, a on także zna tutaj wszystkich, wielu z nich było jego pacjentami i nie ma powodu, by na kilka dni nie wyjechać. Tak też uczynił. Wojna wojną, uznał, ale przecież ludzie wokół są spokojni, łagod-

404

ni i dobrzy. Nigdy się nie zdarzyło, by ktoś mu uczynił najmniejszą krzywdę. Z nikim nie miał na pieńku. Nikt nigdy nie zakradł się do jego letniej chaty, nie okradł go, więc i teraz nie może mu nic złego grozić. Przeciwnie, sąsiedzi zawsze przyjaźnie go witają, a jego żonie przynoszą kwiaty. Wyjechał więc z całą rodziną na wieś i zamieszkał w swoim domku. Ale już następnej nocy po przyjeździe, 24 lipca, a więc bardzo niedawno, zapukali do drzwi dwaj ukraińscy policjanci z psem i kazali mu pokazać dokumenty, ubrać się i pójść z nimi na posterunek. W domu powiało grozą, powstał popłoch. Rodzina czuła, że to jakaś pułapka. Sam doktor też począł podejrzewać, że policjanci mają złe zamiary, bo na pytanie, o co chodzi, nie odpowiadali. Poinformowali go tylko, że to sprawa urzędowa. Nie byli nawet za bardzo natarczywi i agresywni. Sprawiali wrażenie grzecznych i sympatycznych. Kazali tylko szybko wychodzić. Pani doktorowa załamywała ręce. Błagała, by go nie zabierali. Bo nikomu nic złego nie uczynił. A przeciwnie, wielu pomógł, wielu uratował od śmierci. Leczył Polaków, Żydów, Ukraińców, Karaimów... Ale tamci spokojnie i z uśmiechem oznajmili, że wiedzą, kim jest, nie trzeba doktora szerzej przedstawiać, zna go tutaj każde dziecko, ale musi z nimi pójść, bo wymaga tego sytuacja. Nie tłumaczyli, jaka to sytuacja i o co w tym wszystkim chodzi, uspokajali tylko żonę, że doktor wkrótce wróci. Starszy syn, też Stanisław, nie chciał jednak puścić ojca samego. A gdy policjanci raz jeszcze stanowczo zażądali, by doktor natychmiast z nimi wyszedł, syn uparł się, że pójdzie razem z ojcem. Kategoriecznie nie zgodzili się. Doktor skinął głową, dał znak, by nie przedłużać całej sceny, wyjdzie sam, pożegnał się z żoną i dwoma synami, prosząc, by się nie martwili, bo to jakieś nieporozumienie i wkrótce wszystko się wyjaśni, a on wróci do domu. Wziął swoją słynną już ciemną laskę, bez której nie mógł się obejść i wyszedł. I już nie wrócił.

- I co się z nim stało? - szybko spytała.

- Otóż następnego dnia, w południe, 25 lipca, pod szpital przy ulicy Glinianej podjechała chłopska furmanka, a na posłaniu ze słomy leżał martwy i zmasakrowany doktor Kaliniewicz. Natychmiast zbiegli się lekarze, siostry zakonne, furmankę oto-

405

czyła grupa gapiów i powstało zamieszanie. Ja też tam byłem. I wszystko widziałem.

Patrzyliśmy na martwe ciało doktora w osłupieniu. Nikt nie rozumiał, co się stało. Zwłoki przedstawiały okropny widok. Chłop, który przywiózł trupa, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kto i dlaczego go zamordował. Wyznał tylko, że jacyś ludzie kazali mu doktora tu przywieźć i on przywiózł. Na pytanie, jacy to byli ludzie, rozkładał bezradnie ręce i odpowiadał, że nie wie, nie zna ich. I nic nie można było z niego wydusić. Lekarka Lewicka

dokonała obdukcji. W głowie dyrektora tkwiły trzy kule, ciało pokrywały głębokie rany od bagnetu albo od długiego noża. Jedna noga była złamana, a plecy doszczętnie spalone. Widać było kości. Ślady kaźni i męczeńskiej śmierci wyrte były na całym ciele... jakby znaki ostrzegawcze... Coś strasznego Anno, potworny widok...

- Ale dlaczego, Arturze? Kto to zrobił? - pytała nerwowo.

- Też zadawaliśmy sobie te pytania. -I?

-I tylko jedno zostaje wytłumaczenie. Doktor Kaliniewicz, nasz najlepszy lekarz, znakomity organizator, niezastąpiony chirurg, człowiek pełen miłości i pokory, który biednych leczył za darmo, szanowany obywatel, został zamordowany przez ukraińskie bestie tylko dlatego, że był Polakiem. To był jakby znak przestrogi.

- Jakiej przestrogi? Nie pojmuję? - miotła się.

- Chcą nas zastraszyć, Anno. Uderzają w najbardziej wartościowych ludzi. Pragną w nas wyzwolić falę lęku i wygnać z naszej ziemi. Chcą nas stąd wypędzić...

- Ale co ty opowiadasz, Arturze? - przerwała. - Jak to wypędzić? Nas? Z naszej ziemi? Stąd? Z naszych wsi, miast, domów, gospodarstw? - rozglądała się, spłoszona. - Dlaczego? Przecież to niemożliwe!

- Możliwe, Anno, możliwe. Posłuchaj dalej. Młynarzowej waliło serce. Począł, aż się nieco uspokoi.

A ona długo się w niego wpatrywała, przybita i nic nie rozumiejąca. Po chwili milczenia, odezwał się:

- To nie był pojedynczy przypadek... Patrzyła na niego z niemo otwartymi ustami.

406

- Bo teraz - ciągnął - kiedy rozmawiamy, płonie Wołyń...

- Ależ Arturze! - gwałtownie przerwała. - Co ty mówisz? -wbijała w niego lśniące oczy.

- To, co słyszysz, Anno - odparł. - Właśnie otrzymałem wiadomość, że jedenastego lipca równocześnie spalono ponad sto sześćdziesiąt polskich miejscowości, a w nich wymordowano kilkanaście tysięcy polskich kobiet, dzieci i starców. W tym także księży...

- Księży? Święte osoby? Kapłanów? Ludzi, którzy niosą dobrą nowinę, miłość... Nie. Nie mogę w to uwierzyć... - była rozemocjonowana, na policzki napłynęły czerwone plamy.

- Wiem, Anno, że to, co mówię, jest nieprawdopodobne. A jednak... jednak...

- Co jednak? - była rozgorączkowana. - Co jednak, kuzynie? - wpatrywała się w niego roziskrzonymi oczami.

- Proszę, Anno - wziął ją za rękę - uwierz mi, przecież cię nie okłamuję, wiesz, jak bardzo jesteś mi bliska. Razem wychowywaliśmy się, razem chodziliśmy do szkoły, znamy się, ufamy sobie...

- Ale to... - wyrzekła zdławionym głosem.

- Ale co? Nie wierzysz w to, co mówię?

- Nie... nie wiem, sama nie wiem, co się ze mną dzieje, wybacz, mów...

- Spróbuj mnie, Anno, zrozumieć. Ciężko mi o tym mówić, ale komu mam się zwierzyć, jak nie tobie, najbliższej kuzynce. A poza tym przyjechałaś, by się dowiedzieć, prawda?

- Tak, naturalnie, Arturze, przepraszam - poprawiła się w krześle, otarła policzki, jakby płynęły po nich łzy.

- Musimy, Anno - mówił - mieć w sobie wiele siły ducha, wiele hartu. I ty, i ja. I nasze rodziny. I inni nasi rodacy. By znieść ten ciężar. Bo to wielki ciężar. I by się jakoś z nim uporać. Jakoś mu zaradzić. Bo jeśli nic nie będziemy wiedzieć, to zaskoczą nas i powybierają jak pisklęta z gniazd, wybiją jak kaczki. Rozumiesz?

- Nie wiem, czy rozumiem, chyba nie... - cicho odrzekła. - Mów.

- Otóż, Anno, Ukraińcy, po zamordowaniu księży, do kilku kościołów spędzili Polaków i kościoły podpalili. Wszyscy spłonęli żywcem. I to nie od razu. Umierali w mękach, w wielkim cierpieniu. Trwało to godzinami. Wyobrażasz sobie ten sądny dzień.

407

Te płonące główki małych dzieci, ten syk spalanych rąk, nóg, piersi... Te płonące żywe ciała.

- Przestań, proszę...

- Nie mogę, muszę ci to wszystko powiedzieć, muszę, byś wiedziała...

Siedziała osłupiała, przerażona, ale skinęła głową.

- A wielu innych, Anno - mówił cicho - poddawali wyszukany, straszliwym torturom...

Dzieci przybijali gwoździami do drzew, mężczyznom wypalali na czołach polskiego orła, a potem przywiązywali ich do koni i rozszarpywali na pół, kobietom obcinali piersi...

- Nie, nie... dosyć... nie mogę tego słuchać! Na Boga?! Co ty wygadujesz?

- Uspokój się, proszę - widział jej przerażenie. - Wiem, że to boli. Mnie też to boli. Każdego uczciwego i porządnego człowieka to boli. Ale lepiej, by teraz nas bolało, Anno, by teraz cierpiała nasza dusza niż później... gdy będą nas rżnęli, gardła podcinali... Musimy znać prawdę.

Miała szeroko rozwarte oczy i patrzyła na niego, jakby go nie poznawała.

- Niestety, Anno, by zrozumieć lepiej świat, nieraz trzeba przeżyć... Nie wiem, jakby ci to powiedzieć. Sam mam z tym kłopoty, nie umiem nazwać, nie rozumiem...

- Ale co tu rozumieć, Arturze? - patrzyła na niego chorym wzrokiem. - To jakiś obłąd!

- Nie, Anno, to nie obłąd. W tym rzecz, że to nie obłąd. To zimna, okrutna kalkulacja. Z dokładną, żelazną precyzją zaplanowali i perfekcyjnie przeprowadzili tę koszmarną operację. Spróbuję ci to jakoś wytłumaczyć. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o podpalaniu polskich dworów, zabijaniu listonoszy, zrywaniu szyn kolejowych, wywracaniu pociągów...

- No, tak, pamiętam. Ale to było przed wojną. Zepchnęłam to w głąb siebie, nie chciałam o tym myśleć...

- Tak, to było przed wojną. Wtedy jakby ćwiczyli. Jakby wyrabiali sobie oko i rękę. A teraz ruszyli z całym impetem...

- Ale kto? Błagam...

408

- Jak to kto? Banderowcy...

- Jacy banderowcy? Proszę, mów wyraźniej! Bo nic z tego nie pojmuję... - w pierwszej chwili nie skojarzyła nazwiska Bandery z jego leśnymi bandami.

- Dobrze - pochylił się ku niej - słuchaj uważnie, pamiętasz jak ci mówiłem o tajnych ukraińskich organizacjach, które działają nielegalnie w Polsce. Teraz, za Niemców, rozwinęły skrzydła i powołały do życia Ukraińską Powstańczą Armię, w skrócie UPA, pod wodzą niejakiego Romana Szuchewycza, zwanego popularnie Tarasem Czuprynką, a główne role grają - zajrzał do jakiejś kartki - Onyszkiewicz, Sidar, Staruch, a na naszych terenach najgroźniejszy jest, znany ci już z nazwiska, Stefan Bandera.

- Ten sam, co tworzył niby ten ukraiński rząd we Lwowie? - upewniła się.

- Ten sam, Anno, ten sam. Za zabójstwo ministra Pierackiego został skazany na karę śmierci, ale zamieniono mu ją z litości na dożywocie. Potem uciekł z więzienia i stanął na czele odrodzonych ukraińskich sił faszystowskich.

Poruszył się w krześle, uniósł na młynarzową brązowe oczy i oznajmił, że dzieje układają się w tragicznym, bolesnym porządku, a wielka historia to nie jest jeden odosobniony przypadek albo czyn, ale związki przyczyn i skutków, nakładanie się na siebie wiele mniejszych historii, okoliczności i zdarzeń. Wszystko ze wszystkim się łączy, Anno - mówił - wokół nas buduje się jedna wielka i groźna całość. A logika pozornie oderwanych incydentów tworzy w sumie nowy przerażający ład rzeczy.

Mówił jakoś tak dziwnie, jak rzadko kiedy, jakby studiował tajne materiały. Pomyślała, że musi należeć do podziemnej organizacji i bardzo dużo wie. Dawno już o nim tak myślała.

- Jesteś członkiem loży wolnomularskiej? - spytała.

- Nie, skądże?! - gwałtownie zaprzeczył. - A dlaczego tak sądzisz? - patrzył jej prosto w oczy.
- Sama nie wiem - wzruszyła ramieniem. - Tak jakoś mówisz... - przyglądała mu się z uwagą.
- Bo wszystko ze wszystkim się łączy, Anno - powtórzył.
- To znaczy?
- Posłuchaj - przypomniał jej, jak to się nikt nie spodziewał,

409
kiedy 25 września 1921 r. Józef Piłsudski pojawił się z oficjalną wizytą we Lwowie, aby otworzyć w tym mieście pierwsze Targi Wschodnie, a został zaatakowany, jak wtedy sądzono, przez jakiegoś szaleńca. Ale okazało się później, że to nie żaden szaleniec, tylko bardzo starannie wyszkolony i przygotowany do zabójstwa ukraiński nacjonalista. I kuzyn Artur opowiedział tym razem już ze szczegółami, jak to się odbyło.

Wstał, podszedł do szafy i wyciągnął z niej plik gazet, szpargały, wolne kartki, notatki i przerzucając je, na stojąco zaczął czytać:

Po defiladzie wojskowej, wśród długiego szpaleru mieszkańców Lwowa, w towarzystwie prezydenta miasta, Józefa Neu-manna, Piłsudski skierował się w stronę katedry łacińskiej. Po uroczystym nabożeństwie wybrał się do Parku Stryjskiego, by otworzyć Targi. A potem zaszczycił uroczystości odsłonięcia godła państwowego. I kiedy koło godziny dwudziestej w towarzystwie wojewody lwowskiego, Kazimierza Grabowskiego, opuszczał ratusz, w jego stronę padły strzały. Jak się później okazało, strzelał do niego młody, dwudziestojednoletni ukraiński młodzieniec, niejaki Stepan Fedak. Badania wykazały, że należał on do dwu wywrotowych tajnych organizacji, Komitetu Ukraińskiej Młodzieży, a także bojówki ukraińskich studentów „Wola”. Obie miały na celu obalenie niepodległego państwa polskiego. A nad całością czuwał pułkownik ukraińskiej organizacji wojskowej, Jewhen Konowalec, działający w Niemczech.

- Ale po co mi to czytasz? - spytała.
- Po to, Anno, by ci wykazać, że nie ma w tym żadnego przypadku. Którejś bezsennej nocy zacząłem liczyć te niby pozornie oderwane od siebie wydarzenia i fakty, i nagle okazało się, że układają mi się w całkiem logiczny porządek.
- Jaki porządek?
- Ano, taki, Anno, że nadciąga na nas nowe i bardzo groźne niebezpieczeństwo, czarna chmura...
- Czy nie wystarczy nam wojna, Arturze, zsyłki na Sybir, wywózki na przymusowe roboty do Niemiec, głód, zaraza, straszne cierpienia Żydów. Straciłam męża, syna, co jeszcze mam stracić?
- Teraz, Anno, największe zagrożenie idzie od strony Ukraińców.

410

- Jak to Ukraińców? - wciąż nie rozumiała. - A Niemcy, Sowieci? Przecież od wieków razem z Ukraińcami tu żyjemy, mieszkamy, mamy swoje chaty, rodziny, gospodarstwa, szkoły, świątynie, uniwersytety. Nasze córki wychodzą za mąż za ukraińskich chłopców. Nasi synowie żenią się z ich dziewczynami. Razem obchodzimy święta, uroczystości religijne. Razem żyjemy tu, Arturze, ponad sześć wieków. Ponad sześć wieków wspólnego bytowania - Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Niemcy, Karaimowie, Łemkowie, Ormianie, Grecy, Czesi, Rumuni, Słowacy, Bułgarzy... - patrzyła na niego pytająco. - Nigdzie w Europie nie ma takiego tygla narodów. Co ty wygadujesz?
- Rozumiem cię, Anno - zamyślił się i pokiwał głową - rzeczywiście, na ogół tak dotąd było. Choć, naturalnie, nie zapominajmy, Anno, i o tym, że konfliktów też niegdyś nie brakowało. - Zastanowił się i ciągnął: - W nowej erze też biliśmy się z Ukraińcami, gdy po stu dwudziestu trzech latach niewoli odzyskiwaliśmy niepodległość, a oni nas w listopadzie 1918 roku zdradziecko napadli. Walczyliśmy z nimi o nasz polski Lwów. Gdy nasze Orleża, niemal

dzieci, wykazywały się nadzwyczajnym hartem, brawurą i bohaterstwem. Ale i z nimi, Anno, z ukraińskimi wojskami Petlury, ramię w ramię, goniliśmy z Polski wojska bolszewickie. Historia się miesza, Anno, raz ma twarz demona, a raz szydery. Musimy o tym pamiętać. Ale wojen religijnych nie prowadziliśmy. Nocami, znieścacka nie napadaliśmy. Skrytobójczo nie mordowaliśmy. Nie to, co teraz. Skrytobójcze mordy, napady, okaleczanie niewinnych cywilów, bezbronnych, biednych ludzi. Teraz się wszystko pokręciło, stało niezrozumiałe, brutalne, okrutne. Prawda jest ciężka, Anno, bolesna. Dokładnie przeczytałem ich odezwy, dokumenty, książki i wychodzi na to, że to starannie opracowany i dobrze przygotowany na długie lata projekt...

- Jaki projekt? O czym ty znowu mówisz, kuzynie?

- Projekt obalenia Polski - rzekł ponuro i zamilkł. - Krok po kroku...

- Jak Polskę można obalić? To duży, trzydziestoseściomilionowy kraj w środku Europy! Takiego kraju nie da się obalić.

- A jednak, Anno, a jednak... próbują... Oto stos papierów

411

- potrząsnął gazetami - z których wynika czarno na białym, że Ukraińcy chcą oderwać nam Kresy...

- Nie, kuzynie, to, przepraszam, jakieś banialuki. Tak nie można myśleć - z oburzeniem odparła.

- To posłuchaj - zaszeleścił kartkami i wbił nos między gazety.

Czuła, jak przechodzą ją dreszcze, ale nie wiedziała, czy z powodu tej dziwnej rozmowy, czy raczej z niepokoju o Rubinowicza, który pewnie teraz w domu drży ze strachu.

- Czy prawdą jest, Anno, że 31 sierpnia 1931 roku został zamordowany nasz poseł, zaprzyjaźniony z Piłsudskim, Tadeusz Hołówko?

- No, tak, prawda.

- A kto go zamordował?

- No, dobrze, Ukraińcy - przyznała.

- A przecież to był człowiek, który im sprzyjał, zabiegał o ich interesy, dogadywał się z ukraińską opozycją w Sejmie.

- Ale przecież...

- Co przecież, Anno? Chcesz powiedzieć, że ten mord i te nowe, tyle, że tym razem już masowe, na Wołyniu to przypadek? I że nie ma między nimi żadnego związku. Nie, Anno, to nie żaden przypadek. To nie banda opojów i ukraińskiej dziczy napada. To z góry zaplanowana i precyzyjnie wykonywana akcja - zamilkł na chwilę, poprawił kołnierz koszuli i dokończył - by nas wystraszyć. By nas stąd wygnać, rozumiesz? By wypędzić nas z naszej ziemi. By odebrać nam nasze domy, majątki, szkoły, uniwersytety, biblioteki? Pojmujesz to? Nie pojmowała. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Szumiało jej w głowie. Miała tyle problemów, a tu jeszcze te okropne wiadomości... Wszystko jakby nierzeczywiste... Ale przecież kuzyn Artur nie był urojeniem. Był prawdziwy. Nigdy nie kłamał.

- I co teraz będzie? - spytała, bezradna.

- Nie wiem, Anno - odparł szczerze. - Najpierw musimy wiedzieć, dużo wiedzieć, bo bez tego nie zrobimy ani kroku. Musimy wiedzieć, co się naprawdę dzieje? Jaką to ma siłę i skalę? A jak już będziemy wiedzieli, to będziemy ostrożniejsi, mądrzejsi, bardziej przygotowani.

Trzeba temu jakoś przeciwdziałać, bronić się. Trze-

412

ba znać prawdę, Anno. Bo tylko w świetle prawdy można złu zaradzić. I nie wolno się bać prawdy - spojrział na nią z ukosa. Siedziała pogrążona w myślach. - Naturalnie - kontynuował - nasze podziemie sporo już o tym wie. Organizuje się, radzi, zastanawia... Nie powiedział, organizujemy się, radzimy, zastanawiamy, tylko organizuje się, radzi, zastanawia, jakby był poza tym podziemiem, z boku. A przecież nie był z boku. Był w środku. Musiał być. W

samym centrum wydarzeń. Doskonale się orientował, znał fakty, liczby, daty. Czują to, była tego pewna. A jednak nie przyznał się.

- Ale Wołyń daleko - odezwała się - tam mało Polaków, a tutaj, tutaj się nie ośmielą... tu wielki Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Kołomyja, wielkie umysły... uniwersytet na miarę europejską, profesorowie, uczeni, cywilizacja, kultura, nie, nie ośmielą się. Lwów teraz to niemal sami Polacy. Ukraińców, o ile pamiętam, zaledwie dziesięć procent...

- Chcesz powiedzieć, że się ulękną?

- Nie zaatakują wielkich miast...

- Ale są małe miasta, miasteczka, wsie, -sioła, majątki, dworki, świątynie...

- Boże!?! - chwyciła się za głowę. - Nie, Arturze - wyrzała spoza dłoni - nie możesz tak mówić. Jesteś niesprawiedliwy. Przedwcześnie osądzasz, kraczesz. Tak nie wolno. Ranisz moją duszę. Przecież to nie potwory. To żywi ludzie, chodzą do cerkwi, wierzą w Boga, mają wśród nas wielu przyjaciół, a my wśród nich, kochają dzieci i cieszą się życiem, tak samo jak my... Znam ich. Może niezbyt wykształceni, czasami ciemni, ale przecież wrażliwi - popatrzyła na niego z troską. - Opętała cię jakąś straszna, gorzka i niedorzeczna myśl. Zapadło ciężkie milczenie.

- Nie wiem, Anno, nie wiem - odezwał się, z pochyloną głową.

Patrzyła na niego, jakby wyłaniał się z zaświatów, daleki, nieznany, tajemniczy. Przyjechała tu, by uspokoić swoją niepewność, nachodzące ją lęki, by wyciszyć swój umysł i oczekiwała, że kuzyn poradzi jej, jak ma żyć, a on opowiada takie potworne rze-

413

czy. Ten obraz grozy i nienawiści, który rysował przed oczami, znacznie przerastał, teraz to sobie uzmysłowiła, jej domowe kłopoty. Czy w takiej sytuacji miała mu zawracać głowę jakimś wójtem, który wezwał zięcia do urzędu. Nie, nie będzie go tym męczyła, postanowiła. Sama sobie jakoś z tym poradzi. Kuzyn wciąż nie podnosił wzroku, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, w końcu wolno powiedział:

- Może rzeczywiście, Anno, masz rację. Może trochę przesadzam. Może jestem uprzedzony. Ale zbyt dużo wiem i nauczony niespodziankami historii, dmucham na zimne. Tutaj istotnie, szczególnie w dużych miastach, przeważa żywioł polski. Jesteśmy bezpieczniejsi. Czuwa podziemie. I nas nie zaatakują. W każdym razie nie od razu, nie teraz. Ale musimy być ostrożni. A przede wszystkim wy, tam, na wsi, musicie być czujni, uważni... Bo licho nie śpi. Podszedł do okna i patrząc w niebo, dodał:

- Nie zapominaj Anno, że Ukraińcy współpracują z Niemcami, że to wszystko dzieje się za przyzwoleniem Niemców i pod ich skrzydłami. Najlepszym przykładem jest 14. dywizja SS Galizien. Nabór do niej wśród ludności ukraińskiej był dobrowolny. W zasadzie nikt nikogo nie ciągnął siłą. Wstępowali jednak do niej masowo. Już w czerwcu tego roku zgłosiło się ich ponad 80 tysięcy, z czego przyjęto ponad 50 tysięcy. Mam dokładne dane. A wśród nich jest bardzo wielu byłych strażników z niemieckich obozów koncentracyjnych, są synowie bogatych chłopów, grekokatolicy popi i potomkowie ukraińskiej inteligencji. Naturalnie, całe, czy niemal całe dowództwo należy do Szwabów. A jakie rytuały się przy tym odprawia?! W kwietniu tego roku, w katedrze unickiej pod wezwaniem św Jura we Lwowie została odprawiona uroczysta msza św. z udziałem niemieckich dowódców, a celebrował ją znany ci biskup, J. Slipyj. Podobna ceremonia odbyła się też w Bóbrce, Samborze, Przemyślu i tutaj u nas, w Stanisławowie. Wszędzie grekokatolicy duchowni nawoływali Ukraińców, by wstępowali do frycowskich formacji wojskowych, a gdy wstąpili, błogosławili ich. Na przykład biskup przemyski, J. Kocyłowski, błogosławił ochotników na stadionie sportowym w Przemyślu,

414

a metropolita unicki, A. Szeptycki, przyzywał na to, a nawet wspierał te działania, zgadzając się na mianowanie doktora Wasyla Łabę na stanowisko referenta dywizji. A wiesz, co było najbardziej szokujące w tych ceremoniach? Nie wiedziała.

- To mianowicie - odwrócił się do niej twarzą - że umieszczano obok siebie chrześcijańskie symbole, takie jak krzyż czy święte obrazy i pogańskie runy, swastyki. To było dla nas, Polaków, najbardziej wstrząsające, obrzydliwe i hańbiące, kałało święte miejsca. Ale oni gotowi są na wszystko, na najdalej idącą współpracę z faszystami, by tylko nas zlikwidować. Powiem ci coś jeszcze, o czym mało kto wie, a mianowicie to, że SS-mani z tej dywizji posiadają na ciele, na przykład na ramionach, na piersiach, w kroczu, a nawet na podniebieniu tajne czarne tatuaże, a każdy z nich coś znaczy, być może rangę w służbie albo coś podobnego. No, i rzecz jasna, przysięga. W ich przysiędze nie ma słowa o narodzie ukraińskim, o wolności czy godności narodowej, tylko o wierności, lojalności i poddaństwie wobec Hitlera i Rzeszy.

Znowu wyjął ze stosu papierów jakiś zwitek i odczytał:

Być wiernym Hitlerowi jako najwyższemu dowódcy niemieckich sił zbrojnych. Wiernie służyć Adolfowi Hitlerowi jako fuhre-rowni Wielkich Niemiec. Na całe życie być wiernym Adolfowi Hitlerowi jako wielkiemu fuhrerowi nowej Europy.

Oto, na co przysięgają. A co to znaczy, Anno? To znaczy, że Ukraińcy związali się z faszystami na dobre i na złe, na śmierć i życie. A ich kapele grają na ceremoniach niemiecki hymn narodowy „Deutschland, Deutschland uber alles”. Najgorsze jest jednak to, że niektóre jednostki tej dywizji zostały włączone do działań represyjnych przeciwko ludności polskiej, do eksterminacji Polaków i ocalałych jeszcze tu i ówdzie Żydów.

Młynarzowa nie wiedziała, co ma powiedzieć. Znowu jej przyszedł na myśl Broniek Rubinowicz. Przeszły ją ciarki. Zaciśnęła zęby, przygryzła wargi, aż wypłynęła czerwona kropla krwi.

Zauważył to kuzyn.

- Krew masz na ustach, Anno - spojrzał na nią, zdziwiony.

- Och, nic takiego - sięgnęła po chusteczkę.

415

Wypiła do końca herbatę i patrzyła na kuzyna, jakby oczekując, że wreszcie powie jej konkretnie, co ma robić. Ale zamiast tego usłyszała, że właśnie wczoraj otrzymał wiadomość, że dowództwo Ukraińskiej Powstańczej Armii wydało rozkaz, by wszyscy policjanci, którzy dotychczas służyli Niemcom, natychmiast wraz z mundurami i uzbrojeniem przeszli do szeregów UPA. Polskie podziemie z niepokojem obserwuje te ruchy. Dochodzi wprawdzie też do wielu prób nawiązania kontaktów i rozmów między AK a UPA, by wspólnie uderzyć na Niemców, bo w końcu to ten sam wspólny wróg, ale od 10 lipca tego roku, kiedy dwaj polscy emisariusze Armii Krajowej, Krzysztof Markiewicz i Zygmunt Rumel udali się na spotkanie do wsi Kustycze i zostali przez banderowców zamordowani, kontakty zostały zerwane. Równie boleśnie zakończyła się próba współpracy polskiego podziemnego oddziału Celestyna Dąbrowskiego z UPA we wsi Dominopol przeciwko Niemcom, bowiem oddział został podstępnie wciągnięty w zasadzkę i przez ukraińską Służbę Bezpieczeństwa wycięty w pień, a wieś doszczętnie spalona.

- Nie można im wierzyć, Anno - zakończył kuzyn. - Są groźni, wiarołomni i źli. A my musimy nazwać ich zbrodnie po imieniu. I zapamiętać na zawsze. By się nigdy ich nie wyparli. Bo inaczej zło zaleje cały świat. I prawda nie ujrzy światła.

Patrzyła na niego w milczeniu. Miała podkrążone oczy i czuła w duszy wielki ból.

Z ciężką głową wracała do domu.

416

U WÓJTA

Tymczasem Mitia wsiadł na konia i popędził do gminy. Haw-ryło Kobylec zamknął za nim drzwi i sekretarce nakazał, by nikogo do niego nie wpuszczała. Już od progu wyznał, że kocha go jak syna. Mitia był tym zaskoczony. A wójt przypomniał, że nie zna drugiego tak sprawnego i utalentowanego młodzieńca jak on. I że jest jota w jotę podobny do jego pierworodnego, Wołodi, którego Ruskie na Sybir zesłali. I tego im wybaczyć nie może i nigdy nie wybaczy. A jego żona tylko płacze, ręce załamuje i rozpacza.

- Skurwysyny Sowiety! - kłął.

Walnął Mitie kufakiem w plecy aż zadudniło i począł rozwodzić się nad zaletami swego syna i jego rozumem. - Kropla w kroplę jesteście do siebie podobni - patrzył na Mitie. - Nawet oczy macie takie same. Jota w jotę. Jakbyście z jednej matki byli - zaśmiał się rubasznie. Potem krążył wokół Miti z nabrzmiałą twarzą. Cuchnął jak knur. Pewnie wyżyłopał z wiadro wody.

- Znaczy, Mitia - odezwał się po chwili - znaczy bratik, płynie w tobie prawdziwa ukraińska krew.

Mitia chciał zaprzeczyć, ale wójt znowu nie pozwolił.

- Płynie, płynie, bratczyku! - zaakcentował, jakby się domyślając, że Mitia będzie mówił o Bojkach. Przypomniał mu, że mieli się spotkać, gdy nadejdzie właściwa pora. I taka pora właśnie nadeszła. Mimo gorzały, pamięć go nie zawodziła. Okrążał Mitie, poważnie się nad czymś zastanawiał i nagle przystanął, zajrzał mu głęboko w oczy i oznajmił, że będzie się mógł sprawdzić jako prawdziwy Ukrainiec. Mitia uniósł głowę i już chciał spytać, co to znaczy sprawdzić i co to znaczy prawdziwy Ukrainiec, bo przecież on jest Bojkiem. I dlaczego się ma sprawdzać. Ale wójt, jak zwykł to czynić w podobnych momentach, uniósł palec do góry i kazał

417

śłuchać. Powtórzył, że Mitia będzie się mógł sprawdzić, jako prawdziwy Ukrainiec i słowo prawdziwy wyraźnie podkreślił. Bo oto, powiedział, powstaje samostijna Ukraina.

A więc znowu ta „samostijna Ukraina”, pomyślał Mitia. Czego on ode mnie chce.

- Samostijna Ukraina! - wychrypiał wójt i te dwa słowa „samostijna Ukraina” każde z osobna dobitnie wyartykułował, jakby na oczach Miti tworzył coś absolutnie nowego i wielkiego. - To już niedługo - mówił. - Może za pół roku, może za rok. Ale my - mówił - my Ukraińcy, musimy być do tego przygotowani. Szwabów Ruskie już gonią. Mamy swoje informacje. Wiemy, co się dzieje na wschodnim froncie. Na zachodnim też. Germańcy zwijają namioty. Dostają ciężkiego łupnia. A niedługo i my im wsadzimy nóż w plecy. Sowietci rosną w siłę i atakują. A my, Ukraińcy, musimy - mówił - na obu wrogów uważać. I na Moskala, i na Szwaba. Bo i jeden, i drugi to swołocz. A Sowiet to największa swołocz. Na razie przykleiliśmy się do Fryców, by pod ich skrzydłami wzmocnić nasze siły. Nie jesteśmy głupcami. Wiemy, co mamy robić. Podstęp, zdrada i siła, oto nasza broń. Szkolimy naszych ludzi w urzędach, mamy swoich w policji, w handlu, w przemyśle, w szkołach i na uniwersytetach. I tylko udajemy, że niemieckiego porządku pilnujemy. Ale jak przyjdzie co do czego, to nasi chłopcy z policji prysną. Już zresztą pryskają, spojrzal za okno, w las. Pryskają razem z bronią i umundurowaniem. Na chwilę zamilkł, zamyślił się i powiedział: - Prawdę mówiąc, Mitia, coraz liczniejsze grupy masowo przychodzą do naszej partyzantki. Już nas wzmacniają. Dostarczają nam broń i umundurowanie. Ale największe siły dotrą w połowie jesieni. By w odpowiedniej chwili, gdy nadejdą Sowietci, a pewnie nadejdą na wiosnę, od tyłu ich zaatakować. I gardło poderznąć. Rozumiesz, Mitia? - błysnął przekrwionym okiem. I nie czekając, czy Mitia rozumie, czy nie - opowiadał. - A z naszej policji - kontynuował - podporządkowanej dziś Szwabom, zrobimy silne podwaliny ukraińskiej armii i służb wywiadowczych. Nasi ludzie w urzędach to przyszłe kadry ukraińskiej administracji - wykładał. - No, i rzecz jasna, z naszych formacji

418

wojskowych, z dwu batalionów, Nachtigall i Roland, które dzielnie się spisały i wyszkoliły dobrą kadrę, mamy już wielu żołnierzy, a dochodzi 14. Dywizja Grenadierów, pod czujnym okiem naszego drogiego Włodzimierza Kubijowicza z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, która też nam coś sypnie z rękawa, nie mówiąc o dywizji Hałyczyna, która skupia kilkanaście tysięcy Ukraińców. My wszystko wiemy. My dokładnie śledzimy rozwój wypadków. Jak się ci wszyscy żołnierze przeniosą do naszej podziemnej armii, to będziemy potęgą. Mówię ci, Mitia, potęgą. Takiej potęgi jeszcze świat nie widział. I wtedy się nas zleknią. I o to właśnie chodzi. By się nas zlekli. By się nas bali. By wiedzieli, że światem rządzi siła i potęga. By obcych z naszej ziemi wystraszyć i wygnać raz na zawsze. Kapujesz? Mitia słuchał z osłupieniem. Nic nie wiedział o żadnych ukraińskich formacjach, dywizjach i Hałyczynach. A wójt sypał nazwami, liczbami, nazwiskami, jakby był głównodowodzącym. - To wszystko, Mitia, nam będzie służyć - chrypiał. - Swoich szpiegów mamy wszędzie. W polskich tajnych organizacjach, w szkołach, na uczelniach. Przeniknęliśmy do ich partyzantki. Mamy swoich ludzi w każdej gminie. Donoszą nam, co, gdzie, kiedy i jak. Wiemy, co polski Kościół mówi. Mamy swoje wtyczki w Paryżu, Londynie, Berlinie i za oceanem. A nawet w Rzymie, w Watykanie. Choć to się wydaje niemożliwe. Ale u nas wszystko jest możliwe. Mitia poczuł straszny szum w głowie. Huczała mu czaszka, jakby czołgi nadjeżdżały. Poczł się przygnieciony ciężarem wywodów wójta. Nie rozumiał wszystkiego. Wydawało mu się, jakby pod wielką górę szedł. Gdzieś z boku błysnęła myśl, że śni, ale wyraźnie słyszał słowa wójta.

- A ty, Mitia - wójt przemawiał wprost do niego, jakby Mitia był bojownikiem wielkiej sprawy, który ma wyruszyć na wojnę. - Ty, Mitia - wbijał w niego ślepie - ty, choć niby zwykły stolarz, musisz się na tym znać, boś szkołę skończył i wiesz, że nam ludzi wykształconych brakuje. A przede wszystkim brakuje nam złotych rąk do roboty. Takich, co najtrudniejsze rzeczy z niczego zrobią - zaakcentował. - Twoich rąk potrzebujemy. Bo ty wyjął-

419

kowe talenty masz. Ja cię obserwuję od lat. I już nieźle znam. A Lachom - mówił - nie zależało, by ciebie wykształcić na inżyniera, doktora albo nauczyciela. Nie mówiąc o wielkim, słynnym profesorze. Bo ty powinieneś być wielkim uczonym. A nie zwykłym majstrem. Bo ty, człowieku, masz talent. A oni, Lachy, nie dopuszczają ciebie i takich jak ty, synów ukraińskiej ziemi, do wyższych uczelni. Lachom w ogóle nie zależy, by dzieci ukraińskie kształcić. Nie dopuszczają do szkół, do uniwersytetów, do wyższych urzędów. Mitia pomyślał, że nikt mu w niczym nie przeszkadzał i mógł pójść na Uniwersytet, ale nie chciał. Mógł pójść także na Politechnikę Lwowską, jak niektórzy jego koledzy ze wsi, ale nie poszedł, bo nie miał takiego zamiaru. Mimo że matka go namawiała. A on nie chciał, wybrał sobie zawód stolarza, lubi też piece stawiać i z tym się czuje dobrze. Nie wie, dlaczego wójt go na siłę chce uszczęśliwić. Jest na swój sposób szczęśliwy. Ma piękną i zdrową żonę. Dwoje pięknych i mądrych dzieci. Nie brakuje mu domu, ziemi, pieniędzy. A jak trzeba będzie, dorobi sobie. Sił ma dużo. Dlaczego więc wójt takie rzeczy wygaduje. A poza tym, czy wszyscy muszą kończyć wyższe szkoły? Ale wójt jak w amoku, ciągnął:

- Zaniedbywali nas, poniżali, pogardzali nami i upokarzali nas. Nie będziemy już dłużej pokornie klęczeć przed nimi na kolanach. Pora, byśmy z kolan wstali.

Mitia przetarł oczy i gapił się na wójta, jakby go pierwszy raz widział. Zdawało mu się, że to wszystko, co się tutaj dzieje, jest nierealne. Jakby nawiedziły go jakieś zwidy.

- Mamy swoją dumę i honor, Mitia - mówił wójt w transie, nie zważając na osłupienie rysujące się w twarzy Miti. - Bo jesteśmy wielkim narodem. Nie potrzebujemy Ruskich, Szwabów ani Lachów. Musimy sami poczuć się gospodarzami tej ziemi. Rozumiesz? - urwał. I zaraz spytał:

- Znasz książkę naszego wielkiego Dmytra Doncowa 'Nacjonalizm'? Mitia zgłupiał. Nie znał żadnego Doncowa.

- A więc nie znasz? - wójt pokiwał z dezaprobatą głową. - Ale poznasz, bratik, niedługo poznasz. Bo to nasza biblia. Nasza

420

święta księga. Doncow, bracie, to wielki ukraiński myśliciel, filozof, uczonec. Uczy nas, jak zdobyć wolność i niepodległość - już mówił jakby do siebie. - Musimy zanurzyć ręce w obcej krwi i wytepić każde obce plemię, co do jednego, bo każdy na tej ziemi, każdy, kto nie jest Ukraińcem, jest wrogiem Ukrainy. Tak uczy Doncow. Posłuchaj.

Na chwilę zamilkł, wyjął z szafy książkę oprawioną w szary papier, zajrzał na zaznaczoną karteluszkiem stronę i przeczytał:

Sensem życia jest posiadanie i panowanie, jego istotą jest walka o przewagę, o rozrost i poszerzanie, o potęgę... - To Doncow - powiedział z uznaniem i spojrzał triumfalnie na Mitę. I jakby kończąc najważniejszy akord w życiu, dodał od siebie, zerkając jednak do książki: - Tak, bracie, naród, który odrzuca, jak to on mówi - po-czochrął się grubym łapskiem po głowie i zajrzał znowu do książki - ekspansję... nie, co ja plotę - poprawił się - ekspansję, dobrze mówię... tak... eks-pan-sję - wybijał rytmy - znaczy walkę... zagarnianie... jest w stanie upadku - ciężko odetchnął, jakby worek kartofli zwałił z karku. - A my, Mitia, zajrzał mu głęboko w oczy, my, bracie, właśnie przygotowujemy się do tej ekspansji i ataku... - długo patrzył na Mitę, sprawdzając, czy ekspansja i atak zrobiły na nim wystarczające wrażenie. Potem podsunął Miti wielkie dzieło pod nos i powiedział twardym, nie znoszącym sprzeciwu głosem:

- Takich, bracie, Ukrainie wielkich myślicieli i uczonych nie brakuje. Oni pokazują nam drogę. Są jak potężne ognie, latarnie morskie, które kierują nas w stronę zwycięstwa.

Mitia był oszołomiony. Hołowa podniósł książkę Doncowa do góry, pochylił się nad nim i wychrypiął:

- To Mitia, nasz skarb. Duch narodu. Pojmujesz? Duch! Mówił jakoś podniośle, niezwykle, co nie pasowało do jego trywialnej i nabrzmiałej twarzy.

Mitia odczuwał w słowach wójta jakąś potęgę, ale i jakiś szum, zgrzyt, coś niewyraźnego i groźnego, jakby ciężkie wielkie Ptaki dokądś odlatywały, o on nie był w stanie wszystkiego ogarnąć. Wójt, największa władza w gminie, powierza mu największe tajemnice. A on nie wie, po co. Właśnie, po co? - zastanawiał

421

się. - Dlaczego? - dręczyły go pytania. - Jaki ma w tym ukryty cel? Bo przecież ot tak sobie nie gada - czekał na dalsze słowa wójta Nie był głupi, by nie wyczuć, że za tym kryje się jakaś grubsza i ciemna sprawa.

Wójt odsapnął, wziął Mitę za bary, spojrzał mu głęboko w oczy i spytał:

- Czy dobrze jest gospodarować na swoim?

Mitia się zdziwił pytaniu. Oczywiście, że dobrze. Machnął głową.

- No widzisz - wójt się uśmiechnął. - Wolna Ukraina to będzie takie nasze wielkie, wspólne gospodarstwo. A ty, Mitia, będziesz jednym z gospodarzy. Rozumiesz? - wwiercał się głęboko w jego oczy. - Żydów już prawie wygnaliśmy. A te resztki, co zostały, szybko znikną. Teraz musimy wygnać Fryców, Ruskich i Lachów. A jak ich wygnamy, będziesz królem na swojej ziemi. Nasz lud nie jest ciemny, jak go nazywają Lachy. Tylko długo nie miał swoich wielkich przywódców, takich jak Bohdan Chmielnicki, potężnych atamanów, którzy by stanęli na jego czele, ale teraz ma. Na czele ukraińskiej wolnej myśli stoi Dmytro Don-cow. A na czele ukraińskiego oręża Stefan Bandera! Nasz wielki ataman.

Mitia i to nazwisko pierwszy raz usłyszał. Wójt pomachał głową i oznajmił, że ten plan się powiedzie tylko wtedy, kiedy tacy jak Mitia wezmą go sobie poważnie do serca.

- Znaczy, Mitia - mówił wójt - ty nasz.

Sięgnął po butelkę, nalał szklanekę i podał Miti. Sobie nalał drugą i huknął:

- Za samostijną!

I wlał do gardła. Mitia bez słowa, jakby mechanicznie wypił. I nie wiedział, czy to od alkoholu, czy od słów wójta, zawirowało mu w głowie. Wójt szybko nalał drugą szklanekę, Mitia natychmiast i ją wypił. Targnął nim skurcz, skrzywił się, a wójt zarechotał. I gołnął z gwinta pół flaszki. Zagulgotało, wójt odsapnął i opróżnił butelkę. Wylał rękawem wąsy, stanął naprzeciw Miti i patrzył mu prosto w oczy, jakby badając, czy przyswoił sobie lekcję patriotyzmu. A na koniec ostrzegł:

422

- Nikomu ani mru mru. Rozumiesz?

Mitia machnął głową. Wójt rąbnął pięścią w stół i wycharczał:

- Panowe chotyły nas zjisty!

I dodał, że czas polskich panów się skończył. Nadchodzi złota wolność dla Ukrainy. Na nią czekały pokolenia. I powtórzył, że samostijną Ukraina stoi już u progu.

Mitia widział wójta jak przez mgłę.

A wójt żegnając go, powiedział, że wkrótce się zjawia się u niego właściwi ludzie i on, Mitia, nie może im niczego odmówić. I w ten sposób go pożegnał.

Mitia wracał do domu ze strasznym hukiem w głowie. W domu nie odezwał się do nikogo.

Poszedł do sypialni i padł na łóżko. Młynarzowa i Kasia popatrzyły po sobie zaskoczone.

423

TAJNA MISJA

Kilka dni później Kasia z Mitią kosili łąkę. A młynarzowa przewracała widłami siano. Na wsi panował spokój i cisza. Młynarzowa po spotkaniu z kuzynem najpierw była przejęta i rozdygotana, ale gdy wróciła do domu i zajrzała do Rubinowicza, uspokoiła się. Rubinowicz nie wykazywał oznak strachu ani choroby. Był wprawdzie przygaszony i blady, ale gdy ją zobaczył, uśmiechnął się. Rozmowa z kuzynem wydała się jej teraz złym snem. Pomyślała, że nawet to, co się stało, więcej się nie powtórzy. Bo nie może się po raz drugi zdarzyć koszmar. Wojna zbliżała się do końca. Wszyscy już o tym mówili. Niemcy się wycofywali. Z frontów nadchodziły dobre wiadomości. Hamburg został zaatakowany przez alianckie samoloty i zrujnowany. Mussolini skapitulował, a Włochy się poddały. Rosjanie zaś przystąpili do ataku pod Lenino. Wlewała się w serca ludzkie nadzieja.

Niebawem przyjdzie dzień wyzwolenia, myślała młynarzowa, Polska odzyska wolność i życie wróci do normy. Z Syberii wróci też mój mąż. I syn się odnajdzie. Dlatego muszę, jak radził kuzyn, mieć więcej dystansu i chłodu, postanowiła. Przecież życie nie może być jednym wielkim pasmem cierpienia i bólu - uniosła głowę i zobaczyła, jak Mitia i Kasia zgodnie koszą trawę. Są tacy młodzi i piękni, pomyślała. I życie przed nimi. Cała przyszłość przed nimi. A poza tym, gdyby nawet miało się stać coś złego, to nas nie dotknie. Mitia przecież nie jest Polakiem. Jest Boj-kiem. Chodzi do cerkwi. Jest unitą. A więc jakby swój. A oni na swoich nie napadają. Bo i dlaczego mieliby napadać. Mordy na Wołyniu obejmują głównie polską ludność katolicką. Nie odważyliby się zaatakować unitę i Bojka. Opatrzność Boża nad nami czuwa.

Zerknęła na dzieci. Bawiły się i radowały swoim dzieciństwem.

424

No, dobrze, rozważała w sobie, Ukraińcy na chwilę oszaleli. Dostali jakiegoś amoku. Wstąpił w nich demon zła. Nieraz się tak zdarza. Połała się bratnia krew. Ale to się już nie powtórzy. Ciężko o tym myśleć. To boli. Ale przecież nie można wciąż tkwić w bólu. To się nie może już powtórzyć. Muszę poświęcić się teraz rodzinie, Kasi, wnukom, i rzecz jasna, Bronkowi, by czuł się u nas bezpiecznie. I już bardziej uspokojona, znowu zerknęła za dziećmi.

A dzieci ganiały za bocianami. Boćki na cienkich nogach jak na szczydłach brodziły w pobliskim strumyku. Co chwilę klekotały i wlatywały w powietrze, niosąc do gniazda zaskronca albo żabę. Borys poszukiwał małych zajęcy i kolorowych ptaków, które wylatywały z ukrytych w trawach gniazd. Zuzia zrywała kwiaty i wachała je, głośno pokrzykując:

- Babciu, mamó, jak pachnie!

Na innych łąkach chłopci układali stogi siana. A piękne jak łanie ukraińskie dziewczyny niosły garnki z kwaśnym mlekiem, pajdą grubo posmarowanego masłem i miodem chleba, i chichotały z radości. Chłopci co jakiś czas przeciągali się i nasłuchiwali melodyjnych przyspiewek, które się niosły z połonin.

Pod wieczór, gdy Mitia skończył koszenie i wrócił z Kasią do domu, zostawiając młynarzowa z dziećmi na polu, zjawili się dwaj młodzi mężczyźni z czarnymi wąsami, pozdrowili Mitię, zerkając z ciekawością na Kasię, która właśnie wchodziła do obory, nawet ich nie zauważając. Wzięli Mitię na bok i od razu przystąpili do rzeczy. Pewnie się domyśla, mówili, w jakiej sprawie do niego przyszli. A gdy odparł, że tak, pamięta zapowiedź wójta, odciągnęli go za stodołę, by nikt ich nie słyszał i powiedzieli mu krótko, że jutro o świcie musi się zjawić pod lasem, a tam już na niego będzie czekać, jak oznajmili, przewodnik, który go zabierze na wóz i zawiezie, gdzie trzeba. Wskazali dokładne miejsce spotkania, najgrubszy dąb na skraju lasu, niedaleko od drogi. Spytali, czy rozumiał, a gdy kiwnął głową, że tak, szybko się oddalili. Kasia wychodząc z obory dostrzegła ich, gdy otwierali furtkę. Od razu załomotało jej serce.

Od kiedy ukrywał się u nich Rubinowicz, każdy obcy na po-
42 5

dworku wzbudzał lęk. Spytała Mitię, kim byli dwaj mężczyźni i czego chcieli. A on stał blady i niewyraźny, jakby odebrało mu mowę. Spojrzał na Kasię z zakłopotaniem i odparł, że to byli ludzie w sprawie szarwarku. Kasia przez chwilę mu się przyglądała i zdziwiła ją pobladła twarz. Ale gdy uniósł głowę i uśmiechnął się, rozproszył wszelkie wątpliwości. Objął ją, pocałował i poprosił, by szykowała kolację, bo jest już głodny.

Po kolacji kołysał dzieci do snu, podśpiewując dumki i udając, że nic się nie stało. Ale w środku był niespokojny. Wiedział jednak, że nie może zdradzić się słowem. Gdy szli spać, powiedział Kasi, że skoro świt udaje się na roboty. Szarwark może potrwać dłużej i prosił, by się o niego nie martwiła, bo wróci jak najszybciej, kiedy tylko się da. Szarwark odrabiali chłopci od wieków i nie było w tym nic szczególnego. A że i Mitię wezwali, to też było normalne. I Kasia specjalnie się nie przejęła. Mitia oznajmił, że jedzie na wyrąb lasu. I o świcie pożegnała go długim pocałunkiem, odprowadziła do furtki, dziwiąc się tylko, że nie siada na konia ani nie bierze wozu. Ale szybko jej wytłumaczył, że narzędzia są na miejscu, a gmina potrzebuje tylko jego fachowych rąk. Odwrócił się i poszedł. W umówionym miejscu czekał na niego nieznany mężczyzna na wozie. Ponuro zmierzył Mitię ciemnym okiem i kazał siadać. Był mrukliwy, całą drogę milczał, a gdy w głębi lasu skręcili w bok, Mitia się zorientował, że nie zna już tego miejsca. Rosło tu coraz więcej drzew, a gdy wjechali w samą gąszcz boru, zrobiło się szaro, a nawet ciemno. Woźnica spytał, czy kiedyś tutaj był, a on odparł, że nie, i że nie zna tego lasu.

- To dobre, dobre - burknął przewodnik i trzasnął batem.

Musieli już ujechać kawał drogi, bo prześwitujące słońce wyszło wysoko na niebo, a kiedy wóz stanął na jakiejś polance, zza drzew wyskoczył młody mężczyzna z karabinem w rękę, nałożył Miti na oczy opaskę i bez słowa odszedł. Furman świsnął batem i wóz potoczył się dalej.

Mitia poczuł się źle. Był zaskoczony dziwnym traktowaniem. Nikt go nie uprzedził, co go tu spotka. Zastanawiał się, kim był ten chłopak z bronią. I dlaczego zawiązał mu oczy. I czy na pewno go biorą do jakiegoś zadania, czy może po to, by zabić. Bo może

odkryli jego działania na rzecz Żydów. I teraz dostanie kulę w łeb. Ale dlaczego mieliby zawozić go aż tak daleko, by zabić, zastanawiał się, skoro mogli go łupnąć na skraju lasu albo w domu. Coś mu tu nie pasowało. Nie, takie rozumowanie nie trzyma się kupy, myślał. Już chciał spytać woźnicę, dokąd jadą, ale gdy otworzył tylko usta, rozmyślił się. Tamten milczał jak kamień. I wyraźnie nie miał ochoty na gadanie. Ale dlaczego chłopak miał karabin? - dręczyło go pytanie. Aż wreszcie zrozumiał. Stał na warcie, by jacyś obcy nie kręcili się po lesie, klepnął się w czoło, aż furman podejrzliwie spod oka na niego spojrział. Przez jakiś czas trwali w milczeniu. Mitia miał rozgorączkowaną głowę i ciągle się bił z myślami. A tą cholerną opaskę na oczy nałożyli chyba po to, by nie znał drogi, w końcu domyślił się. Ale dlaczego? Wójt zdradził mu tyle rzeczy, a ci zasłaniają mu oczy?! Dziwne. Jakby prawda tylko w oczach była. Nie, nie, coś tu się innego kręci, zmagał się z wątpliwościami. Rosły znaki zapytania. Aż fura stanęła. Usłyszał jakieś głosy. Ktoś dał rozkaz, by mu zdjąć opaskę i zobaczył przed sobą kilku zarośniętych mężczyzn z bronią w rękę.

PODZIEMNE PAŃSTWO

No, przyjechał - wyciągnął do niego dłoń najgrubszy z nich, tęgi i kudłaty. I zarechotał: - Dobre wyhljadaje. - Kazał mu zejść z wozu i widać było, że jest świetnie zorientowany, z kim ma do czynienia. Huknął kułakiem Mitię w kark, tak samo jak wójt, i powiedział, że hołowa, Hawryło Kobylec, wystawił mu jak najlepszą opinię. I że nadaje się do tajnej służby. Mitia zbaraniał. Pomyślał, że wójt ma potężne znajomości i wielkie wpływy. Ale on nie rozumie, czego od niego chcą. I co to wszystko znaczy. A tamten opowiadał, że jak dobrze pójdzie, szybko awansuje w Ukraińskiej Powstańczej Armii. Jakby go znał od dawna. Mitia słuchał bez słowa, postanawiając, że im mniej będzie mówił, tym mądrzej postąpi. Bo z gadulstwa tylko same złe rzeczy wychodzą. Powinien za to jak najwięcej słuchać i patrzeć. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Wszystko tu jest dla niego nowe, obce, tajemnicze. Wójta Kobylca przejrzał na wylot. Wójt go wystawił. I oni go tu sprawdzą. Tylko dlaczego? I dlaczego jego? Musi się za tym kryć coś groźnego. Czuł to. Skoro go nie zabili od razu, to znaczy, że na razie udało mu się. Musi teraz bardzo uważać. Stał się bardzo ostrożny i nieufny. Rozglądał się, by nie wzbudzić podejrzeń. I od razu się zorientował, że jego też obserwują. I to nie jeden czy dwu mężczyzn. Ale więcej. Z kilku miejsc. Czuł się, jakby był na celowniku.

Najbardziej zaskoczyło go to, że on, Mitia, nadaje się do jakiejś tajnej służby i przyjechał tu, by w Ukraińskiej Powstańczej Armii służyć. Miał, wedle tego, co się zorientował u wójta, wykonać ważne zadanie i wrócić do domu. A tu się okazuje, że czeka go dłuższa robota. Na dodatek tajna służba. Jaka tajna służba? Co on ma wspólnego z tajną służbą. Wszystko niejasne, pokręco-

ne i zagmatwane. Nie wiadomo, w co wierzyć, a w co nie. I ledwie tu stanął, a już mówią mu o awansach. O jakich awansach? I z jakiej okazji. I wtedy przypomniał sobie, co wójt mu opowiadał o nożu wbitym w plecy Szwabom i o wojnie z Ruskimi. A więc oni tutaj się przygotowują, pomyślał. Z dala od hałasów, bez świadków, w centrum lasu. W wielkiej tajemnicy. I mnie dopuścili do tej tajemnicy? Ale dlaczego mnie? Dręczyło go to pytanie. Zerkał na prawo i na lewo. I zdążył się zorientować, że panuje tu jakaś organizacja, nieznany mu porządek, jakaś hierarchia. Na razie to tylko wyczuwał. Ale coraz bardziej się upewniał. Wokół płynęły jakieś polecenia, rozkazy, meldunki. Niektórzy młodzi chłopcy w mundurach, których nie znał i w czapkach, których też nie znał, biegali dokądś, potem wracali. Większość jednak była bez mundurów i też musiała wykonywać jakieś ważne zadania. Młodzi chłopcy i mężczyźni przemieszczali się z miejsca na miejsce. Oczywiście, nie wiedział nic konkretnego, ale czuł, że znajduje się w bardzo ważnym, wręcz newralgicznym miejscu, w

jądrze jakichś istotnych decyzji. I zaczęło mu wyglądać na to, że tu naprawdę dzieją się całkiem realnie i wielkie rzeczy. Już na sam rzut oka było to widać. A co dopiero mówić, gdyby wejrzał pod spód tego wszystkiego, gdzieś głębiej. To by dopiero zobaczył. Pomyślał, że wójt jest bardzo mocno związany z tymi mężczyznami. I, co najważniejsze, nie oszukiwał go. Tu się rzeczywiście rodzi nieznany mu świat. Widział coraz więcej wokół siebie uzbrojonych po zęby, dziko wyglądających mężczyzn. Byli ci, którzy wydawali polecenia, i ci, którzy je wykonywali. A więc prawdziwe ukraińskie wojsko. A że większość bez mundurów, to tylko znaczy, że nie zdążyli się jeszcze umundurować. Zaczęło go to intrygować. Chciał wiedzieć, co się naprawdę tu dzieje. Raz jeszcze rozejrzał się i widział mnóstwo ludzi z bronią. Pomyślał, że przywieźli go po to, by pokazać, jaka jest prawda. Bo tej prawdy na wsi ludzie nie znają. A w lesie rzeczywiście tworzy się Ukraińska Powstańcza Armia. I ta myśl go zaskoczyła, wręcz poraziła. Stał oszołomiony. Ale zaraz naszły go wątpliwości. A skąd mogą wiedzieć, co naprawdę tu się dzieje. Lecz brali go już na bok. Mężczyzna z re-

429

wolwerem w rękę otrzymał rozkaz od tego grubego, by zabrał go do setnika, jak powiedział. Nawet się nie zorientował, kiedy znalazł się w rozświetlonym bunkrze. Na ścianach wisały lampy. Bunkier wyglądał jak kwatera dowódcy. Były drewniane krzesła, ławy, gruby stół, a w rogu ustawione na sztorc karabiny i automaty. Pod sufitem wisała sino-żółta flaga. A na drewnianej ścianie widniało godło, tryzub.

Zrobiło to na nim duże wrażenie. Niby las, ale i nie las. A armia, żołnierze, składy broni, bunkry, tajne przejścia, flaga, godło. Tak, teraz już był pewien, że to wielka organizacja, porządek, siła. Hołowa dużo musiał wiedzieć, pomyślał z uznaniem o wójcie. Musiał znać tutaj wszystkich. Czuł, że się znalazł w centrum jakiejś władzy. W rdzeniu dowodzenia. I mnie tu dopuścili? - tego jednak już nie mógł pojąć. - Mnie, chłopca nikąd?

Usłyszał od siedzącego przy stole i kreślącego coś na mapie mężczyzny, że prowidnyk kazał mu się nim osobiście zająć. Uznał, że panuje tu ktoś jeszcze wyższy niż setnik i prowidnyk, jakiś Główny Prowidnyk, a może nawet Prowidnyk Prowidny-ków, dla niego niedostępny. A może stacjonuje tu gdzieś sam najwyższy wódz Bandera, o którym wspomniał wójt, najważniejszy ataman ukraińskiego wojska.

Sprawdzili jego personalia, imię, nazwisko, miejsce zamieszkania, wiek, stan cywilny - i w tym momencie pytający odwrócił się do drugiego, coś mu szepnął na ucho, a tamten uniósł wzrok na Mitę i burkął: - Dobrze, dobre, chaj maje - ale Mitia nie wiedział, o co chodzi. Tym bardziej że gdy tamten jeszcze raz na niego spojrzął i do tego drugiego powiedział, że to nawet lepiej, że coś ma, i obaj się uśmiechnęli, poczuł się jak mucha w pajęczynie. I nie podobał mu się ten uśmiech. Był jakiś śliski, boczny, jakby fałszywy. Zaskoczyło go, że jego nazwisko widnieje w jakiejś kartotece. I że wszystko o nim wiedzą. Wymieniali szczegóły z jego biografii, nawet imiona żony i jej matki, imiona siostr, wiek i imiona dzieci, wielkość gospodarstwa i stan zabudowań. Nic nie uszło ich uwagi. A skoro mają takie rozeznanie w mojej sprawie, myślał, to pewnie wiedzą, że ukrywam Żydów. Dlaczego nad tym przechodzą do porządku dziennego, zastana-

430

wiał się. A może nie wiedzą i okazałem się sprytniejszy od nich wszystkich.

Gdy skończyli sprawdzanie danych, starszy od niego chłopak, z surowym wyrazem twarzy i jasnymi włosami polecił mu iść za nim do drugiego bunkra. Po drodze milczał. Kiedy się tam znaleźli, znad stołu podniósł się wielki mężczyzna, z czarnym sumiastym wąsem, jak się domyślił, prowidnyk, i kazał mu dołączyć do innych. I wtedy dopiero zauważył, że z półmroku wyłania się szereg młodych chłopców w cywilnych ubraniach, mniej więcej w jego wieku. Kazał mu stanąć obok nich, twarzą do sztandaru i godła narodowego.

Mężczyzna zdawał się tylko na niego czekać. I też musiał wszystko o nim wiedzieć. Przyniósł bliżej oczu karbidową lampę, zajrzał do jakiejś kartoteki, przyjrzał mu się dokładnie, jeszcze raz zerknął do papierów, ale już o nic nie pytał. Od razu przystąpił do rzeczy.

Młodzieńcy stali pod ścianą wyprostowani i sztywni, jakby kije połąkali.

Mitia wiedział, że też musi tam stanąć. I nie może odmówić. Bo czeka go pewna śmierć. Tak pomyślał. I stanął. Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze, wziął do ręki jakąś książeczkę i oznajmił:

- Teraz złożycie przysięgę.

Chłopcy poprawili ubrania, wstrzymali oddechy.

- Powtarzajcie za mną - powiedział mężczyzna.

I zaczęli powtarzać, że zawsze wiernie będą służyć samostij-nej Ukrainie, których zbrojnym ramieniem jest Ukraińska Powstańcza Armia. I jej nigdy nie zdradzą. A jeśli zdradzą, za zdradę czeka ich surowa kara.

Młodzieńcy huknęli, że tak. Że nie zdradzą. I że za zdradę czeka ich surowa kara.

Mitia też bąknął, że tak, ale niewyraźnie, za cicho, jakby nie był czegoś pewny. Mężczyzna znowu mu się dokładniej przyjrzał i kazał ostatnie zdanie powtórzyć głośniejszym głosem. I on wyrzekł głośniejszym głosem, że tak, będzie wiernie służył samostijnej. A za zdradę czeka go surowa kara.

431

Ci chłopcy, którzy stali wyprężeni obok niego, recytowali słowa przysięgi zdecydowanie i kategorycznie, wbijając wzrok w usta prowadzącego, a potem w sztandar.

Wszystko stało się nagle, szybko i gwałtownie.

- A kochasz swoje dzieci? - spytał Mitę niespodziewanie prowadzący i nie czekając na odpowiedź, kazał odmaszerować. Pozostali mieli jakieś inne zadania. Właśnie ustalał z nimi, co mają robić. A jego pierwszego wysłał do roboty. Musiał mieć specjalne zadania, pomyślał. Bo niemal go gnali. Sprawy nabrały tempa. Znowu huczało mu w głowie. Kiedy inni ściskali mu dłoń i gratulowali wstąpienia do armii, nie był w stanie wypowiedzieć słowa.

Zaprowadzili go do dużego, pustego i ciemnego pomieszczenia, w którym po chwili pojawiły się żagwie. Kazali mu zrobić z tego sypialnię. Nie byli gadatliwi. A przeciwnie, mrukliwi i zamknięci. Z zaciętymi ustami. Pomieszczenie było, jak się wyrazili, dla strzelców, czyli dla strzelców, znaczy, żołnierzy. Pokazali mu też magazyn ze zdezelowaną bronią. Do niego należała naprawa karabinów, automatów i pistoletów.

Z odprysków rozmów, jakie wokół siebie słyszał, dowiedział się, że to arsenał po rozbitej sowieckiej armii, którą Szwabi gonili w 1941 roku na Wschód. A także broń wyniesiona z niemieckich magazynów i posterunków policji, gdzie służyli Ukraińcy, oraz z zasadzek na polskie oddziały, które w 1939 roku cofały się w popłochu. W drewnianych prostych szafach wisiały mundury rosyjskie, niemieckie, polskie, a nawet węgierskie. To też go zaskoczyło.

Ale po paru dniach już wiedział, że mundury te służą do maskowania ukraińskich partyzantów, jak o sobie mówili, którzy urządzają liczne zasadzki i wyprawy.

Teraz dopiero pojął, że obok głównego frontu wojny, toczą się jakieś inne, boczne, tajne bitwy. Istnieje jakby zapasowy, ukryty front, utajony, ale ważny. Odbywają się jakieś osobne manewry, taktyczne ruchy, o których nawet w najśmielszych snach nikogo by nie podejrzewał. W cieniu wielkiej wojny toczyła się inna tajemnicza i zaskakująca. Na razie wszystkiego się tylko domyślał. Ale wszystko na to wskazywało. I wszystko go tu zdumiewało i oszałamiało. Zaczął powoli pojmować, obserwując, co się wokół

432

dzieje, że pod lasem, pod korzeniami drzew, gdzieś w głębi ziemi buduje się potężne podziemne państwo ukraińskie, o którym pojęcia nie miał. Wszyscy mówili tu tylko po ukraińsku.

A on harował od rana do świtu. A gdy montował bunkier, dano mu do pomocy dwóch silnych, młodych chłopców. W mig uszykowali sypialnię z drewnianymi łózkami. Wbudował sprawną wentylację i podziemne sanitariaty. Wymurował też duży, ciepły piec. Największe wrażenie zrobiła na nim informacja, że niedaleko od tego miejsca buduje się podziemny szpital oraz magazyny żywnościowe. A specjalne grupy myśliwych przygotowują się do jesiennych łowów na dziki, sarny i jelenie.

Wbijali mu co dnia do głowy, że UPA działa sprawnie i niezawodnie, jak naoliwiona maszyna. Pojawiali się kowale, ślusarze, cieśle, bednarze i inni specjaliści, kując noże, sierpy, kosy i siekiery. Widział składy pił do drewna i wideł. Pomyślał, że ściągają najlepszych fachowców, by przygotować także narzędzia dla chłopów. Do roboty w gospodarstwie. Gdy miał chwilę na odpoczynek, usiadł pod drzewem, a pogoda była piękna, na pobliskiej polanie jakiś oddział młodych chłopców wysłuchiwał wykładu starszego mężczyzny. Dolatywały do niego pojedyncze słowa i całe zdania. Szybko się zorientował, że to szkolenie jednego z banderowskich oddziałów, który niedługo ma wyruszyć, jak słyszał, na akcję. A przed każdą taką akcją, tłumaczył mężczyzna, muszą poznać Dekalog ukraińskiego nacjonalisty.

Pierwszy raz usłyszał o tym dekalogu. Co innego dekalog, który znał z lekcji religii. Ale Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty nie miał nawet w rękę. I nigdy go nie czytał. Nawet sam hołowa nie wspomniął o nim. Mężczyzna tłumaczył chłopcom, czym jest ów Dekalog. Mówił, że muszą go znać na pamięć. Nawet, gdy zerwą się w nocy ze snu. Muszą recytować jak pacierz. Jak macie recytować? - pytał. A oni grzmieli, jak pacierz. I w domu każdego z was, kategorycznie rozkazywał, musi Dekalog ukraińskiego nacjonalisty wisieć na ścianie, jak święty obrazek. I ma być dla was, powtarzał, jak modlitwa. A tych przykazań, jak się już tutaj nauczycie, tłumaczył, to musicie nauczyć ich także swoich najbliższych, oj-

433
ców i matki, braci i siostry, a również sąsiadów, bo są one tak samo ważne, jak nasza święta księga, Nacjonalizm, Doncowa, dobitnie akcentował. Tak powiedział, nasza święta księga, Nacjonalizm, Doncowa. A więc znowu ten Doncow, przypomniał sobie Mitia. I z jeszcze większym uznaniem pomyślał o swoim wójcie, Kobyl-cu. Zna się na rzeczy. Chłopcy pokiwali głowami i powtórzyli, bo to nasza święta księga.

Mężczyzna najwięcej uwagi poświęcił dwu przykazaniom, siódmemu i ósmemu. I zacytował im z pamięci: Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszego czynu, jeśli wymagać tego będzie dobro sprawy. I polecił, by powtórzyli. Wrzasnęli: Nie zawahasz się... Wtedy spytał, jak to rozumieją. Chłopcy rozejrzeli się po sobie, ale jakoś nic nie mogli wydukać. Wówczas skarcił ich:

- Macie znać na pamięć każdą literkę. I każde słowo, jasne?

- Jasne, prowidnyk - znowu wrzasnęli, a echo rozniosło się po lesie.

- Nawet w półśnie albo tuż po przebudzeniu - wbijał im w głowę. - Macie znać. - I nakazał: - Musicie wytłumaczyć Dekalog swoim babkom i dziadkom.

- Zrobytsia! - wyrwał się któryś.

- Dobrze, Wasylu, dobre - dowódca pochwalił małowca. Przez kilkanaście minut objaśniał, że najniebezpieczniejszy czyn

oznacza, że niczego nie mają się bać, żadnych ran, krwi, ognia i śmierci. Niczego! - przesywał ich ciemnym spojrzeniem. Znowu wrzasnęli, że niczego. I wyjaśnił, że jak trzeba będzie, to nie będą patrzeć, czy przed nimi są starcy, kobiety czy dzieci, bo wszystkich, którzy nie należą do ich plemienia, należy traktować jak wrogów. I wypalić gorącym żelazem. Tak powiedział, wypalać gorącym żelazem. - Tak jest - wrzasnęli - wypalać gorącym żelazem. Bo tak mówią słowa: najniebezpieczniejszy czyn i wymagać będzie tego dobro sprawy - komentował. - Rozumiecie? - spytał. - Rozumiemy! - huknęli.

I wtedy zabrał się do przykazania ósmego. - Słuchajcie - zabrzmiał jego głos jak cięcie szabli. Była cisza jak makiem zasiał. Nawet leciutki wiatr ustał, jakby specjalnie, by nie przeszkadzać w szkoleniu. - Słuchajcie - instruował - przykazanie ósme brzmi:

434

Nienawiścią i bezwzględną walką będziesz traktować wrogów twojego narodu. - Chłopcy od razu powtórzyli: Nienawiścią i bezwzględną walką... A on dudniącym głosem dowodził, że nienawiść jest najpotężniejszym orężem walki. Wroga należy nienawidzić. Nienawiść to siła, obowiązek, moc dana przez naturę. - I tak jak w lesie, silniejszy rządzi słabszym, tak wy macie rządzić tutaj, na naszej ziemi - mówił. - Słabszego musicie likwidować. Bo tylko silny ma rację. Ten, kto zwycięża. A my, nasza nacja, ma być najsilniejsza, najpotężniejsza, bo takie są prawidła świata. Nasza nacja musi się umacniać

- tłumaczył. Bo tego wymaga sprawa. Rozumiecie? - pytał.

Pokiwali głowami, że rozumieją.

- No, to przejdźmy jeszcze na chwilę do następnych dwu przykazań. Posłuchajcie, powiedział, wygłaszając z pamięci: Ani prośby, ani groźby, ani tortury, ani śmierć nie przymuszą ciebie do wyjawienia tajemnicy.

Przeszedł się w milczeniu przed szeregiem, dokładnie przyglądając się każdej twarzy.

- No, Iwan - zwrócił się do pucułowego młodzieńca. - O jakiej tajemnicy mówimy?

Ten, jakby wystraszony, gwałtownie szukał wzrokiem pomocy, ale pomoc nie nadchodziła.

- Sam to musisz wytłumaczyć - prowidnyk okazał się wyrozumiały. - Więc?

- Nie wolno mi pisać słowa - Iwan wyrzucił z siebie jak z karabinu maszynowego i patrzył trwożliwym wzrokiem na prowidnyka, czy dobrze trafił.

- No, nie wolno - mruknął mężczyzna. - A komu nie wolno?

- dopytywał.

- Nikomu nie wolno mi nic zdradzić - rzucił pucułowaty.

- A najbardziej?

- Najbardziej nie wolno zdradzić wrogowi - wrzasnął młodzieniec.

- Dobrze, Iwane, dobrze - pochwalił go dowódca. - Bo za zdradę... - przeciągnął palce po gardle.

I wyrecytował dziesiąte przykazanie: Będziesz dążyć do poszerzenia siły, chwały, bogactwa i przestrzeni Państwa Ukraińskiego.

435

- To chyba jasne - oznajmił. Ukraina musi mieć przestrzeń życiową, terytorium, wielkie ziemie należne nam od wieków. Na wschodzie i na zachodzie. Na północy i na południu. To ma być wielki, potężny kraj. Do tego ma nam służyć nóż i rewolwer, trucizna i podstęp. To rzeczy, jakimi należy się posługiwać - tłumaczył. - A jeśli twoim wrogiem będzie twoja żona z innej nacji - zwrócił się do jakiegoś młodzieńca - to co nią zrobisz? - Ja jeju za... - zaczął młodzieniec, ale nie dokończył. Dmuchał silny wiatr i rozwiął słowa. Ściemniło się, grzmotnął piorun i lunął deszcz. Jakby się chmura zerwała. Oddział się zmył. Las opustoszał. Mitia także się schował. Wciąż brzmiały mu w uszach te niejasne słowa o nożu i rewolwerze ijajeju za... Zastanawiał się, co młodzieniec miał na myśli. Ulewa trwała krótko. Pokręcił się między drzewami. Oddział na powrót wychynał z bunkra i szkolenie trwało.

Usłyszał, że obowiązek zemsty za przodków musi wejść w kość i krew ukraińskiego nacjonalisty i wyrównać szale sprawiedliwości, a za górę ukraińskich trupów muszą paść jeszcze większe góry trupów przeciwnika, bo okrucieństwo wobec wroga nigdy nie jest za wielkie. I ścierpła mu skóra. Czuł w tych słowach coś ciemnego i bardzo niebezpiecznego, ale nie umiał tego nazwać. Aż dreszcze go przeszły. O czym oni...? - zdławił w sobie pytanie.

Bo ktoś krzyknął, by się natychmiast stawił. Wszedł do bunkra i otrzymał rozkaz, by wracać do domu. Odetchnął z ulgą. Przy pożegnaniu mężczyzna z sumiastym wąsem oznajmił, że jest z niego zadowolony, sprawdził się jako majster i technik, ale niedługo nadejdzie czas, kiedy będzie się musiał sprawdzić, jako prawdziwy ukraiński patriota. Otrzymał znacznie trudniejsze

zadanie i będzie musiał je wykonać. Mężczyzna zamyslił się na chwilę, podniósł ciemne, ciężkie oczy i burknął:

- Dość tej niewoli. To nasza ukraińska ziemia. Nie pozwolimy, by na niej panoszył się obcy żywioł. Rozumiesz? - wbijał w Mitia kłujące spojrzenie, a Miti zdawało się, jakby wójt do niego mówił. Ten sam ton, te same wybijane rytmy. Słyszał echa tamtej rozmowy. Ale szybko pojął, że to najpierw tutaj musiały paść te słowa, a potem zeszyły na dół, do wójtów.

Wąsaty mężczy-

436

zna pożegnał go mocnym uściskiem dłoni. - Ty łycar! - powiedział. - Łycar UPA. Takich nam treba! - klepnął go po ramieniu i zawołał: - Chaj żywe samostijna Ukraina! - wznosił rękę do góry, a Mitia automatycznie odparł:

- Chaj żywe!

Podjechał wóz i chciał już odejść, gdy mężczyzna go zatrzymał. Wolno i wyraźnie poinstruował:

- Musisz poznać „12 cech charakteru ukraińskiego nacjonalisty” i „Marsz nacjonalistów”.

I Mitia odchodząc, usłyszał jeszcze, jak oddział UPA wrzeszczy:

- Sława Ukrainie! Chaj żywe Bandera!

Wsiadł na wóz, ale tym razem nie zawiązywali mu już oczu. Nie wiedział, dlaczego raz zawiązują, a raz nie. Pewnie mnie sprawdzają - pomyślał. - Ale dlaczego tak? Powoził ten sam ponury i mrukliwy chłop. Przez całą drogę ani razu się nie odezwał. A kiedy dojechali do znanej już polany, Mitia zeskoczył i stanął na leśnej ścieżce. Woźnica coś burknął pod nosem i zawrócił, świsnął batem i zniknął w mrocznym lesie.

437

ROZMYŚLANIA

Wrrócił do domu. Kobiety powitały go radosnymi okrzykami. A Kasia przyłgnęła do niego i całowała mu twarz, szyję, usta. Borys włożył mu na kolana, a Zuzia czepiała się nogawek. Pobawił się z nimi, ale Kasia zauważyła, że nie wykazuje tyle entuzjazmu, co zwykle. Zwaliała wszystko na znużenie i wyczerpanie pracą. Przy kolacji razem z matką dopytywały, co to za szar-wark i dlaczego tak długo trwał. A on odrzekł, że teraz wojna i takie panują prawa. A ponadto, skłamał, zabrali go dość daleko do wycinania lasu i wyrąbywania nowych dróg dla transportu drewna, co wydawało się całkiem logiczne i już więcej go nie męczyły. Był jakiś osowiały i zadumany. Gdy kładł się spać, marszczył czoło, jakby czegoś nie rozumiał. Tulił Kasię, ale ona czuła, że myślami jest gdzie indziej. A gdy gładziła go po głowie i patrzyła mu prosto w oczy, pytając, dlaczego się tak zamysła, odparł, że życie staje się coraz trudniejsze i ona nawet nie wie, jak wiele spraw ma jeszcze do załatwienia. Od razu pomyślała o Żydach. I spytała, czy ukrywają się w lesie, na co on skinął głową, że tak i teraz, gdy nadejdzie zima, będzie im bardzo trudno przeżyć. Ale kiedy to mówił, wiedział, że na Żydów w lesie nadciąga inne niebezpieczeństwo, z którego oni sami nie zdają sobie sprawy. Długo leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w sufit i milczał. A Kasia czuła, że jej kochany dokądś odpływa. Nie mógł zasnąć. Rosła przed nim ogromna, niepojęta Ukraina, której kształtu ani potęgi nie był w stanie ogarnąć. Wiedział jednak, że powstaje wielkie podziemne państwo, a on, Mitia, w części je budował. Wiedział to, ale nie radził sobie z tym. Nie rozumiał wszystkiego.

Domyślał się, że poza tą częścią, którą widział na własne oczy, istnieje głęboko ukryty sztab ludzi, przywódców, wielkich umy-

438

słów, które nad tym pracują. A na ich czele, powtarzał już znane nazwiska, stoją Dmytro Doncow i Stefan Bandera.

Jego myśli powoli układały się w jakąś całość i zaczął widzieć odważny, wielki projekt, z którego wyłaniała się wolna Ukraina. Przewracał się na drugi bok i powtarzał w myślach: wolna Ukraina, wolna Ukraina i bardzo chciał zrozumieć, co naprawdę znaczą te dwa słowa.

Nie wtedy, kiedy się je wymawia, a wtedy, kiedy stają się rzeczywistością. I czy staną się naprawdę kiedykolwiek i jakkolwiek rzeczywistością. Jaka ta wolna Ukraina będzie, skąd dokąd, z jaką władzą, z jakimi zadaniami i celami. I kiedy powstanie. I jaką rolę jemu, Miti, w niej wyznacza. Ale nagle zadrżał. Zabrzmiały mu w uszach te straszne słowa o nienawiści. Przestraszył się ich. Choć nie dotyczyły bezpośrednio jego, czuł, że niosą z sobą jakąś groźbę i nieszczęście.

Zaczął mieć żal do matki, że nie wtajemniczyła go głębiej w historię. Targnęła nim złość, gniew, bunt. Dlaczego dopiero teraz się dowiaduje o samostijnej Ukrainie. Dlaczego nie uczyli go tego w szkole? Dlaczego nie mówiła o tym matka, nauczycielka? A ojciec opędał się od niego jak od psa, gdy chciał go o coś zapytać. Ponuro na niego patrzył, jakby miał do niego wieczne pretensje. Zadumał się i odkrył, że w jego życiu zmienia się coś bardzo istotnego. Ale nie wiedział, co. I wtedy powróciły znowu tamte straszne słowa o nienawiści i o tym, że w świecie zawsze trzeba walczyć. I że nóż i rewolwer, trucizna i podstęp, to rzeczy, jakimi... należy się posługiwać.

Dotarły do niego te słowa z lasu jak ostre kolce, które kłuły serce i jeszcze bardziej burzyły mu spokój. Kręcił się jakiś czas, aż zasnął. Ale i we śnie rzucał się niespokojnie. Płatał się w sprzecznościach, wykrzykiwał niezrozumiałe dla Kasi wyrazy. Kasia budziła go, a on wlepił w nią nieprzytomne oczy, jakby jej nie poznawał. A rano otrząsał się z sennych majaków, złe mary odchodziły, uspokajał się, przeciągał, szeroko ziewał, wstawał, podchodził do okna i spoglądał w stronę gór.

Zobaczył bezchmurne, czyste niebo i świecące w oddali dwa wielkie szczyty, Howerłę, zatopioną w promieniach słońca i Iwana Popa, błyskającego złotym światłem. Odczuł jakąś ulgę, sam nie wiedział, skąd się wzięła. Zawsze, gdy patrzył na Howerłę

439

albo na Iwana Popa, jego serce wypełniało się ciszą, łagodnością i miłością do tej pięknej krainy. Pomyślał, że nadeszła pora, by zwieźć na zimę trochę drewna z lasu. Ubrał się, zjadł śniadanie, zaprzągnął konia do wozu i ruszył. Kasia pokiwała mu ręką i patrzyła za nim, aż zniknie za zakrętem. A spod lasu wyłoniła się sylwetka listonosza.

440

LIST OD CIOTKI

Gdy listonosz się zjawił, był jakiś nerwowy, niespokojny, szybko wyjął z torby list i rzucając ukradkowe spojrzenia na boki, bez słowa podał go Kasi, wsiadł na rower i odjechał. Zerknęła na kopertę i odczytała nazwisko krewnej z Wołynia, z miasta Łucka, Anieli Korupackiej, ciotki mamy. Do niedawna była jeszcze właścicielką dwu sklepów z sukniem i należała do zamożnych mieszczan. Gdy jednak wkroczyli Sowieci, zastrzelili jej męża, Alberta, ponieważ próbował uciekać, chroniąc się przed wywózką na Sybir, odebrali jej sklepy, a ona sama cudem uniknęła śmierci. Żyła teraz skromnie, od czasu do czasu dając znać, co się z nią dzieje. Mimo smutnego losu, okazała się kobietą heroiczną, pogodną i wesołego usposobienia. Najpiękniejsze w niej było to, że łatwo się nie poddawała. Im cięższe spadały na nią razy, tym bardziej stawała się twarda i nieustępliwa. Wszyscy ją za to cenili, kochali i podziwiali.

- Jak ty to robisz? - pytali, widząc na jej twarzy uśmiech. A nie były to dobre czasy dla uśmiechu.

A ona niezmiennie odpowiadała, że drzemią w człowieku potężne, nieogarnione pokłady dobra i wielkich mocy, tylko człowiek nie zawsze o nich wie.

- To są nasze duchowe skarby - mówiła. - Bez nich życie stałoby się bezbarwne i smutne.

A ona, Aniela Korupacka, nigdy nie dopuści, by jej życie stało się bezbarwne i smutne. Nawet po śmierci męża.

- Teraz częściej się będę z nim spotykać - mówiła - niż za życia. Od dnia śmierci jego duch stale będzie nade mną krążył, a ja nadrobię stracony czas, gadając z nim bez przerwy, szczególnie po nocach.

441

Taka była. Dumna i harda. Dawno jednak już nie pisała. Ostatnie listy były na przemian wesołe i melancholijne. Czuło się, że następuje w niej jakaś wewnętrzna przemiana. Musiała teraz głębiej przeżywać dramat samotności niż wcześniej. Czuło się to po tonie korespondencji i naturze zwierzeń.

Gdy Kasia przekazała list matce, młynarzowa szybko go otworzyła i zaczęła czytać na głos. Kochani moi, Anno, Kasiu i księżu Robercie - zwracała się do najbliższych we wsi - wybaczcie mi, że nie piszę do was osobno, ale wszystko, co mam do powiedzenia, zawrę w jednym. Bo czas nagli. Sama nie wiem, od czego zacząć. Bo nie wiem, czy dotarły już do was te straszne wieści z Wołynia...

- Boże! I ona?! - szepnęła młynarzowa.

- Co i ona, mamus? - nie zrozumiała Kasia.

- Och, nic takiego - odrzekła. Nie zdradziła córce, co usłyszała w Kołomyi od kuzyna Artura. Nie chciała zasiewać strachu w jej sercu i wprawiać w smutek całego domu. Mitia też nic o tym nie wiedział. Chciała im oszczędzić ciężkich snów. Poza tym, przemyślała wszystko na nowo, i uznała, że kuzyn Artur przesadził, wyolbrzymiając i nadmiernie rozdmuchując epizody, które się nie tak dawno wydarzyły. Wydało się jej teraz, że nie mogły mieć aż tak wielkiej rangi, jaką im przypisywał. W końcu wszystko z biegiem czasu staje w świetle właściwych proporcji, myślała. I do wszystkiego nabiera się dystansu. A poza tym, to już historia, wmawiała sobie. Bo nawet po najbardziej dramatycznych wydarzeniach następuje czas ukojenia i równowagi. I taki czas właśnie nastąpił, czas ukojenia i równowagi. Uznała, że to, co usłyszała w Kołomyi, to był jakby zły sen albo halucynacje, które produkują demony, gdy trwa wojna. Wtedy człowiek wszystkiego się boi. I wszystko rośnie na potęgę. Strach, przerażenie, ból, cierpienie. Całe zło ma wielkie oczy. A wydarzenia nabierają apokaliptycznych rozmiarów. Pora, by nad tym wszystkim zapanować. Przecież przez całe życie nie można się bać. Nie można trwać w goryczy i przerażeniu. I wzmocniona na duchu, nieco się uspokoiła. Obserwowała wokół siebie ludzi i nic podejrzanego nie zauważyła. Wieść żyła własnymi sprawami i własnym ryt-

442

mem. Była cicha i spokojna. Kończyło się lato. Nadchodziły zbiory owoców, ziemniaków, buraków, kukurydzy, kapusty, tytoniu; robota na całe tygodnie. Pod wieczór na stokach wzgórz zapalały się ognie, płonęły ogniska, a dziewczyny znowu śpiewały miłosne pieśni. Życie wracało do normy.

A tu ten dziwny list.

Jakby zgrzyt w naturze, zmaćnienie obrazu.

Popatrzyła z troską na Kasię i zaczęła żałować, że zdecydowała się czytać na głos. Ogarnęły ją złe przeczucia. Sama nie wiedziała, skąd się wzięły. Dziwny niepokój chwycił ją za gardło. Jakby jej coś mówiło: „Oszczędzaj Kasię, uwalniaj ją od zgryzot i kłopotów świata.

Wystarczy, że sama się zadręczasz. Swojej córce tego oszczędź." Nie wiedziała, co to takiego, ale czuła, że za tym listem czai się jakiś zły cień. A Kasia i tak ma własne problemy, myślała.

I szybko wykombinowała:

- Wiesz co, córuś - powiedziała - może pójdz do cielaka, napój go, bo nadeszła pora, a ja spokojnie przeczytam list i powtórzę ci, co ciocia pisze. Cielakowi coś dolega i musimy o niego bardziej zadbać.

- Ale ja chcę posłuchać - odrzekła Kasia, obserwując matkę.

- Córeczko, wiesz, jaka jest ciocia. Nieraz pisze zabawne historyjki, a kiedy indziej popada w melancholię. Im starsza, tym mniej w niej pogody ducha - tłumaczyła, byleby tylko Kasię wyrzucić na dwór. - Idź dziecko, idź, bo cielak czeka.

- Ale opowiesz mi potem - upewniła się Kasia.

- Naturalnie, córeczko, opowiem.

I Kasia wyszła. Młynarzowa zerknęła w okno. Zmrużyła oczy, bo zobaczyła, że wolno zmierza ku furtce ksiądz Kołtek. Zastanowiło ją to. Nie za często o tej porze się zjawiał. Zwykle przychodził późnym wieczorem. A tu dopiero zmierzch.

Poczuła przenikające ją drzenie ciała. Tu list z niepokojącym początkiem, a tu ksiądz Kołtek. Skąd ta zbieżność? - zastanawiała się. - Przypadek? - myślała. I przypomniała sobie, jak kuzyn Artur tłumaczył jej, że nie ma w życiu przypadku, a wszystko ma jakiś ukryty i głębszy sens. I wszystko ze wszystkim się łączy, świat jest powiązany milionami niewidzialnych nici, któ-

443

rych, rzecz jasna, nie znamy i nie jesteśmy w stanie ich ogarnąć i pojąć. - Ale czy to prawda?

- patrzyła jak ksiądz Kołtek przystaje, unosi głowę do góry i długo patrzy w niebo. - Skąd można wiedzieć, że coś jest przypadkowe albo nieprzypadkowe. Próżno dociec - w końcu uznała. - Niech się filozofowie tym zajmują, a nie ja, gospodyni wiejska. I usłyszała pukanie. W drzwiach stanął ksiądz Kołtek. Jakby był zdziwiony jej widokiem. Na czoło wypłynęła mu fala zmarszczek.

- Błada jakaś jesteś, Anno - zaniepokoił się. - Coś się stało?

- Witaj, wuju - odezwała się. - Nie, nic takiego... to znaczy... chciałam powiedzieć, że nic mi nie dolega.

- To dobrze, Anno, dobrze, bo zdawało mi się... zdaje mi się... - urwał, dokładnie się jej przyglądając.

- Och, nic mi nie jest. Może jestem tylko trochę przemęczona.

- No tak, tak, rozumiem, Anno, ciężko wam tutaj, nieustanna harówka, obowiązki, gospodarstwo, wojna, udręki...

- Wszystkim ciężko, wuju - odparła. - Wojna każdemu daje się we znaki... sam wiesz...

- Wiem, Anno, wiem.

Zobaczył, że gniecie w rękę zwitek papierów.

- A to co? - spytał, pokazując wzrokiem.

- Ach, to...? - była spłoszona. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Jakoś tak samo się działo. Jakby poza nią. Jakieś złe przeczucia, choć nic konkretnego.

- Od kogo? - spytał ksiądz.

- Od cioci Anieli z Łucka... - pokazała zgniecione kartki

- Od tej naszej kochanej chichotki? - uśmiechnął się. - Nigdy nie traci humoru. Pewnie znowu chce cię czymś miłym zaskoczyć, rozbawić...

- Nie wiem, wuju, nie wiem... początek wcale niezabawny...

- Jak to? Ciotka Aniela może się obejść bez wesołości?

- Nigdy tak nie pisała...

- Ale widzę, że list długi, kilka kartek...

- Rzeczywiście, rozpisła się...

- No, to czytaj, Anno, czytaj - rozejrzał się po mieszkaniu.

- A gdzie Kasia, dzieci, Mitia? - szukał oczami.

444

- Kasia poi bydło. Mitia w lesie. A dzieci śpią.

- No, to czytajmy, czytajmy - usiadł przy stole.

- Herbaty?

- Nie dziękuję, wpadłem na chwilkę, by się dowiedzieć, co u was i leć dalej, czytaj, czytaj...

- Na początku ciotka pyta, czy wiemy, bo zwraca się do nas wszystkich, i do ciebie też, wuju, pyta, czy wiemy, co się stało na Wołyniu...
- Ach tak... o to pyta...
- Coś już o tym wiesz? - z zastanowieniem wyrzekła.
- Najpierw przeczytajmy, a potem ci powiem, co wiem.
- Dobrze, to posłuchaj - pochyliła się na listem - ...nie wiem, czy dotarły już do was te straszne wieści z Wołynia. Ciężko mi o tym mówić. Po Żydach zabrali się teraz za nas, Polaków. Ukraińska policja oczyściła Krzemieniec z Żydów, wymordowała w tym mieście, jak mówią ludzie, blisko osiemset osób, najwięcej starców i dzieci. A ilu zabiła w Łanowcach, Tuczynie, Lubieszowie, Rokitnie, nie sposób policzyć. Nie ma już, Anno, żydowskich sklepów, adwokackich kancelarii, gazet, szkół, gwaru żydowskich dzieci. Opustoszały piękne synagogi, perełki architektury, bożnice, nie słychać melodyjnych śpiewów żydowskich dziewczyn, nie widać ich tańców. Zrobiło się pusto, szaro, cicho i smutno. Odebrano nam, Anno, ważną część naszego życia, jakby coś ze środka naszej duszy wyrwano, wycięto... ból, Anno, duży ból, gorycz, strach... A jak włączyli się do tego Niemcy, to Ukraińcy przygotowali listy proskrypcyjne, by umożliwić im szybszą likwidację Żydów. I sami brali w tym barbarzyństwie udział. Najczarniejsze godziny nadeszły, gdy likwidowali getta. Najpierw, w lipcu, zlikwidowali getta w Równem i Ołyce, skąd wywieźli na pewną śmierć ponad dziesięć tysięcy Żydów, a tutaj, u nas, w Łucku, przy pomocy ukraińskiej policji zlikwidowali getto w sierpniu ubiegłego roku. Co się nie działo, strach pomyśleć. Dantejskie sceny do dzisiaj po nocach mi się śnią, mordy, krew, śmierć. Najgorszy był jednak koniec minionego lata i początek jesieni, kiedy zbiegłych mordowały po lasach ukraińskie bandy. Mówi się, że na Wołyniu w straszliwych mękach utraciło życie ponad sto tysięcy Żydów. Pojęcia nie masz, Anno, co myśmy tutaj przeżyli. To było istne piekło. Już nie ma naszych żydowskich przyjaciół Rozenzwajgów, Kugelszwarców, Pipmanów, Apfelbaunów, Blunel-feldów, Karnetów i Zukermanów. Jak jeden mąż padli pomordowani przez

445

ukraińskie potwory. W ich domach hula teraz wiatr, a ze środka komnat złodzieje i szabrownicy powykradali wszystko, co się tam znajdowało. Niestety, Anno, i nasi rodacy, Polacy, brali w tym barbarzyństwie udział i szabrowali pożydowskie mienie. Nocami wdzierali się do kamienic i łupili wszystko, co się dało. Zachowywali się jak najgorsi niegodziwcy i łajdacy. To smutne, Anno, bardzo smutne. Chrześcijanie, a postępują jak nieokrzesana swołocz.

Nie ma już mojej słodkiej Ruty Finkelstein, którą przecież znałaś, to twoja rówieśniczka. Zamordowali ją Ukraińcy, najpierw gwałcąc, a potem siekierami ćwiartując jej ciało na kawałki. To był straszny mord, Anno! Nie mogłam patrzeć na jej zmasakrowane ciało. Na dodatek poukładali rozerwane części przed lustrem w jej sypialni, jakby poskładali od nowa, martwą twarz pomalowali na czerwono, niby że jest żywa, grzebień wsunęli w jej rękę i miała się niby sama sobie przyglądać i czesać. Potwory! Do dziś cisną mi się łzy do oczu. I cała drzę.

Nie ma już, Anno, naszej utalentowanej Rebeki Bucholz, mojej przyjaciółki z lat szkolnych i jej pięknej czwórki dzieci. Pamiętasz, jak najstarsza z nich, Tajga, grała na skrzypcach i śpiewała. Jakby same anioły użyczyły jej głosu. I oto nie ma już jej pośród żywych. Zakopali ją zdegenerowani ludożercy po szyję w ziemi. Najpierw ją, dziesięcioletnie dziecko, a Rebecę kazali na to patrzeć, a potem średnią, sześciolletnią Małkę zakopali, następnie czteroletniego synka, Symeona i wreszcie najmłodszą, dwuletnią Chanę. A na koniec zakopali samą Rebece. No, i znęcali się nad nimi. Boże, jak oni strasznie się nad nimi znęcali! I to nad kim? Nad bezbronną kobietą i jej malutkimi dziećmi. Zostawili wszystkich w słońcu, gdy żar lał się z nieba. I solone śledzie siłą do gardła im wpychali. Biedne dzieci. Ale i to nie koniec męki.

Pod wieczór, gdy dzieci złaknione wody coraz ciszej jęczały, a Rebeka bezgłośnie wzywała Boga, przynieśli kosę i jakby kosili łan zboża, ścinali po kolei im głowy, jedna po drugiej, zaczynając od najmłodszej, dwuletniej Chanki i żądali, by matka na to patrzyła, Ale ona nie mogła już patrzeć. Zamknęła oczy i cicho mamrocząc pod nosem, umierała. I jej też ścięli głowę, na końcu.

Młynarzowa przerwała czytanie. Nabrała oddechu, jakby się dusiła.

Ksiądz Kołtek podniósł się z krzesła.

- Nic, nic, wuju. Zaraz mi przejdzie - cicho powiedziała. I jeszcze raz wciągnęła powietrze. Jej oczy zaszklily się. Zacisnęła zęby i trwała w zagubieniu.

Ksiądz Robert powoli usiadł i patrzył na nią z troską.

446

Zagryzła wargi i stłumionym głosem czytała dalej.

Już nigdy Rebeka ani jej śliczna córka, Tajga, nie wystąpią na koncertach. I nie będziemy już im bili braw. Nie ma także, Anno, naszej mądrej Chajki Szwarcowej, nauczycielki.

Zamordował ją jej ukraiński uczeń. A wcześniej nad nią się znęcał, kłuł twarz nożem, obcinał wargi, nos, piersi, a na koniec poderznął jej gardło i przez dziurę wyciągnął na zewnątrz język.

Przeszły ją ciarki. Wbiła oczy w księdza, który siedział z pochyloną głową i bezgłośnie poruszał ustami, jakby się modlił.

- Wuju - odezwała się. - Czy to możliwe? - rozglądała się, jakby nie mogła się uwolnić od męczącego snu. Miała takie poczucie, jakby znalazła się w świecie nierzeczywistym, obcym i niezrozumiałym. I że ona sama jest nierzeczywista i nieprawdziwa. I że to wszystko, to jakaś złuda, chore rojenia. - To ty jesteś, wuju? - patrzyła na księdza wielkimi, przerażonymi oczami.

- Tak Anno, ja, ja... - szepnął. - Wiem, że dla ciebie, dla nas... to zbyt trudne, niemożliwe, rani, boli...

- A więc to prawda - skurczyła się, nagle zmalęła. Jakby jej ubyło. I kręciła niemo głową. Jej twarz szerniała, czoło zmarszczyło się. Zajrzała do listu, upewniając się, czy widzi litery, słowa i zdania. I czy są one prawdziwe. Martwym, zgaszonym głosem czytała dalej.

No, a jak skończyli z Żydami, zabrali się, jak już powiedziałam, za nas, Polaków. Od kilku tygodni wyrzynają nas w pień, całymi powiatami, powiat po powiecie, wieś po wsi, dwór po dworze. Jak na razie nie ośmielili się tylko napaść na Łuck, bo to za duże miasto, by mogli wszystkich wymordować, ale napadają już na przedmieścia. Najbardziej wykrywawili jednak polskie wioski. Połowa z nich już nie istnieje. Pamiętasz Chrynów, Domi-nopol, Mikulice, Kalusów, Gucin, Zemlice, Rudnię, Kisielin. Już ich nie ma, Anno. Spalone, a polska ludność wymordowana. A wszystko zaczęło się od hasła, jakie przechwyciło nasze podziemie. Bo pewnie już wiecie, że na Wołyniu rozpoczęła się organizować Armia Krajowa. I to chłopcy z AK przechwycili to hasło. Brzmi ono tak: Wyrznąć Lachów do siódmego pokolenia, nie wyłączając tych, którzy nie mówią już po polsku.

Niestety, muszę się trochę poskarżyć i na polskie podziemie, bo i sami nasi partyzanci, pełni żaru i zapału chłopcy z AK się skarżą, że nie wolno im uderzać na Ukraińców w akcjach odwetowych. Bo mają taki rozkaz.

447

Dowiedziałam się o tym, gdy pytałam ich, dlaczego nie uprzedzają ataków, tylko czekają, aż banderowcy wymordują nas co do nogi. I oto, co usłyszałam od młodziutkiego kaprała (cytuje z pamięci): „Dowódca Okręgu AK Wołyń płk. Kazimierz Babiński „Luboń”22 kwietnia 1943 r. rozkazał-„Zakazuję stosowania metod, jakie stosują ukraińskie rezuny. Nie będziemy w odwecie palili ukraińskich zagród i zabijali ukraińskich kobiet i dzieci... Z całą surowością będę pociągał do odpowiedzialności dowódców i żołnierzy, którzy by posunęli się do takich niegodnych czynów...”.

No i bez obrony oraz uprzedzających ataków zalewa nas teraz największa fala zbrodni. Zaczęła się w niedzielę, 11 lipca, a więc bardzo niedawno. Tuż przed świtem tego dnia bandy UPA równocześnie napadły na Gurów Wielki, Gurów Mały, Wygranę, Zdżary, Nowiny, Zagaje, Poryck...

- Wuju - przerwała czytanie - mówił mi już o tym kuzyn Artur. Ale nie o wszystkim. A więc potwierdza się...

- Tak, Anno, potwierdza się. Artur doskonale się orientuje w sytuacji, wiem o tym, bo odwiedzam go często w Kołomyi i wiele rozmawiamy.

- Ale w Gurowie, wuju, w Wygnance, Zdżarach, Zagajach i Porycku mieszka nasza liczna rodzina, dalsi kuzyni ze strony matki, Adam, Jurek, Kazik, Bogumił, i kuzynki ze strony ojca, Jasia, Władzia, Malwina... Czy żyją? - zadrżała do listu. A ciotka Aniela pisała:

Najwięcej ofiar w powiatach horohowskim, włodzimierskim i kowel-skim. Mordercy nie liczyli się z nikim ani z niczym. Nie było dla nich świętych praw bożych ani ludzkiego współczucia. Zachowywali się jak hieny, dzikie stwory, żądne nienawiści, gwałtu, mordów i krwi. Nieludzkich rzezi dokonywali przy pomocy kuchennych noży, wideł, kos, młotków, gwoździ, drutów kolczastych, pił do cięcia drewna, sierpów i haków, na których wieszali małe dzieci, a łyżeczkami do kawy wydłubywali im oczy

Chwyliła się za czoło i zamilkła. Ksiądz Robert znowu chciał wstać, ale dała mu znak, by siedział. „Muszę być silna” - w duchu mówiła. „Nie mogę się temu poddać”. I po chwili czytała:

Wielkie nieszczęście spotkało mieszkańców Porycka. Gdy rano o godzinie 11,30 w kościele odbywała się Msza Święta, ukraińscy mordercy otoczyli świątynię i wrzucili do środka granaty, a następnie wtargnęli do nawy głównej i przy pomocy karabinów maszynowych i pistoletów rozstrzelali

448

wszystkich, którzy jeszcze ocalili, kładąc trupem setki wiernych. To była prawdziwa masakra. Przy ołtarzu zastrzelili ministrantów, a księdza Bolesława Szawłowskiego ciężko ranili i ksiądz wkrótce zmarł. Gdy zauważyli, że ktoś daje oznaki życia, podchodzili do niego i dobijali nożami albo rewolwerami w głowę. Niektórzy Polacy ratowali się ucieczką. Ale przed kościołem stała wataha bandziorów i wybijała ich co do nogi. Jakby mało tego było, nazywali do kościoła słomę i kościół podpalili. Nikt nie przeżył. W ciągu pół godziny wyrznęli w kościele i poza kościołem blisko pięćset osób. Głowa mi już pęka od bólu. I serce krwawi, gdy o tym piszę.

Ale muszę Wam o tym opowiedzieć, bo Wołyń płonie. Wokół pożary, zgliszcza i śmierć. Wszyscy na gwałt szukamy ratunku. I piszę w pośpiechu, bo chcę, by te wiadomości jak najszybciej do was dotarły. By ktoś o tym wiedział. Bo tu się dzieją dantejskie sceny. I nie wiadomo, jak się to wszystko skończy. Czyja ocaleje, i czy ktokolwiek z nas ocaleje.

Kilkanaście dni temu bandyci z UPA po spaleniu wsi Tryputnia, złapali polskiego chłopca, gdy uciekał do lasu, rozpalili ognisko, rozebrali go do naga i wrzucili w płomień. Jeden z morderców, młodzieńca harmonista, piętnastoletni chłopak, grał na akordeonie, a wokół płonącego człowieka ukraińskie panny radośnie tańczyły i śpiewały sprośne piosenki, naigrywając się z niego.

Niestety, Anno, nieszczęście dotknęło także nasze dwie dalsze kuzynki, Basię Kubiśniak z Gucina i Jolę Kaziów z Mikulic. Basia przez długi czas ukrywała się w niemieckim bunkrze, ale banderowcy ją wysłedzili i chcieli udusić dymem. Przynieśli suche siano, zatkali otwór i siano podpalili. Dym wypełniał bunkier, Basia dusiła się, krzyczała, wołała o pomoc, ale nic nie pomagało. Gdy siano spłonęło, nastąpiła cisza. Myśleli, że już po niej. Ale ona żyła. Zobaczyli jak się wyłania z ciemności niczym widmo spod ziemi, okrzyknęli ją czarownicą, bo zwykła kobieta już by dawno tego nie przeżyła i naigrywając się z niej, gdy biegła z krzykiem przed siebie z płonącymi włosami, przerażona i nic nie rozumiejąca,

chwycili ją za ramiona i powalili na ziemię. Dwa draby trzymały ją za ręce i nogi, a jeden usiadł jej na udach, wyjął zza cholewy buta długi nóż i wbił jej w pierś, a potem zaczął ciąć brzuch. Nikt nie słuchał jej krzyku, jęków i wycia. A gdy otworzył brzuch, jego kumple zaczęli się bawić w anatomów, pokazując jeden drugiemu jelita, żołądek, wątrobę i serce. Na koniec rozbili o kamień flaszkę po wódce i nasypali jej do brzucha potłuczonego szkła, zostawiając ją w polu samą, aż się wykrwawiła.

I na koniec, włosy mi się jeżą na głowie, gdy o tym myślę, Anno, ale i to
449

muszę wam opowiedzieć, jak zginęła nasza dalsza kuzynka z części polsko-ukraińskiej rodziny, Jola Kaziów. Być może pamiętasz, że przez lata nie mogła urodzić dziecka, a w tym akurat roku, ku radości całej rodziny, zaszła w ciążę i była bardzo szczęśliwa. Gdy banderowcy napadli na wieś, nosiła już w łonie pięciomiesięczne dziecko. Złapali ją, gdy kryła się po spaleniu wsi w łanie kukurydzy, niedaleko domu. Podpalili kukurydzę i wykurzyli ją stamtąd. Rzucili na ziemię, a gruby bandzior sierpem rozciął jej brzuch. Wyjął płód, wsadził do brzucha żywego kota i na powrót zaszyl brzuch grubymi nićmi. I tak ją zostawili, znikając w pobliskim lesie.

Gdy pod wieczór znaleźli ją chłopcy z AK, jeszcze dawała oznaki życia, nikt z krewnych nie mógł jednak jej poznać. Posiwała i zestarzała się w ciągu godziny. Przed nocą zmarła. Nie pomógł żaden lekarz.

Boję się, gdy ta fala mordów do was dojdzie i Lwów oraz Stanisławów zagarnie, runie w ciemności nasza cywilizacja. Bo to barbarzyńcy!

Przerwała czytanie i przerażona patrzyła na księdza.

Zapadło długie, ciężkie milczenie.

450

ROZMOWA Z KSIĘDZEM

Ksiądz Robert siedział z pochyloną głową, zamkniętymi oczami i dłońmi obejmował czoło. Młynarzowa podniosła zgniecione kartki do oczu, jakby się chciała upewnić, czy nie poddała się fali omamów.

- Boże, wuju, nie mogę tego czytać- popatrzyła na księdza z udręką. - Czy to możliwe?! Jakże tak?! - była blada, z podkrążonymi oczami, jakby się zapadała w głąb samej siebie.

Uniósł głowę i smutnymi oczami długo się w nią wpatrywał.

- Powiedz coś, wuju, nie patrz tak na mnie - wyrzuciła.-Myślisz, że to prawda?

- Sama, Anno, wiesz, jak bardzo Żydzi ucierpieli, a teraz Polaków mordują...

- Ależ to straszne, wuju! To jakaś dzicz, bestie! Nie mogę!...

- Uspokój się, Anno - wstał i podszedł do niej, objął, przytulił i powiedział: - Musimy, Anno, i tę gorycz życia znieść...Chrystus...

- Wuju, proszę... - wyrwała się z objęć. - Chrystus?! Jaki Chrystus?! - wyrzuciła gwałtownie.

- Chrystus umarł na krzyżu, by świat zbawić od zbrodni, cierpienia, bólu, niesprawiedliwości. By świat stał się lepszy! I co? Zbawił?! I jest lepszy?! Wuju! Błagam! - zacisnęła dłonie. - Co mam teraz robić? Jak mam z tym żyć? Zbrodnia goni zbrodnię, mordy, paleni żywcem ludzie, podrzynanie gardeł, wyjmowanie z łona matek dzieci, krew, śmierć - patrzyła z poźólką twarzą na księdza. - I ten strach, wuju, ten straszny ból duszy, przerażenie, cierpienie, tragedia, sama nie wiem, jak to nazwać. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem, dziecko, rozumiem - westchnął. - Uspokój się, proszę. Jesteś przerażona. Pełna goryczy. Ja też cierpię, Anno. Po stokroć cierpię. Ale nasze cierpienie nie zmieni świata. Musimy jakoś wyciszyć w sobie emocje, zdławić ból, ogarnąć umysłem...

451

- Jakim umysłem?! - krzyknęła. - Co ma umysł tutaj do powiedzenia?! Wyrrywają mi ze środka duszę, ranią serce, miażdżą moją miłość do świata... do ludzi... do Boga... a ty mówisz

o umyśle? Umysł jest ślepy i głuchy! Zimny jak kamień. I dawno umarł. Nienawidzę ich! - rzuciła z rozpaczą.

- Tego się, Anno, bałem - cicho wyrzekł. - Tych złych emocji, tego złego nastawienia, niechęci... Bo zła nie można złem... - urwał.

- Jakim złem? - zawyła. - Co ty wygadujesz, wuju?! To nie ja czynię zło - rozpaczliwie chwyciła się za głowę. - To nie ja rujnuję życie. To oni to czynią, zbrodniarze, ludobójcy. Rozumiesz? Rujnują, zabijają, miażdżą, gwałcą... I co? Ja mam ich za to kochać?! - patrzyła szklistymi oczami. - Może nie wolno mi jeszcze wykrzyknąć mego bólu, cierpienia?! A jak cierpieci ci biedni ludzie, rżnięci piłami, mordowani na raty, ćwiartowani... Może jeszcze nie wolno mi o tej strasznej zbrodni mówić? A może im o to właśnie chodzi, byśmy nie mówili, by zasiać w naszych umysłach i duszach strach i byśmy z tym strachem wiecznie żyli? Mam zamknąć sobie usta i zamilknąć na zawsze? Może świat ma natychmiast o tym zapomnieć? O ile cokolwiek o tym wie... - patrzyła na księdza z goryczą w oczach.

- Źle mnie pojąłeś, Anno... - odezwał się po chwili. - Chodzi mi o to, byśmy się nie poddali gniewowi, nienawiści i odwetowi... - wolno, ale stanowczo mówił. - Bo to źli doradcy. Nie możemy w sobie hodować nowych potworów i oprawców. Nie możemy żądać porachunku i wendety. To najgorsze, co możemy zrobić. Zła nie można wytepić złem. To chciałem powiedzieć, Anno. Całe nieszczęście świata karmi się wrogością, gniewem i nienawiścią. Patrzyła na księdza nic nierozumiejącym wzrokiem. Oczy jej były jakby obłąkane. Czoło, pokryte zmarszczkami, twarz wydłużona, zapadnięta, nagle zestarzała.

- Przyszedłem, Anno, by z tobą o tym porozmawiać - ciężko usiadł - bo do Kościoła też napływają różne informacje. Mamy swoje ścieżki, kanały.

- I co? - wymamrotała. - Co na to Kościół? To się potwierdza? - wyszeptała.

452

- Niestety, Anno, to się potwierdza. Ale rzecz w czym innym?

- W czym? - oparła się o stół i powoli usiadła, zwieszając głowę.

- Ano, w tym, Anno, jak mamy sobie radzić z tym nieszczęściem... z tą katastrofą...

- Masz rację, wuju - mówiła cicho, nie podnosząc głowy - to prawdziwa katastrofa. Ponad sześćset lat żyliśmy tu razem, nasi dziadowie i pradziadowie, dom przy domu, chata przy chacie, sąsiad przy sąsiedzie... I co się stało? Wszystko się wali, wuju, popada w ruinę, czeluść, czuję straszną pustkę...

- Dlatego musimy się zastanowić, Anno, jak sobie z tą pustką radzić, bo przecież żyjemy, jesteśmy potrzebni innym, potrzebują nas najbliżsi, dzieci, dziadkowie, rodzina, cała ta biedna kraina. Musimy stawić czoło tej fali nieszczęścia. Nigdy nie jest tak ostatecznie, że niczego nie można już uratować, zbawić...

- Zbawić? - z goryczą wyrzekła. - My zbawić? - wciąż siedziała z pochyloną głową.

- Tak, Anno, można jeszcze wielu uratować, zbawić od głodu, cierpienia, śmierci.

- Ale jak, wuju? Co my biedni, słabi możemy zrobić? - pytała w głębokiej bezradności, patrząc na swoje ręce.

- W pojedynkę, Anno, być może, trudno wiele zrobić, ale przecież nie jesteśmy sami, tylko ty i ja. Wokół nas jest wielu dobrych ludzi, także Ukraińców...

- Którzy sierpami wrywają z łona matek nasze dzieci - gorzko powiedziała.

- Ależ, proszę, Anno, nie wszyscy ludzie są źli, nie wszyscy Ukraińcy... Bestie rodzą się z nienawistnych myśli.

- To doradź, jak mam się zachować! Doradź, wuju! Czy ta fala mordów się skończy? Czy dojdzie do nas? A jak dojdzie, to co zrobimy? Boże, moje wnuki! - nagle krzyknęła. - Zuzia i Borys! - uświadomiła sobie, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad nią i nad jej wnukami. Szybko pobiegła do sypialni i stanęła nad łóžeczkami dzieci, które spały. Poprawiła Zuzi kołdrę, przykryła lepiej Borysa i długo się w nie wpatrywała. Potem wróciła do kuchni.

- I co teraz będzie z nami? - spytała martwo.

Uniósł na nią ciężkie oczy:

- Anno - odezwał się - jestem kapłanem i zawsze stoję po stronie biednych, cierpiących i chorych. I sam też cierpię.

- A co na to Kościół? - wycierała łzy. - Hierarchowie? Watykan? Papież, Pius XII? W milczeniu się przyglądają?

- Anno, proszę, nie bądź niesprawiedliwa. Chciałem ci właśnie powiedzieć, że Kościół reaguje. I że ta fala mordów się kończy. To był jakiś jednorazowy akt szaleństwa, zamroczenia... Już się nie powtórzy...

- Jesteś pewny? - patrzyła na księdza nieufnie. Przypomniała sobie, że jeszcze kilka dni temu sama tak myślała, ale po tym liście zwątpiła. List wprowadził ją w głębokie przerażenie, z którym sobie teraz nie radziła.

- Mamy swoje informacje, Anno - usłyszała głos księdza. - Byłem niedawno w Kurii, we Lwowie.

- I co?

- Kościół dokładnie śledzi...

- Śledzi?! - wykrzywiła wargi. - I co z tego, że śledzi? A Ukraińcy mordują, rzną...

- To już naprawdę się kończy, Anno - mówił cicho. - Sama zobaczysz. Nie wywołujmy w sobie stanu kapitulacji, a tym bardziej uczuć agresji i zemsty. Kościół interweniuje. Trwają intensywne kontakty z Cerkwią.

- I co? Co na to Cerkiew? Co na to ich słynny arcybiskup Szeptycki? - szyderczym głosem wyrzekła.

- Anno, proszę...

- Dobrze, wuju, dobrze, wybacz - znowu spojrzała na swoje ręce. Zawsze tak czyniła, gdy nie radziła sobie sama z sobą.

- Nasz arcybiskup, Anno - tłumaczył - metropolita lwowski, dr Bolesław Twardowski, już w sierpniu 1941 roku, spotkał się z metropolitą kościoła greckokatolickiego we Lwowie, arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim i prosił go o interwencję...

- I Szeptycki palcem nie kiwnął, skoro trwa ta gehenna do dziś - gorzko powiedziała.

- Mylisz się, Anno. Metropolita Szeptycki skierował posłanie do wiernych, które zaczyna się od słów: „Nie zabijaj”...

- Ale oni wciąż zabijają.

- I dlatego nasz metropolita nie ustaje w wysiłkach, by przerwać to pasmo cierpień. Latem tego roku skierował list do metropolity Szeptyckiego z prośbą, by pomógł jak najszybciej zażegnać tę falę mordów - sięgnął do kieszeni, wyjął jakiś dokument i powiedział: - Pisz w nim tak: ... „mordy przekroczyły już granice jednostkowej zemsty czy też osobistych prywatnych lub politycznych porachunków [...], a ich skala była przerażająca”. Dalej wymienia nazwiska kilkudziesięciu kapłanów zamordowanych przez banderowców oraz setki polskich wsi spalonych i rozgrabionych. Ponadto idą z polskiego Kościoła listy do Watykanu, nawet do samego papieża. Z pewnością Ojciec Święty nie pozostanie obojętny.

- I myślisz, że teraz nastąpi pokój? Nie musimy się już bać?

- Nie możemy żyć, Anno, w wiecznym strachu, w nieustannej bojaźni. Oni nasycili się już zbrodnią, należeli się polskiej krwi i nadchodzi czas spokoju, a my musimy uważać, by nas to zło nie okaleczyło na zawsze, by do końca życia nie krwawiła nasza dusza, bo przecież musimy z tym żyć... - ogarnął ją smutnym spojrzeniem.

- Nie wiem, wuju, nie wiem, jak będę z tym żyć - szepnęła.

- Najważniejsze, Anno, by wiedzieć...

- Co wiedzieć! - znowu skoczyła na księdza. - Co mam wiedzieć?! Czy nie dość już wiem?!

Przypomniała sobie słowa kuzyna Artura z Kołomyi, który także ją namawiał, by wiedzieć, bo wiedza jest najważniejsza, mówił. Bo wiedza ocala. A ona już wie, że nie ocala. Nic nie ocala! Rzeź jest rzezią. Ból jest bólem. A płacz płaczem. A teraz ksiądz Robert to samo. Wiedzieć i wiedzieć! Co ona ma wiedzieć? Co wiedza ma z tym wspólnego?! To nie wiedza, to przemoc, bezprawie i gwałt, to przerażenie, rozpacz i strach. To uczucia. To upadek jej świata. Ruina wiary w człowieka. I w Boga!?! - przeraziła się, że utraci na zawsze tę łaskę i zamarła, ze wzrokiem wbitym w księdza. Ale znowu poczuła wzbierający w niej gniew, że ksiądz jej mówi o wiedzy. Ubodło ją to, zraniło. Jakby kuzyn Artur się zmówił z księdzem, że będą ją dręczyć tą jakąś wiedzą, która niby wszystko w życiu załatwia. Jakby wiedza była

pana-

455

ceum na wszystko, przywracała umarłym życie, unieważniała fakty, oślepiła zbrodniarzy. - Wiedzieć i wiedzieć! - buntowała się. - Po co mam wiedzieć? Do czego mi ta wiedza potrzebna? Nie uzdrowi mego serca. Nie uleczy mojej duszy. Nie uratuje moich pomordowanych kuzynek. Rozdrapie tylko nowe rany, pograży mnie w cierpieniu... Nie chcę już nic wiedzieć! - załkała.

Ksiądz Robert, jako doświadczony kapłan, nie przerywał. Pozwalał się jej wygadać, wypłakać, bo rozumiał, że musi to z siebie wyrzucić, ten straszny, ciężki balast, bo to ją oczyszcza i przynosi ulgę. Teraz najważniejsze, myślał, by uchronić Kasię od tego nieszczęścia i przygotować ją do ciemności, które ogarniają świat.

Przestała łkać i patrzyła na księdza niemo, jakby niepewna, czy go widzi.

- Wiem, jak ci ciężko - odezwał się. - Mąż na Sybirze, syn nie wiadomo gdzie, zginęły twoje przyjaciółki, nasze kuzynki, odszedł tamten nasz świat, Anno. Ale masz dom, córkę, dorodne wnuki, udanego zięcia i o nich musisz pamiętać. List ciotki Anieli wstrząsnął nami, ale nie możemy się cofnąć i stchórzyć przed prawdą. Nie możemy utracić ducha. Prawda bywa bolesna i gorzka, jednak nie wolno przed nią uciekać, nawet, gdy jest najczarniejsza. Bo tylko wtedy, gdy wiemy, jaka ona jest, możemy się z nią uporać. Bo inaczej załamamy się, pograżymy w rozpacz i nie przygotujemy do życia następnych pokoleń. Synowie i córki tej ziemi, wnukowie i wnuczki nie mogą być odcięci od prawdy naszego czasu, bo będą żyć w niewiedzy lub kłamstwie. A niewiedza i kłamstwo, Anno, demoralizują, zabijają, wypaczają sens życia i prowadzą ku nowym nieszczęściom. I najważniejsze, wyniszczają i dławią w nas najpiękniejszą część naszej natury, potrzebę miłości, zaufania i równowagi duchowej. Bez prawdy, Anno, tego nie osiągniemy. Będziemy grzęznąć w fałszu i obłudzie, a świat się zgubi i powikła we własnych grzechach. Wiem, Anno, że to, co mówię, jest jakieś odległe, być może, pompatyczne i za trudne do zaakceptowania, bo boli, drażni i odrzuca, ale przecież człowiek żyje i rozwija się tylko dzięki prawdzie, nawet najokrutniejszej i najstraszniejszej. Bo z prawdy wywodzi się

456

wolność, niepodległość, godność, nasz kresowy honor, przyszłość, sens naszej egzystencji - wyliczał. - Nie z kłamstwa, ale z prawdy. Bo poza prawdą istnieje tylko świat obłudy, cynizmu i zła. Wybacz ten podniosły ton...

- Ależ, wuju - przerwała - cóż mi po prawdzie, gdy nie mam męża, syna, a całą moją rodzinę mordują jakieś straszne potwory. I cóż mi po takiej prawdzie? - wykrzywiła usta.

Wstał, uniósł rękę, jakby chciał ją powstrzymać przed rozpaczliwym krokiem. Otworzył usta, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale jedynie dotknął dłonią jej ramienia. I stał przed nią bez słowa. I oboje się w siebie wpatrywali, jakby na coś czekając. Młynarzowa zobaczyła przez okno, jak wraca Kasia. Drgnęła.

- Nie możemy jej tego powiedzieć - cicho wyrzekła. Ksiądz Robert odwrócił się. Też widział, jak Kasia wolno

idzie z pochyloną głową.

- Masz rację, Anno, teraz nie możemy... nie teraz... - patrzył jak Kasia wchodzi do domu. Młynarzowa przetarła dłonią twarz, sprawdzając, czy nie zostały ślady łez na policzkach. Ksiądz Robert widział, jak bardzo jest zagubiona i nieszczęśliwa, ale gdy zaskrzypiały otwierane drzwi, starała się uśmiechnąć.

457

SMIERC RYFKI

Młynarzowa, po rozmowie z księdzem Robertem, opowiedziała Kasi bardzo ogólnie o liście, nie ujawniając całego rozmiaru tragedii, a Kasia, jakby nie rozumiejąc, o czym matka mówi, machnęła tylko ręką i rzuciła, że Wołyń daleko, i od razu zajęła się dziećmi, które akurat się budziły, a ciocia Aniela zeszła na plan dalszy.

Młynarzowa więcej uwagi poświęcała teraz ukrytym gościom. Czuła się szczególnie za nich odpowiedzialna. Zagryzała wargi, zaciskała usta w chwilach słabości, by nie płakać, nie mogąc się uwolnić od ciemnych obrazów z Wołynia, bo nie chciała, by najbliżsi jej ludzie domyślili się, jak bardzo cierpi. Postanowiła, że będzie mocna, musi sobie sama z sobą poradzić, bo to jest podstawa, by w rodzinie nie powstało przygnębienie i nie rosła gorycz. W wolnej chwili odpisała kuzynce Anieli, prosząc ją, by wytrzymała w tej próbie, bo wojna się niebawem skończy. I one się spotkają, jak niegdyś. I przytoczyła słowa księdza Roberta, że wkrótce nadejdzie wolność. Zauważyła, że sama się po tym liście bardziej uspokoiła.

Rubinowicz z żoną dzielnie znosili swój los. Starła się, by mieli wszystkiego pod dostatkiem.

Nie brakowało im żywności i napojów. Tylko palce Rubinowiczowi drętwiały i nie mógł ćwiczyć. Nie ćwiczyć, jak na próbie, ale ćwiczyć na niby, bez dźwięku. Ale na to nie było już rady. Choć bardzo nad tym bolał, bo dla artysty sztywne palce, to śmierć. Ryfka narzekała na ciasnotę, byli zamknięci w małej klatce. W małej, ale bezpiecznej. Jej jednak dokuczwała duszność. Dlatego w nocy wychodzili na korytarz i w świetle księżycy poruszali się wzdłuż ścian. Gdyby ktoś przyjrzał im się z boku, zo-

458

baczyłby dwa widma, wychudłe i długie, które wolno przesuwają się w półmroku, naraz zatrzymują się, jakby czegoś nasłuchiwały i po cichu wzdychają. Uzgodnili te nocne spacerunki z gospodarzami, a mimo to, nie chcieli im zakłócać spokoju. Dlatego szybko wracali do klatki.

Ryfka miała coraz większe kłopoty z oddychaniem. Odnowiła się jej choroba płuc i zaczynała pokasływać. Nawet się dusiła. Na szczęście atak mijał i przez jakiś czas oddychała miarowo. Rubinowicz patrzył na nią z głębokim smutkiem. Brał ją w ramiona i pocieszał, że któregoś dnia wojna się skończy, a oni wyjdą na wolność. On wróci na sale koncertowe, a ona do konserwatorium. I znowu będą się cieszyć życiem. Jednak Ryfka nikła w oczach.

Zrobiła się żółta. Jej piersi zapadły się i coraz częściej kaszlała. Wraz ze śliną wypluwała krew. Nie pomagały wywary, zioła, korzonki, nawet leki z apteki, które przepisał zaprzyjaźniony z młynarzową doktor. Na jesieni stan zdrowia Ryfki zdecydowanie się pogorszył. Już nawet nie kaszlała, tylko charczała, rzeziła i pluła krwią. Młynarzowa dodawała im otuchy, przynosiła wieści, że Niemcy się cofają.

Rubinowicz szeptał Ryfki do ucha, że wolność już blisko. Że na wyciągnięcie ręki i musi wytrzymać, by żyć. Błagał ją, zaklinał, by nie odchodziła, bo on nie udźwignie samotności. A ona przewracała oczami i mamrotała: - Cicho, Broniek, już cicho, pora na mnie, muszę odejść, nadszedł mój czas, bądź dzielny i trwaj, bo jesteś potrzebny ludziom, kulturze, sztuce i światu. Twoja muzyka otwiera ludzkie serca, dlatego musisz stąd wyjść żywy i zdrowy.

Rubinowiczowi ściekały z oczu łzy. Podtrzymywał jej rękę, całował każdy palec i skomlał:

- Ryfciu, Ryfciu, tyle lat przeżyliśmy z sobą, nie możesz mnie zostawić. Nie wolno ci, ot tak sobie, odejść. Bo jak ja będę bez ciebie żyć? - dławiał płacz. Przykładał ucho do jej piersi i słyszał popiskiwanie i świst płuc. - Nikt cię nie pożegna - mówił do niej - żaden cadyk nad

tobą się nie pochyli. Nikt ci nie odda czci. Nikt szat nie będzie rozrywał nad twoim grobem. Nie usłyszysz

459

jęku płaczek. Proszę, Ryfcu, błagam, wstań, żyj - chrypiał słabym głosem. Ale ona już nie słyszała. Nie wytrzymała trudu kilkuletniej tułaczki. Zabiły ją ciemność, smutek i strach. I nad ranem, kiedy zapiał kogut, umarła.

Rubinowicz nie spał. Czuwał przy niej całą noc. Zapalił świecę, jak każe tradycja i by lepiej ją widzieć, pochylił się nad nią, ucałował jej żółte czoło i długo się wpatrywał w jej otwarte oczy. Jej twarz wyrażała jakiś wyższy spokój i ukojenie. Śmierć nadała tej twarzy głębsze rysy, pogłębiła dumę i godność. Wydała mu się znacznie piękniejsza niż żywa. Nieskończenie piękna, łagodna, dobra i jakby szczęśliwa.

Pod wieczór, kiedy zapadł zmrok, Mitia wykopał grób w sadzie i sklecił prostą trumnę z kilku desek. Młynarzowa z Kasią owinęły ciało białym prześcieradłem, zmarłą ułożyły w trumnie zgodnie z żydowskim obyczajem, z wyprostowanymi nogami i dłońmi ułożonymi na sercu. Mitia trumnę wyniósł i potajemnie Ryfkę pochował. Obłożył miejsce zieloną murawą, wyrównał teren, by zatrzeć wszelki ślad. A na miejscu wiecznego spoczynku położył duży kamień.

Rubinowicz siedział w komorze z pochyloną głową i w milczeniu się kiwał, odmawiając kadisz. A gdy uniósł oczy, zobaczył wpatrzoną w niego młynarzowa. Cicho wyszeptała:

- Jestem z tobą, Bronek, w tej ciężkiej i trudnej dla ciebie chwili.

- Dziękuję ci, Anno, dziękuję - odparł i znowu zwiesił głowę. A ona dotknęła jego ramienia i już chciała odejść, ale Rubinowicz zatrzymał ją i cicho poprosił o kromkę chleba, soczewicę i jajka, by mógł, zgodnie z dawnym obyczajem, spożyć - choćby symbolicznie - posiłek, jaki podawali w czasie stypy starzy Żydzi. Choć on już dawno odszedł od zapomnianych nieco w jego kręgu hebrajskich ceremonii, śmierć najbliższej osoby przywróciła mu jednak pamięć dawnych rytuałów. Młynarzowa bez słowa spełniła jego życzenie i na palcach oddaliła się. Zauważyła, że bardzo się postarzał. Pożółkł i drżały mu ręce. Złękła się, że mógł się zarazić od Ryfki i teraz on umrze. Mięła dłonie i zagryzała wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

460

- Boże - modliła się w duchu - dlaczego tak cierpimy. Dlaczego zsyłasz na nas choroby, lęki i przerażenie. Cóż jesteśmy Ci winni, że tak wielkich ofiar od nas żądasz, Panie.

Przyrzekła sobie, że zrobi wszystko, by Rubinowicza ratować. Bo on musi żyć. Musi tworzyć. I występować, grać, nieść światu radość. Najbardziej przejęła się tymi drżącymi rękami.

Wiedziała dobrze, co to znaczy. Dla skrzypka to tragedia. Ale najważniejsze, by żył. I by powstał po tej ciężkiej dla niego chwili. Popatrywała ze strachem w okno, by kto obcy się nie pojawił. Teraz drażnił ją każdy szmer. Drażnił i przerażał. Kiedy okiennica trzasnęła, truchlała ze strachu. Bała się niepowołanych gości i lękała o Rubinowicza.

Nasłuchiwała każdego odgłosu, najmniejszego szelestu, stuknięcia, chrupotu i szeptu. W nocy wierciła się, wyrzucając sobie, że nie zrobiła wszystkiego, by ratować Ryfkę. A on bez Ryfki może umrzeć, myślała. Bo widziała, jak bardzo Ryfka się nim opiekowała.

461

NOWE ZNAKI

Na szczęście nikt chałupy nie odwiedzał. Nieraz zaglądała tylko wiedźma Walentyna i burczała pod nosem, że gid'ko się wałęsa po świecie i nawet ona, czarodziejka, już się boi chodzić po drogach i połoninach, po czym znikwała jak duch i długo się nie pokazywała. Nie pokazał się też tej jesieni stary dziadyga z białym kosturem, który o tej porze wędrował przez Pokucie i przemierzał nieskończone drogi. A ludzie tęsknie za nim spozierali. Zwykle jakieś ważne wiadomości ze świata przynosił. Tej jesieni nie przyniósł. Czasami zatrzymywał się pod płotem głupi Lolek i wypatrywał Kasi. A gdy ją zobaczył, wołał cichym, wystraszonego głosem:

- Królowo, moja królowo, dlaczego?

A Kasia podawała mu upieczone ciasto albo świeżą bułkę prosto z pieca i uśmiechała się do niego. A on się kłaniał i odchodził, żegnając ją melancholijnym spojrzeniem. I tak zbliżała się połowa jesieni. Mitią zwiózł zboże, zrobił podorywkę i kopał kartofle. Kasi zdawało się, że najgorsze minęło. Już nie wracała do szarwarku i nocnych męczarni Miti.

I wtedy jakby tapnęła ziemia.

Nadeszła ta okropna wiadomość zza Prutu. Zaginął stary sołtys z polskiej wsi pod Horodenką. Chłopi znaleźli go w lesie, powieszzonego na gałęzi dębu. Ktoś ściągnął mu z pleców skórę, odciął obie ręce i w czoło wbił gwóźdź. Na dodatek na piersiach wyciął orła. A do nogawki przyczepił kartkę z napisem:

WTIKAJTY LACHY Z UKRAINY! TO NASZA ZEMLA!

Młynarzowa przypomniała sobie, że ten napis był podobny do tego, który wisiał na ubraniu zamordowanego nauczyciela.

462

Znowu naszły ją krwawe sceny z Wołynia. „Boże, żeby się tylko nie powtórzyło to piekło u nas”. Zastanawiała się, czy nie uciekać do Kołomyi albo do Stanisławowa. Ale gdy zdradziła się z tej myśli Miti, Mitią stanowczo zaprotestował.

- Jesteś u siebie, mamu. Dlaczego miałabyś uciekać? Nikt nam tutaj nic złego nie zrobi. To jakaś straszna pomyłka. A poza tym, ja jestem Bojkiem. Wokół mam pełno kolegów, przyjaciół Ukraińców. I nikt nas palcem nie tknie. Jesteśmy tutejsi - twardo mówił. Nie uwierzył, że zrobił to jakiś Ukrainiec. „Bo i dlaczego miałby to zrobić?” - pytał sam siebie. I zwałił wszystko na Moskali. Nie mieściło mu się w głowie, by to ktoś inny, niż oni, zrobił. Nie mógł tego po prostu pojąć.

- Ale dlaczego piszą po ukraińsku? - spytała rzeczowo młynarzowa. - Dlaczego mówią: To nasza ziemia?

Kasia niemo wpatrywała się w Mitię. Podszedł do niej i przytulił.

- To nie Ukraińcy, Kasiu - powiedział zdecydowanie. - Ukraińcy takich rzeczy nie robią.

- No to kto? - spytała młynarzowa.

- Ruskie, albo... - zastanowił się...

- Albo? - młynarzowa nie spuszczała go z oka.

- Albo Fryce - wyrzucił. - Chcą nas skłócić, mamu, poróżnić -ponuro mówił. - Rzucają cień na Ukraińców. Niedługo zaczną rzucać na Bojków, Łemków i Hucułów, by jednych ludzi przeciwko drugim. Poczuli się jakby go to osobiście dotknęło i obraziło, choć nie był Ukraińcem, a Bojkiem. I ciągle to podkreślał. Ale tutaj, w tym momencie, poczuł się, jakby był Ukraińcem. I w niego cios został wymierzony. Sam nie wiedział, dlaczego się tak poczuł. Gdy młynarzowa patrzyła na niego z powątpiewaniem, zdenerwował się.

- Nie możesz w takie brednie wierzyć. - Dlaczego Ukrainiec miałby mordować niewinnych ludzi? To na pewno sprawka Niemców - zgrzytał zębami.

A gdy młynarzowa nie odzywała się, spytał, czy to Ukraińcy rok temu, w listopadzie 1942 roku, zlikwidowali w Kołomyi getto? I czy to Ukraińcy wymordowali dwadzieścia tysięcy Żydów w okolicy?

Młynarzowa patrzyła na niego w milczeniu, a potem cicho

463

spytała, czy to nie ukraińska policja pomaga Niemcom. I już otwierała usta, by wypluć razem z goryczą z siebie tę straszną rzeź z Wołynia i rzucić mu prosto w twarz wyrwanym z łona matki dzieckiem, gdy Kasia krzyknęła, by nie drażniła Miti. I by się nie kłócili. Bo i tak życie jest ciężkie i coraz trudniejsze.

Młynarzowa opuściła głowę i wyszła. Wydawała się bardzo samotna, smutna i przygnębiona. Mitią zaciskał szczęki. Choć i jego nękały lęki i jakaś niepewność, nie dopuszczał do siebie myśli, by to Ukraińcy byli zdolni do takich rzeczy. To naród dobry, łagodny, spokojny i

cichy, szeptał zraniony w duchu. I taki pracowity. Nie można go obciążać cudzymi zbrodniami.

Jednak od powrotu z lasu, wciąż tamto spotkanie nie dawało mu spokoju, dokuczało i gryzło. Czuł jakby zły cień za plecami. Ten ciężar mocno go gniótł. Ale bał się sam przed sobą do niego przyznać. I znowu nie mógł sobie z nim poradzić. Nie wiedział, co on znaczy. A równocześnie, jak i przedtem, coś wielkiego i poważnego z leśnej wizji porywało go i fascynowało. A tu jakby naumyślnie ktoś dolewa oliwy do ognia i podsuwa mu pod oczy groźne obrazy. Myślał, że oto teraz, gdy, jak mu mówiono w lesie, ma powstać samostijna Ukraina, jacyś wrogowie pragną temu przeszkodzić. Ktoś samostijna plami krwią, obmawia, podkopuje do niej zaufanie i znieważa. Ktoś na nią pluje. I choć do końca nie wiedział, co tak naprawdę oznaczają te dwa magiczne słowa: samostijna Ukraina, czuł w sobie wagę tych słów, ich ciężar.

- Sukinsyny! - zaklął, gdy już był sam.

Kasia zabrała się do sprzątanania. A młynarzowa stała w oknie i smutnym wzrokiem patrzyła w dal.

Zamknął oczy i zamyślił się. Nagle dotarły do niego głosy, które usłyszał w lesie, w trakcie szkolenia partyzantów. Brzęczały mu mocno w uszach. Zapamiętał je dokładnie. Jakby przyrosły do niego. Były wielkie, a równocześnie drażniły. Nie zawahał się zrobić najniebezpieczniejszej rzeczy, jeśli tego będzie wymagać dobro sprawy - usłyszał siódme przykazanie. Ale przecież żadne dobro sprawy - myślał teraz - nie wymaga mordowania niewinnego starego sołtysa. Bo i po co? Co on komu zawinił? Podobnie jest z przy-

464

kazaniem ósmym: Nienawiścią i bezwzględną walką będziesz przyjmował wrogów swojego Narodu. Ale jakim wrogiem może być stary sołtys? Nie, to się kupy nie trzyma. Machnął ręką i już chciał się od lasu i tamtej całej atmosfery uwolnić, kiedy uzmysłowił sobie, że wrogami są Niemcy i Sowietci. I ich należy bić i wyganiać. Ale polski sołtys, chłop, nauczyciel? To tutejsi. Przecież ci, co pisali Dekalog, nie mogli ich mieć na myśli. A jednak... Nie, to niemożliwe, gorączkowo rozważał. I bardzo żałował, że nie może tego powiedzieć Kasi. Bo Kasia wpadłaby w popłoch. A młynarzowa by go z domu wyrzuciła. A nie chciał piekła w rodzinie. Istniał jakby w dwu światach naraz. Nie pasowało to do jego natury. Toteż się gryzł. I tak źle, i tak niedobrze, myślał. Najboleśniej uderzyło go podejrzenie, że Ukraińcy mordują Polaków.

I obiecał sobie, że gdy się tylko spotka z prowidnykami z lasu, natychmiast ich powiadomi o tym fakcie. Opowie dokładnie o haniebnym morderstwie na starym sołtysie. Na pewno nic o nim nie wiedzą. Bo i skąd mogą wiedzieć. Przecież nie znają każdej malutkiej wsi czy przysiółka. A gdyby nawet zdarzył się nieszczęśliwy przypadek i sołtys padł .z ręki partyzantów, w co nie wierzy, to zrobiliby to wbrew rozkazom dowódców UPA. Bo UPA nie jest żadną krwiożerczą i barbarzyńską organizacją. Dlatego przywódcy samostijnej z miejsca się temu przeciwstawia, myślał. Bo to obraża Ukraińców. Rani ich godność i poczucie dumy. I zaklinał się w duchu, że szybko wszystko wyjaśni. Nie musiał długo czekać.

465

CIOS

Następnego dnia pod wieczór odwiedziło go dwu młodych ludzi. Już wchodzili na podwórko, kiedy ich zauważył. Od razu się domyślił, że to chłopcy z lasu. Wybiegł z kuchni, by zatrzymać ich z daleka od domu. Odciągnął pod stodołę i usiedli na deskach. Z miejsca chciał im powiedzieć, co go dręczy. Ale tamci nie dali mu dojść do słowa. I wyłuszczyli w czym rzecz. A on zamarł. Zrobił się bład jak trup. Młynarzowa zauważyła przez okno, jak nieruchomo siedzi i patrzy wprost na nich, a tamci wymachują rękami. Najpierw zaniepokoiła się, co to za ludzie i czego od niego chcą. Czyżby znowu szarwark, albo inne lichy, nerwowo pomyślała. A on się przed tym broni. Ale szybko uznała, że bez względu na to, kim są,

powinna mu być wdzięczna, że obcych nie wprowadza do domu, tylko trzyma z daleka od skrytki. Bo w ten sposób chroni Rubinowicza.

Obie z Kasią zerkały w stronę stodoły i widziały, jak Mitia się przeciw czemuś burzy. Gwałtownie reaguje na ich słowa, a tamci nalegają. Zaczęli się nad nim pochylać, jakby mu grozili. W końcu zwiesił głowę, a oni patrzyli na niego w milczeniu. Kiedy odchodzili, zerknęli na dom i skryli się za sadem. Sąsiedzi spoglądali na wychodzących z przestrachem, wskazując ich sobie wzrokiem. Mitia długo nie wstawał. Gdy Kasia podbiegła do niego, siedział jak skamieniały.

- Mitia, co się stało? - zawołała. A on milczał jak kamień. Nawet oczu nie podniósł. Zapadł się w sobie. I gryzł się z własnymi myślami. Widząc tę scenę, młynarzowa pospieszyła Kasi na pomoc. Zasapana stanęła nad Mitią, pytając, co się dzieje. I co to za ludzie. Mitia nie odzywał się. Patrzyła na niego z troską. Aż wreszcie drgnął, wstał i spojrzał na Kasię. Przytuliła się do nie-

466

go, a on ją mocno objął i poczuła ten silny, męski ucisk, na który tak zawsze czekała. Skinął głową i bez słowa ruszyli do domu. Szli w milczeniu. A za nimi człapała młynarzowa, owładnięta niedobrymi przecuciami. Mitia nie puszczał Kasi z objęć, jakby jej coś groziło. Zagarnął ramieniem i mocno ścisnął.

- Mitia! - ledwie wymamrotała. - Uduśisz mnie.

Zwolnił uścisk, ale wciąż mocno trzymał. A kiedy znaleźli się w izbie, puścił ją, zajrzał głęboko w oczy i znowu zaczął tulić, całować, głaskać po głowie, aż się wystraszyła:

- Mitia, co ci się stało? - zawołała. Już dawno się tak nie zachowywał. Już dawno jej tak nie całował.

Teraz całował szyję, włosy, oczy. Pomyślała, że znowu wyzwoliła się w nim porywcza natura. Ale dlaczego? Od miesięcy była w uśpieniu. A teraz wybuchła jak wulkan. Nie krępował się nawet matki. Choć dawniej okazywał swoje uczucia bez świadków. A w tej chwili przy matce. Jakby świat na nowo powstał. Odrywał się na moment od Kasi, wpatrywał się w nią, jakby pierwszy raz ją widział. Tak samo, jak niegdyś w kościele, kiedy od siebie oczu oderwać nie mogli. Jego wzrok był zachłanny, gorący i chory. A potem znowu ją do siebie przygarniał i całował.

Czuła, że to ma jakiś związek z tymi nieznanymi mężczyznami. Patrzyła na niego zdumiona, ale poddawała się jego pieścizdom. A młynarzowa widząc niespodziewany nawrót miłości, nieco się uspokoiła. I już nie dopytywała, co to za scena rozegrała się pod stodołą. Kasia także nie drażyła. Tuliła go i głaskała po głowie. Choć niepokoiła się. Wiedziała, że Mitia ma wielu kolegów, również z drugiej strony Kołomyi i coś mu musieli ważnego powiedzieć, skoro był tak wzburzony, ale przyjdzie czas, gdy jej to wyzna.

Po chwili Mitia oznajmił, że jest zmęczony i musi odpocząć.

Kasia szybko rzuciła się do łóżka, by mu pościelić, ale on nie czekał na pościel, padł jak martwy, nie zdejmując nawet butów. Ściągnęła mu je z nóg i widziała, jak chwycił się za głowę i mocno zaciskał powieki. Po cichutku, na palcach, zeszła na dół.

467

ROZMOWA Z SOBĄ

Czego oni ode mnie chcą, myślał rozgorączkowany. Mojego domu? Dam im. Mojej ziemi? Dam im. Mojej głowy? Dam im. Wszystko im dam, co mam. Ale oni chcą więcej. I usłyszał te straszne, lodowate słowa:

- Zariżesz swoju żinku! Wona Laszka!

Gdy to powiedzieli, nogi się pod nim ugięły. Jak to? Mam zabić swoją żonę? - patrzył na nich przerażony. Najpierw myślał, że żartują. Że brutalnie się z nim bawią. Ale oni powiedzieli wprost:

- Zarznieś swoją żonę. Poderżnieś jej gardło. W ten sposób udowodnisz, że jesteś twardy i silny. I należysz do UPA!

Zrozumiał, że to nie są żarty. Oni nie żartują. Mieli surowe twarze i mierzyli go spod oka. Warknęli, że musi wypełnić przysięgę. I wykonać rozkaz. Bo przysiągł samostijnej Ukrainie.

- Musisz udowodnić, że jesteś rycerzem wolności - wyrzekł jeden.

- Ty łycar! - krzyknął drugi. - Ty nasz łycar!

- To rozkaz prowidnyka! - grzmieli.

Okrażali go, pokrzykiwali. Aż skulił się, ogłuszony i przygnieciony ciężarem ponad jego siły.

- Bo jak jej nie zarznieś - warczeli - to my... - patrzyli na niego ponuro i pociągali palcami po szyi. - Dyscyplina w armii musi być! - syczeli.

A kiedy milczał, zacisnęli pięści i odeszli. Jeszcze z daleka usłyszał:

- Pamiętaj! Nie masz za wiele czasu.

Teraz związał się w kłębek, wił się i nie wiedział, co z sobą zrobić. Rąbnęło go, jak piorun z jasnego nieba.

- Bożeh mij, czoho ty wid mene chcesz?! - jęczał. - Czoho bażajesz?!

468

Naciągał na głowę poduszkę i w ciemności gryzł ręce. Miotał się w bezsile.

Zmagał się z demonami otchłani. Zadawał sobie pytania, dlaczego postawili mu takie zadanie.

Czy naprawdę chcą tego, czy tylko grają z nim. Przyszło mu do głowy, że to nie byli ludzie z UPA, a prowokatorzy albo zdrajcy. Ale po co mieliby go nachodzić? Nie, nie ma to żadnego sensu, mamrotał. Rozstępowała się pod nim ziemia. Rozsypywał się świat. Przelatywały mu przed oczami obrazy z lasu. I dudniły w głowie tamte słowa: samostijna Ukraina, samostijna Ukraina. To nie mogli być oni. Nie wierzył, że to ludzie z UPA. To zdrajcy. Chcieli rzucić cień podejrzenia na samostijna Ukrainę, zbrukać jej święte imię.

Ale nagle ogarnął go straszny lęk, że to prawda. Podniósł się, wyjął flaszkę wódki i wychylił, aż zagulgotało. Rzucił się do drzwi i wybiegł na dwór. Była noc. Kasia zobaczyła na jego ustach pianę.

Krzyknęła za nim: - Mitia, Mitia, poczekaj! - i wybiegła, ale on warknął, by siedziała w domu i na krok się nie oddalała... Z trzepoczącym sercem zawróciła, zerkając, jak idzie w stronę lasu.

A potem widziała jak biegnie. Jakby go ktoś gonił. A on ścigał się z wiatrem. Zawsze tak robił, gdy go coś przygniatało. Znowu pomyślała, że to problem z Żydami. Biegł przed siebie, by się zmęczyć. By zrzucić ciężar. Zmęczenie łagodziło ból. I tym razem też tak postąpił. Przystawał, wyrывał z ziemi kamienie i walił nimi w drzewa. Kopał głazy, jakby to one były winne. Zaciskał zęby i biegł dalej. Znowu się zatrzymywał, unosił głowę do nieba i patrzył w gwiazdy. Rozrywały go sprzeczności.

- Boże ty mij, Boże ty mij! - mamrotał. - Szczo maju robyty? De poditysja?! Kudy pity? Moja zinka! Moji dytiatka! - poczuł się samotny, jak palec. I osaczony przez ciemne moce. Nikt nie mógł mu pomóc. To on dotąd pomagał. To on innych ratował. A teraz... Teraz nikt nie był w stanie podjąć za niego decyzji. Musiał wszystko rozstrzygnąć sam.

Wbijał wzrok w migający świat gwiazd i słyszał jakby dalekie wołanie, a potem nadchodziła cisza. Ten bieg, pogoń za wiatrem i odległy, kosmiczny świat nieco go uspokoiły. Padł na zie-

469
mie, zamknął oczy i zdawało mu się, że zalewa go biała mgła i zapada się w głębokiej ciszy. Sam nie wiedział, jak długo leżał. Potem wstał i długo wsłuchiwał się w tę ciszę.

Zjawił się nad ranem przygaszony i milczący. A Kasia na niego czekała. Uniosła się z łóżka i bez słowa pomogła mu się rozebrać. Potem leżała przy nim, przytulona i cichutko szeptała:

- Kochanija moje!

A on ją obejmował i powoli zapadał w sen.

Po kilku dniach młynarzowa znalazła pod płotem martwego psa. Zdziwiło ją to. Bo pies był zdrowy i nagle zdechł. Może zjadł zatrutego szczura, pomyślała. Bo podkładała w domu trutkę na szczury. Tak, to na pewno z powodu szczura, oznajmił Mitia i zakopał psa. Ale coś go w sercu ukłuło. Borys się rozplakał. Mitia obiecał, że kupi nowego.

Ludzie powracali na pola i powoli zapominali o tym, co się mówiło o mordach za Prutem. Zwozili buraki i kartofle, ścinałi kapustę. Zabierali się nawet za młóckę, choć zwykle odkładali ją na zimę. Krowy, owce i kozy pasły się na łąkach. Bociany już dawno odleciały, krążąc wysoko nad wsią, a potem kierując się na południe. Tylko Mitia miał bezsenne noce.

470

POŻAR

Nie zaznał spokoju. Zasklepił się w sobie i ponuro patrzył na świat. Spłonęły mu stogi siana, których nie zdążył przywieźć. Chodził wściekły. Kasia brała Zuzię i Borysa za rączki i kręciła się po podwórzu, wykonując drobne roboty. Karmiła kury, doglądała owce, prała bieliznę i szykowała się do zimy. Młynarzowa poruszała się jak lunaticzka.

Mitia w końcu jakoś się zebrał, przebolał stogi siana i wziął się do strugania drewnianych ludzików. Robił to z wielką zaciętością, jakby się bardzo spieszył. I wciąż popatrywał z ukosa na Kasię. Ruszał szczęką i dławił ból. Głowa mu puchła, a on milczał. Nie wiedział, czy ma to jej powiedzieć, czy nie. A jeśli powiedzieć, to jak. Przecież nie powie: - Słuchaj Kasiu, muszę cię zarżnąć. Nie, nie, to czysta paranoja. Coś im się pomieszało. Kasia czuła, że gniecie go straszny kamień, ale była delikatna i powściągliwa. Znowu uznała, że Mitia ma problem z Żydami. Nie radzi sobie z przerzutami na Zachód. Obiecał jej, że już z tym skończy. Ale, jak widać, nie skończył. Wciąż wielu Żydów ukrywało się w lasach. I dlatego on się miotał. Dlatego zerkał w tamtą stronę, tłumaczyła sobie.

Mijały dni. Nic szczególnego się nie działo. Mitia odetchnął, że to jednak był głupi żart. Zajął się Zuzią i Borysem. Brał Zuzię na ręce i bawił się z nią. Zuzia powróciła do łask. Bo był czas, gdy o niej zapominał. Borysa podrzucał pod sufit, a Borys pokrzykiwał. Wkrótce dzieci bawiły się kowalami, stolarzami i szklarzami. Strugał też zwierzęta, za którymi przepadały. Dom napełnił się końmi, sarnami, jeleniami, ptakami i jaszczurkami, całą menażerią dziwów Pokucia. A nawet uszykował długą kolej. Składała się z kilkunastu maleń-

471
kich wagoników i lokomotywy. I krążyła po drewnianych szynach. Dzieci piszczały z radości. Mitia wciąż jednak nie mógł spać. Wstawał w nocy i zapalał papierosa. Otwierał okno, by zaczerpnąć świeżego powietrza i nie dymić. Kasia mruzczała przez sen i odwracała się. Patrzył w niebo i odczuwał jakąś tajemną więź z kosmosem. Zastanawiał się, co człowieka tak ciągnie do gwiazd, że stale popatruje w niebo. Gdy powiał chłodny wiatr, cofnął się, zgasił papierosa, nabrał haust świeżego powietrza i cierpko uśmiechnął się do księżycy, który siedział przed oknem na konarze jabłoni. Zapowiadał się ciepły dzień. Wrócił do łóżka i leżał z otwartymi oczami, aż zmorzył go sen.

Zbudził go ostry, przenikliwy krzyk. Myślał, że coś mu się śni, ale nad nim stała młynarzowa i wołała:

- Pożar! Stodoła się pali.

Skoczył na nogi, Kasia za nim. Wrzasnął: - Chroncie dzieci! - i już go nie było.

Runął w stronę studni, chwycił wiadro i gonił do palącej się stodoły. Z sąsiednich domów pędzili już chłopcy, by gasić pożar. Skakali od studni do stodoły i lali wiadra wody. Żywioł szalał. Nie sposób było podejść bliżej. Ogień buchał, jakby ze środka stodoły unosiła go wielka dmuchawa powietrza. Już palił się dach, a płomienie skakały z belki na belkę i pożerały zasieki. Wyglądały jak rude lisy, liżące drewno i wspinające się do gniazda bociana. Zająły się drewniane ściany i rozgorzało piekło. Szum, huk i trzaski rozlegały się ze wszystkich stron.

Chłopi patrzyli ze strachem, czy wiatr nie przeniesie płomieni na słomiane dachy ich domów, a przede wszystkim na chatę Miti, która była najbliżej. Na szczęście powiał silny wiatr w przeciwnym kierunku. Stodoła wypełniona suchym zbożem, płonęła jak zapałka. Zbiegło się pół wsi. Ludzie stali przerażeni, zaskoczeni i osłupiali. Od lat już nie było we wsi pożaru. Nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętali, by ktoś się tutaj palił. A tu takie nieszczęście. Ognie pochłaniały zboże, pszenicę, żyto, owies, jęczmień, narzędzia rolnicze, pługi, kosy, widły, worki, wszystko.

Ci, co pierwsi zauważyli pożar, widzieli, jak ogień buchał z kilku kątów naraz, co znaczyło, że ktoś podpalił. Pożar nie po-

472

wstał od przypadkowego zaprószenia papierosa, tłumaczyli starzy gospodarze. Płomienie skakały ze wszystkich stron. Sąsiedzi patrzyli na Mitę ze współczuciem. Ledwie się zakorzenił, a tu taki pech. Naharował się, pot wylał, tyle wysiłku włożył, komentowali, a na zimę zostanie bez chleba.

Kasia stała na ganku, miała spieczone wargi, jej policzki były gorące, a oczy podkrążone. Trzymała blisko siebie Zuzię i Borysa. Dzieci spłoszone pożarem, mocno się wciskały w ciało matki. Młynarzowa załamywała ręce, płakała i nerwowo ocierała łzy.

Jakaś zaraza, czy co, pojękiwała. Najpierw ktoś zabija psa, potem podpala stogi siana, a teraz pożar stodoły, wyliczała. Chłopi kiwali głowami, jakby nieszczęście upodobało sobie tylko to jedno gospodarstwo. A stodoła dogorywa. Buchnął jeszcze gęsty, czarny dym i syczało mokre drewno. Mitią polewał zgliszcz, by jakiś podmuch wiatru nie poderwał palącej się szczapy i nie przerzucił na oborę. Strugi wody spadły na syczący żar, tliły się ostatnie szczątki budynku. Chłopi z chmurnymi minami wracali do domów.

Mitią im podziękował, obejrzał dokładnie pogorzeliśko, okrążył je kilka razy, dokładnie sprawdzając, czy nie czai się jakieś niebezpieczeństwo, a potem stał odrętwiały, aż usłyszał za sobą szept Kasi.

- Chodź.

Odprowadził ją z dziećmi do domu i kazał spać. Za nią powlokła się młynarzowa. Ale gdzie im tam było do snu. Tylko dzieci zasnęły. Kobiety wyglądały przez okno i patrzyły jak Mitią stoi martwo nad zgliszczami. Zbliżał się świt. A one wciąż czekały.

Gdy wszedł, spytały, co teraz będzie. Widział, że się boją. Młynarzowa trzymała się za serce. A wargi Kasi drżały. Nie umiał ich pocieszyć. Nie miał żadnych argumentów. A one miały zapłakane oczy. Zrozumiał, że dom osacza jakaś zła moc. Nie wiedział jednak, jaka. Nie był pewien. A gdy nachodziły go czarne myśli, szybko je odpędzał. Nie chciał wierzyć w najgorsze.

Przy śniadaniu milczeli.

Uznał, że największe niebezpieczeństwo zagraża Rubinowiczowi. Młynarzowa zgodziła się z nim. Kasia także. Zapamiętał dokładnie, co mu w lesie powiedzieli. Mamy swoich ludzi

wsz-

473

dzie. Musiał więc ocalić Rubinowicza. Bał się, że dom jest pod obserwacją. A może myśleli, że kogoś ukrywam w stodole, tłumaczył w głębi duszy pożar. Ale szybko się wycofał z takiego tłumaczenia. Za ukrywanie Żyda była tylko jedna kara, śmierć. Gdyby ktoś wiedział, że Rubinowicz się tu chowa, dawno by go załatwili. Jego i całą rodzinę. Nie, to nie jest dobry trop, myślał. Przecież nie mogą się ze mną tak droczyć. To zbyt poważna sprawa. Młynarzowa poinformowała Rubinowicza, że zaczyna być niebezpiecznie i muszą go stąd wywieźć. Już wiedział, że był pożar. Nie mógł nie wiedzieć. Ogień w nocy rozjaśniał całą okolicę. Słyszał, jak huczą płomienie, krzyczą i nawołują się ludzie. Wyjrzał przez szparę i wszystko widział. Spytał, czy to przez niego. Ale młynarzowa zapewniła, że nie. Pożar wybuchł z innego powodu. Ale już nie rozwodziła się, z jakiego. Szybko uradzili, że najlepiej

będzie, gdy Rubinowicza odtransportują do Kołomyi, do kuzyna młynarzowej, który na pewno nie odmówi pomocy.

Rubinowicz z miejsca uznał ten pomysł za słuszny. Podziękował Annie za opiekę i oddał się w ręce Miti. W dzień targowy, gdy do miasta jeździło wiele furmanek, Mitia ukrył go na dnie fury, przykrył słomą i zawiózł razem z matką pod właściwy adres. A sam poszedł na bazar. Młynarzowa opowiedziała kuzynowi, co się zdarzyło. Kuzyn z miejsca się zgodził Rubinowicza ukryć. Tym bardziej że wiedział, kim jest. Znał go z sal koncertowych. Jego żona gościem zaopiekowała się, nakarmiła i zaprowadziła do wolnego pokoju. Kuzyn wypytał jeszcze młynarzowa, co słyhać na wsi, a gdy poznał szczegóły, oznajmił, że ktoś się dobiera do skóry Miti, choć nie wiedział, kto i dlaczego. Gdyby to byli banderowcy, mówił, już Mitia by nie żył. Oni się nie patyczkują. Od razu by go zamordowali. Może to jakieś stare porachunki, zastanawiał się. Może Mitia kiedyś popadł w konflikt z kimś, kogo młynarzowa nie zna i teraz tamten się mści. Nieraz grzeszki młodości wyłażą po latach. Zasugerował, że Mitia może mieć wrogów na wsi albo w okolicy. Kategorycznie temu zaprzeczyła.

- Co ty mówisz, Arturze - niemal się obraziła. - Mitia ma wielki mir w okolicy. Wszyscy go lubią, cenią i szanują.

474

A mimo to kuzyn zalecił, by bardzo uważali, bo nie wiadomo, co to ostatecznie znaczy. A może by na jakiś czas zamieszkali w Kołomyi, spytał. Mieszkań pustych po Żydach nie brakuje, choć w większości zostały splądrowane. Ale nie zgodziła się. Wiedziała, jak kategorycznie i ostro zareagowałyby na to Mitia. A poza tym, jak można zostawić dom, młyn, gospodarkę, zwierzęta. Wszystko to już przemyślała. Wprawdzie sama kiedyś wyszła z tym pomysłem, ale teraz była temu przeciwna. Tym bardziej że Mitia ma dwa domy. I musi Stefce pomagać.

Stanęło na tym, że będą bardziej uważać na siebie.

Przy okazji kuzyn poinformował młynarzowa, że wojna powoli zmienia swój bieg. Niemcy się już cofają. Rosjanie zepchnęli ich nad Dniepr. W Afryce kapitulują ostatnie oddziały szwabsko-włoskie. A Włochy obaliły Mussoliniego i podpisały z aliantami zawieszenie broni. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce Niemcy padną, a wojna się skończy.

- Tylko co będzie potem? - zadał pytanie. - Czy nasza sytuacja, Anno, tutaj, na Kresach, poprawi się? Ukraińska Powstańcza Armia przesuwa się z Wołynia w stronę Podola i Pokucia. Są tam nawet trzy różne odłamy nacjonalistyczne, wyjaśniał, Bandery, Melnyka i Bulby, ale nie będzie jej zawracał głowy drobiazgami, bo wszystkie trzy są takie same, nienawidzą Polaków, jedne mniej, drugie bardziej, ale nienawidzą. I wyrzynają w pień. Choć także - zastanowił się, patrząc na młynarzowa uważnie, jakby z wahaniem i obawą, czy jej to powiedzieć, czy nie, ale w końcu wyrzucił z siebie - polskie służby konspiracyjne donoszą, że banderowcy mordują również Ukraińców. Terroryzują swoich.

- Jak to swoich? Swoich terroryzują? - uniosła się z krzesła. Nie mieściło się jej to w głowie. Stanęła pod oknem, oparła się o parapet i patrzyła na kuzyna z szeroko rozwartymi oczami.

- No, tak, Anno, swoich mordują -jakoś obco powiedział. Nie pojmowała.

- Ale dlaczego swoich? - spytała.

- Bo wielu Ukraińców to porządni i uczciwi ludzie. Mają swoje domy, dobytek, rodziny, przyjaciół, własne życie. Większość

475

jest taka. Co ja mówię - większość, miazdząca większość. Nie utożsamiają się z potworami i mordercami. I nie chcą iść do band. Nie chcą mordować Polaków. A ci z UPA pragną wszystkich zapędzić do lasu, gwałtem, przemocą, rozumiesz?

- Nie - zaprzeczyła. Istotnie, nie rozumiała.

- To właśnie jest terror - oznajmił. - A jak ktoś odmawia albo ucieka, katują go na śmierć. Tak samo jak naszych.

- Boże! - wydusiła z siebie. Jej wargi drżały. Jakby malała w oczach. Właśnie pomyślała, że mogliby do takiej bandy zabrać Mitię. Stała zdruzgotana. Ale zaraz pocieszyła się, że Mitia jest Bojkiem, a oni są z boku i nie mieszają się do niczego. Mają swoje własne życie. Trochę się uspokoila. A kuzyn się odezwał:

- Ale to ich sprawa, Anno. Niech się wzajemnie wyrzynają. Nie były to dobre wiadomości, lecz kuzyn Artur swoim zwyczajem stał na stanowisku, że lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć.
- Musimy wiedzieć, Anno - zaśpiewał starą śpiewkę. - I musimy pamiętać - tłumaczył. - Bo pamięć nas określa i wyznacza nowe zadania, hierarchie, normy, zasady. Pamięć to nie tylko powrót do przeszłości, rejestracja zdarzeń, ale przede wszystkim umacnianie rozumu w fundamentach życia. Bez pamięci nie ma marzeń, nadziei, niczego. Bez pamięci, Anno, świat tonie w mrokach i kłamstwie - patrzył na nią poważnie, jakby podsuwając problemy do przemyślenia. Pokiwał głową i dodał: - Musimy pamiętać każdy ich krok, by się później nie wyparli tego ludobójstwa przed światem. By nie kłamali, że to nie oni mordowali, a inni. Tak, jak się dzisiaj Turcy wypierają. Że to nie oni wymordowali półtora miliona Ormian. Bo kiedyś trzeba się będzie, Anno, z tej strasznej zbrodni wytłumaczyć. I opowiedzieć o niej światu. Bo świat o niej nic nie wie. Teraz rozumiesz, dlaczego tak skrzętnie gromadzę dokumenty, zapiski, wycinki z gazet, rozkazy, daty, fakty, okoliczności, nazwiska. Wszystko się kiedyś przyda. A poza tym, pamiętając, sami siebie lepiej rozumiemy i nasz straszny czas. Młynarzowa westchnęła. Nie chciała już wszczynać sporu o pamięć i wiedzę. Znała kuzyna dobrze. I nie miała złudzeń, że go nie przekona. I nie udowodni mu, że żadna wiedza i pamięć nie zlikwidują bólu, przerażenia, upokorzeń i śmierci. Toteż z nadzieją rzuciła:

476

- Bóg ma nas w swej opiece, Arturze. Jakoś wyjdziemy z opresji. Najważniejsze, że Broniek bezpieczny. A Mitia sobie poradzi. - mówiła w taki sposób, jakby sama siebie w tym upewniała.

Na powtórny ofertę, by się przeprowadziła do Kołomyi, stanowczo odrzekła, że Kasi nie opuści. Pożegnała się czule z kuzynostwem. Przez dobrą chwilę na osobności porozmawiała z Rubinowiczem i obiecała, że będzie go odwiedzać. Zjawił się Mitia i wrócili do domu.

477

PEŃTLA

Następnego dnia rano cała rodzina wyszła w pole, by zająć się kopaniem kartofli. Pracowali do południa, a ponieważ roboty było dużo, Kasia zostawiła dzieci matce i pobiegła do domu, by przynieść chleba i kwaśnego mleka. Gdy wróciła, szybko zjedli i pracowali do późnego wieczora. Przez kilka dni niemal nie schodzili z pola. Gdy uporali się z kartoflami, Mitia zabrał się do buraków. Kobiety zajmowały się domem. Pod wieczór młynarzowa wyszła, by nazbierać ziemniaków. Już zmierzchało, kiedy znikła za stodołą. Ściemniło się, a ona nie wracała. Kasia zaniepokoiła się i spytała Mitię, czy może wyjść naprzeciw matce, tym bardziej że ostatnio matka narzekała na bóle serca.

- Boże - jęknęła - mógł przyjść atak serca i mama zmarła. Mitia powiedział, że sam pojedzie po nią. Kazał Kasi zamknąć się w domu, nikogo nie wpuszczać, wsiadł na konia i pognął na pole. Ale młynarzowej nie znalazł. Przewrócony koszyk z ziemniakami leżał przy drodze, a po niej zaginął wszelki ślad. Wokół ziała pustka. Nie było żywej duszy. Chłopi dawno wrócili z pól. Krzyknął: - Mamo! - i nasłuchiwał, ale nikt nie odpowiedział.

Skoczył na zagon kapusty, lecz i tam jej nie znalazł. Jak kamień w wodę. Objechał najbliższe poletka, zajrzał z drugiej strony wzgórza, znowu zaczął ją wołać. Poczuł, jak narasta w nim strach. Nie mogła wrócić do wsi. Droga prowadziła prosto do domu. I nie byłaby nawet w stanie zabłądzić. Pozbierał kartofle, chwycił kosz, skoczył na konia i pognął do chaty, by się upewnić, czy jakąś inną ścieżką nie dotarła, choć było to mało prawdopodobne. Nie zastał jej

w domu. Kasia widząc zdenerwowanie Miti, krzyknęła:

- Mitia! Co się stało z matką?

478

Zaciskał szczęki. Nakazał zamknąć drzwi na zasuwę, a on objedzie najbliższe pola i sprawdzi, czy przypadkiem nie dostała zawrotu głowy i nie padła gdzieś między trawami. Poderwał ogiera i po chwili znikł za oborą. Coś go tknęło, by dokładniej przyjrzeć się miejscu, w którym zostawiła koszyk. Zeskoczył z konia, pochylił się i badał ziemię. Księżyc był w pełni i mocno świecił. Zobaczył ugniecioną trawę i dostrzegł wyraźny znak między roślinami, idący w głąb łąki. Poznał ślady i nie były to ślady jego konia. Tamten był cięższy niż jego ogier, nogi zapadały się głębiej w wilgotnej ziemi. Nie miał wątpliwości, że gdzieś tu rozegrał się dramat. Ktoś ją porwał. Był tego już pewien. Wskoczył na ogiera i podązał za śladem. A ślad wiódł go między trawami, skręcał na pole ziemniaków i stawał się coraz wyraźniejszy. - Boh ty mij! - krzyknął. Nie porwali, tylko udusili ją. Koń ciągnął ciało wzdłuż pola kukurydzy i ślad skręcał w las, przeciął rów i właśnie w rowie dostrzegł ciemny zwinięty kształt. Leżała z podwiniętymi nogami, jak niemowlę, a na szyi miała sznur. Dotknął jej czoła. Była ciepła. Żyła. Ale nie ruszała się. Padł na kolana i szybko zdjął sznur i zobaczył grubą, czerwoną pręgę.

- Mamo - zawołał.

Nie odezwała się. Miała zamknięte oczy. Pomyślał, że w ostatniej chwili, zanim koń szarpnął, wsunęła dłoń między sznur a szyję, ratując w ten sposób życie. Jeździec ciągnął ją galopem, w niektórych miejscach widać było, jak jej ciało podskakiwało, potem ciężko opadało na ziemię, trawa głębiej była wgnieciona.

- Mamo! - powtórzył, a ona drgnęła.

Podnosił ją ostrożnie, by nie sprawić bólu. Krwawiły jej ramiona, nogi i ręce, a szczególnie twarz. Pełno było na ciele czerwonych plam, zadrapań i guzów. Otworzyła oczy i szepnęła:

- Mitia!

Z trudem podniosła rękę i dotknęła go, jakby sprawdzając, czy to on. Powieki jej spuchły, a na brodzie widniała ogromna, pocięta i krwawiąca rana. Poczuli uścisk jej dłoni. Wziął ją na rękę i powoli przerzucił przez konia, skoczył na ogiera i wolno, by nie telepało, wracał do domu.

479

Kasia widząc przez okno, jak wjeżdżają, wybiegła i załamując ręce wołała:

- Mitia! Mamo! Co się stało? Zemdląłeś?

Pomogła zdjąć matkę i razem zanieśli ją do sypialni. Ułożyli na łóżku, a Kasia delikatnie przemyła jej rany. Młynarzowa zaciskała usta i pojękiwała. Najbardziej poobijane były kolana i głowa. Na szczęście nic nie zagrażało jej życiu. Noc przespała targana złymi snami. A rano opowiedziała, jak to się stało.

Wracała z kartoflami do domu, kiedy usłyszała tętent konia. Zapadał zmrok i ona zeszła z polnej ścieżki, by ustąpić jeźdźcowi miejsca. Ale on się zatrzymał i zanim się spostrzegła, została uderzona w głowę. Otrzymała silny cios, zachwiała się i upadła. Po chwili zobaczyła nad sobą obcego mężczyznę. Myślała, że już po niej. Że zaraz ją zabije. Była tak roztrzęsiona, że nie mogła słowa wydusić. Ale on jej szykował dłuższą śmierć. Zeskoczył, założył na szyję pętlę, z powrotem wskoczył na konia i poczuła ostre szarpnięcie. Cud sprawił, że zanim sznur zacisnął się na jej szyi, włożyła, tak jak się domyślił Mitia, dłoń między sznur a szyję, ratując się przed uduszeniem. Koń cwałował, jej ciało podskakiwało, czuła tylko straszny ból, dusiła się, brakowało jej powietrza, ale wciąż żyła. Wpadała na grudy ziemi, kamienie, jakieś gałęzie, które raniły jej ciało. Na drodze pojawił się rów, koń skoczył, a ona uderzyła głową o brzeg i straciła przytomność. Nie wie, jak długo leżała, na chwilę ocknęła się, znowu zapadła jakby w sen, a potem zobaczyła Mitę. I to wszystko.

Powoli dochodziła do zdrowia. Rany się zablizniały, tylko sina szrama na szyi wciąż pozostawała widoczna. Mitia nie miał już wątpliwości, czyja to sprawka.

480

GORYCZ I NADZIEJA

Wypadek Kasię bardzo przygnębił. Zdusił w niej dawny entuzjazm i zabił marzenia. Pograżała się w żalu. Domyślała się, że spadające na nich nieszczęścia nie są przypadkowe. Że nęka ich jakieś złowrogie i silne ramię. Jakieś fatum, klątwa, myślała. Ale dlaczego? Co zawinili? Chciała o tym porozmawiać z Mitią, lecz on się zamknął, zasklepił w sobie i coraz więcej pił. Od rana sięgał po butelkę i żłopał, a potem leżał pijany. Gdy na moment zasypiał, nachodziły go majaki. Zrywał się z łóżka i krzyczał, wył, a Kasia brała jego głowę na kolana, dotykała, gładziła włosy, ścierała pot z czoła i uspokajała. I widziała w obłędzie zastygłe oczy. Jej twarz też się zmieniała. Rysy się bardzo wyostrzyły, nos się wydłużył, a usta wyschły. Jakby jakieś źródło życia przestało w niej bić. Pograżała się w smutku i samotności. Aż wpadła w depresję. Mitia zapijał się na śmierć. A ona nie mogła nad tym zapanować. Wbijala oczy w śłup, nikogo nie widząc. Młynarzowa zajmowała się dziećmi i patrzyła na nią i na Mitię z rosnącą troską. W cichości ducha przeklinała tę chwilę, gdy Mitia pojawił się w ich domu. Przemknęła jej przez głowę myśl, że to kara za grzechy. I tej myśli jeszcze bardziej się przeraziła. Na wszelki wypadek się przeżegnała. Kasia chodziła z goryczą w oczach. A chwilami jakby była martwa. W nocy, gdy Mitia leżał pijany, stawiała w oknie i wpatrywała się w ciemność. A potem nagle, w jakimś absurdalnym, dzikim zrywku, biegła do Miti i rzuciła mu się w ramiona, a on, pijany, z trudem ją rozpoznając, bełkotał:

- To ty?! Łastiwka moja?! Zazulia moja?!

- Ja, Mitia, ja! - wołała w pomieszaniu zmysłów: - Ja, Mitia. Ja, twoja łastiwka, zazulia twoja, twoje kochanije, switło, zir-ka i żytia twoje.

481

Wpatrywali się w siebie chorymi oczami, a potem gwałtownie, dziko, zachłannie kochali się w łóżku, spadali na podłogę i znowu się kochali, jakby w przeczuciu wielkiego nieszczęścia, które na zawsze ich od siebie rozdzieli. Było to wszystko absurdalne, niezrozumiałe, pełne goryczy i żalu.

- Zawsze będziesz mnie kochać, Mitia? - skomliła mu do ucha i wbijała w niego błyszczące oczy.

- Budu - odpowiadał ciężkim głosem. - Budu! Moja zirka, moje żitia - charczał, a ona wciskała mu się pod pachę. I ta pijana gorzka miłość, nie wiadomo jakim cudem, ożywiła ich. Jakby odrodziła.

Otrząsnęli się z ciężarów życia i Mitia po jakimś czasie dochodził do siebie. Przez kilka dni stan jego zdrowia poprawił się, Kasia także nabrała energii, a młynarzowa dziękowała Bogu za ratunek, bo myślała, że oboje już nigdy się nie dźwigną z tej goryczy. Kasia wyplatała z kukurydzy kosa i wieszala je na długich sznurach na strychu. Rozpięła też sznury z główkami czosnku i liśćmi tytoniu. Pogoda dopisywała, dni były słoneczne, a ciężka robota pozwalała zapomnieć o kłopotach duszy.

Mitia w domu dorobił nowe skoble, umocnił zamki. Poprawił plot. W furtkę wmontował dzwonek. Każdy, kto chciał wejść do obejścia, musiał go uruchomić. Dzwonek był głośny i natarczywy. I bardzo podobał się dzieciom.

Gdy szli z pola, byli skonani. Życie powoli wracało do normy. Na wsi panował spokój. Wieści o tajemniczych mordach ustały. Czas leczył rany, chociaż ich nie zablizniał. Mijały dni, a przeszłość wydawała się sennym koszmarem, który się już nie powtórzy. Kasia zasiadła nawet do pisania dzienników, czego dawno nie robiła i notowała, co przyniósł miniony czas, nie zapominając o pożarze i pętli na szyi matki. I o dziwo, gdy to zapisała, poczuła pewną ulgę. Jakby zrzuciła z siebie ciężar.

Także młynarzowa się ożywiła. Nabrała sił i już blado się uśmiechała, bawiąc się z dziećmi. Choć jej oczy nadal były smutne. Odwiedził ją kuzyn i poinformował, że Rubinowicz chwali sobie nowe schronienie i do wiosny przeczeka. Dużo się rusza, ćwiczy palce i coś tam zapisuje w zeszycie. Pozdrawia ją i całą rodzi-

482

nę. Wierzy, że wojna się wkrótce skończy, wyjdzie z ukrycia i zacznie nowe życie.

Ta myśl młynarzowa bardzo ucieszyła. A gdy kuzyn dowiedział się o sznurze na szyi, zasugerował, że na pewno tu chodzi o jakieś stare porachunki. Wcześniej się tylko tego domyślał, ale teraz jest już pewny. Wysnuł nową hipotezę, że być może jakiś zawiedziony wielbiciel Kasi mści się za dawne urazy i rany. Za to, że nie jego Kasia wybrała na męża, a Mitia. Chciał nawet o tym z Mitią porozmawiać, lecz młynarzowa wyblagała, by tego nie czynił. Mitia śpi i jest bardzo zmęczony. A Kasia też się zdrzemnęła. Oboje po ciężkiej pracy w polu. Najlepiej będzie, gdy tego tematu nie ruszy, bo Mitia nerwowy i nie wiadomo, jak zareaguje. Zazdrość się w nim gotuje. I ona, młynarzowa, coś o tym wie. Kasia bez niego kroku nie może zrobić. Ponadto powątpiewa, czy z tego powodu ktoś chciałby ją, młynarzowa, udusić. Bo dlaczego akurat ją?

- Bo ty, Anno, jesteś jej matką - wyjaśniał. - A z zemsty wiele absurdalnych i głupich rzeczy się robi - odparł kuzyn. Pożegnał się i szybko odjechał.

Sama już nie wiedziała, co o tym -myśleć.

Kończyła się jesień. Pola obrobione. Kartofle w kopcach. Strych pełny splecionej kukurydzy i czosnku na sznurach. Suszy się też tytoń. Dobrzy sąsiedzi odstąpili trochę paszy, siana i zboża. Pomogli w trudnych dniach. Kasia była im bardzo wdzięczna. Nie brakuje im mleka, mięsa, serów. Spizarnia pełna. Do zimy, wbrew losowi, są przygotowani. Co oznacza, że nadchodzi lepszy czas. Powoli nabierała chęci do życia. Niedawne wstrząsy, które tak ją przygniotły, ustępowały miejsca nowym wyzwaniom. Miała radosne i pięknie rozwijające się dzieci. Zuzia podśpiewywała. Była zdrowa i ładna. Borys brząkał na cymbałkach, które mu zrobił Mitia. Mitia był w wpatrzony w niego jak w ikonę. Kasia wychodziła na podwórko i zerkąła w niebo, obserwując rozświetlone chmury. Potem długo się w nie wpatrywała.

Przypominały jej dzieciństwo. Gdy była dzieckiem, czuła, że w chmurach kryją się wielkie tajemnice, jakieś postaci, figury, kształty, pojazdy, zwierzęta, góry, drzewa, kwiaty, lasy, a nawet duchy. Jakby świat miał drugie życie, gdzieś tam wysoko i dale-

483

ko. I teraz uczyła swoje dzieci, by patrzyły w niebo, bo tam w głębi jest Bóg, który nad wszystkimi czuwa i wszystko widzi. Uczyła Zuzię i Borysa barw jesieni, recytowała wiersze o przyrodzie i radowała się wraz z nimi każdym świtem, porankiem i każdą gwiazdą na niebie. Znowu, jak niegdyś, postanowiła być twarda i nieustępliwa. I bronić swojego życia. Wciąż jestem młoda i silna, myślała, mam kochanego męża, dobrą matkę i nie poddam się. To co, że nawiedziły nas kłopoty. Wkrótce miną. Bo wszystko mija. Zbyt długo czekałam na szczęście, by się teraz zagryzać i rezygnować z niego. Chcę żyć. Chcę kochać. Czuję, jak wzbiera we mnie pragnienie. Jak wracają soki młodości. Czuję w sobie siłę. Chcę rodzić dzieci. Mam mocne piersi i szerokie biodra, które aż proszą się, bym rodziła. Czuję jak tętni we mnie krew, jak się burzy, mój oddech na znak miłości przyspiesza... Chcę cieszyć się światem, jego urokami. Chcę poznawać nowe rzeczy, iść dokądś, coś robić, śpiewać, tańczyć, a nie siedzieć w zamknięciu i lęku, chcę marzyć, bo mam do tego prawo, budowała w sobie radość, a nawet entuzjizm dla życia. Mitia przeżył swoje, myślała. I też odżyje. Pozbiera się i mocno stanie na nogach. Oboje staniemy. Z życia nie wolno rezygnować. Nawet, gdy jest najtrudniejsze. I gdy otaczają je mury, ciemność... Bo życie jest cudem, myślała. I wlewała w siebie nową, jeszcze większą porcję nadziei. Było źle, ale minęło, myślała. Jesteśmy razem. Kochamy się. Matka nam pomaga. I też już doszła do siebie. Musimy trwać. Patrzyła na Borysa i Zuzię, jak się bawią i radośnie pokrzykują, więc uznała, że to dobry znak dla niej i

dla całej rodziny. Widziała kątem oka, że i matka z miłością przygląda się wnukom. Postanowiła ubarwić nadchodzący wieczór. Zaskoczyć Mitię i matkę. I przygotowała smaczne kanapki, wyjęła z piwnicy butelkę wina, które sama zrobiła i postawiła na stole. Młynarzowe uniosła brwi i spytała, z jakiej to okazji. A ona odparła, że z okazji minionych niedawno urodzin dzieci. Mitią przyklasnął, umył szklanki i gdy wziął do ręki mandolinę, Kasia wzniosła toast za Zuzię i Borysa, i zaśpiewała dowcipną pieśń ludową znad Czeremoszu.

Młynarzowa się zaśmiała, a Miti z radości roziskrzyły się

484

oczy. Wiedział, że jemu tę pieśń poświęciła. Dawno nie dała takiego popisu.

Nastroił mandolinę, zagrał i sam zaśpiewał. Przy winie, rozmowie i śpiewie zapomnieli o ciężarach losu, udrękach, kłopotach i zagrożeniach. Od dawna już tak razem nie czuli się dobrze. Mitią nawet pomyślał, że ci z lasu chcieli mu tylko dać nauczkę, by popamiętał na całe życie, kto tutaj rządzi, ale już więcej go nie dotkną. I nie zranią. Bo i co im zawinił. A poza tym, przyda się im jeszcze. Sami mówili, że ma złotą rączkę. I takiego drugiego w okolicy nie znajdują.

Na przemian z Kasią znowu śpiewali, aż ludzie, którzy mijali ich zagrodę, zatrzymywali się na chwilę, nie pojmując, skąd nagle tyle radości w tym jeszcze do niedawna tak smutnym domu. Na dodatek zdziwił ich głupi Lolek, którego od tygodni tutaj nie widzieli, a teraz stał skulony przy płocie i kryjąc się między krzakami, z rozdziawioną gębą wpatrywał się w okno. Gdy dostrzegł, że sąsiedzi go zauważyli, począł mamrotać:

- Królowo moja, dlaczego? Powiedz, dlaczego?

I powoli ruszył w kierunku gór. A na pytanie, dokąd o tak później porze się wybiera, odparł, że wzywa go Czarna Dama. Nic z tego wszystkiego nie rozumieli. Patrzyli jak odchodzi, wzruszali ramionami i szli do swoich domów.

485

3 3

&*

Б?

2. o

0

S'

д,' a

^ H ^ Б£

ii ^ " ~ &Л o o

0 £

€ e sg. er oэ

o ш na 5" f4-» ii. "

£2^

5 3; g

ir H- .9 o

_, " й" та <w

Y5\

t-і. Ли ~ ^ SI u u w" »» K' C ii4 < ЙЧ P -

> G | S

o

er — » ^

д> OJ

ns » 3 13 «• - 2 ="
OJ ^ (p. и €X*• n
r(T>
tsi
OJ
- 3 ■
e c z
^ a 3. 'S- °
B Γ-Γ OJ
- C
ïï" ^
oj C,
^cAJ
ΓϣI-
NJ
3 ► < a £
i
H
OJ
|V
ex
o o-
2 " n
OJ CfQ
— 3

Пч

ROZMOWA Z DUCHEM

A głupi Lolek wspinał się po stromym brzegu, pełnym jam, zapadni, gwałtownych uskoków, ciernistych krzewów i ruchomych kamieni. W każdym momencie, stając na jakimś gładzie, mógł wraz z nim polecieć w przepaść. A mimo to z bystrością chyżej łani, przemykał między niebezpieczeństwami, jakby znał tutaj każdy kamyczek i każdą grudkę ziemi. A gdy już był u szczytu, uniósł do góry szare oczy i począł nasłuchiwać. Przed nim widniały ruiny starego zamku, pokryte mchem, na których rosły cienkie, białe brzoźki i leszczyna. Ogromny, półokrągły taras rozświetlały ostatnie, żółte promyki słońca, a wokół panowała niezmiernie, głęboka cisza. Gdy odwrócił wzrok, zobaczył popielatą ścieżkę, po której się wspinał, a niżej zbocza, łąki, wijącą się między gęstymi, zielonymi trawami rzeczka, drogę, most, posiekane miedziami pola i daleką wieś. Westchnął, przetrął oczy i ruszył w stronę ruin, wyczekująco wpatrując się w niegdysiejszy krużganek.

W blasku zachodzącego słońca dostrzegł wyłaniającą się z głębi zamku Czarną Damę. Stała jak wryty. Miała odsłoniętą twarz, blade policzki i przymglony wzrok. Po jej ciele spływała długa, ciemna suknia, zapięta starannie na błyszczące, małe guziki u szyi. Patrzył na nią urzeczony, przelekniony, nie śmiejąc ruszyć powieką.

Czarna Dama stanęła na tarasie i długo, w milczeniu wpatrywała się w dalekie krajobrazy. A on trwał nieporuszony, jakby zaklęty, tylko nieznacznie drgała mu warga. Jego oczy były szkliste.

Zjawa przeniosła błądy wzrok z gór na jego twarz i spytała:

- Dostrzegam cierpienie w twoich oczach.

486

Wzdrygnął się. Otworzył usta, ale zanim wypowiedział słowo, usłyszał pytanie:

- Miłość cię pogrąży w żalu?

- Tak, dobra pani. Właśnie widziałem ją przez okno - odparł.
- Krążysz wokół niej, podpatrujesz, szukasz...
- Tak. Bez niej nie mogę żyć. Wciąż ją kocham. Wciąż jej potrzebuję. Każdy dzień jest stracony, gdy jej nie widzę. Ale ona myśli, że jestem obłąkany. Zastanowiła się. Podeszła bliżej, usiadła na kamieniu, nakazując mu ręką, by uczynił to samo. A gdy znalazł miejsce, pochyliła się ku niemu i zaczęła mówić:
- W miłości, chłopcze, zawsze jest szaleństwo. Wielka, nadzwyczajna miłość niesie w sobie pierwiastek obłąkania. Jest niepohamowana i ostateczna. Wielka miłość nie lubi się dzielić. Jest zaborcza, władcza, jedyna i niezastąpiona.
- Ale ja umieram, dobra pani... Nie radzę sobie z tą miłością. To już tyle lat. A ja wciąż tak samo ją kocham. A może bardziej. Na pewno bardziej. Każdy dzień, każda godzina i minuta bez jej widoku, to udręka ponad moje siły. •
- Miłość, chłopcze, zawsze jest udręką, cierpieniem i bólem. Bez udręki miłość traci swój sens i moc, staje się banalna i pospolita. W miłości wylęgają się demony, ale śpiewają też chóry anielskie. Nieraz włada nami ciemna siła i wtedy wydaje się nam, że utraciliśmy świat. Lecz kiedy indziej dostajemy skrzydeł i miłość unosi nas ku wielkim myślom, czynom i zadaniom. Nie możesz się tylko błąkać pośród łąk i pól, z obłędem w oczach. Musisz się oddać jakiejś pasji, jakiemuś ważnemu zadaniu, a zajmiesz swój umysł. Nikt do niego nigdy tak nie mówił. Zdawało mu się, że śni.
- Ja, dobra pani? - spytał.
- Tak, ty, młodzieńcze, ty.
- Wszak jestem chory, obłąkany. Cóż więc mogę zrobić?
- Spójrz na mnie, chłopcze. Od lat służę ludziom, wskazuję im zagrożenia, pokazuję zmiany losu. A też byłam obłąkana z miłości...
- Też? Tak samo jak ja?

487

- Tak, młodzieńcze. Też kochałam ponad życie swego pana, wielkiego rycerza na włościach, władcę tego niegdyś pięknego zamku - wskazała ramieniem ruiny - ale on się odwrócił ode mnie. Kiedyś przyłapałam go w sypialni, jak mnie zdradzał z pokojówką. A później wielokrotnie mnie jeszcze zdradzał ze służącymi, chłopkami, a za nową żonę pojął jakąś cudaczną dziewczynę, Bóg wie skąd, no - zawahała się - może nie za żonę, a nałożnicę, a mnie wygnał z domu...
- Wygnał cię z domu? Twój pan?
- Tak, chłopcze, wygnał. To było wiele lat temu, w innej epoce. Dawno, dawno... Jeszcze nie było tej wsi, tego ludu... - zadumała się. - Zdeptał moją miłość - syknęła z gniewem. - Zniszczył uczucia. Zabił piękno. Zdławił moją pieśń, którą śpiewałam dla niego. I tylko dla niego. Brałam do ręki skrzypce i grałam mu tęskną muzykę o wielkiej miłości. A on napuszczał na mnie psy i przeganiał jak złodzieja. I wtedy dostałam obłędu. Krążyłam wokół zamku, podpatrywałam go, śledziłam podobnie jak ty teraz to czynisz. Nie mogłam dnia bez niego przeżyć. Wspinałam się na konary drzew, by tylko dostrzec go na moment, jak się przechadza po salonach. A on brał tamtą w ramiona i widziałam, jak padali na łoże, a ja drżałam z gniewu, zazdrości i upokorzenia. Szłam za nim krok w krok, gdzie on, tam i ja, gdzie jego stopa, tam i moja. Nieraz dostrzegał mnie i szyderczo się śmiał. Obrażał, poniżał, wyśmiewał. A mimo to, kochałam go. Oddałabym za jego jeden dotyk całe swoje życie. Nie obchodziły mnie jego gorzkie i porywcze słowa, gdy mnie odganiał jak muchę. Nie zwracałam uwagi na dwór, który już ze mnie kpił. Gdyby mi powiedział, bym padła u jego nóg i całowała jego stopy, zrobiłabym to bez wahania, jak służąca, jak niewolnica. Bo taka jest wielka miłość, chłopcze. Niczego się nie wstydzi, niczego się nie boi, oddaje się w pełni i bezgranicznie. Czyż nie tak? - spojrzała smutnymi oczami na głupiego Lolka, a on opuścił głowę. Przez chwilę milczeli, aż powiał wiatr.

- Czyż nie taka jest wielka miłość? - wciąż patrzyła na niego, a on znowu podniósł głowę, by upewnić się, czy to ona do niego mówi, bo zdawało mu się, że słyszy głos jakby idący z głębi jego własnej duszy. Ale zobaczył Czarną Damę, z melancholią w
488

oczach. - Wielka miłość - ciągnęła - nie czeka na zapłatę. Nie żąda sprawiedliwości. Nie odpowiada gniewem i złością. Nie zdradza i nie upokarza, sama będąc zdradzana i upokarzana. Wielka miłość, chłopcze, ocala świat, chroni przed pustką i bezsenssem. Sama jest sensem świata. A gdy nie może się spełnić, wpadamy w obłąd, dostajemy pomieszania zmysłów, a niekiedy, tak jak ja, umieramy z wielkiej miłości. I składamy ofiarę z własnego życia tym, którzy nas odrzucili, by poznali głębię naszego oddania. To nie rezygnacja z życia, to poświęcenie życia dla miłości.

- Więc umarłaś, pani? - spytał drżącym głosem, z napięciem wpatrując się w jej bladą twarz.
- Czy umarłam? - uśmiechnęła się gorzko. - Nie od razu umarłam. Wiele lat błąkałam się po jego drogach. Wiele lat moja miłość snuła się za nim jak cień, w snach, marzeniach i obłądnie. Mój obłąd, chłopcze, był darem Boga. Gdyby nie nadszedł, moje cierpienie nie miałoby granic. Obłąd jest ratunkiem dla naszej chorej duszy. Obłąd ocala w nas dobro i piękno. Koi ból, zlizuje rany, ukrywa pod maską choroby naszą wrażliwość, odsłania nowy świat i wyzwala od pychy, egoizmu i próżności. W obłądnie spotykamy tylko to, co jest w nas najgłębsze, najważniejsze, najprawdziwsze i najlepsze. No, dobrze - westchnęła. - Czy umarłam? - pytasz.

Siedział przygnieciony ciężarem jej zwierzeń.

- Umarłam przed jego ukochanym oknem, z widokami na wrzosowe zbocza. Gdy byliśmy razem, zwykle stawaliśmy w tym oknie i patrzyliśmy na szczyty gór, na Howerlę i Popa Iwana. Widniał tam, z boku, gruby konar. Wspięłam się na drzewo, założyłam pętlę na szyję i powiesiłam się. Właśnie wtedy, gdy on podchodził do okna. Jeszcze dostrzegłam jego wystraszone oczy i odpłynęłam we mgle. I od tej pory krążę po zamku, błąkam się jak zjawa - przysunęła się bliżej głupiego Bolka i wyrzekła:

- Nie warto jednak, chłopcze, umierać z miłości. Teraz już to wiem. Mój pan niewart był mojego wielkiego uczucia. Nawet nie przejął się moją śmiercią. Kazał mnie zdjąć z drzewa, a dwór nawet po śmierci się ze mnie naigrywał. On sam też skwitował moje oddanie jednym słowem: - Głupia! - I nigdy już mnie nie

489

wspomniał. A ja nadal się błąkam, jako pokutująca dusza. Za swój bezsensowny czyn muszę płacić wysoką cenę. Teraz jeszcze bardziej cierpię. Błądź w pustce. Włóczę się po okolicy, ale wciąż tutaj wracam, by spojrzeć choćby na ślad, który on zostawił. Jak widzisz, jeśli nie poradzimy sobie z wielką miłością za życia, tym trudniej będzie nam walczyć z nią po śmierci, w czas pokuty.

- I co ja mam robić, dobra pani? - spytał.

- Masz żyć! Porzuć niemądre marzenia o dziewczynie, która cię nie chce. Weź sobie za żonę inną. Wzgardź tamtą, tak jak ona wzgardziła tobą. Nie zasługuje na wielką miłość. Zapomnij o niej. Zaczynaj żyć dla innych. I odrzuć wszelką myśl o śmierci - zanurzyła w jego oczach swoje mroczne spojrzenie.

- A myślisz o tym, by umrzeć, prawda? - spytała. Głupi Lolek skinął głową.

- Wiem, wiem, często myślisz. Ale widzisz, czym się to kończy. Chyba nie chcesz się błąkać tak jak ja, pokutująca dusza. Żaden człowiek nie jest godzien, by się dla niego z miłości zabić.

- Więc co mam uczynić z wielką miłością?

Już zdawało się, że mara odpowie, gdy rozległ się szelest liści i z krzaków wyłoniła się wiedźma Walentyna z woreczkiem w ręku. Głupi Lolek szybko spojrział w stronę ducha, ale Czarna Dama znikła.

- A ty czoho tu krutysz sia? - warknęła na niego, pokazując bezzębną paszczę.

Głupi Lolek podniósł się, jeszcze raz się obejrzał, czy nie zobaczy zjawy, ale na kamieniu nie było nikogo, a wiedźma kazała mu się wynosić. Gdy schodził w dół, zerknęła za siebie i mamrocząc pod nosem, skierowała się w stronę dużego poletka ziół.

Głupi Lolek zbiegał ku nizinom.

490

BORYS

Następnego dnia pod wieczór Mitia zabrał Borysa na konia i mimo błagań Kasi, by się nie oddalał, bo pora jest późna, wybrał się na przejażdżkę po pobliskich zboczach. Wiał ciepły wiatr, koń się rozpędzał, a Borys radośnie popiskiwał, klepał ogiera po karku i poganiał, jak doświadczony jeździec. Gdy byli już na połoninach, pokrzykiwał: - Bystrej, bystrej - a ogier zrywał się do pędu i gnał na przełaj. Tylko wiatr świszczął w uszach i rozwiewał czarne włosy. Upajali się tą szaleńczą jazdą, która napełniała ich radością. Mitia mocno przyciskał Borysa do siebie i trzymał uzdę konia. Uderzał ogiera piętami w brzuch, by pędził jeszcze szybciej. Koń skakał długimi-susami, galopował i rwał do przodu ile sił, jakby uczestniczył w wyścigu.

Borys zamykał oczy i gwałtownie połykał powietrze, które w szaleńczym pędzie zatykało mu gardło. Mimo to pokrzykiwał:

- Szcze, bafku, szcze, szwydko, skorisze, skorisze...

Był nieodrodnym synem Miti. Ten sam nieokiełznany, buńczuczny charakter. Ta sama skłonność do ryzyka. Aż chłopci, którzy wracali z pól, zatrzymywali się zdumieni i kiwali głowami. A potem widzieli, jak gonią z powrotem i znikają za kolejnym wzgórzem. Gdy byli już blisko swojego pola, zobaczyli, jak na dalekich zboczach młodzieńcy palą ogniska i pieką kartofle. Borys krzyknął:

- Bafku, i ja chcę wohniszcza i żarkich baraboli.

Mitia szarpnął uzdę, ogier stanął. Postawił Borysa na ziemi i patrząc na jego smagłą od wiatru twarz, wielkie czarne oczy i śmiałe spojrzenie, skinął głową i powiedział:

- Jak chcesz, to będziesz maty. Wse dla mojoho syna! Dla mojoho krasnoho sokiła!

491

-B

Mil

trzej sil

Jeszcze

-Ni

Tam

- A]

z butą.

Najt<

Trysr

-Bat

- Syu

mgłę w o<

Spojr;

- Czej

Wzbie

ro na nieg(

kw.

- Pros; syna - pul,

- Jakij bić? - naigi

- Błaga: rzy. - Błaga dziecku daje

- Widzis

- A jak i miała być tyl us'mieszkien

Mitia pat derstwo i kpi Ludzie! - spe żywej duszy n nikły śpiewy i go kopać, już \ ciskając z bólu

Borys skoczył z radości i zaczął klaskać, i obejmować Mitię za nogi, tuląc się do niego i zaglądając w oczy. Mitia chwycił go za ręce i okręcał wokół siebie, a Borys popiskiwał i wołał:

- Bystrej, bafko, bystrej.

A potem padł roześmiany i szczęśliwy w trawy. Mitia mu opowiadał o koniach, jakie są, co lubią, a przede wszystkim, jak należy z nimi postępować. Uczył Borysa, że konie nie odróżniają barw i przedmiotów, ale doskonale widzą najmniejszy ruch. Dlatego każdy gest, kiwnięcie ręką jest dla nich sygnałem, że coś się dzieje. Borys uwielbiał ojca. Gdy nie było go w domu, kręcił się niespokojnie, spozierał na drogę i pytał Kasię:

- Gdzie tato? Kiedy wróci?

Nawet w nocy przez sen pokrzykiwał:

- Bafko, tato!

A Mitia wydrapałby oczy, gdyby go ktoś skrzywdził. Bawili się teraz, Mitia podśpiewywał wesołe piosenki, a gdy się uspokoili, rozglądając się za dobrym miejscem na ognisko. Znalazł je koło drogi, za krzakami. Szybko rozpalili ogień i w gorącym popiele zagrzebał kartofle. Borys skakał mu na plecy, a on udawał niedźwiedzia i znowu się bawili, ganiali po polu i śmiali się. W kilku miejscach dymiały jeszcze ogniska.

- Kochaju tebe, baf ku - mówił z powagą Borys, patrząc na ojca roziskrzonymi oczami. - Najbilsze na switi kochaju tebe.

- I ja tebe najbilsze na switi kochaju, mij synoczku - odpowiadał Mitia i tulił Borysa.

Cieszył się, że rośnie mu jak na drożdżach. Już chciał mu powiedzieć, że jak będzie większy, to pójdzie do szkół, wykształci się na muzyka, a potem na uniwersytetach będzie wykładał i po świecie z koncertami jeździł. Już otwierał usta, by mu to powiedzieć, pochylał się nad ogniem i wygrzebywał gorące kartofle, gdy nagle poczuł potężne uderzenie w kark.

Pociemniało mu w oczach, padł na ziemię, słysząc jeszcze straszny krzyk Borysa.

Kiedy odzyskał przytomność, siedział przywiązany sznurami do drzewa, a naprzeciw niego stał skulony i jęczący Borys ze skrepowanymi rączkami, przywiązany do pnia.

Gdy zobaczył, jak ojciec otwiera oczy, krzyknął przeraźliwym głosem:

492

- Bafko, mij bafko!

Mitia szarpnął się, targnął ramionami, a stojący nad nim trzej silni, młodzi mężczyźni zarechotali szyderczym śmiechem. Jeszcze raz się szarpnął, a sznury wrzynały się w ciało.

- Ne znaju was. Czoho choczete? - spytał Tamci mściwie ruszali szczękami.

- Ale, my tebe znajemo. Dobre znajemo! - odparł jeden z butą.

Najtęższy podszedł do niego i kopnął go w twarz. Trysnęła krew, a Borys załkał:

- Bafko!

- Synoczku! - krzyknął Mitia, z trudem przebijając się przez mgłę w oczach. - Ne bojsia.

Wony niczoho tobi ne zrobljat.

Spojrzał na nich i ciężkim głosem spytał, plując krwią.

- Czego chcecie?

Wzbierał w nim gniew, wściekłość i strach o Borysa. Ponuro na niego spoglądali i milczeli, a po jego szyi i piersiach ściekała krew.

- Proszę - wychrypiał łamiącym się głosem, słysząc płacz syna - puście dziecko.

- Jakij mudryj!?! - kpili. - Chce nam dyktować, co mamy robić? - naigrywali się z niego.

- Błagam - prosił, widząc, jak Borysowi spływają łzy po twarzy. - Błagam was! Mnie weźcie, zróbcie ze mną, co chcecie, ale dziecku dajcie spokój.

- Widzisz, jak się kaja, jak skomli - odezwał się jeden.

- A jak my go ładnie prosiliśmy o coś, to nie posłuchał. A to miała być tylko drobna przysługa
- włączył się drugi z jadowitym uśmiechem.

Mitia patrzył na nich spod brwi i widział w ich twarzach szyderstwo i kpinę. Ogarnął go straszny lęk o Borysa. Krzyknął: -Ludzie! - spodziewając się, że ktoś go usłyszy, ale w pobliżu żywej duszy nie było. Na dalekich zboczach gasły ostatnie ognie i nikły śpiewy ukraińskich dziewczyn. A obok tlił się żar. Zaczęli go kopać, już we trzech, w żebra, w nogi, w brzuch. Skulił się, zaciskając z bólu zęby.

493

A Borys łkał.

Szarpnął się i krzyknął:

- Puśćcie go, psy!

Sznur jeszcze głębiej się wżarł w jego ciało. Jeden ze zbirów wyjął z kieszeni garść soli i posypał mu rany. Mitia zawył.

- A prosiliśmy po dobroci - odezwał się ten z solą - byś udowodnił, że jesteś z nami. A ty co!?

- huknął. - Myślałeś, że nas się da wykiwać?! Nie z takimi sobie radzimy! - warczał. I skinął głową:

- Zabyrajsia.

- Od czego zaczniemy? - spytał drugi.

- Od uszu - oznajmił gruby. Mitia nie rozumiał, co to znaczy.

- Szybciej - syknął tęgi. Drugi wyjął spod bluzy długi nóż, a Mitia krzyknął:

- Nie!!!

Ale tamten już obciął dziecku ucho. Borys łkał i szarpał się pośród sznurów.

- Nie! Proszę, błagam, nie! - Mitia zobaczył, jak drugie ucho odpadło, a dziecko zawodziło, machało głową, zanosilo się straszonym szlochem.

- Nie wolno nas zdradzać! - warknął gruby. I syknął: - Ihor, jazyk!

Mitia zawył. Chciał się chwycić rękami za głowę, ale nie mógł. Więziły go sznury. Szarpał się, miotał, krzyczał. A zbir zwany Ihoem już wyrwał dziecku język. Język spadł Borysowi pod nogi. Borys gulgotał, zalewał się krwią, skowyczał jak pies.

Mitia walił głową o drzewo.

- Nie! - ryczał, rzucał się jak ryba w sieci. - Co wy robicie!?! Dzikie bestie! Potwory! Nie!

Błagam, darujcie mu życie! Mnie zabijcie, a jemu darujcie!

Gruby patrzył na niego lodowatym wzrokiem i syczał:

- Będiesz nas szanował, gadzie?! I krzyknął do następnego:

- Oczci!

494

Mitia już nie miał siły do płaczu. Widział bezradnie wpatrzone w niego oczy syna. Borys zboczony krwią, wciąż na niego patrzył. Mitia rozbijał głowę o pień drzewa, walił ile sił, miotał się, a krew mu ściekała po ciele. Z obłędem w oczach ryczał:

- Ne! Boże ty mij, ne! - unosił ciężki wzrok i widząc, jak ten trzeci wsadza cienki patyk do ognia, wył:

- Żwiry! Wy żwiry! Boże ty mij, żwiry!

Chciał paść na kolana, by powstrzymać potwora przed oślepieniem Borysa, ale sznury coraz mocniej wrzynały się w ciało. Gdy zobaczył, że morderca zbliża się do dziecka z płonąącym kijem, zawył straszliwym głosem:

- Darujcie mu. Pozwólcie mu żyć. Zrobię wszystko, co tylko chcecie. Błagam!

- Zariżesz żinku? - zimno spytał gruby. Mitia jęknął:

- Zariżu - i wznosił ku nim oszalałe z bólu oczy. - Zrobię wszystko, co chcecie! Tylko nie oślepiajcie mi dziecka! Darujcie mu! Padnę przed wami na kolana. Będę całować wasze stopy, tylko darujcie mu wzrok, życie. Mnie zamordujcie!

Gruby skrzywił się w ironicznym uśmiechu.

- Patrzcie - zwrócił się do kamratów - już nie jest taki hardy jak niedawno. Już zmiękł. Każdy, kto nas zdradzi, mięknie. Nasi wrogowie będą błagać Boga, by się z nami nie spotkać - cedził przez zęby. I burknął: - Anatolij, dawaj!

Borys wbijał niewinne oczy w twarz ojca, skomląc:

- Barko, Barko.

A ten z ogniem wwiercał się już płonąca żagwią w źrenicę dziecka. Wbijał syczący kij, wypalając jedno oko, a potem drugie. Mitya zwiesił głowę i bezgłośnie szeptał:

- Borys, dziecko moje, daruj mi, wybacz! - a z jego piersi wydobywało się charczenie.

Borys coraz ciszej kwilił. Oblany krwią, bez oczu, uszu i języka, zwisał ze sznurów z opuszczoną główką.

Wpatrywali się w Mitię, jakby sprawdzając, czy wytrzyma ten cios.

Ale on już także zwisał ze sznurów i miał opuszczoną głowę.

495

Wytarli noże, jakby czyścili narzędzia pracy. Na pożegnanie gruby podszedł do Miti, chwycił go za włosy, uniósł do góry zwisającą głowę i warknął:

- Budesz pamiaty cię zítia, szczo tut buł kureń Zołotoho Łysa! Mitya zanurzał się w coraz gęstszej mgłę, nic nie czując.

A Borys cichuteńko kwilił.

Gdy tamci odeszli, dmuchnął rzeński wiatr i owiał twarze. Zaszumiały drzewa.

Mitya się ocknął, uniósł ciężkie powieki i zobaczył przed sobą widmo okręconego sznurami ślepego dziecka. Otrząsnął się i wycharczał:

- Nie!

Potem skierował nieprzytomny wzrok na drogę. Widział jakby dwa migające światła, niby dwie lampy wyłaniające się z gęstego, siwego dymu. Chciał przetrzeć oczy, by się dokładniej przyjrzeć, ale nie potrafił. Nie mógł ruszyć ramieniem. Gdy drgnął, syknął z bólu. Usłyszał daleki, rozpaczliwy krzyk:

- Borys! Mitya! Borys! Mitya!

Chciał dźwignąć głowę, ale nie mógł. Targnął się raz i drugi, wbił oczy w wydobywające się z siwego dymu cienie, lecz chwyciły go zimne dreszcze i zaczął się kulić. Z mgieł wyłaniały się dwie sylwetki, zbliżały się i rosły. Jedna jakby Kasia, a druga matka. Zdawało mu się, że je poznaje. Wkrótce zamieniły się w dwa anioły, a ich rozpostarte skrzydła były wielkie, czyste i lśniące. I usłyszał, jak anioły przywołują go do siebie, widział jak machają skrzydłami, a on odpływał w ciemnej chmurze ku dalekim stokom, zapadał w otchłań nocy i cicho, coraz ciszej szeptał:

- Borys, Borys, Borys.

KONIEC

Wrocław, 2002-2007

SPIS TREŚCI

KOLOROWY TABOR

CYGANKI

WRÓŻBA

KASIA I KSENIA

WESELE SALCI

MARZENIA

GŁÓD NA UKRAINIE

WIELKA NARADA

CHOROBA SARY

LWÓW

TAJEMNICZY NAUCZYCIEL

KŁÓTNIA

LUDOŻERSTWO
WYJAZD
UŁANI I UROCZYSTOŚCI
NOWE PRZYJACIÓŁKI
ZNOWU SCHULZ
EUFORIA
WIERSZ
ROZMOWA IHORA Z BOGIEM
GDZIE JEST DUSZA
RYWALIZACJA
SEKRETY
DOKOŃCZONA ROZMOWA IHORA Z BOGIEM
PIERWSZA MIŁOŚĆ
ŚMIERĆ PIŁSUDSKIEGO
WIELKA POLITYKA
497
SAMI 248
TUNELE W ŚNIEGU 251
PORWANIE 254
W DOMU MITI 257
WSPOMNIENIA 262
ZARAŻA 266
POP KIRYŁO 268
MATKA 270
KSENIA 272
INNI 275
LIST 277
SPOTKANIE W LESIE 280
RUSKI KOCHANEK 282
OPOWIEŚĆ KASI 285
ŚWIĘTA 288
PASTERKA, PRZYJACIÓŁKI 297
CZARNA DAMA I SAMOLOTY 300
ZNIKANIE URZĘDNIKÓW 304
ZNOWU WOJNA 305
ŻOŁNIERZE WĘGIERSCY 307
ZMIANA WŁADZY 309
WYWÓZKA DO RZESZY 316
ŻYDZI 318
UCIECZKA 326
OSTRZEŻENIA KSIĘDZA 330
REWIZJA 333
NOWE ŚWIĘTA 337
NOWE WESELE 339
DZIECI 347
LIST OD KATU 352
KONFLIKTY 354
RUSKIE 359
ROZPACZ I GNIEW 364
WAKACJE 122

NOWE DOŚWIADCZENIA	126	
MŁYNARZ I KRAWIEC ZNOWU POLITYKUJĄ		129
KŁOPOTY SCHULZA	131	
SPOTKANIE Z UŁANEM	133	
SMUTEK	138	
HANNAH	141	
ZDRADA	143	
ZALOTY	145	
HENIO LANCKOROŃSKI	150	
INTRYGGA	154	
PRZYJĘCIE	157	
KASIA I MATKA	165	
W PAŁACU	171	
WE DWOJE	176	
ROZTERKI	183	
PANNA ADRIANNA	185	
POTWÓR NA NIEBIE	188	
ZASKAKUJĄCA WIADOMOŚĆ	195	
KONCERT	197	
TAJEMNICZY NIEZNAJOMY	204	
NIEUDANE SAMOBÓJSTWA	209	
WESELE	211	
NIEZNAJOMY NA KONIU	217	
ZWIERZENIE	219	
NOC	220	
WOJNA	222	
RZĄD OBRADUJE W KOŁOMYI	225	
POWITANIE SOWIETÓW	228	
GWAŁTY	231	
KIBITKI	238	
W PAŁACU I W KARCZMIE	240	
MITIA	244	
498		
499		
a w o ^ O O O "Щ		
tO N J0		
on		
o		
\$		
Z		
>		
o		
>-d to Γ)		
o o s		
on		
N- N1		
> 2		
я		
o		

%
N1 О П О
ГО
>
Z £- Ж
O § O
< E3
M tO
8
N1
o
I
s й
ел
I3
o
N
м 2
?0 >-B
o o
N1 O
2 й
▶o м ел-
П4
3I
W >
g
2 §
25
I-d
on H
I
o
G ^
53
§
to
o
MN
O O 2
-0 o O
o »o
^ n O
>
И М
ОПч
to G
W
t—l
O

n
NI
>
O
N1 И
Z m
и ч jo
> S o
Г-1 Ы N
П td >
> «J O
> >
£ M i on
Д h и
■n
S 2 ^
O Я o
3 g »
to >> n
N1
§2

и to

>

ra

NI

O

a >

J>	4^	4^	4^	*.	4^	*-	4b	*>	*>	Л	*.	4=.
	4^	J>	4^	UJ	uj	UJ	UJ	UJ	UJ	UJ	UJ	UJ
	UJ	UJ	UJ									
NO	(50	00	N	Nj	o\	o	On	U1	un	£.	UJ	KJ
		i—i	O	\0	\D	00	00	00	00	NJ	^1	vj
	■^1	On	ON									
i—'	ON	i—'	00	>—'	co	On	(n->	00	i—'	i—'	Oo	oo
	4^	^J	tu	NO	Ю	NO	^J	On	UJ	ЧO	On	UJ
	1—'	00	U1									

— Stanisław Srokowski - poeta, prozaik, dramaturg, krytyk literacki. Urodzony na Kresach, po wypędzeniu stamtąd osiadł w Mieszkowicach/Plan 16. Ukończył studia w WSP w Opolu. Od 1960 r. pracował jako nauczyciel w Legnicy. Po Marcu 1968 zmuszony do odejścia ze szkoły. Podjął pracę we Wrocławiu, m.in. w Klubie Seniora oraz tygodniku „Wiadomości”. Tam założył „Solidarność”. W stanie wojennym wyrzucony z redakcji, bezrobotny, potem zatrudniony w Zagłębiu Miedziowym. Działał w podziemiu. W latach 1990-1993 wykładowca Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor m.in. powieści Duchy dzieciństwa, Repatrianci, Lęk, Samotność, tomików wierszy: Akty, Zjadanie, Miłość i śmierć, książek dla dzieci i młodzieży: Mity greckie, Przygody Odyseusza, Szkoła układania wierszyków, słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Ostatni zbiór wstrząsających opowiadań kresowych Nienawiść otrzymał wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza w 2007 roku.

, ,

Stanisław Srokowski od lat opisuje burzliwe dzieje ziem kresowych. I oto otrzymujemy fascynującą a zarazem pełną tragizmu powieść, w której splatają się losy wielu bohaterów, Polaków, Ukraińców, Żydów, Niemców, Rosjan, Ormian i Karaimów. Miłośnicy Lwowa odnajdą w niej niepowtarzalny klimat przedwojennego miasta, jego życia duchowego, towarzyskich spotkań, kawiarenek i parków. Wielka i tragiczna miłość polskiej dziewczyny i ukraińskiego chłopca ujawnia sens ludzkiej egzystencji w poszukiwaniu prawdy w podzielonym świecie. A porywająca akcja, klarowny i piękny język, a przede wszystkim głębia psychologiczna nadają koloryt i smak autentycznym wydarzeniom. Ukraiński kochanek stawia podstawowe pytania o wartość ludzkiego życia i sens historii. To znakomity kresowy epos, w którym odkrywamy polskie losy i naszą zagubioną pamięć.

ISBN 978-83-60940-28-0

9788360940280